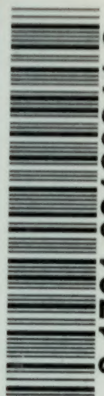
Dr. H. Biegeleisen

Juliusz Słowacki



JULIUSZ SŁOWACKI

PRZEZ

Dr. HENRYKA BIEGELEISENA.

TOM II.



MATKA JULIUSZA

SALOMEA z JANUSZEWSKICH 1° VOTO SŁOWACKA 2° VOTO BECU.

JULIUSZ
SŁOWACKI

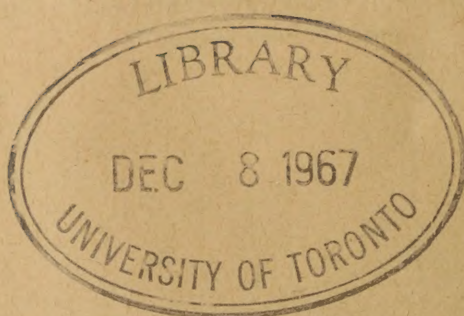
PRZEZ

Dr. HENRYKA BIEGELEISENA.

Z 2-ma portretami, 4-ma rysunkami poety i tablicą porównawczą tekstu.

TOM II.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ.
Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.
1895.


LIBRARY
DEC 8 1967
UNIVERSITY OF TORONTO

Okres dojrzałości Słowackiego odgraniczony jest od poprzedniej i następnej doby dwoma słupami wytycznymi: „Kordjanem“ — pierwszym dojrzalszym owocem twórczości poety, wykończonym w jesieni 1833. r. — z jednej strony, a z drugiej wierszem „Tak mi Boże dopomóż“, napisanym w Paryżu, 13. lipca 1842. r., ostatnim płomykiem tego boskiego ognia, przygasającego niebawem na ołtarzach misticyzmu. W tym obrębie lat dziesięciu prawie, od 1833. do 1842. r., dostrzeże bystrzejsze oko trzy stopnie rozwoju: pierwszy, który nazwaćby można okresem dojrzewania, obejmuje utwory powstałe w Szwajcaryi, z dramatów: „Kordjana“, „Mazepę“, Balladynę“, z poezyi lirycznej: *Rozłączenie*, wiersz napisany nad jeziorem Lemanu 20. lipca 1835. roku, *Przekleństwo*, tego samego albo o dzień później ukończony, *Stokrótki* i *Chmury* z datą: Veytoux, dnia 21. lipca 1835, *Ostatnie wspomnienie — do Laury*, napisane w tem samem ustroniu alpejskiem, w dziesięć dni później. (30. lipca 1835.) *Sumnienie*, wiersz z datą 1. maja 1836. jakkolwiek myślą i uczuciem należący do tej grupy — powstał już w Rzymie. — Drugi, najwyższy stopień rozwoju Słowackiego, okres rozkwitu jego talentu, wydaje takie arcydzieła jak „W Szwajcaryi“ i „Ojca zadżumionych“, kiedy w trzecim, odkwitającym okresie, zdobywa się jeszcze brylantowa jego fantazya na „Beniowskiego“. Nas tu zajmuje obecnie pierwsza doba jego dojrzewającej twórczości, której zawdzięczamy perły młodzieńczych jeszcze uczuć, nanizanych na sznur

poezyi erotycznej. Aby je odczuć i zrozumieć, trzeba się zapoznać z tłem szwajcarskiem, na którem powstały i z osobami, do których się odnoszą.

Wszyscy niemal wieszcze z tej nieśmiertelnej plejady, co nam tak jasno przyświecała, — trafnie to zauważyła Seweryna Duchińska — wszyscy niemal przebywali w Genewie. Tu Bohdan nastrajał swą złotostrunną lirę, tu przebywał Adam snując w myśli wątek narodowej powieści, tu w Genewie i Zygmunt próbował po raz pierwszy sił własnych, z młodzieńczym zapałem podnosząc zasługę naszych szermierzy pióra, tu, na cmentarzu, widzimy grobowiec nieśmiertelnej Klaudyny Potockiej, tu, w wolnej ojczyźnie Tella i nasz Juliusz rozwinął z całą potęgą skrzydła twórczego lotu. Rok 1832., w którym wyszły dwa pierwsze tomiki jego poezyj, wydane w Paryżu, zamyka okres młodzieńczy poety. Z wyjazdem do Genewy zaczyna się nowy, pełniejszy, szczęśliwszy okres w jego życiu.

Było to właśnie w wigilią jego wyjazdu z Paryża. Żegnało go grono bliższych znajomych obiadem na cześć jego wyprawionym. A nazajutrz, dnia 26. grudnia 1832. r. w samo więc drugie święto Bożego Narodzenia, o godzinie 7. wieczorem, wsiadł do dyliżansu, który go miał zawieść w głąb gór alpejskich. Oto jak opisuje matce ten wyjazd.

„Przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mnie czekało, stali w około, gadając ze mną przez okna karety... i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika (Zienkowicza), który się wywlókł z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu. Widzę go dotąd przed sobą, jak mówi Szekspir, oczyma duszy mojej, choć go może oczyma głowy mojej nigdy już nie zobaczę. Ruszył dyliżans, to ogromne zwierzę, nadziane różno-narodowym tłumem, i jechalimy długo przez ciemne ulice, a potem przez *pont Neuf*, a potem przez ulice, na których nigdy nie byłem, choć blisko półtora roku siedziałem w Paryżu. I tak *zakończyłem paryski epizod mojego życia.* W nocy nie mogąc rozerwać niczem mojej uwagi, przebiegłem myślą mój pobyt w tem mieście — i nic nie znalazłem przyjemnego — żadnego wspomnienia, prócz chwili, w której przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezyi“...

„Przejeżdżałem przez ładną Francyę — ładną nawet w zimie, bo pola, choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. W dyliżansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą. Zacząłem ich naśladować i często po całej mili uchodziłem. Wszedłszy na jedną górę, spotkałem się po raz pierwszy z zimą; murawa była cała szronem obsuta, futro u mego płaszcza obmarzło; wyprzedziłem z daleka dyliżans i stanąłem sam jeden, a widząc naokoło skały, waszemi imionami próbowałem ich echa... Jechałem przez *Tonnerre-Dole*; wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia o godzinie 5. z rana, przyjechaliśmy do *St. Laurent*, położonego na górze *Jura*, skąd trzeba było wziąć sanki, aby przebyć śniegi tej góry. Co za rozkosz — śnieg dawno niewidziany — tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz jechać na południe sankami! — O 7 zaczynało się rosjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny *Mijou*, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tem ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi, jak srebrna kortyna. Słońce oświecało ten zimny i zamarzły obraz. Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów, w ojczyźnie Wilhelma Tella. Przez 12 godzin widząc śniegi wokoło, o Was marzyłem, marzyłem o dawnem dzieciństwie, o dniach przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że wam tego wystawić nie potrafię. — O półtorej mili od Genewy znów siedliśmy w dyliżans na kołach i o 5. wieczór wjechaliśmy do miasta. Teraz patrzcie na początek listu, a będziecie mieli wyobrażenie, jak pierwsze chwile w tej mieścinie przepędziłem"...

Początek listu był taki:

„Nie masz smutniejszej dla mnie chwili, jak ta, w której przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5. wieczór przyjechałem do Genewy, wniosłem się do hotelu pod „Wielkim Orłem" i nie mogąc po nocy włóczyć się po nieznajomem mieście, kazałem sobie do pokoiku przynieść her-

baty i przy ogniu kominka marzę i piszę list ten do kochanej mamy“... (Z Genewy dnia 30. grudnia 1832. roku).

Owe przykre uczucia, jakich doznawał w pierwszej chwili za przybyciem do tego miasta, ustąpiły miejsca usposobieniu nie tylko znośnemu, ale nawet wcale przyjemnemu.

Dnia 5. stycznia 1833. zapisuje w swoim pamiętniku: „Przyjechawszy do Genewy (30. grudnia 1832), na drugi dzień znalazłem tu kilku z moich znajomych, którzy mi obiecali dopomóc w wynalezieniu mieszkania. Genewa jest niezmiernie droga, i wszyscy, nawet najbogatsi cudzoziemcy, mieszkają w tak nazwanych pensyonach. Pochodziwszy trochę, znalazłem bardzo ładny pensyon w wiejskim domu, o kilkadziesiąt kroków od miasta położony; kosztuje mię na miesiąc 130 franków bez opału. Szczęśliwie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinię. Gospodyni tego pensyonu nazywa się Mme Patteg. Jeżeli zobaczycie Grocholskiego (Józefa) lub Kościelskiego, (jeżeli się nie mylę stryjecznego dziadka posła do parlamentu niemieckiego) powiedz im, że zaraz na wstępie zapytała mię panna Patteg, czy ich znam, i odtąd ciągle mi o nich gada. Oni kiedyś mieszkali u tej samej pani, trzy razy przejeżdżając przez Genewę, ale na ten czas pensyon był w mieście, dziś zaś zmienił lokal i ukrywa się w ogrodzie między świerkami i sosnami.

Muszę wam opisać pensyon genewski. A naprzód dom, w którym się mieści, a potem gospodarstwa moich portrety skreślę, potem opiszę mój pokój, a potem moich towarzyszy. Dom leży trochę za miastem, ale wyszedłszy z niego, w kwadrans można być na drugiej stronie Genewy. Bo Genewa mniejsza jest prawie od Kamieńca, (podolskiego) tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić, jak jest mała, kiedy pomimo największej drogości mieszkań, liczy tylko do 24.000 mieszkańców. Otóż dom, w którym mieszkam, stoi w ogrodzie, za miastem, wysoki na 3 piętra, szary, z zielonemi okienicami. W ogrodzie najwięcej jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów z okien nie widać.

Pani Patteg jest to stara kobieta przyjemnej twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuwam, że gdybym kiedy

zachorował, w jej domu nie byłbym jak obcy. Córka jej, panna Eglantyna Patteg, wszystkiem w domu się trudni. Jestto panna, mająca około lat 30; ładną być dawniej musiała, teraz pokazują się w niej wady starej panny. Z tem wszystkiem bardzo przyjemna w konwersacyi i dobrze gada o wszystkich znajomych. Czule wspomina Grocholskiego i Kościelskiego, z uśmiechem mówi o Ilkiewiczu, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jakieśmy go widzieli, bo wystawiła mi go panna Patteg jako nadzwyczaj wesołego i miłego w towarzystwie.

Przebywszy na pensyon, zastałem w nim familię francuską, starego pana z żoną i synem, bo tu i kobiety mieszkają w pensyonach. Ci państwo wczoraj wyjechali, jeden mi więc tylko został towarzysz. Jest to Francuz, ksiądz protestancki, z którym grywam w szachy wieczorami. Mała ta liczba pensyonaryuszów powiększa się nieskończenie w lecie. Wtenczas mnóstwo przyjeżdża Anglików, często ładne przebywają Angielki, a wtenczas pensyon staje się bardzo przyjemną wioską naszą. Wszyscy się bez przymusu schodzą w godziny uczt, bawią się, wieczorami pływają po jeziorze i późno przy księżycu wracają do domu. Mam pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski, z obiciem w kraty zielono-karmazynowe, biurko czeczotkowe, ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak siędę, to mię nie widać, i krzesła i stolik i piec okrągły; okna jak zwyczajnie w Szwajcaryi z małemi szybami, a przed oknami dwa świerki, sosnę, dąb stary, wiele krzewów, murawę teraz nawet zieloną i kląb z róż. Okna moje są obrócone na wschód, będę więc miał w lecie słońce, i w ładny poranek otworzę sobie okna, i będę miał zapach róż, zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz, mamo, jak mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemna ta wiejska cisza, która mnie w około otacza. Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, abym odpoczął po trudach życia. W domu, w którym jestem, zupełnie mi uczuć nie dają, jakobym był za pieniądze i to mi bardzo przyjemne.

W pensyonie tym wstają wszyscy o 9. rano, o 10. schodzą się do wielkiej sali na śniadanie, złożone z jajek miękko gotowanych, z mięsa na zimno, z kawy i herbaty. Ostatnie dwa napitki przyprawiają tu doskonale, ale kawa

w mieście jest niegodziwa. Potem rozchodzą się wszyscy. Ja idę najczęściej do miasta, do salonu lektury, odwiedzam moich znajomych i znów o 4. schodzimy się na obiad. Ile razy jem obiad smaczno zgotowany, dziękuję Bogu, żem się od paryskich traktyerów wyzwolił, i czuję, że mi tu daleko lepiej na zdrowiu. Po obiedzie często kto z dam genewskich do pani Patteg przychodzi z wizytą, i tak pozawczoraj wieczór przepędziłem na rozmowie z panną Liną: jest to ładna z czarnemi oczyma Szwajcarka, i we czwartek mam pójść do jej rodziców na wieczór. O 9. godzinie pijemy herbatę i potem przy kominku ciągnie się rozmowa, po której każdy do swego pokoju odchodzi. Wszelka wolność wyjścia prędkiego lub bawienia się z damami w salonie zostawiona jest mieszkającym w tym domu.

Otóż masz, kochana mamo, wszystkie detale mojego pobytu w Genewie, czyli raczej sposobu, jakim tu przebywać będę; starać się muszę, aby mi tu jak najmniej smutno było; spodziewam się wejść do kilku polskich domów, a jednak uczynię to z przykrością, ale się trzeba przezwyciężyć.

Pytasz się, kochana mamo, wiele mi potrzeba po Nowym Roku; mówię otwarcie: abym był na cały rok spokojny, potrzeba mi koło 450 rubli; ale jeżeli mi je mama zdołasz przysłać teraz, to upraszam, abyś mi za 60 egzemplarzy poezyj, odebranych pieniędzy nie odsyłała, bo mi już będą niepotrzebne. O, kochani moi, smutno mi, smutno czasem i często, bo się już przerabiam na obywatela świata: już się ani do miejsc, ani do osób, z któremi żyję, nie przywiązuję tak silnie jak w dzieciństwie, i to jest jedną z wad, jakiej nabywa serce tułacza.

Starajcie mi się cokolwiek donieść o Grocholskim i Kościelskim, a jeżeli możecie, to proście którego, aby sami do panny Patteg napisali, bo tu po nich czułe zostało wspomnienie; spodziewam się, że i ja na podobne zasłużę. Piszcie jak najprędzej do mnie, upraszam was o to, adresujcie list tak: „*A Monsieur... chez Mme Patteg, compagne de Monthoux aux Paquis, près Genève en Suisse*". Słowa podkreślone są koniecznie potrzebne, albowiem Paquis nazywa się wioska, w której mieszkam; zamiast nazwiska damy i Campagne, można położyć numer 10.

Pobyt Juliusza w Szwajcaryi odbija od reszty jego życia, jak zielona oaza rzucona na rozłogi spiekłego stepu. Dotychczas rzekłby można był, jak młode orlę, niespokojny w gnieździe, rwący się by sprobować swych skrzydeł, — dziś przeleciawszy wiele dróg i skał, znużony odpoczywał w cichym zakątku alpejskim. Władza marzeń, rozsadzająca mu dawniej głowę, rozpychająca ściany jego mieszkania, teraz uspokoiła się, przycichła. Z dala od sfery burz i piorunów żył jak kwiat na jednem miejscu, kąpiąc się w złotych promieniach słońca, spijając rosę poezyi. W tych warunkach powstały bardziej harmonijne utwory jak „Mazepa" i „Balladyna". Z pensyonu, w którym zamieszkał, widać było Genewę jak rozsiadłszy się nad błękitnem zwierciadłem Lemanu, wyciągała szyję do jeziora, stopy jej oblewał jak łza przejrzysty Rodan, za nią rysowały się śnieżne góry na widnokręgu, gdzie stawał ze snu biały Mont-Blanc niby kolos, wiankiem chmur okolony. Imaginacya poety przystroiła się jak pałac obrazami najpiękniejszych widoków przyrody, a źródła jego uczuć podsycały idealną miłością kochane lub kochające serca. W domu, w którym zamieszkał, uwijały się różne cienie letników jak w czarnoksięskiej latarni. Z jaskółkami przylatywały tam Angielki, na jesień Niemcy, po których odjeździe zwaliła się jak lawina ogromna familia rosyjska. I tak co wiosna przesuwało się koło niego mnóstwo figur, które jak senne widziadła ledwie zatrzymywały się w pamięci. Na tej pstrej szachownicy byli właściciele pensyonu, a właściwie ich córka Eglantyna Patteg, tym słupem kamiennym na drodze, przy którym musiał się zatrzymać poeta nieco dłużej, zanim w dalszą wyruszył podróż. W tej epoce, w której wspomnienia pierwszej burzliwej miłości nie przygasły jeszcze zupełnie a do duszy poety wdzierały się promienie cichej, czystej a jak wschód słońca promieniejącej miłości, znalazł Słowacki w Eglantynie siostrę, przyjaciółkę, więcej: osobę oddaną mu duszą całą. Prof. Małecki w swem pomnikowem dziele o Słowackim powiada, że „w całym stosunku poety do Eglantyny jest w ogóle wiele rzeczy bardzo trudnych do wyjaśnienia". Korespondencya Eglantyny i Juliusza, którą tu przytaczam, zapełni może kilka luk dotychczas ciemnych. Poprzednio jednak nakreślimy kilka ogólniejszych rysów

tego stosunku. Nie zapominajmy przedewszystkiem, że serce tułacza stężało już na tyle, że się do miejsc ani do osób nieprzywiązywało tak silnie jak dawniej, że się już żywiło okruszynami tego wielkiego uczucia, o którem w głowie poety utworzyło się wyobrażenie niepodobne do osiągnienia.

Po Śniadeckiej żadna z kobiet, nawet owa, która „z tęczy wyszła i z potoku piany“ nie zawładnęła wyłącznie jego sercem, zarysowanem i rozpadającem się w kawałki. Marzyciel, romantyk tęsknił tylko do jakiejś, wielkiej miłości, pragnąc na rzece żywota swego znaleść ów cudowny kwiat, około którego obwinąć by się mógł i zasnąć na wieki — w rzeczywistości, owe zaczarowane lilie, gdy się do nich zbliżał, wydawały się powszednie, wątłe albo nudne. Tak było z Eglantyną. — Źródła tego stosunku szukać należy w macierzyńskiej opiece, jaką panie Patteg otaczały swego gościa chcąc mu zastąpić dom i matkę. Dowody tej troskliwości o niego zostały także w listach Eglantyny do Pani Salomei Becu, pełnych bezinteresownej, prawdziwie siostrzanej miłości, z których parę pozwolono mi ogłosić, dzięki uprzejmości Pani Klementyny Witosławskiej.

Stosunek ten przyjacielski był pełen szlachetnej delikatności. Ona starsza od niego o lat 5. była mu opiekunką, pod której skrzydła tulił się poeta rozpieszczony przez kobiety, potrzebujący koniecznie jeżeli nie kochać — to przynajmniej być kochanym. W ustroniu szwajcarskiem przybierała i przyjaźń charakter sielankowy. On jej darował na pamiątkę widok rodzinnego miasta, umyślnie dla niej malowany, ona ofiarowała mu na wiązanie bukiet kwiatów, pełen najpiękniejszych róż i zniewoliła do przyjęcia złotej obrączki (z napisem dnia jego imienia) której nie zdejmował z palca. Chodzili z sobą, rozmawiając lub dumając całymi dniami po ogrodzie, okrywającym się na wiosnę tysiącami fiołków i pierwiosnków, po aleach, gdzie w noc księżycową wywodził swoje trele słowik, ukryty w gąszczu rozkwitłych bzów. W jesieni słuchając szmeru spadających liści marzyli o wielu rzeczach, ale on najczęściej o matce. A jesień szwajcarska ma wdzięk niewymowny, murawy nie tak jak u nas spalone i bez życia, nawet słońce zdaje się być piękniejsze i złocistsze. Kiedy na krótki czas się rozłączyli (podczas wyjazdu Eglantyny do Lionu) pisywali do

siebie długie listy, „bardzo miłe" ale sentymentalne i tym sposobem skracali sobie czas oddalenia.

Widząc bezgraniczną miłość Juliusza do matki, jego tęsknotę za nią, pocieszała go przyjaciółka jak mogła. Nieraz, gdy przez czas dłuższy nie otrzymał wiadomości od matki, przepędzała całe ranki na dziedzińcu czekając pocztmistrza a dostawszy list, biegła ze łzami w oczach doręczyć go stroskanemu synowi; często widząc pocztmistrza mijającego dom biegła za nim, nie będąc pewną czy nie zapomniał wstąpić. — Dopytywała się Juliusza o wszystkie szczegóły dotyczące matki, pragnęła ją poznać, zaskarbić sobie jej względy, pokochać więcej niż własną matkę — Gdy pisał do swoich, przychodziła po kilka razy do drzwi jego pokoju i wołała, aby nie zapomniał od nich to i owo powiedzieć. Codziennie dawała mu dowody przywiązania i troskliwości. Podzielała z nim radość i smutek zarówno.

Dowiedziawszy się o nieszczęściu, które spadło na jego matkę, płakała bolejąc nad utratą zdrowia i majątku, cieszyła się tryumfami, jakie zbierał poeta, gdy w gabinecie lektury odczytywano pochlebne o nim krytyki i przekłady na język francuski płodów jego młodzieńczej muzy. Na wiosnę sadzili razem kwiaty w ogródku, w święta Wielkanocne puszczali się na morze doświadczeń kulinarnych i zaszczepiali „babę", na gruncie szwajcarskim stawiając polską piramidę oko w oko z górą „Mont Blanc". Ona zwierzała mu się ze wszystkiego, powiadając wręcz, że żadnej ze swych przyjaciółek tego co jemu nie wyspowiadała. On zaś przyznawał, że miała nad nim „panującą władzę siostry". Kiedy go list jaki zasmucił, jakaś wiadomość zła zgryzła, ona umiała z twarzy jego wyczytać smutek i zawsze musiał się jej wyspowiadać, a po spowiedzi lżej mu było.

Węzły przyjaźni zacieśniały się ze strony Eglantyny, po dwuroczném przeszło pożyciu pod jednym dachem, z każdym dniem więcej. Lecz właśnie na ten czas, pod koniec jesieni 1834., przypada poznanie się poety z Maryą Wodzińską, do której niebawem skierował swe uczucia. Horyzont pensyonu poczał się zaciemniać. Ogródek wspólnie z Eglantyną zasadzony coś nie rósł, choć na słońcu i często polewany... Bzy dawno przekwitły w ogrodzie,

a laur stojący pod jego oknem usechł. Nawet baby wielkanocne robione ściśle według recepty, nie udawały się, ciasto było za ciężkie czy piec był za zimny... Dom państwa Patteg osamotniał, goście którzy przez lato dworek napełniali, z nadejściem jesieni unieśli się jak jaskółki na południe, pozostał tylko jeden „doskonale nudny“ Anglik. Jednostajność i nuda wiejskiego życia wyłaziły szydłem z worka. Poeta posmutniał i zaskorupił się jak ślimak. — Postać tęczowemi barwami poezyi opromienionej Maryi rzuciła ponury cień między dwoje ludzi, z których jedna widząc się „oszukaną“ w miłości i przez szczęśliwszą w kąt odsunięta, poczęła schnąć i zalewać się łzami, aż w końcu niebezpiecznie zachorowała — kiedy drugim miotały wyrzuty sumienia i porywy świeżej, idealnej miłości. Ze zranionego serca poety wylały się te uczucia w Veytoux, zacisznej wioszczynie górskiej nad jeziorem„ jak pół nieba wywróconego na ziemię“ dokąd uciekł poeta, aby nie słyszeć płaczu zawiedzionej i nie deptać miejsc rozkwitających liliami czystej miłości. Wspomnienia tych chwil, skroplone w czystych jak łza perłach, spadły niby deszcz wiosenny na spragniony ugór poezyi romantycznej. Wiersze: „Przekleństwo“ i „Sumnienie“ (w Pismach pośmiertnych J. Słowackiego. Lwów, 1865 str. 25—34.), ogłoszone jeszcze za życia poety, odzwierciadlają w spotęgowanych i nieco wypaczonych przez fantazyę kształtach, stan jego duszy w tej epoce. Wyjazdem w dzikie strony gór Meilleries, w których odbierał wizyty tylko jaskółek wlatujących przez okno i tłukących się piersią o zwierciadło, nie zakończyła się ta romantyczna historya serca. Epilog streszczający się w słowach poety: „płakałem wyjeżdżając płakany“ miał się zakończyć weselej. Kiedy panna Marya z rodziną wyjeżdżali do Drezna, odprowadziła ją umyślnie Eglantyna, aby móc odwiedzić niewdzięcznego brata. Była w jego błękitnym pokoiku, który odbijał i czysty lazur nieba i jeszcze czystszy błękit Lemanu, płakała rzewnie i zaklinała, aby do nich powrócił. Zawahał się, ale prośby, nalegania córki i matki przeważyły szalę decyzyi. Wrócił do swoich „dobrych ludzi, co go karmili i kochali przez dwa lata“. A powrót do nich był bardzo łatwy. Przyjęto go jak syna — otwartemi ramionami. Mimo to jadąc tam takiego doznawał uczucia, jak gdyby mu się coś

na świecie przez dwa lata klejonego nie skleiło. Po trzech miesiącach pustelniczego życia, którym zawdzięczamy powyższe klejnociki jego poetycznej korony, osiadł napowrót w pensyonie. Ale łańcuch jego marzeń raz przerwany nie dał się spoić na nowo. Nastała jesień. Wiatr wstrząsał pożółkłymi liśćmi dębu u okien Juliusza, mgły przysłoniły góry, on, zazwyczaj w tę porę jesienną nawiedzany przez najpiękniejsze pomysły poematów, które mu głowę rozsadzały, teraz miał — „mózgownicę, podobną do niezapalonej latarni". Pozbawiony marzeń, które mu życie słodziły, musiał myśleć o rzeczywistości a ta mu się coraz nudniejszą wydawała. Czas jesienny był bardzo brzydki. Mgły spadły na dolinę, w której leżała wioska i napełniły ją wilgocią, kręciły się tam długo nie mogąc wyjść, aż się nie wypłakały, podobnie jak serce poety, które, w sobie zaślepione i przesiąkłe żalem, nie mogło się tak prędko wypogodzić. Na domiar otrzymywał z domu smutne wiadomości. Nie mogąc nadal tak wielkich dla syna ponosić ofiar, dała mu matka do zrozumienia, żeby się w swoich potrzebach ograniczył... pisała mu, że „chodzi w podartym szlafroku". Że nie ma za co „zapalić w piecu." Pobyt w pensyonie był za drogi, sam to przyznawał Juliusz, trzeba więc było zmienić miejsce zamieszkania. Chciał się wyprowadzić do jakiego małego a taniego domku, ale jak to uczynić, aby nie obrazić gospodyń. — Nosił się już z myślą wyjazdu ze Szwajcaryi, gdy wiadomość o przyjeździe wujostwa (Teofilów Januszewskich) rozcięła ten węzeł. Pożegnawszy się najczulej z temi, które mu w obczyźnie zastępowały rodzinę, wyruszył do Włoch, gdzie się zjechał z krewnymi. Na ziemi klasycznej, skąd się listownie znosił z Eglantyną, odczuł dopiero błogie skutki trzyletniego pobytu w pensyonie. Pisywali do siebie jeszcze przez lat kilka. Na ręce Eglantyny przechodziły często listy matki do syna. Trzyletni wątek osnuty z łez i marzeń, przytykany brylantami fantazyi, nie zerwał się tak prędko. Dzięki narzucającej się trochę, ale przyznać to trzeba, zupełnie bezinteresownej miłości Eglantyny, dociągnął aż do lat czterdziestych. Eglantyna widywała Juliusza za każdym pobytem w Paryżu, do końca pisywała i odbierała od niego listy, wiedziała zawsze gdzie przebywa, dzieliła jego pociechy i cierpienia. Dopiero

dają — i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czem Wy z trudnością wierzyć możecie. Widzieliście mnie bowiem dzieckiem nudnem, teraz zaś umiem czasem grać rolę wesołego chłopca, i tylko domowi widzą mnie smutnym i posępnym. Nie odraża ich to jednak odemnie, bo moje położenie oddalone od Was i od kraju usprawiedliwia tygodniowe spliny....

Kiedy nie było tańców, siadano do zielonego stolika i bawiono się grą w karty.

Wiecie jak najczęściej przepędzam wieczory? Oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do pani Lebrun podobna, z żywszą trochę imaginacyą. Otóż ta dama — pani Patteg — ja i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona — i nieraz staje mi w myśli moje dzieciństwo.

Przy takiem zachowywaniu się, przy takiej łatwości w potocznem, towarzyskiem pożyciu — nie dziw, że Słowackiego w cichym domku owym, na przedmieściu Genewy, wszyscy lubieli a szczególniej panna Eglantyna Patteg.

A trzeba było właśnie, że mu w dniach owych pisała matka: czyby nie było dobrze, gdyby sobie którą z tych panien, z któremi miał tyle sposobności przestawać, upatrzył na towarzyszkę życia i złagodził choć takim związkiem cierpkość samotności tułacza? Tak praktyczne widoki nie przypadały jednak do myśli poetyzującego młodzieńca.

„Ty mi matko piszesz o ożenieniu? — odrzekł jej na to — Nie chciałbym niszczyć Twoich marzeń — a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojej żonie ciężarem być nie myślę. Dosyć, że nim jestem dla Ciebie....

Adieu, kochana mamo. Panna Eglantyna chce do ciebie kilka słów napisać; zostawiam jej miejsce, co zostanie papieru, zapełnię. Twój syn Juliusz.

Tu następuje w autografie list Eglantyny, który przytaczam w przekładzie z francuskiego.

Genewa, dnia 15. marca 1833. Nie bez wahania ośmielam się skorzystać z udzielonego mi przez p. Juliusza pozwolenia dopisania kilku wierszy do jego listu, obawiam się bowiem, ażebym w oczach Pani nie uchodziła za niedyskretną; czuję jednak potrzebę podziękować Pani za po-

chlebne słowa dotyczące mamy i mnie a zarazem poprosić Panią o łaskawe doręczenie załączonej tu kartki p. Józefowi Grocholskiemu. Pozwoli mi Pani dołączyć jeszcze słów kilka, które słabe zapewne i niedokładne dadzą wyobrażenie o szczęściu, jakiem napełnia nas obecność syna Paninego w naszym domu. Jakże dumną być możesz droga Pani z takiego syna! Tak młody, tak dobry a tak genialny! Może to być dla Pani pociechą w niejednym smutku i wynagrodzeniem za boleść, jaką Ci sprawia rozłączenie z nim. Pan Juliusz mówił nam, że był zawsze delikatnym i często zapadał na zdrowiu. Obecnie może Pani o zdrowie jego być zupełnie spokojną; jest wyborne — bez wątpienia służy mu bardzo klimat szwajcarski. Gdyby zresztą miał być cierpiącym, mama otoczyłaby go opieką i troskliwością najczulszej matki. Nie śmiem dłużej rozwodzić się, bo czuję, że wiele jeszcze dobrego pragnęłabym o nim powiedzieć, ale obawiam się jego protestu, chcę więc uszanować jego skromność. Proszę w powyższych słowach widzieć tylko moje pragnienie pomówienia z Panią o Jej synie i okazania mej wdzięczności za tak dobrą o nas opinię. Załączając pozdrowienie od mamy, kreślę z zapewnieniem głębokiego szacunku — Eglantyna Patteg.

Nie zostawiła mi panna Eglantyna papieru — dopisuje Juliusz, — więc kończę na tem, prosząc ciebie, matko, abyś w moim liście napisała kilka słów po francusku do niej, bo prawdziwie, że ich postępowanie ze mną jest nader delikatne i niepospolite. Adieu, adieu! babuni, dziaduniowi rączki całuję. Teofilów ściskam.

Kiedy poeta, strapiony przydłuższem milczeniem matki, oczekiwał z niecierpliwością wiadomości od niej, ona go pocieszała. „Kochana Eglantyna — pisze z Genewy 24. kwietnia 1833. — cieszyła mię jak mogła, często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając poczmistrza — często, widząc go mijającego dom, biegła za nim lękając się, aby nie zapomniał wstąpić. Nie uwierzysz mamo, jaki to jest mój stróż anioł Eglantyna, ale teraz nie ma jej tutaj, wyjechała do starej i chorej ciotki w Lionie a dopiero za dni czternaście wróci. Jestem sam z jej matką, która mię kocha i nudzi mię często chcąc bawić rozmową i rozweselić.

dają — i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czem Wy z trudnością wierzyć możecie. Widzieliście mnie bowiem dzieckiem nudnem, teraz zaś umiem czasem grać rolę wesołego chłopca, i tylko domowi widzą mnie smutnym i posępnym. Nie odraża ich to jednak odemnie, bo moje położenie oddalone od Was i od kraju usprawiedliwia tygodniowe spliny....

Kiedy nie było tańców, siadano do zielonego stolika i bawiono się grą w karty.

Wiecie jak najczęściej przepędzam wieczory? Oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do pani Lebrun podobna, z żywszą trochę imaginacyą. Otóż ta dama — pani Patteg — ja i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona — i nieraz staje mi w myśli moje dzieciństwo.

Przy takiem zachowywaniu się, przy takiej łatwości w potocznem, towarzyskiem pożyciu — nie dziw, że Słowackiego w cichym domku owym, na przedmieściu Genewy, wszyscy lubieli a szczególniej panna Eglantyna Patteg.

A trzeba było właśnie, że mu w dniach owych pisała matka: czyby nie było dobrze, gdyby sobie którą z tych panien, z któremi miał tyle sposobności przestawać, upatrzył na towarzyszkę życia i złagodził choć takim związkiem cierpkość samotności tułacza? Tak praktyczne widoki nie przypadały jednak do myśli poetyzującego młodzieńca.

„Ty mi matko piszesz o ożenieniu? — odrzekł jej na to — Nie chciałbym niszczyć Twoich marzeń — a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojej żonie ciężarem być nie myślę. Dosyć, że nim jestem dla Ciebie....

Adieu, kochana mamo. Panna Eglantyna chce do ciebie kilka słów napisać; zostawiam jej miejsce, co zostanie papieru, zapełnię. Twój syn Juliusz.

Tu następuje w autografie list Eglantyny, który przytaczam w przekładzie z francuskiego.

Genewa, dnia 15. marca 1833. Nie bez wahania ośmielam się skorzystać z udzielonego mi przez p. Juliusza pozwolenia dopisania kilku wierszy do jego listu, obawiam się bowiem, ażebym w oczach Pani nie uchodziła za niedyskretną; czuję jednak potrzebę podziękować Pani za po-

chlebne słowa dotyczące mamy i mnie a zarazem poprosić Panią o łaskawe doręczenie załączonej tu kartki p. Józefowi Grocholskiemu. Pozwoli mi Pani dołączyć jeszcze słów kilka, które słabe zapewne i niedokładne dadzą wyobrażenie o szczęściu, jakiem napełnia nas obecność syna Paninego w naszym domu. Jakże dumną być możesz droga Pani z takiego syna! Tak młody, tak dobry a tak genialny! Może to być dla Pani pociechą w niejednym smutku i wynagrodzeniem za boleść, jaką Ci sprawia rozłączenie z nim. Pan Juliusz mówił nam, że był zawsze delikatnym i często zapadał na zdrowiu. Obecnie może Pani o zdrowie jego być zupełnie spokojną; jest wyborne — bez wątpienia służy mu bardzo klimat szwajcarski. Gdyby zresztą miał być cierpiącym, mama otoczyłaby go opieką i troskliwością najczulszej matki. Nie śmiem dłużej rozwodzić się, bo czuję, że wiele jeszcze dobrego pragnęłabym o nim powiedzieć, ale obawiam się jego protestu, chcę więc uszanować jego skromność. Proszę w powyższych słowach widzieć tylko moje pragnienie pomówienia z Panią o Jej synie i okazania mej wdzięczności za tak dobrą o nas opinię. Załączając pozdrowienie od mamy, kreślę z zapewnieniem głębokiego szacunku — Eglantyna Patteg.

Nie zostawiła mi panna Eglantyna papieru — dopisuje Juliusz, — więc kończę na tem, prosząc ciebie, matko, abyś w moim liście napisała kilka słów po francusku do niej, bo prawdziwie, że ich postępowanie ze mną jest nader delikatne i niepospolite. Adieu, adieu! babuni, dziaduniowi rączki całuję. Teofilów ściskam.

Kiedy poeta, strapiony przydłuższem milczeniem matki, oczekiwał z niecierpliwością wiadomości od niej, ona go pocieszała. „Kochana Eglantyna — pisze z Genewy 24. kwietnia 1833. — cieszyła mię jak mogła, często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając poczmistrza — często, widząc go mijającego dom, biegła za nim lękając się, aby nie zapomniał wstąpić. Nie uwierzysz mamo, jaki to jest mój stróż anioł Eglantyna, ale teraz nie ma jej tutaj, wyjechała do starej i chorej ciotki w Lionie a dopiero za dni czternaście wróci. Jestem sam z jej matką, która mię kocha i nudzi mię często chcąc bawić rozmową i rozweselić.

Panna Eglantyna przypisała się do ciebie, mamo, w poprzedzającym liście; odpisz jej kilka słów po francusku w liście do mnie pisanym. Różne tu odbieram wiadomości o zdrowiu mojej kuzynki, (Polski) ale te mię nie cieszą. Panna Eglantyna z Lionu, gdzie teraz bawi, pisała do mnie długie listy, bardzo miłe i sentymentalne; odpisuję jej w podobnym guście, i tak skracamy sobie czas oddalenia. Raz waryatka mówiła, że gdybym ja umarł, to by ona moje serce w urnie srebrnej piechotą do kraju poniosła; ale ja wolę nie umierać, niż takim sposobem wojażować.

Panna Eglantyna wróciła z Lionu; pierwszego dnia po powrocie, przy śniadaniu oddała mi przyniesiony stamtąd prezent, obwinięty starannie w cienki papier: rozwijam go, i znajduję nóż, czyli raczej scyzoryk, za dwa grosze kupiony; nic jeszcze bardziej barbarzyńskiego nie widziałem, chowam go i kiedyś w kraju będę pokazywał.

Ale przy tym nożyku dostałem także śliczną kieskę na pieniądze, z największym wytworem haftowaną przez damy liońskie. Genewa 24. kwietnia 1833.

W następującym liście zostawia Eglantynie miejsce bo „chce się przypisać". List ten w przekładzie przytaczam w całości:

Genewa 15. lipca 1833. Szanowna Pani! Pan Juliusz był tak uprzejmy ustąpić mi miejsca w swoim liście: korzystam z tego skwapliwie, ażeby podziękować Pani za miłą pamięć i za wszystkie pochlebne rzeczy, które Pani o mamie i o mnie napisała. Byłam tak wzruszoną, że zazdrościłam synowi Pani posiadania tego listu; pragnęłabym go zachować jako drogą dla siebie pamiątkę. Nie piszę bliższych szczegółów o p. Juliuszu, bo on sam zapewne uwiadomił już Panią o swych myślach i czynach. Życie, które tu wiedzie, jest tak jednostajne, że nie zdarza się nic takiego, coby mogło Panią zająć, prócz zdrowia i spokoju duszy drogiej Pani istoty. Mamy nadzieję, że zdrowie Pani polepszyło się i że zaufasz naszej czułości i troskliwości o jej syna, któremi pozwala nam się otaczać. Mama przesyła Pani swe pozdrowienie i wraz ze mną zapewnia o naszej dla niej miłości. Proszę również zawierzyć, jak bardzo odczuwamy boleść Pani z powodu rozłączenia jej z synem.

Eglantyna Pattey.



Genewa, dnia 23 sierpnia 1833. Najukochańsza matko moja! Oto dzień moich urodzin. O matko, zaczynam rok 25, jak ten czas płynie! Obudziłem się o godzinie 7 i spostrzegłem rękę, która naprzód odchyliwszy firanki, rzuciła na moje łóżko bukiet kwiatów; zapewne bukiet ten będzie od Eglantyny. Przebudzony tak mile, nie mogłem i nie chciałem spać dłużej. Bukiet dany mi na wiązanie stoi przede mną: w głębi jednej róży śpi spokojnie zielony żuk, zdaje mi się, że on ma teraz los podobny do mnie, który *spoczywam cicho w głębi szwajcarskiego ogrodu*.

Nazajutrz zapisuje: Otóż wczorajszy dzień, dzień moich urodzin, przeszedł bardzo mile dla mnie i smutno; zszedłem na śniadanie i zastałem pannę Eglantynę samą, która mnie zniewoliła, abym przyjął od niej złotą obrączkę; obrączka ta otwiera się, i we środku napis: 23 Août 1833. To dziwnie, że tak pamiętała o dniu moich urodzin, o którym kiedyś w zimie jeszcze mówiłem, a tego miesiąca zapytywany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę z pierścionkiem, niegdyś od babuni darowanym, na jednym palcu noszę. Po śniadaniu przyszedł mi powinszować jeden z Polaków i pani Patteg zaprosiła go na obiad; na obiedzie całe towarzystwo piło zdrowie moje szampanem. Pani Seidwitz nachyliwszy się do ucha, szepnęła mi: „*a la santé de Mme votre mère*". Widzisz więc, matko, że ciebie nawet nieznajome tutaj osoby wspominały w ten dzień, a cóż dopiero twój syn! Wieczorem przyszło z wizytą kilka panien i trochę tańcowaliśmy do godziny 11 w nocy. Oto masz, matko, opisanie dnia tego. Ci, którzy mię otaczają, starali mi się osłodzić moje położenie i prawdziwie, że nie byli dla mnie tak jak obcy.

Przypatrując się majówce, w ogrodzie państwa Patteg, rozczula się poeta wspomnieniem dzieciństwa: Prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia. Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12-letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas; wziąłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojej ojczyzny, zapytałem czy ją zna. Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy i dałem mu ładny medal mój, prosząc, ażeby sobie kiedyś, będąc starszym, przypomniał tę chwilę. Wiesz, że podczas tej sceny wielu przytomnych łzy miało w oczach;

mały chłopczyk ściskał mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Eglantyna mi potem mówiła, że chciała była mię w tej chwili uściskać. Droga mamo, są czasem chwile, w których myślę, że ty byś była ze mnie kontentą, i myśl ta będzie mi zawsze przytomną w życiu, bo pewny jestem, że mię do dobrego prowadzi. Matko moja! Życie moje jest teraz spokojne i bezpieczne, jeżeli się kiedy troszczę, to tylko o was; w gospodarzach moich mam przyjaciół, mówią mi to samo sami stokrotnie i ukazują szczerą przychylność. Genewa 24. sierpnia 1833.

Nie uwierzysz, mamo, jaką mi przychylność okazują pani Patteg i córka jej! dogadzają mi we wszystkiem i starają się ciebie zastąpić. Wszyscy moi znajomi zazdroszczą mi mojego położenia z tego względu, i gdybym był pewnym, że mię w życiu nic mniej dobrego nie spotka, byłbym szczęśliwym, o ile to w mojem oddaleniu być może. Genewa 22. września 1833.

U nas tu jesień zaczyna się, ale piękna — lubię pasyami jesień, lepiej niż wszystkie pory roku, mówi poeta na innem miejscu — często z panną Eglantyną siadamy na ziemi w ogrodzie i, słuchając szmeru spadających liści, marzymy o wielu rzeczach. Mamo! twoje imię często jest wtenczas na naszych ustach: ona chciałaby ciebie znać zupełnie, i dopytuje się o wszystkie szczegóły ciebie dotyczące, a mnie miło o tobie, matko, rozprawiać. Czy przyjdzie ten czas, że z tobą o osobach zagranicą spotkanych rozprawiać będę? To niepodobna, aby moje życie, tak młode, miało już być bez przyszłości. Genewa d. 22. września 1833.

Donosząc matce o odlocie towarzyszów na zimę, niby jaskółek na południe, opisuje ostatniego z gości letnich: młodego Anglika, który jest doskonale nudny, machinę, grającą cały dzień na gitarze pierwszą lekcyę ze szkółki. W takiem towarzystwie, dodawszy do tego Anglika i moje gospodynie, możebym się nudził szalenie, gdyby nie kraina marzeń i urojeń, która silniej niż kiedykolwiek oddzieliła mię od świata. (Pisał wtedy „Kordjana“).

Byłoż, zapytuje Małecki, to tułacze jego życie przyczyną, że się serdecznie nie był zdolny do nikogo przywiązać? Czy też może przeszkadzał temu ów obraz w pamięci

jego niezatarcie wyryty... obraz pierwszej kochanki, który mimo wszelkiej dumy i na przekorę najsilniejszym postanowieniom, ażeby zapomnieć o nim, ciągle mu się odnawiał przed oczyma?

Dość, że pomimo a może właśnie z powodu macierzyńskiej opieki pani Patteg i żywej ze strony Eglantyny miłości, serce poety było dla niej dość obojętne. I tak np. Podczas wyjazdu Eglantyny starała się pani Patteg, matka Eglantyny, rozweselać rozmową smutnego swego lokatora. Ale jej wysilenia, ażeby go rozerwać, nudziły Juliusza. Natomiast była inna osoba, która lepiej znała tajemnicę, jak mu skrócić chwile przemijające zanadto zwolna. Było jej imię Eliza. Oto, co o niej pisał d. 36. kwietnia:

„Własnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przyznam się tobie mamo, dla widzenia jednej miłej osóbki, która mi wczoraj powiedziała, że będzie na kazaniu. Panny nie opuszczają mię. Dawniej Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach po ogrodzie — dziś, gdy jej nie ma, stokroć ładniejsza od niej panienka odwiedza nas co dwa dni z matką. Dlaczegoż nas odwiedza?... zapewne nie dla widzenia starej pani Patteg... A zresztą, sądź sobie mamo, jak chcesz, ale prawdziwie zdaje mi się, że glina, z której mię Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien... Eliza, tak się nazywa przychodząca do nas często panienka, jest to osóbka mała, bardzo podobna do Kazimiry Niepokojczyckiej — ma czarne oczy, pełne iskier, wiele dowcipu i miłości w mówieniu, wiele prostoty i ma lat około 24. (właśnie tyle, co nasz poeta. Eglantyna miała już wtedy około 30).

Często, chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margerytki. Raz, gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jej dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niej: więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów; wróciwszy do domu ułożyłem je, naśladując twój gust, mamo, w układaniu bukietów; a potem w ogrodzie zerwałem dwie margerytki małe i wśród ogromnego bukietu włożyłem. Bukiet ten posłałem Elizie, ale od pani Patteg. Nie zawiodłem się: przypomnienie było skuteczne; przyszła z mamą wieczorem i mówiła mi, że złą

była na margerytki naszego ogrodu, które jej nieprzychylny dały wyrok. Widzisz mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. Ja zawsze mnóstwo mam po niej słów cichych, łagodnych i smutnych, z których tak widna miłość, że jej nie chcę zapytać, czy mię kocha? Bo mówiła mi, że była smutna przez cztery dni, a ja nie pytałem dlaczego. Gdy chciałem wiedzieć, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: „Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10 i czytałam“. — Jaką książkę? zapytałem. — „Nowy testament. Kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę“ i mówiła dalej: „Dziś rano, obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli i przeczuwałam, że dzień ten będzie szczęśliwy“. W tym dniu odebrała bukiet i chodziliśmy wieczorem po ogrodzie: kochana mamo, zdaje mi się, że powiesz na nią dobra dziewczynka! — Porównaj wiersz „Stokrótki“ w Pismach pośmiertnych Juliusza. Lwów 1885. I., 27—8.

W kilka miesięcy później kiedy już wszystko w różne strony porozjeżdżało się z owego ustronnego zacisza na przedmieściu Genewy, znalazło się w jego doniesieniach jednak wspomnienie zupełnie innym tonem wypowiedziane o jednej z osób należących do narodu, który tak niekorzystnie wtedy osądzał.

„Pusty dom nasz — a dla mnie pustynią się zdaje od czasu wyjazdu młodej Angielki, która tu mieszkała, przez drzwi tylko oddalona odemnie, i z którą po całych dniach szaleliśmy. Prawdziwie, że dziwnie, jak wiele dotąd we mnie dziecinnego, a czasem jak wiele we mnie splinu“... (D. 27. października 1833 r.).

Otrzymawszy żądane książki bez listu od matki, pisze d. 30. listopada 1833: „Od was ani słowa, to niespokojność moją okropnie zwiększyło, domowi moi podzielają ją. Nakoniec, ranka jednego przybiega do mnie ze łzami radości w oczach panna Eglantyna i wyciąga do mnie rękę z listem. Porwałem go... niespokojny... i przeczytałem.

Spokojne teraz wiodę życie. Sam jestem w domu z matką i córką Patteg; kochają mię jak syna i brata, podzielają wszystko ze mną, słowem, że mię Bóg do ich domu przyprowadził. Kiedyś, wróciwszy do mojej krainy, nie-

raz będę tęsknił może za tem cichem bezbarwniejszem życiem; prawdziwe, że złe ulepione serce człowieka przeszłość nie powinna się nam piękniejszą niż była wydawać.

Matko moja! pani i panna Petrow kilka razy widząc, że list piszę, przychodziły pod moje drzwi i wołały, abym nie zapomniał od nich tysiące ukłonów i rzeczy powiedzieć. Panna Eglantyna płakała, dowiedziawszy się o nieszczęściu, które na was spadło; one także, matka wdowa i córka sierota, mają tysiąc zmartwień i nieprzyjemności, one także nieszczęśliwe! Genewa 30. listopada 1853.

Kiedym pisał list w dzień imieninowy [illegible] babuni, zalewałem się łzami i panna Eglantyna po oczach moich czerwonych odgadła, żem płakał. Zdaje się, że mój anioł stróż przelatuje ciągle odemnie do was i wracając znów do mnie, opowiada mi nieszczęścia.

Panna Eglantyna śniła raz o tobie, mamo, i potem opisywała mi twoją postać: były niektóre rysy podobieństwa, ale co mię najbardziej zadziwiło, to jedna okoliczność jej snu: „Weszłam — mówiła — do pokoju twojej mamy, który był nieco ciemny, tak jak zwykle bywają pokoje na *rezde-chaussée*“. Zdziwiło mię to bardzo, że osoba niewiadoma twoich pokoików, odgadła je; kto wie? może we śnie zupełnie rzeczywistość widziała.

Skoro fundusze moje uszczuplą się, rzucę Genewę i pójdę gdzie żyć w wieśniaka szwajcarskiego domu — byle piękną naturą otoczony, nie dbam o zewnętrzne wygody życia. Dziś nawet, mamo moja, gdybyś mi szczerze przyznała, że interesa nasze wymagają tego, dziś nawet uskuteczniłbym ten projekt cichego życia w górach, albowiem nie widzę w tem ani upodlenia, ani śmieszności. Wierz mi mamo, że nie odbierając długo listu od ciebie, kiedy najokropniejsza niespokojność mną miotała, ułożyłem ten projekt i mówiłem o nim pannie Eglantynie, a ona ani się śmiała z niego, ani go potępiała jak szaleństwo... i tylko mię prosiła, abym nie zapomniał, że ona mię uważa za brata a matka jej za syna.

Zwyczaj tu jest na Nowy Rok dawać różne podarunki. Odebrałem jeden prezent tylko, od Eglantyny: dała mi wyszyte przez siebie włóczką pantofle, na czarnem dnie dwie gałązki koralowe. Mężczyźni tutejsi często także ha-

ftują włóczkami; takie jast najulubieńsze zajęcie męża młodszej córki pani Patteg, bankiera tutejszego. Niebawem z powodu uroczystości Nowego Roku składa Eglantyna następujące życzenia Pani Becu:

Genewa, dnia 3. stycznia 1834. Szanowna Pani! Pozwól biednej, zaziębniętej złożyć życzenia Nowego Roku, w który wstępujemy, życzenia, których urzeczywistnienie dowiodłoby Pani, jak bardzo o Niej myślimy, i w jaki sposób Twój drogi Juliusz nauczył nas znać i kochać Panią. Odczuwamy jego cierpienia, które są cierpieniami Pani, i gdyby to od nas zależało, zniosłybyśmy chętnie część ich, aby Was od nich uwolnić.

Kochana Pani, jak wielką byłaby nasza radość, gdybyśmy mogły raz mieć Panią, choćby na krótką chwilę w Szwajcaryi. Nasz łagodniejszy klimat polepszyłby stan zdrowia Pani a radość wynikła z widzenia się z Juliuszem uzdrowiłaby Panią zupełnie. Czy mamy zrezygnować na tak słodką nadzieję?

Oto już rok odkąd mama syna a ja brata napowrót dostałam, chcę tem powiedzieć Pani, że umiemy ocenić i kochać Twego syna. Rok ostatni przeszedł dla niego bez przyjemności, lecz nie bez sławy, bo umiał zużytkować swój geniusz i zdolności swoje. On, młody jeszcze, będzie zażywał sławy, której inni w podeszłym dopiero wieku dostępują.

Widoki te powinny mu wynagrodzić niedostatki, których doznaje, a Pani dać sił do zniesienia z uległością boleść i rozłączenie.

Wyobraź Pani sobie zielony stół, w około którego siedzą gracze, przysłuchaj się ich sprzeczkom o błędy, które sobie przeciwnicy wzajemnie wyrzucają, a będziesz Pani miała pojęcie o zatargach zachodzących między panem Juliuszem a p. Eglantyną, a że oboje chcą mieć słuszność, godzą się dopiero przy herbacie, obiecując nie sprzeczać się więcej, ale nazajutrz brat i siostra zaczynają na nowo.

Za trzy tygodnie będziesz się Pani z naszych kłótni śmiała a my o tym samym czasie będziemy rozmawiać o Pani i tak uosobiając się wzajem w wyobraźni przebędziemy dzielącą nas przestrzeń. Papier mój się kończy,

mogę tylko raz jeszcze zapewnić Panią o czci i przywiązaniu, które od dawna dla Pani żywi

Eglantyna Patteg.

Mama nie chciałaby być zapomnianą i pozdrawia Panią serdecznie.

P. Patteg i p. Eglantyna — pisze Słowacki — ciągle mi dają dowody swojej przyjaźni: jestem z niemi, jak z krewnemi, największa delikatność pokazuje się w ich postępowaniu ze mną. Z tego wszystkiego wnoszę, że Bóg dotąd mną się opiekuje i dzięki mu za to składam, ale nie codziennie, wtenczas tylko, kiedy do łez jestem wzruszony przez nadspodziewane szczęście... Genewa 20. lutego 1834.

Panna Eglantyna i jej matka kazały mi tysiąc i tysiąc czułych rzeczy powiedzieć tobie mamo! Prawdziwie, że szczerze interesują się twojem zdrowiem i powodzeniem. Co do mnie, ledwo nie powiem, że już musisz ty prosić Boga, abym ja zachorował, a to, aby mi dać dowody swojej troskliwości i przywiązania, które w innych okolicznościach nie w wielu miejscach na scenę wystąpić mogą z równym blaskiem: ale ja żartuję, a oni mię kochają. Genewa 24. marca 1834.

Moja gospodyni, którą miałem za dosyć szczęśliwą — pisze na innem miejscu — pani Patteg, ma tysiąc nieprzyjemności, i nawet proces miała tej zimy z właścicielem domu, w którym mieszka; proces ten, przez wielkiego łajdaka wytoczony i bez żadnej słuszności, wygrała pani Patteg, ale zdrowie jej pogorszyło się znacznie skutkiem ciągłych frasunków. Dobra to bardzo kobieta: kilka słów mamy przyjęła z niejakiemś oburzeniem, ale tylko z tej przyczyny, że smutno jej było, żeś ją mama z moich listów lepiej nie poznała i żeś sądziła potrzebnem prosić ją o przychylność dla mnie. Zawsze jednak twój list był jej miłym. Możesz, mamo kochana, odtąd nie do mnie, ale do niej pisywać, to jest początek zapisania do niej odsyłać; będzie mi to bardzo miło, bo imię moje trudne do wyczytania i niepewne. Po wygranym procesie ogród będzie należał do pani Patteg; robimy więc już projekta z panną Eglantyną, aby się zająć sadzeniem i zbieraniem kwiatów: będę chował nasiona, to może kiedyś w naszej ziemi zasieję.

Chcieliśmy tu bardzo o Wielkiejnocy zrobić babę potężna, ale napróżno tłómaczyłem im sposób pieczenia bab naszych. Przepis twój na baby — pisze potem — odebrałem i już przetłómaczony na francuski język. Pani Patteg ma go wkrótce spróbować, ale wątpię, aby się jej udał, bo pamiętam, jakich trosk doznawaliśmy, piekąc baby wielkanocne, z jakiem drżeniem odmykaliśmy piec, w którym się rumieniły. Genewa 6. czerwca 1834.

Droga mamo, muszę w tym liście zostawić miejsce pannie Eglantynie, bo chce koniecznie odpisać tobie na twoje słów kilka. Kocha cię ona bardzo i nieraz mówi, że do ciebie pojedzie i będzie ci się starała syna zastąpić a przynajmniej ulżyć ci mówiąc o twoim synie. Genewa 17. kwietnia 1834..

W autografach listów Juliusza do matki, będących obecnie w posiadaniu L. Méyeta, zachował się list Eglantyny Patteg z tego czasu, który tu w przekładzie z francuskiego podaję.

Genewa 17. kwietnia 1834. Droga i dobra Pani! Byłyśmy prawie zagniewane na Juliusza, po otrzymaniu listu od Pani. Sądziłyśmy, że nie miałabyś Pani powodu niepokoić się, gdyby był uprzedził Panią o tem, jak go kochamy i jak bardzo na nas liczyć może. Przecież wie o tem najlepiej. To też mama i ja żywimy nadzieję, że na przyszłość cokolwiek by zajść mogło, droga Pani będzie przekonaną, że syn Pani nie jest ani opuszczonym, ani zupełnie nieszczęśliwym, że należy do naszej rodziny i pozwala nam obchodzić się z nim jako do niej należącym. Jedna tylko rzecz nie jest w naszej mocy, tj. udzielanie mu tak częstych o Pani wiadomości, jakby tego pragnął. Nie trzeba dziś już wracać do minionych obaw; syn Pani ma się dobrze i jest spokojnym, oby tylko spokój ten długo zachował; dość już jest pożałowania godnym, że musi bawić zdala od rodzinnego kraju, bodajby był przynajmniej spokojnym o los drogich istot, które tam pozostawił.

Pragnęłabym przedstawić Pani wioskę, którą zamieszkujemy, z ogrodem do niej należącym, ażebyś Pani mogła w myśli przechadzać się po nim z nami. Liczne jodły, otaczające ogród, przypominają Juliuszowi jego drogą oj-

czyznę. Często o niej rozmawiamy, a on układa plany lepszej przyszłości; droga Pani jesteś dobrym duchem ożywiającym wszystkie jego nadzieje i przekonania, bo kocha Panią serdecznie.

Matka moja błaga Panią przez mnie, ażebyś była spokojną o los swego syna; będzie nad nim czuwała, jak nad własnemi dziećmi, a chociaż nie jesteśmy w położeniu być mu przyjaciołmi możnymi, to jednak uczynimy dla niego wszystko, co będzie w naszej mocy. Nie wiadomo mi, czy Pani widuje czasami p. Józefa (Grodkowskiego). Jeżeli zdarza się w pobliżu Pani, to proszę oświadczyć mu nasze ukłony; mam wielką ochotę posądzić go o lenistwo lub zapomnienie o nas. Znając jednak trudności połączone z przesyłaniem listów do nas — usprawiedliwiam go, prosząc równocześnie, aby o nas nie zapomniał. Racz Pani przyjąć wraz z pozdrowieniem od mamy zapewnienie mojego wysokiego szacunku i przywiązania.

Eglantyna Pattey.

Jestem teraz samotniejszy niż kiedykolwiek. Panna Eglantyna wyjechała przed 5 dniami do Paryża, gdzie na nią jej wuj czeka i dziwy paryskie chce jej pokazać. Odjazd jej bardzo mi smutny, bo ona szczerze do mnie przywiązana, jak siostra i bardziej może niż siostra. Nie uwierzysz, mamo, jak smutny mi był ranek jej wyjazdu. Miała odjechać o godzinie 4 z rana; przyrzekłem więc, że ją o 3 obudzę; jakoż nie położyłem się spać i czytałem, leżąc na kanapie do godziny 3. Srebrne jakieś światło porankowe oblało drzewa i murawy ogrodu; przeszedłem przez pokoje i stukaniem do jej drzwi obudziłem ją. Ty wiesz, mamo, jaką posępność ma w sobie chwila odjazdu. Ubrała się, wyszliśmy z domu przez rozwidniający się ogród; wschód słońca blaskiem złocił się, ptaszki śpiewały i zimno poranku przejmowało jakiemś dziwnem, elektrycznem drżeniem. O! chciałbym was postawić na wzgórku, na którym staliśmy, czekając powozu.

Z tego wzgórka widać było całe błękitne jezioro, za niem śnieżne góry, nad któremi wstawał ze snu biały Mont-Blanc. Eglantyna płakała jak dziecię; ja byłem takim, jakim mię często, mamo, widziałaś, z ponurą walką

myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia, każda chwila smutna teraz jest jakoby zwierciadłem, w którem całe moje smutne życie widzę w zmięszanych kolorach. Zaszedł wreszcie powóz, wsiadła do niego a ja zostałem sam jeden, jak słup na zielonej murawie, patrząc na ozłocone niebo. W kilka chwil potem weszło słońce: naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi i wahały się, przelewały, aż cały krąg słońca wyszedł na niebo. O godzinie 5 wróciłem do siebie, pozamykałem okienice i dziwnie posępnego wrażenia doznałem, widząc na kanapie rozrzucone książki, które chwilą przedtem czytałem i które porzuciłem w nieładzie, idąc zbudzić pannę Eglantynę. Zdaje mi się, mamo kochana, że ty pojmiesz, co było smutnego w tym powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin.

Po wyjeździe Eglantyny smutno mi było bardzo. Ona miała nademną jakąś panującą władzę siostry. Kiedy mię list jaki zasmucił, jaka wiadomość zła zgryzła, ona umiała z twarzy mojej wyczytać smutek i zawsze jej się musiałem wyspowiadać, a po spowiedzi lżej mi było.

Teraz po ostatnim twoim liście, mamo droga, już od trzech dni jestem ponury: ten list gryzie mi serce i nikt się ze mną nie smuci, nikt mię o nic nie zapyta. (Genewa d. 6. czerwca 1834.)

Panna Eglantyna po 5-tygodniowym pobycie w Paryżu wróciła nakoniec do nas; podczas swego wojażu pisywała mi czasem długie i miłe listy, które mi trochę jednostajność życia urozmaicały. Przynajmniej w godzinę nadejścia poczty oczekiwałem czegoś, gniewałem się, kiedy pocztylion z pustemi rękoma przeszedł koło domu i znów nadzieję obracałem na jutro. Nie myśl, mamo kochana, aby te listy przynosiły mi nadzwyczajne szczęście: oczekiwałem każdego jak małej jakiej nowości. *Karmię się teraz ułamkami uczuć i szczęścia.* (Ostatnie wspomnienie. Do Laury. „Okruszynami serca miłości karmiłem blade widziadła“.) Dziś właśnie tydzień, — pisał to dnia 13. lipca 1834 — jak panna Eglantyna powróciła do domu; wyjeżdżałem na jej spotkanie o pół mili stąd (z Genewy) do wioski, w której mam znajome damy, żonę i ładną córkę doktora Morin.

Wkrótce potem nadjechała panna Eglantyna i galopem odwiozłem ją do domu matce. Paryż podobał się jej bardzo, i nie dziw, bo tyle zadziwiających i pięknych rzeczy jest w Paryżu. Nie chciałbym jednak wrócić do tej stolicy, chyba gdybym miał 20.000 fr. na rok dochodu. Wolę moją cichą Genewę z błękitnem jeziorem, gdzie moje mieszkanie w ogrodzie.

Panna Eglantyna przywiozła mi z Paryża ładny kryształowy kielich: moda tu jest bowiem, aby każdy miał przy stole swoją ulubioną i różniącą się od innych szklankę; ja wolę jednak napełniony kwiatami, trzymać w moim pokoju, bo lubię kwiaty jak ty, mamo. Panna Eglantyna chciałaby ciebie pozdrowić, ale chora po powrocie z Paryża, od kilku dni leży w łóżku; prosiła mię, abym ci od niej, mamo, tysiąc, tysiąc rzeczy przyjemnych napisał. Genewa 13. lipca 1834.

Wojaż (alpejski) zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę, bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie, gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością: jej matka także mię po macierzyńsku uściskała, więc prawdziwie jest za co dziękować Bogu, że na mojej drodze nie rzucił mi wszystkich serc z kamienia.

O matko moja! Dziś dzień moich urodzin: gospodynie moje pamiętają o nim, a ty, matko, ty także musisz pamiętać, żeś ty kiedyś cierpiała tak mocno w ten dzień, dając życie twemu biednemu dziecku. Biedna matko moja! dziękuję ci dziś łzami, żeś przez lat 25 czuwała nademną, jak anioł stróż, Bóg ci jeszcze za to nie zapłacił niczem. Ale, matko moja, po 25 latach, dzisiaj mógłbym ci zrobić spowiedź ogólną życia mojego i nie skalałem się żadną ciężką zmazą. Mogłabyś się może, mamo, uśmiechnąć i pocałować mię w czoło. Błogosław mi, mamo droga. Panna Eglantyna zajrzała do drzwi moich, i widząc, że do ciebie piszę, prosiła, abym od niej zasłał ci czułe pozdrowienie. Ona się o tobie mamo, zawsze z najczulszą troskliwością dowiaduje. Ona ciebie kocha, mamo, i przyjmij tę miłość,

wszakże mię tyle osób kochało niegdyś dlatego, że ciebie kochały. 21. sierpnia 1834.

Muszę ci, mamo, uczynić wyznanie mojej kieszeni ustami: i tak, bardzo sobie wyrzucam podróż po górach, bardziej jeszcze mój pobyt w Genewie, bo prawdziwie, że tu dosyć nudno a niezmiernie drogo, prawie tak jak w Anglii. W Genewie nie mogłem porzucić domu, w którym mię za syna uważają i dogadzają we wszystkiem; uważaliby to za niewdzięczność, a ja i cienia jej nie mogę przyjąć na siebie; Pozostawszy w Genewie, po zapłaceniu moim gospodyniom 200 fr. długu, znów mogę u nich mieszkać przez rok nawet! ale cóż z tego stanu nieszczęśliwego, w którym będę miał zawsze coś do płacenia! Nie myślcie, żeby mi pozostanie w Genewie nie smakowało: nigdzie może tak mi dobrze nie będzie jak tutaj, mam wszystko, jestem spokojny, prawie szczęśliwy; ale cóż gdy na takie życie potrzeba najmniej 2400 fr. na rok, a ja tego nawet wymagać nie mogę i czuję, że połową powinienem się obchodzić, zwłaszcza, gdy w innym kraju uczynić to bez wielkiego uszczerbku w przyjemnościach można. 7. listopada 1834.

Panna Eglantyna widząc, że do mamy piszę, przerwała mi ciąg listu i myśląc, że się chwalę mamie z mojej dobroci, napisała na boku zaprzeczenie, a to stąd pochodzi, że we mnie dotychczas jest wiele dzieciństw: często zamyślony wobec tych pań ubolewam nad sobą jak dziecko, mówiąc głośno: *pauvre Lulli*, często chwalę sam siebie, mówiąc: *bon Lulli*. Sam sobie nadałem takie spieszczenie mojego imienia, i damy już przywykły i często mię Lulli nazywają, ale zaprawdę nikt mniej do dziecka podobny niż ja, i dlatego sprzeczność nazwiska z moją zachmurzoną postacią przez zbytek przesady, jak powiada Kochanowski, uchodzi. Panna Eglantyna myślała, że mój cały list do mamy napełniony będzie wykrzyknikami: bon albo pauvre Lulli i dlatego pierwszemu zaprzeczyła, drugiemuby zaprzeczyć nie mogła, bo też ja prawdziwie biedny jestem! ani teraźniejszości dobrej, ani złotej nadziei! Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami mojemi podobny jestem do psa, co się sam za

ogon chce złapać i kręci się długo na jednem miejscu, nakońcu znużony wyciąga się i zasypia przed kominem.

Przed trzema dniami upadł śnieg; cieszyłem się jak dziecko widokiem białej ziemi i oprószonych jodeł przed mojemi oknami, i razem doznawałem jakiegoś smutnego uczucia. Różne wspomnienia (Por. „Ostatnie wspomnienie". Do Laury.) cisnęły mi się do głowy, a mianowicie wspomnienie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy byłem w uniwersytecie: patrząc na śnieg, zdawało mi się, że zajeżdżam z dzwonkiem przed ganek Jaszuński, potem wyszedłem do ogroda i robiłem śnieżki i rzucałem je na wiatr północny, jak na imaginacyjną osobę przeszłości: chciałem ją śnieżkami zasypać. Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos.

Adama nowy poemat obudził także we mnie wiele dźwięków przeszłości. Pisał to o Mickiewiczu po przeczytaniu „Pana Tadeusza". Co wieczora mnóstwo naszych ziomków schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on, ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z moimi samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną jak Bóg chce w tej smutnej wędrówce życia.

Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie. — 15. grudnia 1834.

Robię teraz różne projekta na wiosnę, chciałbym bowiem wyrwać się z tego nudnego miasteczka, gdzie pleśnieję jak ostryga nad jeziorem: może więc schronię się na lato do jakiej pobliskiej wsi, może pojadę do Clarens, gdzie kiedyś była Heloiza: tam będą mi dosyłać książki, będę chodził po trawach, kąpał się i marzył. Genewa 7. marca 1835.

Pani Patteg i córka jej przypominają mi po raz dziesiąty, abym nie zapomniał kłaniać się od nich; nie uwierzysz, mamo, jak się te damy interesują twojem zdrowiem i powodzeniem. (8. marca 1835.)

W tym czasie zaczął wikłać się serdeczny węzeł łączący Juliusza z Eglantyną. — Powodem tego była nowa znajomość, która niebawem zmieniła się w uczucie głębsze.

Stosunek ten, do Maryi Wodzińskiej, omawiany w objaśnieniach do poematu „W Szwajcaryi“ dał powód do nagłego wyjazdu Juliusza z pensyonu w Paquis. Oto jak pisze o tem matce:

Veytoux, d. 2. września 1835. Najukochańsza matko! Od dwóch miesięcy już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem, nad jeziorem Leman, w najpiękniejszem miejscu. Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mię w dzikie strony, ludzie różnie o tem sądzą: jedni mówią, żem się był szalenie zakochał w pannie Wodzińskiej i uciekłem. Nie ma w tem za grosz prawdy, ponieważ z tobą, najdroższa matko, mówię otwarcie; otóż wyznam ci, że uciekłem, a to dlatego, że biedna córka domu, Eglantyna, widząc mię dosyć zajętego panienką młodszą od niej i widząc tę panienkę dosyć mi przyjazną, poczęła schnąć i niebezpiecznie zachorowała, a matka domyślała się o co rzecz idzie; więc musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać, chociaż żal mi było domu, gdzie przez dwa i pół roku mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dnie było wesoło bardzo. Otóż przeniosłem się do wioski Oeglone, nająłem śliczny pokoik, błękitny, z okna widać winnicę, za winnicą jeziora, jak pół nieba wywróconego na ziemię, za jeziorem góry Meilleries, sławne w „Heloizie“ Russa, słowem trudny do opisania widok; ludzie, którzy Neapol i Helespont widzieli, mówią, że ten im wyrówna. W dzień pokój mój, jezioro, niebo, góry, wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przeźroczyste; jaskółki przylatują do pokoju i tłuką się czasem piersią o zwierciadło. Pokój mój prześlicznie umeblowany; chodzę na obiad do pobliskiej wioski Montreux, ale jestem bardzo samotny. Na dole w domu mieszka minister protestancki, dobry, do rzeczy człowiek, świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci; z nim czasem gawędzę, ale smutny jestem.

Pani Wodzińska z familią wyjechała do Drezna; odprowadzało ją wiele osób. Panna Eglantyna umyślnie ją odprowadzała, aby potem mię odwiedzić i była u mnie i płakała i tysiąc próśb, abym wrócił i matka jej ciągle mię zaklinała, ale tak mi zrudniało to, com porzucił, że wolę samotność nad jeziorem. Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi, co mię karmili i kochali przez dwa lata i dlatego jutro wyjeżdżam, a przyjazd do nich bardzo łatwy

i krótki: o godzinie 7. siadam rano na statek parowy a o 4. po obiedzie będę w dawnem mojem mieszkaniu. Ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleiło. Nudzi mię dom, gdzie mieszkałem i zasmuca mię ta myśl, że ten dom ma mi być obcym; znów szukać nowych ludzi, oswajać się z nowemi twarzami a tam byłem jak synem; płakałem, wyjeżdżając, płakany. Czy wrócę do Pani Patteg, czy gdzieindziej zimę przepędzę, jeszcze nie wiem; listy mię zawsze dojdą pod dawnym adresem. O, moja droga! kiedy patrzę na ten ładny domek, w którym mieszkam, jakby mi się chciało ciebie tutaj sprowadzić i oddać ci mój pokoik błękitny, który zjadłabyś, taki ładny, jasny i tylko dla samotnego smutny; jaskółki biorą go za kawał nieba. Veytoux, 2. września 1835.

Piszę ten bilecik dzisiaj, bo jutro w mieście otoczony osobami, co mię dosyć lubią, nie będę może miał spokojnej godziny na pogawędzenie z tobą droga moja; milsza to stokroć gawęda, niż z moim ministrem protestanckim, który mi dowodzi, że tańcować jest grzechem i wszelkimi sposobami stara się ten grzech z pomiędzy śmiejących się ludzi wygnać; tak to ludzie sami znajdują sposoby dręczenia siebie, gdzie Bóg każe się cieszyć.

Gospodarzami moimi są wieśniacy, którzy dom ładny wybudowali i drą jak mogą cudzoziemców, którzy tu dla kuracyi winogronowej i dziwnie ciepłego klimatu zjeżdżają się na zimę. Tego roku wiele familij chciało się tu usadowić, ale nie znaleźli dość wielkich domów. Jakbym ja chciał, abyś mi, mamo, poradziła, czy mam wrócić do pani Patteg? czy ich usilnym naleganiom odmówić? Listy ich rozdzierają mi serce: jutro będę musiał obecnych nalegań słuchać i opierać się im, a czuję, że samotność tak zupełna, jaką czuję, złą jest dla człowieka. Nadto myślę i nadto zachmurzam się, a potem, tam mnie kochano i zdaje się, że bardzo i szczerze. Nie wiem sam, czy wrócę, czy nie. Widzenie się z Teofilami położyłoby koniec wymówkom; myślą, że się gniewam, że mi ich dom nie miły. Dobrze mi u nich było, spokojne wiodłem życie, jak we własnej rodzinie.

Od dwóch dni jestem w Genewie, gdzie mię przyjęto jak syna. Kręcę się i robię wszelkie starania do uzyskania

paszportu do Teofilów i mam nadzieję, że go mieć będę za kilka tygodni. O, jakieby to było szczęście! Jutro wracam do Veytoux, do mojego wiejskiego mieszkania i będę czekał rezultatów moich zachodów. Veytoux 2. września 1835.

Niebawem jednak pisze znowu z pensyonu. Genewa nudzi mię już z bardzo wielu przyczyn: nie wszedłem w towarzystwo i chociaż bardzo by to łatwem było dla mnie, lenistwo jakieś ciągle mię wstrzymuje, a najbardziej do tego lenistwa przyczynia się mieszkanie za miastem: trzebaby bowiem w zimne noce długą drogą powracać do domu. Przenieść się na mieszkanie do miasta niepodobna, bo i więcej bym tracił, i domu, w którym mieszkam, porzucić nie mogę po tylu dowodach przyjaźni ze strony państwa Patteg. Wyjazd do Włoch przyniósłby mię w nowe strony i może potem wybrałbym inne, przyjemniejsze i tańsze miasto na mieszkanie; modlę się więc o paszport.

Genewa, d. 20. października 1835. Najdroższa mamo. Po trzech miesiącach pustelniczego życia nad jeziorem, wróciłem do mego dawnego pomieszkania i z przyjemnością osiadłem w moim dawnym pokoju, przed kominkiem, bo takie mamy zimna, że już się drwa palą w kominie. Pisałem ci już droga moja, jak żyłem samotny w górach, jak odbierałem wizyty tylko jaskółek wlatujących przez okno, albo rozmawiałem o przyszłości drugiego życia z ministrem protestanckim. Mgły i deszcze wypędziły mię z zaciszy, która przy złych niepogodach stawała się nadto ponurą i do mizantropii zaczęła nakłaniać moje władze umysłowe. Patrząc na jezioro (Leman), *napisałem kilka lirycznych kawałków, które malują stan mojego umysłu przez te kilka miesięcy* i dla tego może kiedyś podobają ci się, moja droga! Postąpiłem także w moim nowym poemacie (Horsztyńskim?) i chciałbym bardzo tej zimy coś wydać; zależeć to będzie od okoliczności i od projektowanego ciągle wyjazdu do Włoch.

Miło mi było sąd twój szczegółowy o moich dzieciach znać; zgadzam się zupełnie na wszystko i wyznam ci, moja droga, że list ten zapalił mię, abym podwoił usiłowania, iżbym ciebie, kochana matko, czem lepszem udarował, bo przyznam ci, że znienawidziłem moje pierwsze utwory: czuję potrzebę większej doskonałości, *rozwinęło się we mnie*



jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcej łez było w słowach. Mam lat 25, trzeba, abym już był tem, czem być mam i dlatego może nienawidzę moje pierwsze dziełka. Lubię jednak wszakże więcej nad inne „Godzinę myśli": coś w niej jest, co mię samego kołysze przeszłości dźwiękiem, jakąś cichą dawną piosenką. Trzy miesiące, przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrody, były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność.

Mamy co poniedziałku mały wieczorek. Pani Patteg zaprasza damy, mój ziomek (Kajocki) chłopców i tańcujemy. Wojażer nasz, choć tyle lat (bo od sześciu lat) za granicą, nie zapomniał polskich zwyczajów i zawsze zimną zastawia kolacyę i podług twego przepisu, moja droga, kazaliśmy piec baby, które się dosyć dobrze udały. Ostatniego poniedziałku nietylko mazura, ale tańcowaliśmy nigdy niewidzianego poloneza. Wieczorki te nasze bez żadnej etykiety bardzo wesołe.

Najdroższa moja! oddano mi w tej chwili twój list okropny dla mnie! Gdybym mógł się w ziemię żywy zakopać i jeść ziemię, tobym zrobił to tej chwili. Najukochańsza! powiedz, co mam robić, abym nie był ciężarem na tej ziemi: Wyrzucam sobie tylko stół mój domowy, który dla mnie zanadto drogi i przyrzekam ci, najdroższa, że przed Nowym Rokiem wyjadę albo do Brukseli, albo do południowej Francyi, albo do jakiej innej mieściny kraiku, w którym teraz mieszkam i będę żyć jak można najoszczędniej. Genewa, 29. listopada 1835.

Bądźmy szczerzy nawzajem: ja wyznaję ci, że abym się mógł zamenażować, muszę odmienić miejsce pobytu, bo to jest nadto gorżko i prawie niepodobnem z domu, w którym mieszkam, wyprowadzić się do jakiej małej stancyi: nareszcie gospodynie moje nie pozwoliłyby na to, ofiarowałyby mi zmniejszenie ceny, która i tak mniejsza jest o wiele dla mnie niż dla innych; już mi nawet o tem przebąknęły, ale ja, widząc, że ich interesa także źle idą, nie

mogę się zgodzić, abym zostawszy u nich, mniej płacił niż utrzymanie moje kosztuje. Genewa, 29. listopada 1835.

Nazajutrz pisze matce: Wczoraj wieczorem gadałem do 1. godziny w nocy z panną Eglantyną otwarcie o mojem przedsięwzięciu wyjechania do Brukseli; płakała, płakała i płakała. Widzisz, droga, że ja mam teraz dosyć rozsądku i nie wstydzę się powiedzieć ludziom, że muszę się oszczędzać i szukać tańszego miejsca pobytu. Co powiedziałem, nastąpiło: chciała koniecznie, abym za połowę ceny teraz płaconej żył w ich domu; odpowiedziałem stale i z uporem, że się na to nie zgodzę, że nie jestem przyprowadzony do tego, abym nadużywał przyjaźni biednej wdowy, która pracuje na kawałek chleba i z takim go zarabia kłopotem. Nieprawdaż, moja najdroższa, że ty sama nie chcesz po mnie takiego egoizmu? Wyjechałbym zaraz, gdyby nie to widzenie z Teofilami.

Po wyjeździe do Rzymu, gdzie się zjechał z wujostwem, wspominał często ciche ustronie szwajcarskie, obok Maryi i — Eglantynę.

Wożę z sobą — pisze do matki — ogromny pakiet twoich listów, od najdawniejszych czasów, bo nie mogę się odważyć, abym najmniej z nich ważne i miłe zniszczył; osobno leżą w mojej komodzie, patrząc na listy siostry mojej Eglantyny, które także miłe mi są, bo sercem pisane. Rzym, 21. maja 1836.

Nie zapomniał o nich w podróży na Wschód, jak tego dowodzą następujące wzmianki: Jeden tylko list z Genewy odebrałem w Kairze, zresztą nie wiem wcale, co się dzieje ze znajomemi i z miłemi osobami. Bayrut, 19. listopada 1836.

Przyznam ci się, droga, że miło by mi było, zamiast do Florencyi, prosto do Genewy wędrować: spotkałbym tam znajome twarze, znalazłbym jak się spodziewam dawn przychylność, mój pokoik, do którego przywykłem, ogród, gdzie tak długo się przechadzałem; ale teraz nie wiemą kiedy zobaczę to wszystko, bo ciągle tak wędrować nie można i przenosić się z miejsca na miejsce kosztuje. Na morzu 14. czerwca 1837.

Wyszedłszy z kwarantany (w Liworno 11. lipca 1837.) otrzymał wiadomość od Eglantyny, z której dowiedział się, że

list pisany do niej w podróży morskiej zaginął. Pamiętaj ty, moja droga — pisze w tym samym czasie do matki stroskany — że kiedy ja teraz płaczę, to mię nikt nie pociesza, nie tak jak było w moim domku w Paquis, gdzie mię tulono, rozżalonego jak dziecko. Pisze mi Eglantyna, że mię dzieci nawet czule tam wspominają i pragną mojego powrotu.

Eglantyna, do której tyle razy co do ciebie pisałem, wszystkie moje listy odebrała; lepiej nie spuszczać się na panów Zenonów. Livorno, 11. lipca 1837.

Teraz pismo twoje jest prawie jedyną korespondencyą, po którą chodzę na pocztę: bowiem odbierając częste listy z Paquis, w których mię jak niewolnika naglono, abym koniecznie porzucił Florencyę i nad jezioro wracał, odpisałem tak nareszcie, że mi teraz nieodpisywaniem zupełną wolę zostawiając robię, co mi się podoba. Florencya 3. października 1837.

Hersylia (Januszewska, przyrodnia siostra i wujenka Juliusza, protektorka Eglantyny), wypchnęłaby mię gwałtem i zapakowała na statek parowy, ale ja się ociągam z tą chwilą, w której będę musiał, jak mówi Konrad Wallenrod: „przepraszać za wszystko, co ucierpiała dla niego". Listy między nami rzadsze są teraz: ona utraciła nadzieję powrotu mego, a ja nie chcę jej ożywiać na nowo. Może to egoizm, ale nie chce mi się w domku Paquis znowu zasnąć i głowę włożyć pod skrzydła jak łabędź senny; przelecę więc tylko przez ciemną aleję kasztanów i platonowych drzew i pójdę dalej. Florencya, 22. lutego 1839.

Co jeszcze pomnożyło moją melancholię, zrozumiesz, droga, jak przeczytałem wyjątek następujący z listu Eglantyny: „Nous avons quitté le Paquis pour n'y jamais revenir; il y a huit jours que nous habitons la ville, il y en a quinze que j'ai pris pour jamais congé de cette maison et de ce jardin, dans lesquels pour quelques roses j'ai cueilli des boisseaux d'épines. J'ai habité notre chambre jusqu'au dernier moment, et j'ai fait brûler notre pavillon pour que personne autre ne s'y mette à l'ombre; j'ai pris le chevrefeuille planté par vous et il est tout en feuilles maintenant: il orne avec d' autres vases une jolie terrasse

sur le haut de la maison que nous habitons; de cette terrasse on découvre un panorama magnifique.... etc.

Droga moja! Nie wiem, czy ty pojmiesz, jaka mię od tych kilku słów napadła tęsknota. Florencya, dnia 19. maja 1839.

Właśnie w tym czasie przerwała się korespondencya między Juliuszem a matką z powodu prześladowania rządu rosyjskiego, który prawdopodobnie przejmował listy Juliusza do rodziny. Matka zaniepokojona tem „milczeniem“ syna, odniosła się w tej sprawie do pani Patteg, która w następującym liście donosi o Juliuszu.

Genewa, 11. czerwca, 1839. Kochana Pani! Spieszę z udzieleniem Pani wiadomości o bracie moim, którym się Pani tak żywo zajmujesz. Ma się dobrze, i żyje od grudnia ubiegłego roku w Paryżu. Z końcem stycznia otrzymałyśmy list od niego, w którym donosi nam, że wielkie zmartwienie zmusiło go opuścić Florencyę, gdzie żył spokojnie i szczęśliwie. Pisze nam, że pewną drogą mu osobę (wuja) spotkało nieszczęście, że jakiś przyjaciel (Z. Krasiński) doniósł mu tę bolesną wiadomość, i że w rozpaczy pospieszył do Paryża, aby tam lepiej niż gdzieindziej ukryć swój smutek. Opisując nam swe położenie, dotknął szczegółów, które matkę i mnie zasmuciły. Długie jego milczenie i brak zaufania do nas bolesnie nas były dotknęły, mimo to zaraz mu napisałam, ofiarując mu serdecznie nasze usługi i prosząc, aby przybył dzielić skromny byt matki i siostry, w nadziei lepszej przyszłości. Odmówił nam, częścią przez delikatność, częścią z powodu chęci zużytkowania swego życia i talentów swych w Paryżu. Nie sprzeciwiałyśmy się jemu, wszakże gdy często do nas pisywał, nie przestawałam powtarzać, iż skoro Paryż mu się zbrzydnie, niech tylko do nas wróci, a my go otoczymy troskliwością i wszystko możliwe uczynimy, aby mu w dolegliwościach ulżyć. Posłałam mu pierwszy list Pani, który dopiero 12. marca otrzymałam. List ten napełnił go radością, lecz nie śmiał nań odpowiedzieć, a mnie pozbawił przyjemności pisania do Pani, nie podał mi bowiem adresu pisząc, że nie wie dokąd ma list do Pani wysłać.

Ogromną radość sprawił mi list Pani, który wczoraj otrzymałam, i na który pospieszam z odpowiedzią, aby po-

dziękować za czułą opiekę moim bratem i zapewnić Cię o jego zdrowiu. Poszlę mu natychmiast list Pani, aby wiedział jak bardzo Pani go kocha i jak się stara mu tego dowieść. Pragnęłybyśmy aby wrócił do Szwajcaryi, dokądkolwiekbądź i jakiekolwiek miejsce obrałby za najdogodniejsze. Żył tutaj spokojnie i szczęśliwie, i gdyby był wcześniej tu przybył, możeby był uniknął wiela cierpień. My jednak wiedząc, że rad nie lubi, nie śmiałyśmy mu takowych udzielać. Obecnie częściej mnie się radzi niż dawniej, przekonał się, że siostry mogą się czasem na coś przydać. Pisze mi też długie i miłe listy, któreby m Pani doręczyć chciała, sprawiłyby Ci wielką przyjemność. Niedawno otrzymał list od przyjaznej mu osoby, która mu pewną sumę przesłała, co mu dodało otuchy. Pisał mi, że czułby się zupełnie szczęśliwym, gdyby mógł raz jeszcze odczytać drogie mu, święte wyrazy skreślone ręką ukochanej osoby, dla której by życie poświęcił. Z jakąż radością otrzyma list, który mu zaraz napiszę, i który za trzy dni mieć będzie, odpowiedzi spodziewam się za tydzień.

Mama każe Panię z całego serca pozdrowić i powiedzieć, że zachowa zawsze dla Twego syna Juliusza taką samą miłość, jaką żywi dla innych dzieci. Zapewniam Panię, że jestto najulubieńsze jej dziecko, i że my nie jesteśmy zazdrośni. Nazywa go swem niewdzięcznem dzieckiem, swoim synem marnotrawnym, a on pisze, że zabije tłustego cielaka, skoro wróci pod ojczystą, a raczej macierzyńską strzechę. Kochana Pani, z żywem współczuciem słuchałyśmy o cierpieniach, których doznawałaś w różnych okresach życia. Boli nas, że Pani, żyjesz w oddali od tego ze swych przyjaciół i krewnych, którego tak kochasz, proszę Boga szczerze dla Ciebie i tych, którzy Ci zą drogimi. Spodziewam się, że za rychłem powrotem do zdrowia, będziesz Pani szczęśliwą.

Chciej nadal listy i wszystkie swe jakiekolwiekbądź sprawunki, przysyłać nam do załatwienia, a wszystko zawsze, co od nas zeleżeć będzie uczynimy, aby się Pani przysłużyć. Nie trwoż się tak bardzo o swego wędrownego gołębia, ma on zawsze przyjaciół, którzy go kochają, i nie spuszczają z oczu, dopóty go nie zobaczą szczęśliwym i zadowolonym.

Żegnam Panię — oby ten list wnet przybył do Pani, i dowiódł Ci, że Cię kochamy i wdzięczne jesteśmy za okazane nam zaufanie. Życzliwa — Eglantyna Patteg.

Panna Eglantyna — pisze poeta do matki — dała mi dowody swojej przyjaźni w czasie mojego smutku. Nie potrzebowałem jednak pomocy innej, oprócz współczucia, bo miałem maleńki zapasik, który mi był wystarczył, i choć z trudnością, dosięgnąłem aż do końca o własnych siłach. Więc drugi raz nie troskaj się. Paryż, 24. czerwca 1839.

W Paryżu widział się często z Eglantyną, jak tego dowodzi list następny: Kończę ten list, bo muszę na obiad do panny Eglantyny i brata jej. Biedna to dziewczyna i prawdziwie warta litości, bo czasem bardzo dobre strony serca odkrywają się w niej, mimo niejakie skwaszenie charakteru. Wczoraj mówiła mi, że kiedy File byli we Włoszech i ja z nimi, to ona haftowała śliczną chustkę, aby ci ją posłać; w tem jam wyjechał, ona zaś nie wiedząc, gdzie się Filowie znajdują, zniechęcona w pierwszym smutku, że ci chustki tej posłać nie może, w ogień ją rzuciła, aby nikomu innemu nie dostała się; uścisnąłem ją za to za rękę serdecznie. Adieu, droga. — Twój Juliusz. Paryż, 2. sierpnia, 1842.

Z Eglantyną nareszcie my się rozeszli; chciano koniecznie, abym po całych dniach, stosując się do parafiańskiej ciekawości, do nienasyconej ciekawości, wodził ichmościankę po ulicy, sklepach, galeryach, właził po skręconych schodach na kolumny, wieże i inne belwedery, o 8-mej już z rana był na usługach, a kładł się spać aż po odbytym teatrze, niekiedy zaś wyjeżdżał za miasto na cały dzień dla zwiedzania okolic, które dla mnie wcale nie są ciekawe. Całej mi mocy trzeba było, abym się temu wszystkiemu oparł i wszystkie spacery do trzechkrotnych na tydzień spacerów zredukował, tak się jednak stało, że nie uchybiwszy w niczem imości, oddałem jej tylko te usługi i grzeczności, które się należały, i bardzośmy się dobrze rozstali. Został mi tylko brat jej na karku, bardzo ograniczona figura, kupiec, ale dosyć dobry chłopiec, z którym żyłbym, gdybym miał choć jeden ton duszy wspólny,

choć dwie myśli podobne, a jednak i tak żyję. Paryż, 24. września 1842.

Oto ostatnia wzmianka o rodzinie Patteg: Jestem zdrów i pracuję a zatem jestem zwykle zamyślony; to zamyślenie przerwane jest niekiedy przez państwo Patteg (brat Eglantyny ożenił się z młodą dziewczynką), którzy mi przedstawiają widok miodowego miesiaca, lecz francusko-miodowego miesiąca: bowiem pobrawszy się prawie nieznani sobie, od pierwszych dni zaczęli wzajemne odkrywać wady, a to z całą komicznością komedyi Moliera. Chciałbym, ile można, podnieść ich ducha i uszlachetnić oboje, albowiem małżonek zaczął od niszczenia w dziecku uczuć, które miało dla powagi domowej rodzicielskiej.

Gdybyś ty widziała to straszne piekło ziemskie, które ja czuję w każdej strunie tej arfy, nie pojęłabyś nawet, skąd taki dźwięk wychodzi.... Dosyć ci powiedzieć, że młoda małżonka przy mnie i przy mężu odezwała się raz głośno, że uwielbia panią Laffarge, sławną otruwaczkę tutejszą, która męża otruła i teraz w więzieniu napisała memoary życia swego, a słowa te przy okolicznościach domowych tak strasznie w tym domu zaszeptały, jak echo Makbetowego zamku, a że straszne były, to ci dowiedzie to, iż mąż się na nią oburzył a zatem widać, że obaczył podobieństwo. 3. października, 1844.

W ćwierć wieku po zgonie poety zwiedzając w podróży swej Genewę, poznała Seweryna Duchińska Eglantynę, a wiadomość o niej podaną w „Bibliotece warszawskiej", z 2. lutego 1874. powtarzam tu w skróceniu:

Wprowadzeni do jej domu ujrzeliśmy siedmdziesięcioletnią matronę w żałobie, w czarnych okularach pokrywających oczy zagasłe od lat wielu. Na obliczu jej, w każdym ruchu, maluje się powaga, złączona z nieporównaną słodyczą. Rysy pociągłe, pełne znaczenia, przypominały nam wyryte w medalionie popiersie Klaudyny; na ustach zwiędłych spoczywa łagodny uśmiech, znak prawdziwej dobroci. Mimo wieku zachowała dwa rzędy równych i drobnych ząbków, które niegdyś zapewne świeciły jak dwa sznurki pereł w koralowej oprawie. Głos jej czysty, śpiewny, wnika do głębi duszy jakby dźwięk zaklętego dzwonka. Nie dziwimy się bynajmniej, że ten pieszczony

głosik, podniesiony rzewnem i głębokiem uczuciem, mógł niegdyś czarować poetę. Co najwięcej nas uderzyło, a szczególniej było nam pożytecznem, to niesłychana prostota jej, cechująca prawdziwie wyższy umysł.

Pani de Luppé, — tak dziś zowie się Eglantyna — sama z nieporównanym taktem złamała pierwsze lody. Sama rzekła zaraz po powitaniu: „Wiem co was tu przyprowadza, chcecie zapewne posłyszeć coś o waszym wielkim poecie. Prawdaż to — zagadnęła — że wydano korespondencyę poety? Czyż imię moje, wspomniane w tych listach, dało powód do jakichś domysłów?

Wchodząc w ściślejsze określenie uczuć, jakie łączyły Juliusza z Eglantyną, powiada Duchińska, że przyjaźń stanowiła główne ich piętno. Była chwila, w której ta przyjaźń przeszła w inne, ponętniejsze dla młodych serc uczucie; to jednak pewna, że jeśli kwiat miłości uwiądł pod wpływem czasu i oddalenia, przyjaźń zato przetrwała święcie w obu sercach. Juliusz do późna widział w Eglantynie prawdziwą przyjaciółkę. Pisywał do niej listy, powierzał jej troski swe i nadzieje. Eglantyna ze swojej strony przechowała do dziś dnia pamięć Juliusza, otoczoną niezgasłym urokiem. Mąż jej nawet, pułkownik de Luppé, którego zaślubiła w dość późnym wieku, podzielał szczerze te uczucia.

Wyjeżdżając do Rzymu zostawił poeta u Eglantyny szkatułkę pełną drogich dla niego pamiątek. Były w niej listy matki, ulubione jego książki, i stary, przywieziony z kraju zegarek. Wszystko to wraz z widokiem rodzinnego miasta, Krzemieńca, wykonanym gwaszą, wierna przyjaciółka złożyła po śmierci poety w ręce pani So...., która przyrzekła wręczyć matce te drogocenne skarby.

Co się z nimi stało niewiadomo. Później, kiedy opuścił Genewę, pisywał do niej, to z Włoch, to ze Wschodu, to nakoniec z Paryża. Te listy przechowywała Eglantyna starannie, w starości dotknięta ślepotą, oddała je do przechowania mężowi. Po śmierci pana de Luppé, zbiór ten cały zaginął. Pozostał jej tylko jedyny list, pisany z Ziemi Świętej; znać list ten chowała osobno. Pismo na nim zupełnie zatarte, odczytać go niepodobna. Zlany był, jak mówiła,

octem w kwarantanie, dlatego papier tak pożółkł, litery tak wyblakły.

Wszyscy w domu — opowiadała hrabina Luppe — kochali Juliusza, wszyscy odgadywali w nim coś wyższego. Kochała go szczególniej maleńka Matylda, pięcioletnia siostrzeniczka i wychowanka Eglantyny. Poeta zabierał ją często do swego pokoiku i paląc fajkę rozpowiadał jej fantastyczne powieści. Obiecywał dziewczynce, że jak urośnie, ożeni się z nią i zawiezie ją do Polski, a kraj to prawdziwych cudów, piękniejszy od Szwajcaryi i wszystkich krajów świata. Pojedziemy tam — mówił — prześliczną karetą, okno w niej całe z różowych karmelków. Pola nasze i łąki posypane cukrem zamiast śniegu; po Wiśle pływają statki, kute ze szczerego złota, oświecone płomieniami palącego się ponczu!

Matylda zamieszkała potem z rodzicami w Paryżu i tam widywała znów Juliusza. Nie był to już ów piękny młodzian, którego znała w Paquis: lica jego pożółkły, oczy zapadły, w ustroju duchowym większa jeszcze nastąpiła przemiana. Myśl poety nowy przybrała kierunek, spoważniała, skupiła się w sobie, oderwała od ziemi!

Do ostatnich chwil życia utrzymywał Juliusz stosunki z rodzicami Matyldy, która pod okiem jego wyrosła z dziecka na dorosłą pannę.

W marcu roku 1849. odwiedził rodziców Matyldy po długiem niewidzeniu. Wszyscy spostrzegli w nim nadzwyczajną zmianę, cera jego zżółkła jak pergamin, oddychał z trudnością, kaszel co chwila przerywał mu mowę. Stan taki szczerze zaniepokoił przyjaciół, odwiedzili go w kilka dni potem, zastali mocno chorego w krześle. Obiecał jednak, że w przyszły poniedziałek przyjdzie do nich na obiad. Tego dnia właśnie skonał.

Kiedy Juliusz żegnał mnie po raz ostatni — opowiadała pani de Luppe — prosił, aby po śmierci jego, jeśli ziomkowie zwiedzający Genewę, zechcą poznać miejsce, gdzie mieszkał, objaśnić ich w tym względzie, ukazując skromny pokoik w Paquis.

Pobiegliśmy więc co żywo — powiada Pani Duchińska — na drugie piętro do maleńkiego pokoiku z oknem wychodzącem na wschód; był to niegdyś pokoik Juliusza.

Widok z niego nawet mniej rozległy. Okno wychodzi na ogród, jak niegdyś, lecz ogród ten zmalał o część szóstą. Pobudowano za nim gmachy drogi żelaznej. Ze stuletnich świerków, dębów i sosen, pod których cieniem poeta zbierał fiołki z Eglantyną, pozostały tylko dwie jodły, nieme świadki przeszłości. I przed oczyma naszemi przesunęło się zwolna pasmo trzyletnich zdarzeń, uczuć i myśli, pod których wpływem dojrzała myśl wieszcza, duch jego spotężniał i przez twardą życia epokę wyżłobił sobie nowe drogi w świat ideału. Lepiej mu tu było niż w Paryżu! Ale pytamy, byłże gdzie zakątek na ziemi, gdzieby ten nowy Prometeusz mógł się czuć prawdziwie szczęśliwym. Duch twórczy rwał go w wyżyny, których nie dano dosięgnąć śmiertelnikom; sęp pychy wyżerał mu wnętrzności; tęsknota za matką, za rodzinnem ustroniem, za ojczyzną trawiła mu serce gorączkowo; pierś jego, istny krater wulkanu, wyrzucała z siebie tak płomienne utwory jak Kordjan, Mazepa, Balladyna! Ale obok tych wpływów działających na myśl i wyobraźnię, były inne, działające na serce młodzieńcze.

Juliusz przybył do Genewy z raną w sercu jeszcze niezabliźnioną. Kiedy niedorosłym młodzianem bawił w Wilnie u boku tkliwej i dziwnie poetycznej matki, pokochał on całą potęgą pierwszego uczucia osobę znacznie od siebie starszą, która, jeśli nie podzielała owych uczuć, nie odtrącała ich jednak, a tym pozorem wzajemności kołysała duszę poety.

Aby zagładzić skazy tego spękanego serca, aby przywrócić kryształowi pierwotny połysk, potrzeba było delikatnej, jakoby macierzyńskiej dłoni: taką dłoń miała tkliwa Eglantyna. Uczucie jej dla Juliusza miało w rzeczy samej charakter macierzyński. Starsza od niego o lat kilka, jak matka cieszyła się rosnącą jego sławą, jak matka przeczuwała dla niego wielką przyszłość, jak matka zganiała chmury z jego czoła, ścieżki jego posypywała kwiatem, i w utęsknioną duszę wlewała słodki balsam pociechy. Myśl jej krążyła bez ustanku około Juliusza, a uczucie jej rosło w miarę cichych poświęceń, jakich on codziennym był celem.

A Juliusz kochałże Eglantynę? Wprawdzie nie wyznaje on tego w żadnym liście do matki, wspomina ją jednak bez ustanku, tęskni, gdy na czas jakiś oddaliła się do Paryża, czyni ją powiernicą wszystkich trosk i nadziei swoich. Chodząc z nią pod cieniem świerków, mówi jej o rodzinie, o kraju; nieprzystępny zwykle i zimny, w Eglantynie tylko pokłada ufność całą; uśmiecha się do niej, jak do matki, przy niej czuje się swobodny, prawie szczęśliwy. Byłaż to przyjaźń? byłoż to kochanie? Juliusz sam nie byłby zapewne potrafił na to odpowiedzieć.

Tak upłynęło dwa lata. W ostatnim roku uczucie Eglantyny pod wpływem czasu rozwinęło się i dojrzało w miłość. Ale i uczucie Juliusza uległo zmianie, od poznania się z Maryą Wodzińską. Przybycie jej do Genewy było istotnem piorunem, który wstrząsnął do gruntu życiem dwojga istot.

Rodzina Wodzińskich składała się z matki, trzech synów i dwóch córek. Starsza z nich piętnastoletnia Marya, uczennica Fielda, obdarzona z natury artystyczną zdolnością, cudnie grała na fortepianie. Poeta uległ pod czarem młodości tej, która przemawiała jego językiem. Atmosfera domu Wodzińskich przypominała mu dom matki. W towarzystwie rodaków, pierwszem jakie spotkał w Genewie, dusza poety odżyła jakby cudem.

Nadeszło lato. Rodzina Wodzińskich umyśliła zwiedzić najpiękniejsze okolice Szwajcaryi. Juliusz, zaproszony do grona turystów, przyjął udział w wycieczkach z niewymowną radością, a całą tę wędrówkę wyśpiewał potem w tęczowych barwach poematu „W Szwajcaryi". Zdarzenie chciało, że za powrotem do Genewy pani Wodzińska z rodziną, nie mogąc znaleść odpowiedniego domu, zamieszkała chwilowo w Paquis u pani Patteg. Tu, w towarzystwie Maryi ubiegły mu wieczory zimowe, jak sen przy ciepłem ognisku. Tu pieścił ucho melodyą Fielda, to słodszym jeszcze gwarem rodzinnej mowy! Niekiedy z pustotą dziecięcą grywał w zająca z panienkami i trzema ich braćmi. Częściej jeszcze pochylony nad krzesłem Maryi, snuł wątek romansowych marzeń, przetykany kwiatami fantazyi. Nie było czasu na dojrzenie tego uczucia, gdyż niebawem musiał Juliusz nagle opuścić Genewę, z której równocześnie i Marya

wyjechała. Małecki widzi przyczynę tego odjazdu w gwałtownym stanie jego duszy, targanej miłością dla Maryi a współczuciem dla Eglantyny, gasnącej niby lilia na podciętej łodydze. Duchińska nie zaprzecza temu, uważa nawet dramat, który odbył się wtedy w duszy trzech istot za pełniejszy i wyższy nastrojem duchowym, nad wszystkie dramaty, jakie stworzył wówczas geniusz naszego poety. Wzniosły duch poety nie upadł pod naciskiem walki; bole i zawody wzmogły polot twórczych jego skrzydeł i pchnęły go w nieznane dotąd sfery. Literatura nasza winna tym walkom i temu tryumfowi, nie tylko te drobne liryczne wierszyki, ale pierwszy pomysł arcydzieła, którem poszczycić się może w obec literatur europejskich. Seweryna Duchińska: Biblioteka Warszawska z r. 1874. Kronika zagraniczna str. 326—338.

Z wspomnianych w nagłówku wierszy zajmuje pierwsze miejsce „Przekleństwo" (ogłoszony w „Tygodniku literackim" Woykowskiego, Poznań 1839 Nr. 58.) Wiersz przeklinający Eglantynę za to, że mu wyrzutami jego niestałości zakrwawiła serce. Poeta zwraca się, pełen tęsknoty i miłości, do Maryi, którą nazywa „siostrą na wygnaniu ziemi" i która mu „w duszę oczyma patrzy anielskiemi". Drugi, prześliczny wiersz p. n. „Rozłączenie", wydany dopiero w pośmiertnem wydaniu dzieł J. Słowackiego, a pisany nad jeziorem Leman 20. lipca 1835 r., opłakuje rozłączenie z Maryą.

Rozłączeni — lecz jedno o drugiem pamięta —
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści...

Jeżeli list pani Maryi z Wodzińskich Orpiszewskiej, ogłoszony w objaśnieniach do poematu „W Szwajcaryi", wypierającej się miłości do poety, wypowiada całą prawdę, to obrazy miłości w trzecim wierszu „Stokrótki", pisanym w Veytoux 21. lipca 1835 (rano), mają źródło swe tylko w wyobraźni poety, który łudził się fatalnie wróżbą, że Marya „kocha go nad życie". Z estetycznego stanowiska wziąwszy, zbliża się ten wiersz raczej do anakreontyków niż do liryki, czerpiącej swe soki z twardego gruntu rzeczywistości. Potwierdza to również „Ostatnie Wspomnienie" do Laury, pisane

w tym samym czasie (Veytoux 30. lipca 1835.) a malujące w goretszych i drżących jeszcze od wzruszenia tonach miłość poety do Ludwiki Śniadeckiej. Wiersz ten drukowany w „Tygodniku literackim“ Woykowskiego, Poznań 1839. Nr. 35. nosi datę „Paryż 1839“, która jest stanowczo mylna. W autografie bowiem, udzielonym mi łaskawie przez prof. A. Małeckiego, jest data wyżej wymieniona.

Tygodnik Woykowskiego zamieszczając te wiersze dodaje w przypisku: Pan Słowacki, przesyłając te kilka poezyj do naszego pisma, tak wspomina o Tygodniku: „Gdym odebrał to pismo, gdym je na stoliku zobaczył, zdawało mi się, żem się o pół drogi do mojej ojczyzny przybliżył; kiedy albowiem jedno jakie dzieło z kraju przychodzące, zdaje się być ziomka przybyciem; to pismo czasowe, pełne różnych imion i talentów, podobne jest do gwaru jakiego polskiego miasta, coby się skutkiem czarów nagle przybliżyło. („Tygodnik literacki, literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony“. Nr. 6. Poznań dnia 6. maja 1839.)

Tak w „Przekleństwie“ jak w „Sumnieniu“ odbija się refleks tego szczególnego stosunku poety-marzyciela do 15-letniego dziecka, przedstawia się on jak krótki sen a odbija od reszty życia Juliusza, jak zielona oaza, rzucona na rozłogi spiekłego stepu. Miłość ta wzrastała tajemnie w duszy poety, żyła eterycznie, niewyznana, bez nadziei, bez wzajemności i rychło pogrzebaną została. Z mogiły, w której zamknął jej wspomnienia poeta, wytrysnął kwiat czysty jak lilia wodna, skropiona rosy porannej brylantami.

„Przekleństwo“ i „Sumnienie“, o których prof. Małecki powiada: „że są to prawdziwe brylanty naszej poezyi lirycznej“, spotkały się z ostrą krytyką dr. J. Tretiaka. Ktoby — są jego słowa — nie znał stosunku Słowackiego do Eglantyny, do której ściąga się przekleństwo, temuby trudno było pierwszy wiersz zrozumieć, kto zaś zna ten stosunek, ten wątpię, aby się mógł przejąć, rozrzewnić i zachwycić uczuciem, które ten wiersz dyktowało.

I za cóż w istocie przeklina poeta biedną dziewczynę, która go pokochała, która może jakiś czas karmiła się nadzieją, że zdoła pozyskać serce poety, a zobaczywszy, że to

serce, (a raczej wyobraźnia) zwraca się ku innej kobiecie, nie umiała utaić swego żalu, a czasem gorżkiego powstrzymać słowa. Mógł ją Słowacki żałować, mógł się nad nią litować, mógł chcieć odsunąć się od niej jak najdalej — wszystko by to było zrozumiałe, ale jestże tu za co wołać:

O gorzej niż przeklęta! widmo tajemnicze
Złej przeszłości... przeklęta bądź i zapomniana!

I jakże tu brać na seryo to przekleństwo, jak brać na seryo nieszczęście poety „żądłem gadziny wygnanego na samotność“, jak współczuć człowiekowi, który sam nie wie, za co przeklina i chce zwalić na kogoś winę fałszywego położenia, w jakiem się znalazł bodaj czy nie z własnej winy? Cóż z tego, że forma piękna i dużo ma nawet prostoty, dość rzadkiej u Słowackiego, cóż z tego, że wiersz gibki i dźwięczny, kiedy uczucie w tym wierszu zamknięte, nie zdoła nas ani trochę poruszyć, rozgrzać, pobudzić do współczucia. J. Tretiak: Przewodnik naukowy i literacki, Lwów 1881., str. 280.

Wiersz „Przekleństwo“ w autografie ma tylko jedną odmiankę w 3 zwrotce:

Cierpiałem i uległem. Dziś samotny jestem,
Lecz wiedz *że w samotności*, okryty żałobą,
Oczy błędne obracam za każdym szelestem,
Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą.

Natomiast „Ostatnie wspomnienie — Do Laury“ wykazuje w autografie znaczne różnice, które tu odmiennym drukiem uwydatniam:

Dawniej bez serca! dziś bez rozumu,
    O, biedna Lauro! nim zginę
Tobie, śród głuchych pamiątek *szumu*,
    Wianek Ofelii uwinę.

Burza żywota nad nami mija,
    Przeminie, lecz głowę zegnie:
Śmiech nie pociesza, ból nie zabija,
    Pamięć i rozum odbiegnie;
Słońce nie cieszy, księżyc nie smuci,
    Cieniami śmierć nie pochłonie...

Za cóż tak zimny wieczucia kamień
Na serce *moje* się wali?
Żeśmy się *kiedyś* w kraju omamień
Na jednej drodze spotkali?
A ty smutniejsza, niż ludzie smutni,
Biegłaś za innem widziadłem?

Zwiędłą rzuciłaś mi róże.
Nie wiem, czy róża z twojego czoła.

Widzisz, jak zagasł dziecka rumieniec.
Gdzieś ty *ustami* przebiegła?...
A ten na głowie *płonący* wieniec
Tyś skrami oczu zażegła.

Nie *biegnę szczęśliwych* śladem:

Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
I falą powraca ciemną,
Nie *mnie* nie żegna, nie *mnie* nie czeka,
Nie za mną, i nie przedemną.

Dziewice ziemi nieraz postrzegły
Łzawymi *oka* błękity...

Okruszynami *nikłej* miłości
Karmiłem blade widziadła.
Jak *oczy moje* topią się, mdleją,
Jak myśli rzucają ze dna,
Ty wiesz! — lecz tylko ty jedna...

Veytoux, d. 30. lipca 1835 r.

Mimo znacznych poprawek w ostatniej redakcyi, pozostało w wierszu trochę ociężałości w formie a rozwlekłości w opowiadaniu. I pod tym względem wyróżnia się niekorzystnie od poprzedzającego i następnego, z którymi go łączy znowu tylko — przekleństwo.

Wiersz „Sumnienie" (w autografie tytuł wiersza: „Sumnienie" w Pismach pośmiertnych 1885. I., 33. „Sumienie") ma tylko parę odmianek, które tu z autografu przytaczam:

A gdy się toń jeziora księżycową plamą
Osrebrzyła, gdy wichry zawiewały chłodniej,
Jam jeszcze *jechał*, jeszcze uciekałem od niej.

I możebym zapomniał, bo koń leciał skoro,
Bo mi *piosenkę grały* tętniące kopyta itd.

Rzym d. 1. Maja 1836 r.

Str. 3. „Ostatnie wspomnienie — *Do Laury*".

Laura, nazwa stereotypowa kochanek, odnosi się do Ludwiki Śniadeckiej, o której obszerniej w objaśnieniach do „Godziny myśli". Nie było to wcale wspomnienie „ostatnie". W „Podróży do ziemi świętej", w „Beniowskim" itd. poświęca jej poeta wiele miejsca a wspomina jeszcze w listach do matki z lat ostatnich.

W „Podróży do ziemi św." wraca do niej, w tych słowach kreśląc jej portret:

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę, bardzo podobną do greckiej.
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu,
A Moskal zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na Warneńskiem polu
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!"
— „Jakie?" rzekł gruby Emir Bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w *Korynie*...

„Wróćcie mi, wróćcie!" i znowu zamilka,
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.

Zrozumiał Emir i dał sznurków kilka,
I gładząc brodę śmiał się jak bóg Pluton;
Śmiał się, zważając na prośby szalone —
Orfeuszowskie, co prosił o żonę.

I musiał piekłu grać, jak Paganini,
Na jednej strunie cały płaczu kwartet —
Ale powróćmy do naszej bogini:
Chciała z rozpaczy umrzeć *broken-harted*,
Więc wiodła ciągłą z doktorami sprzeczkę
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Skało Leukady tykająca nieba!
Śmiej się echami grot tłuczonych falą
Z lancetów, mdłości i pigułek z chleba! —
Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą —
Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,
Płynę przy skale nieszczęsnej Leukady.

Do Ludwiki z „Godziny myśli" przytaczam jeszcze odnośny ustęp z „Podróży":

Ja wiem, że wiele winienem kochance;
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować, (ale nie przy szklance),
Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,
Na Archipelag uciekać po laur
I awantury — jak *Korsarz* i *Giaur*.

Ona uczyła mię chodzić, jak scenarz
(Lepsze niż aktor słowo niech zostanie):
Wmówiła we mnie, że zamiast Ojcze-nasz
Lepszą modlitwą... księżyco-wzdychanie:
Dziś mię nawraca bez żadnego skutku
Na katolicyzm... mam religię smutku!

I odpisałem... co? już nie pamiętam —
Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco
Jak Russo — ani tak sucho, jak Bentham:
„Jako dwie skały, kiedy je roztrąca

Strumienie rzeki, choć je nurt rozdziera,
Patrzą na siebie niebem“ *et cetera.*

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,
Zagrała w sercu i łzy moje płyną.
O Ludko! dziecka kochanko, bądź zdrowa!
Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,
Co nieraz kładła koralowe grona
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona;

Jeżeli książkę położysz przy sobie,
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie: —
Kart nie odwracaj!... bo nim spocznę w grobie,
Będę ci śpiewał, jak mrące łabędzie
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią cię deszcze.

I łzy się żywe rozbiegną po łonie
I strumień palce różowe otworzy,
Jeśli spłakaną twarz ukryjesz w dłonie.
Ja wtenczas będę spokojny; jak w zorzy
Gwiazda niknąca, blady; lub z obliczem
Pełnem promieni boskich... albo niczem.

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć
I *nie przeklinać...* i drogą bezludną
Iść po tym świecie szalonym, i niknąć,
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Myślą tą modlić się... i *nie przeklinać;*

„Podróż do ziemi świętej.“ Pisma pośmiertne. Lwów 1885. I., 130—1.

Str. 3. w. 2. i nast. ...nim zginę
Dla ciebie z głuchych pamiątek tłumu
Wianek *Ofelii* uwinę.

Ofelia, oszalała z miłości kochanka Hamleta, o której wspomina Słowacki w liście do matki z 21. sierpnia 1837, z Florencyi, w tych słowach: „Ja przynajmniej, że młody, to podobny jestem do Ofelii, która nachylając się po kwiaty, upadła w strumień i długo ją szata napełniona powietrzem

utrzymywała, pływającą na wodzie, aż utonęła i pieśń jej ucichła“.

Str. 6. Tytuł „*Sumnienie*“ dawniejsza forma „*sumienia*“.

W czterech wierszach od „Przekleństwa“ począwszy, aż do „Grobu Agamemnona“ (włącznie) mamy główny motyw: przekleństwo, a nawet w pisanej o parę miesięcy później „Podróży do ziemi świętej z Neapolu“ czytamy podobną myśl. (Lwów 1885. I. 131.)

Objaśnienia do wiersza „Grób Agamemnona".

Myśl poety, która przez trzyletni w pensyonie szwajcarskim pobyt nastrajała się już trochę do wewnętrznego spokoju, odczuła znowu potrzebę szerszych horyzontów.

Niezadowolony, pełen nieokreślonych pragnień romantyk, pędził przez całe życie z miejsca na miejsce, jak dziki gołąb, któremu nie dają zatrzymać się, kiedy na jakiej gałęzi usiędzie. Poznawszy pierwsze stolice Europy (Paryż, Londyn i Rzym), zwiedziwszy romantyczne okolice alpejskie i klasyczne krajobrazy włoskie, zapragnął jeszcze czarów ziemi wschodniej. Projekt od dawna zrobiony, odrzucony jedynie z obawy przed tak wielkiem — jak na owe czasy — przedsięwzięciem, przyszedł do skutku, dzięki pomocy i namowom Hołyńskiego i Brozowskiego. Kiedy praktyczniejsi Teofilowie odradzali mu tę śmiałą i daleką podróż, i kiedy sam poeta wahał się, czy ją miał przedsięwziąć, otworzona losem biblia zdecydowała go słowami Listu do Koryntyan XVI. 19. „Kościoły azyjskie pozdrawiają Was". Przesąd, sięgający korzeniami swymi w zamierzchłe czasy pogaństwa, prowadził go w tę daleką drogę. Zabobonne wróżby — przypominam tylko przepowiednie słynnej wróżki Lenormand, — wpływały nieraz na losy Byrona, Mickiewicza, w ogóle na całą romantyczną dziatwę Apollina. Zresztą spodziewał się nasz poeta po tej podróży, że ona doda mu siły woli, której potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy, połączonej z tak znacznymi trudami. Wreszcie dnia 24. sierpnia 1836 r. puścił się w drogę z Neapolu. Naprzód

lądem przez Apulię, Lecce do Otranto, skąd, jak to stoi w zapisce poety, umieszczonej na czele Dziennika z podróży — autograf w posiadaniu L. Méyeta — miał okrętem przez morze Adryatyckie dostać się na wyspę Korfu. Listy Januszewskiego, dotąd nie ogłoszone, zapoznają nas bliżej z finansową stroną tej podróży. „Julek, przeprowadzony od wszystkich będącach tu naszych — pisze Teofil — pojechał przez Otranto do Grecyi; odradzaliśmy my mu, lecz wreszcie musieliśmy uledz, gdyż się związał układami, a towarzysze posądzali go o lękliwość; pojechał z chęcią i marzeniami młodości, za kilka miesięcy powróci do Florencyi: przykro nam było rozstawać się z nim, bo poznał nareszcie, że związków rodzinnych inne zastąpić nie mogą, bo był dla nas dobrym (dla towarzyszów podróży i Zygmunta Krasińskiego, zaniedbał był Słowacki wujostwa, jak tego dowodzą listy do matki).

„Ma dość pieniędzy na całą podróż, jeden bowiem z towarzyszy podróży (Zenon Brzozowski) zmusił go prawie do wzięcia tysiąca rubli, z warunkiem, że mu je odda za 4 lata, więc z tej strony nawet, bądź kochana Sally spokojną. Zdrów on, nawet dość silny, podróż z daleka wydaje się być straszną, wreszcie rozstaliśmy się bez żadnych złych przeczuć, nawet dość weseli“. Do tego listu męża dopisuje Hersylia, przyrodnia siostra poety: „Rozstanie z Julkiem przykre dla nas, bo dobry chłopak, bo przy końcu tak dobrze był z nami, że gdyby to dłużej potrwało, może-by i on bardziej polubił związki rodzinne, może-by je przeniósł nad obojętne znajomości, bo sam mówi, że dotąd nie znalazł jeszcze przyjaźni takiej, co-by mu życie uprzyjemniała. Karmił się samemi pochlebstwami i grzecznościami, nie zupełnie szczeremi, to głaskało serce jego, nie zostawiając uczucia w sercu, jakie-by przyjaźń wzniecić mogła. (Alluzya to do kilku słów krytyki, wypowiedzianej przez wuja po wysłuchaniu odczytanych mu przez Słowackiego utworów dramatycznych, przechwalonych przez innych może z grzeczności, co do żywego obraziło poetę, a nawet poróżniło go z wujostwem). Poczciwy, chciał dla każdego z nas zostawić pamiątkę naszego rozstania, i gdyby nie powaga wujaszka Teofila, co go wstrzymał, straciłby grosze, bo tu wszystko niesłychanie drogie. Mam od niego szpilkę koralową do

włosów, i tak mi ją poetycznie ofiarował!“ (Neapol, 30. sierpnia 1836. r.).

Kiedy listy te byłe jeszcze w drodze, poeta nasz odbywał już podróż morzem z Otranto do Korfu. Statek parowy, którego nie opuszczał przez dwie doby (od 3 do 4 września 1836.), leciał jak strzała, tryskając z pod stóp swych srebrzystą pianą, a dym niebieski puszczając czołem. Opis tej morskiej podróży, nie wpisany w dzienniku, zaginął prawdopodobnie na zawsze, pozostało tylko parę ołówkowych szkiców (okrętu, który płynął i t. p.) niezapełniających tej luki. Natomiast wrażenia z podróży po Grecyi, opisane w zaginionym liście do matki z Aten po 20. września 1837. r., odtwarza nasz „Dziennik podróży“ wierszem i rysunkiem. Grecya, pełna przecudnych ruin, zostawiła głębokie na nim wrażenie; wszystko, co tu widział i odczuwał, spadło na dno duszy, jak na wielkie źwierciadło bez skazy, w którem odbijało się piękniej, poetyczniej. W „Podróży do ziemi św.“ pozostały idealniejsze ślady tych zachwytów ziemią wolności....

Z Korfu, jednego z najpiękniej położonych miast nadmorskich, zdjął wcale udatny widoczek, jak data pod nim wskazuje, d. 7. września 1837. r.; nie przepomniał też twierdzy Santy-Maury (zwanej w starożytności Leukadyą), którą przyrównywał do ślubnej dziewicy z kwiatem na głowie, z tysiącem iskier w oczach, a z bukietem latarni portowej u boku. I Zante (dawne Zakyntos) „w szczerych szafirów oprawna lazury, dokoła niebem i morzem oblana“, pieściła oko i fantazyę poety. Jutrzenka „róż pełna i brylantów rosy“, wylatywała do niego z błękitnej fali morza Śródziemnego, z po-nad gór Lepantu, a za nią wychodziło „pozdrowić pielgrzyma polskiego“ słońce klasyczne, wiszące, jak zegar wieczysty, nad błękitnemi górami Patrasu.

Zdarzały się też, jak zwyczajnie w podróży, sceny tragikomicznej natury, jak ów „Nocleg w Vostizy“, w cichej oberży greckiej, „w tej klatce bez sufitu“, mającej „kształt kurnika“, gdzie go razem z towarzyszem podróży sprał deszcz do nitki. Do głębi wzruszających uczuć doznawał na wspomnienie Termopilów, Salaminy (przypominam wiersz p. n. „Wschód słońca nad Salaminą“), a zwłaszcza „Grobu Agamemnona“ w Mycenie.

Wiersz pod tym tytułem należy do najpiękniejszych owoców podróży J. Słowackiego na Wschód. Dziennik podróży razem z poematem ogłoszonym w „Pismach pośmiertnych“ p. t. „Podróż do ziemi świętej z Neapolu“ (Lwów, 1885. I. str. 119.) stanowią główne źródło do poznania tła, na którem osnuty jest wiersz niniejszy. Z itinerarium, zapisanego ołówkiem w Dzienniku: „wrzesień 2. do 3. podróż do Grecyi, 4. do 8. w Korfu, 10. w Patras, 12. w Vostizy, 13. w Megaspileon, 16. w Tripolizie, 17. w Neapoli do Romania, 18. *Argos*, 19. w Koryncie, 20. w Atenach, wnosić można na pewne, że Grób Agamemnona zwiedzał poeta 18. września 1836. i do tego czasu odnieść należy pierwszy zawiązek wiersza. Wrażenia te bowiem z podróży spisywał współcześnie wierszem i rysunkami.

W pięknem studyum Ferdynanda Hösicka p. t. J. Słowacki w Grecyi (od 24. sierpnia do 27. września 1836. r.) w „Kraju“ red. E. Piltz, Petersburg 1894. roku Nr. 1—6. tak opisano tę podróż grecką poety. O dwie wiorsty od Nauplii, z której wyruszyli J. Słowacki z Zenonem Brzozowskim dnia 18. września 1836. znajdują się ruiny zamku Tiryns, stojące na pograniczu starożytnej Argolidy. Ponieważ rzut oka na te zwaliska olbrzymich blokier najzupełniej wystarcza, nie zatrzymano się tu długo. Słowackiemu bowiem i Zenonowi pilno było zobaczyć Argos, od którego oddzielała ich godzina drogi zaledwie, a które, jako ojczyzna „króla królów“, Agamemnona, więcej budziło zajęcia aniżeli resztki dzieła Protusowego. Niestety, i tutaj czekało ich... rozczarowanie, to zwykłe uczucie podczas podróży. Na miejscu dawnego Argos, wsławionego, przez Homera i Eschyla, znaleźli... wioskę, porządniejszą wprawdzie i ludniejszą zapewne od bardzo wielu w Morei, ale wioskę, która, pomimo smukłych topoli włoskich, cytryn, pomarańcz i cyprysów, jakie ją zdobią, i pomimo malowniczego pejzażu, którym otoczona, morza z jednej strony, z drugiej zaś gór Cynurji i Arkadii, niczem nie przypomina możnej stolicy Atrydów. To też popasali tu bardzo krótko, spiesząc szeroką, piaszczystą drogą, śród rozległych pól, do wioski Charvati, gdzie mieli obejrzeć ruiny dawnej świątyni Junony, t. zw. „Heräonu“. Przedtem, opuszczając Argos, zwiedzili stary amfiteatr tamtejszy, wykuty w żywej skale,

a w którym, jak mówią, mogło się ongi pomieścić 20,000 widzów.

Po obejrzeniu „Heräonu“, podążyli do zwalisk Mycen, które już leżą w górach korynckich. Okolica nudna tutaj i pusta; gdzieniegdzie tylko, jak zwykle w okolicy niegdyś zamieszkanej, która nadto była widownią licznych wypadków, widać ślady dawnych murów, stosy gruzów, kamieni. Taką kupą gruzów jest także, między innemi, i słynny pałac Agamemnona i prowadząca doń jeszcze sławniejsza — brama lwów. Zarówno ta brama, jak i ten pałac, nie robiłby najmniejszego wrażenia, gdyby nie myśl, że tutaj rozegrał się straszny dramat, który później Eschylos unieśmiertelnił w swojej Orestei, że tutaj odbyła się owa uczta, na której Atreusz ugościł brata swojego, Tyestesa, potrawą przyrządzoną z mięsa dwów małych jego synków, że tutaj wiarołomna Klitemnestra, do spółki ze swym kochankiem Aegistem, zabiła powracającego z pod Troi Agamemnona i biedną Kassandrę, że tutaj, mszcząc śmierć ojca, zabił matkę swoją Orestes... Gdyby nie te wspomnienia, nie byłoby poco przyjeżdżać do Myken. Nie więcej interesu przedstawiałby w zwykłych warunkach znajdujący się nieopodal pałacu słynny grób Agamemnona, słynny od chwili zwłaszcza, kiedy w nim było smutno Słowackiemu... Będący tu na kilkanaście lat przed Słowackim jeszcze Chateaubriand tak grobowiec ten opisuje: „Jest to pomnik podziemny, okrągłego kształtu; światło do niego dochodzi przez otwór w sklepieniu; zresztą niczem się nie odznacza, chyba tylko prostotą budowy. Wchodzi się doń przez rozkop, dotykający do bramy grobowca. Brama ta ozdobioną była pilastrami z niebieskawego marmuru, wyciosanego w górach pobliskich. Lord Elgin kazał otworzyć ten grób i wyrzucić ziemię, która jego wnętrze zawalała. Niskie drzwi prowadzą z głównej izby do drugiej, mniejszej. Gdym się bacznie przypatrzył, poznałem, że ta druga izba jest prostym wykopem, zrobionym za obrębem grobowca; bo nie ma tam ścian murowanych. Małe drzwi były zapewne drugiem wnijściem do grobowca. Czyli też dawniej skrywał się on pod ziemią, jak rotunda w katakombach w Aleksandryi? Czyli też dawniej wznosił się nad ziemią, jak grób Cecylii Metelli w Rzymie? Czy był ozdobiony

architekturą zewnętrzną i jakiego porządku? wszystkie te kwestye pozostałe niewyjaśnione. Nic nie znaleziono w tym grobie i nie jest nawet rzeczą pewną, iż to był grób Agamemnona, o którym wspomina Pauzaniasz". O ileż piękniej, poetyczniej, plastyczniej wreszcie, opisał Słowacki ten „grobowiec sławy, zbrodni, pychy", w którym Atrydów popioły „śpią pod świerszczów strażą".

Z pól Meceńskich, gdzie natchnienie Słowackiego dosięgło jednego z najwyższych szczytów, jakie mu wogóle osiągnąć było sądzone, zdążyli jeszcze na noc 19. września 1836. do Koryntu, po drodze obejrzawszy ruiny Nemei, miejsce słynnych w starożytności *igrzysk Nemejskich*. Od chwili, jak wstąpił w grób Agamemnona, Juliusz był smutny, skwaszony, tak dalece, że to nawet, co zapisał w swoim „Dzienniku" zgoła niepodobnem było do pierwszych ośmiu piesni tego „rymowego baletu". Sykstyny, skreślone pod wpływem grobu Agamemnona, albo na widok żórawi, które „nad Koryntu górą rozciągnęły łańcuch ku północy" a rzucone na papier najniezawodniej wieczorem, po przybyciu do Koryntu, jeżeli zasługiwały na jaką teatralną nazwę, to nie baletu, którą to nazwą tak trafnie charakteryzowano lekki ton poematu, ale tragedyi. Poeta mówi w nich wyraźnie o swojej „piersi ponurej" w tej chwili, o swego „serca niedoli", o swojej „dzikiej tęsknocie", o swojej „myśli posępnej i ciemnej", o łzach, które tu miał w oczach, kiedy „wspomniał los swój"...

Po Juliuszu Słowackim zwiedził i opisał grób Agamemnona Henryk Bartsch, Listy z podróży po Grecyi i Sycylii. Warszawa 1875. str. 90—1.

W podróży do ziemi św. opisującej ostatnią batalię Greków przeciw Aleksandrowi, przebijają już myśli, które weszły niebawem w skład „Grobu Agamemnona".

Oto wódz naczelny
Demetrius, licznym dowodzący szykiem,
A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny:
Każdy z nich mocny, każdy bez nadziei...
Skąd są? — powstali z mogił *Cheronei*...

Wszyscy — prócz wodza!... ten nie zmartwych-
[wstanie,
Zabity mieczem zgubionej stolicy!
Lecz innych dusze jak w urnowym dzbanie
Chowane w piersiach marmurowej lwicy,
Która im była pomnikiem po śmierci,
Wyszły — i pomnik rozpadł się na ćwierci.

Pierś lwa rosnące strzaskały dusze!
I dzisiaj leży na samotnem polu,
Jak wielkim prochem rozsadzone kusze;
A głowa pełna przedwiecznego bolu
Padła na ziemię — zda się, że spoczywa,
Wydaną duszą smutna i straszliwa.

Długo Grek patrzał na tę lwicy głowę,
Jak na zamilkłe nieszczęściami wróżki,
Snycerz dał smutną marmurowi mowę;
Patrząc — słyszałem dwa słowa Kościuszki:
Finis Poloniae, przechowane w głazie,
Jak łza w kamieniu — albo myśl w obrazie.

O *Cheroneo!* o Maciejowice!
Cyt... coś białego śród liści jaśnieje..
Ach nie! to tylko białe gołębice
Przez ogrodową leciały aleję...
Chodź znowu, książko na kwiaty rzucona,
Będę znów czytał — to jeszcze nie ona.

Pieniędzy, krzyczą — Grek rzuca na szalę
Dyamentową oprawę pałasza;
Nie dosyć jeszcze — rzucił miecza stale,
Płaci żelazem... Już Ibrachim basza,
Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,
Lub jak waląca się z gór piramida,

Spada na Grecyą. — Gdzie są *Termopile*,
Po których niegdyś wąż Xerxesa przelazł?
Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile
Licząc, nie drżeli — i marli?... Zavellas

W polach Klissowy z ośmą set człowieka
Zastąpił drogę dwom baszom — i czeka.

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;
Zda się, że patrząc w trup *Leonidasa*,
Patrząc głęboko — czekam, aż ożyje: —
A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa,
Ani lecący aleją gołąbek
Nie obłąkały mych oczu, na ząbek.

. . . .

I znowu książkę rozłożyłem białą
I zimne karty zacząłem całować,
Wołając: Greki, niechaj ginę z chwałą!
Wy mnie nauczcie, jak wrogów mordować,
Jak rzucić drogę marzeń księżycową
Z umarłem sercem i z twarzą surową...

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa,
Stężałem członki, krew czując na licu...
Słyszycie tętent?... to koń Botzarisa!
W obóz turecki leci po księżycu;
A nim się straże obudzone zwarły,
Botzaris w baszy namiot wpadł — umarły...

Botzaris jeden z najdzielniejszych przywódców powstania w Grecyi (1820. r.). Osaczony w Missolungi, które się poddać musiało, powziął myśl ocalenia miasta przez wycieczkę. W 200 ludzi napadł w nocy na obóz turecki i wielką w nim rzeź sprawił, ale padł od kuli. Do tego czynu robi tu poeta aluzyą.

Porównaj jeszcze „Podróż do ziemi świętej z Neapolu" pieśń IX. zwrotkę 24., tudzież „Wschód słońca nad Salaminą".

Pierwsza wiadomość o podróży na Wschód, w liście Juliusza do matki, datowaną jest z Neapolu dnia 24. sierpnia 1836. Droga moja! Zdziwisz się zapewne, odebrawszy list ten, na wsiadaniu prawie pisany. Wyjeżdżam na Wschód do Grecyi, do Egiptu i do Jerozolimy; projekt ten odda-

wna zrobiony i kilka razy odrzucony odemnie jako nadto straszne przedsięwzięcie, przyszedł nakoniec do skutku; odbędę sześciomiesięczną wędrówkę w towarzystwie Zenona Brzozowskiego (szwagra Władysława Zamojskiego) i w Aleksandryi połączę się z dwoma moimi współtowarzyszami podróży, Hołyńskimi (Aleksandrem i Stefanem); będzie więc nas czterech żeglujących po Nilu. Nie lękaj się o mnie, moja droga, ani frasuj się o sposoby dosyłania mi czego. Mam wszystko zabezpieczone a Teofilowie powiedzą ci, czego potem żądać będę. Dziś wieczór o godzinie 12. w nocy wyjeżdżam z Neapolu do Otranto. Stamtąd do Corfu, z Corfu do Aten, z Aten do Aleksandryi.

Spodziewam się, że ta podróż będzie mi użyteczną, chociażby tylko ustaliła moc charakteru, którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy, połączonej z trudami znacznymi, to już dosyć będę miał korzyści. Obaczę nowe kraje, nowych ludzi, będę żył z nimi, będzie mię nosił wielbłąd karawany i pomyślę o śmierci na grobie Chrystusa. Będę się tam modlił za tych, których kocham, a potem z sercem pełnem pamiątek i obrazów wrócę do jakiej cichej europejskiej samotności.

Lękam się, moja droga, abyś ty mi za złe tej podróży nie wzięła, ale cóż robić było z moimi kolegami, którzy mię tak zręcznie namówili i związali przyrzeczeniami, że się na odmówienie zdobyć nie mogłem. Zresztą wierz mi, droga, że podróż ta, która ci się nadzwyczajną wydawać będzie, widziana z brzegu Śródziemnego morza, nie tak straszną się wydaje; z Aten zapewne pisać będę. Smutno mi Teofilów rzucać. Ostatnie dni naszego tu pobytu prawie razem przepędzamy i mile nam przeszły na rozmowie smutnej ostatnie te godziny naszego widzenia się. Teofilowie zawiozą ci, droga moja, wanienkę z lawy (jestto piecząteczka mała z Homerem, którą ci w wanience posyłam) na łzy po Julku, w tych łzach będziesz kąpać maleńkiego mojego przyjaciela niegdyś w dzieciństwie, Homera, a ja idę zwiedzić miejsce śmierci Hektora i wołać głośno Milcyadesa na pustych Maratonu równinach. Wyznaj mi, droga, że mię jakiś niewiadomy duch z miejsca na miejsce spędza jak zmordowanego gołębia, nie pozwalając mi zasnąć, kiedy na jakiej gałęzi usiędę. Pomimo

uporu, jaki nieruchomość moja stawia tej niewidomej władzy, ona mię wystrychnąć gotowa na wielkiego wojażera.

Adieu! Przyrzekam ci, że w najpiękniejszych miejscach, tam, gdzie najwięcej wspomnień rzeczy marzonych w dzieciństwie będzie się cisnęło do mojej duszy, będę myślał o tobie, droga moja: bo kiedy o Grekach dawnych czytałem, to oczy moje, zwrócone z książki, co dnia spotykały twarz twoją; więc i dziś, patrząc na ich pomniki, będzie ciebie szukał w powietrzu oczyma — Twój Juliusz.

W „Dzienniku podróży", zapisuje na samym początku: „Otranto, dnia 29. sierpnia 1836. r. poniedziałek. Puściłem się nareszcie w moją pobożną wędrówkę przez Grecyę, Egipt do Jeruzalem; i stoję już nad brzegiem morza adryatyckiego (cały ten początek przekreślony) tak, iż, podniosłszy nogę i wstąpiwszy na pierwszą falę bijącą o brzeg piaszczysty, mogę dać pożegnanie Włochom; czekam tylko na statek kuryerski, przypływający co tygodnia do Otranto i z tego miasta wracający do Korfu, aby się dostać do tego anglo-greckiego miasta. Nie rozumiesz zapewne, moja droga, (widocznie Słowacki miał zamiar pisać ten dziennik dla matki) co mnie do takiej nakłoniło podróży, że sam prawdziwie nie mogę sobie wytłómaczyć, dlaczego z takim smutnym zapałem rzucam się w świat nieznajomy, pełny niebezpieczeństwa, gdy w Grecyi rozboje, w Egipcie zaraza panuje. Myślisz że chcę się coraz bardziej oddalić od ludzi. Dlaczego? „Ostatni wiersz również przekreślony. Autograf tego „Dziennika podróży", z którego tu korzystam, jest własnością Leopolda Méyeta.

Z Liworna, zapisuje dnia 11. lipca 1837.: Grecya, pełna ruin przecudownych, podobała mi się bardzo i bardziej niż Rzym mię zachwyciła. Dopiero Egipt zatarł Grecyę w mojej pamięci.

Jeszcze w liście z Florencyi 21. sierpnia, 1837. wraca do tych wspomnień na ziemi klasycznej: O! piękniej było, kiedy sam siedziałem przy księżycu, między kolumnami olbrzymiego kościoła Jowisza, u stóp Akropolis Ateńskiej: wiatr, przedzierając się przez te kolumny, grał na nich jak na organie. O! wiele ja miał cudownych chwil w życiu; na co więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie

mojej duszy? gwiazda, co mi świeci, piękniejszą jest od wielu innych. Ty rano wstajesz, Filu, szukaj o godzinie 4-tej wschodzącej konstelacyi Oriona na wschodzie, a obaczysz gwiazdę moją ukochaną, która mię przez cały rok prowadziła; gwiazdy są tak ułożone:

*
*   *
*
* * * *

Pierwszy raz poznałem się w Grecyi z tą lutnią niebieską. Za dwa miesiące ujrzysz ją wschodzącą o 8-mej wieczorem.

O! moja ty droga — pisze w liście do matki w listopadzie 1839. — jakby mi było dobrze przy tobie, jakbym ja chętnie usiadł do twego obiadku i drwił wtenczas z tych, co mnie nie rozumieją; wszystkoby odżyło wtenczas we mnie, znówbym zaczął płakać nad Homerem, a tybyś bajeczkom sens moralny dorabiała. Czy wiesz, że ja *siedziałem sam jeden całą godzinę w grobie Agamemnona, i myślałem o moich blaszanych zbrojach, zalewając się łzami, a świerszcze polne mówiły płaczącemu*: *csyt* — jak gdyby nimfy przeszłości nakazujące milczenie.

W wierszu p. t. „Grób Agamemnona" (zwrotka IV. wiersz 19—24.) zapisane to samo wrażenie:

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie
Sykają. — Strasznym jest Rapsodu końcem
Owo sykanie co się w grobach słyszy —
Jest objawieniem, hymnem, pieśnią ciszy.

Żeby napisany 1836. rok pierwszy rzut tego „ułamku z podróży greckiej" był tym samym, który ogłosił poeta po raz pierwszy przy „Lilli Wenedzie" w Paryżu 1840. r. trudno przypuścić, ale nie ma też dowodów na to, żeby wiersz ten powstał dopiero 1839. jakby to sądzić można z następującej wzmianki:

„W grudniu **1839**. r. czytał Słowacki nową swą poezyę o *Neapolu i Grecyi* w Towarzystwie hist.-liter. w Paryżu. (L. Gadon. „Z życia Polaków we Francyi — 50-letnie koleje Towarzystwa Historyczno-literackiego", 1832. do 82. Paryż, 1883. str. 43.).

Dr. Józef Tretiak w ocenie książki A. Małeckiego o Słowackim (w „Przewodniku naukowym i literackim", 1881. str. 278.) dowodzi, że „Podróż do Ziemi świętej" której cząstką jest „Grób Agamemnona" pisaną była a nawet przepisaną na czysto, jeszcze przed przybyciem poety do Aleksandryi" (tj. przed 12. października 1836. r.).

Ferdynand Hösick w rozprawie „J. Słowacki w Egipcie", w „Bluszczu" 1894. nr. 2. str. 13. wykazuje, że „Podróż do Ziemi św.", pisaną dorywczo w Grecyi, przepisał na czysto w Hermupolis, w stolicy wyspy Syra, najważniejszego miasta Archipelagu, gdzie czekał na okręt od 28. września do 12. października 1836.

Prawdopodobnie więc należy odnieść pomysł wiersza do podróży greckiej we wrześniu 1836. a wykończenie do pobytu w Paryżu około 1839. roku, jak to potwierdzają listy poety do matki.

Forma wiersza, i sam tytuł: „Ułamek z greckiej podróży", wskazuje na to, że „Grób Agamemnona" jest cześcią z większej całości, poświęconej opisowi Podróży do Ziemi świętej, ogłoszonemu dopiero po śmierci poety. Dowodzi tego i autograf.

Ustęp bowiem z Podróży na Wschód zaczynający się od wierszy:

Nie — nie, dopóki będziesz ręką drżącą
Zakrywać piersi puste — owdowiałe,
To ja nie klęknę, nawet przed klęczącą,

drukiem ogłoszony dopiero w „Przeglądzie Polskim" 1868 str. 65., łączy „Grób Agamemnona" z fragmentem, który ma napis „Wschód słońca nad Salaminą", i powinienby znaleść miejsce pomiędzy stroną 182. a 183. pierwszego tomu Pism pośmiertnych J. Słowackiego, Lwów, 1866. Autograf ten rozpoczynający się od ostatnich strof „Grobu Agamemnona" wiążących się widocznie ze „Wschodem słońca nad Salaminą", znajduje się w ręku pana Leona Kaplińskiego w Paryżu, „Przegląd Polski" zeszyt styczniowy 1868, str. 65.

I Małecki uważa „Grób Agamemnona" za integralną część VIII-ej. pieśni Podróży wschodniej i to za jej część

środkową, przeczy tylko pośredniemu związkowi z wierszem pt. „Wschód słońca nad Salaminą“ (A. Małecki, Jul. Słowacki, Lwów, 1881. tom II. str. 104—5. i tom III. 258. do 270.).

Poemat osnuty z wrażeń podróży, zamierzony w daleko rozleglejszych rozmiarach, miał objąć w sobie celniejsze wspomnienia i przygody, zaszłe w ciągu kilkumiesięcznej podróży autora po Grecyi, Egipcie i Palestynie. Zaczął je opowiadać tonem lekkim, jak lot motyla, którego z takiem powodzeniem użył i Byron w Czajld-Haroldzie do złożenia w kształt poematu wspomnień swojej pierwszej podróży. Była to pierwsza próba Słowackiego w tym rodzaju poezyi. Okazuje się tak z tej już pracy, jako i z Beniowskiego, że miał Słowacki szczególny dar do rzeźbienia tych strof dziwacznych, wypowiadających posłuszeństwo wszelkim utartym prawidłom sztuki, smagających wszystko co mu się widzi głupiem i przewrotnem.

Prof. Jan Amborski w wyd. „Podróży do Ziemi Świętej z Neapolu 1836“. (Pisma pośm. J. Słowackiego, Lwów, 1885. I. 120.) zebrawszy to, co z tego poematu było drukowane w pierwszem wyd. Pism pośmiertnych i to, co znajduje się w „Dzienniku z podróży“, podaje w porządku wskazanym przez wpisany tu *itinéraire* podróży Słowackzego najprzód pieśń I. (drugiej nie ma) nast. III.—VIII., z tej ostatniej, niedokończonej powstał wiersz „Do Teofila Januszewskiego“. W porządku czasu idzie „Grób Agamemnona“, koniec pieśni VIII. i pieśń IX., na której poemat się urywa. Tuż po niej dołączono „Wschód słońca nad Salaminą“ „acz nie należący do poematu“ i inną formą skreślony, ale zbliżony treścią. Układ ten dowodzi także podanej przez nas genezy „Grobu Agamemnona“.

Wrażenie i wpływ tego wiersza były ogromne.

Zofia Komierowska, której dziennik pisany w Paryżu 1853. drukował „Bluszcz“ Warszawa. 1889. Nr. 1—6. opowiada że A. Mickiewicz deklamował w domu ten wiersz swego współzawodnika, i przytem z taką siłą, iż słuchającej go pani Komierowskiej „zdało się, że gromy z nieba lecą“. (Do charakterystyki wieszcza przez G. Udz. w „Przeglądzie literackim“. Dodatku do „Kraju“ Petersburg z (14). czerwca 1889. nr. 29.).

„Grób Agamemnona“, wyrażający w pierwszej części smutek i rezygnacyę poety na widok znikomych szczątków sławy i wielkości, podnosi się w drugiej do wyrzutów miotanych narodowi za bierne znoszenie niewoli. Poeta wzywa więc Polaków, ażeby zrzuciwszy kontusze przepasane złotymi pasami, ujęli za miecz — rewolucyjny i w tem objawia się radykalizm Słowackiego. Wiersz mistrzowski, przystosowany nawet w obrazowaniu do sytuacyi, celujący zaletami rzeźby greckiej z klasycznego okresu, należy do najpiękniejszych w naszej literaturze. Deklamują go też powszechnie (na wieczorkach, obchodach uroczystych itp.).

W obozie szlacheckim napotkał wiersz ten na silną opozycyę. Jeden z przytoczonych poniżej poetów ujął się za „kontuszem i pasem“ poniewieranymi przez poetę, przypominając mu Rejtana, którego mieni być godnym Leonidasa.

Odpowiedź na wiersz JULIUSZA SŁOWACKIEGO „Na Grobie Agamemnona“.

„Bez czerwonego leży trup kontusza“. —
Słowacki tamże.

Zgasły wieszczu! słynny pieniem,
Podróżami i cierpieniem,
Coś tam śpiewał troską blady
Nad brzegami gdzieś Trojady;
A porównań szczytnych chciwy
I w wyborze nieszczęśliwy:
Uwielbiał Leonidasa,
Że bez kontusza i pasa!
Patrz, dokąd cię spleen wrażliwy
I gniew uniósł uszczypliwy!
Ty, coś przodków chody stare,
Ich zwyczaje, ich kontusze,
Te sarmackie wzniosłe dusze
W rubaszną powlókł maszkarę,

Spojrzyj wieszczu na Rejtana,
Jak ta postać nieskalana,
Mąż ów kontuszowy złoty,
Staropolskiej wzór ten cnoty,
U obradnej izby progu
Krzywdy nasze zlecał Bogu!
Gdy tłum trwożny go odbieżał,
Bez pokarmu trzy dni leżał
I w przekonań wzniosłej sile,
Grecyi przypomniawszy chwile,
Tam powtórzył Termopile!....

* * *

Aleź nad Skamandru strugą
Czyś się wieszczu nie rumienił,
Gdyś naszą Polskę: papugą,
Pawiem narodów być mienił?!
Czy paw to, co pod Kluszynem
Toczył boje z Moskwicinem?
Papugaż nad Vindoboną
Łunę wznieciła czerwoną!?
O! zaprawdę! chciałbym długo
Być tym pawiem i papugą!....

* * *

Wieszczu! natchnień świetnych synie,
Nie urągaj swej drużynie;
Greczyn we mgle wieków zbladły
Swoim blaskiem Cię omamił;
Bo Twój naród, choć upadły,
To przed Bogiem się nie splamił!...
Śledź narodów obu dzieje
Jakąż ujrzyż w nich różnicę:
Oni mieli Cheroneję,
My mieli Maciejowice!
W ich posady wróg — niezgody,
Macedończyk klęski siał;
I na nasze też zagrody
Padł trzechkrotny gromu strzał!...

* * *

Więc nasz żupan wart Chlamidy,
Karabela godna dzidy;
A te świetne gdzieś kontusze,
W pleśni wieków nadbutwiałe,
Przypomną nam animusze
Starej Polski, godnej chwały!
Odmieńcie ją jak marzycie:
Wspanialszej nie utworzycie!...

* * *

Więc lubom był niegodny odpiąć Ci trzewika,
Tobie, którego pienie na skróś mię przenika,
Tobie, któryś w marzeniach przesadzał rodaki,
Coś sercem był mi równy, smakiem niejednaki:
Na pradziadów ległych grobie,
Słynny wieszczu! powiem Tobie,
Tobie coś nienawidził *kontusza i pasa*,
Że nasz *Rejtan w kontuszu* wart *Leonidasa*.

A. z I. K—i.

W odpowiedzi na ten wiersz, ogłoszony w „Czasie", 7. listopada, 1863. nr. 255. napisał Wł. Waga, wcześnie zgasły romantyk, obronę tłómaczącą najlepiej myśl wieszcza.

Pamięci
JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

(Z powodu wiersza pt.: „Odpowiedź na wiersz Słowackiego Na grobie Agamemnona").

„Mówię, bom smutny i sam pełen winy".
J. Słowacki „Grób Agamemnona".

Gdy zrozpaczony na grobie zasiadłeś,
Wołać do życia nie łzą lecz piorunem,
Mistrzu! ty wtenczas na duchu nie padłeś,
Łez nie roniłeś nad Polski całunem,

A biłeś w serce, by do głębi zmierzyć,
Czy lud ten zdolen wstać zmartwych lub nie żyć.

*

Słuchaczy głuchych chciałeś mieć ku sobie,
I nieme serca rozgrzać przy swem łonie,
Wołałeś na nich: nie klęczcie na grobie,
Gdy macie wstydem zrumienione skronie,
Wstańcie i pójdźcie do boju.... zhańbieni!
I wyjdźcie wolni z wichrów i płomieni!

*

Wywlokłeś przed nich trup Leonidasów,
Co w nagiej pięści ściskał grot skrwawiony,
I zawołałeś do złocistych pasów:
„Na Termopile narodzie zhańbiony,
Na Termopile", — lecz brzęki łancucha
Pieśń twą zgłuszyły, bo nie było ducha....

*

A były lśniące pasy na żupanie
I karabele pradziadowskie były....
Jednak tonęła w złotym roztruchanie
Wolność, odwaga i reszta jej siły,
Co w czyn przelana prowadzi z okrzykiem:
Pierwej umierać! niż żyć niewolnikiem!

*

Wtenczas rzuciłeś w rozpacznej boleści
Grom, co miał wstrząsnąć odrętwiałem łonem
Pawia narodów bez sromu i cześci,
Gdy w pętach leżał upadły przed tronem,
Błyszczący pasem ostre miecze złożył
I jak niewolnik przed panem się korzył!

*

Pobladłeś wtenczas smutny syn pogrzebu!
Z żalu zamilkły twoje struny wieszcze,
I wzniosłeś oczy błagalne ku niebu,
Ażali słońce nie ściemniało jeszcze

Nad tym narodem, co padł przez tyrany,
Chociaż miał miecze i kraśne żupany!

*

A nowożytne dziś Leonidasy
Bez mieczów przecie pobiegli na harce,
Nie dały broni pozłociste pasy,
Z kijem poczęto i w prostej czamarce.
Za dawne grzbiety i *jasne kontusze*
Na szubienicy giną wielkie dusze!

Władysław Waga.

(„Dziennik literacki“, red. J. Dobrzański. Lwów, 1863. Nr. 96. str. 76. Wiersz pisany 7. listopada.).

Ze wszystkich utworów Słowackiego wiersz ten najbardziej entuzyazmował wielbicieli poety i dlatego należy żałować, że Małecki nie wypowiedział o nim swego zdania. Rozbiór St. Tarnowskiego, który w krytyce dzieła Małeckiego poświęcił mu w Przeglądzie Polskim z r. 1867. cały ustęp, zasługuje na dokładne rozpatrzenie: I on uważa „Grób Agamemnona“ za część „Podróży do ziemi świętej“. O tej ostatniej, — powiada — obiegały przed wyjściem, różne pogłoski. Gdzieniegdzie pojawiały się urywane wyjątki, niecierpliwość była wielka i powszechna z góry sympatya dla nieznanego poematu, o którym słychać było wieści, że jest cały przetkany melancholicznemi wspomnieniami dawnej Grecyi, cały przejęty Homerem i Eschylem. Wierzyć było łatwo, bo sama treść uprawniała do wiary; każdy przypuszczał, że fantastyczna muza Słowackiego znajdzie się w właściwym sobie żywiole i zaczerpnie w Grecyi natchnienia do niezwykłych piękności. Wyszły wreszcie ocalone fragmenta poematu, i... sprawiły pewne rozczarowanie. Podróż na Wschód wydaje się jak żeby była przygotowaniem do Beniowskiego, pierwszą próbą sił w tym rodzaju poezyi, jak studyum zrobione dla wprawy, przed rozpoczęciem większego dzieła.

Humor i dowcip zjawia się w tych strofach zwrotami jakimiś sztucznymi i ciężkimi, jak żeby nie sam z siebie płynął, ale z postanowienia i z góry powziętego przedsięwzięcia. Fantazya też poety, zmuszona trzymać się

rzeczywistych przedmiotów i szczegółów, opuszcza skrzydła, jak żeby ten lot poziomy nie był jej właściwym, zatrzymuje się na szczegółach, z których nie może zrobić nic pięknego ani też humorystycznego. Do tej nieskończonej całości jednak należy jeden z tych ustępów, w których natchnienie Słowackiego wzniosło się najwyżej: „Grób Agamemnona“.

Naprzód budzi w nim ta pamiątka po klasycznych królach, bohaterach i zbrodniarzach, zadumanie głębokie i smutne, jak żeby pytał: co się stało z tą pierwotną pięknością człowieka, dla czego już dziś nic nie zbudzi prostych, płaskorzeźbowych kształtów Homera, ani prostych, głośnych krzyków Sofokla. Świerszcze polne sykają tak samo jak wtedy, tak samo „cząbry gór spalonych pachną“, zda się, że gdzieś nad potokiem zjawi się prześladowana Elektra w sukniach niewolnicy... lecz kiedy chciał schwycić złotą strunę z harfy Homera i „przymusić do łez i śpiewu i złości“, „to struna drgnęła i pękła bez jęku“. Jak mi smutno!

Następuje zwrot najszczytniejszy, przeskok z poetycznej melancholii do patryotycznej żałości: zestawienie walk Termopilskich i Maratońskich z naszemi, wspomnienie powszechnego bohaterstwa ludzi, którzy przegranej przeżyć nie umieli, porównanie, które go przejmuje wstydem za własny naród, co jest może szczytem jego uczucia, jego natchnienia, całej jego poezyi:

...jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe
Potem spytali wręcz: „Wielu was było?“

Jest coś rozpaczliwego, coś strasznego w tym wykrzyku, jest taki wyrzut surowy, że się spuszcza oczy i stoi jak winowajca. Że słowa te nie mają bezwzględnej słuszności i że literalnie brać ich nie można, to każdy widzi, przeżyć klęskę nie jest to siebie i sprawę opuścić, jeżeli się rąk i ducha nie opuszcza, ginąć jak Kartagina jest bohaterstwem dostępnem dla jednego miasta, nie dla milionów, i dobrem wtedy tylko, gdy śmierć narodu jest oczywistą nie uniknioną. Ale nie znam, powiada Tarnowski, słów

drugich w naszej poezyi, któreby więcej od tych mogły targnąć za serce, i gdyby teraz jeszcze poeci wierszem zagrzewali do boju, jak niegdyś Tyrteusz, to ten wiersz, a nie inny, trzebaby śpiewać przed szeregami; żołnierz, któryby go usłyszał, takby się wzbił w ambicye, takby się uniósł żądzą zmycia ze siebie zarzutu, że z pewnością nasi zwyciężyliby lub zginęli do ostatniego, i nie wróciłoby wtedy smutne pół rycerzy żywych.

Powyżej, rachując Słowackiemu za zasługę, że nie był nigdy swego narodu pochlebcą, ale śmiało i otwarcie umiał mu mówić prawdy ostre i gorżkie, ma St. Tarnowski na myśli ten ustęp, którym on narodowi taki rzuca w oczy wstyd i takie upokorzenie. Nieszczęściem tak jak we wszystkich poprzednich utworach, tak i tu nie zachował miary, dał się porwać oburzeniem i goryczą, i „Grób Agamemnona“ w ostatnich strofach z surowego staje się niesprawiedliwym, a z wyrzutu przechodzi w niezasłużoną i niedozwoloną obelgę Ojczyzny. Nie chcemy się kłócić o wyrazy, powiada Tarnowski, choć takie słowa jak „cielsko“, jak „szczekanie“, jak „sięgnę do twoich trzewiów i zatargam“, nie wydają nam się uprawnionemi w poezyi. Ale mniejsza o słowa, kiedy powstać trzeba przeciw myśli. „Pawiem narodów byłaś i papugą?“ Kiedyż to i gdzie? „Wszystkie nasze narodowe wady, wszystkie grzechy naszej historyi, jakkolwiek wielkie i liczne, nie zasługują na taką zniewagę. Poczuwamy się do lekkomyślności, choćby do bezmyślności nawet, do próżności i do pychy, ale żeby Polska była między narodami pawiem i papugą, to nie prawda, a gdyby nawet i prawdą było, to jeszcze żadnemu z nas do tej prawdy przyznać się nie godzi. Ale nie, to nie jest prawdą, a ten poeta, który tak pięknie swój wiersz zaczął, mści się tylko w końcu nad narodem, który go nie postawił wyżej, niż był wart, i lży go ze złości. Nie, nie papugi zrobiły unię z Litwą i konstytucyę Trzeciego Maja, nie pawie chodziły pod Grunwald i Wiedeń, nie one biły się przez wieki z Turkiem i z Moskalem za spokój i postęp szczęśliwszego, zachodniego świata. A jak dawna Polska nie papugą i pawiem, tak dzisiejsza nie jest niewolnicą, i nie była nią nigdy i dzięki Bogu nie czuć, żeby się nią stawała. On sam to wiedział, on raz świadczył przed Bo-

giem, żeśmy „ducha nie dali“, i wtedy mówił prawdę — nie daliśmy, do dziś dnia jeszcześmy go nie dali, i dla tego nie jesteśmy niewolnikami i w tem jest nadzieja i dowód, że się nimi nie staniemy.

„Nie masz władzy przekląć?“ — Nie — Polska tylko nie raczy przekląć zuchwałego pyszałka, bo wie, że trzeba mieć pobłażanie dla ludzi chorobliwych i w zbyt ścisły nie wchodzić z nimi rachunek, że trzeba im przebaczyć, bo często nie wiedzą co mówią i sami później swoich słów żałują, bo na zuchwałą pychę najlepszą karą jest łaskawe przebaczenie. Do tego przebaczenia, którego mu naród już dawno udzielił, ma biedny poeta prawo niezaprzeczone, ale słowa jego, choć przebaczone, przejmują nas przecie szczerym nad nim smutkiem. Bo wiesz poeto, który piszesz o pęknięciu serca i drugim je umiesz zarzucać, wiesz, co tego pęknięcia jest najpewniejszą wskazówką? oto pogarda Ojczyzny“. — Tyle St. Tarnowski.

I dr. J. Tretiak wystąpił z ostrą krytyką tego wiersza, który przy całej sile natchnienia posiada, zdaniem jego, organiczną wadę mowy Słowackiego tj. brak prawdy tak w wyrażeniu, jak w idei i uczuciu.

Analizując „Grób Agamemnona“ rozdziela go na dwie wyraźnie oddzielające się od siebie części. W pierwszej panuje uczucie podobne do tego, które natchnęło „Hymn“ na morzu. Jak tam wobec ogromu morza, tak tu w obec ogromu wieków i sławy, po której tylko garstka prochu została pamiątką, uczuwa poeta znikomość swoją i znikomość wszystkiego, co ludzkie.

Ale to uczucie znikomości i małości jego „nie trwa nawet godzinę“; blask słoneczny budzi w nim przycichłą na chwilkę żądzę sławy, która go jak gorączka trawiła przez całe życie.

Uspiona na chwilę hydra budzi się, i wstrząsa całym poetą.

...i tak pełny wstrętu —
Na koń! Chcę słońca i wichru, tętentu!

Od tego wiersza zaczyna się druga część „Grobu Agamemnona“, wcale niepodobna do pierwszej. Znika tu realizm przedstawienia, przejrzysty koloryt zachodzi mę-

tami i wrzawą, miejsce spokojnego smutku zajmuje furya uczuć, ziejąca oburzeniem, gniewem, groźbami, obelgami. Śledząc uważnie tok myśli poematu, możnaby posądzić poetę, iż dosiadł fantastycznego rumaka na to tylko, aby zemścić się na narodzie, wśród którego znajdował tylko „słuchaczów głuchych“.

Przy tej sposobności cofa się dr. Tretiak do czasów powstania listopadowego, przypominając nagły wyjazd poety z Warszawy w tak krytycznej dobie.

Jeżeli — powiada — w istocie p. Małecki przeniknął tajemnicę, jeżeli powodem wyjazdu Słowackiego za granicę była broszura Lelewela, to był to powód nie przynoszący wcale zaszczytu charakterowi poety. Podług Tretiaka powinno było być napiętnowanie w niej ojczyma pobudką dla poety nietylko do zostania w kraju, ale i do wzięcia czynnego udziału w walce, do której sam zagrzewał. Jakto? na patryotyczną sławę imienia, które nosi jego matka, cień pada z wysoka i z tego powodu aż duszno się robi poecie w stolicy, ale dla naprawienia hańby i zniewagi, obmyśla on sposób, który ma wszelkie pozory ucieczki, który tylko do utrwalenia hańby, ale nie do jej zmycia może się przyczynić!

Sam poeta w „Grobie Agamemnona“ wyzywa niejako do takiego zmierzenia jego patryotyzmu. Miara wypada niepochlebnie dla poety, okazuje się bowiem, że on, który na chwilę nawet nie chciał narazić swego życia w obronie ojczyzny, nie miał prawa wymagać Leonidasowego bohaterstwa od tych, którzy przecież nieśli, choć nie do końca, życie w ofierze. J. Tretiak „Przewodnik naukowy i literacki“. Lwów 1881., str. 374 i nast.

Ujemny sąd o tym wierszu Słowackiego wypowiada także J. Kotarbiński w studyum swem o Słowackim.

„Grób Agamemnona“ — powiada on — to marzenie poety, pod wpływem piekącego uczucia niedoli narodu, zamienia się ono w ryk. Któż nie zna tego piorunującego ustępu, co w ostatnich strofach staje się orgią szalonego gniewu. Słusznie, stokroć słusznie powiedziano Słowackiemu, że miotał się tu bez pamięci, na wspólną matkę naszą, której syn winien ręce całować, choćby nawet grzeszna była.

Ale nawet w tem miotaniu i klątwach piorunowych znać rozpacz człowieka, którego torturuje ból społeczny. Zgrzeszył tu Słowacki popędliwością, bo nawet namiętny Byron nie porywał się nigdy tak szalenie na ziemię rodzinną, chociaż miał daleko większe do tego powody. Zapędził się nasz poeta w roli grzmiącego Jowisza, mniemał, że stworzy cuda duchowe potężnym łoskotem frazesów. Ale potępienie „rubasznego czerepu“, który więził duszę narodu polskiego, klątwa i zaklęcie odganiające marę kastowości szlacheckiej, wszystko to razem połączone z piorunującą siłą słowa, utrzymuje i utrzymywać będzie szaloną wziętość tego poematu. J. Kotarbiński: Byrona „Do Żuan“ i Słowackiego „Beniowski“, Ateneum. Warszawa 1889., II. 8. i nast.

Dopiero dr. M. Zdziechowski rehabilituje wzniosłą myśl wieszcza narodowego. Tak wspaniałej i głębokiej skargi — są słowa jego — na upadek ojczyzny nie pisał żaden z poetów naszych. Nie rzuca tu Słowacki ślepych przekleństw na los, ani się wdaje w płaczliwe jego narzekania, lecz wzrusza nasze serca, malując swój wstyd i upokorzenie, że przeżył skon ojczyzny, że z łańcuchem na szyi, a z piętnem helota na duszy ujrzał się w Termopilach u grobów bohaterów Grecyi, którzy woleli poledz, niż zhańbić się niewolą.

Skądże bowiem mogła wypływać ta nienawiść do kontuszów i do pasów złotych, jeśli nie z żalu nad brakiem łączności pomiędzy szlachtą a ludem, jeśli nie z przekonania, że tylko demokratyczna, ludowa Polska może mieć przyszłość przed sobą. Maryan Zdziechowski, Mesyaniści. i Słowianofile. Kraków 1888., str. 100—1.

Str. 7. w. **1.** (tytuł). *Grób Agamemnona* był w Mycenie (Mykene), starożytnem mieście greckiem, w północnym kącie niziny Argolskiej (w Peloponezie). Stolica państewka Agamemnowego, zdobyta i zburzona przez Argiwów 463. przed Chr. nie mogła już do dawnej przyjść świetności i za czasów Strabona przedstawiała już tylko zwaliska. Porozrzucane owe gruzy leżą w pobliżu wsi Charwati (koło Argos) i składają się z olbrzymich murów cyklopowych, ze sławną lwią bramą, ze skarbca Atreusza czyli grobowca Agamemnona. Ruiny te, badane już przez francuską ekspe-

dycyę 1822. r. poznano dopiero dokładniej przez słynne wykopaliska Schliemanna 1876—7. Por. Schliemann: Mykenae, Leipzig 1878. Furtwangler und Leschke: Mykenische Thongefässe, Berlin 1879. Steffen: Karten von Mykenae. Berlin 1884.

Jak silne wrażenie zrobiły na Słowackim ruiny dawnej wielkości w stolicy państwa Agamemnona, dowodzi między innemi widok grobu Agamemnona, zachowany w „Dzienniku podróży" o czem wspomina Ferdynand Hösick w studyum p. t. Juliusz Słowacki w Egipcie. (Bluszcz, 1894. r. Nr. 4. str. 28.)

Józefa Weyssenhoffa „Dziennik z podróży po Grecyi" tak opisuje to pamiętne w naszej literaturze miejsce. Mikeny — to nie wycieczka do ciekawych gruzów, jeno całe objawienie greckiego życia z epoki przed wojną trojańską. Już sam krajobraz usposabia uroczyście, bo dojechawszy do wioski Charwati, opuszcza się równinę argolską i pieszo iść trzeba w pielgrzymkę do dawnego dziedzictwa Atrydów. Pochyła, zacieśniająca się coraz bardziej między górami dolina, nosi na sobie zamek i grobowce królów. Cała ta ława ziemi jest umarła i odbija żółtym piaskiem, żwirem wyschłych potoków, od żyznej i zielonej Argolidy.

Nie dziw więc, że Słowacki wyniósł stąd jeden z najsmutniejszych wierszy, gdy siedział „cichy w kopule podziemnej, co krwią Atrydów zwalana okrótną". W kopule tej, zwanej dawniej „grobem Agamemnona", później „skarbcem Atreusza", a obecnie znowu za grobowiec uznanej, siedziałem dzisiaj, ale w większej i wspanialszej, niż za czasów Słowackiego, gdyż zaledwie przed kilku laty rozkopano wielki niepokryty korytarz, bramę wejściową, podnóże kopuły i boczną, sklepioną piwnicę, służącą za skarbiec. Słowacki wchodził do „grobu Agamemnona" po ówczesnym poziomie gruntu, w połowie wysokości gmachu, przez pusty trójkąt tympanu nad dzisiejszą bramą.

Drugi podobny budynek, zwany „grobem Klitemnestry", rozkopała pani Schliemann. Jest gorzej zachowany, mniejszy, bez bocznego sklepu i z głównem sklepieniem zawalonem.

Wyżej w górach leży zamek. Przez sławną „lwią bramę“ wszedłem do tak zwanego „pałacu Agamemnona“, a w każdym razie do miejsca najobfitszego rozkopaliska, jakiego dokonano w Peloponezie. Łupina, z której Schliemann wydobył całe to złoto, bronz, glinę i najrozmaitsze skarby, jest stosunkowo nie wielka. Okrągły placyk, otoczony niskim podwójnym murkiem, z płyt kamiennych złożonym, zawiera sześć rozkopanych grobów.

Cały pałac, oraz oba dojścia do bram, budowane są z alluwialnego, porowatego kamienia, w którym pełno drobnych kamyków i żwiru. Kamień ten pochodzi z okolic Nemei. Rzeźba nad „lwią bramą“ przedstawia dwie lwice, heraldycznie wspięte do środkowej kolumny — jest z innego, twardszego, szarego kamienia i pochodzi oczywiście z dużo późniejszej epoki, niż mury zewnętrzne. W dojściu do „lwiej bramy“ zauważyć można ciekawy i wyjątkowo prawie tutaj użyty sposób budowania: grubo ciosane, nierówne kwadry ułożone są w szychty mniej więcej poziome, bez drobnych kamieni w szparach (t. zw. trzeci system konstrukcyi pelasgicznej); ale szpary prostopadłe, zamiast mijać się naprzemian, ustawione są często właśnie jedna nad drugą. Zdumiewających rozmiarów są szczególniej monolity, składające „lwią bramę“. Na okrągłym placu, po-za tą bramą, groby rozłożone są w półkole i zajmują tylko pół powierzchni, reszta placu była mylnie do niedawna uważana za agorę, czyli miejsce narad władcy ze swym senatem. — Pięć grobów rozkopał Schliemann, szósty, jak również substrukcye wyżej leżącego zamku, odkryło ateńskie Towarzystwo archeologiczne. Pochodzące stąd sławne złote maski pogrzebowe, złote naczynia i dyademy, płyty kamienne zeźbione, zbroje, naczynia gliniane i niezliczone skarby, rzucające światło na życie Greków między XV-ym, a X-ym wiekiem przed Chrystusem, — stanowią tak zwane „muzeum Schliemanna“, pomieszczone w „Politechnice“ w Atenach. Biblioteka warszawska 1892. I. 527—8.

O grobie Agamemnona: zobacz Dr. L. Ćwikliński Homer, Schliemann i Mykeny, wspomnienie z podróży, Przegląd polski 1879. rok XIV. tom II. str. 319. i nast. tudzież Henryk Schliemann i jego odkrycia naukowe. Biblioteka warszawska 1891. tom I—II. str. 56. i nast.

Str. 7. w. **5.** Co krwią *Atrydów* zwalana okrutną.

Począwszy od Tantala, protoplasty rodu, aż do Agamemnona i jego dzieci, fatum ścigało ten ród i wiodło go do zguby. (Tantal, Pelops, Atreus, Tyestes i t. d.) Śmierć tragiczna Agamemnona była osnową tragedyj i poematów od czasów starożytnych aż do najnowszych.

Oto jak pisze o nich Kazimierz Kaszewski, znawca świata helleńskiego: Pelops, król Peloponezu, miał wielu synów z różnych matek, a pomiędzy nimi Atreusza i Tyestesa. Atreusz, udając pojednanie, zaprosił Tyestesa na ucztę i podał mu na stół ugotowane członki jego własnych dzieci, które poprzednio pozabijać kazał, i po uczcie wyjawił ohydny podstęp, od którego, powiadają — samo słońce odwróciło wzrok. I toż to jest punktem wyjścia do przerażających katastrof, ścigających się w rodzinie, które dostarczały poetom, a zwłaszcza greckim, tematu do prześwietnych tragedyj. Tyestes przysiągł bratu zemstę, ale sam jej dokonać za życia nie mogąc, przekazał pozostałemu synowi, Egistosowi, lecz i ten nie wykonał jej za życia stryja, bo był jeszcze za młody. Atreusz, jako król Miceny i Argos, pozostawił dwóch synów, w „Iliadzie" powszechnie „Atrydami" zwanych t. j. Agamemnona i Menelausa. Egistos, dorósłszy, zakrada się do domu Agamemnona, podczas pobytu jego pod Troją, bałamuci mu żonę, i z jej pomocą morduje męża w dniu powrotu, w ten sposób mszcząc się, jeżeli nie na samym winowajcy, to na jego potomku.

W ósmym roku, dla dokonania pomsty przez bogów zapowiedzianej, Orestes zamordował Egistosa, jak podaje Homer, tudzież własną matkę, jak dopełniają inni poeci. Na tym fakcie zamyka się legenda, zwana Peloponeską, czyli rodu Pelopsa, pełna straszliwych przygód i zbrodni, przechodzących z ojca na syna. Orestes w niej uchodzi za bohaterskiego mściciela krzywdy ojcowskiej, kierowanego ręką odwiecznej sprawiedliwości. („Odysseja" I. 299.)

Str. 7. w. **9.** *Druidyczna* to z głazów wielkich grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać.

Druidowie, to kapłani ludów celtyckich w Galii i Brytanii, nagromadzone kamienie w różnych miejscowościach uważają za ich ołtarze. Stąd nazwa głazów druidycznych.

Str. 7. w. **11.** I ma *Elektry* głos — ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Elektra, córka Agamemnona i Klitemnestry, pozostawiona w domu po odjeździe ojca na wojnę trojańską — pod opieką rozwiozłej matki i ojczyma Egista, przechodziła smutne koleje życia, tak pięknie przedstawione w „Elektrze“ Sofoklesa. W starożytności królewny bieliły płótno, prały i t. p.

Str. 7. w. **13.** Tu po kamieniach z pracowną *Arachną*
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo.

Arachne, (z greckiego: pająk) znana z mitologii greckiej mistrzyni w sztuce przędzenia, z powodu tkaniny przedstawiającej miłośne niebian przygody — zamieniona w pająka. O niej wspominają ze starożytnych: Owidyusz (Metamporphos. VI. 1—145.) Wergili (Georg. VI. 246 inni poeci.

Str. 7. w. **15.** Tu *cząbry* smutne gór spalonych pachną.

Cząbr, albo cąbr, krzyżowa sztuka mięsa sarny, jelenia itp. albo ziele krzewiste, pospolite w Europie i na Wschodzie. Zdaje mi się, że tu użyto w znaczeniu przenośnem zamiast: stoki (nijako: krzyże, plece gór).

Str. 8. w. **24.** W Pośmiertnych pismach J. Słowackiego, Lwów, 1885. r. I. 178, umieszczono „Grób Agamemnona“ wśród pieśni VIII, (Napoli di Romania) po słowach...

„I mnie także trzeba
Na jakim wielkim grobie nabrać siły,

Nim się puścimy w świat... nie drogą nieba“ a przed słowami „Nie, nie dopóki będziesz ręką drżącą zakrywać piersi puste, owdowiałe, to ja nie klęknę nawet przed klęczącą.“

Na jakiej podstawie jednak układ ten zatrzymano, nie wiadomo, to pewna, że treścią łączy się ten wiersz z „Podróżą“ W tem wydaniu wiersza mamy kilka odmianek, z których jedna zasługuje na przytoczenie: Przed wierszem: O! cichy jestem — już wy o Atrydzi“ (w naszym tekście mylnie: „O! Atryd*zie*) stoi:

Owo sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem — ***wielką pieśnią*** ciszy.

Takie odmianki jak w wierszu 82. na stronie 10. „Wiel*u* was było" zamiast „Wiel*e* was było" należy już policzyć na karb wydawcy.

Str. 8. w. **36.** Zerwałem jeden liść z *kuszcza.*

Kuszcz (kust), słowo wzięte z małoruskiego, oznacza krzew, gąszcz.

Str. 8—9. w. **49.** Tak więc to los mój *na grobowcach*
[*siadać*,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych.

Obojętność publiczności trapiła poetę w owym czasie, jak tego dowodzi podobny obraz w przedmowie do Balladyny.

Str. 9. w. **54.** Na koń! chcę słońca i wichru — *tententu.*

Wiersz ten przez omyłkę ma 11 zgłosek, wskutek zbędnego w rytmie spójnika „i", który zastąpić należy pauzą albo przecinkiem.

Str. 9. w. **61.** i nast. Na *Termopilach?* — Nie na *Cheronei*
Trzeba się memu załamać koniowi.

Termopile, sławny wąwóz Tessalski, który wziął swą nazwę od pobliskich wód gorących (thermae) i ciasnego wejścia czyli bramy (pylae), stanowi jeden z najważniejszych punktów strategicznych. Zasłynął w dziejach walk greckich o niepodległość bohaterską śmiercią Leonidasa na czele Spartan i ich sprzymierzeńców w r. 480 po Chr.

Poświęcenie to walecznych ocaliło Grecyę. Cheronea, miasto warowne w Beocyi, słynne zwycięstwem odniesionem przez Filipa Macedońskiego 338 r. przed Chr., które całą Grecyę w moc jego poddało, a sromotną klęską Ateńczyków, którzy osłabieni zbytkiem albo złotem przekupieni pierwsi zaczęli z pola walki uciekać. Ten ostatni cios, zadany Grecyi, przypomina Słowacki Polakom...

Str. 9. w. **67.** i nast. Mnie od mogiły Termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów,
Bo jestem z kraju smutnego *Ilotów.*

Heloci (po grecku Iloci) zwali się początkowo mieszkańcy miasta Helos w Peloponezie, którzy po rozpaczliwej obronie swej dziedziny, zrównanej z ziemią, uprowadzeni zostali w ciężką niewolę do Sparty i przeznaczeni do robót za podłe uważanych. Robiono na nich formalne obławy.

Na zgiętych ich karkach bicz pański dotkliwszą składał chłostę niż na zwierzętach, bito ich nawet raz do roku publicznie, aby im przypomnieć ich poddaństwo.

Str. 10. w. **87.** Ale jest nagi trup *Leonidasa*...

Leonidas, król Sparty, na czele 300 Spartan, przy pomocy sprzymierzonych, stoczył pod Termopilami 480. r. śmiertelną walkę z królem perskim Kserksesem. Usiłowane przez Persów wkroczenie do wąwozów trzykrotnie odparł z ogromną stratą nieprzyjaciół, ale przez zdradę Efialtesa, który pokazał Persom ukrytą drogę, napadnięty z dwóch stron, poległ ze wszystkimi Grekami na placu boju.

Str. 10. w. **97.** Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę *Dejaniry* palącą *koszulę;*

Dejanira, kochanka Herkulesa, wydarta centaurowi Nessusowi, który umierając zostawił jej zakrwawioną swą tunikę czyli koszulę; jako talizman przeciwko niewierności możebnej Herkulesa. Gdy w kilka lat pożycia z małżonkiem dowiedziała się, że ten w objęciach innej kochanki, posłała mu ową koszulę z prośbą, by się w nią odział. Co, gdy uczynił, wnet uczuł, że się na nim zajęła i do wnętrza go spaliła. Podanie to znane z Trachinek Sofoklesa, z Herkulesa na górze Oeta Seneki, z Owidyusza i t. p.

Str. 11. w. **115.** i nast. Przeklnij — lecz ciebie przepędzi [ma dusza,
Jak *Eumenida* przez wężowe rózgi.

Eumenidy, były w mitologii greckiej furye, mścicielki zbrodni i występków. Eschylos przedstawia je z wężami na głowie, i palcami w szpony zakrzywionymi. Zbrodniarza dręczyły one bezustannie bezsennością i widziadłami. — W taki to sposób ścigały Oresta, matkobójcę.

Str. 11. w. **117.** Boś ty, jedyny syn *Prometeusza.*
Sęp ci wyjada, nie serce — lecz mózgi.

Prometeusz, olbrzym z rodu Tytanów; za wykradzenie ognia niebieskiego kazał go Zeus, wedle słów Eschylosa, przykuć do skały a orłowi czy sępowi pruć mu wnętrzności i pożerać co dnia wątrobę, która w ciągu nocy odrastała.

Objaśnienia do wierszy „Hymn“ i „List do A. Hołyńskiego“.

Oba wymienione powyżej wiersze zawdzięczamy wrażeniom z podróży po Egipcie, który zwiedził poeta bezpośrednio po Grecyi. Oto szkic geograficzny tej podróży, jak się przedstawia według ołówkowej zapiski autora:

Sierpień 24. Neapol	Września 28. w Syra
„ 28. w Otranto	Paźdz. 12. z Syra do [Aleksandryi
Września 2. do 4 podróż	Paźdz. 20. w Aleksan.
„ 4. do 8 w Korfu	Listop. 1. w Kairze
„ 10. w Patras	„ 6. z Kairu
„ 12. w Vostizy	„ 13. w Siout
„ 13. w Megespileon	„ 19. w Denderze
„ 16. w Tripolizie	„ 26. w Philae
„ 17. w Neapoli di Romania	„ 30. w Tebach
„ 18. w Argos	Grudnia 10. w Kairze
„ 19. w Koryncie	„ 15. z Kairu
„ 20. w Atenach	„ 22. w El-[Arish i Kwarantana
„ 27. z Aten do Syra	Styczeń 2. z El Arish.

Miejsca te opisuje poetycznie „Podróż do ziemi świętej z Neapolu.“

Ferdynand Hösick w studyum pn. Juliusz Słowacki w Egipcie, od 27. września 1836., do 2. stycznia 1837., („Bluszcz“ Warszawa 1894. Nr. 2—8) analizuje dokładniej wrażenia tej podróży, której owocem były wiersze „Smutno mi Boże“ i „List do Aleksandra Hołyńskiego“. Zwie-

dziwszy Grecyę puścił się Słowacki w towarzystwie Zenona Brzozowskiego z Aten do Egiptu. Okręt jednak płynący do Aleksandryi (z Marsylii) nie zatrzymywał się w Atenach, tylko zabierał pasażerów z Grecyi w porcie wyspy Syra, jednej z licznych wysp Archipelagu, o kilka godzin statkiem parowym od Aten położonej. Trzeba więc było tam się udać i stamtąd dopiero, doczekawszy się okrętu, żeglować dalej. Jakoż, dnia 27. września, 1836, nad wieczorem, pożegnano gród, który *jest Tezeusza a nie Hadryana* i nazajutrz o świcie, zawitano do portu w Hermupolis, stolicy wyspy Syra, wówczas jednego z najważniejszych miast Archipelagu. Z ruchem na ulicach handlowym, prozaicznym, nie przedstawia Hermupolis dla człowieka, jak Słowacki, najmniejszego zajęcia. To też nudno mu tam było i duszno, jak na pustyni, i dałby niemało za to, żeby się mógł stamtąd czemprędzej wydostać. Na nieszczęście, okręt, z taką niecierpliwością wyczekiwany, nie nadchodził.

Z nudów zaczął więc Słowacki przepisywać na czysto swój poetyczny Dziennik podróży po Grecyi. Jakoś zdążył przepisać dziewięć pierwszych pieśni tj. wszystko, co miał napisane w brulionie, kiedy dnia 12. października 1836. dano mu znać, że mający go zawieść do Aleksandryi okręt przybył nareszcie do portu. Tego samego dnia odbito od brzegu i, kiedy noc zapadła, stracono z oczu Hermupolis i wybrzeża Syry... na zawsze.

Niewiele wprawdzie weselej było Słowackiemu na okręcie, podczas dziewięciodniowej blisko przeprawy morskiej, ale opromieniała ją przynajmniej myśl, że niebawem czekają go cuda Afryki, że maluczko, a zobaczy Egipt, piramidy, ruiny Teb, Kair, katarakty Nilu, pustynie itd. Nie przeszkadzało to swoją drogą Słowackiemu dać się opanować smutkowi i owej tęsknocie, która mu tak często, z lada powodu, czarnym duszę otulała kirem.

Wkrótce wszakże uwaga Słowackiego w inną nagle zwróconą została stronę i smutek jego ustąpić musiał miejsca silniejszym wrażeniom, aniżeli chwilowy spleen, wywołany, być może, po części także i nużącą jednostajnością podróży morskiej. Zbliżano się do Aleksandryi. Świtało. Na horyzoncie, jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek, ukazał się ląd.

Zbudzony okrzykami marynarzy: „Ziemia!“ Słowacki wyszedł na pokład, ciekawy widoku lądu, którego nie widział już od tygodnia przeszło (zwykłe uczucie w czasie podróży morskiej); a powtóre, miał zobaczyć po raz pierwszy... Afrykę! Okręt, pędzony pomyślnym wiatrem, pomykał szybko naprzód: Aleksandrya zaczęła się coraz wyraźniej wyłaniać z mgły oddalenia. Już można było rozróżniać pojedyncze gmachy, pałac wielki Mohameda-Ali, minarety, palmy, maszty okrętów...

Niebo nad miastem rumieniło się brzaskiem przedświtu, co w języku Słowackiego, tego, jak go trafnie nazywa Klaczko, Weroncza naszej poezyi, nazywało się, że nad brzegiem „leżała niesplamiona purpura przedwschodnia“.

Na niej stada gwiazdeczek bladego lazuru,
I jedna tylko plama na prawo z marmuru,
Otoczona rojami niespiących wiatraków.

Tak ukazały się Słowackiemu brzegi afrykańskie. Niebawem wzeszło słońce, dzięki czemu matowy aż do tej chwili krajobraz ożywił się w oka mgnieniu, w powietrzu zamigotała jakby mgła złota, a w duszę poety, wraz z promieniem słońca, wstąpiła pogoda.

O podróży tej Słowackiego, z Hermupolis do Aleksandryi, wiemy zresztą niewiele. W raptularzu swym zapisał poeta o niej tyle tylko: „Syra. Kamienie. Wicher. Podróż morska. Brzegi znikają. Mgła. Stado bocianów. Pod Aleksandryą zachód słońca. Hymn (Smutno mi Boże!).“ I nic więcej o tym zachodzie w Oriencie, który go natchnął do wspaniałego wiersza, jednego z najpiękniejszych, jakie mamy w naszej literaturze. Tylko w wierszu do wuja, roztoczył jeszcze najgoretsze barwy swej palety.

...I ziemia wyszła na morza błękicie,
Jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek.
Rzekłbyś, że biały siedzi na piaskach gołąbek,
Przypatrując się sobie w zwierciadlanej fali...
W przeźroczu nieba stada wędrujące ptaków,
Tak jak je ręka boża w jeden łańcuch sprzęże,
Przedemną w czarne, długie wiązały się węże...
Tak mi się ukazały afrykańskie brzegi

Smutne, obumarłymi południka śniegi
Zasypane, pod nieba sklepionego łuną,
Długą i rozciągniętą położone struną.
Z niej jak z boskiego łuku na niebieskie stropy
Strzał słonecznych wiązane wypadały snopy.

(Do Teofila Januszewskiego. Pisma pośmiertne J. Słowackiego. Lwów 1885., tym I. str. 38.)

Czas napisania wiersza „Smutno mi Boże“ da się z zupełną dokładnością określić. Słowacki powiada w Tygodniku literackim z d. 6. maja 1839 r., gdzie wiersz ten po raz pierwszy ogłosił, pod koniec wiersza: „Pisałem o zachodzie słońca, na morzu, przed Aleksandryą“. Wiadomo zaś że wyjechał z Hermupolis d. 12. października 1836 r. okrętem do Aleksandryi, gdzie po dziewięciodniowej podróży morskiej zawinął d. 21. października 1836 r. Ponieważ wiersz do „Teofila Januszewskiego“, datowany jest już w Aleksandryi d. 22. października 1836 r., czas więc powstania „Hymnu“ przypadnie na dzień lub dwa dni wcześniej, tj. około 20. października 1836.

W autografie Hymnu, którego podobiznę zdjęto w dziełach J. Słowackiego (nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie) stoi najwyraźniej data: „Dnia 20. paździer-(nika) dopływając do Aleksandryi 1836.

Wrażenia Wschodu dla takiego kolorysty i wielbiciela poezyi oryentalnej Byrona i Moora, zostawiły niezatarte ślady w duszy poety. Czy można sobie pomyśleć wiersz „Smutno mi Boże“ a nawet „Ojca zadżumionych“ bez tych wrażeń Oryentu. Jeszcze w lat kilka potem odezwały się one w misternych strofach „Beniowskiego“ (część II. pieśń IX.)

Czy jest coś wspanialszego, jak ów Hymn Słowackiego, w którym tak mało sztuki a tak wiele prawdy. Oto jak go rozbiera psychologicznie Julian Ochorowicz. W pierwszej zwrotce poeta szkicuje ogólny charakter tego stanu wewnętrznego, który nazywamy smutkiem, charakter wyrażający się w tem, że najpiękniejsze rzeczy wydają się obojętne:

Choć mi ty niebo tak złocisz i morze,
Smutno mi Boże!

Piękno przyrody odbija się tu tylko w kontraście do stanu duszy poety. Następują obrazki szczegółowe, z których każdy jest odbiciem psychologicznego motywu. I tak zwrotka 2: Znużenie życiem wyradza jednostajny wyraz twarzy i tylko w głębi serca pozwala jeszcze odkryć żywsze uczucie. Zwrotka 3: Dziecko wie, że matka tylko na chwilę je opuszcza, a jednak płacze, bo ono całe swoje życie zespoliło z wrażeniami od niej pochodzącemi. Zwrotka 4: Wrażenia niespodziewane, zwłaszcza gdy wiążą się ze wspomnieniami chwil z dziedziny obcej temu, co nas w danej chwili otacza, działają na nas silniej niż wszystkie inne. Zwrotka 5 i 6: Człowiek znękany życiem, samotny a uczuciowy, czuje zawsze potrzebę przytulenia się do czyjejś piersi i nawet o mogile mówi tak, jak o kochance. Ambicya człowieka, który nie doznaje za życia należnego mu uznania, żąda chwały przynajmniej po śmierci.. Zwrotka 7. Nic tak nie przygnębia, jak poczucie tej niemocy, która wynika z porównania gorących pragnień z nieubłaganą przyczynowością zewnętrznego świata. Zwrotka 8. Smutek powstaje wreszcie i z tej myśli, że wszystko przejść musi, że pokolenia mijają po pokoleniach i że jednostka niczem jest wobec tej olbrzymiej metamorfozy.

Zobaczmy teraz w jaki sposób motywy te są obrobione. Weźmy np. strofę czwartą i siódmą. Tu wdzięk stanowi wyłącznie motyw psychologiczny, obrazowo a zarazem treściwie wypowiedziany. Prostota ta jeszcze widoczniejszą jest w siódmej strofie.

To nie strofki — to okruchy życia, żywcem z duszy wyrwane. Julian Ochorowicz: O twórczości poetyckiej. Tydzień 1877, V. Nr. 37, str. 587.

W „Hymnie“ o zachodzie słońca na morzu — powiada prof. Tretiak — odbiło się coś ze złocistych pocałunków zachodzącego słońca, kładzionych na ciemnej a ruchliwej fali morza śródziemnego. Uczucie żalu i tęsknoty za krajem i uczucie znikomości, które przejmuje człowieka na widok ogromu morza, zlewają się tutaj, a raczej falują strofami jedno za drugiem, a z każdej fali takiej ulata westchnienie smutku: „Smutno mi Boże!“ Ale i na tych ośm strof hymnu nie wystarczyło Słowackiemu własnej krytyki, którąby wykreśliła co zbyteczne, nienaturalne i nie-

prawdziwe. Mówię tu o strofach piątej i szóstej, szczególnie o tej ostatniej.

Jest ona tylko powtórzeniem myśli zawartej w strofie piątej i to powtórzeniem słabszem, nastrzępionem wyrażeniami teatralnemi („kości w straż nie oddane kolumnowym czołom“), przytem związek logiczny między zdaniami na początku strofy tak niejasny („Alem jest jako człowiek“ itd.) że niemal się zatraca. Prof. J. Tretiak „Przewodnik naukowy i literacki, Lwów 1881 str. 374.

Wrażenie wiersza wzrosło do olbrzymich rozmiarów dopiero po śmierci poety. Posypały się rojem naśladowania i parafrazy w formie wierszowej, z których podaję parę wyjątków:

SMUTNO NAM BOŻE!

Pełni jesteśmy płaczu i żałoby,
Że domy nasze wróg kiedyś posiędzie,
I znieważając wodzów naszych groby,
Plwać na nie będzie;
Że *nasze kości* po świecie rozorze...
Smutno nam *Boże!*

Że wszelkie *ptactwo*, co w obcy kraj *leci*,
Wiosną *łańcuchem* pieśń powrotu nuci,
A z naszych braci pędzonych w zamieci
Żaden nie wróci!
Ciałami tylko wytyczą bezdroże...
Smutno nam Boże! itd.

Poezye Kornela Ujejskiego, „Skargi Jeremiego“, wydanie jubileuszowe księgarni Jelenia i Langa w Przemyślu 1893., str. 13.

Stanisław Tarnowski w studyum „O niewydanych poezyach Franciszka Wężyka“ wymienia między innymi jako najpiękniejszy z jego wierszy: „Smutno mi Panie“. Dziwne to zbliżenie: sędziwy klasyk dał najpiękniejszemu ze swoich natchnień ten sam napis, jaki położył na jednym z najrzewniejszych swoich wierszy najskrajniejszy romantyk, tamtemu wprost przeciwny.

Smutno mi Panie! Na tej nędznej ziemi,
Odarty z siły, pociech i swobody... itd.

Rozprawy i sprawozd. z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. Kraków. 1875. tom III. strona 248.

Nie mniej piękny jest wiersz pt. „Smutno mi Boże“, napisany przez Henryka Cieszkowskiego, (w „Bibliotece warszawskiej“ 1850. t. III. 266.).

Bezimienny autor wiersza pt. „Hymn o wschodzie słońca na ziemi“, wymienia wyraźnie, że forma jego wzięta z wiersza Słowackiego. Z tego „Hymnu“ nieznanego poety przytaczam tylko wyjątki obrazowaniem zbliżone do „Hymnu“ Słowackiego:

Nad puste pola i zwalone grody
Wznosisz swe *złote słońce* — i spokoju
Tęczę rozwieszasz nad grobem swobody,
Po krwawym boju!
Że w taki straszny dzień — tak *jasne* zorze,
Smutno mi Boże!

Marzyłem niegdyś o królestwie Twojem,
Wierzyłem w dzień Twój — z Twą ojcowską władzą,
Myśląc, że ludy nie ogniem i bojem
Dzień ten sprowadzą!
Lecz wolność.... tylko krwią zdobyć się może!
Smutno mi Boże!

Wszystko nam wziąłeś, co wziąć mogłeś Panie!
Ale nie na to skarżą się me słowa,
Bo siła nasza znowu zmartwychwstanie
Wieczna i nowa —
Tylko że na nią czekamy *w pokorze....*
Smutno mi Boże!

Nie tego płaczę, że *z mogiły mojej*
Wiatr białe kości po stepie rozrzuci —
Lecz że mnie walka za kraj nie ocuci
I nie uzbroi,
Gdy inni legną na postępu torze...
Smutno mi Boże!

Wyklęty. „Tygodnik wielkopolski“, rok I. nr. 52. 23. Grudnia 1871. str 629.

Powstanie „Listu do Aleksandra H.“ (pomieszczonego po raz pierwszy w „Tygodniku literackim“ Woykowskiego Poznań, 15. lipca 1839. Nr. 16.) da się na podstawie autografu tudzież wrażeń z podróży dokładniej określić. W Dzienniku podróży wschodniej zachował się pierwszy rzut tego wiersza, między dwoma utworami, z których pierwszy: „Piramidy“, datowany jest *z „drugiego“* a następny: *Noty -- Na Nilu* z *„szóstego* listopada, w Kairze“. Czas napisania listu do Aleksandra H. przypada więc na początek listopada 1836. r.

Wrażeniom z Egiptu poświęcone są jeszcze następujące wiersze, ogłoszone dopiero po śmierci poety: wspomniane powyżej *„Piramidy“* (Pisma Pośmiertne J. Słowackiego, Lwów, 1885. I 40. mylnie p. n. „Odwiedziny Piramid“), *„Na szczycie Piramid“*, *„Pieśń na Nilu“*, *i „Rozmowa z Piramidami“*, a po części nawet *List do księgarza* (Eustachego Januszkiewicza), zapisane po raz pierwszy w Dzienniku z podróży.

Oto jak sam poeta opisuje tę całą podróż w liście do matki: Neapol, dnia 24. sierpnia 1836. Odbędę sześciomiesięczną wędrówkę w towarzystwie Zenona Brzozowskiego i w Aleksandryi połączę się z dwoma moimi współtowarzyszami podróży, Hołyńskimi; będzie więc nas czterech żeglujących po Nilu aż do pierwszej katarakty.

Bayrut, dnia 17. lutego 1837. Najdroższa moja! Trzy miesiące upłynęło i pół, jak posłałem ci ostatnią wiadomość o sobie z Aleksandryi; ciągle w podróży, zawsze daleki miast portowych, w kraju, w którym nie ma regularnej poczty, nie było mi podobna prędzej uspokoić Ciebie, moja droga, i teraz mam nadzieję, że list ten za pomocą mojego towarzysza podróży (Z. Brzozowskiego), który się zbliża do Konstantynopola, dojdzie rąk twoich i całą niespokojność zakończy. Ale ja, kiedyż o tobie wiedzieć będę? Sześć miesięcy włóczę się jak waryat po świecie, widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku; czułem wiele, byłem wesół, zachwycony, płakałem, miałem całe dnie dumań, całe miesiące pełne roztargnienia, i dwie wielkie niespokojności: to jest nie-

spokój o ciebie, i drugą niespokojność, że się ty o mnie troskać musisz. Zaczynając ten list, jestem prawdziwie jak człowiek powracający z dalekiej podróży, który ściska za ręce, patrzy w twarze i nie mówić nie może, ale czeka, aż chwila spokojniejsza nadejdzie, aby zaczął opowiadanie.

Pomimo wielu niewygód i złych przepraw, zdrowie moje służy mi przewybornie, i kiedy mój towarzysz, Zenon Brzozowski, silniejszy stokroć odemnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łodce nilowej, ja zupełnie obszedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczył pewien nasz rodak, doktor w Kairze.

Dnie 28. października przybyłem łódka do Kairu: pyszne miasto, piramidy z daleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach.

Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba (Słowacki i Brzozowski) byliśmy na małych osiołkach i dziwnie na tych stworzeniach maleńcy wydawaliśmy się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mię zadziwiły ogromnie. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne granitem wykładane korytarze aż do małych pokoików, we wnętrzu piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszedłszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzeć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższej piramidy: cudowny widok! Szczyt Faulhorna, kopuła św. Piotra, Wezuwiusz, Piramidy, były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy, ale za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacya utworzyła.

Do tego ostatniego obrazu romantyka należy żywcem zastosować słowa, które o kilka lat rychlej rzucił był mimochodem o podróżach: „Wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko, iż wszystko ukazuje mniej pięknem, jak było w imaginacyi. I potem zostają w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany, — drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginacyę. Kiedyś utworzy się trzeci — najpiękniejszy —

z imaginacyi i z sennego przypomnienia i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z obu obrazów“.... Otóż w szeregu wyobrażeń poety należą zapiski jego w Dzienniku podróży do pierwszej kategoryi, obrazy oryentalne, tworzone w epoce „Mnicha“ i „Araba“, zaliczają się do drugiej — do trzeciej zaś „Hymn“, i „List do Hołyńskiego“ ogłoszone po raz pierwszy w „Tygodniku literackim“ Woykowskiego w Poznaniu, z 6. maja i 15. lipca, 1839. Nr. 6. i 16.

Widziałem targ niewolników i jedną ładną Abissynkę, za którą dawano już 1.000 fr. (pisze o niej poeta w „Dzienniku podróży“ i w liście do „A. Hołyńskiego“.) Dnia 6. listopada, wziąwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy, jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszej katarakcie, szukając spotkać się z dwoma Hołyńskimi, którzy nie doczekawszy się, puścili się przed nami w tę drogę. Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żórawi lecących po błękicie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi, unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka, siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Suit pierwszy krokodyl leżący na piasku, dla którego porwaliśmy się od stołu, aby mu się z bliska przypatrzyć, wszystko to tworzy teraz w imaginacyi sen bardzo piękny.

Spotkaliśmy Hołyńskich w Denderze: jakże to była wielka przyjemność obaczyć ich pawilon na łódce, spotkać ich, pójść razem do przepysznego kościoła w Denderze, obaczyć ruinę, o jakiej się nawet wyobrażenia nie miało: kościół ten zaledwo się ruiną nazwać może, tak jest cały, tak piękny. Na drugi dzień pożegnaliśmy Hołyńskich, którzy już po odbytej podróży do Kairu wracali i pojechaliśmy sami do katarakty. Mnie miło było polować na piaskach, rysować szkice pomników, chatek, dumać i myśleć o tem, że jestem w Egipcie.

Przyjechawszy do katarakty wzięliśmy na dzień jeden osiołki i ruszyliśmy objeżdzając Nil, do Nubii, aby widzieć wysepkę *. Śliczne miejsce, śliczne ruiny. — Imieniny twoje, moja droga, (29. listopada!) o których bardzo pa-

miętałem, przepędziłem na Nilu, zbliżając się do Thebów. Ruiny tego miasta przechodzą wszystko ogromem. Ale najbardziej mi się podobała statua Memnona i druga statua przy niej stojąca; widziałem je o wschodzie i o zachodzie słońca, są to olbrzymy granitowe, wysokości domu trzypiatrowego, siedzący cicho na ogromnem polu, twarzami obróceni na wschód. Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy; jeden z tych przed wiekami zmarłych wojażerów napisał na granicie: „słyszę Memnona“, i słowa te w czasie teraźniejszym napisane, a o tak dalekiej świadczące przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka. Osiołka braliśmy zwiedzając Thebów ruiny; za osiołkiem moim biegła piechotą właścicielka jego, bardzo ładna bronzowa dziewczynka, która umiała jedno tylko słowo, niby to włoskie: *Mangeria* i z litośną minką o takie mangerie upominała się. Widziałem Arabów, którzy konno usiadłszy na łopacie, przepływają Nil, nie bojąc się krokodylów.

Oprócz jednej burzy Nilowej, podróż tę odprawiłem we wszelkiem bezpieczeństwie; konsul mój otrzymał mi firman Baszy, który z największem uszanowaniem Araby odczytywali. Dnia 10. grudnia, to jest po trzydziestokilkudniowej podróży na Nilu, wróciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodaków, już dawniej znajomych, oraz Hołyńskich. Pięć dni przepędziliśmy znowu w tem mieście. (List J. Słowackiego do matki z Bayrutu 17. lutego 1837).

Egipt zatarł Grecyę w mojej pamięci, nic cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące. W liście z Aleksandryi pisałem ci, jakiego wrażenia doznałem, widząc się pierwszy raz w oryentalnem mieście i żałuję tego listu, bo już teraz niepodobna byłoby tego opisać, bo przywykłem powoli do Arabów, do wschodnich ubiorów, do ich miast i nakoniec żadna sprzeczność z naszymi zwyczajami nie uderzała mię.

Młodszy Hołyński został w Kairze zakochany w Arabce, starszy wkrótce wróci. Zyskałem w nim przyjaciela ze świeżem sercem. Kochajcie mię. (Z listu J. Słowackiego do matki Livorno 11. lipca 1837.) Czekam teraz dwóch drogich moich przyjaciół (Hołyńskich), którzy zapewne wkrótce z Grecyi powrócą. Florencya 3. października 1837.

Oto, droga moja, za kilka dni imieniny twoje, dzień tyle dla mnie święty; w Tebach go obchodziłem przeszłego roku, i stałem przy obelisku Luxora, który także teraz samotny, zdaje się tesknić po swoim rówienniku, wydartym z rodzinnej ziemi i przeniesionym świeżo do Paryża. Więc i wieże z granitu jednego wykute, rozdzielają się i idą na wygnanie. Ludziom, co mają nogi na to, aby się błąkać po świecie, trzeba się pocieszać, patrząc na obelisk. (Tę samą myśl wyraża *List do A. Hołyńskiego.*)

Co dnia teraz mam jakieś miłe wspomnienie z roku przeszłego. Kilka dni temu była rocznica naszego spotkania się na Nilu z dwoma braćmi (Hołyńskimi), rocznica dnia, któryśmy tak mile spędzili. Wiedząc już, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu, wziąłem strzelbę na ramiona i z jednym Arabem puściłem się przed łódką naszą brzegiem, aby się mieszkańców wiosek o tych cudzoziemcach wypytać. Po godzinie drogi ujrzałem z daleka ich pawilony w jednym z kanałów Nilowych i spostrzegłem dwóch młodych w europejskich ubiorach na piasku. Pędem biedz zacząłem do nich; młodszy brat skoro mię zobaczył, także zaczął biedz ku mnie i rzuciliśmy się w uściski obopólne, dumni ze spotkania się na tej ziemi cudów.

Wkrótce nadjechała łódź z Zenonem (Brzozowskim), którego już mój Arab uprzedził, że znalazłem tych, za którymiśmy ścigali. Wszyscy więc razem, służącym powierzywszy straż łódek, poszliśmy do oddalonej o godzinę drogi Dendery. Największy ten po piramidach gmach w zachwycenie nas pogrążył. Chodziliśmy między kolumnami jak odurzeni, siadaliśmy na ziemi, rozmawiając z litością o wojażerach europejskich, którzy takich cudów wystawić sobie nie mogą. Słowem, nakarmiliśmy oczy, serce i zamknęliśmy do serca dzień pamiątek tak cudownych, że nawet przyjaźń naszą między nami powiększył. Potem Hołyńscy zaprosili nas do łodzi na obiad a my ich na poncz wieczorem do siebie; po księżycu zaś spacer do bliskiego miasteczka Kennech, gdzie egipskie Almee otaczały nas wiankami po ulicach, między palmami, gdzie księżyc w szerokim Nilowym kanale odbijał się czarownie. O godzinie 1. w nocy rozjechaliśmy się, towarzysze nasi bowiem już wracali z katarakty, my zaś dopiero jechaliśmy do niej; łódki

ich ze śpiewem majtków oddaliły się, szybko wodą niesione, nasz zaś okręcik przeciwko wodzie płynął z trudnością i łamał księżycowe fale: taki był dzień 19. listopada przeszłego roku (1836 r.)

Teraz przepędziłem go smutnie sam jeden. Prawda to, co powiadają ludzie wschodni, że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to jeżeli może, napowrót tam znów powraca, pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży: tak tam dziwne i lekkie życie, że mi teraz Europa ciemna się wydaje: poczerniały domy, zgęstniało powietrze, na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło... Florencya 24. listopada 1837.

W „Dzienniku podróży“ zapisuje poeta niby wytycznymi punktami „noty“ doznanych wrażeń i widoków: Aleksandrya — plac przy księżycu — egipcyanki z czarami na głowach — żebracy w czarnym belwederze — na osłach kobiety — wielbłądy z wodą, podobne do strusiów lejących rosę skrzydłami — Bientz — Szwajcarzy — zmiana duszy w suchotniku — osiołki — podróż do Katakomb — kolumna — obelisk — ogród palmowy — list do matki — muzyka arabska — Nil — obrazy — palmy — kolumny — zachód słońca — chata z okienkami błękitu — Noce — łódki baszy — żagle obeliskowe — wioski — targ przy Nilu — Sais — ptaki — Kair — sadzawka orłów — Podróż do piramid — mrówki — sarkofagi — trzy drzewa — beduiny — Faulhorn — St. Piotr — piramidy — szczyt — napis polski — sfinks — Kair — studnia Józefa — targ niewolników — ładna Abisynka — meczety — targ.

Na innem miejscu notuje: Na Nilu — dnia 6. listopada z Kairu — szarfa Nilu — palmy — księżyc późno wschodzący — wieczór — z jednej strony czerwień zachodu, z drugiej dwa sępy na białej skale — polowanie na piasku nad brzegiem rzeki — południe — skwar pustyni — żórawie i bociany krzyczącem stadem siadają opodal — myśl ewangelii Wahabitów — piszę imię swoje na piasku i drugie imię — zabicie dwóch gołębi pod wioską palmową pijących wodę — Sint — łódź pełna modlących się arabów — Dendera — *spotkanie Hołyńskich* — Theby — przewodniczka. — Noty te w Dzienniku uzupełnia korespondencya Słowackiego.

Oboje, korespondencya i zapiski w „Dzienniku" illustrują widoki, zdjęte na miejscu, których mamy po kilkanaście w „Dzienniku" tudzież w raptularzu będącym własnością prof. Małeckiego. Porównaj: Wrażenia z podróży J. Słowackiego, na podstawie nieogłoszonego pamiętnika, w Bibliotece Warszawskiej 1891. tom IV. str. 343.

Ferdynand Hösick w studyum o Słowackim w Egipcie, „Bluszcz", Warszawa 11. stycznia 1894. str. 13. wykazuje wpływ Lamartina („*Voyage en Orient*") na „List do Aleksandra H." i na wiersz „Do Teofila Januszewskiego", pisanych trzynastozgłoskowym alexandrynem. Forma listu Horacyuszowska, przeładowana szczegółami z geografii i historyi Egiptu, jest ciężka i spadająca do prozy, choć ją poeta kilkakrotnie przerabiał i poprawiał. W osobnej tablicy dajemy porównanie tekstu w trzech redakcyach, oznaczając odmianki kursywą.

Str. 12. Tytuł wiersza „Hymn" określony bliżej w autografie": „Hymn o zachodzie słońca na morzu".

Str. 12. w. **3.** Przedemną gasisz w *lazurowej* wodzie
Gwiazdę ognistą.

Pierwszy wiersz opiewał pierwotnie: Przedemną gasisz w *szafirowej* wodzie...

Gwiazdą ognistą nazywa tu poeta słońce zachodzące, większą i goretszą kulą na morzu, niż na lądzie.

Str. 12. w. **5.** *Choć mi* tak niebo ty złocisz i morze. Pierwotnie stało: „*Chociaż* tak niebo *ozłocił* i morze".

Str. 12. w. **7.** W pierwszej redakcyi opiewał ten wiersz: „Jak puste kłosy z pochyloną (z poprawką u góry: podniesioną) głową".

Str. 12. w. **19.** i nast. Od zwrotki IV. począwszy, przypomina forma wiersza (okresy) i przedmiot (bociany) tego miejsca następujące wiersze „Podróży do ziemi świętej z Neapolu":

Żórawie, co tam nad Koryntu górą
Rozciągnęłyście łańcuch ku północy,
Weźcie na skrzydła moją pierś ponurą,
Zanieście z sobą, może przyszłej nocy
Kraj przelatywać będzie ta pieśń głucha,
Jak dzwon żałosny brzmiąc w krainach ducha.

Żórawie! wy co w powietrze różane
Co rano długą wzlatujecie szarfą,
Wyście mi były niegdyś ukochane,
Wyście jesienną moją były harfą!
Wy i szumiące sosny nad grobami,
Gdzież się ja dzisiaj zobaczyłem z wami!

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę,
Że będę kiedyś nieszczęsny i błędny,
Że może z serca niedoli urosnę
I będę z duchów miał wieniec podrzędny.
I z dziką kiedyś pożegnam tęsknotą
Wasz łańcuch, zorzą pochłonięty złotą.

Str. 13. w. **26.** W autografie wiersza stoi wyraźnie: „Żem *nie znał prawie* rodzinnego domu“.

Str. 13. w. **35.** Więc że *mieć będę niespokojne* łoże. W autografie piękniej: „Więc, że *nie znane gotujesz* mi łoże“. Przyjąłem jednak późniejszą redakcyę wiersza *w druku.*

Str. 13. w. **47.** Przedostatni wiersz: „Nim się przed *twoją wiecznością* ukorzę“ poprawił poeta jeszcze w rękopisie: „Nim się przed *moją nicością* ukorzę“ i tę ostatnią redakcyę satrzymano w druku.

Str. 13. w. **49.** Aleksandrya, grecka stolica Egiptu, założona przez Aleksandra Wielkiego, po jego śmierci dostała się w udziale Ptolomeuszom, którzy ustanowili w niej swoją stolicę i zrobili obok Rzymu najpiękniejszem miastem starożytności, ogniskiem nauk, sztuk i oświaty greckiej.

Pod koniec wiersza „Do Teofila Januszewskiego“ wspomina już Słowacki o porcie Aleksandryi w tych oto wierszach:

Dosyć już... dziś znużony arabskimi gwary
Siędę w oknie i będę patrzał na port stary
Wielkiego Aleksandra, gdzie się jeszcze trzyma
Latarnia morska, świecąc puszczyków oczyma.
Aleksandrya, 22. października 1836.

Str. 14. w **1.** List do Aleksandra H.

List ten wydrukowano w Pismach J. Słowackiego wyd. warszaw. jako do Aleksandra Humboldta, którego

Słowacki wcale nie znał. (St. Krzemiński: J. Słowacki. Złota przędza poetów i prozaików polskich, Warszawa 1884 I. 230.)

Aleksander Hołyński, młodszy brat Stefana (temu ostatniemu poświęcony jest „Anhelli"), nakłonił był J. Słowackiego do podróży na wschód i dopomógł może do jej zakończenia; był to zamożny obywatel z Białej Rusi, z pod Witebska. Poznali się jeszcze w Rzymie, gdzie poeta bawił przez trzy miesiące, od początku marca do końca maja 1836 r. On, razem z Zenonem Brzozowskim, Aleksandrem Potockim, Z. Krasińskim i br. Reithofenem, tworzyli owo koło „młodych znajomych", którzy „z chciwością pożerali" utwory Słowackiego w rękopisie, i dla których towarzystwa zaniedbał poeta swoich krewnych. (A. Małecki o J. Słowackim, Lwów 1881. str. 63 i 71.)

Str. 14. w. **1.** i nast. Rozdzielił nas gościniec płynnego [szafiru,

Ty w *Tebach*, ja dopiero wypływam z *Kairu.*

Teby, stolica Egiptu górnego, Kair, druga stolica Egiptu, leżąca na prawym brzegu Nilu. Słowacki przybył łódką (Nilem) do Kairu dnia 28. października 1836 a dnia 16. listopada t. r. puścił się Nilem ku pierwszej katarakcie „szukając spotkać się z dwoma Hołyńskimi, którzy nie doczekawszy się, puścili się przed nami w tę drogę". (Z listu Juliusza do matki, Bayrut 17. lutego 1837.)

Str. 14. w. **13** i nast. Nad leniwą więc myślą używając [musu,

Już zapisałem listem, listek *papyrusu.*

Papyrus, nazwa rodzaju traw, dorastającego do 10 stóp wysokości (źdźbło u dołu grubości ręki), z którego wyrabiano gatunek papieru na materyał piśmienny.

Str. 14. w. **15** i nast. Kupcząca ludzkiem ciałem, łódź pły- [nąca z *Nubii...*

Nubia rozciąga się wzdłuż doliny Nilu od pierwszych wodospadów począwszy aż po Dongolę.

Str. 15. w. **2.** Podobnie zaczyna się wiersz pt. „Piramidy", do którego wydawca lwowski dodaje w pierwszym wierszu objaśnienie: „Dnia 2. listopada 1836."

Wyjechałem z Kairu dziś ze słońca wschodem.
Mgła biała nad palmowym Kairu ogrodem
Kryła mi złote słońce...

Oślątko me chyże
Leciało, aż się w starym oparłem Kairze.
Łódka stała u brzegu, wsiadłem do niej — płynę.
Za Nilem widać było zieloną równinę;
Po obu stronach domki białe, pełne krasy:
Za domkami dwa wielkie daktylowe lasy,
Między lasami przestwór i na tym przestworze
Trzy piramidy — dalej żółte piasków morze
I niebo blade — czyste, jak Ptolomeusza
Krąg z kryształu... Na oczach usiadła mi dusza...

Str. 15. w. **19**. W wierszu „Do Teofila Januszewskiego" który w dziesięciu redakcyach spisał poeta w „Dzienniku z podróży" (w autografie) mamy już aluzyę do Egiptu i do owego mułu.

W kraju porżniętym wstążką jasną siedmiu Nilów
Mógłbym o spokojnikach zapominać wiejskich,
Pijąc *muł* Etyopów zamiast wód letejskich.
Lecz ja przeciwnie — wszystkie widziane obrazy
W myśl kładę, jak na wielkie zwierciadło bez skazy,
I chciałbym wam, gdy noc was zimowa zaskoczy,
Tem zwierciadłem Egiptu słońce rzucić w oczy.

Str. 15. w. **22**. i nast. Nimfa *lotusów* ustrojona wieńcem.
Siedząc smutna pod skałą czarnych *Etyopów*...

Lotus (Nymphaea lotus), jedna z najokazalszych roślin wodnych, rosnących szczególniej w Nilu i Gangesie, będąca przedmiotem wielkiego uszanowania i wierzeń ludowych. Etyopowie (aitio i opsis, ludzie z ogorzałą twarzą) plemiona z cerą brunatną czyli czarną, osiadłe nad Nilem.

Str. 15. w. **29**. Czy taka jak wiezione *Abissy* na przedaż?

Abissy, czyli Abisynki, kobiety zamieszkujące Abisynię (Habesz) w Afryce wschodniej, słynne z piękności kształtów i białej cery.

Str. 15. w. **49** i nast. Piękność Nilu dla ciebie małą jest [zaletą,

Którego Nilem wiodą *Strabo* i *Manetho*.

Strabon, ur. około 66 r. przed Chr. znakomity geograf grecki, odbywający wielkie podróży, w których zwiedził i opisał między innemi i kraje Afryki. (Egipt, Nil itp.) Manetho, kapłan egipski, żył za panowania dwu pierwszych Ptolomeuszów, napisał po grecku dzieło „*O starożytności i religii Egipcyan*“ tudzież Dzieje Egiptu w trzech księgach. Zachowały się do naszych czasów jego chronologiczne tabele królów egipskich, począwszy od króla Menesa.

Str. 15. w. **52**. Era Franków, gdy jeszcze cesarz był *ka-* [*pralem*

Mowa tu o cesarzu francuskim Napoleonie I., który jako Bonaparte, wszedł 1. września 1785 do pułku Lafére w randze podporucznika.

Str. 15. w. **57**. Gniewa mię nieruchomość długa *Faraonów*.

Faraonowie, królowie egipscy, wymienieni w piśmie św. (np. Genesis 12, 15, 40 itp.) stanowią dynastyę panujących w Egipcie.

Str. 15. w. **60**. Król jest każdy dziwnie rosnący *ananas*.

Ananas, roślina należąca do rodziny jednoliścieniowych. Z korzenia wyrastają liście długie i grube po brzegach kolczyste. Ze środka tych liści wyrasta łodyga na sześć cali wysoka, mająca u góry kwiaty fioletowe, tworzące gęsty kłos, nad którym wyrasta wieniec liści. Owoc podobny jest z kształtu do szyszki sosnowej tylko bez porównania większej i mięsistej.

Str. 16. w. **64**. Dla mnie rzecz mało ważna i z niczem ta [sama,

Że *Manes* był zjedzony przez *Hipopotama*

Menes (nie Manes, założyciel manechizmu) podług tragedyi egipskiej najstarszy król Egiptu (około 3000 przed Chr.) zbudował Memfis i uregulował Nil. O pożarciu go przez Hipopotama nic nie wiadomo.

Hippopotam, znane zwierzę, zamieszkujące okolice Nilu i wielkich rzek afrykańskich. Z powodu nazwiska, znaczącego: koń rzeczny, wyobrażano go sobie jako potwora.

Str. 16. w. **66**. Mało dbam, że ze wschodu przybyli *pasterze*
I laski zamieniwszy na berła lub dzidy,
Kładli na piasku kamień *pierwszej* piramidy.

Po upadku dwunastej dynastyi królów egipskich, z którą znikła swietna epoka państwa, może wędrowki narodów spowodowały około 2000 r. wtargnięcie do Egiptu zdobywców, którzy pod nazwą królów pasterskich (Hyksos, Haku-szasu) stanowią u Manetona piętnasta i szesnasta dynastyę. Myli się jednak poeta przypisując tym przybyszom zakładanie pierwszych piramid, powstałych już za trzeciej dynastyi, memfickiej, a wedle innych zbudowanych przez Inefesa, drugiego następcę Menesa.

Str. 16. w. **69**. Że z Egiptu wygnani przez rodzime syny
Założyli w Judei straszne *Filistyny*,
I tam mniej twardą sztuką stawiali budowy,
Kiedy je hardy *Samson* mógł rzucać na głowy.

Filistyni, lud semicki, mający zdaniem poety pochodzić od wspomnianych królów pasterskich, graniczył z Judeą, którą też zawojował. Samson, jeden z ostatnich sędziów Izraela, dokazujący cudów swą mocą, uwolnił lud żydowski od Filistynów w ten sposób, że wstrząsnął posadami domu, w którym się zebrali i razem z nimi zginął.

Zaczenie Samsona w stosunku do bóstw fenickich i egipskich tłómaczą Roskoff: Die Simsonsage und der Heraklesmythus. Leipzig 1860. Wietzke: Der biblische Samson und der aegiptische Horus-Ra. Wittenberg 1888.

Str. 16. w. **74**. Mojżesz królowi wolę Jehowy obwieszcza,
Pomiędzy rzędem sfinksów czoło wzniósł ogniste.
Obłąkane w szarańczy zwichrzonej motylu.

Miejsce to odnosi się do wybawienia Izraelitów z niewoli egipskiej. „Naówczas rzekł Jehowa: Widziałem utrapienie ludu mojego w Egipcie, chcę go wyratować z tego ucisku, a ty opowiesz wolę moją Faraonowi i starszym z Izraela“ (Exodus 3.)

Str. 16. w. **78** i nast. Tam dalej Nil — lecz zobacz co [niesie — *krew w Nilu*.
Przy tronie *Faraona*, z pokręconym słupem,

Stoją królewskie syny — jeden pada trupem.

Poeta ma tu na myśli pierwszą i dziesiątą plagę, którą zesłał Bóg na kraj Faraonów za ucisk i niewolę Izraela. Pierwsza plaga: Aaron uderzył laską w rzekę i wody Nilu oraz innych rzek obróciły się w krew. Trwało tak przez dni siedm (Exodus VII. 17—25). Po tej klęsce nastąpiło jeszcze ośm plag bezskutecznych. Ostatnia dopiero przełamała upor króla, bo go osobiście ciężko dotknęła. Była to śmierć wszystkich pierworodnych Egipcyan, tak ludzi jak bydląt. (Exodus XI. 4—7, XII. 12—29.)

W wierszu pt. „Na szczycie piramid“ opisuje Słowacki podobne zjawisko:

Pustynia — i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu...

I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze
Po granitowych ścianach; na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny...
Zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował
I że płynął czerwony wypadków posoką;
A tak myśląc, po głazach obłąkane oko
Padło na jakiś napis — strumień myśli opadł...
Ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał Listopad,
Polskim językiem groby Egipcyanów znacząc...
Czytałem smutny — człowiek może pisał płacząc.

(Por. Dziennik z podróży, tudzież listy Juliusza do matki.)

Str. 16. w, 89. Na ziemi trup odbywał sądzenie *Erebu.*

Ereb, z greckiego Herebos, ciemność, był bożkiem piekieł. Część Tartaru zajęta przez Ereba była siedliskiem cieniów osób sprawiedliwych, które tu niby oczyszczone pędziły błogosławione życie na polach Elizejskich. Myśl ostatnich wierszy jest następująca:

Ciała królewskie zabalsamowane i w piramidach ukryte, stawały się nieśmiertelnemi — a pomniki ich wiecznotrwałemi. Od tej trwałości fizycznej czyniono zawisłem życie zagrobowe, które jak wiadomo, było u Egipcyan zawarunkowane doczesnem:

Str. 16. w. 95.

...Gdy wejściem pod sklepieniem piramidy dumny
Przy *świeczniku Araba zaglądałem w trumny*...

Miejsce to przypomina opis zwiedzania piramid:

I wstawszy szedłem prosto do Cheopsa grobu
A kiedym był u piasków przebytych połowy,
Wzniosłem czoło.
W koło były grobowce otwarte,
W których i proch umarłych dawno powymierał.
Sfinks czarną Kopta twarzą nad piasek wyzierał.
I straszna była dzikość grobowej doliny.

Wtenczas wypadli słońcem wyschli Beduiny,
Brązowi, w białych płaszczach, jak grobowe sępy,
I porwały mię czarnych szatanów zastępy
I wiedli z krzykiem w groby od wieków milczące,
Paląc pochodnie — blado na słońcu płonące.

Nim doszedłem zaściennej piramid ulicy,
Schyliwszy się podniosłem kamień soczewicy,
Która dawniej karmiła królów (głazów) robotniki
I stała się pomnikiem pomiędzy pomniki;
Ta sama kształtem, tylko wosku wziąwszy białość,
Dziś — różniąca uczone głowy — skamieniałość!
Postrzegłszy, żem krainę głazów ruszał senną,
Jakby mi chcieli w piaskach zadać śmierć kamienną,
Araby mię w grobowcach otoczyli gęściej,
A każdy trzymał granit ważony na pięści —
Od nowej się napaści obroniłem skoro,
(Natenczas, chcąc zebrany tłum rozpędzić skoro,)
Głaz pamiątek kupiwszy za *para* pięcioro.
I szedłem z Arabami w piramidy łonie,
Szukając drzwi — te były na zachodniej stronie.
Przed drzwiami, do niskiego podobną pagórka,
Piramidę maleńką ma Cheopsa córka.
Stanąłem — tak pokornie tu się położyła
Przy mogile ojcowskiej dziecięcia mogiła,
Że łzy miałem na oczach...

W piramidy ścianach
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpełznął i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i z duszą i z ciałem.
Dwóch zaprzęgło się do mnie, dłonie wzięli w kleszcze,
(Dwóch mnie za ręce ręką chwycili kościaną)
A raz stopę, drugi raz kolano,
Stawiałem w korytarzu, gdzie mi ścianę spodnią
Twarzą do mnie idący Beduin z pochodnią
Oświecał...)
Trzeci lazł rakiem świecąc, a czwarty mię jeszcze
Popychał — i w ciemnościach mnie gmachu pogrzebli
I śliskimi kominy, bez schodów i szczebli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść głowy,
Obaczywszy się żywym w *Komnacie Królowej.*
I dalej korytarzem (I znów jak przez korytarz) tru-
[mnianego ula
Pełznąc, obaczyłem się w Sali trupa Króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozpłonił.
Sarkofag próżny — ręką uderzyłem — dzwonił,
Jak rzecz pusta...

Wyszedłem z granitowej skały
Jak senny, zadziwiony dniem, co świecił biały,
Palm zielonością, piasków oświeceniem złotem,
Westchnąłem z głębi piersi...

Str. 17. w. **113** i nast. Jako skarby zaklęte, strzeżone przez
[Gryfy,
Stoją odtąd nieznane światu hieroglify.

Gryf jest nazwą zwierzęcia bajecznego u starożytnych. Równał się on lwu co do wielkości i mocy, miał cztery łapy ostrymi zakończone pazurami czyli gryfami, dwa skrzydła u kadłuba i dziób zakrzywiony ptaka drapieżnego. Arysteusz, około 560 przed Chr. żyjący, wspomina go jako strzegącego skarbów i złota w lochach scytyjskich. Stróżuje on i w Indyach przy kopalniach złota.

Str. 17. w. **117**. ...Z długimi przestanki
Idąc, prawie połowę drogi uszli *Franki*

Już wiadomo, *że w tamtą stronę czytać* znaki,
W którą lwy ryte patrzą, w którą lecą ptaki.
Sto razy napisane Psametyk i Psychon,
Wyświeciły dziwaczny wieków akrostychon.

Mowa tu o hieroglifach, obrazowem piśmie egipskiem, które dopiero od czasu odkryć uczonych francuskich, stało zię zrozumialszem. Może największe zasługi położył tu Jan Franciszek Champollion, dziełami *Lettre à Mr. Dacier Paris* 1822 tudzież Precis du systeme hieroglyphique. Paris I. 1824, II. 1828 i t. d. Wykazał on, że charakter znaków jest mniej więcej powtórzeniem rozmaitych widzialnych przedmiotów: lwów, ptaków itp. Głowy zwierząt zwrócone są zazwyczaj ku prawej stronie, w przeciwnym kierunku od pisma, które czyta się, podobnie jak chińskie i hebrajskie, z prawej strony na lewą. Tylko w wyjątkowych wypadkach używano pierwszej zasady a mianowicie: gdy tekst był odpowiednikiem (*pendant*) drugiego. Wtedy odczytuje się znaki, tak jak tu podaje Słowacki. Champollion, analizując całe szeregi imion królów egipskich (np. Psametyka z manetońskiej dynastyi, czyli z VII. wieku przed Chr.) doszedł do odcyfrowania pisma hieratycznego tj. pisma (skróconego hieroglifów), z którego wytworzyło się jeszcze bardziej skrócone pismo demotyczne, czyli ludowe.

Str. 17. w. **135** i nast. Być tam, gdzie pod palmową zrobiła [się chatką
Sais będąca niegdyś Ateńczyków matką.

Sais, słynne miasto starożytnego Egiptu, z którego obecnie pozostały tylko zwaliska. Główna siedziba kapłanów egipskich, wywierających wpływ stanowczy na Greków, spowodowała poetę do nadania miastu nazwy macierzy Ateńczyków.

Str. 18. w. **140**. Porównać *Luksor* z domem współczesnym [*Ewandra*.

Luksor, nazwa wsi leżącej na miejscu starych Teb, w górnym Egipcie. Od niej zapewne pochodzi nazwa obelisku, który tu ma na myśli poeta, a który podarowany Francyi w 1831 r. przez Mehemed-Aliego, wicekróla Egiptu, przewieziony do Paryża, zdobi tam plac de la Concorde.

Ewander (z greckiego evandros, człowiek dobry, miał według podania przybyć do Włoch przed wojną trojańską i szerzyć tu oświatę. Ewandra wspomina poeta w „Podróży do ziemi św.“ (po Grecyi.)

O obelisku w Luksor, tak wspomina w liście do matki: „Oto droga moja, za kilka dni imieniny twoje, (tak nazywa zwykle dzień wybuchu powstania listopadowego) dzień tyle dla mnie święty, w Tebach go obchodziłem przeszłego roku i stałem przy obelisku *Luksora*, który także teraz samotny, zdaje się tęsknić po swoim rówienniku, wydartym z rodzinnej ziemi i przeniesionym świeżo do Paryża. Więc i wieże z granitu jednego wykute rozdzielają się i idą na wygnanie. Ludziom, co mają nogi na to, aby się błąkać po świecie, trzeba się pocieszać, patrząc na obelisk. Co dnia teraz mam jakieś miłe wspomnienie z roku przeszłego.“ (Florencya 24. listopada 1837.)

Str. 18. w. **145** i nast. I Egipt odkruszony w *Ptolomejów* [dłoni,
Laur naukowy długo noszących na skroni,
Aż zanurzeni w czasu i wypadków rzekę,
Oddali się z berłami w *Cezarów* opiekę.

Ptolomeusze, tak się zwykle nazywali Legidzi tj. macedońsko-greccy władcy Egiptu, rządzący po śmierci Aleksandra Wielkiego (323 przed Chr.) przez trzy wieki w Egipcie. Za Ptolomeusza II. Filadlelfa, położono podstawy do wysokiego literackiego znaczenia Egiptu. Podczas małoletności Ptolomeusza V. Epifana, wmięszali się Rzymianie do rządów i niebawem zawładnęli całem państwem. Ze śmiercią Kleopatry, ostatniej Ptolomejki, (w 30 przed Chr.) wygasł ten pamiętny ród monarszy, w początkach pełen sławy, lecz potem niezrównanymi występkami pamiętny.

Str. 18. w. **149** i nast. I patrz... człowiek zrodzony w *Ten-* [*tyrze* nad Nilem,
Palmy, Nil, kolumnowy kościół Boskiej *Athor*...

Dendera (Dendrah) po grecku zwana Tentyris, wioska w górnym Egipcie, na lewym brzegu Nilu, na północ od Teb, słynna zwaliskami świątyni poświęconej bóstwu

Hathor. (Mariette: Dendra, description du grand temple. Paris 1873—5, 4 tomy. Dümichen: Baugeschichte des Denderatempels, Strassburg 1877. Riel: Der Thierkreis u. das feste Jahr zu Dendrah, Leipzig 1878.

Hathor (czyli *Athor*) bogini egipska, matka słońca, jest uosobieniem stref niebieskich czy podziemia. Za czasów greckich upodabniano ją z Afrodytą. Trzeci miesiąc egipski (Athyr) nazywa się po niej. Świątynia jej poświęcona, nad którą przez 200 lat pracowano, zachowała się doskonale, między innemi wspaniała halla na 24 kolumnach wsparta. Świątynię i zwaliska Dendery opisywał piórem i ołówkiem Słowacki kilkakrotnie, znać silne na nim zrobiły wrażenie.

Str. 18. w. **152**. *Ilot* nań wskoczył, zabił, Koloseum klaszcze.

Ilot, czyli helota, niewolnik zabija krokodyla na arenie Koliseum w Rzymie a publiczność zebrana klaszcze na widok borykania się człowieka z zwierzęciem...

Str. 18. w. **160**. Poszedł po obcych krajach błąkać się [*obelisk*.

Obeliski wprowadzono z Egiptu do Francyi (Paryż) Włoch (Rzym) i innych krajów.

Str. 19. w. **175**. i nast. *Nie ma go tu:* powiedział anioł [Magdalenie,
Zazierającej w grobu skrwawionego cienie.

Marya Magdalena, słynie w kościele chrześcijańskim tkliwem, serdecznem przywiązaniem do Chrystusa. Nie opuszczała i po śmierci tego, któremu towarzyszyła nieodstępnie w czasie doczesnej jego pielgrzymki. Nakupiła wonności i w towarzystwie kilku pobożnych niewiast poszła do grobu umęczonego Zbawiciela. Do niej to powiedział anioł: „Nie ma go tu — zmartwychwstał“.

Słowa te snać głębokie na nim zrobiły wrażenie, wspomina o nich w podróży do ziemi św. w swym pamiętniku:

Z dnia 14. na 15. (stycznia 1837) miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa. Na wspomnienie tej nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzucały mi się z oczu.

Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godz. 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nademną płonęło 43 lamp. Miałem biblię, którą czytałem do 11 w nocy; o pół do 12 weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dzień pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali kamień a potem, przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mię w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleść. Wyszli, zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub wieksza zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku pokrywającego grób święty, także (jak widziałem przez szczeliny) zaczął w swojej altanie dmuchać na żar i gotować samotnie kadzidło. Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli spiewać jutrznię, słowem, o północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzemsach jednej budowy budzą się, świergocąc o wschodzie słońca. Grecy na grobie odprawiali mszę, potem Ormianie, o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak wyszedł ze mszą w imieniu mojej ojczyzny, a ja klęcząc na tem miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: „*Nie ma go tu, zmartwychwstał!*“, słuchałem całej mszy z głębokiem uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami. Bayrut 14. lutego 1837.

Str. 19. w. **188**. Gdy *Omar* straszny głowom, gmachom [i *księgarniom*,
Kraj... pod ognisty proroka dał bułat i koran.

Omar, drugi Kalif, odznaczał się w walkach Mahomeda niezwykłem męstwem, a po śmierci proroka prawowiernością posuniętą do okrucieństwa. Słynną bibliotekę w Aleksandryi zniszczyli Arabowie pod wodzą Amru, naczelnika siły zbrojnej Kalifa Omara.

Str. 19. w. **191**. Lecz dosyć już, bo sądzę, nowy księżyc
[przyjdzie
Oświecać nas w grobowców pełnej *Tebaidzie*.

Tebaida (Thebais) oznacza okrąg miasta Teb, a nadto jest nazwiskiem wyższego Egiptu, od imienia tegoż miasta pochodzącem. Nazwy tej używano w starożytności.

Objaśnienia do „Anhellego".

Czas powstania „Anhellego" odnosił Małecki do r. 1835. Nie ma wprawdzie zdaniem jego pewności, ale jest za to wiele wskazówek ubocznie prowadzących do wniosku, że to dzieło pomyślane, a nawet rozpoczęte być musiało już w Veytoux, gdzie przebywał od lipca do października 1835. Wskazówki te są następujące: W liście Juliusza z 2. września 1835. z nad jeziora pisanym, znajdujemy takie miejsce: „To co się po tych (które znasz) dzieciach narodzi (— wyjdzie z druku), będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze Ciebie, moja droga mamo. Nawet zamyślam Ci ofiarować na pierwszej stronicy nowe, zapewne tej zimy (co przyjdzie) wylęgłe dzieciątko. Dopiero to, zaręczam Ci matko, będzie Twoim wnukiem; powiedz, czy Ci to nie zaszkodzi". Małecki nadmienia, że w kopii listu, którą miał przed sobą, dopisała matka Juliusza do tego miejsca na dole uwagę, że mowa jest o „Anhellim".

Nieco później — dnia 20. października 1835. — spotykamy znowu taką o tem wzmiankę w genewskiej już korespondencyi poety: „Postąpiłem w moim nowym poemacie i chciałbym bardzo tej zimy co wydać". Na owe więc miesiące 1835., spędzone w górach, przypada poczęcie i zaczęcie utworu, którym — mimo to, że o kilka lat dopiero później został oddany do druku — i z tego jeszcze powodu zdaje się być „Anhelli", pisany stylem biblijnym, że przez cały ciąg owego właśnie roku Pismo święte było jedną z ksiąg rozczytywanych codziennie i z rozmiłowaniem przez Słowackiego. Pełno o tem wzmianek w ówcze-

snych jego listach. „Często wieczorem — pisał był naprzykład w liście z dnia 7. marca 1835. roku — przed zaśnięciem czytam głośno rozdział Biblii. Mam ją po polsku. Przedwczoraj tak mocno wraziła mi się w imaginacyę męka Chrystusa, że we śnie umęczenie całe widziałem i obudziłem się okropnie przerażony"....

Na powstanie w Szwajcaryi „Anhellego" naprowadzają jeszcze wrażenia z tej „olbrzymiej białej góry" „podobnej do snycerskiego posągu Sybirskiej krainy", o której tak często wspomina poeta w listach do matki.

Ten widok codzienny zakutego w lody i śniegi Mont Blanc, odbity w wyobraźni, miał przyjąć zwolna wszystkie medytacye poety o ojczyźnie i o rodzinie, o szczęściu, którego nie zaznał, o samotności, na którą był skazany.... Z czasem w duchu jego tak się jedno i drugie zlało, Szwajcarya i Sybir, że mu się już czuć nie dawała niepokrewność i nawet sprzeczność między tłem a obrazem, między formą a rzeczą samą.

Że jednak „Anhelli" nie był, jak twierdzi Małecki, ukończonym (a może nawet i zaczętym) w Genewie 1835, ale dopiero w dwa lata później, pod koniec podróży odbytej do Ziemi Świętej, tego dowodzą następujące wiadomości. Jeden z najbliższych przyjaciół poety J. Reitzenheim, tak o tem donosi w swej biografii Słowackiego:

W Jerozolimie przepędził on noc całą samotnie przy grobie Zbawiciela, a później w r. 1837. przebywał przez czas jakiś w klasztorze Maronitów koło Bayrutu, i tam napisał swój poemat „Anhelli". Skupienie myśli pośród wspomnień religijnych i tej majestatycznej samotności skierowało rozmyślania ku cierpieniom ludzkości, lecz w głębi ich okryta całunem grobowym stawała mu zawsze przed oczyma Ojczyzna. J. Reitzenheim „J. Słowacki", Paryż, 1862., tudzież Ksaw. Godebski, „O literaturze polskiej XIX. wieku", odczyt w „Dzienniku literackim", Lwów, 1869. Nr. 22.

F. H. Lewestam, pisząc o Juliuszu Słowackim w Encyklopedyi powszechnej S. Orgelbranda (Warszawa, 1866. roku, tom 23. str. 623.) wówczas, gdy nieznane były jeszcze listy poety do matki, ogłoszone po raz pierwszy w r.

1875. przytacza jako fakt pewny, że Słowacki, bawiąc czas jakiś w roku 1837. w klasztorze Maronitów koło Bayrutu, rozpoczął poemat „Anhelli“. — „Szczegół ten, zdaniem Lewestama, mało znany, objaśnia nam bardzo dobrze tę majestatyczną, ale nieco ciemną i mistyczną barwę poematu. Skupienie myśli wśród pamiątek religijnych i pełnej powagi samotności zwróciło poetę ku cierpieniom ludzkości“. Wiadomość ta, której Lewestam nie otrzymał wcale od Zenona Brzozowskiego, towarzysza podróży poety na Wschód, ale z dziełka Reitzenheima, może posłużyć również na poparcie naszego domysłu.

I bezimienny autor biografii Słowackiego (Bibl. najcelniejszych utworów, „J. Słowacki, Powieści poetyczne“, Warszawa, 1874. str. 3.) twierdzi, że w klasztorze Maronitów około Bayrutu rozpoczął Słowacki poemat „Anhelli“, 1837. roku.

Że „Anhelli“ w pewnej przynajmniej części powstał w czasie podróży wschodniej, tego dowodzi dedykacya poematu: „Stefanowi H(ołyńskiemu) na pamiątkę spotkania się w Ziemi Świętej i *pod górami Libanu*“. W liście do matki tak się o Hołyńskim wyraża: „Powróciwszy do Bajrutu (z klasztoru Betcheszban, na górze Libanu) nie znalazłem, jakem się był spodziewał, okrętu do Europy, i przez 40 dni w hotelu mieszkając, czekać na niego musiałem. Pierwsze dnie mojego pobytu w tem mieście były nieznośne: konsul mój dawał mi książki do czytania i w domu jego czasem kilka godzin wesoło przepędziłem. Nakoniec zdarzył mi los, że przyjechało do B. dwóch moich rodaków, w służbie baszy będących; ci krótko bawili, ale po nich, przyjechał z Jerozolimy starszy Hołyński (Stefan) brat tego, (Aleksandra) który mię do podróży namówił. Nie znałem go i myślałem, że w towarzystwie jego nie znajdę przyjemności, ale przeciwnie, on sam pierwszy zbliżył się i związał się ze mną: całe dnie potem przepędziliśmy razem, chodząc na spacery, rzucając spojrzenia ukradkiem na zakryte wschodnie piękności, słowem, dobrze nam było i mnie dobrze, bo znalazłem w nim przyjaciela. Kiedy miałem wyjeżdżać, Hołyński sądząc, że może moja kiesa wypróżniła się, różnymi sposobami starał się wszcząć dyskurs o pieniądzach. Nareszcie jednego wieczora zaczął

mowić, zająknął się i przestał; ścisnąłem go za rękę, kończąc sam zaczętą przez niego frazę. Dobry chłopiec rzucił mi się na szyję i rozpłakał się rzewnemi łzami, siłując mię koniecznie, abym wziął u niego 2.000 fr. Z największą trudnością wymówiłem się od tego i musiałem go przekonać, że mam pieniądze, wystarczające mi na powrót do Europy.... Ale łez tych nigdy nie zapomnę i ty go, droga moja, za to, wiem, że kochać będziesz. Ostatnie dnie przepędziliśmy razem. W wigilię mego wyjazdu, razem byliśmy na balu u mojego konsula. Ładna to jak na Bajrut była feta: fajerwerki, balon puszczony, dziedziniec zamieniony w salę do tańca, kilka kobiet wschodnich w arabskich ubiorach, żony konsulów itd. Tańcowano przy pozytywku, bo fortepiany choć są, lecz aby je nastroić, do Europy instrument posyłać potrzeba. Muszę ci tu także napisać, że mi rodacy moi zrobili reputacyę poety, więc wszyscy ubiegali się, abym z nimi gadał, i od czasu Lamartina naznaczyli pobyt mój pierwszą kreską. Dosyć mi to było miło, zwłaszcza, że po tym balu nazajutrz miałem wsiąść na okręt i puścić się w daleką podróż. Była więc w tem jakaś poetyczność, której wyrazić nie potrafię. Nazajutrz po balu odprowadził mię Hołyński do okrętu, chciał bowiem koniecznie do ostatniej chwili być ze mną, i tak urządził swoją podróż, żeby po mnie ani godziny w Bajrucie nie zostać, mówiąc że mu to miasto byłoby nieznośnem bezemnie. Jakoż pożegnaliśmy się prawie ze łzami, ja wdrapałem się na mój statek a Hołyński, powiewając chustką, wrócił do Bajrutu i natychmiast wsiadłszy na konia (a rzeczy już był pierwej wyprawił), ruszył w góry Libańskie do cedrów Salomona. Lecz tu nadzwyczajne zdarzenie.... Okręt mój, zamiast do Europy, po ośmiu godzinach drogi zawija do portu Tripoli, gdzie miał jakieś interesa do załatwienia, ale bojąc się, aby się wojażerowie nie gniewali, nikomu o tem w Bajrucie nie mówił. Wysiadam więc w Tripoli, smutny idę prosić o mieszkanie w klasztorze, i myśląc o rozstaniu się świeżem z Hołyńskim, cały dzień smutny przepędzam w ogródku klasztornym, gdzie mała fontanna, cytryny i pomarańcze owocem okryte, nareszcie białe lilie kwitnące dziwnie balsamowały powietrze i klasztorowi temu romantyczną nadawały po-

stać. Wystawcie sobie moje zadziwienie, do tego samego klasztoru nazajutrz wpada lokaj Hołyńskiego, którego pan w innym stanąwszy klasztorze i dowiedziawszy się o przybyciu mojem do tego miasta, czekać mnie rozkazał. Tak więc jeszcze jeden dzień z nim przepędziłem, dziękując Bogu, że go przez to samo miasteczko prowadził, gdzie ja byłem, i o zachodzie słońca na nowo uścisnęliśmy się i na nowo każdy poszedł swoją drogą: ja do Cypru, on do cedrów Libańskich. Lecz ten dzień, ostatni w Tripoli przepędzony, był jednym z najpiękniejszych dni mojej podróży. Mało mieliśmy czasu, więc włóczyliśmy się po cudownych okolicach tego miasta, porównywając jego cmentarz ładny turecki z naszym ulubionym cmentarzem w Bajrucie, gdzie co wieczora siadaliśmy razem na marmurowym turbanie, patrząc na morze i słuchając płaczu tureckich kobiet, które na grobowcach znajomych rozścielały bukiety kwiatów, niezmordowane w oddawaniu czci zmarłym, wierniejsze niż nasze kobiety wspomnieniom. Marzyłem kiedyś, będąc dzieckiem, o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy.

Otóż masz, moja droga, opisanie pobytu mego w Bajrucie, teraz kilka słów o morskiej podróży. Dziwnie, że siadając na okręt, nie przeszła mi przez głowę myśl nawet, że może być jakie niebezpieczeństwo: jakoż przez te dni 40 żadnegośmy nie doznali oprócz nieprzyjemności, jakiemi są cisze morskie i wiatry przeciwne. Życie moje na statku jest bardzo jednostajne: wstaję przed wschodem słońca, obserwuję gwiazdy, w których się teraz głęboko zaciekam, pomagając często oku naszym okrętowym teleskopem. Potem widzę czerwieniące się niebo; koguty na rzeź przeznaczone pieją i głos ich dziwnie się wśród morza wydaje, przypominając spokojność życia wiejskiego; kot okrętowy wychodzi igrać ze mną, żywy i wesoły o godzinie porannej; potem wschodzi słońce a pokład okrętowy czerni się od habitów sześciu mnichów, rzucających spokojne łoże; potem kawa, ranne godziny, zajęte czytaniem, marzeniami, przy obiedzie nieraz mój butel budzi wesołość. Po południu o godzinie 5-tej cały okręt odmawia głośno rożaniec N. Panny, prosząc ją o wiatr dobry, i nakoniec wzywa swoją rodzinną Madonnę de Monte-Negro, aby się opieko-

wała nim i o wiatr pomyślny prosiła. Wieczerza i obserwacya gwiazd wschodzących dzień mój kończa. Czasem z którym z mnichów gram w warcaby. Nakoniec dzisiaj piszę ten list na mojej szkatułce na kolanach, siedząc na pokładzie okrętowym i ciesząc się, że po trzydniowej ciszy zawiał nam wiatr dobry i do portu Liworna prowadzi. Na morzu 14. czerwca 1837. r.

Młodszy Hołyński (Aleksander) został w Kairze — zakochany w Arabce, starszy (Stefan) wkrótce wróci; zyskałem w nim przyjaciela ze szczerym sercem. (Livorno 11. lipca 1837. roku).

Że „Anhellego" pisał poeta jeszcze w drodze przed przybyciem do owego klasztoru, tego dowodzi także pamiętnik z podróży, w którym zapisywał poeta współczesne poezye i wrażenia.

W owym „Dzienniku podróży", obecnie w posiadaniu L. Méyeta, gdzie rzucał poeta pierwsze kontury do swoich utworów, czytamy oprócz „Rhamzesa", który powstał pod wrażeniem zwiedzanego przez poetę grobowca Ramzesa, plan poematu p. n. „Posielenije" pieśni I—XXX, odnoszących się głównie do smutnych dziejów porozbiorowych. Kilkadziesiąt tercyn pieśni II—III tego poematu — są owym pierwszym rzutem „Anhellego", o którym wspomina poeta w „Beniowskim": (Pieśń V. oktawa 11.)

Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,
I miałem nieraz Dyannę usłużną:
Kiedym *chciał zamknąć Sybir w tryolety*,
Muza została mi rymami dłużną.
Z tego więc poszło, że *pisałem prozą*.

Z tych tryoletów przytaczam jeden fragment:

PIEŚŃ III.

Gdym podniósł myślą w dół nagiętą głowę,
Wielce zdziwiłem się ciemnością nocy,
Nie pomnąc, jako zeszły mgły różowe.

I gwiazd ujrzałem wiele wielkiej mocy,
I między niemi lutnię z gwiazd uwitą,
Na której bije godzina północy.

Poznałem ziemskie niebo! — ale czy to
Ziemia, czy morze, czy było co trzecie,
Nie mogłem wiedzieć, mgłę widząc obfitą.

. . . .

Lecąc z lotnemi przeciw mnie gwiazdami,
Znaleźliśmy się pod ogromną górą,
O której czoło grad bił wielki krami.

Lecz widać było, że za gradu chmurą
Świeciło dzienne światło — bo kryształy
Rzadsze iskrzyły się jasną purpurą.

Rzekł mi ów wielki: „Masz ty serce — cały
Oddać się mojej władzy i opiece?
Ja ci powiadam, że duch jestem biały“.

Rzekłem: „Jest fala na wypadków rzece,
Jeśli się rzuci człowiek, z nią popłynie
Aż na wierzch ludzi — w szczęśliwych fortecę;

Lecz jeśli raz się z tą falą ominie,
To całe jego życie płynie smętne
Nędzą i bolem... W młodości godzinie

Ja ją minąłem — I dziś serce mętne
Nie dba gdzie idzie, z kim i komu wierzy,
Już zmordowane tem, co mu pamiętne;

Ale przepaście wszystkie chętnie mierzy,
Probując szczęścia, co, zawrotem głowy
Sprawione, myślą i krwią je rozszerzy.

A więc mię prowadź na wierzch piorunowy
Posępnej góry“. Mówiąc z wielkim trudem
Szedłem, po śladach czyniąc ślad nie nowy.

I tam, gdzie miasta, grzesznym pełne ludem,
W ciemnem powietrzu zabiłyby grady,
Dante prowadził mnie żywego cudem.

Wszedłszy nad obłok na szczyt lodowaty,
Gdzie chyba kocioł jakiej grzesznej jędzy
Warzył kość zmarłych i jaszczurek gnaty,

Na spóźnionego Dant zawołał: Prędzej,
Abyś obaczył dwie dnia pory w jednej;
Światła krainę światłą i kraj nędzy.

. . . .

Wrażenia z podróży J. Słowackiego. Biblioteka Warszawska 1891, tom I, str. 349—350.

Tercyny pieśni II, kreślone ołówkiem, pismem bardzo drobnem i zatartem, są prawie nieczytelne. Zasługa odcyfrowania i ogłoszenia ich należy się L. Meyetowi, za którym tu podajemy dwa ważniejsze fragmenty. (Z Biblioteki warszawskiej 1893. II. 183—5.)

„(Obudzenie się) — Miejsca nawiasem objęte są w autografie przekreślone — Dante. (Kraj nowy, wicher płacze).

Tercyn w tej pieśni II, wedle liczenia poety było 46; rozpoczyna zwrotka 14-a od góry stronicy, następującej bezpośrednio po planie poematu, a zawierającej tercyn 9. Następna kartka z dalszemi zwrotkami w połowie od góry do dołu oddarta i zatracona, tak, że końcowe strofy: 45 i 46 mieszczą się na karcie następnej.

. . . .

14. Któż jest ten, który tak głodnie
Pożera ludy i krwią prawa rzyga?
Kiedy niebieskie pytałem przechodnie

15. O imię jego... to każdy się wzdryga
I w niebie nie śmie nazwać go przed Bogiem.
Tego, co jako płazy w krwi zastyga.

16. O biada mu...' ja przed Jehowy progiem
Widziałem tylu się na to skarzących,
Ile ma róż dolina, kwitnąc głogiem.

(17.) Gdy mówił Duch mi to, — zwyczajem śpiących,
Gdy się obudzą nagle — snów szelestem,
Macałem ścian a wzrokiem gwiazd błyszczących.
(Okien, ścian, na niebiosach gwiazd błyszczących)..

(18). I Chrystusowym czoło znacząc chrzestem,
Patrzałem w Ducha bladą twarz głęboko,
Mówiąc doń głosem ledwo słyszanym... gdzie [jestem?

(19). Na to mi rzekł z uśmiechem Duch: „Szeroko
(Z uśmiechem bladym rzekł mi Duch: „Szeroko..)

Oczom zaspanym było w tej krainie,
Gdzie przebudzone we łzach patrzy oko".

(20). I nie słuchając głosu, co tak płynie
Jako śpiew harfy, co na drzew altanie
Liściami kryta, rzuca po dolinie

(21). Wybuchy wiatru i akordów łkanie
I długie jakieś harmonijne wycie,
Bo tak mówiłeś do mnie Duchu — Panie!

(22). Sam siebie wtenczas rozbudziłem skrycie,
Duszy połową — pierwszą myślą pewny,
Że to sen, — drugą, że to mogił śnicie.
(Sam siebie wtenczas nauczając skrycie,
Że to sen straszny, targałem się w sobie,
Każąc się budzić własnej duszy...)

(23). I myśląc dłużej, (bo głos ducha śpiewny
Do myśli nęcił), znowu pomyślałem,
Że to był zmarłych sen, i byłem pewny,

(24) I pierwszą myślą grobów zaraz chciałem
Przywołać świat... i patrzeć, jak cięży
Na wyjściu ciał... to, co nie jest ciałem...

. . . .

Z dalszych zwrotek od 25 do 34, spisanych na przedartym dziś papierze, pozostało tylko w niektórych miejscach kilkanaście początkowych lub końcowych wierszy. Ostatnie wreszcie zwrotki są następujące:

45. A kiedy blaski zeszły z mego czoła
Zdawało mi się, żem taką tęsknotą
Omdlewał w sercu po blaskach anioła,

46. Jak po tej, która przez aleję złotą
Pełnym księżycem na wieczność odeszła.
Dant podniesiony światłości istotą,
Milcząc, na boleść mą czekał, aż przeszła.

. . . .

Dwie te pieśni II-a i III-cia, to fragmenty pierwotnie pomyślanego poematu, który pod tytułem „Anhellego" z innym planem a w formie prozy biblijnej, ogłosił Słowacki w sierpniu 1838. roku.

L. Méyet zwraca się, na podstawie ogłoszonych przezeń fragmentów, przeciw twierdzeniu Małeckiego o czasie powstania i wydania „Anhellego": Ogłoszenie tego poematu o trzy lata później niż jego napisanie, bo w 1838. r., tłómaczy Małecki „wielce prozaiczną", jak na Słowackiego okolicznością: „że książki jego mało mu przynosiły, więc wolał nie wydawać wcale, aniżeli daleki od Paryża wystawiać się na szachrajstwa księgarzy". A domysł ten popiera wyjątkiem z listu do matki, w którym poeta skarży się na mały pokup swoich książek.

Jest rzeczą najzupełniej do prawdy podobną — powiada L. Méyet — że Słowacki mógł jeszcze za pobytu w Veytoux powziąć plan nowego poematu, mógł nad nim pracować, jak donosił 20. października, i pragnął go wydać tejże zimy, lecz dziełem tem nie był „Anhelli". Dopisek matki w odpowiedniem miejscu na kopii listu, sporządzonej w kilkanaście lat później, mógł być mylnym i kwestyi nie rozstrzyga. Dodawała ona wprawdzie pewne objaśnienia na oryginałach listów syna a nawet kilkuwierszowe robiła dopiski, lecz w autografie listu z 2. wrzesnia, o którym wspomina Małecki, nie masz żadnej uwagi, że o „Anhellim" mowa. Méyet dowodzi, że „Anhelli" nie zalegał w rękopisie.

Gdyby Słowacki wykończył był wówczas ten poemat, nie czekałby lat kilka na ogłoszenie drukiem; nie należał do liczby autorów, którzy zwykli wykończone utwory swoje w domomem składać archiwum. W gorączce druku, jaką ma każdy na początku karyery literackiej, nie powstrzymały-by go od ogłoszenia poematu, ani szachrajstwa firm zagranicznych ani mały pokup jego książek. Donosi wprawdzie w owym liście z 20. października, że postąpił bardzo w swoim nowym poemacie, i chciałby bardzo tej zimy co wydać, lecz tłómaczy zarazem, że to zależeć będzie od okoliczności i od projektowanego ciągle wyjazdu do Włoch.

Gdyby zresztą poemat był onej zimy skończony, nie powstrzymywały-by autora od ogłoszenia drukiem wcale niewielkie koszta. Na druk bowiem pierwszych dwóch to-

mów swoich poezyi, złożonych z 29 przeszło arkuszy. Słowacki wydał 2000 fr., arkusz przeto druku kosztował wraz z papierem i broszurowaniem około 70 fr. I rzeczywiście: Tom trzeci, złożony z 9. arkuszy druku, kosztował, wedle będących u Méyeta rachunków księgarskich poety, 660 fr., czyli jeden arkusz 73 fr. — „Anhelli“, zawierający niespełna 7 arkuszy, kosztowałby około 500 fr. Na taką sumę stać było zawsze Słowackiego.

Nie w cichej wiosce szwajcarskiej, nie nad jeziorem Leman, gdzie napisał kilka lirycznych *kawałków*, malujących stan jego umysłu w owej porze, stworzył Słowacki „Anhellego“. W innym czasie, w innem miejscu, wśród innych widoków natury, pod wpływem innych, potężniejszych wrażeń, niżeli dać może spokojny krajobraz szwajcarski, powstał pomysł tego poematu.

Pyszny dzikością widok Martwego morza, pobyt w Betlehem, w Nazaret nad jeziorem Genezareckiem, „gdzie Chrystus mu był przed oczyma“, w Kanie Galilejskiej i w grocie, gdzie pasterzom anioł zwiastował narodzenie się Pana, widok wioseczki Jerycha. zrujnowanej niegdyś głosem trąby wodza boskiego, i cały ten wielki, podniosły nastrój religijny, jakiego doznał, depcąc ziemię palestyńską, mógł natchnąć poetę do dzieła, które później w biblijnej opracował formie.

Pierwotnie był to poemat, pomyślany szeroko, na 30 rozłożony pieśni, a plan jego pod ciągle trwającem wrażeniem z Dantejskiej „Komedyi“ nakreślił Słowacki w swoim dzienniku z podróży. Kilkanaście zwrotek pieśni II i III dowodzą, że musiała być i pieśń I-a. Może zapisaną była w innym, zaginionym raptularzu, gdzie mieścić się miała znana zaledwie z urywków pieśń II „Podróży do Ziemi Świętej“.

Plan poematu dojrzał i skrystalizował się zapewne w umyśle poety podczas pobytu w Syryi, w klasztorze na górze Libanu, zwanym *Beth-chesz-Ban*. Tu, w tym „Spoczynku umarłym“, jak oznacza w języku syryjskim nazwa klasztoru, na skale, w miejscu bezludnem, w cichej celi klasztornej, z której widok na szerokie roztaczał się morze, wypoczywał poeta po trudach podróży przez dni 45. Tu też zapewne wśród kontemplacyi życia religijnego przeszedł od

tereyn do prostej a melancholijnym smutkiem owianej prozy biblijnej poematu. Zamiast XXX-tu pieśni zamknął go tylko w XIX-tu rozdziałach. Między tymi ostatnimi przybyły takie, których nie było w pierwotnym zarysie, a pozostały: „Dzieci; Chata — jabłoń gwiazd: Jama — historya. Mewy — słońce na wschodzie — Boże narodzenie; Cmentarz — gil; Przez rózgi — starzec łańcuchami bity, i t. p.

Domysł ten, że w celi klasztornej Słowacki tworzył „Anhellego" naprowadza wzmianka w liście z Livorna z d. 15. czerwca 1837 r. „Na górze Libanu — pisze — pracowałem trochę i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na wypadek rozbicia można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić"... Nie była to „Podróż do Ziemi Świętej", którą napisał był przedtem i w znacznej części przepisaną na czysto do raptularza swego wciągnął, gdyż dopiero potem zawitał do klasztoru na górze Libanu i zapisał w swoim dzienniku: „Niebo widziane w Beth-chesz-Ban, dnia 29. marca, 1837. o godzinie 8. (wieczorem).

„Podróż do Ziemi Świętej" mieści się w autografie na str. 1—88. Plan „Anhellego" na str. 93. Pieśń II i III na str. 94—99. Notatka o klasztorze Beth-chesz-Ban na str. 100.

Tyle L. Méyet w studyum pod skromnym tytułem: „Notatki" umieszczonem w Bibliotece warszawskiej 1892. str. 181—9.

Z tego klasztoru libańskiego, którego nazwisko podano mylnie w Listach Słowackiego 1883. I. 252 i 264 — i w monografii Małeckigo 1881. II. 73 i 88, obserwował owe niebo gwiazdziste, opisane w Pieśni III. i w „Anhellim".

„Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie, sąż to gwiazdy te same, które mnie widziały młodym i szczęśliwym". „Por. Podróż do Ziemi św." Lwów 1885. I. 143.

Plan „Anhellego" napisany podczas podróży wschodniej a spisany w „Dzienniku podróży" opiewa jak następuje:

Plan „Anhellego".

Z pamiętnika poety nieogłoszonego drukiem.

Pieśń I. (Zgon poety — cisza — ksiądz — ostatnia godzina — jezioro — zachód słońca. II. Obudzenie się) — Dante — (Kraj nowy, wicher płacze). Wyrazy i zdania

w nawiasie przekreślił poeta w autografie i zaznaczył na boku podobno odmienny układ pieśni. Obok „Dantego“ w pieśni II., dopisano 1, 2. Obok pieśni XIX. liczbę 3 i 4 a obok pieśni V. liczbę 5. III. Dzieci — Tonio. IV. Spalenie się człowieka na koniu — próchno. V. Forteca (obłąkany — trują go). VI. Chata — jabłoń gwiazd. VII. Uczta jeńców pijanych. VIII. Noc — życie poety. IX. Wilki, ciało jeńca. X. Jama — historya. XI. Dalszy ciąg, zgon kobiety — XII. Druga śmierć — ostatnie światło — XIII. Mewy — słońce na wschodzie — Boże narodzenie. XIV. Cień matki — przeczucie, koło ogniste — XV. Cmentarz — gil — palą kości. XVI. Uczta duchów — zorza północna — Anieli Piasta — XVII. Omdlenie śmierci — Dante i anioł — XVIII. (Orzeł świętych — Dante tłómaczy). XIX. Dante znika — Anioł w podziemne prowadzi kraje. XX. Sen jeńców — zgon księdza — XXI. Rąbanie skał rozżarzonych — spalenie nogi — XXII. Odpoczynek nad solnem jeziorem. XXIII. Przez rózgi — starzec łańcuchami bity. XXIV. Wielki kolos. XXV. Świecznik biblijny — XXVI. Gwiazda sumienia — XXVII. Drzewo pod deszczem ognistem.

Dr. Henryk Monat w pracy pt. „Czas powstania Anhellego i znaczenie poematu“ („Świat“ Z. Sarneckiego, Kraków, 1893. Nr. 16. i nast.) dochodząc niezawiśle do tego samego wniosku, odnosi sam pomysł „Anhellego“ do czasów „Kordjana“, z którym pozostaje w ścisłym związku. Niepodobna, powiada, przypuszczać, żeby poeta, pisząc pierwszą część, choć w ogólnych rysach nie miał wygotowanego już planu części drugiej i trzeciej. W tych poszedłby zapewne ułaskawiony Kordjan na Sybir. Na każdy sposób z dalszych niewykonanych części zrodził się w umyśle poety „Anhelli“.

Zamach na życie Cara nie udał się. Kordjan mógł się jednak spodziewać zwycięstwa w walce otwartej narodu, (która stanowić miała zapewnie część drugą trylogii). Anhelli takiej nadziei już nie miał, jest to Kordjan z trzeciej części utworu, postać z tragedyi, rozgrywającej się już po roku 1831, w czasie, kiedy znikły wszystkie nadzieje, a niewolno było rozpaczać. Poeta zakazywał rozpaczać, posiłkując się najciemniejszemi barwami swej palety, kreśląc ból bezbronnych, rozpanoszenie się dzikie zwycięzców i każąc Anhellemu patrzyć, cierpieć — i milcząc iść aż do

śmierci. O tło utworu mniejsza. Poeta wziął za tło Sybir, aby tem łatwiej odmalować całą nędzę społeczeństwa polskiego, a i dla tego, bo w pierwotnym planie „Kordjana“ o Sybirze myślał. Sybir nie jest to allegorya samej emigracyi, ale raczej całej Polski z wszystkiemi jej nieszczęściami politycznemi. Bohaterem poematu zrobił poeta postać bierną. Anhellego życie ma być cierpieniem; cnota jego poddanie się, celem — śmierć, bez nadziei. Słowacki pisząc „Anhellego“ jako przeciwnik ruchu rewolucyjnego, domagał się głębokiej, pełnej ofiar miłości, poświęcenia, które niczego dla siebie nie żąda i żadnej nie ma nadziei. Podróż na Wschód i pobyt w klasztorze libańskim wpłynęły tak na poetę, iż askezę, odsunięcie się od świata uważa jako czynniki postępu. Poprzednio już poeci nasi potrącili o tę strunę, tętniącą w duszy ówczesnego społeczeństwa. Część III. „Dziadów“ była programowem dziełem tej mistyki społecznej. Że myśl napisania poematu tej kategoryi zrodziła się w głowie poety jeszcze w Szwajcaryi, tego mają dowodzić dwa ustępy w korespondencyi poety. Jeden w liście z dnia 29. października 1835 opiewa: Raz wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerznięty potokiem. Było to w niedzielę rano; dzwon kościoła wiejskiego nadzwyczaj głośny i ponury zapełniał całe powietrze. Cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga. Nie wiem dlaczego opisałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że Ty sobie, Mamo droga, lepiej mnie wystawiasz w takim obrazie. Jest to niby wizerunek symboliczny tego co czuję teraz.... Dr. Monat domyśla się, że rozdział VIII. „Anhellego“ powstał w duszy poety z reprodukcyi tego ciemnego parowu, zmienionego tu na podziemia kopalni i potoku, wreszcie tego dzwonu ponurego, którym jest „echo od wybuchu miny, huczące nad głowami, jak dzwon podziemny“. Z niedzieli zrobił poeta w „Anhellim“ imieniny królewskie, dzień wytchnienia. W ostatnich dniach 1834 r. donosi poeta matce, że czyta Szekspira i cytuje ustęp z Ryszarda II: „Język mój będzie mi teraz niepotrzebnym tak właśnie, jak rozstrojona lira albo harfa.“ Ustęp ten odnajdujemy prawie dosłownie w roz-

dziale XV. „Anhellego", (kiedy Anhelli skarży się aniołom na swój los).

Wszystkie te jednak dowody przemawiają chyba zatem, że „Anhellego" poeta pisał już w r. 1835, ale nie stwierdzają, że kończył wtedy poemat. W przytoczonych fragmentach „Posilenija" pisanych dopiero 1837. weszła prawie połowa do „Anhellego". Dr. H. Monat wyszczególnił te miejsca analogiczne. Np. pieśń III. „Dzieci — Tonio"; Pieśń IV: „Spalenie się człowieka na koniu — próchno." Otóż dzieci z III i spalenie się człowieka na koniu i próchno z pieśni IV odnajdujemy w trzecim rozdziele „Anhellego" w scenie popa z dziećmi. Pieśń VI zatytułowana: „Chata — jabłoń gwiazd" znajduje się w rozdziale VI. „Anhellego", w którym celnik najeżdża chatę wygnańca, ostatniego konfederata Barskiego i odziera go z całego mienia, a gdy i z jabłoni strząsnąć chce owoce, gałęzie zapłonęły gwiazdami. Pieśń VII: „uczta jeńców pijanych" przeszła do rozdziału XII „Anhellego". Pieśń X: „Jama — historya" i pieśń XI: „Dalszy ciąg — zgon kobiety" zmieniły się w „Anhellim" na cudowny rozdział XIII, który kreśli życie Anhellego i Ellenai w chacie z lodu i śmierć pokutnicy. Pieśń XIII: „Mewy — słońce na wschodzie — Boże Narodzenie" odnajduje się w rozdziale XVI, kiedy Anhelli umiera przy ostatnich blaskach zapadającego słońca, widząc mewy białe, ulatujące w stronę Polski. Pieśń XV: „Cmentarz — gil — palą kości" mamy w rozdziale XI, kiedy płomienny duch biskupa wstaje z grobu i wspomina gile, co róż girlandami przylatywały ubierać suche drzewa Syberyi, aby mu przypominały jabłonie sadów ojczystej ziemi. Pieśń XVI: „Uczta duchów — zorza północna — Anieli Piasta" po części wyzyskaną została w rozdziele XIV i XV. Pieśń XIX: „Dante znika — Anioł prowadzi w podziemne kraje", naprowadza na myśl, że postać Szamana zrodziła się w duszy poety z reminiscencyi Dantejskich i jak Vergilius Dantego, tak Dante poetę miał prowadzić w piekło — sybirskie! Myśl tę poeta porzucił a z Dantego i anioła ulał tajemniczą postać Szamana, który według Dr. Monata jest uosobieniem wielkiej cudotwórczej poezyi wieszczej. Szaman prowadzi Anhellego w „kraje podziemne" w rozdziale VII, VIII, i IX. Pieśń XX: „Sen jeńców — zgon

księdza" jest przedmiotem rozdziału VII i VIII. Pieśń XXII „Przez rózgi starzec łańcuchami bity" wcielona została do poematu jako straszna scena rozdziału IX.

Myśl tryoletów III. pieśni

Rzekłem: Jest fala na wypadków rzece,
Jeśli się rzuci człowiek, z nią popłynie
Aż na wierzch ludzi — w szczęśliwych fortece.
Lecz jeśli raz się z tą falą rozminie,
To całe jego życie płynie smętne
Nędzą i bólem. W młodości godzinie
Ja ją minąłem.

odnajdujemy w skardze Anhellego przed aniołami: „Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zaniosła mnie daleko i już nie wrócę".

Jeśli „Anhelli" powstał 1835. z pierwotnego planu trzeciej części „Kordjana" — co dla dr. Hen. Monata nie ulega żadnej wątpliwości — to poeta przed rokiem 1835. musiał już nad planem tego poematu się zastanawiać a nawet pierwszą część jego napisać, ale nie skończył dzieła. Podczas podróży — z fragmentów tych „Anhellego" mógł się zrodzić plan nowego, obszerniejszego poematu w 30. pieśniach, z tą samą zapewnie zasadniczą ideą. Zaczął go też pisać w tryoletach. Ale forma ta znużyła go, porzucił ją więc i zaczął pisać prozą.

Do „Anhellego" w dzisiejszej formie, który powstał po ułożeniu planu Posilenija, weszło wiele z treści tego poematu. Dr. Monat jednak twierdzi, że „Anhelli", jeśli ułamki jego istniały przed podróżą na Wschód, uległ całkowitej zmianie, że zwłaszcza druga połowa poematu jest owocem tej podróży. Szerokie puszcze Suez przypomniały poecie jego samotność, jego ojczyznę nieszczęśliwą. W Jerozolimie spotkał się z bratem swego przyjaciela lat szkolnych, z Aleksandrem Spitznaglem.

A wrażenie tego spotkania musiało przypomnieć mu niejedną chwilę młodości. Ożył w jego duszy cały romans przyjaźni i miłości nakreślony w „Godzinie myśli", ożyły sceny „Kordjana", w których występuje Ludwika „dziecka kochanka" — jako Laura.

Poemat jednak w tej formie, w jakiej wyszedł w Paryżu 1838. r. powstał dopiero we Florencyi. Dowodzą tego następujące listy Słowackiego do matki:

Przez ciąg mojego wojażu papier mi uzbierał dotąd około 600 zł.; za to i za to, co jeszcze przybyć może, spodziewam się z małym dodatkiem zaspokoić moje głupstwo i miłość własną i miłość ojcowską i dać dziecku mojemu wyprawę. Zdaje mi się, że go ty, droga, sama pokochasz, bo *zupełnie inne jak przeszłe* (pisane prozą), już mi pięknie *rośnie i płacze* i ma jakieś rysy bardziej regularne i, jak mi się zdaje, piękne i szlachetne. Florencya 3. października 1837.

Wysłałem tam do Paryża przedemną jedno moje maleńkie dzieciątko, które już w tych dniach musiało się na świecie pokazać; nie wiem, jaki będzie los jego i bardzo ciekawy jestem, czy mu się powiedzie na świecie, zwłaszcza, że mu zamierzam wkrótce za przyjazdem nowych dać braciszków. Pierwszy z tych chłopczyków, którego już puściłem z opieki, nazywa się „Anhelli“: melancholiczną i trochę Chrystusową ma twarz, wielką prostotę w ubiorze i niepodobny do niczego. Florencya, 10. lipca, 1838.

Do Genezy „Anhellego“ przyczyniłoby się niemało zbadanie wpływu „Komedyi nieboskiej“ i „Irydjona“ Krasińskiego, „Ksiąg Pielgrzymstwa“ Mickiewicza, tudzież Dantego (Komedyi nieboskiej) i dzieł Emanuela Swedenborga (zwłaszcza: „Cuda nieba i piekła“, „Obcowanie duszy z ciałem“). Najobfitszy jednak wynik da poznanie stosunku „Anhellego“ do pisma św. które po zwiedzeniu Jerozolimy największy wywarło wpływ na twórczość Juliusza.

Styl, obrazowanie, a nawet poszczególne miejsca i sytuacye przypominają nowy testament.

Przytaczam tu jeszcze odnośne miejsca z korespondencyi Słowackiego, rzucające nieco więcej światła na tajemniczy warsztat powstania „Anhellego“.

Bajrut, 17. lutego, 1837. Na miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru *Bet-chesz-Ban*. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne, towarzystwem mojem będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz

Rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syryi. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszy na rozmyślaniu, bo chociaż podróż ta bardzo mię zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością w domku Paquis.

Moja droga, dla której ja z różnych stron świata ciągle wracałem z myślą, chcąc się z tobą podzielić każdym widokiem, każdem wrażeniem, dlaczego ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną, teraz, w tej chwili.... abym mógł płakać, położywszy twarz na rękach twoich. Spokojności!... Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca (podobnie jak w „Anhellim").

Na morzu, dnia 14. czerwca 1837. Ostatnie dnie mojego pobytu w Syryi po rozłączeniu się z Zenonem, który do Konstantynopola ziemią konie kupione poprowadził, przepędziłem w klasztorze na górze Libanu, zwanym Betechaszban, czyli spoczynek umarłym w języku syryjskim. Miejsca prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty, rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi, wszystko to miłe zostawiło wspomnienie.

Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę i rozmawiałem z niemi po arabsku. Nie raz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc, że jestem doktorem; (reminiscencya w „Anhellim" — Szaman). Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę, ci spokojni zostawali w swoich celach; dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia.

Ja miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam. Dzień Wielkiejnocy przepędziłem w tym klasztorze i przyjechał umyślnie ksiądz jezuita, ofiarując mi się na spowiednika: z razu nie chciałem tego uczynić, lecz jego przyjacielskie nalegania tyle sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w sza-

rej godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozpłakałem się jak dziecię, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność, wszystko, od czego mię później długie lata oddzieliły.... Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: „Idź w pokoju, wiara twoja zbawiła ciebie".

W tym klasztorze kilka razy przyśniłaś mi się ty, moja droga, i te sny prawdziwie że mię w jakieś obłąkanie wprawiły.

Na górze Libanu pracowałem trochę i owoc moich marzeń także ze mną wędruje; myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na wypadek rozbicia można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić; a potem mię jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych, pomyślałem, że jeżeli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun.

Prof. A. Małecki odnosi to miejsce do „Ojca zadżumionych".

Otóż tak Filom donoszę o osobach, które ich interesować mogą jako wspomnienia podróży; proszę zato, aby mi Sylka doniosła co o osobie (Ludwice Śniadeckiej), która mię jeszcze niestety interesuje jako wspomnienie mego dzieciństwa, od której miałem na czole pierwszy pocałunek na górze Libanu; było to we śnie i w klasztorze, księża byli blisko i zaraz nazajutrz wyspowiadałem się z grzechu pamięci, a potem wyszedłszy na jedną z największych skał, rzuciłem jej ogromne przekleństwo. Florencya, 21. sierpnia. 1837. Porównaj „Anhellego" rozdział XI. ustępy 11—16.

To dziwnie, że ja, co ze łzami prawie wyjeżdżałem z Libańskiego klasztoru, gdziem tylko dni 40. jak na pokucie przesiedział, a takiej, wyjeżdżając, doznałem tęsknoty, jak gdyby miło mi było życie z tymi dobrymi mnichami przepędzić, czuję, że z Florencyi bez żadnego żalu wyjadę. 19. maja, 1838.

Florencya, dnia 21. sierpnia 1838. Przedwczoraj miałem dzień miły dla mnie: oto przyszło mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko słowem, które ja kocham bardzo, o którem zarę-

czano mię, że mu się dobrze powiedzie. Odebrałem je z rana w niedzielę, więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się, poszedłem na śniadanie, ale mię coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać spiesznie, ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie. Więc poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej katedry i stanąwszy w pośrodku zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napełniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, żem tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadała przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny. Potem poszedłem do Moszczyńskich, pochwalić się i jadłem z nimi obiad wesoły, jak rzadko bywa. Chrzciny tego nowego dziecka bez żadnego kosztu obeszły się, albowiem uprzednie moje na niego zapracowały i jeszcze mi coś zostało. Przyjemność ta, o której ci piszę, jest nieco zmniejszoną przez to, że od ciebie, droga moja, już dawno bardzo nie mam żadnej wiadomości.

Stary Moszczyński wielki komplemencista, wyrecznał mię jak mógł i dobrze gadał o mojej ostatniej pracy. Jakżebym chciał, żeby od ciebie co posłyszeć o tem dziecku, żebyś ty go prędzej pocałować mogła, bo wtenczas dopiero cel mój jest otrzymany, bo jak mówią wszystkim, ty jesteś dziesiątą muzą.

O wyjściu „Anhellego" donosiły pisma emigracyjne: „W drukarni A. Jełowickiego i Spółki, znajdują się pod prasą: „Anhelli" poemat Juliusza Słowackiego". („Młoda Polska", wiadomości historyczne i literackie, Paryż, Księgarnia Polska, Nr. 18. z dnia 30. czerwca 1838.).

W Dodatku (do nr. 22. z dnia 10. sierpnia 1838.) ogłaszając po raz pierwszy wyjątek z „Anhellego" (Rozdział II.), podaje redakcya: „W tych dniach wychodzi z pod prasy „Anhelli", poemat J. Słowackiego (w Księgarni Polskiej w 18-ce, cena fr. 3., dla emigr. 2. z przesyłką 2·50). Bijący blask stylu przy niewyraźnem odrysowaniu idei, zresztą wysokie udoskonalenie tego, co jest w piśmienności nabytkiem, oto główny charakter niniejszego poematu jako i wszystkich utworów autora. W „An-

hellim" nadto przeglądają niby przez mgłę dążności chrześcijańskie. Zapisujemy ten postęp. Aby zalecić nowe dzieło naszym czytelnikom, dajemy tu zeń wyjątek". („Młoda Polska", 1838. Paryż, tom I. str. 85—7.).

„Juliusz Słowacki, po kilkoletniej podróży po Włoszech, Grecyi i na Wschodzie, wrócił przedonegdaj do Paryża". („Młoda Polska", wiadomości historyczne i literackie, Paryż, Księgarnia Polska, Nr. 35. z dnia 26. grudnia 1838.).

I „Przezor księgarski" w „Kronice Emigracyjnej" również w duchu katolickim wydawany, wyraża się życzliwie: „Jak dla chrześcijanina każda książka jest dobra, która umysł jego zwraca do nieba, tak dla Polaków wszelkie pismo jest dobre, co myśl ich zwraca ku uciemiężonej ojczyźnie, i przemawia silnie o nieszczęściach rodaków. Z tego względu świeżo wyszły poemat prozą, już znanego autora, ma zaletę nie małą. Scena jego jest w Syberyi, a treścią niemal całą obrazy męczarni dręczonych tam wolą wściekłego tyrana braci naszych. Możnaby zarzucić temu utworowi: brak wątku i jasności; sferę nadnaturalną, osoby cudowne i niepojęte, wtedy, kiedy prawda tak dostateczną być mogła; niektóre wyrażenia przesadzone; naśladowanie śmiałe a nie zawsze szczęśliwe biblii; wreszcie, przejęcie się zbyteczne gustem dzisiejszych poetów francuskich, ale nikt nie zaprzeczy, że są miejsca poetycznej piękności, myśli wysokie i nowe, obrazy zajmujące. Zdaje nam się nawet, iż ten utwór zasługiwałby na przekład francuski, ale wtedy autor musiałby wiele rzeczy choć w przypisach wytłómaczyć. Korzystaliby z tego i rodacy. „Kronika Emigracyi Polskiej, tom VII., Paryż 1838., str. 272.

Pierwszy Krasiński podniósł „Anhellego" na piedestal naszej literatury. Czy czytałeś — pisze do K. Gaszyńskiego z Wenecyi 18. listopada 1838 r. — Czy czytałeś nowy poemat Słowackiego „Anhelli". Piękne to dzieło, z wielką sztuką wypracowane, styl przejrzysty, spokojny, kryształowy, myśl prawdziwa. Anhelli, to pokolenie, które przemarnieje w łzach, w boleści, w daremnych żądzach, a umrze dnia poprzedzającego dzień, w którym te ich żądze dopełnić się mają. Ten Anhelli, taki samotny, taki opuszczony, patrzący na śmierć wszystkich swoich, jest do-

skonałym symbolem poetycznym naszego przeznaczenia. Naprzód to, co Boga ma w sobie, to co najwznioślejsze, entuzyazm, prawda, miłość wielkich rzeczy pod postacią proroka Szamana, umiera. Zostaje się jeszcze Anhellemu jakaś osłoda ludzka, pokutnica, siostra *Ellenai*. Ale człowiek taki nawet pociechy ludzkiej długo mieć przy sobie nie może; umiera i siostra. Ta śmierć jej, po mistrzowsku, z boską prostotą opisana.

Sam już teraz, zupełnie sam Anhelli, bo wszyscy współwygnańcy pozabijali się, zatracili się, zginęli: duszno mu i tęskno. Ostatnią mu towarzyszką został anioł Eloa, stworzony przez Alfreda de Vigny, a przez Słowackiego „zagnany na śniegi biegunowe", anioł urodzony z łzy Chrystusa na Golgocie — anioł litości, co się dał uwieść szatanowi — anioł, co teraz grzebie kości pomarłych na dłoniach białych, oświecanych przez zorze północne. Ten anioł drugi raz się urodził w ręku Słowackiego. Anhelli nareszcie sam skłoniwszy głowę, ducha oddaje; aliści ledwo skonał, pędzi rycerz na koniu, rycerz podobny do zjawisk Apokalipsy, wołający piorunowym głosem: „do broni!" Ale Eloa rzecze mu: „Jedź dalej, Anhelli już umarł, już on mój na zawsze." Taki koniec.

Nie znam nic smętniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego. Trudno było w elegię smętną a jednak pełną barw Moorowskich przetworzyć Sybir: poeta tego dokazał. Jeśliś nie czytał, dostań; jeślis zas już miał w ręku to dzieło, powiedz, co myślisz, czy toż samo, co ja? Wiem, że po przeczytaniu tego utworu zapadłem, jakgdyby w sen magnetyczny i wyśniły mi się wszystkie gwiazdy, wszystkie tęcze, o których tam mowa — gwiazdy i tęcze nie takie jak u nas, ale podobne do swiateł nicość oświecających, gdyby można pojąć świat nicości. Listy Zygm. Krasińskiego do Konst. Gaszyńskiego. Lwów 1882, str. 138—9. por. Wyjątki z listów Z. Krasińskiego. Paryż 1861, I., 39—41).

Zaprawdę — powiada na innem miejscu (Dodatek miesięczny do „Czasu", Kraków, marzec 1859) — trzeba potęgi uroczej, genialnej, nadzwyczajnej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było, żal się na

mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się, jakby Eden melancholijny. Wiesz, że mówią, iż czasem duch samobójstwa niesłychane obiecuje rozkosze, szepta do ucha i łudzi, i nęci i porywa. Otóż piekło Sybiru, nie przestając być piekłem, przybrało w Anhellim taką ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem. Tak samo w splotach węża jest lubieżność jakaś, pociąg niepojęty, magnetyczność porywająca ptaszki. Juliusz w takiego węża przemienił Sybir i lgnąć doń kazał duchom czytelników. Z. Krasiński w liście do K. Załuskiego. Rzym 13. maja 1840.

Kiedy się dowiedział o śmierci Słowackiego, pisał do przyjaciół jego w Paryżu, zajętych właśnie pogrzebem: Połóżcie mu napis na grobie „Autorowi Anhellego“, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na pokolenia przyszłe... Ze słów tych widać, że autor Irydjona najwyżej stawiał Anhellego między wszystkimi utworami zgasłego przyjaciela.

„Tygodnik literacki“ pod redakcyą A .Woykowskiego, Poznań 1. kwietnia 1839., w nr. 1 i 2 umieścił „Kilka słów o Anhellim“ w duchu Heglowskim, pióra znakomitego dziś archeologa, J. N. Sadowskiego, z której podaję tu najważniejsze miejsca:

„Odrodzenie się społecznego życia „nie ze snu, jako wprzódy było, ale z pracy wieków“, jak je ogromny duch autora „Irydjona“ pojmuje, oddźwiękło w sercach wszystkich wieszczów naszych i działalności ich nowy zupełnie nadało kierunek. Takim odcieniem owej myśli — matki całej przyszłości, jest Anhelli.

Wiek ten, który dziś pod ciężarem starości ku ziemi się już chyli, rozwinął się w pewnym systemie umysłowych pojęć i dzieł im odpowiednich. Cały ten system, jako jedna niepodzielna całość w sobie wzięty, stanowi wyraz ducha owego wieku i jest jego rozumem. Reprezentantem tego rozumu jest w poemacie Szaman. Rozum ów, jako duchowy wyraz całego, wielkiego zakresu historyi, był słowem bożem, wcielonem w ów wiek, by się w pewnej mierze rozwijało, w Szamanie też „wiele jest Boga“. Rozum ów rósł tradycyą dawnych pojęć i myśli w dziełach dawnych czasów zawartej, a był sprawcą następnych, podobnie Szaman

„mądrości swej od przodków naszych nabył" a wygnańców starych narodów, jakoby własne, poniewierane ciało pod opiekę bierze. Rozum ów przy dzisiejszem obumarciu całego społeczeństwa już tylko zlodowaciałemu ciału pracuje, również Szaman w poemacie, jako król ludu w śnieżnych siołach zamieszkałego, występuje jako pan „krainy grobowcowej". Pochód jego poprzedzają stada kruków, złowrogi znak bliskiego zgonu dla wieku, którego myśl reprezentuje.

Boleść tego wieku nie poczyna się z zewnątrz, nie jest skutkiem przypadkowego zdarzenia, ale z usposobienia samego wieku wynika, w niej też, jako we własnem dziecku musi być miłość Szamana. Stąd owo przywiązanie jego do Anhellego, będącego jakoby uosobieniem łez narodu nad własnym zgonem wylanych, jakby ostatniem tchnieniem i jękiem umierającego pokolenia.

Dzieje Anhellego są obrazem takiego męczeństwa. Duszę z przestrachu poczętą, pojoną ciemnością dumań, rozjaśnia rozsądek (Szaman), by ją jeszcze bardziej wykarmił boleścią, by jej dał poznać cały smutny stan grobowcowej krainy tj. całą treść zużytej społeczności. By powstało nowe życie, zginąć musi wszystko, co dotychczas stało mocą wcielonego słowa. Słowo to, ów duch dogorywających wieków, zużyć się musi do szczętu i w ostatecznem rozprzężeniu żywiołów społecznego życia, umrzeć szaleństwem własnego ciała, bo na wezwanie ducha historyi „zbliża się dzień sybirski i słońce zatracenia". Ta jest myśl zgonu Szamana z ręki wygnańca omdlałego świata.

Niknący rozum zgrzybiałych pokoleń (umierający Szaman) zostawia narodowi, w którego czucie się wcielił (Anhellemu) „większy ciężar, niż może unieść" jakiekolwiek plemię. Pokazawszy mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, zostawia go samego w ciemności wielkiej. By było odkupienie, miara dopełnić się powinna, a boleść matki naszej musi jękiem wszystkich narodów oddźwięknąć. Poeta dziwnie pięknie tajemnicę tej konieczności maluje: Anhelli kochał jeszcze dzieckiem niewiastę-anioła, świętość smutku nad przeczuwanym zgonem Ojczyzny; ale powołanie jego było rozleglejsze i zakochaniem się w tym jednym aniele określić się nie mogło. Kiedy na cmentarz krainy

lodów i śniegów, jakby na gruzy zwalonego świata, szedł „po tajemnicę grobów“, wtenczas w aniele-stróżu tego miejsca spoczynku znalazł obraz swojej dziewicy, a ten anioł zwał się Eloe i urodził się ze łzy Chrystusowej na Golgocie — z tej łzy, która wylana była nad narodami!

W tak przestronnym rozmiarze pojmuje autor upadek starego narodu. Zgon jego jest figurą zużycia się całego społecznego świata, który wraz z nim zaginąć musi. Ale męka jego ma być zarazem odkupieniem.

Myśl tego odkupienia jest głębokiem pojęciem istoty smutku i jej siły oczyszczającej. W smutku duch wchodzi w siebie, a odczepiając się tem samem od wszelkich przypadkowości zmysłowego świata, od wszelakiego źródła zepsucia i zagłady ducha, jędrnieje we własnej swej sile i do dzieł wielkich się sposobi. Dlatego też Anhelli w swym smutku jest „czysty jak lilia biorąca z wody liście i kolory niewinne, a świętość jego smutku jest „aniołem, który go opętał“.

To uświęcenie ducha w samotności i milczeniu objawia się tak w pojedynczych ludziach (Ellenai), jako też w odrodzeniu się i zbawieniu całych pokoleń. Smutek nad zgonem Ojczyzny i wynikające stąd głębokie dumanie nad tem, co się straciło, jest właśnie stróżem, aby owoce drzew, ręką ojców naszych sadzonych, nie stały się łupem materyalnej siły (zaborem celnika). Kiedy anioł zbiegłego wieku „z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach“ siedzi nad ciałem zmarłego, poezya „z płomienistej zorzy“ występuje zbrojnym rycerzem, a lody zamrożonego świata pryskają przed nią i głos rycerza grzmi wieścią zmartwychwstania.

Słowacki charakterem swoim literackim wyobraża rozległą bardzo stronę owej giętkości narodu naszego, umiejącej bez narażenia swej samodzielności, z lekkością w cudze kształty się wcielać.

Poezya Słowackiego zostając po za historycznością ogólnego ducha narodowej poezyi, nie może też mieć swojej własnej historyi. Nikt nie zdoła wskazać w pierwszych jego pieniach zarodu ducha, który panuje w Anhellim. Dlaczego? — bo źródła jego poezyi nie w niej samej, ale

z zewnątrz poety się znajdują! Duch dawniejszych jego poezyj wypływa z owych dążeń, które wyrosły w zaciszy litewskich borów i wśród dzikiego wycia wichrów ukraińskich. Duch Anhellego wprost z Irydjona wytryska.

Ale ta idea tak kolosalnie zarysowana w Irydjonie, cicho tylko i smętnie oddźwiękła w duszy Słowackiego. Była ona mu wróżbą złowrogą dla gasnącego pokolenia i dla tego z piersi jego zabrzmiała nutą melancholii i smętnego dumania o rzeczach śmierci, o krainach lodów i grobowców, o „dniu sybirskim i słońcu zatracenia. Anhelli jest jakoby, wyśpiewaniem tego wrażenia, który Irydjon zrobił na autorze. Ale myśl Irydjona nie tylko śmierć ale i nowe życie zwiastuje.

W walce potęg, w przeczczuciu śmierci całego wieku, jaśnieje obraz pełnego, organicznego życia, w ich brzmieniu drga zaród prawdziwej wolności. Ta myśl poziomo tylko i niedołężnie rozkrzewiła się w umyśle autora „Anhellego".

U niego ze śmiercią bohatera poematu, ze śmiercią melancholii zapadającego wieku, kończy się też wszelka poezya. Co dalej następuje, jest płaskie, bo nie całe, nie organiczne. Zwiastuje i on jakieś odrodzenie się ludzkości, ale jakieżto jest owo odrodzenie? Barwą mu nadaną nie przedstawia nowego zjawiska, któreby było wynikiem i zespoleniem wszystkich dotychczasowych dążeń ludzkości, jeno wprost powtórzeniem zdarzeń znanych już na świecie, zdarzeń, których imiona policzyć można do owego „długiego szeregu imion już zapomnianych". Pozytywna strona Irydjona, organiczny zawiązek przyszłości ukazująca, przekrzywiła się na stronę negatywną prostej reakcyi ciśnionych dotąd narodów. Umysł autora Irydjona dalekim jest od wszelkiej abstrakcyi, wszelkiego bezkolorowego dumania, jest na wskróś organicznym, jako życie, które się ma począć. Reakcya zaś narodów w Anhellim ogłoszona, jest zupełnie odrębną, a żadnego organicznego zarodu w sobie nie kryjąc, w miejsce podniesienia ducha, niepokoi go tylko.

W Irydjonie dzieje jednego, ściśle od innych odkreślonego narodu mają być pierwszym zarysem nowej epoki dziejów rodu ludzkiego, początkiem prawdziwie spo-

łecznego życia ludów — Autor Anhellego przeczuwał to niby i w jednem miejscu dość jasno nawet to nadmienia: „Naród wasz, mówi Szaman, drugi raz kładziony jest w kołysce i spowity, by wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele“ ale te słowa wychodzą z ust Szamana, są przeto tylko głosem rozumu upadającego wieku i w rozumieniu autora (jak się zdaje przynajmniej i jak z konsekwencyi układu całości wynika) mogą tylko mieć znaczenie myśli, która wraz z tym wiekiem zaginie, która z życiem przyszłości nie przypada do miary. Jakoż w końcu, kiedy chodzi o najwyrazistsze objawienie pozytywnej myśli poematu, kiedy sam wieszcz, choć nie w swojej własnej ale rycerza osobie, występuje, niknie zupełnie ów zaród prawdziwej myśli, i jakby go zły duch czczego kosmopolityzmu opętał, autor losy przyszłych pokoleń składa w wspólny a burzliwy czyn wszystkich, zmięszanych z sobą narodów i gubi myśl swoją w ciemnym zamęcie tych dążeń.

Słowacki uchwycił obie strony myśli w Irydjonie zarysowanej, ale je tylko pobratał, nie ożenił. Zupełnie jasno pojął tylko konieczność strony ujemnej, konieczność upadku tego, co nie mając dalszego „odspełnionego“ już powołania w bolach konania, łamie się jeszcze usilnie ze śmiercią. W odmalowaniu tej smętnej strony dał dowód wielkiego talentu. Stopniując tęsknotę i boleść do najwyższej ostateczności, nie przechodzi jednak nigdzie granic piękności, owszem krokiem owej, jak ją nazywa „melancholii z mocy“ czaruje duszę czytelnika. Ale za to drugą, dodatnią stronę — stronę prawdziwego organizmu zniżył po płaskości bezwzględnej, nikczemnie przeciętej równości, zużytej już pod koniec przeszłego wieku, i słabością tej myśli dowiódł, czego nie chciał, że moc melancholii może być wielką, ale jednak nie jest największą mocą wieszczego ducha. (Krytyka J. N. Sadowskiego, w Dodatku do „Tygodnika literackiego“ poznańskiego z r. 1839, nr. 1. 2. str. 7—8. 15—16.

Odpowiedź Słowackiego na krytykę „Anhellego“, znajdziesz w „Beniowskim“ pod koniec pierwszej pieśni:

O Boże! gdyby przez Metampsychozę
W Kozaka ciało wleść, albo Mazura,

I ujrzeć jaką popełniłem zgrozę.
 Pisząc — naprzykład — Anhellego. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łozę
 Jak szpaki Danta: rzecz taka ponura
A taka mleczna i nie warta wzmianki —
 Jak kwiat posłany dla pierwszej kochanki.

Pewniebym takich nie napisał bredni,
 Gdybym był zwiedził Sybir sam, realniej:
Gdyby mi braknął gorzki chleb powszedni,
 Gdybym żył, jak ci ludzie borealni,
Troską i solą z łez gorących — biedni!
 Tam nędzni — dla nas posępni, nadskalni,
Podobni Bogom rozkutym z łańcuchów,
 W powietrzu szarem, mglistem, pełnem duchów.

Porównaj aluzyę, w tej samej pieśni, w słowach: „bo te mary (utwory Słowackiego) jedne się rodzą z serca, drugie z głowy a trzecie tylko z dziwnej, twardej wiary w przeszłość itd. („Beniowski" pieśń I. zwrotki 28. i nast. 95. i nast.

W artykule „o przesądzie w pojęciach" uderza Z. Kaczkowski głównie na niejasność Anhellego. Jeśli zadaniem poezyi — powiada on — nie jest nic więcej, jak łechtanie wyobraźni cudownymi obrazami, jak głaskanie ucha pięknymi dźwiękami, to Balladyna, Anhelli i Lilla Weneda dopełniły wielkiego zadania: ale jeśli zadaniem poezyi jest pomimo piękności przedstawienie jakiejś prawdy, jakiejś idei, choćby też tylko najmniejszej albo i najstarszej, najwięcej zużytej, to Anhelli jest niczem. Słowacki napisawszy Anhellego, nic tem złego nie zrobił; jeśli nim nie dał żadnej idei, żadnej myśli nie wyłożył, to dał kilka pięknych obrazów, kilka pojedynczych myśli cudownych; jeźli nic nie nauczył, to przynajmniej potrącił serce, obudził myśl naszą. Ale cóż robią ci, którzy pod próżną białą mgłą syberyjską kilku blademi oświęconą gwiazdami, chcą podszyć koniecznie myśli, których pojąć mybyśmy wcale byli niegodni. Gdyby Słowacki był to pojął jasno, co chciał w Anhellim przedstawić, byłby i jasno przedstawił. Zmiennym się zatem tylko wydawać ten może, który pod niezrozumiałe rzeczy jakieś olbrzymie, niepojęte podsuwa

wyobrażenia. Z(ygmunt) K(aczkowski) Pamiętnik literacki Lwów 1850, I., str. 568—9.

Ten mistyczny właśnie pierwiastek podniósł wysoko Cypr. Norwid, towiańczyk, przedstawiając i społeczno-narodowe znaczenie poematu: Kiedy w Warszawie nocą budzeni bywaliśmy przez kolegów, aby choć obecnością naszą zasłać pożegnanie wysłanym na Sybir, Słowacki wtedy z drugiego końca Europy Anhellego ojczyźnie przysłał, to jest pierwsza współczesność. Tej samej zaś zimy w zacnym polskim salonie mówiła mi pewna pani domu, że „rozpowiadają coś ciągle o zsyłkach, a przecież z nas nikogo w czwartek nigdy nie brakuje“. Oto druga współczesność. Słowacki miał tę pierwszą, bez której poeta jest tylko kaligrafem lub notaryuszem.

Literatura żadna pewno takich nie miała czytelników jak ci młodzi czytelnicy Anhellego w Wilnie i Warszawie, którzy krwią i łzami kartki czytanej poezyi okupywali. Cześć więc oddaję Słowackiemu za to, że on ze swoją lirą na tych polach bywał przytomny. Okazał on tem prawdziwy patrycyat serca swego, i ta to obywatelska współczesność, dała mu igłę magnesową zamiast stylusa w rękę. Cyprian Norwid o Jul. Słowackim, Paryż 1861.

J. Reitzenheim, przyjaciel z ostatnich lat życia poety, tak się wyraża o Anhellim w swej biografii Słowackiego (Paryż 1862 str. 13.) Jeżeli w Kordjanie widzieliśmy jedno pokolenie chwytające się całą siłą czynu, Anhelli nam przedstawia inne, oddające się na ofiarę niepowodzeniu, zawodom i wszystkim płynącym stąd męczarniom dla dusz wzniosłych. Jeżeli w Anhellim z jednej strony, wygnańcy giną w śniegach Syberyi, skreślonej w tak uderzający sposób przez barda polskiego i jeżeli przedstawiają jakby przez mgłę ofiarę swego narodu, bohater z drugiej należy do całego świata, do rodu ludzkiego, którego cierpienia streszcza w samym sobie.

Pod wpływem coraz szerszego koła zataczającej sławy Juliusza pisze francuz, Noailles o Anhellim: Mały ów poemat w niczem nie jest podobny do innych. Jest to rodzaj bolesnego marzenia, elegii mistycznej, pełnej wdzięku i smutku. Idea poświęcenia i ofiary dobija tu ostatecznych granic. Anhelli jest wygnańcem o duszy niewinnej, niezna-

jącej złego ni bolu. Szaman, jeden z czarowników, którzy są zarazem kapłanami i królami ludów północno-azyatyckich, wtajemnicza go w ból, przeznacza go do wcielenia cierpień ojczyzny. Przebiega z nim wszystkie stacye boleści Polski.

Anhelli nie ponosi żadnej kary, szarpią go cierpienia drugich. Pod tem brzemieniem ugina się i prosi o śmierć. Ale nie jako męczennik, ani ofiara chce Anhelli odkupić swych braci, jest on rodzajem całopalenia. Widział nadmiar okropności, spojrzał w bezdenną przepaść bolu więc chce być zupełnie zniszczonym. Ofiara ta zadowalnia boga-mściciela i Anhelli ginie a zaczyna się nowa era. Noailles La poésie polonaise (odbitka z Correspondant) Paryż 1866 str. 34–38.

Niejasność Anhellego tłómaczy Małecki ogólnym, w współczesnem pokoleniu poetów pociągiem do tajemniczości w artyzmie. Mglista zagadkowość dzieł poetyckich nie była, nawet przez szerszą publiczność, poczytywana za ułomność. Co tonęło w pomroku, choć nie przemawiało do oka, mówiło do wyobraźni. A ta po swojemu — dopełniała tego, co w obrazie było zakrytem lub niejasnem.

Zdaniem Małeckiego nie chodziło autorowi bynajmniej w Anhellim o krainę sybirską, choć z niej zrobił pozorną scenę swojej powieści, ani też o stosunki wygnańców i osiedleńców sybirskich. Ktoby to wszystko chciał brać dosłownie, musiałby co krok sprzeczać się z poetą, wytykając mu to nieznajomość przedmiotu, to brak podobieństwa do prawdy. Nikt np. nie słyszał w Sybirze „o turmach i o wtrąconych do nich więźniach, których twarze smutne i blade patrzą się przez kraty w niebo" (rozdział IV.) Cały ten ustęp wzięty jest niezawodnie z rzeczywistego życia, lecz do sybirskich stosunków to nie przystaje. Scena ukrzyżowania trzech fanatyków, z których każdy przez własnych ziomków zostaje przybitym na krzyż za swoje mrzonki (rozdział X.) i to są znowu rzeczy, których na Sybirze nawet rozbujała wyobraźnia poety nie będzie śmiała umieszczać — chyba w znaczeniu symbolicznej przenośni. W drugiej połowie XI. ustępu ukazuje autor wstającą z grobu w kształcie płomienia postać biskupa Sołtyka, którego kości pogrzebane są w śniegach sybir-

skich. Nie miałożby być i Słowackiemu wiadomem, że grób Sołtyka znajduje się na Wawelu a miejsce wygnania jego było z tej strony Uralu?

Szczegóły te przytacza Małecki, ażeby przyjąć symboliczny punkt wyjścia w rozbiorze Anhellego. Przez Sybir i przez wygnańców sybirskich rozumieć koniecznie trzeba co innego, jak to, co się mieści w pojęciu tego słowa.

Poeta daje tu wizerunek doli całego narodu, przegląd wszystkich jego stosunków, obraz naszych win i cierpień. Sybirem podobało mu się nazwać całe nasze położenie społeczne. Przedstawia więc całą ojczyznę, a potem emigracyę z r. 1831, nakoniec i wygnańców z innych stron, nie wyłączając zresztą z tej liczby i pustyń sybirskich. Odnosząc Anhellego w taki sposób do symbolicznego rodzaju poezyi, w odróżnieniu od sztywnej allegoryi, wykazuje Małecki, ze na początku (rozdziały I—IX) daje poeta wizerunek naszej emigracyi ówczesnej, nienormalne jej warunki bytu między żywiołami obcymi, na tułactwie, zowiąc przenośnie życiem w Sybirze.

Szaman prowadzi przez to społeczne piekło poetę, jak w komedyi boskiej Wergili prowadził Dantego. Ci ostatni spotykali na drodze różne potępione za swoją przeszłość osobistości. Anhelli spotyka się z równie potępionymi, lecz nie osobnikami, ale stosunkami, spotyka się z olbrzymiemi cierpianiami narodu, które się już zamieniły w stały obyczaj, w panujący i niezmienny stan rzeczy...

Cała ta część dzieła i najartystyczniej jest wykonana i najłatwiej poddaje się wyrozumieniu. Nie ma potrzeby zatrzymać się tu nad składającymi ją ustępami z osobna. Wszystkie obrazy są wzięte z rzeczywistego życia.

Na dalszych kartach, od rozdziału dziesiątego począwszy, następuje wytłómaczenie, dlaczego dziać się mogą pod okiem bożem takie krzywdy społeczne. W obrazach poprzednich odsłonił, co naród znosi i cierpi. W scenach następnych okazuje, co społeczeństwo czyni. Ma on tu na oku, przedewszystkiem ówczesną emigracyę. Ale jak emigracya była tylko odblaskiem tego wszystkiego, czem naród cały wtedy był w sobie i co był czynić gotów, gdyby tylko na to pozwalały okoliczności: tak też i całe opowiadanie, które tu poeta daje, nie do samych tylko emigra-

cyjnych stosunków ściągać należy, ale do całej sumy postępowania i zabiegów w narodzie, o ile takowe, nawet w danem położeniu, były wynikiem własnych czynów i stanowiły o doli społeczeństwa w przyszłości. Cóż się tedy dzieje pośród owej liczby wygnańców, co mieli mieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiej i czuwać nad sobą, gdyż byli jako ludzie stojący na podniesieniu?

Zginęli marnie przed dopełnieniem się czasu. W wielkim dniu zmartwychwstania, w chwili tryumfu sprawiedliwości, nie ma już na ziemi ani śladu po tych ludziach. Ich nienawiści wzajemne, ich smutki, ich rzekoma miłość ojczyzny, ich nieudolność polityczna, ich szamotania się gorączkowe strawiły się same w sobie. Wrogowi nie zaszkodziły, dla nich samych były przekleństwem i zgubą. Tak przedstawia pierwszą połowę poematu Małecki w swem znakomitem dziele o Słowackim.

Na tem ciemnem tle rozpaczliwych stosunków, w samym środku tej grupy potępionych, widzimy pogrążonego w zadumaniu młodziana, z obliczem ku ojczyźnie zwróconem — to Anhelli. Modelem do tej postaci była osoba samego autora. Słowacki w życiu swojem mało zaznał szczęścia. Żył samotny, opuszczony, często nawiedzany przez rozpacz. Nieraz zadawał sobie pytanie, dlaczego cierpi? Szukał przyczyn, rozmyślał nad celami, dla których dostała mu się taka właśnie rola, lecz odpowiedzi na zapytanie to nie znajdował.

Chcąc pozbyć się tych trapiących wątpliwości ducha swego za pośrednictwem twórczej pracy, stworzył człowieka to samo co on zajmującego stanowisko i obdarzonego podobnym duszy nastrojem: spodziewając się, iż w idealnym wizerunku tej postaci znajdzie zwierciadło, zdolne rozwiązać niejedną i z własnych jego zagadek.

Bohater więc poematu jest pod względem położenia swego na zewnątrz także jednym z liczby owego tysiąca ludzi, zesłanych na wygnanie. Tęskni do ojczyzny, do normalnej doli społecznej równie boleśnie, jak oni. Lecz krom tej jednej z nimi wspólności, nie ma między Anhellim a tym tłumem wygnańców żadnego podobieństwa. Widzimy w nim człowieka wyjątkowego. Drogi jego takie, że po nich idzie samotny i smutny. Z dala od tych nienawistnych i gorączko-

wych zapędów, stoi Anhelli czysty i piękny ale bez siły woli i czynu. Jest to poeta. Zamieszkał w nim anioł poezyi i zamienił go całego na swoje tylko narzędzie. „Anhelli opętany jest przez anioła“, to znaczy, że najwznioślejsze uczucia jego zużywają się w sobie, nie przetwarzają się w czyny.

A jednak powiada o tym człowieku Szaman: „Oddany jest na niego większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie.“ Jest zatem konieczność i cel takiego życia, tylko że Anhelli tego nie wie o sobie i nie powinien, nie może o tem wiedzieć. Inaczej bowiem cierpienia i smutek ten nie miałyby już ani tego stopnia, ani tego znaczenia. — Taki klucz uważa Małecki za najwłaściwszy do zrozumienia roli, w jakiej wymarzył poeta bohatera swego utworu.

Przeżył wszystkich swoich. Dożył zagłady i całego owego pokolenia, do którego rodem należał, a które zmarniało, nie pozostawiwszy ani znaku po sobie. I oto czasy mają się ku dopełnieniu: straszne przesilenie się waży i dzień odrodzenia jest bliski. Ale Anhelli o tem wszystkiem nie wie! Wyraźnie chodzi o to poecie, aby to życie, idealne i ofiarne, zgasło już w tym strasznym zmierzchu między świtem ufności a nocą rozpaczy, w tem duchowem półświetle nadziei i beznadziei, które jest największą ze wszystkich męczarni serca. „On był przeznaczony na ofiarę serca“. Ten zgon cichy i samotny, po życiu bez żadnych pociech, miał być właśnie wizerunkiem nadejścia czasu, którego obrazem kończy się cały poemat.

Szaman jest — zdaniem Małeckiego — tylko fantastyczną postacią, allegoryą. Zupełnie mylnem byłoby rozumienie, że w nim uosobiony jest geniusz sybirskich autochtonów. O sybirskie mądrości nie chodziło wcale poecie. Że go autor stawia jako króla i kapłana ludów tamtejszych, to tak obojętne, jak że Szaman jest ubrany w futra i korale, a na głowie ma wieniec z wężów nieżywych zamiast korony. Jest to wszystko tylko fantastyczny ornament, proste następstwo tego, że w ogóle takiej formy i tej przenośni za tło poematu użyto. Więcej jednak w fantastycznej jego postaci istotnego znaczenia nie ma, jak że to jest plastyczne uosobienie tego wszystkiego najwznioślejszego, czego

ani w tłumie owych tysiąca wygnańców, ani nawet w Anhellim nie ma. Chodziło o to, ażeby pośród tego pokolenia przywalonego fatalizmem szału i grzechu, dać się czasem odezwać głosowi siły i prawdy, chociaż jej nikt więcej między nimi nie słucha, tylko poeta Anhelli. Chodziło dalej o okazanie, że to wszystko boże i żywotne, czego pełen jest Szaman, zostaje zewnątrz tego pokolenia, a więc... w obcym człowieku. Choć mądrość jego pochodzi od naszych ojców, rola Szamana w poemacie jest zresztą jedną z podrzędnych. Oprowadzanie bowiem Anhellego po różnych miejscach kraju, „ażeby mu ukazać wszystkie cierpienia ludu" jest tylko środkiem artystycznym, mającym połączyć z sobą rozrzucone wizerunki narodowej martyrologii i nadać im ciąg jakby akcyi jednolitej. Rzeczywiście ruch ten odbywa się w duszy własnej Anhellego. Jest to widzenie...

Ellenai wyobraża — podług Małeckiego — jedyną z znikomych osłód, zbolałego serca Anhellego. Chodziło widocznie o to, ażeby ukazując, jak u stóp jego przedwczesną śmiercią umiera jedyna istota, która go zrozumiała, tem posępniejszem jeszcze uczynić obraz jego smutku. Poeta przedstawia w niej pokutnicę. Obraz biblijny Magdaleny klęczącej u stóp Chrystusa, posłużył może za wzór do jej odtworzenia.

Najwięcej fantastycznym tworem imaginacyi, zdaje się być Eloe — zdaniem Małeckiego — uosobienie sławy. Nie miała to być owa sława stugębna, z zimną admiracyą po świecie roztrębująca czyją wielkość; ale raczej rzewna, cicha, łzawa pamięć po zmarłych, przywiązana do mogił, gdzie leżą ich kości, i zarazem obecna w sercach, dla których te mogiły są drogie. Takiej przynajmniej sławy pragnął dla siebie poeta.

Że zasadnicza myśl Anhellego jest socyoligicznie mętną, wykazał już Małecki. Ziszczenie się pragnień narodowych, odrodzenie innych społeczeństw, ma wedle Słowackiego być tylko zawisłem od takich cichych ofiar, od takich niekrwawych męczeństw, jakiem był cały zawód Anhellego na ziemi. Trzebaż — pyta słusznie Małecki — ażeby najczystsi i najlepsi w narodzie marnieli w bezczynnym smutku? żeby konali samotnie jako nieświadome mi-

syi swojej narzędzia przeznaczenia czy opatrzności, domagającej się... „odkupienia“? Czy społeczeństwu zda się to na co? Czy taką idealną protestacyą daje się co zmienić i naprawić? Czy to wystarcza?

Mimo tak przeciwnej tendencyi, wyrażonej w „Kordjanie“ występuje pewien związek między „Anhellim“ a „Kordjanem“, uwidoczniony przez St. Tarnowskiego. („Przegląd Polski“, Kraków, 1867.) Oba utwory biorą początek w jednem uczuciu patryotycznem, tylko że „Kordjan“, to zapał i uniesienie, które za broń porywa — „Anhelli“ to rozpacz po przegranej sprawie, to tęsknota tułactwa. Tarnowski rozróżnia w „Anhellim“ dwa pomysły różnej wartości i różnej wewnętrznej prawdy, treść ogólną, założenie i tło jego — a postać bohatera samego.

Pierwszy przedstawia stan narodu po upadłem powstaniu, drugi jest wcieleniem mistycznej nauki o odkupieniu narodu przez ofiarę jednego człowieka. Anhelli jest tylko jednym płomykiem w tem całopaleniu, które ma ubłagać zlitowanie. Ta cicha, spokojna ofiara Anhellego to ofiara każdej duszy czystej, szlachetnej, to zbiorowa ofiara cnót i cierpień całego pokolenia. W ogóle obraz porewolucyjnego społeczeństwa polskiego jest ponury, ciemny, rozpaczny, obraz do porównania chyba tylko z innym równie okropnym w „Nieboskiej Komedyi“. Tu jak tam nikt nie ma prawdy, nikt nie nosi w sobie warunków odrodzenia społeczeństwa, tu jak tam: wojna wszystkich przeciw wszystkim, dopóki się wszyscy wzajemnie nie zeżrą i nie wytępią. Tam nad zwątpiałymi i utraconymi, ukazuje się krzyż na niebie, nie jak nauka i zbawienie, ale jak sąd i wyrok, tu przelatuje po grobach rycerz powołujący do życia i nie zastaje już nikogo.

Anhelli jestto zdaniem Wł. Nehringa poemat pokuty i odkupienia po czynach „szaleństwa“. Bahater dlatego że się skarzy, umiera zanim zajaśnieje dzień obudzenia.

Prof. Nehring nie widzi bezpośredniego związku „Anhellego“ z „Kordjanem“ przeczy jakoby Anhelli był jakimś fragmentem drugiej lub trzeciej części zamierzonej przez Słowackiego trylogii. Sama forma biblijna powieści nie pozwala zdaniem jego przypuszczać bliskiego związku.

Nehring stara się połączyć Anhellego z „Panem Tadeuszem". Tak jak po wyjściu „Dziadów" części trzeciej, Słowacki napisał „Kordjana", tak po wyjściu „Pana Tadeusza" napisał „Anhellego. Jedno i drugie było napisane w intencyi współzawodnictwa". Władysław Nehring „O kierunkach nowszej literatury polskiej". Biblioteka warszawska, 1883. Tom I. str. 68—83.

M. Zdziechowski tłómaczy Anhellego marzycielską naturą Słowackiego. Aby wejść, powiada on, do wnętrza duszy autora Anhellego, trzeba umieć przejąć się niesłychaną potęgą jego fantazyi, a zdołamy może pojąć wtedy, jak go pochłaniało i rozpalało owo nieustanne snucie nieskończonego nigdy kłębka marzeń, jakim wstrętem przejmowało to życie, które zmuszało poetę porzucać nadgwiazdne krainy. Nie zdziwimy się wówczas, że ekstaza marzycielska doprowadzała go niekiedy do bezwzględnej negacyi wszystkich zabiegów, dążeń i ideałów ludzkich, a natomiast do wywyższania, nawet do apoteozy siebie samego — swoich polotów niebiańskich — do uważania siebie za „opętanego przez aniołów", za psalm jakiś odkupienia, za ogniwo łączące i godzące pogrążoną w otchłań głupoty i zepsucia ludzkość z nieskończonością Bóstwa. *Anhelli* jest właśnie wyrazem takich myśli.

Podług Dr. Zdziechowskiego Słowacki nie myślał wskazywać w „Anhellim" na drogę wiodącą do zbawienia narodu, nie pragnął wywyższać ponad wszystko cichego i bezczynnego cierpienia. Przeciwnie on energicznie potępił bezczynność, mówiąc z gorżką ironią w rozdziale pierwszym o tych, co nic nie robili pod pozorem myślenia o zbawieniu ojczyzny, a w ustępie o księdzu Bonifacie również ironicznie zachował się względem teoryi o pokorze w męczeństwie. Przejęty brakiem wspólności między sobą, a ludźmi, następnie rozegzaltowany myślą o tem swojem oddaleniu od świata, Słowacki uidealizował w Anhellim siebie samego, ale nie zrobił i nie chciał zrobić z siebie przykładu dla innych, nie przypuszczał, aby ktokolwiek mógł go kiedy pojąć. Anhelli umierał jak on samotny, niepojęty. Obudziły się potem ludy i zrzuciły jarzmo, ale nie obudził się Anhelli, ludzie szli swoim torem i doszli wreszcie do celu, a on zeszedł ze świata obcy dla wszystkich

i wszystkiemu. Lecz jego dusza niebiańska, jego myśli tak czyste i piękne, starczyły za wszystko, odkupując w oczach Boga błędy narodów. Ale Anhelli był tego nieświadom.

W twórczości Słowackiego Anhelli znaczy tyle, co Improwizacya w III. części „Dziadów" w twórczości Mickiewicza. Jak tu uczucie doszło do największej ekstazy, podobnież marzyciel Słowacki dobrnął w „Anhellim" do ostatnich krańców ekstazy marzycielskiej. Jak Mickiewicza uczucie zaprowadziło w labirynty mesyanizmu i wszystko co wyrzekł w owej epoce, było dalszym rozwojem myśli zawartych w „Improwizacyi", tak też Słowacki, idąc za niepohamowaną rozsądkiem wyobraźnią, zagubił swój talent w mrzonkach teozoficznych, a pomysły jego z ostatnich lat życia pozostawały w najściślejszym stosunku z „Anhellim".

Słowacki pisał „Anhellego" dwa lata przed „Lillą Weneda". Oddany zawsze marzeniom, przerzucał się teraz z fantazyjno-ekstatycznych uniesień w pomysły pełne radykalizmu politycznego i naodwrót, aż nie utonął w nurtach Towiańszczyzny.

Marzyciel do szpiku kości, nieoderwany jednak od świata, niezapatrzony w gwiazdy, ale kochający kraj, tęskniący do jego złotej przyszłości, gorąco pragnący ujrzeć marzenia swe urzeczywistnionemi, wpada Słowacki na rozmaite, najdziwaczniejsze pomysły.

Nieszczęśliwe połączenie rozkiełznanego marzycielstwa z silnym instynktem patryotycznym powodowało owo ciągłe prawie rozdarcie wewnętrzne. Ale przejęty wieszczą siłą geniuszu swego, a nie umiejąc pogodzić się z ludźmi, poczynał wierzyć w jakieś nadprzyrodzone posłannictwo, w jakąś szczególną anielskość swoją.

W takich chwilach tworzył Anhellego, który dawał wyobraźni poety niezmierzone pole do bujania i przytem pocieszał myślą, że tem samem pracuje dla wydźwignięcia ojczyzny z przepaści.

Wniknąwszy w charakter Słowackiego, określa M. Zdziechowski z „Anhellego" działalność jego w kierunku mesyanicznym: fantazya musiała go popchnąć na pole teozoficznych zaciekań, ambicya i wiara w potęgę swego geniuszu kazały mu mniemać, że jest wybrańcem, powołanym

do objawienia ludziom myśli Bożych. M. Zdziechowski, „Mesyaniści i Słowianofile", Kraków, 1888. str. 103—113.

Że „Anhelli" był pierwszą etapą na drodze mistycyzmu, tego dowodzą słowa listu Juliusza z czasów Towiańszczyzny: „Poganizm cały krzyczy i jeszcze raz występuje do walki, palcem posągowym pokazuje wszędy formy swoje. Jam go przekiął, ale jeszcze nie mogę zapomnieć, że mi był litosnym panem, że jego Dyanny były mi kochankami, a jego trwałość prawie wiecznością. Ale zwyciężyły go już piorunowe objawy ducha, a jam resztką czucia rzucił się dopomagać silnym i nieśmiertelnym prawdziwie. W tych kilku słowach jest cała moja historya. *W Anhellim ją na końcu przeczułem*, i oprócz anioła, co siedział nad trupem i zabraniał budzić go, *wszystko się sprawdziło*. J. Słowacki w liście do Z. Krasińskiego 14. grudnia 1842.

Włodzimierz Spasowicz w „Dziejach literatury polskiej", (przekład z rosyjskiego A. G. Bema, Kraków, 1891, str. 418.) dowodzi wpływu Krasińskiego w Anhellim: Gdyby pod nagłówkiem nie wydrukowano imienia Juliusza, możnaby wprost powiedzieć, że dzieło usnuł Krasiński — do takiego stopnia, naprzekór wszelkim sposobom artystycznym Słowackiego, lubiącego w ogóle barwy jaskrawe, silne wzruszenia namiętności — poemat pełen jest mgły, symbolizmu, przenośni i bezdennej, cichej, przygniatającej duszę tęsknoty, nieprzechodzącej nigdzie w głośny jęk rozpaczy, ale też nieprzepuszczającej ani jednego promienia nadziei wróżby szczęśliwszych losów osobistych. Małecki odnosi ten poemat do czasów genewskich (1835. r.); czyni to wszakże na zasadzie samych domysłów, bez dowodów stanowczych. Jeżeli weźmiemy pod rozwagę: że w korespondencyi Słowackiego nie ma ani jednej wskazówki, bezpośrednio świadczącej o czasie, w którym ten poemat był napisany, — że po widzeniu się z Krasińskim, snuł on wiele utworów, nawet z tytułu niewiadomych, w Sorrento, Betcheszban, Bajrucie i Florencyi, — że poemat pisany jest mową niewiązaną, stylem przypominającym wprawdzie biblię, ale także „Nieboską Komedyę" i „Irydjona", obrazami, podobnymi do Dantowych, lecz będącymi zarazem reprodukcyą maniery Zygmunta — w wymienionych powyżej dwu jego dziełach, — że w treści utworu tkwi rozległy

schemat filozoficzny, obcy dawniejszym płodom Słowackiego, a stanowiący niezbędne podścielisko wszystkich poematów Zygmunta, — że Krasiński wspomina, iż Słowacki pokazywał mu w Rzymie „Balladynę“, (List Krasińskiego z d. 23. listopada 1840.), lecz nic nie mówi o „Anhellim“, (a jeśliby podówczas, 1835. r., fantazya ta była już gotowa, Słowacki nie omieszkałby jej prawdopodobnie Krasińskiemu przedstawić), — że alegorya, będąca główną Anhellego osnową, słabnie, jako składowy żywioł poezyi Juliusza, w późniejszych jego utworach, — to należy przyjąć, iż Anhelli jest tylko pożyczką, naśladowaniem, lecz do takiego stopnia pełnem talentu, że pomimo swej niejasności, jako nadzwyczajne zjawisko, zajął i oczarował współczesnych a Krasińskiego wprawiał w zachwyt.

W kształcie fantasmagoryi, przy oświetleniu księżycowem, poemat zamyka w sobie coś nakształt filozofii polskich cierpień i wychodźtwa z drugiej ćwierci wieku XIX. Poeta unika umyślnie realizmu i myśl swą symbolizuje, przenosząc się na grunt Syberyi, mającej zresztą tyle wspólnego z rzeczywistością, ile ta mieć mogła ze szczytami góry Montblanc, które, jakeśmy widzieli, były dla fantazyi wieszcza przedmiotowym łącznikiem dwu różnych wyobrażeń.

W owej fantastycznej Syberyi są lody i zorze północne, straszne ciemnice podziemne w kopalniach, stada jeleni północnych i lud Ostyaków, przyjaźnie witający nieszczęśliwych; ale w szczegóły tego opisu wpleciono umyślnie rysy bytu nie wyłącznie syberyjskiego; systemat wychowania, więzienia, przepędzanie przez rózgi, sceny wreszcie, wzięte żywcem z dziejów emigracyi...

Oczywiście Syberya jest tu tylko fantastyczną oprawą obrazu, ramami, w które wstawiono całą rozprószoną Polskę spółczesną — od Sekwany, aż do Kamczatki, z tendencyjnie uwydatnionym, przerażającym brakiem zdrowego rozsądku i nieudolnością do czynu jej przywódców.

Również allegoryczną i nierzeczywistą postacią jest jedna z głównych osób działających, szaman Ostyaków — mędrzec, prorok i czarownik, co znał jeszcze ojców tej drużyny wygnańczej; wita on przybyszów życzliwie, mówi im słowa prawdy — za co też ginie w końcu z ich rąk.

Szaman uosabia wyższą zasadę, ową prawdę, nieuznawaną przez tułaczów. Z łona rzeszy wybiera on jednego, aby uczynić z niego odkupiciela i przekazuje mu, przez położenie rąk, swą miłość ku ludziom i współczucie. Wybraniec Szamana, Anhelli, jest idealnem wyobrażeniem ducha samego poety, trapionego zwątpieniem i prześladowanego pytaniami: na co stworzon, co ma czynić, jak ulżyć losowi biednego, obłąkanego plemienia współwygnańców? Jestto Kordjan, który porzuciwszy namiętności i wrzący temperament, spokrewniający go z Konradem, stał się cichym, łagodnym, dobrym, jak baranek. Jak Wirgiliusz — autora „Boskiej Komedyi" — tak Szaman przeprowadza Anhellego przez wszystkie stosunki opłakanego bytu, niby okręgi Dantowego piekła; rozmawia ze wskrzeszanymi zmarłymi i ze zgrzytającymi wściekle żywymi, którzy z rozpaczy dochodzą do tego, że zjadają się wzajem i mordują apostoła zgody, co starał się ich upamiętać. Po śmierci Szamana poemat staje się bardziej jeszcze allegorycznym. Anhelli przesiedla się w stepy podbiegunowe, wraz z reniami zgasłego proroka i zesłaną zbrodniarką, która się doń przywiązała. W końcu umiera ona, umiera i sam Anhelli, śród sześciomiesięcznej nocy podbiegunowej, nie zupełnie o lepszej nie wiedząc przyszłości. Nad zmarłym siedzi pochylony anioł Eloe, najbardziej tajemnicza z pomiędzy osób działających, według wszelkiego prawdopodobieństwa uosobienie „sławy", nie takiej wszakże, o jakiej Słowacki marzył w dzieciństwie, lecz sławy cichej, chowającej umarłych — piastunki grobowców.

Eloe niedopuściła ocknąć się zmarłej ofierze i uradowała się, że ognisty rycerz odjechał, nie obudziwszy uśpionego. Na czemże polega *odkupienie*, na które był wybrany i poświęcony Anhelli? Jestto jedynie człowiek czujący, lecz niezdolny bynajmniej pobudzać do czynów swoich spółczesnych.

Wybrany na *ofiarę spokojną* człowiek, cierpiący bez granic i bez nadziei, przez to tylko, że cierpi, zdobywa dla narodu swojego zbawienie. Innej odpowiedzi nie było w warunkach owej epoki. Wielu rówienników Słowackiego, wychodźców — tej samej, co on, trzymało się kotwicy: wszyscy oni padli ofiarą towianizmu, wskutek tego, że skłonni

byli do mistycznych rozmyślań, a mistycyzm działa, niby chloroform, który cierpienie i świadomość zarazem przygłusza. — Porównaj Maryana Dubieckiego „Historyę literatury“, Warszawa 1888. tom II. str. 274. i 278.

Na pytanie kim jest właściwie Eloe, ta smętna anielica, kojąca szelestem swych białych skrzydeł ponure skargi wygnańców? odpowiada Ign. Matuszewski w studyum: Geneza i znaczenie Eloi u Słowackiego (Ateneum, na lipiec 1892, III. 49. i nast.)

Dowiódł on, że rodowód Eloi, „ze łzy Chrystusowej na Golgocie“ wzięty został z mało znanego u nas poematu Alfreda de Vigny p. t. „Eloa“. W tym ostatnim utworze urodziła się ze łzy, którą Chrystus uronił nad grobem Łazarza a którą serafini zanieśli do nieba, anielica niewypowiedzianie piękna.

Dowiedziawszy się od swoich niebieskich współbraci, że jeden z nich, najpiękniejszy, jęczy obecnie w ciemnościach piekielnych, obarczony klątwą bożą, Eloa opuszcza niebo i zlatuje w otchłanie piekielne, by pocieszyć tego, który jako „najwinniejszy jest zarazem najnieszczęśliwszy z nieszczęśliwych.“ Przeklęty Archanioł nie stracił nic ze swojej piękności zewnętrznej. Eloa spogląda na niego ze zdumieniem. Szatan zaś, opisawszy jej rozkosze miłości ludzkiej, woła:

Wszystko to moje dzieło, zasługa zbrodniarza!
Ów przeklęty, jak widzisz, jest pocieszycielem,
Który płacze nad losem niewolników Pana,
Łagodzi im, przez miłość, straszną gorycz bytu,
I, pomnąc na ból wspólny, co wszystkich jednoczy,
Daje im błyski szczęścia, zapomnienia chwile...

Słowa te wzruszają do głębi Eloę.

„Milczeniem swem Eloe mówiła: jam twoja!
A szatan szeptał cicho: bądź moją, bądź moją!
Ty nie wiesz dotąd, ile szczęścia zaznać można,
Kojąc na swojem łonie czyjeś łzy i łkania...“

Litość zwycięża obawę i wstyd dziewiczy; córa Chrystusa, pożegnawszy na wieki rozkosze niebieskie, spływa w objęcia potępionego archanioła...

Te i tym podobne szczegóły, nie wyłączając nawet imienia — Słowacki zhellenizował tylko końcówkę imienia de Vigny'owskiej bohaterki — zgadzają się z tem, co Słowacki o przeszłości swojej piastunki wzmiankuje. Drobna różnica, dotycząca chwili uronienia owej twórczej łzy przez Zbawiciela, nie ma tu, jak sądzimy, wielkiego znaczenia. De Vigny trzyma się ściśle tekstu ewangelii św. Jana, gdzie powiedziano (Roz. XI 33, 35): „Jezus tedy, gdy ujrzał ją (siostrę Łazarza) płaczącą, rozrzewnił się w duchu, zafrasował się i rzekł: gdzieście go położyli? Rzekli mu: Panie, pójdź a oglądaj. I zapłakał Jezus."

Słowacki nie liczy się z tradycyą biblijną i wywodzi Eloe „ze łzy, która wylana była" nie nad grobem jednostki, lecz „nad wszystkimi narodami na Golgocie." Może to być zarówno prosty błąd pamięci, jak i dowolna zmiana, wprowadzona do poematu w celu rozszerzenia i spotęgowania doniosłości symbolu. Eloe de Vignyego jest postacią symboliczną. Ta ożywiona łza Chrystusa, spadająca na łono szatana, nie ma nic wspólnego z resztą aniołów Bożych. Córka tego, który za grzeszników „cierpiał rany" a modlił się za swoich prześladowców, Eloa, jest uosobieniem, nie sławy, lecz — litości, najwyższej, najszczytniejszej litości.

De Vigny urywa poemat w chwili, kiedy Eloe oddająca się potępionemu pyta: „Jesteś teraz szczęśliwy i zadowolony?" — „Smutniejszy-m, niż zazwyczaj..." — brzmi odpowiedź. Słowacki opowiada nam dalsze dzieje owej anielicy „ze smutną gwiazdą we włosach," nie zmieniając w niczem istoty symbolu, stworzonego przez francuskiego poetę. Za „litość nad męką ciemnych cherubinów" została ta smętna „wnuczka Maryi Panny" wygnaną z niebios i przykutą do ziemi, gdzie, zgodnie ze swą naturą, spełnia urząd litościwej „piastunki grobowców" i pocieszycielki umarłych, których kości skarżą się, że je obca przykryła ziemia.

Czyż w tym łzawym, melancholijnym, a pięknym obrazku, jest choćby jeden rys, mający związek, nie z litością, lecz ze „sławą", choćby najcichszą nawet? Ma więc słuszność Krasiński, nazywający Eloę „aniołem litości".

W poemacie de Vigny'ego, do którego nas sam poeta odsyła w słowach „gdzieindziej napisano jest o anielicy

tej itd.“ odnalazł Ign. Matuszewski klucz do zrozumienia symbolu Eloi, niewyjaśnionym uważając jeden jeszcze rys a mianowicie: stosunek Eloi, do dawnej, ukochanej Anhellego.

Eloa Vigny'ego (Paris, 1823) jest apoteozą litości... Tu, jak w innych swych dziełach, dochodzi autor do apoteozy biernego cierpienia.

M. Zdziechowski Byronizm francuski, w Przeglądzie Polskim 1892, tom 104 str. 157 i nast.

Maurice Paléologue: Alfred de Vigny. Les Grands E'crivans Français p. Hachette 1891. recencya fr. Brunetiera w Revue de deux Mondes. Paris 1 decembre 1891. i M. Zdziechowskiego w Przeglądzie Polskim, Kraków 1893. tom 105. str. 647—9, tudzież w znakomitem dziele o Byronie, Kraków (Spółka nakładowa) 1894. tom I.

Środek ten mistyczny na wszelkie rany społeczne tkwił widocznie w powietrzu. Tłómaczy to Dr. Monat w studyum o Anhellim: Może być, powiada on, że na postać Eloi wpłynął poemat Alfreda de Vigny. Ale myśl wprowadzenia Eloi do Anhellego zrodziła się z reminiscencyi nie obcego utworu, ale z własnych bolów. Między Eloą, kochanką, co „pierwszą i ostatnią była“ („Godzina Myśli“), a Laurą — jest najściślejsze powinowactwo. Ludwikę Śniadecką przypomniało poecie nie tylko spotkanie z Spitznaglem, wspólnym obojga przyjacielem, myślał on wiele o niej już w Egipcie. Tam doszedł go list, że wychodzi za mąż.

Z Ludwiki Śniadeckiej, którą z takiem rozrzewnieniem wspominał do końca życia, tudzież z zasłyszanych w klasztorze Betcheszban z ust mnichów podań, zrodziła się ta anielica, która umiłowała jednego z ciemnych cherubinów. Jedno z tych podań spisał poeta w swoim pamiętniku: „Mnich opowiadał mi legendę o pewnej Maryi, Hiszpance, która zakochała się w djable; dla niego naprzód wyrzekła się Chrystusa, lecz kiedy ją prosił kochanek, aby odmieniła imię swoje chrzestne, nie chciała na to zezwolić, nareszcie po długich naleganiach djabła, zezwoliła na odjęcie ostatniej litery i została Mari, potem na nowe prośby je-

szcze mu po jednej literze oddawała, aż nakoniec zostało tylko M. i nazywała się Ema. Ta dziewczyna znajdując się na tragedyi świętej Kalderona, krzyknęła głośno z rozczulenia i djabeł ją rzucił w powietrze." Że to podanie wpłynęło na utworzenie postaci Eloi, dowodzi dr. Monat. Reszty miały dopełnić reminiscencye z biblii. Jak Ellenai jest krewną Magdaleny, tak Eloe ma coś w postaci Racheli, płaczącej w Ramie nad synami idącymi na wygnanie. (Jeremiasz XXXI, 15).

I tak z nastroju rzewnego poety, z wspomnień poetycznych i własnego życia, z podań wreszcie opowiadanych mu w klasztorze, zrodziła się przepiękna scena, w której Anhelli omdlewa na widok Eloi, podobnej do kochanki lat jego niemal dziecięcych.

Religijny nastrój i pobyt w klasztorze wpłynęły głęboko na koloryt całego poematu i jego tendencye. Osamotnienie Anhellego jest samotnością każdej wyższej indywidualności. Osamotnienie to nie broni go przed żadną boleścią; widzi on i głęboko odczuwa nędzę i zbrodnie wygnańców Syberyjskich. Jest to apoteoza nadludzkich cierpień, ustęp ze systematu socyologicznego poety, który na czterdzieści i kilka lat przed Nitschem w poezyi propagował teoryę niemieckiego „Übermensch". Wiadomo, że Słowacki uważał tyranów, okrutników, za narzędzia boskie do podnoszenia ludzkości. Żaden poeta polski nie bronił prawa indywidualności z taką bezwzględnością. Szrankami jej u poety są tylko czasem wiara i mistyczna miłość idei. Zasadnicza myśl poematu nie jest mistyką, ale jasną jak słońce prawdą. Słowackiego przerażał widok szamotania się narodu w łańcuchu, postawił przeto przed jego okiem postać o nadludzkiej abnegacyi i szlachetności, człowieka, który miał wszelkie prawa szczęścia, a spłonął cichą ofiarą. I to jest ostatni akt „Grafa" Kordyana!

Można poematowi zarzucić pessymizm, ale pessymizm ten nie prowadzi do zwątpienia; poeta nakazuje bowiem zrzec się nadziei tylko jednemu pokoleniu.

„Anhelli" Słowackiego jest zdaniem Dr. Monata jednym z najgłębszych utworów literatury polskiej. Gdyby poeta należał do narodu więcej literackiego, gdyby pier-

wszorzędne w naszem społeczeństwie utwory stawały się własnością ogółu, a nie pozostawały pięknym kamieniem pamięci — stawianym na cmentarzach a widzianym raz do roku, ledwie w jakimś dniu zadusznym literatury — postać Anhellego, dawno już przeszłaby granice językowe Polski. Anhelli byłby przedstawicielem najwyższych idei społeczeństwa, leżącego w agonii, tak jak Faust i Don Juan są typami ogólno-ludzkimi sensualizmu i spirytualizmu.

Jerzy Brandes, w swojem studyum o Nietzschem porównywa „Zarathustrę“ tego filozofa z „Księgami pielgrzymstwa“ i z „Anhellim“ i stawia te dzieła w rzędzie najgłębszych utworów literatury świata całego. Zestawienie to dowodzi niezwykłego wrażenia, jakiego i cudzoziemiec doznaje czytając „Anhellego“. Aby zrozumieć znaczenie utworu, uprzytomnia dr. Monat czas, w którym poemat powstał. Stosunki po roku 1831. były bardzo smutne. Z kraju dochodziły co dzień nowe wieści o prześladowaniach, więzieniach, konfiskatach majątków; na emigracyi swarzono się i rozpaczliwe częstokroć podejmowano środki ratowania ojczyzny. Walka narodu z przemocą brutalną zmuszała poniekąd poetów do tworzenia dzieł treści politycznej. Dr. Henryk Monat: Czas powstania „Anhellego“ i znaczenie poematu, „Świat“ Z. Sarneckiego, Kraków 1893. Nr. 16. i nast. str. 434.

O wpływie Chateaubrianda na „Anhellego“ (i na poematy „W Szwajcaryi“ i „Horsztyński,“) zapowiada obszerniejszy rozbiór Ferdynand Hösick w rozprawie J. Słowacki w Florencyi, Tygodnik ilustrowany, Warszawa 13. stycznia 1894, Nr. 211. str. 30.

Str. 22. Dedykacya Anhelllego:

Stefanowi Hołyńskiemu: „Na pamiątkę spotkania się w Palestynie (w styczniu 1837. r.) i pod górami Libanu (około Wielkiejnocy t. r.) t. j. w Syryi, gdzie rdzeń wyżyny tworzy nadbrzeżny łańcuch górski Libanu i równoległy z nim Antilibanon (z wierzchołkami wznoszącymi się po nad 3000 metrów).

Str. 23. w. **20**. i **46**.

„Na czele zaś szedł król ludu a zarazem ksiądz ubrany podług zwyczaju w futrach i w koralach, na gło-

wie zaś miał wieniec z wężów nieżywych zamiast korony. Nazywano go zaś *Szamanem*, tak albowiem nazywa lud sybirski królów i księży swoich, którzy są czarownikami". Szaman, kapłan ludów syberyjskich w północnej Azyi, obowiązkiem jego jest badać wolę duchów i opowiadać ją ludom. Sztuką czarnoksięską, którą posiadają w wysokim stopniu, wyrobili sobie wpływ i poważanie u ludu. Szamani umierają przeświadczeni, że ich świetna czeka przyszłość, każą tylko, by ich ciała były spalone. Ubiór ich codzienny nie różni się prawie od odzienia innych (Buryatów), czerwona tasiemka, którą oszywają czapki jest jedyną oznaką ich godności. Szamanizm wyznają między innymi Samojedzi, lud zamieszkujący okolice Tobolska itd. Ostyacy, z gubernii tomskiej i inni.

Str. 35. w. **378**. A utrzymywał się z robaczków, które nazywają *czerwiem*.

Czerw lub czerwie, tak nazywają liszkę pszczelną zaraz po wykłuciu się. Czerwem drzewowym nazywa lud gąsienice owadów toczących drzewo.

Czerwiec, rodzaj owadów należących do rzędu półskrzydłych. Są to zazwyczaj pasożyty, wyrządzające wielkie szkody roślinom. Używano ich dawniej jako materyału farbiarskiego, zastępuje zaś dzisiaj Koszenilla amerykańska.

Str. 40. w. **528**. I rzekł Szaman: jestże to *morze Genezaretańskie*.

(Przez omyłkę wydrukowano: może). Jezioro Genezareth, w Palestynie, znane z Pisma św. Oto jak je opisuje poeta w liście do matki z Bayrutu 19. lutego 1837.

„Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami, na jednej z tych stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów. W mieście, nie znalazłszy między ruinami miejsca na łóżko, nocowałem na murawie pod gołem niebem, a kiedym się obudził i odkrył głowę, widziałem księżyc późno wschodzący nad jeziorem genezaretańskiem. Byłem w Betlehem, w Jerycho, w Nazaret, nad jeziorem genezaretańskiem, gdzie Chrystus mi był przed oczyma; zdawało mi się, że postać jego spokojna stoi jeszcze na błękicie fali, z głową otoczoną promieniami. Nad tem jeziorem spałem pod gołem niebem.

bo wszystkie domy przez trzęsienie ziemi były zapadłe i choć byłem z głową nakrytą od rosy, obudził mnie wschód księżyca, nad cichem Genezaretańskiem jeziorem". (Z listu Juliusza Słowackiego do matki, Liworno, 11. lipca 1837).

Str. 44. w. **642**. i nast. „Na czele (mieli) żołnierza chudego, imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów". (Pankracy *Nieboskiej Komedyi*).

Skartabel był to pierwotnie żołnierz zajmujący pośrednie miejsce między szlachcicem a kmieciem wojskowo służącym. Zbrojny zastęp ludzi nazywał się w wiekach średnich łacińskim wyrazem *scara*. A ponieważ ilość siły zbrojnej podawano do wiadomości wodzowi w osobnym spisie nazywanym *tabella*, przeto powstała przez ściągnięcie obu tych wyrazów w jeden, nazwa *scartabelli*.

Wydzielano za dawnych czasów Rzeczypospolitej dobra „ludziom pochodzenia niskiego a nawet podejrzanego" z tym warunkiem, ażeby pełnili za to służbę wojskową wyręczając w ten sposób szlachcica w twardem rzemiośle wojskowem. Tacy żołnierze nazywali się skartabele. Konstytucyą 1736. r. ustanowiono, żeby nobilitowanych nie pierwej przypuszczano do urzędów i godności, aż pokąd przez trzy pokolenia prawu o szlachectwie zadość nie uczynią. Przejściowe te dwa pokolenia nazywano w ustawodawstwie *scartabelami*. Jan Chyliński, „Rzecz o skartabelach", Biblioteka Ossolińskich, poczet nowy, tom XI. Lwów. 1868. str. 210. i nast.

Str. 45. w. **685**. Aż o północy zorza borealna rozciągnęła się na całej niebios połowicy.

Wspomniana tu zorza *północna* jest znanem zjawiskiem w krajach podbiegunowych, na Syberyi itp.

Str. 46. w. **716**. Tak mówiąc zdejmowali owe zmarzłe i skościałe na krzyżu i przenosili je na dawne grobowisko wygnańców.

Grobowisko, (grzebisko) tyle co cmentarz. Skościały (od słowa kościeć, skostnieć) tyle co skamieniały. N. p. „Skościałe członki" (Odrodzona w ojczystym języku Farsalia Lukana, przekład Bardzińskiego, Oliwa, 1691. roku strona 152.).

Str. 49. w. 802. Tu przylatują mewy i gnieżdżą się.

Mewa (laurus), rodzaj ptaków pływających, rozmieszczony na pobrzeżach wszystkich niemal mórz, a w wielkiej też ilości w krajach przybiegunowych. Gnieżdżą się po piaskach nadwodnych i skałach, w nędznie urządzonych gniazdach. Znamy wiele gatunków mew, ale w ogóle kolor ich upierzenia jest białawy.

Str. 49. w. 812. i nast. A płomień z ziemi wyszedłszy stanął przed nim w ubraniu biskupiem z infułą i krzyżem na głowie.

Słowacki ma tu na myśli biskupa Sołtyka. Kajetan Ignacy Sołtyk, biskup krakowski, książę Siewierski, gdy na sejmie 1767. r. oparł się rozszerzeniu swobód dyssydentom popieranym przez Moskwę, porwany został wśród Warszawy i wywieziony do Kaługi, gdzie go przez lat cztery więziono. Wrócił do kraju 1772. roku ale już z osłabionym umysłem. Korzystając z tego kapituła dyecezyi krakowskiej bez względu na winne mu uszanowanie, zawiesiła go w urzędowaniu i jakby w więzieniu trzymała, co wywołało powszechne oburzenie. Umarł 1788 r. pochowany na Wawelu, gdzie w oddzielnej kaplicy katedry krakowskiej ma wspaniały nagrobek.

Str. 49. w. 824. i nast. Kiedy Kimbar wywołał Sybir i postawił go przed obliczem sejmu bladego, mówiąc, oto jest krzyż.

Józef Kimbar, poseł powiatu Upitskiego na sejm grodzieński 1793., zwany niemym, był jednym z najgorliwszych patryotów, którzy opierali się rozbiorowi Polski.

Str. 51. w. 872. Cóżeście uczynili rzekł, bezemnie? widziałem waszą *Golgotę*.

Golgota, wspomniana już w objaśnieniach, góra, na której stracono Jezusa Chrystusa.

Str. 52. w. 888. i nast. Spotkałże z was kiedy kto Ostyaka, i obszedł się z nim łagodnie po ludzku?

Ostyacy, jedno z plemion ludów Syberyjskich, szczepu ugro-fińskiego, zamieszkujących północno-zachodnią część Syberyi zachodniej nad brzegami rzeki Obi, Jeniseja i Tazu. Jakkolwiek od wieku przyjęli chrześcijaństwo, większa ich

część jednak jest poganami. Mieszkają w małych chatkach jurtami zwanych, z bydła domowego hodują jelenie, trzymają też psy do jazdy w nartach czyli saniach.

Str. 55. w. **979**. .....widząc jak rybitwy białe wędrują ku słońcu.

Rybitwa, albo rybołówka, rodzaj ptaków pletwonogich, o długich i wąskich skrzydłach. Są to ptaki bardzo lotne, po całych dniach przebywają w powietrzu, niektóre gatunki (np. białoczelna), mają czoło jak śnieg białe i czystą białość spodu.

Str. 58. w. **1100**. Nie uczynił nas ludem Kaimów i ludem Samojedów... Przeklęty!

Samojedzi (przezwani tak przez Rosyan, byli bowiem Kanibalami, czyli ludojadami), nazywają się Chasawa, tj. ludzie, i zamieszkują wybrzeża morza lodowatego, trudnią się hodowlą reniferów, których mięso używają za pokarm a skórę przyrządzają na odzież. Wyznają po większej części religię pogańską a ich potężni i wpływowi kapłani szamańscy, tadobi zwani, są zarazem lekarzami i czarnoksiężnikami.

Str. **64**. w. **1279**. i **1288**. „On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca“. I uradowała się (Eloe), że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał“.

Wyrażona tu zasadnicza myśl poematu przebija wyraźnie już w następujących zwrotkach pieśni III. „Podróży do ziemi św. z Neapolu“:

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć — lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistej drodze życia — płuce
Ogniem pożarte, widziane oczyma
Sny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie
Umarłym, może jedną chwilę wcześniej
Niż zmartwychwstanie twoje, o Syonie,
Jerozolimo, trapiona boleśniej

Niż gród Chrystusa!.... A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę!

Do poznania tła, na którem się rozgrywa opowiadanie, przytaczam znaną mi literaturę Sybiru.

Karol Lubicz Chojecki: „Pamięć dziel (o Sybirze)", Warszawa, 1789. Bidon de Villemontez de Saint Louis, „Ovińska ou les exilés en Siberie", drame lirique en 3. actes. Paris, 1801.

A. M. Beniowski „Historya podróży (Syberya i Kamczatka), Warszawa, 1802. (i inne wydania). „Allgemeine Nachricht an das Publicum über die — nach Sibirien geschickten Bösewichter, nebst Schilderung ihres Lebens. Berlin, 1802.

Pani Guthrie, Listy wyjęte z jej podróży do Tauryki, itd. „Ośmioletnia podróż Jaryczewa do północnowschodnich Syberyi krajów, z r. 1775.", Kraków 1809 i 1810—1811. Tadeusz Maszewski, Opis Syberyi. Pamiętniki (w wyjątkach) w „Miesięczniku Płockim" 1812.

Józef Kobyłecki, „Wiadomość o Syberyi i podróże w niej odbyte 1831—4.", Warszawa 1837. 2 tomy. Jan Maria Chopin (sekretarz księcia Kurakina) „Revolutions des peuples du Nord", Paris, 1841—3.

Teresa z Wierzbickich Bułhakowa: „Listy o Syberyi", Rocznik Podbereskiego, Wilno, 1849. Ewa Felińska, „Wspomnienia z podróży po Syberyi". Wilno, 1850 i 1853.

Ewa Felińska, „Revolutions of Siberia" (przekład L. Schyrmera), London, 1852. M. A. Kubalski, „Voyages en Siberie", Tours, 1853. nouvelle edition 1856.

Rufin Piotrowski, „Pamiętniki z pobytu na Syberyi". Poznań, 1861. do 1862. 3. tomy. W następujących przekładach i przeróbkach:

„Souvenirs d' un Siberie trad. du Polonais par Jules Klaczko, Paris, 1863. (odbicie z „Revue des deux Mondes"). „En polsk ädlings öden Sibirien". Utdrag of hans egna memoiren of Julian Klaczko. Stockholm, 1863. „Gedenkschriften van een Siberier". Kampen, 1864.

Zapiski: „Rosya i Sibir", (1843—1846), Nordkoeping 1863 „En russisk statsfanges eriudrin ger. Kjöbenhavn.

1862. The Story of a Syberian exile, London, 1863. My escape from Siberia, London 1863.

„Meine Erlebnisse in Russland und Sibirien 1841. bis 1846.“ nach dem polnischen von L. Koenig, Posen, 1862.

Wincenty Migurski, „Pamiętniki z Sibiru“, Lwów, 1863. „Pamiętniki Polaków z pobytu na Sybirze“. (Niewola K. L. Chojeckiego 1768—76. — Podroż brata Jana de Płano Carpino i Benedykta, Polaków 1246.) Chełmno, 1864. str. 91.

Th. M. Dostojewski, „Aus dem todten Hause. Nach dem Tagebuche eines nach Sibirien Verbannten“, Leipzig, 1864. (przekład z rosyjskiego).

„Pamiętniki ks. Ciecierskiego, przeora Dominikanów wileńskich, zawierający jego i towarzyszów jego przygody doznane na Sybirze w latach 1797—1801. (Odbicie z „Tygodnika naukowego“). Lwów, 1865.

Józef Kopeć, „Sybir, Pamiętniki Polaków z pobytu na Sybirze“, Chełmno, 1865. A. Giller, „Podróż więźnia etapami do Syberyi w 1854. roku“, Lipsk, 1866. 2. tomy. „Poczet skazańców na Sybir do gubernii tylko wiatskiej z powstania roku 1830—1. sporządzony w Wiatce 1832 r.“ Kraków, 1867.

Rafał Błoński, „Pobyt na Syberyi“, Kraków, 1867. Agaton Giller, „Opisanie Zabajkałskiej Krainy w Syberyi“ Lipsk, 1867. 3. tomy.

Józef Kopeć, „Dziennik podróży przez całą wzdłuż Azyę... do niższej Kamczatki i stamtąd napowrót do tegoż portu na psach i jeleniach“ Wrocław, 1837. z przedmową Wł. Mickiewicza, Paryż, 1867.

Dziennik Józefa Kopcia, brygadyera wojsk polskich Berlin, 1863. tanie wydanie 1868. (z mapą Kamczatki).

Władysław Czaplicki, „Czarna Księga 1863—8.“, przez autora „Powieści o Horożanie“, Kraków, 1869. Tegoż: „Na Irtyszu“, urywek wspomnień z moskiewskiej niewoli, Kraków, 1869. roku. Marya, „Trzy obrazy z „Sybiru“, tekst do rysunków F. Tepy. Kołomyja, 1870. Wł. Czaplicki: „W Sybirskich tajgach“, obrazek z życia posieleńców, Kraków, 1870.

Tegoż: „Obraz Syberyi", Kraków, 1871. Wspomnienia historyczne, wyprawa na Sybir, urywek z powstania 1863. Chicago, „Gazeta Polska", 1873. Z Syberyi, rękopism nadesłany, wydanie J. I. Kraszewskiego, Drezno 1863. str. 267.

Ludwik Niemojowski, „Obrazy Syberyi", illustr. E. M. Andriollego. Warszawa 1875. Konstanty Wolicki „Wspomnienia z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Sybirze", Lwów, 1876. (odbicie z „Ruchu literackiego" lwowskiego).

X. Purk, Luźne karty Pamiętnika zbiega z Sybiru. Lipsk, 1877. 2 tomy. Bronisław Rejchman, „Z dalekiego wschodu", wrażenia, obrazki i opisy Syberyi. Warszawa. 1881. W końcu wymieniam tylko ogólnie literaturę wywołaną ogłoszeniem dzieła Kennana o Syberyi.

Odnośnie do wpływu Biblii na Słowackiego, utrzymuje ks. Dr. Alojzy Jougan, że chociaż cały „Anhelli" pisany jest stylem biblijnym, nie ma jednak *ani jednego* dosłownego przytoczenia słów pisma św. Jako podobne, przytacza na str. 239. (wyd. lwow. 1885.): „Ciemność będzie towarz." itd. do Psalmu 96, 2. „A oczy moje jako służebnice" itd. Ps. 122, 2. „A wzrok mój jako gołębie" itd. Cant czyli Pieśń nad pieśniami 5, 12. Na str. 242. „A oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz" itd. przypomina zwroty z Apokalipsy czyli Objawienia św. Jana, ale tylko przypomina.

Objaśnienia poematu „W Szwajcaryi“.

Pierwszy zawiązek do tego poematu miłości dał stosunek Juliusza do Maryi Wodzińskiej, bawiącej w Szwajcaryi prawie przez trzy lata (1832—1835). Oto jak sam o niej pisze w listach do matki:

W tym miesiącu — donosi zaraz po pierwszym poznaniu — miałem kilka wieczorów: wprowadzony byłem do domu pani Wodzińskiej, która tu mieszka z synami i z dwiema córkami: starsza dorosła już panna (miała lat 14) ale *bardzo brzydka*, gra ślicznie na fortepianie. Field, będąc tu, dawał jej lekcye i gra zupełnie Fielda metodą, więc jej gra bardzo mi miłą była. Genewa 30. listopada 1833.

Z początku więc ani cienia nie było jakiejkolwiek rodzącej się pomiędzy nimi skłonności. Przeciwnie z tej pierwszej wzmianki Juliusza o pannie Maryi wnosić można na pewne, że mu się w pierwszej chwili nie podobała. Taki nic zgoła nie obiecujący, był tej znajomości początek.

Od owej chwili bywał Słowacki w domu państwa Wodzińskich, ale rzadko i tylko raczej, z obowiązku towarzyskiego.

Byłem tymi czasy — donosi matce — u pani Wodzińskiej na wieczorze, o której podobno już raz wam pisałem. Ta chciała koniecznie na swoim stole mieć babę, ale jej zrobić nie umiała. Genewa 24. marca 1834.

W miesiącu sierpniu r. 1834, zdarzyła się sposobność zawiązania bliższej znajomości. Pani Wodzińska zamierzyła

odbyć z dziećmi podróż po najpiękniejszych okolicach Szwajcaryi i zaproponowała Juliuszowi, ażeby im towarzyszył.

Ponieważ wiele obrazów i wspomnień z tej podróży weszło później, przepuszczone przez idealny pryzmat poezyi i oddalenia — w skład jednego z najpiękniejszych poematów, jakie tylko stworzył Słowacki: nie od rzeczy tedy będzie zamieścić tu kilka dokładniejszych szczegółów o owej wędrówce szwajcarskiej w świetle współczesnem.

Genewa d. 21. sierpnia 1834. Najdroższa mamo moja! List ten kilku dniami opóźnił się, a to z przyczyny mego wojażu po górach; podróż ta była prawie niespodziewana. Pani Wodzińska, bawiąca tu, wyjeżdżając z familią, namówiła mię, abym jej towarzyszył. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Kochane gospodynie moje, panie Patteg, matka i córka, przydały do mojej wypróżnionej kasy potrzebne pieniądze i wziąwszy mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów, jak te, które przez dwadzieścia dni przemijały przed mojemi oczyma.

Zmiana ciągła miejsc, sprawiła to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnemi miejscami podobieństwo. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przedemną: różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię jak wierne przyjacioły; różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich! było mi smutno i miło. Abyś mię sobie, mamo, dobrze wystawić mogła, muszę ci opisać mój fantastyczny ubior: miałem płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem, czy też włóczką, pas czarny skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć niski, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką! do tego na grubej podeszwie trzewiki i kij wyższy odemnie, biały, z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku.

Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani Wodzińska, dwie jej córki: panna Maryanna *młoda ale nieładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów*, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernantka Francuzka, panna M., trochę podtatusiała i ciągle zajmu-

jąca się botaniką. Trzech synów p. Wodzińskiej, jeszcze jeden młody Żmudzin i ja. *Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne*, owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię. Najmłodszy z synów pani Wodzińskiej był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś, chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, nie zawsze jednak.

Rano 31. lipca (1834) statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi, pożegnałem oczyma Paquis i Paquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, potem Lausanne, za Lausanne Vevay, z drugiej zaś strony skały Meilleries, słowem skąd kochanek Heloizy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon i nakoniec wylądowaliśmy w Villeneuve! Tam najęty powóz zawiósł nas do Bec, miasteczka sławnego solną fabryką i minami. Nazajutrz zwiedzaliśmy miny solne: pół mili prawie szliśmy podziemnemi drogami, niosąc w rękach lampy żelazne.

Trzeciego dnia naszej podróży wędrowaliśmy do klasztoru św. Bernarda. Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały drogą przez Napoleona wykutą; z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami, chaty nędzne, ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb biednego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a spiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. Mamo moja, jak mi ludzie wydawali się mrówkami! O godz. 5 wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów, potem między skałami w ciemnem, mglistem powietrzu ukazał się klasztor. Stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny; po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Ghemi! Trzy godziny jechać na nią trzeba na mułach, a tak jest sterczącą, że nie do góry, lecz do muru gładkiego jest podobna.

Na zielonej równinie pod tą górą leży miasteczko sławne wodami Luéche; żadne opisy nie odmalują wam

zieloności szmaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niej są rozsypane, tej góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jej szczytach. A ja to wszystko widziałem. I znów po trzech godzinach drogi stąpaliśmy po gołych skałach, gdzieniegdzie śniegami pokrytych... i znów nic nie widać było, tylko skały, śnieg, czarne jezioro i niebo. Po zejściu z tej góry, na drugiej stronie, znaleźliśmy jeszcze piękniejszą okolicę, jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty i *kaskady srebrne z gór spadające i prześliczne szalety*. O matko! ileż razy w tych pięknych miejscach myślałem o tobie, ileż razy cisnął się do moich ust refrain Goethego:

Czy znasz ten kraj? znasz go, o moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była.

Po trudach pieszej podróży, przyjemnie nam było siąść do łódki i przepłynąć jeziora Thoune, Brienz, do sławnej Giesbach; patrząc na nią, przychodziła mi na myśl Zofijówka, a potem łańcuch myśli rozciągał się dalej, do Wierzchówki, byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu. Po odwiedzeniu *kaskady Giesbach*, damy nasze zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Lourn, my zaś *chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanej wolności*, poszliśmy pieszo przez góry: tu dopiero wojaż nasz zachwycającemi nas zaczął karmić dolinami; Lauterbrunn i Grindelwald nic podobnego nie mogą mieć w naturze. W Lauterbrunn spada ze skał wysoka na 800 stóp *kaskada Staubach, woda jej nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę. Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi jak olbrzym biały.* Druga dolina Grindelwald jeszcze piękniejsza, bo do niej wpływają dwie rzeki lodów; lody te aż do jej głębi dochodzą i promienna ich białość ślicznie odbija w pośród muraw, drzew i kwiatów. Nigdy mi się nic podobnego nie śniło; tam widziałem z gór spadające awalansze. Huk podobny do piorunu rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór. Matko moja, *wystaw sobie, że najpiękniejsze słońce oświecało to wszystko*, że wstawaliśmy

o wschodzie, że oddychaliśmy wonią zroszonych kwiatów. Matko moja! jakieby to były czarujące wspomnienia, gdybym je sobie kiedy między wami mógł przypominać i o przeszłości marzyć. Weszliśmy na Faulhorn, gdzie jeszcze mało było podróżnych. Oberża na tej górze jest najwyższem mieszkaniem w Europie. Staliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu; *słońce czerwone było od nas niżej na niebie*, a jeszcze miało drogę do przebycia nim zaszło. Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych, niktby w godzinie nie obliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste. Nocowaliśmy w oberży i z rana widzieliśmy wschód słońca, czysty, żadnej mgły; przepaście, błyszczące jeziora, cała Szwajcarya pod nami, widna, jasna, a jaka cichość! Taki sam widok mieliśmy jeszcze z góry Rhigi.

Przechodziłem śliczną drogę św. Gotarda, widziałem na niej sławny most dyabła, nareszcie po 9-dniowej podróży przybyliśmy do Lucern, gdzie na nas nasze damy od 7 dni czekały, a przybyliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro czterech kantonów. *Byłem w kaplicy Wilhelma Tella, łódka nasza zatrzymała się na skale, z której bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnąwszy; kaplica ta tylekroć restaurowana, znajomą ci, mamo, być musi*... Wreszcie przez Bern wróciłem do domu; zastałem tam pełno cudzoziemców i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę, bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie, gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością; jej matka także mię po macierzyńsku uściskała, więc prawdziwie jest za co dziękować Bogu, że na mojej drodze nie rzucił mi wszystkich serc z kamienia.

Porównaj opisy wodospadu Aary, „piękniejszego od Renu w Schaffhousie“, Giessbach, Jungfrau, Interlakku itd. w listach Z. Krasińskiego do ojca; w Listach z podróży A. E. Odyńca, Warszawa 1878, t. IV. str. 383 i nast.

P. Chmielowski (Kobiety Mickiewicza, Słowackiego, wyd. trzecie str. 132) przypuszcza, że „miłość zapewne już towarzyszyła mu w tej podróży, tylko że była głębszą od

innych, więc poeta nie przyznawał się do niej głośno.“ W korespondencyi jednak nie ma na to dowodów.

Genewa d. 28, września 1834. Bardzo kontent jestem, żem odbył podróż po górach tego roku: obrazy gór i lasów zostały w mojej pamięci; *imaginacya moja jak salon pałacowy ustrojona jest nowemi malowidłami.* Od powrotu mego do Genewy *nie często widuję się z towarzyszami podróży.* Pani Wodzińska zaprosiła nas raz na podwieczorek do swojej małej córeczki, za miasto; tam ułożyliśmy, że kiedyś, jeżeli wszyscy razem będziemy w Warszawie, pani Wodzińska wyda bal kostiumowy, na który każdy z nas przywdzieje swój podróżny ubior, a nawet swe grube trzewiki, w których łaził po skałach; projekt ten bardzo mi się podoba. Jakieby to było smutne i zachwycające uczucie, po 10 lub 20 latach ubrać się tak, jak się człowiek ubierał za młodu, będąc na obcej ziemi; jak miłoby było powinszować sobie wtenczas przebytych bied i młodym ludziom o przeszłości rozpowiadać. Starość musi mieć także wielkie przyjemności, jak pora roku jesienna. I ty, mamo moja, przyjdziesz na ten bal kostiumowy i dasz mi czerwoną wstążkę do mego słomianego kapelusza, bo ta, którą nosiłem po górach, zblakowała od słońca i deszczu.

Czytając cały ten opis podróży w listach Juliusza — powiada Małecki — zachwycać się można nieprzebranem bogactwem najpoetyczniejszych obrazów, które co krok przeplatają opowiadanie. Ale nie ma tam jeszcze ani śladu tego wszystkiego, czem tchnie ów wspomniany już wyżej poemat, choć w nim odnajdujemy niektóre sceny i daty, podane w korespondencyi że tak powiem, w materyale surowym. Była naprzykład i w listach już wspomniana kaplica Tella i lawiny i pokłady lodowe i wreszcie „owa w szwajcarskich górach cudowna kaskada“. Ale dopiero poemat dodaje do tego wszystkiego:

„Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!

W ogóle tego kolorytu miłości, pozłacającej te wszystkie w rzeczywistem świetle oglądane obrazy — nie

ma jeszcze w korespondencyi, jako go nie było wtedy jeszcze i w uczuciach Juliusza. Miały się one tą barwą eterycznej błogości rozpromienić dopiero później. Fantazyi to więc poetyckiej tylko dziełem jest, że tego co nastąpiło dopiero potem, znajdujemy już odblask na tle wrażeń przeżytych wtedy.

W następnych miesiącach stosunek Słowackiego do domu pani Wodzińskiej nie zmienił się w niczem. Bywał on tam rzadko kiedy, tak iż mu nawet wymawiano, że tak zaniedbuje swoich towarzyszów podróży. Przyjął jednak zaproszenie na kilka tańcujących wieczorów, na których donosi, że się bardzo dobrze bawił.

Dnia 30. (września 1834) pisze obojętnie: Obudziłem się dziś rano, aby ten list ukończyć i odebrałem wizytę syna pani Wodzińskiej, który w imieniu swojej matki przyszedł zaprosić mię na wieczór: mają się znajdować na tym wieczorze wszystkie damy polskie, przebywające w Genewie; jedna z nich nawet jest sławna nieszczęściami. (Klaudyna Potocka). Poznam więc je wszystkie, jeżeli ich towarzystwo jest przyjemne, to rozszerzę koło moich znajomości i przez tę zimę nie będę siedział jak wilk w norze. Ty mi, moja mamo, zawsze słusznie wyrzucasz, że nie żyję z ludźmi; czuję sam sprawiedliwość twoich wyrzutów i co zimy staram się poprawić: zaczynam robić wizyty i znów popadam w dawny grzech samotności; widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą, jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie.

Genewa 7. listopada 1834. Ostatni list ukończyłem, donosząc wam, że jestem zaproszony do pani Wodzińskiej na wieczór. Oto naprzód na tym wieczorze zrobiono mi kompliment taki (a bardzo ładne i różowe usta mówiły jak następuje: „Znać że pan z Wołynia, Wołynianin, bo po wołyńsku tańcujesz mazurka“. Nie chciałem Wołyniowi ujmować sławy, jaką z mego tańcu odnosi i ukłoniwszy się, powiedziałem: „Ha prawda, że my Wołyniacy, to dziarskie chłopcy. Trzeba widzieć teraz moją cienką postawę, aby sobie wystawić jak mi te junackie słowa były do twarzy. (Znowu ta próżność, która jako charakterystyczna wła-

ściwość Juliusza z owego czasu, utkwiła głęboko w pamięci Maryi).

Tego miesiąca — pisze do matki — byłem na dwóch wieczorach: na jednym u pani Wodzińskiej bardzo się dobrze bawiłem; graliśmy w szarady, i ciągle mi były przytomne w pamięci nasze wieczory wileńskie, kiedy układaliśmy żywe obrazy.

Opisując szczegółowo gry na tym wieczorze „naszym prawie familijnym" dodaje: „Sama pani Wodzińska bardzo dobra dama; *córka jej nieładna, ale także ma wiele wdzięku i dobrego serca* (wyraża się więc już teraz z pewnem uznaniem jej zalet). Zajęty pisaniem, długo u nich nie byłem i wymawiali mi to zaniedbanie, które jako w towarzyszu podróży po górach było dosyć niegrzeczne i dziwne. Lecz ja zawsze w takich razach tłómaczę się chorobą splinu i wolę uchodzić za dziwaka mglistego, niż za niegrzecznego.

Na drugim wieczorze w domu jednego z panów włoskich tańcowaliśmy; widziałem tam trzy ładne Angielki, które wszystkim prawie głowy zawróciły, na mnie tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, *że już się nigdy kochać nie będę*. W mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobnej do osiągnienia. Moi znajomi wszyscy latają za temi Angielkami jak wróble i bawią się; czasem im zazdroszczę, czasem chodząc po alei ogrodu przy świetle księżyca, mam jakieś uczucie samotnej dumy, które mię pociesza. — W następnym liście dostrzeżesz już nieznaczne nachylenie uczuć poety w stronę owej „nieładnej" towarzyszki.

Wszyscy moi koledzy chorzy na epidemiczną chorobę: wszyscy się kochają w jednej Angielce, a miłość różnie ubarwia ich charaktery: jedni ciągle śpią, drudzy ciągle piją, inni ciągle wzdychają, słowem, że to dla mnie prawdziwa komedya. Chcą koniecznie zaprowadzić mię do domu tej Armidy, ale ja się wzbraniam, jak mogę, lękając się, abym także w jakie nie wpadł szaleństwo; jestem wszakże i bez tego dosyć sentymentalną figurą, mam czasem dziwne przeczucia. I tak: panna Wodzińska zaatakowała mię niedawno, abym jej w sztambuchu kartkę białą

zabazgrał; zaraz przy stole usiadłem, umoczyłem pióro i te płaczliwe wiersze napisałem mojej towarzyszce podróży po alpejskich górach:

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w cieniu sosen, bożym strzeżone napisem,
Stoją białe szalety, wiązane cyprysem;
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony;
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali;
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony;
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.
A po latach wróconym ojczyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiaździste kłaniały się żyta;
Jechali, błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,
Wszyscy pod jeden ganek — matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół — są wszyscy, są wszyscy,
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych,
A wczoraj tak dalecy, a dzisiaj tak bliscy,
I nikogo nie braknie, oprócz zapomnianych.
Młoda Marya do tańca każe stroić lutnię,
I usiadła, spoczywa — nagle do sąsiada
Rzekła: „Ach, kogoś braknie!“ Tu podkówka utnie
W takt mazurka. — „On umarł“, sąsiad odpowiada.
„Cichoż na jego grobie?“ Słowików gromada
Spiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze. (W liście z 7. marca 1835.)

Jeszcze w listopadzie 1834 r. skarżył się, że mu nudno w Genewie a nawet w marcu 1835 donosił, że skoro tylko nadejdzie wiosna, będzie się starał „wyrwać z tego nudnego miasteczka, gdzie pleśnieje jak ostryga nad jeziorem“. W tymże samym jednak już liście (z d. 7. marca 1835 r.) możnaby schwytać poetę naszego jakby na słówku mimowolnie rzeczonem, które w nim zdradzało coś, do czego się jeszcze wtedy nie przyznawał przed sobą samym.

W miesiąc potem tak się okoliczności złożyły, że pani Wodzińska zamierzając w ciągu nadchodzącego lata wyjechać już z Genewy, a nie mając zamówionego mieszkania na te kilka miesięcy, które ją z dziećmi jeszcze zatrzymać miały w Szwajcaryi, zajęła kilka pokoi w „pensyonacie“ pani Patteg, a więc w tym samym domu, w któ-

rym mieszkał Słowacki. Donosił o tem jeszcze dość obojętnie poeta: W domu, gdzie mieszkam, będzie mieszkała cała rodzina Wodzińskich, będę więc miał nieco roztargnienia i huku nad głową. List ten z Genewy pod datą 1. kwietnia 1835 ogłosił L. Méyet w Ateneum 1892, II., 490.

Kilka dni temu — pisze z Genewy 24. maja 1835 — odbyła się w naszym domu loterya dla naszych ziomków; z 500 biletów 100 było wygrywających; miałem biletów 5 i żaden nie wygrał; z powodu tej loteryi był świetny wieczór dany przez panią Wodzińską. Chcieliśmy tańcować aż do wschodu słońca, ale się nie udało: o godz. 2 wszystkie damy rozjechały się i zostało tylko kilku chłopców, którzy dla zamkniętych bram miasta do domu odejść nie mogli, z tymi doczekałem poranku. Wieczór był *dosyć wesoły*; trzy salony nasze, ubrane kwiatami, dosyć ładnie wyglądały.

Przez tęczowy pryzmat wspomnienia opisuje poeta już dnia 24. maja 1835 jaśniejsze punkty odbytej wycieczki. Widziałem wschodzące słońce, stanęły mi w oczach te poranki, które przepędziłem na szczycie gór alpejskich, patrząc na to samo słońce wschodzące niżej odemnie. (W poemacie „W Szwajcaryi": Jungfrau słońce złote ma pod sobą.) Ty sobie, mamo, wystawić nie możesz, co to jest patrzeć ze szczytu Righi albo Faulhornu na wschód słońca: świat zdaje się być pod nogami.

Mógł poeta donosić teraz matce więcej zajmujące o sobie wieści.

„Ja teraz w licznem towarzystwie domowem wesoło dosyć czas przepędzam — przynajmniej mam z kim pogadać, a czasem potańcować... Miałem bardzo przyjemną scenę. Oto damy te miały u siebie dzieła mojego ojca, i położyły je na stoliku, otwarte na portret jego. Nie mogę Ci opisać mamo, jakiego doznałem wrażenia, spostrzegłszy nagle jego wesołą, pogodną i uśmiechającą się twarz. Zdawało mi się, że przyszedł do mnie pytać się o moje życie i zostawić mi naukę spokojności, jeżeli nie szczęścia"... (Dnia 24. maja 1835 r.)

Wśród takich cichych, miłych, życzliwie nastrajających zdarzeń domowych, odbywała się zwolna i niepostrzeżenie jakaś przemiana w sercu poety. Widując się po kilka

razy na dzień z paniami, przysłuchując się melodyom, które z dziwną rzewnością wygrywała uczenica ulubionego mu Fielda, uczestnicząc z ochotą we wszystkich zabawach i wycieczkach, jakie wspólnie układali do pobliskich okolic miasta, grał Juliusz z dziećmi pani Wodzińskiej w zająca z pustotą dziecka, a w listach donosił wesół „Jestem w domu pełnym dźwięku mojej rodzinnej mowy“... „dosyć mi dobrze teraz na świecie!“...

W następującym liście wymienia już wyraźniej dodatnie strony nowej znajomości.

Genewa d. 30. czerwca 1835. Dobrze mi dosyć teraz na świecie: jestem w domu pełnym dźwięku mojej rodzinnej mowy; jeżeli sercami nie lgną do mego serca, jeżeli nie znajduję pomiędzy nimi takiego towarzystwa, jakiegobym duszą żądał, to przynajmniej często znajduję roztargnienie i cichą wesołość: słucham ładnej muzyki i słuchając, kryję się do muszli serca mego jak ślimak, odbywam powoli jak ślimak moją drogę w krainie myśli i staram się jak ślimak oślinić łzami ślad jakiś na ziemi, którγby po m ie pozostał. Zabawy nasze są teraz dosyć rozmaite: raz przejechaliśmy wszyscy czółnami na drugi brzeg jeziora, na obiad wiejski; całe towarzystwo ziomków moich zasiadło pod wielkiemi platanami u drewnianego stołu i ja z nimi. Sami widzieliśmy i wybieraliśmy w sadzawce żywe szczupaki i te przez nas zostawały skazywane na śmierć, na autodafe ogniste; przywiezione w butelkach wino ciekło jak w Kanie Galilejskiej. Kamyki płaskie, ciskane naszemi dłoniami, skakały wesoło po jeziorze; graliśmy w zająca, jak dzieci w obliczu dam pozrzucawszy surduty i fraki; a kiedy przyszło do powrotu, niebo okryło się chmurami, jezioro kołysane burzą starało się nas ukołysać i zadowolnić jak dzieci, błyskawice wężami biegały po śnieżnych górach, a kropla deszczu nie śmiała nas uderzyć i zmoczyć; słowem, ładny był spacer, wesoły dzień, nikt nie zasmucił się i nie stetryczał bolem głowy, jak się to często zdarza, nikt nie lękał się gromu Boga, wszyscy byli razem aż do wieczora. Szczęśliwi ludzie, jeśli w teraźniejszym czasie mogą razem doczekać wieczora. Wicher rozmiata żółte liście i spotykającym się tumanom śpiewa zawsze piosenkę Pożegnania.

Mąż pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi, wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście, żenić synów, wydawać za mąż córki, zasadzać ogrody, siać zboże, budować i przebudowywać domy, patrzeć na zachód słońca, wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciółmi, z wiejskiem sąsiedztwem... Zazdroszczę, choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza; bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć jak Luter, patrząc na groby Worms: *Invideo, quia quiescunt.* Zazdroszczę, bo cicho spoczywają. Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz, mamo, te węże, który widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilij wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleść taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dzieweczkę a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o! z takimi wykrzyknikami konają osoby w moich tragedyach, z takiem długiem westchnieniem kona moja nadzieja. Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margarytki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnej koniczyny i dotąd nie wiem, co mię na świecie czeka.

Nie uwierzysz, mamo, — pisze na innem miejscu — jak *podróż przeszłoroczna wpłynęła wiele na wewnętrznego mię*, a jak ja często mówię: na wewnętrznego we mnie anioła. Zdaje się, że myśli moje odmłodniały.

Po przerwie wraca do głównego przedmiotu: Piszę, jak gdyby mię kto gonił, przekonany, że taki list, noszący cechę mego teraźniejszego usposobienia, najlepiej ci, mamo, przedstawi mię w takim humorze, w jakim teraz żyję: *atmosfera imaginacyi, kraj przyszłości, wyspa ideału, przerżnięta rzeką łez.* O, jakże to niemieckie! ale dalibóg prawdziwe. *Panna Marya Wodzińska*, która mieszka z nami, *także zapłynęła trochę w kraj ideału* i o niczem nie marzy, jak o *pustelniczym domku* nad rzeczką, (cela pustelnika w XVII. ust. „W Szwajcaryi“), o czarnej sukience, o lekarstwach dla chłopów, o topolach, szumiących nad pustelnią i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym

mnichem kiedyś. *Tym mnichem-kartuzem mam być ja en personne, nie kto inny.* Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan podkomorzy w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej realności.

To było pisane dnia 30. czerwca 1835. Projektowany wyjazd w góry za miesiąc był niezawodnie w związku z mającym także niezadługo nastąpić odjazdem państwa Wodzińskich. Myśl rozłączenia dręczyła go już naprzód. Nie miał odwagi spędzać pierwszych chwil po oddaleniu się Maryi, w tych samych miejscach, „gdzie ją widywał i gdzie się z nią bawił“. Wszystko w około niego byłoby mu ją tu każdej chwili przypominało. Wolał przeboleć stratę i cierpienie swoje gdzieindziej.

Zaszły jednak okoliczności, z powodu ktorych jego oddalenie się w góry nastąpiło o wiele rychlej, aniżeli, jak sobie zamierzał, za miesiąc dopiero. Wyjechał jeszcze w pierwszej połowie lipca, nie doczekawszy nawet wyjazdu Maryi z Genewy.

Oto co pisał do matki we dwa miesiące potem, już z miejsca nowego swego pobytu:

Veytoux, d. 2. września 1835. Najukochańsza matko! Od dwóch miesięcy już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem, nad jeziorem Leman, w najpiękniejszem miejscu. Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mię w dzikie strony, ludzie różnie o tem sądzą: jedni mówią, żem się był szalenie zakochał w pannie Wodzińskiej i uciekłem. Nie ma w tem za grosz prawdy, ponieważ z tobą, najdroższa matko, mówię otwarcie; otóż wyznam ci, że uciekłem, a to dla tego, że biedna córka domu, widząc mię dosyć zajętego panienką młodszą od niej i widząc tę panienkę dosyć mi przyjaźną, poczęła schnąć i niebezpiecznie zachorowała, a matka domyślała się o co rzecz idzie; więc musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać, chociaż żal mi było domu, gdzie przez dwa i pół roku mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dnie było wesoło bardzo. Otóż przeniosłem się

do wioski Oeglone, nająłem śliczny pokoik, błękitny, z okna widać winnicę, za winnicą jezioro, jak pół nieba wywróconego na ziemię, za jeziorem góry Meilleries, sławne w „Heloizie" Russa, słowem, trudny do opisania widok; ludzie, którzy Neapol i Helespont widzieli, mówią, że ten im wyrówna.

W dzień pokój mój, jezioro, niebo, góry, wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przeźroczyste: jaskółki przylatują do pokoju i tłuką się czasem piersią o zwierciadło. Pokój mój prześlicznie umeblowany; chodzę na obiad do pobliskiej wioski Montreux, ale jestem bardzo samotny. Na dole w domu mieszka minister protestancki, dobry, do rzeczy człowiek, świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci: z nim czasem gawędzę, ale smutny jestem.

Pobyt Juliusza na tej uroczej pustyni trwał trzy miesiące — przez część lipca, sierpień i nie cały wrzesień. W początkach października powrócił. Gdyby się wnioski w literalnym sensie wysnuwać miało z wiersza owego do Eglantyny, zatytułowanego „Przekleństwo", toby przypuszczać należało, że z powodu miłości do Maryi zerwany został wszelki stosunek pomiędzy poetą naszym a domem pani Patteg. Tak się jednak nie stało. Wiersz był napisany pod wpływem chwilowego rozżalenia i w rozdrażnieniu. Niejedno też w nim położyć należy na karb tylko fantazyi poetyckiej, która nieraz rzeczywistość potęgowała w bezmierność i nieskończoność. Zresztą nie obeszło się i bez kroków, które mu ułatwiały powrót do dawnych gospodyń.

Pani Wodzińska z familią wyjechała do Drezna; odprowadzało ją wiele osób. Panna Eglantyna umyślnie ją odprowadzała, aby potem mię odwiedzić i była u mnie i płakała i tysiąc próśb, abym wrócił i matka jej ciągle mię zaklinała, ale tak mi znudniało to, com porzucił, że wolę samotność nad jeziorem. Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi. Ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleiło. Nudzi mię dom, gdzie mieszkałem i zasmuca mię ta myśl, że ten dom ma mi być obcym. Veytoux 2. września 1835.

Przytaczam tu w wyjątkach owe „kawałki liryczne" malujące stan jego duszy w tej epoce, odsyłając czytelnika

do objaśnień na początku tego tomu. W wierszu „Przekleństwo“ przeklina poeta tę, która

„wydarła ostatnie godziny
Szczęścia jego na ziemi“ i
„Wygnała na samotność“...

Cierpiałem i uległem. Dziś samotny jestem...
Lecz wiedz, że w samotności, okryty żałobą
Oczy błędne obracam za każdym szelestem,
Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą!

Tej czekam omamiony, tej samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi —
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi,

A nigdy serca mego nie umiała krwawić,
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić.

Wiersz p. t. „Rozłączenie“ maluje w spotęgowanych wyrazach miłość poety do Maryi:

Rozłączeni — lecz jedno o drugiem pamięta!
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fala.
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
I łzą różową leje, i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać:
Znając twój dom — i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.
. . . .

A ty — wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem.
Lecz choć się — nigdy — nigdzie połączyć nie mamy,

Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się ważą płaczem

Nad jeziorem Leman, d. 20. lipca 1835.

Równocześnie napisał Słowacki wiersz p. n. „Stokrotki", malujący w przenośni poetyckiej wzajemną jakoby miłość Maryi.

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić,
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Że się kochamy i mówić po stokroć.

Miło zbłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku — i patrząc ukradkiem
Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie.

Gdy nas różowa poróżniła sprzeczka,
A zgody ciągle zabraniały świadki,
Pamiętasz luba jak te białe kwiatki
Jeden mówił *nie* a drugi *troszeczka*.

Dzisiaj samotny — dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach... wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrotki
Co była siostrą stokrotek w alei.

Rwałem ją... listki leciały w błękicie
Aż na jezioro, ze skały gdziem siedział,
I wiesz co listek ostatni powiedział,
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie.

Veytoux d. 21. lipca 1835. r. rano.

Tak „miłość" Maryi jak „jady" Eglantyny, należą do dziedziny fantazyi poety. Stosunki w rzeczywistości układały się mniej poetycznie.

Pojechał Słowacki na kilka dni do Genewy i przyjęto go tam — tak się wyraża — jak syna. Potem wrócił jeszcze do siebie. Ale się już oswajał z myślą, że następną zimę przepędzi jeszcze w pensyonie, co też nastąpiło rzeczywiście.

Wstrząśnienia moralne, jakich doznał zeszłego lata — powiada Małecki — miłość choć tylko fantastyczna ale miłość w życiu poety, odosobnienie od rzeczywistego świata, który go zawsze więcej drażnił, aniżeli myślą głębszą podsycał, wreszcie dzika, a jednak pełna uroku natura, w której objęcia cały się rzucił: — wszystko to sprawiło, że ten trzymiesięczny pobyt nad cichymi brzegami jeziora miał stanowić w zawodzie jego porę pewnego przesilenia. Czy weźmiemy pod rozwagę dzieła jego, które wtedy powstały czy stan duszy poety, w jakim siebie wtedy malował, dostrzeżemy, że była to dla niego krisis, ale krisis zbawienna. — Na zmianę tę w duchowem usposobieniu Juliusza, wpłynęła przedewszystkiem przyroda alpejska, której wrażenia odbiły się tak poetycznie w utworze p. n. „W Szwajcaryi“.

Wyszedł ten poemat z druku z dwoma w różnych czasach i różniejszych jeszcze miejscach powstałymi t. j. z „Ojcem zadżumionych“ („*W Szwajcaryi*“) i „Wacławem“, p. t. Trzy poemata, przez Juliusza Słowackiego. Paryż, 1839. 12o, str. 121. Książka ta wyjść musiała z pod prasy najdalej w miesiącu lutym 1839. Tygodnik literacki poznańskie w numerze z dnia 18. marca donosi o niej jako o nowości, będącej już w rękach publiczności.

„W Szwajcaryi“ — powiada Małecki w swej monografii — owiewa wprawdzie pewna tajemniczość a raczej zagadkowość, nie dozwalająca czytelnikowi wnijść w sam środek dramatu uczuć, które się w dalekiej odległości przed oczyma jego malują. Ale to wynika z zamierzenia poety. Tego, że tak powiem, odstępu między opowiadaniem a tymi, co opowiadania słuchają, chciał autor — i wszystko na to jest obliczone.

Osnowa wiersza tego jest nieskończenie prosta. Spotykamy się z parą, którą łączy miłość, następnie i przysięga, oba te węzły rozrywa los jakiś — nieznany nawet z imienia, niweczący to szczęście w samym zawiązku... I oto cała już treść sielanki — mimo prostoty i najzupełniejszej zużytności przedmiotu, przeprowadzonej jednak z taką świetnością barw, w sposób tak zgoła nowy i z tak dokładną a mistrzowską genezą tych wszystkich przejść, z jakich się sprawy tego rodzaju między ludźmi kojarzą, że opowieść

dziejów tak krótkich urasta na poemat, a zajmuje jak dramat.

Prawda i zmyślenie, rzeczywistość i poezya, miłość człowieka i geniusz artysty podały tu sobie ręce, ażeby złożyć utwór, w którym nie wiedzieć, co naprzód i co więcej podziwiać, czy idealność całej inwencyi, czy realizm i swobodę naiwną, z jaką najmniejszy szczegół jest opisany. Każdy rys zdaje się być wzięty z natury, całość obrazu jednak ma w sobie coś nadziemskiego. Nie znam w żadnej literaturze dzieła, w którejby przedmiot miłosny był traktowany z takim platonizmem, a przecież tak plastycznie“. Po tej ocenie dołącza Małecki zdanie o poemacie, Zygmunta Krasińskiego. — „Jest to tak prześlicznie idylliczne a zarazem tragiczne, tak oderwane a zarazem prawdziwe, że nic podobnego o miłości marzonej nie znam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie wieńce świeżych wisień nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiej, nachylanie się gór i słupów z lodu ku sercu, które kocha i szczęsnem jest, że czytając zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: „Niech go dyabli porwą! Kto po nim potrafi wiersze pisać? Trzeba bezczelnym być, by się brać do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juliusza!...“ (List Krasińskiego do R. Załuskiego, w Dodatku miesięcznym „Czasu“, tom 13. str. 520. Kraków, 1859. roku.

Już dr. Chmielowski zwrócił uwagę na to, że się tak wyrażę, przyrodnicze pojmowanie miłości przez Słowackiego w tym poemacie. Podnosi on przedewszystkiem ową draperyę szwajcarską, w jaką odziewa poeta swoją ubóstwianą. Słowacki nie zachwyca się pięknością jej ciała, ani duszy, zwraca tylko uwagę na zewnętrzne warunki, w których ona żyje. Promienie księżyca, tęczowe kolory, szum kaskady, piękność melancholiczna krajobrazu — oto przedmioty, jakie przedewszystkiem zaprzątają jego umysł. Słowacki nie kocha osoby — lecz kocha jej otoczenie. Oto np. poznanie się kochanków:

Widzisz *tę tęczę na burzy* w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza...
Tam ją ujrzałem! — i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,

Wierzyć zacząłem i wierzę do końca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu...

Gdyby nie tęcza, słońce, jagnięta i gołębie — możeby się poeta nie zakochał. Podobnie wyraża się Szczęsny w „Horsztyńskim“: „Wczoraj, kiedyś *wypłynęła z Wilii* na brzeg ogrodowy — do *jaśminowej altany* — słowiki śpiewały — księżyc świecił — *wczoraj byłaś ładna*“. Słowiki, księżyc, jaśminowa altana była częścią tej kobiety — bohater ją kochał. Gdy te znikły, zaczął się nudzić!...

Tę samą skłonność widzieć można i w listach poety pisanych do matki.

Najwięcej działają na poetę wrażenia wzrokowe. „W Szwajcaryi“ czytamy:

Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem, *co kochać przymusza*,
Poszło i serce, a za sercem — dusza.

W innem miejscu (w jednym z dramatów) powiada „Kto chce serce pozyskać kobiety, ze wszystkich zmysłów niech tylko uwiedzie oczy — a reszta pójdzie bardzo łatwo“. Jest-to zastosowanie powyższego spostrzeżenia naodwrót.

Nic prawie ziemskiego nie napotykamy w kreśleniu szczegółów miłości; są wprawdzie czasem pocałunki, ale to takie jakieś eteryczne, jakby się nimfy leśne całowały; rumieniec zamienia niekiedy twarz kochanki „w róże“; ale to chyba do rozmaitości tylko kolorów, ażeby nie zawsze wyglądała jak lilia biała.

Jest to miłość, w której główną rolę grają draperye przyrody alpejskiej, otoczenie, wrażenia wzrokowe, fantastyczność obrazów — serce bardzo niewielki ma tu udział, króluje fantazya. W nadobłocznych krainach marzenia występują postacie po większej części rozwiewne, mroczne, smętne jak grobowe cyprysy, „marmurowo blade“, na chwilę zaledwie uróżowane wzruszeniem. „Błękitne uczucia“ rozwijają się w nich epidemicznie; okrywa je mgła, zasłaniając zarówno zewnętrzność jak i treść duchową w całej jej pełni; rzadkie przebłyski widm tęczowych odsłaniają zale-

dwie kontury i drobne cząsteczki. Rysy rozrzucone po całym poemacie potrzeba zbierać skrzętnie, chciwie niemal, chcąc jako tako nakreślić postać kobiecą, o której myślał poeta....

Znamienne te rysy poematu miłości, trafnie pochwycone przez P. Chmielowskiego, uwarunkowane są czasem i miejscem powstania „W Szwajcaryi".

O tem jak ogromny wpływ na jego twórczość wywarła przyroda alpejska świadczą następujące wyznania poety:

Wracaliśmy po jeziorze przy świetle księżyca; nie możecie sobie wystawić, co to za przepyszne *jezioro* przy księżycu; z jednej i z drugiej strony *błękitniejące* brzegi mglisto, a w końcu jeziora widać migające światła i rzędy oświeconych okien — to Genewa; z czwartej strony brzegów nie widać przy świetle księżyca. Taki spacer byłby zachwycającym z miłemi osobami, ale wy sobie nie możecie wystawić, co to są Anglicy i Angielki. Genewa 22. września 1833.

Mamo! to dziwnie, że imaginacya moja jest jedynem źródłem wszystkich moich nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi... bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków, szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę, każdego ranku, kiedy chodzę po suchych liściach w ogrodowej alei.

Nie możecie wystawić sobie, jaki wdzięk ma tutejsza jesień: dotąd czas najpiękniejszy, słońce, świecąc na wpół pożółkłych drzewach, zdaje się być bardziej złociste i piękne, murawy nie tak jak u nas spalone i bez życia. Kilka dni temu o południu *pływałem czółnem po jeziorze*. Wystawcie sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło, tak równe, że kiedy po mnie przepłynął z daleka parowy statek, w kwadrans potem widziałem fałd czarnej, rozbitej kołem parowego statku wody. Fałd ten posuwał się zwolna, wspaniale i czółnem mojem lekko zakołysał, przeszedł, popłynął dalej, a czółno znów stało nieruchome na zwierciadle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone, nad brzegami w oddaleniu topole, pożółkłym liściem okryte, jak złote kolumny; wiele drzew

zielonych, wiele białych domków i pałacyków; a za tym brzegiem Mont-Blanc biały, świeżym śniegiem z przyległemi mu górami okryty, podobny do jakiegoś sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posągu sybirskiej krainy. Wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać. Na mnie Bóg rzucił jakieś przekleństwo: na mojej drodze stawia mi lalki, zabawkę, serce moje żywi okruszynami uczuć... i w *moich uczuciach* nic nie ma wielkiego, oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkimi zmysłami. Genewa 17. października 1833.

Było nas kilkunastu; kiedyśmy jechali, (pod góry genewskie) chmury czarne snuły się po niebie, sam tylko Mont-Blanc biały świecił się od słońca jak posąg Sybiru. Potem deszcz lunął rzęsisty, ale po deszczu najśliczniejsza *tęcza* rozwinęła się nad nami. Wszystko to poruszyło aż do głębi serca nasze; w tej tęczy widzieliśmy jakąś wróżbę. Zasiedliśmy do stołu, jeść nie wiele znaleść mogliśmy w wiejskiej oberży, ale szampan wszystko wynagrodził. Na prośbę kolegów pierwszy raz improwizowałem i domyślicie się, że ta tęcza była treścią mojej ody. Koledzy klaskali w ręce, a potem ściskali mię ze łzami, następnie pili moje zdrowie, Genewa 30. listopada 1833.

Śliczny klimat tutejszy zachwyca mię: dotąd raz tylko śnieg padał, ale tak lekko, że śladów na ziemi nie zostawił; dzisiaj najpiękniejsze świeci słońce, w ogrodzie uzbierałem bukiet fiołków; szron rannego przymrozku stopniał na nich i zamienił się w brylantową rosę. Genewa, 3. stycznia 1834.

Śliczny czas mamy — pisze z Genewy 24. marca 1834. — słońce, listki na drzewach pokazują się a murawa już okryta białymi kwiatami wiosny. *Sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą i zdaje mi się, że czuję ją do głębi jej duszy.*

W duszy niespokojnego, zgryźliwego Byronisty nastąpił przełom pod wpływem właśnie przyrody: Ja teraz zmierzam do spokojności i wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmierzają do tego — zewsząd widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności próżno zię o zewnętrzną starają.

Górę Mont-Blanc widzę co dnia z moich okien; przez te kilka dni księżyc w pełni wschodził za tą górą: nie możecie sobie wystawić jak to smutno i pięknie, kiedy noc czarna, kiedy, samotny w moim pokoju, otwieram okno i czuję zapach wiosenny liści, i słyszę słowika w alei ogrodowej, a potem widzę zwolna wschodzący za górą księżyc. Uczucia, których wtenczas doznaję, można w tych dwóch wyrazach zamknąć: *smutno i cicho*. (Genewa, 27. kwietnia 1834.

Ale dopiero po odbytej podróży, w towarzystwie rodziny hr. Wodzińskich, rzucił się cały na gorące łono przyrody alpejskiej. „Nigdy w życiu mojem — pisał wówczas pod świeżem wrażeniem — nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów jak te, które przez dwadzieścia dni przemijały przed mojemi oczyma“. (Genewa 21. sierpnia 1834.)

Niejednokrotnie wracał do tej „wojaży“.

Bardzo kontent jestem — pisał z Genewy 28. września, 1834. — żem odbył podróż po górach — tego roku: Obrazy gór i lasów zostały w mojej pamięci; imaginacya moja jak salon pałacowy ustrojona jest nowemi malowidłami. Jesień, ulubiona moja pora roku, zachwyca mię bardziej teraz niż kiedykolwiek; kąpię się w złotych promieniach słońca, słuchając z rozkoszą lekkiego szelestu spadających liści.

Jeżeliby moje widzenie z Teofilami dla różnych przeszkód spełzło na niczem, to myślę za miesiąc wyjechać w góry i osiąść na kilka miesięcy w jakiej chacie, oberży, aby widzieć chmury jesienne, łamiące się po skałach, aby się napoić pięknością natury i mieć na długo serce pełne myśli, rozpływających się w Bogu. Nie uwierzysz, mamo, jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wiele na wewnętrznego mię, a jak ja często mówię: na wewnętrznego we mnie anioła. Zdaje się, że myśli moje odmłodniały. Jeden z tutejszych pierwszych malarzy ofiarował mi się być towarzyszem podróży; miło mi będzie siedzieć przy nim na ułamku skały i patrzeć na odbicie się natury w niedoskonałem sztuki zwierciedle; a kiedy tak będziemy cicho siedzieli między drzewami, wiewiórki przyjdą igrać koło nas, ptaszki będą pić krople rosy na listkach brzozowych. Tak przynajmniej malarz wystawia mi te ciche godziny, które prze-

pędza na rysowaniu szwajcarskich skał i dolin. Czasem mówię sobie, że Bóg dobrze zrobił, zaprowadzając mię w te kraje; gdybyś ty, mamo, ze mną była! Genewa 30. czerwca 1835. roku.

Najsilniejsze wrażenie sprawiły na nim okolice zacisznych gór *Meilleries*, sławnych w „Heloizie" Russa, dokąd się był na parę miesięcy usunął. Co dnia idąc — pisze — na obiad, przechodzę około ślicznego kościółka, otoczonego kwiatami; bluszcz się wije po starych gotyckich ścianach, pełno róż i jaśminu w około, ławki, mur kościoła dziwnie porosły błękitnymi dzwonkami, a z muru najpiękniejszy widok: oko biegnie po zaroślach i zielonej spadzistości na zwierciadło jeziora. Zawsze jezioro tłem obrazu; widać je z każdej ścieżki, z każdej doliny, z każdej góry. Nic piękniejszego jak okolica, w której żyję. Veytoux 2. września 1835.

W tem ustroniu, gdzie powstały owe „liryczne kawałki" miał się według Małeckiego narodzić poemat „W Szwajcaryi". Następujące słowa w liście Juliusza do matki mogłyby naprowadzić, zdaje mi się, na ten domysł.

Odebrałem twój list, droga mamo, list, który mię rozczulił i pocieszył: sąd o moich dzieciach jest moim sądem, ale *to, co po tych dzieciach narodzi się, będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze ciebie*, moja droga mamo; nawet zamyślam ci ofiarować na pierwszej stronicy nowe, zapewne tej zimy wylęgłe dzieciątko. Dopiero to, zaręczam ci, matko, będzie twoim wnukiem; powiedz, czy ci to nie zaszkodzi? Veytoux 2. września 1835.

Genewa, d. 20. października 1835. Najdroższa mamo! Po trzech miesiącach pustelniczego życia nad jeziorem, wróciłem do mego dawnego pomieszkania i z przyjemnością osiadłem w moim dawnym pokoju, przed kominkiem, bo takie mamy zimna, że się już drwa palą w kominie. Pisałem ci już, droga moja, jak żyłem samotny w górach, jak odbierałem wizyty tylko jaskółek wlatujących przez okno, albo rozmawiałem o przyszłości drugiego życia z ministrem protestanckim. Mgły i deszcze wypędziły mię z zaciszy, która przy złych niepogodach stawała się nadto ponurą i do mizantropii zaczęła nakłaniać moje władze umysłowe. *Patrząc na jezioro, napisałem kilka lirycznych kawałków*,

które malują stan mojego umysłu przez te kilka miesięcy i dla tego kiedyś może podobają ci się, moja droga. *Postąpiłem także w moim nowym poemacie* i chciałbym bardzo tej zimy coś wydać; zależeć to będzie od okoliczności i od projektowanego ciągle wyjazdu do Włoch, który się nie udaje. Miło mi było sąd twój szczegółowy o moich dzieciach znać; zgadzam się zupełnie na wszystko i wyznam ci, moja droga, że list ten zapalił mię, abym podwoił usiłowania, abym ciebie, kochana matko, czem lepszem udarować, bo przyznam ci, że znienawidziłem moje pierwsze utwory: czuję potrzebę większej doskonałości, *rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie.* Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcej łez było w słowach. Mam lat 25, trzeba, abym już był tem, czem być mam i dlatego może nienawidzę moje pierwsze dziełka. Lubię jednak wszakże więcej nad inne *Godzinę myśli*: coś w niej jest, co mię samego kołysze przeszłości dźwiękiem, jakąś cichą, dawną piosenką. *Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrody były wielką dla mnie nauką.* Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękiem natury, widziałem ją z bliska błękitną albo chmurną. Raz, wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerżnięty potokiem. Było to w niedzielę rano; dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze: cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga.

Sam nie wiem, dla czego z taką dokładnością opisałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że ty sobie, mamo droga, lepiej mię wystawiasz w takim obrazie. Jest to niby wizerunek symboliczny tego, co czuję teraz. Nie idę do kościoła, ale słucham z daleka między skałami dzwonu, co zwołuje spokojnych ludzi na modlitwę.

Za nic Bogu nie dziękowałbym tak, jak za cichy mały domek przy Teofilach, domek biały z ogrodem, z jednym sługą; skromny codzień obiad, mała szafa z książ-

kami, oto jest zakres ograniczający moje marzenia. Przyrzekam ci tu, moja droga, że za niczem więcej nie goniłbym; chciałbym tylko mieć zupełną wolność głośnych marzeń, bo czemże ja byłbym, gdybym stracił to okienko przez które na świat patrzę i odzywam się do przechodzących pod domkiem moim ludzi?

W korespondencyi z tego czasu pozostały ślady tych wrażeń przyrody, które skąpane w wspomnień mgle porannej spadały perlistą rosą na obrazy „W Szwajcaryi". Jeszcze w przejeździe do ojczyzny Tella uderzają przebywającego góry Jurajskie „w dolinie (Mijou) między sosnami opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają". W jednym z tych „prześlicznych szaletów" o których wspomina w opisie podróży z rodziną Wodzińskich, na takiej łące „gdzie trzód jęczą dzwony" umieszcza poeta swoją sylfidę szwajcarską. Nawet kląby róż zaglądające do okien kochanków, to wspomnienie cichego domku w *Paquis* (Compagne de Monthoux) do którego zawiewał oknem zapach róż. (Porównaj listy Słowackiego pod datą Genewa 30. kwietnia 1832. — czerwiec 1833. i 21. sierpień 1834. z ustępami VIII. i IX. poematu. „W Szwajcaryi"). Drobny zresztą szczegół, że szalet ten miał „zabite śmierci ćwiekiem okienice" które wstydliwa nimfa „zamykała wszystkie, ażeby na nią nie patrzały kwiaty" jest reminiscencyą szwajcarskich mieszkań a w szczególności pensyonu pani Patteg „z zielonemi okienicami". (List z 5. stycznia 1833. r. por. „W Szwajcaryi" rozd. XVII.)

Z wrażeń przyrody szwajcarskiej podnosi autor kilkakrotnie *błękity* jeziora genewskiego. (Por. list z Veytoux 2 września 1835. Listy z Genewy z 15. marca, 22. września 1833. i 21. sierpnia 1834.) Są to te same lazury, które w różnych odcieniach aż 24 razy pławią w niebieskim kolorycie bohaterkę, tło jej i całą kompozycyę „W Szwajcaryi".

Posyłając matce na liście z dnia 22. września 1833. roku, sztych Genewy wyciągającej szyję nad jeziorem, uwydatnia rzekę Rodan, która z paszczy błękitnej ucieka (W Szwajcaryi rozdz. III.) i woła w uniesieniu: „Piękny to kraj. Patrząc na niego mimowolnie nieraz powtarzam słowa piosnki Goethego:

„Czy znasz ten kraj, znasz go moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była.

Wiersze te powtórzone w opisie podróży szwajcarskiej, odbytej z rodziną Wodzińskich, tkwią mu w myśli, gdy pisze ustęp VIII W Szwajcaryi. „Pójdziemy razem na śniegu korony“ aż do „O! moja luba tam pójdziemy z tobą.“

Po zejściu z góry *Gehemi*, zachwyca się poeta — w opisie podróży — „kaskadą srebrną z gór spadającą“ (list Słowackiego pisany w Genewie z 21. sierpnia 1834.) która w poemacie na „mgłach śrebrzystych cała się rozwiesza“ (ust. II. W Szwajcaryi) Kaskady Giesbach i Staubach, ta ostatnia, spadająca ze skał na 800 stóp i „przez sam lot z takiej wysokości zamieniająca się na wstęgę mgły białej“ służyły za model do owej kaskady, na której tle promienieje postać anielskiego świtu.

W opisie podróży odbytej z rodziną Wodzińskich (Genewa 21. sierpnia 1834.) błyszczy oprawione w skalistym brzegu „czarne jezioro“, straszące nas w jednym z ostatnich obrazów „W Szwajcaryi“ (ust. XVII.) a „góra Jungfrau, śniegiem pokryta“, stojąca jako „olbrzym biały“, nazywa się w poemacie (ust. III.) „gór nadalpejskich śnieżystą dziewicą“ i „ubiera się w tęczowe kolory“ (ust. VIII.)

Czytając w liście do matki z owej wojaży po jeziorze Genewskiem, statkiem parowym, opis owych lodów w dolinie Grindenwald, których „promienna białość“ tak cudownie odbija od przesyconych zielenią muraw, drzew i ziół alpejskich, patrząc na pierwowzory owych „lodowych gmachów pod sklepieniami błękitnego kryształu“ z których ścian kropliste spadały deszcze (Genewa 21. sierpnia 1834), mimowoli nasuwają ci się wspomnieniami wyobraźni malowane obrazy „lodowej groty“, gdzie sylfy „z jasnością ogromną deszczem spadały“, (ustęp VII. „W Szwajcaryi“). I ową cichości pełną i kolorów kaplicę Wilhelma Tella, tak cudownie odmalowaną w VI. ustępie poematu, zwiedził poeta i opisał poprzednio w wspomnianym liście do matki. Te i tym podobne okolice służyły Słowackiemu za ramy do wspaniałego kartonu „W Szwajcaryi“, który w całości nie powstał na miejscu i w czasie pobytu w Szwajcaryi, ale dopiero we Włoszech.

Po wyjeździe bowiem Maryi nie długo już bawił w Szwajcaryi. Złożyły się na to zupełnie inne powody. Żal mu jednak było ciepłego gniazdka nad Lemanem i tęsknił za nim nawet na ziemi klasycznej.

Z Neapolu skarzy się matce, że mu braknie podpórki; a podpórką nazywa to coś, co go kocha... to co go broni od myśli, że jest samotny na świecie, jakaś postać, co mu patrzy ze łzami w myślące czoło i oczy. Przywykł już nie do kochania czegoś, ale do lubienia czegoś na ziemi, dla tego jest niespokojny w Neapolu, jedzie do Sorrento, aby tam przywołaniem mocnych myśli zapełnić tę czczość, która go nadto lekkim czyniła nosząc po wierzchu wszystkich wrażeń.

Przepędziłem miesiąc cały (lipiec 1836.) w Sorrento blisko Neapolu, sam jeden, bo Teofilowie miasta nie chcieli porzucić, ja zaś potrzebowałem przeżyć choć miesiąc jeden między drzewami, daleki od zgiełku brukowego i znalazłem sobie mały pokoik, z którego nic nie widać było prócz gaju cytrynowego i morza, za morzem w mgle oddalenia Wezuwiusz. Całe dnie przepędzałem z sobą samym i z Szekspirem; z razu chodziłem się kąpać w morzu a te kąpiele przez miesiąc cały brane nie przyniosły innego skutku, prócz czasowego osłabienia, które ustało skorom kąpiele zaprzestał. *Życie moje wiejskie w Sorrento przypomniało mi dnie samotne, przepędzone w Veytoux nad brzegiem jeziora*, i to podobieństwo dwóch chwil błędnego życia miłem mi było. *Pisałem trochę*, myślałem, czasem się modliłem, kiedy w bliskim kościółku grający organ dochodził do mojej cichej celi. Czasem, chodząc po górach, przypatrywałem się oryginalnym figurom Niemców i Anglików, ktorzy zachwycali się widokami Sorrento. Zawsze widać mię było nad morzem w godzinę zachodu słońca, bo lubiłem słuchać powiewu wiatru, który, ciągle od morza na ziemię wiejący, w chwilę zachodu obracał się nagle i gonił za słońcem na morze, napełniony wonią drzew cytrynowych. Neapol, strada St. Lucia nr. 3. dnia 3. sierpnia 1836. Czy poeta pisał „W Szwajcaryi“ w Sorrento czy też tylko odtwarzał tu wspomnienia chwil przebytych w Szwajcaryi, to trudno dziś rozstrzygnąć. Na każdy sposób myśl o Maryi nie przestała go zajmować.

Jeszcze w podróży na Wschód rozpamiętywał poeta jasne chwile tej znajomości w wierszu, zapisanym w „Dzienniku podróży", który tu z rękopisu ogłaszam:

Z Nilu
Do***.

Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem,
Ty przyleciałaś do mnie... z dalekiej krainy,
Jak przywabiony gołąb, białością smutnego
Ptaka na pustym domie... i długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia, bardzo dawno utraconej.
Nie wiem czyś ją znalazła bez mnie... czy jeszcze
Smutną, pod płaczącemi wierzbami zastaje
Biały księżyc.

[Przekreślono: Czy jeszcze ten brylancik na ślubny twój pierścionek zgodny w głębi fali spoczywa.]

O moja miła siostro duszy,
Jak ci zimno być musi... we wrześniowych nocach
Oświeconej czerwonem światełkiem komina,
W którem wilgotne płaczą gałęzie... W Szwajcarów
Ziemi łuk dawny Tella jaśniejszy niż słońce
Przez sześć miesięcy roku... Jam się bardzo zręcznie
Zimie sypiącej za mną śniegami wywinął. —
Słońce błyszczy mi złote — mógłbym tobie posłać
Zamiast zwiędłej rozmowy, pod myślącem słońcem
Róże dziś rozwinięte i świeże, myślące...
Lecz na co tobie róże — ty, co kwiaty wdowie
Rwiesz na łąkach i nimi ubierasz słomiany — ka-
[pelusz...

[Ostatnie wiersze przekreślone, a wiersz na słowie „kapelusz" urwany.]

Warta. Poznań, 14. grudnia 1879. rok VI. Nr. 285.

Wspomnienia o Maryi Wodzińskiej i ciepłem gniazdku szwajcarskiem zapełniają karty korespondencyi Słowackiego z najświetniejszego okresu jego działalności autorskiej, w Florencyi.

W Florencyi też dopiero wykończony został poemat „W Szwajcaryi“. Wtedy to wracał znowu myślą do Maryi. Nieraz — pisze do matki — wabi mię mój spokojny kominek w Genewie, moje drzewa i fiołki, kwitnące w złotem zimowem słońcu. Nieraz utrzymuje mię przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których wyjazdem do Włoch uwolniłem się... Florencya, 21. sierpnia 1837.

Następujący list wykazuje wpływ Dantego i posągu Wenery Medycejskiej na twórcę poematu „W Szwajcaryi“.

Życie w spokojnej i ładnej Florencyi jest bardzo miłe i od *tęsknoty za mojem jeziorem* już mię obroniło. Czasem idę do kościoła Sta Croce i staję przed grobem Danta, a posąg jego ponury, patrzący z wysoka na mnie, zdaje mi się mówić jakieś wyrazy natchnienia. Czasem idę do galeryi i wpatruję się w Wenus Medycejską, chcąc, aby piękność jej przeszła do mojej duszy tak, żeby się wszystko potem podług niej tworzyło. Słowem, że życie moje jest pełne i puste zarazem, nie bez jakiegoś jednak harmonijnego dźwięku, nie bez upojenia. Florencya 3. października 1837. roku.

Wycieczka w okolice Toskanii przywodzi mu na pamięć znowu *wymarzoną* Maryę.

Dnia 5. października, 1837. Herman i Józef Potoccy przysłali po mnie, prosząc, abym z nimi jechał do Walambrozy. Więc o szóstej godzinie zabraliśmy się z dziećmi, z guwernantką, z guwernerem, ogromny powóz, zaprzężony 4ma mułami i pojechaliśmy na noc do miasteczka, leżącego u stóp góry, na której stoi Walambrozy klasztor; przybyliśmy o 10-tej z rana do klasztoru, przebywszy najpiękniejsze okolice Toskanii.

Podróż ta melancholiczne na mnie zrobiła wrażenie, przypomniała mi bowiem wędrówkę po Szwajcaryi; coś było bowiem w gwarze tej licznej familii przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, ale mojej młodej czarnobrewej panienki brakowało: przyjęcie zaś klasztorne mnichów przypomniało mi wędrówkę po Ziemi Świętej i tak w tej małej wędrówce jak w zwierciadełku widziałem różne najpoetyczniejsze godziny mego życia. Jak też mię Bóg wysłuchał! ja go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi

dał poetyczne życie; to też on wszystko teraz tak klei, żeby serce moje napełnił najpoetyczniejszemi wrażeniami.

Może wtedy był na warsztacie nasz poemat, to pewna, że nosił się z myślą jego wykończenia. We Florencyi — pisze do matki — przepędziwszy zimę i popracowawszy trochę, chciałbym na wiosnę pojechać do wielkiego miasta, z książką pod pachą, jak student z suknią splamioną atramentem, z piórem za uchem i znów oddać wielki ukłon mojej królowej sławie, jako wierny jej do śmierci błazen.

I znacznie później jeszcze wracał poeta do tych uroczych miejsc wśród których poznał Maryę.

Co piętnaście dni — pisze z Florencyi, 24. listopada 1837. — przypomina mi się Paquis nad zwierciadlanem stojące jeziorem.

Florencya dnia 3. stycznia, 1838. Siedzę w domu, deszcz czarny pada i melancholiczne światło panuje w moim saloniku. Przypomina mi to moje dnie zimowe w domku Paquis, i dziwna jakaś czcza melancholia dręczy mię: chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim. Filowie już ci musieli powiedzieć, moja droga, że to jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia; gadaliśmy o tem z nimi nieraz, siedząc na balkonie domu św. Lucyi w Neapolu, czekając, aby się księżyc pokazał nad Wezuwiuszem i rzucił nam kolumnę światła przez morską zatokę.

Plotka, jakich między nami nie brak, o wyjściu Maryi za Szopena podrażniła dumę rywala, co się przebija w następującym liście z Florencyi 22. lutego 1838. Mówią że się Szopen z Maryą Wodzińską a niegdyś z moją Maryą ożenił; może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Szopen do mnie jak dwie krople wody podobny. Jakto sentymentalnie pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało, stałość i niestałość harmonizują się z sobą w takiem zdarzeniu i, podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch ale z trzech dusz robi się anioł jeden po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy, wolę się do innej jakiej światłej istoty w niebie przylepić; dla niej dosyć Orfeusza, skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów rąbki. Miło mi, że tylko nie zapo-

mniała mojego walca; dopiero po odebraniu twego listu, droga, gdzie piszesz, jakeś uścisnęła Chudobę, przypomniałem sobie o tym walcu i wnet też zagrałem go na fortepianie, aby grać to, co wy gracie, aby słyszeć to, co wy słyszycie. Takim sposobem znajduję jakiś mistyczny sposób połączenia się z wami, i przychodzi mi na myśl wiersz jeden z jakiejś mojej poezyi (wiersz p. n. „Rozłączenie“): „Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku i nosi ciągłe wieści“,

Następujący list poświęcony jest pamięci tych miejsc odtwarzanych w wspomnieniu poety: Wróciwszy do Genewy zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdziem sobie przez 3. lata marzył, zamiast tej melancholii, jakąby mię przeniknął widok miejsc, *gdziem latał po murawach z młodziutką Maryą, co mię kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj polskie dziewczęta kochają:* zamiast tego wszystkiego, znajdę dom w mieście czarnem i posępnem. O nie wrócę do Genewy, a nawet na krótko wrócić smutno mi będzie; ja chciałbym, latając, ażeby się wszystkie miejsca zasuszały, kamieniały w takiej postaci, jakem je zostawił, a kiedyś drugą podróż mógł rozpocząć pełną pamiątek; lecz niestety wszystko się odmienia. Florencya, 19. maja 1838.

Czy na poemat „W Szwajcaryi“ nie miała pewien wpływ przelotna miłość poety z „Fornariną“ florentyńska, to rozstrzygnie krytyka następującego zeznania poety w liście do matki.

Florencya, dnia 10. lipca 1838. Najdroższa moja! Dawno już nie pisałem do Ciebie, bo w tym miesiącu miałem różne zatrudnienia, które mię naprzód szałem a potem napełniły czczością. Zaczynając ten list, nie wiem jak pisać, bo się boję, abym otwartością moją nie zgrzeszył i nie obraził tej delikatności, jaka się w stosunkach listowych z tobą, droga moja, znajdować powinna; a na ten raz chciałbym, żebyś była młodym chłopcem szalonym, jak ja jestem w chwilach ekscentrycznych życia mego, wtenczas kiedy wychodzę ze zwyczajnego omdlenia i lenistwa władz moich, kiedy wreszcie znajdę sobie jaką Fornarynę, piękniejszą od tej, którą malował Rafael. Kiedy, pomimo przestróg rozumu, zakocham się z całą pasyą serca mojego, owinę moje bóstwo w idealne szaty i nareszcie z rzeczy

pospolitej bardzo zrobię sobie romans, kończący się łzami a tak głębokie zostawiający wrażenie, że pamiątki jego wystarczą na zapełnienie marzeniami wszystkich mglistych dni zimowych, które jeszcze trzeba będzie przebyć na ziemi.

A tu niech się Sylka nie uśmiecha, wspomniawszy sobie na moje rzymskie bóstwo, bo dziewczynka, która mię teraz lubiła, odpowiedziała zupełnie pięknym włoskim okolicom: oczy jej szafirowe przy świetle wieczornem, czarnemi się stawały w dzień przy słońcu, jak kamienie w powieściach wschodnich; kształtna, wysmukła, z różowemi ustami, wyższa trochę od Sylki, trochę podobna do niej, nieco zimna z charakteru, coś czystego miała w charakterze, co ją zbliżało do Nimfy mitologicznej i do Najady, której mieszkaniem są strumienie.

Otóż admirujcie moją moc charakteru: zamiast ugrząść we Florencyi i przemienić się w jaki laur zaczarowany, wyjeżdżam 25. t. m. do Paryża.

Przytrzymała go jednak Fornaryna. Po pewnej zwłoce pisze do matki: Teraz wreszcie naznaczyłem dzień wyjazdu i już sam siebie nie zawiodę: boję się nareszcie tego dziwnego zakochania się w prostej dziewczynie, które mię nareszcie mocy charakteru pozbawićby mogło i do jakich szaleństw przywieść, mię, który dotąd na uwięzi trzymam serce moje i czystsze życie wiodłem niż inni, znajdując w tem jakąś dumną pociechę dla duszy.

Dręczy mię ta myśl, że Florentynka moja opuszczona może w przeznaczeniu życia mojego jest ostatnią, że reszta dni moich skazaną jest na suchą nudę wdowiego życia, że może nie trzeba było tak prędko zrywać ostatniej róży. Niech się stanie jednak, jak się Bogu podoba, widziałem nawet przestrogę Jego w małem zdarzeniu: oto przeszłego wtorku wziąłem jednokonny tilbury i pojechałem z moją Fornariną do Pratelino, i Filo zna ten ogród angielski; lataliśmy po murawach, kłęby róż, między ciemną zielonością błyszczące, przypomniały mi Julinki; wchodziliśmy odpoczywać o południu do grot, w których mruczały strumienie, słowem, dobrze mi było i sądziłem się nowym Numą z Egeryą, ale koniec dnia tego wcale nie odpowiedział początkowi: wracając, koń mój w kabry-

lecie wziął na kieł i poniósł; widząc niebezpieczeństwo, wywróciłem umyślnie i tak szczęśliwie, że zostaliśmy na ziemi a koń z przedniemi kołami poleciał; nic złego się nie stało, ani mnie, ani mojej miłej, która na mnie upadła. Kabryolet się popsuł, koń się pokrwawił, i zapłaciłem za szkodę kilka skudów, i tak się skończyło dobrze, że bez żadnego przypadku, nawet bez siniaka. To mi potwierdziło, że nieszczęśliwy jestem do koni, ale że od nich nie zginę: widzicie więc, że można w Azyi i w Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Pratolino można się spotkać z królową ostatecznych przestrachów, jak Pismo św. mówi. Florencya, 10. lipca 1838.

Stanisław Tarnowski. w odczytach: „W Szwajcaryi“ i „Ojciec Zadżumionych“ J. Słowackiego, („Kronika rodzinna“ 1880. str. 257. i nast.) analizuje subtelnie uczucie Juliusza do Maryi na podstawie jego utworów.

Pierwszy ślad poetyczny jego uczuć, śliczny wiersz napisany *w albumie Maryi W.* przypominający cokolwiek wiersze miłosne Mickiewicza: „Nigdyż, więc nigdyż z tobą etc.“ wygląda jeszcze jak deklamacya człowieka, który za zakochanego uchodzić chce, zaleca się, ale mówi więcej niż myśli i czuje. Ostatni „Rozłącznzie“, jest jednym z najpiękniejszych wierszy miłosnych, jakie są w naszej poezyi, i ten jest szczery, tu już Słowacki mówił to, co myślał.

Rozbierając poemat „W Szwajcaryi“, wykazuje Tarnowski, że prawie wszystkie wypadki tu opisane są zmyślone, że Juliusz i Marya jak zwykli turyści chodzili po górach i pływali po jeziorach, ona pod okiem matki, on w towarzystwie jej braci, że ani razu nie byli sami, że uroczego szałasu w parowie, a tem mniej spotkania w grocie nie było, ani, co zatem idzie, zawstydzenia i zgryzot, że nie było ani ślubu w kaplicy, ani końcowej śmierci. Co większa, uczucia poety rzeczywiste tak się od wyrażonych w poemacie różnią, jak zwykłe codzienne zdarzenia od tych dziejów miłosnych, które opisuje poemat.

Tarnowski rozwinął przyczynę tych zmyśleń, jakie rodzi miłość a zwłaszcza miłość poety. Któż niedoświadczył tego na sobie, jak mimowolnie nieraz bawi się wyobraźnia wystawianiem siebie samego w różnych położeniach i przygodach.

Na podstawie takich przypuszczeń budują się nieraz całe pałace z lodu, które zamieszkuje zakochany razem ze swoim ideałem. Otóż Słowacki, do marzeń zawsze skłonny, trochę zakochany, a rozstaniem z Marya tak podrażniony, że mu się ta miłość wydała wielką i głęboką, — kiedy się znalazł samotnym i rozmyślał nad nią wiele, podobnie zobaczył siebie i Maryę we wszystkich uniesieniach miłości wzajemnej i szczęśliwej.

Jeżeli prawdą być może, że pokochał po raz pierwszy, kiedy ją ujrzał pod kaskadą, i wydała mu się „że z tęczy wyszła i z potoku piany", — choć dla dokładności powiedzieć trzeba, że to nie było tam, gdzie Aar błękitnemi wodami spada, z listów jego bowiem pokazuje się, że wędrówkę przez Grimsel, na której leży wodospad Aaru Handeck, odbywał tylko z braćmi Maryi, kiedy ona z matką pojechała prosto do Lucerny — jeżeli więc widział ją pod kaskadą, jak gdyby za zasłoną spadających wód i tęczy, to kaskadą tą musiał być nie wodospad Aaru ale może wspomniany w jego listach Giessbach.

Zresztą objawia się tu charakterystyczny rys naszego poety. Ta sama kobieta jak długo była przy nim, wystarczała mu zaledwie na przedmiot żywszego zajęcia. Skoro znikła i stała się czemś niedoścignionem, żal po niej, tęsknota, wspomnienie, i to bolesne uczucie utraty, taki jej nadają wdzięk w umyśle kochanka, przedstawiają mu ją w tak uroczem świetle, że i ona sama, i miłość, którą miał dla niej, wydają mu się innemi zupełnie, niż były w istocie.

Tarnowski zwraca uwagę na to, że u Słowackiego, przy jego wrażliwem sercu i rozmarzonej wyobraźni, miłość tak małą gra rolę w jego życiu. Przesuwa się przez to życie cały szereg kobiet, wszystkie niemal są sympatyczne i zajmujące, a żadna nie wpływa tak stanowczo na życie i usposobienie poety, żadna nie ma w jego historyi takiego znaczenia, jak fatalna Maryla w życiu Mickiewicza lub pani Sand w życiu Musseta.

Wszystkie one były jakieś słabe, powierzchowne i niedokształcone. Na pytanie dlaczego uczucie jego mimo to jest w poemacie tak delikatne i wzniosłe? dlaczego nigdy

miłość nie mówiła językiem czulszym, smutniejszym, poetyczniejszym i w czem polega tajemnica tego uroku? odpowiada Tarnowski rozbiorem poczucia piękna przyrody, które jest u Słowackiego w ogóle delikatne a głębokie a które właśnie w tym poemacie tak świetnie występuje. Nie można powiedzieć, żeby to były opisy lub obrazy; są to raczej przypomnienia czy odbicia tych wrażeń, które natura na człowieka wywiera.

Bez szczegółów, albo bez całości, jednym ogólnym rysem, albo jednem uprzytomnieniem choćby drobnego szczegółu, wspomnieniem ziółka, wiatru, fali, jak na zaklęcie, daje odczuć to, co sto razy czuliśmy sami w naturze. Przepyszne opisy natury u Mickiewicza są zupełnie inne; ten układa swój obraz, znać u niego zarys całości, znać ugrupowanie szczegółów, znać stosunek i związek pomiędzy częściami. Słowacki, pojmuje i przedstawia naturę lirycznie; daje jej na siebie działać, rozkoszuje się w jej wdziękach, zatrzymuje w pamięci to, co go najwięcej upoiło, co mu było najprzyjemniejszem, i ten jeden szczegół najczęściej, to jedno wrażenie przenosi do poezyi. Ale też jak je przenosi, tak je w swoich wierszach zamyka z całą świeżością, z całym blaskiem, że w tych słowach uwięzione i zaklęte opada każdego, kto wstąpi w zaczarowane koła jego wierszy. Że ten pierwiastek gra rolę ogromną w poemacie, o którym mówimy i że mu nieopisanego wdzięku użycza, że na tle tęczowych kaskad i cichych szałasów miłość sama poetyczniej jakoś wygląda, i że w związku z niemi nabiera jakiegoś idealnie sielankowego światła i koloru, to jest oczywiste.

Pierwsze sześć wierszy, preludyum, stanowiące główny motyw poematu, który dalej przeprowadzony będzie przez różne tony, i na wstępie przygotowuje do wrażenia, podaje essencyę treści i ostrzega, że tą treścią jest miłość i tęsknota po stracie. Potem, bez przejścia, od razu opowiadanie dziejów tej miłości. Ktoby najdłużej o effektownym początku myślał, nie byłby zdołał wymyślić nic szczęśliwszego, niż to przerwanie jednego tonu i przejście w drugi. Pierwszy jest głębszy, smutniejszy; w drugim mimowolnie miesza się we wspomnieniu wesoły ton szczęścia ale jak on brzmi tęskno.

Są plamy na słońcu, więc i na Szwajcaryi, mianowicie czasem pomysły i wyrażenia nieco wyrafinowane, naciągnięte, po prostu mówiąc manierowane. Np. „owe sarny, które się zakochały w tobie", cały ten piękny frazes czułego kochanka jest trochę wyszukany.

Trochę maniery jest w czwartym ustępie, to że „łódź sama leciała za nią", że ona „miała powozy z delfinów i gołębi", ta sama myśl powtórzona w ustępie V.: „usłyszała ją łódka i przybiegła". Taka jest w ustępie XII. lilia służebnica i cała mniemana wina tej lilii.

Chwilę zmiany, tę chwilę, kiedy z idealnego zachwytu serc zrobiła się ziemska miłość, wprowadza poeta tak subtelnie, tak delikatnie, tak cudownie pięknym zwrotem myśli i tonu, że nic szlachetniejszego, nic idealniejszego w uczuciu, nic misterniejszego w wykonaniu. Pokazuje tę chwilę przez pryzmat swojego wyrzutu a jej żalu. Umarła. Akord rzucony na wstępie jako przygrywka, przerwany opowiadaniem, wraca teraz jako „finale" tylko nierównie pełniejszy, głębszy i bardziej rozwinięty.

I w tem arcydziele, w którem muza Słowackiego wspięła się na najwyższy szczyt potęgi, dostrzegł prof. J. Tretiak brak rzetelnego uczucia, a przewagę fantazyi. Skutkiem tego zniża się poeta niekiedy do sentymentalizmu, do sztucznej naiwności, do wyrafinowanej słodyczy, która z siłą uczucia nigdy w parze nie idzie. I Tretiak przypomina ów ustęp o lilii, kończący się wierszem:

Nie jam był winien — lecz lilija winna.

„Nie mówię już o mglistości tego ustępu, która czyni zeń niemal szaradę, ale po co szukać takiej genezy dla pocałunku pod kaskadą, kiedy ten pocałunek mógł się tak naturalnie zrodzić z wzajemnego nachylania się serc ku sobie i nie potrzebował żadnej legitymacyi. Czy przynajmniej ta geneza nadaje mu piętno większej idealności? Bynajmniej, jeżeli czegoś można dopatrzeć przez mglistą zasłonę tego ustępu, to chyba tylko zmysłowość. Ale przedewszystkiem razi i tutaj jakaś czułostkowość godna pasterskiej poezyi XVII. wieku.

Jeżeli się chcemy pieścić tylko rytmiczną harmonią wiersza, to trudno znaleść coś bardziej harmonijnego od tej

strofy, ale jeżeli szukamy szczerego i naturalnego uczucia, to tu go nie znajdziemy. Kochanek przypatrujący się „z twarzą bladą“ lilii „ściętej piersią“ kochanki, tyle w nas może obudzić współczucia, ile Damony i Filony pseudo-klasycznej sielanki.

Dlaczego chodziło tak Słowackiemu o podanie genezy pocałunku, bez której poemat mógł się tak wybornie obyć. Możnaby myśleć, że zachęcił go do tego słynny ustęp z „Boskiej komedyi“ o Francesce i Paolo, gdzie jest także podany rodowód ich pocałunku, ale podany dla względów etycznych. To przynajmniej pewna, że pomiędzy owym ustępem z „Boskiej komedyi“ a sceną Słowackiego pod kaskadą, analogia jest bardzo wyraźną, a nawet niektóre wiersze brzmią niemal tak samo u Słowackiego jak u Danta.

Właśnie na kilka miesięcy przed pobytem w Veytoux, gdzie może zaczęty był poemat „W Szwajcaryi“ pisze Słowacki do matki (18. grudnia 1834). „Szekspir i Dant są teraz moimi kochankami, i już tak jest od dwóch lat; im więcej się w obydwóch wczytuję, tem więcej widzę piękności“. Wpływ Danta rośnie jednak dopiero w epoce florenckiej i to, zdaniem mojem, przemawia za posunięciem czasu napisania poematu „W Szwajcaryi“ do pobytu Juliusza w Florencyi. Przytoczone przez Tretiaka miejsce z Dantego zaczyna się od słów:

Raz dla zabawy czytaliśmy razem,
Jako Lancelot wpadł w więzy miłości.
Byliśmy sami i próżni obawy...

aż do:

Jużeśmy w dniu tym więcej nie czytali.

(Dantego „Boska komedya“, przekład Ant. Stanisławskiego, str. 35 i 36.)

Z tym porównać ustęp ze Słowackiego:

Byliśmy niczem niestrwożeni sami

aż do:

Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

Tak w jednym, jak w drugim ustępie pocałunek urodził się przy wspólnem czytaniu książki, tu i tam kochankowie czytali samotni i nieprzywidujący niebezpieczeń-

stwa, tu i tam niebezpieczeństwo wywołane było wzajemnem spozieraniem na siebie kochanków, nareszcie ostatni wiersz Słowackiego, zamykający scenę pod kaskadą, jakkolwiek wyraża myśl odmienną, brzmi jednak tak podobnie do ostatniego wiersza o Francesce, że trudno nie widzieć w tem reminiscencyi Dantejskiej. Co się zaś tyczy bezpośredniej pobudki do pocałunku jest ona inną u Danta, niż u Słowackiego, tam obraz wywołany książką, tu jakieś przypomnienia ze świeżej przeszłości, ale czy sam pomysł zwalenia winy na lilię nie powstał właśnie z owych wierszy „Boskiej komedyi“:

Zgubił nas w końcu jeden ustęp mały
Księga i pisarz Galeotem były.

Czyż nie znaczy to tyle, co: „Nie jam był winien, lecz lilija winna?“ Tu książka, tam lilia; tylko to, co u Danta zawarte w brzemiennym treścią wierszu, u Słowackiego, którego dekoracya niemal w czarodziejski sposób zjawia się na usługi, rozrosło się zaraz w całą scenę, będącą — zdaniem prof. Tretiaka — zbyteczną i czułostkową.

W trzynastej strofie czytając wiersze:

Ona z tych była, co skarżą się matkom,
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie...

„czy nie czujemy jakiegoś zwrotu niespodziewanego a nienaturalnego, jakiegoś zgrzytu. Mnie się zdaje, że to łódź poety trąca o mieliznę uczucia. Nie mogę również zachwycać się wraz z innymi ową maskaradą kochanka w XVII. ustępie, który jest jednym z najwymowniejszych przykładów tego wielkiego wpływu, jaki na każde uczucie Słowackiego wywierała dekoracya. Motyla spostrzegł poeta na głowie kochanki i jakże się nim zajął?! Boimy się przez kilkanaście wierszy, czy nie zapomni dla niego o kochance.“ Dr. Józef Tretiak: Małeckiego Słowacki „Przewodnik naukowy i literacki“. Lwów 1881., IX. str. 284—8.

Jeden z najbliższych krewnych Maryi Wodzińskiej napisał p. t. „Chopin i Marya W.“ kilka ciekawych szczegółów o tej, która była kochanką rywala Juliusza.

Przywiązanie Chopina dla Maryi, było najgłębszem i najtrwalszem w jego życiu, dowodem tego, że nawet Ge-

orges Sand o tem wspomina w „Memoires de ma vie“. „Mówił mi często — pisze Aurora — o pozostałej miłości w kraju, o żywionych przez niego marzeniach i t. d. Po śmierci mistrza znaleziono w papierach jego kopertę, obwiązana na krzyż czarną wstążką, zawierająca wyschłe kwiaty ofiarowane mu niegdyś przez Maryę, a na której znajdował się tak prosty i smutny zarazem napis „Moja bieda!“

Młode to dziewczę miało szczególne szczęście do wielkich ludzi. Wszakże nie kto inny, tylko ona była ową Marya, ubóstwianą kochanką w poemacie „W Szwajcaryi“

Marya liczyła wówczas, kiedy ją poznał Słowacki, lat czternaście tylko. Więc nic dziwnego, że ta miłość poety nie zostawiła na niej śladów, że w tem wszystkiem co pisze Słowacki w cudownej scenie w grocie i w tej drugiej... „przed Tella kościołem“, gdzie

Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos, że mię kocha,

wszystko było fantazyą a nie rzeczywistością, ale i nic dziwnego także, że rozkochany nadał jej rysy, jakich nigdy nie miała. Malując w parę lat potem, jak tego dowodzi dwuwiersz:

Kiedy się *myślą w przeszłości zagłębię*,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować.

zrobił ją boginią piękności, choć była jak wszyscy zapewniają nieładna.

Być może, że mając 15 wiosen, była rzeczywiście „od Alp na śniegach — różową“, ale co do „źrenic z błękitu“ poeta pomylił się stanowczo. Panna Marya miała bowiem, piękne czarne oczy, a nie niebieskie.

Piękną ona w istocie nie była, a w każdym razie nie taką, jaką ją przedstawił Słowacki, ale miała jakiś dziwny urok w owych cudownych oczach, odbijających wszystkie wzruszenia i tajemnice duszy, w owym uśmiechu opromieniającym twarz całą i w tych długich spadających do stóp czarnych, kruczych warkoczach, jakimi nawet późniejsza jej następczyni w sercu Chopina poszczycić się nie mogła. Nadto zdobił ją głos śliczny i dźwięczny i coś niewypowiedzianie uprzejmego w całem ułożeniu i postawie. Dziś jeszcze kiedy kolej życia, smutki i lat ciężar pochylił

jej postać, dziś jeszcze, roztacza ona w około siebie jakiś niewymowny urok.

Antoni hr. Wodziński: Listy z Paryża. „Słowo". Warszawa. 25. listopada 1882. Nr. 258.

Pani Barbara Beaupré z Krakowa, żona przyjaciela Juliusza, powiada o Maryi, że nie była piękną, choć nie dowód to jeszcze, ażeby nie potrafiła podobać się mężczyznom w razie, gdyby jej na tem zależało; panna Wodzińska zaś dar ten posiadać musiała w stopniu bardzo wysokim. Miała duże czarne oczy — a śliczne być miały! — takie same zupełnie jak ogniste a namiętne w spojrzeniu oczy pani George Sand. Jak wiadomo podobała się Chopinowi późniejsza autorka „Lukrecyi" dlatego przedewszystkiem, ponieważ oczy jej przypominały mu pannę Wodzińską. Była przytem dobrej tuszy, może nawet trochę za tęga jak na pannę, a zwłaszcza na przyszłą bohaterkę poematu „W Szwajcaryi". W rozmowie, jak w ogóle w obejściu z młodymi ludźmi, których towarzystwo przekładała o wiele nad kobiece, odznaczała się nadzwyczajną swobodą.

Słusznie zauważył autor artykułu w Kuryerze poznańskim, ogłoszonego pod datą 3. grudnia 1882. Rok XI. nr. 277., że sielanka Słowackiego, pełna niewysłowionego uroku, którym podbija i czaruje, nie jest bynajmniej odbiciem rzeczywistych stosunków, lecz raczej powstałym z „imaginacyi i sennego przypomnienia". Wspomnienia scen z podróży po Szwajcaryi, odbytej z Wodzińskimi, przypuszczone przez czarnoksięskie szkła poetycznej wyobraźni, stworzyły przepyszną poezyą, z której epizodów nie godzi się bynajmniej sądzić o rodzaju stosunku pomiędzy wieszczem a jego muzą. Rozbujała imaginacya poety spłodziła wiele sytuacyj, które nie istniały po za jej zaczarowanemi sferami.

Tłómaczy to się czasem powstania poematu, który Ferd. Hösick odnosił do pobytu w Sorrento. Mimo czci, jaką wyznaje dla zasłużonego autora znakomitej monografii o Słowackim, nie może się Hösick zgodzić na twierdzenie jakoby Juliusz poemat swój „W Szwajcaryi" napisał istotnie nad jeziorem w Veytoux.

„Wybrawszy się razem z Januszewskimi zwiedzić skaliste wybrzeża Sorrento, zamiast wracać, został tu Słowacki,

chcąc czas jakiś samotnie nad brzegiem morza przepędzić. Mieszkał tu cały miesiąc „sam jeden...“ między drzewami daleko od zgiełku brukowego. A życie to wiejskie w Sorrento przypomniało mu dnie samotne, przepędzone w Veytoux, nad brzegiem jeziora.

Z Sorrento wrócił Słowacki jak sam powiada „smutniejszy trochę niż przedtem“... Przyczyniły się do tego niewątpliwie wspomnienia owych szczęśliwych chwil, przy boku panny Maryi Wodzińskiej spędzonych, oraz przypomnienie samotnych dni przebytych smutnie nad jeziorem w Veytoux. Nie dziw więc że „kiedy się tak myślą w przeszłość zagłębiał“, to mu się dusza rwała z popiołów „do tej zbawionej i do tej kochanki“, że się czuł nieszczęśliwszym niż zwykle i powrócił z Sorrento „smutniejszy troche“... W tem też usposobieniu pisał Juliusz poemat „W Szwajcaryi“. (F. Hösick: W. Szwajcaryi, trzy lata życia Juliusza *Swiat*, Kraków, 1889. Nr. 13—18. str. 294 i nast.)

Zdaniem Hösicka powstał ten poemat w ten sposób: Poznawszy w Rzymie, dzięki Krasińskiemu, dzieła Shelley'a, zachwycony niemi postanowił Juliusz — napisać coś równie eterycznego. Mając zaś świeżo w pamięci tę „która mu była siostrą na wygnania ziemi“ umyślił na tle tej miłości osnuć „romans poetyczny“. I tak z imaginacyi i sennego przypomnienia powstała najpiękniejsza w naszej literaturze sielanka miłosna. — Poemat ten nie jest więc na wskróś oryginalnym utworem. Jak zawsze tak i w tym wypadku nie pozbył się poeta ulegania cudzym wpływom. Choć nie wynika z tego bynajmniej, ażeby utwór Słowackiego nie był, jeżeli nie piękniejszym, to przynajmniej równie pięknym, jak Epipsychidion, którego styl, ton i maniera odbiły się najwyraźniej na Szwajcaryi. Jedną w każdym razie wyższość posiada nasz poeta nad Shelley'em. Oto kiedy ten ostatni kreśli często sceny tak niepochwytne i mgliste, że aż się wydają niezrozumiałemi, Słowacki tworzy cały szereg obrazów i epizodów powiązanych z sobą organicznie. Z pod pióra jego wyszła rzecz artystycznie doskonalsza i o wiele melancholiczniejsza, bo prawdziwie polskim sentymentem owiana — i oto w czem leży oryginalność Juliusza. Wiadomo zresztą, że tak naśladować, jak

Słowacki, potrafił tylko on jeden, u nas; naśladując bowiem podnosił, przyozdabiał, uszlachetniał.

O Shelley'u pisze Słowacki z Rzymu w liście do matki: „Byłem niedawno na cmentarzu tutejszym angielskim, widziałem groby dwóch poetów; jeden z nich kiedyś mógł być dla mnie przestrogą. Młody Keats leży pod małym kamieniem. Ów poeta wydał kiedyś swoje wiersze, krytyka jednego z pism angielskich zabiła go w Rzymie... Drugim, śpiącym poetą na tym cmentarzu jest Shelley, przyjaciel Byrona. Bezbożny, utopił się — utonął raczej, zaskoczony przez burzę — ciało jego spalono na stosie śród równiny nad morzem w Lido". Myli się tu Słowacki — powiada Hösick — Shelley bowiem utonął podczas burzy w zatoce Lerici pod Liwurnem, nad której to także zatoki brzegiem spalił go na stosie niby Achilles Patroklesa, przyjaciel lord Byron, sprawiwszy mu pogrzeb prawdziwie grecko-pogański. Kadzidła, wino, sól i oliwę zlano na stos jak w starożytnej Helladzie. Był to dzień piękny i widowisko wspaniałe, a za tło mu służyło spokojne morze i Apeniny. Mały ptaszek krążył naokoło stosu i nie dał się spędzić. Wysoko i złotobarwnie wzbijał się płomień, zwłoki spłonęły, ale ku zdumieniu wszystkich obecnych, serce pozostało niezniszczone, Twelewney wyrwał te relikwie z gorejącego ogniska, przyczem sparzył sobie rękę. Popiół złożono obok piramidy Cestiusza w Rzymie, która niegdyś zdawała się Shelley'owi tak pięknem miejscem spoczynku. Prochy ateisty leżą na cmentarzu, niespokojnie...

Hösick utrzymuje, że w epoce Towianizmu miał Shelley na Słowackiego wpływ niemały, „Król-Duch" bowiem jest poniekąd zbliżony do „Rokoszu Islamu" poematu ciemnego, w którym chciał poeta odtworzyć, w szacie wschodniej, obraz wybujałego zapału rewolucyi, oraz ostatecznego zwycięstwa prawdy i wolności. Wpływem Shelley'a także tłómaczy Hösick przyczynę, dlaczego Słowacki swój „Sen Salomei" przezwał „srebrnym"? Shelley bowiem jest twórcą takich snów złotych i srebrnych, „a bright silver dream". W pierwszym zaraz wierszu w Szwajcaryi „Odkąd zniknęła jak *sen jaki złoty*" uległ Słowacki — może mimowolnie — wpływom maniery i stylu Shelley'a, w którym się niedawno temu pewno rozczytywał z zapałem. Poeta bowiem, którego

— powiewności jego gwoli — nazwano słusznie: „sylfem, co zstąpił na czas pewien między ludzi“ nie mógł nie olśnić Słowackiego, autora i twórcy takich postaci: jak Goplana, Chochlik i Skierka. Najlepszym dowodem ten ton lekki, niepochwytny, ta oryginalność kolorytu i powiewność „Szwajcaryi“ przypominająca angielskiego poetę. W poezyach Shelle'ya, uderza nas właśnie jakaś jemu tylko właściwa niepochwytność, jakiś zmrok świetlany i nie ziemska powiewność pojęć i obrazów, przypominająca słynne Adagio sostenuto z Beethowenowskiej „Mondscheinsonate“.

Jeśli sarny w poemacie Juliusza „stanęły blisko, złote, nieuchronne i utopiły oczów błyskawice w kochanki jego błękitne źrenice“ to uczyniły to dla tego, że „chciały oczy swe napaść widokiem postaci dużo wdzięczniejszej (than her own)“ u Shelleya.

Oto odnośne miejsce z „Alastra“, w przekładzie Kazimierza Ehrenburga:

Aż w końcu sarna dzika i płochliwa,
Za każdym szmerem suchych liści drżąca,
Jaki wydaje potrącana paproć —
Krok swój lękliwy wstrzymała na to,
Ażeby oczy swe napaść widokiem
Postaci dużo wdzięczniejszej, niż twoja...

Jest u Słowackiego pyszna scena z łódką. Opowiada tu poeta, jakto z swą lubą pływał „szwajcarskich jezior błękitami“ jak mu się wtedy kochanka wydała „jeziora błękitnego panią“. Podobną scenę, acz w innym nieco rodzaju, znajdujemy u Shelley'a w jego cudownej „Czarodziejce Atlasu“, takiejże właśnie „wodnej bogini“...

A ona go wiodła
Aż ponad lśniące wód kipiących piany,
I lotem mknęła łódka przez kaskady, rozbryzgując
Swe śnieżne wody po powietrzu złotem,
. . . . . . a wodospadów
Tęczowe łuki łódź podtrzymywały,
Kiedy spadała do białej otchłani
Spienionych nurtów. One rozjaśniały
Gdzieś tam w oddali drogę jej bez światła.

Mieszka prócz tego piękna czarodziejka w kryształowej grocie, bardzo przypominającej ową lodową, do której raz Słowackiego zaprowadził jego anioł złoty. — Albo następujący ustęp, z „Epipsychidiona“ w przekładzie Jana Kasprowicza, który możnaby wstawić pomiedzy rozdziały „Szwajcaryi“, a możeby się nie spostrzeżono, że do poematu polskiego nie należy.

Była istota, którą duch mój senny
Często spotykał. Górą, gdzie promienny
Różowiał odblask świtów młodocianych —
Śród wysp rusałek, śród dolin świetlanych
I gór czerwonych — śród jaskiń, gdzie fala
Moich snów boskich w czar się rozkryształa.
Mknęła nademną, strojna w płaszcz tak złoty,
Żem patrzeć nie mógł. A głos tej istoty
Przypływał ku mnie samotną ustronią,
Ze szmerem źródlisk, z szumem drzew i z wonią
Kwiatów, co o niej.... jak te wargi senne,
Szepczące jeszcze całunki płomienne,
Słodkie całunki! co je usypiały...
Zakochanemu powietrzu dyszały.
Z wiatrem, czy głośno, czy cicho zawiewał,
Z deszczem, co obłok przelotny rozlewał,
Z letniem ptaszyny rozśpiewanej pieniem,
Z wszystkimi dźwięki i z wszelkiem milczeniem,
Głos jej brzmiał w słowach podniosłej powieści

„W Szwajcaryi“. Trzy lata z życia Jul. Słowackiego przez Ferdynanda Hösicka. Świat. Kraków. Rocznik drugi 1889. str. 427.

Na poemat „W Szwajcaryi“ złożyły się obok reminiscencyi z „Alastora“ i „Epipsychidiona“ Shelleya (J. Kasprowicz w „Kraju“ 1887. r. i w „Życiu“ 1888. r. str. 195 i nast.) także i dzieła sztuki, zwłaszcza Wenera Medycejska. Wpatruję się — pisze poeta do matki — w Wenus Medycejską, chcąc, aby piękność jej przeszła do mojej duszy, tak, żeby się wszystko potem podług niej tworzyło. Słowem, życie moje jest nie bez jakiegoś harmonijnego dźwięku, nie bez upojenia.“ Florencya 3. października 1837. r. „Na

co się zakochałem w Wenerze Medycejskiej" — woła w liście z Florencyi jeszcze dnia 19. maja 1835 r.

Ignacy Matuszewski w studyum p. t. Słowacki i Shelley, w Dodatku miesięcznym do Przeglądu Tygodniowego, Warszawa 1887. I. 456—74., choć wykazuje pewne podobieństwo natur obu poetów: panteizm, brak plastyki, lśniącą lotność wyobraźni itp., dowodzi jednak, że podobieństwo to „nie mogło wypłynąć z naśladownictwa, lecz tkwiło widocznie w nich samych." Że Słowacki znał Shelley'a może tylko ze słyszenia, tego ma dowodzić wzmianka o nim w liście do matki z 21. maja 1836. w której opisując nagrobek poety nie wspomina nawet o charakterystycznym napisie grobowym „Cor cordium" (serce serc) malującym tak doskonale wewnętrzną istotę Shelleya.

O Shelley'u pisali John Todhunter: A study of Shelley London 1880., Eduard Dowden: Sh. London 1881. Dr. H. Druskowitz, Berlin, 1884., Felix Rabbe Paris 1887. J. Darmsteter w Essais de littérature Anglaise Paris 1883. Brandes w IV. tomie Prądów literatury XIX. w. Eduard Sehuri w Revue des deux Mondes 1877. t. I. J. Sarrazin Paris 1889. U nas: Dr. M. Zdziechowski: Percy Shelley, w Bibli. Warszaw. 1891. III. 553 –589. Cezary Jellenta (A. Hirszband): Ideały wszechludzkie w poezyi, Warszawa 1894.

I Ferd. Hösick zmienił teraz pogląd swój na stosunek Słowackiego do Shelley'a, poemat „W Szwajcaryi" odnosi do czasów pobytu Juliusza, nie w Sorrento 1836. r., ale w Florencyi, (na wiosnę 1838. roku) Wiadomo, że Krasiński, bardziej od Słowackiego oczytany, znał utwory Shelley'a. Jeszcze w Genewie będąc w r. 1830. jak o tem wiemy z „Listów z podroży" A. E. Odyńca, „Zygmunt miał z sobą angielskie poezye Shelley'a, odznaczające się zwłaszcza rozmaitością i harmonią miary wierszowej. Radzę mu więc próbować tłómaczenia, z zachowaniem tych miar i rytmu". Na innem miejscu mówi o czytaniu z Zygmuntem „Queen Maab" Shelleya. Nie ulega wątpliwości, że Krasiński opowiadał Słowackiemu w Rzymie o autorze „Queen Maab", a być może że rozmowy te z Zygmuntem o Shelley'u nad grobem ostatniego, zachęciły Słowackiego do bliższego zaznajomienia się z jego dziełami. Ferdynand Hösick w studyach swoich: O rzekomym wpływie Shelley'a na Słowac-

kiego". Ateneum. 1892. I. 231. tudzież „Słowacki w Rzymie" Ateneum 1893. IV. 233—4. zaprzecza ten wpływ.

Na dowód, że poemat „W Szwajcaryi" pisany a przynajmniej wykończony został po podróży wschodniej, przytacza następujące miejsca:

Zakończenie poematu:

Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno
I wszędzie mi źle i wiem, że źle będzie.

przypomina nastrojem „Pieśń na Nilu" (Pisma Pośmiertne I. 47), pisaną w jesieni 1836. r.

Patrzę smutny, patrzę w dół,
Czy kto moje serce struł,
Że mu wszystko jedno będzie...

Błądząc samotnie po puszczach Egipskich, napisał wielkiemi literami na piasku obok swojego imienia również i imię Maryi Wodzińskiej, jak wskazuje zapiska w Pamiętniku: „Na Nilu dnia 6. listopada (1836). w Kairze. Szarfa Nilu. Skwar pustyni — *Piszę imię swoje na piasku i drugie imię* (Juliusz — Marya)., Biblioteka warszawska 1891. r IV. 343.

Przypomniała mu się ta chwila później w Florencyi, podczas pisania „W Szwajcaryi":

I staję blady i kreślę jej rysy
Lub imię piszę na piasku wilgotnym...

Ferdynand Hösick: J. Słowacki w Egipcie (27. września 1836. — 2. stycznia 1837.) w „Bluszczu", Warszawa 1894. str. 37. i 46.

W studyum p. t. Słowacki we Florencyi (1837—1838.) umieszczonem w „Tygodniku illustrowanym", Warszawa 26. lutego (10. marca) 1894. Nr 10. przyjmuje Hösick prawie na pewne czas wykończenia poematu „W Szwajcaryi" na **maj 1838. r.**

We Włoszech stawała przed nim często ta przeszłość niedaleka a niepowrotna, przeszłość, która teraz o tyle wydała mu się piękniejszą, że ją widział przez tęczowy pryzmat wspomnienia, które jest, jak wiadomo, największym artystą, bo odrzuca wszystko, co brzydkie i przykre, a za-

chowuje to tylko, co piękne i idealne. Patrząc na zatokę w Neapolu, widział owym wewnętrznym wzrokiem duszy... jezioro Genewskie, jak ta zatoka, błękitne i modre. Wezuwiusz kazał mu myśleć o śnieżnej kopule Mont-Blanc, którą z okien swojego mieszkania w Paquis widział tak samo po prawej stronie, jak tutaj ten „ponury kurhan popiołów“. Księżyc, wschodzący za Wezuwiuszem, uprzytomniał mu owe ciche wieczory szwajcarskie, kiedy to otworzywszy okno i stanąwszy w niem, wsparty o framugę, oczekiwał wschodu księżyca, mającego się wychylić niebawem z po za gór Mont-Blanc. Nawet ta wycieczka na szczyt Wezuwiusza w nocy, z pochodniami, po drodze pełnej lawy, posiadała dla niego więcej uroku, ponieważ przypomniała ów „wojaż“ po Alpach z Wodzińskimi... Na połowie drogi, kiedy się zatrzymali wreszcie przed małym domkiem pustelnika, gdzie mieli przenocować (a było ich czterech, oprócz przewodników: Teofil, Gaj, Wański i on), przypomniał sobie ów nocleg z całą rodziną Wodzińskich, i z Maryą, w klasztorze na górze Św. Bernarda... Pustelnik, częstujący ich chlebem, serem i winem *Lacrima Christi*, zdawał mu się mieć pewne podobieństwo z owym zakonnikiem szwajcarskim, tak uprzejmym dla dam i tak swobodnym w obejściu z niemi... Kiedy im podano książkę podróżnych, nad którą, przeglądając różne podpisy, większą część nocy spędził bezsennie, przypomniało mu się, że i tam na górze Św. Bernarda, przeglądał taką samą książkę z podpisami podróżnych, tylko, że tamtą przeglądał razem z Maryą.. Później, kiedy o świcie, zdrzemnąwszy się trochę, puścił się z towarzyszami w dalszą drogę, na szczyt krateru, ażeby stamtąd zobaczyć wschód słońca, myślał przez cały czas o tem, jak się rok temu w podobny sposób wdzierał na górę Righi, nad jeziorem Czterech kantonów.

Mimowoli zadawał sobie pytanie: czy też ta gwiazda, tak często zastająca go na szczytach gór i tylekrotnie witająca pierwszego na ziemi, czy go ta gwiazda już zna trochę z twarzy? A obok takich pytań sentymentalnych przychodziło mu do głowy: czy nie byłoby cudem wielkim przyrodzenia, gdyby trumny złych ludzi zakopane w ziemi przerzynały się przez nią, jak strumienie, i padały podziemnemi drogami do żaru wulkanicznego. Ten obraz tru-

mień oglądany ze szczytu wysokiej góry, znalazł odbicie swe w strofie XII poematu „W Szwajcaryi", w owem przeczuciu nieszczęścia w chwili największego szczęścia.

I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą,
Szalet się oku wydawał jak trumna,
Maleńki, cichy i t. d.

F. Hösiek, który dopatrzył tej analogii, zwraca też i na to uwagę, iż przeczucie to zaczyna bohatera „W Szwajcaryi" dręczyć w chwili, kiedy z ukochaną szedł na górę do staruszka celi (jak Romeo z Julią do celi Ojca Laurentego), ażeby ich rozgrzeszył i kochać ośmielił, ręce ich stułą związawszy. Ferdynand Hösiek domyśla się więc, że obraz ten przyszedł poecie na myśl tutaj, podczas owej wycieczki na Wezuwiusz, podczas owego noclegu w domku pustelnika. Pustelnik ten przypomniał Słowackiemu Ojca Laurentego, z Romea i Julii, i tak powstała scena ślubu w poemacie „W Szwajcaryi", scena napisana poźniej (we Florencyi). Ale ulega pewnej wątpliwości, czy napisana pod wpływem tragedyi Szekspira o nieszczęśliwych kochankach z Werony.

Szedłem posępny i drżący na góry...
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury,
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone, jak krew, o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany
I dwa ogromne na straży brytany,
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle:
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi.

Porównać opis wycieczki na Wezuwiusz w liście Słowackiego do matki z Neapolu, dnia 20. czerwca 1836.

Siedząc pogrążony w medytacyach na ganku w Neapolu, ujrzał na wodzie wielki, obwieszony mnóstwem różnokolorowych lampionów „bat" pełny ludzi, głośny od rozmów, śmiechów, śpiewów, a co chwila oblany światłością ogni bengalskich, czerwonych lub zielonych. Było to towarzystwo, zaproszone na wieczór do jednego z bogatych cu-

dzoziemców, który taką przejażdżkę gościom swoim urządził po kolacyi. Za statkiem tym, rzęsiście oświetlonym, płynęło kilka ciemnych łodzi, na których ulokowała się reszta towarzystwa... najszczęśliwsi! „Bo ileż to ściśnień dłoni, (pomyślał sobie poeta, kiedy cały ten korowód weselny przepływał pod jego oknem) ile rumieńców noc pokrywa, a ten księżyc niepełny, wschodzący nad Wezuwiuszem, nie zdradza światłem bladem ukradzionego szczęścia...“ I przypomniała mu się owa wycieczka z Wodzińskimi na drugi brzeg Lemanu, na obiad wiejski, i ów powrót stamtąd wieczorem, czółnami, przy boku panny Maryi. Zob. List z Genewy z d. 30. czerwca 1835.

I dobrze mu było w tem ustroniu. W Sorrento, gospodyni, od której wynajmował mieszkanie, młoda i piękna Włoszka, powzięła do niego wielką sympatyę, która się z początku przejawiać zaczęła... romantycznemi serenadami na gitarze. Podobało się to Słowackiemu, który, jak wiadomo, lubił kruszyć serca niewieście i patrzeć jak się miłosnym zapalają ogniem, chętnie więc, „oparty na murze, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich“, słuchał tej cichej, melancholijnej muzyki, wiedział bowiem, co przez nią należy rozumieć i czego są te serenady dowodem... I tak się zaczął prędko romans kleić, romans, który kto wie, czy nie natchnął przyszłemu autorowi „W Szwajcaryi“ owej czarownej sceny w grocie lodowej podczas burzy... W każdym razie, czy była „grota posępna i ciemna“, czy była „trwoga w ciemności tajemna“, a przytem „razem niepamięć jakaś boskiej kary“ i czy ich tam istotnie, jak „Don Juana“ i „Haidę“, dzień szary „zastał z twarzą ognistą przy twarzy“, co wszystko pod lazurowem niebem Italii nie należy do nieprawdopodobieństw (przykładem Goethe i jego romans z bohaterką Elegii Rzymskich), jedna rzecz nie ulega wątpliwości, że były w romansie tym „księżycowzdychania“; że „młoda gospodyni“ Słowackiego nie tylko mu dawała serenady, ale go uczyła także czytać po włosku, co jest zawsze z niemałem dla kobiety połączone niebezpieczeństwem, jak nas o tem naucza smutna historya Franczeski di Rimini. (F. Hösick: J. Słowacki w Rzymie, Neapolu i Sorento. *Ateneum*, Warszawa, listopad i grudzień 1893.)

Tych, którzyby się chcieli bliżej zapoznać ze szczegółami, dotyczącymi osoby pani Wodzińskiej, obecnie 74-le-



Marya z hr. Wodzińskich 1° voto hr. Skarbkowa 2° Orpiszewska.

tniej kobiety, owdowiałej po dwuch mężach, J. hr. Skarbku i Ludwiku Orpiszewskim, znanym z pism i działalności swej na emigracyi, odsyłam do książki Antoniego Wodzińskiego pt. „Les trois romans de Fr. Chopin" (Calman Levy, Paris). Parę szczegółów o rodzinie dostarcza Walery Przyborowski w książce „Niewieście ideały" Warszawa 1880, str. 193 i nast.

Jeżeliby jakie wątpliwości powstały o stosunku Maryi do Juliusza, to rozproszy je niniejsze stanowcze wyznanie samej Maryi w liście do mnie z dnia 2 sierpnia 1893 r. ...„Zbyt pochlebne zdanie o moim wpływie na twórczość Słowackiego, odeprzeć muszę.

Ci co o nim dotąd pisali, dając folgę własnej fantazyi, utworzyli z Maryi Wodzińskiej jakiś poetyczny obraz, który przy świetle prawdy pewnie zblednie. Niektóre daty są tu potrzebne. Urodziłam się 1819 r., zatem w epoce naszej znajomości ze Słowackim, tj. w 1834 r. i kilka miesięcy 1835 r., miałam lat 15, a tak byłam jeszcze obarczona lekcyami, że nie miałam czasu zastanawiać się nad życiem, tem bardziej jakibądź wpływ wywierać. Nie zwracałam uwagi nawet, żeby Słowacki był mną zajęty, jak to później twierdzono. Opuścił on Genewę na parę miesięcy przed naszym wyjazdem, przy pożegnaniu mówił wprawdzie o żalu i tęsknocie.

Powiadano mi potem, iż wyjechał dlatego, że Eglantyna Patteg, późniejsza hr. de Louppé, była o mnie zazdrosna. Bardzo mnie to zdziwiło, bo ja nigdy ładną nie byłam, a Eglantyna, piękna i rozumna, była rzeczywiście jego Opatrznością. W owym czasie Słowacki jeszcze nie był sławnym, drukowane bowiem były dopiero pierwsze 3 tomy poezyi i „Kordjan“, które jakkolwiek zawierają niektóre piękne ustępy, wiele niżej jednak stoją od jego późniejszych dzieł. Wyznać nawet muszę, że nam się wydawał troszkę śmiesznym i zarozumiałym, że chciał się mierzyć z Mickiewiczem. Jeden tylko mój brat Antoni, bronił go, mówiąc: „Wy się później dowiecie, a on już dziś czuje, że będzie wielkim poetą“. Jedyną pamiątką, jaką posiadam, jest wiersz, który nie wiem czy był kiedy gdzie drukowany; jeżeli nie, może panu będzie miły.

Jest to improwizacyacya. W salonie mojej matki zbierało się niemal codziennie polskie towarzystwo. Czas naszego powrotu do kraju zbliżał się, więc rozstanie się z temi dobremi i przyjaznemi osobami na zawsze. Jednego wieczora, mając mały album z luźnemi kartkami, rozdawałam je z prośbą, aby mi co napisano; jedną taką kartkę podałam Słowackiemu, on się zamyślił, potem przeszedł do drugiego pokoju, gdzie stało biurko mojej matki. Widzieliśmy, gwarząc dalej w salonie, jak chodził przez kilka chwil, potem usiadł i pisał. Gdy wrócił, wiersz przeczytał, wszyscy byli zachwyceni...

Marya Orpiszewska.

Wiersz ten, po raz pierwszy tu ogłoszony z albumu Maryi, opiewa nieco odmiennie niż podany w korespondencyi poety:

Tam byli kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w cieniu *wiszeń* Bożym strzeżone napisem
Stoją *ciche* szalety, wiązane cyprysem —
Gdzie *smutnie biją w łąkach* trzód zbłąkanych dzwony;
Gdzie się nad *wodospady* jasna tęcza pali,
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony —
Tam byli *razem* — *kiedyś* — i tam się rozstali...

A po latach... wróconym ojczyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiaździste kłaniały się żyta,
Jechali — *chat wieśniaczych błogosławiąc* dymom
Zajeżdżają przed ganek; matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół — są wszyscy! są wszyscy!
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych,
A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak bliscy
I nikogo nie braknie, oprócz zapomnianych.

Młoda Marya do tańca każe stroić *lutnie*,
I usiadła — spoczywa — nagle do sąsiada
Rzekła „Ach kogoś braknie?" Tu podkówka utnie
W takt mazurka. „On umarł" sąsiad odpowiada.
— „Cichoż na jego grobie?" „Słowików gromada
„Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie
„Że brzoza płacze" —

Luty 1835. Genewa. *Juliusz Słowacki.*

Antoni hr. Wodziński, bratanek Maryi, pisarz zaszczytnie znany, nietylko w naszej ale i we francuskiej literaturze, opisuje w liście do mnie dokładniej, co tu w całości przytaczam:

Na początku 1832 r., udała się babka moja do Genewy, w którem-to mieście blisko trzy lata przemieszkiwała. Ponieważ rodzina moja zajmowała natenczas wybitne stanowisko, dom nasz przy ul. Beauregard stał się niezadługo ogniskiem, gdzie się gromadziło nietylko towarzystwo polskie, ale i przedniejsze rodziny genewskie. Młodzież (trzech synów i trzy córki) ożywiała wszystko swą

wesołością i chęcią do życia. Najstarsza z córek zwała się Marya; druga Józefa, późniejsza pani Kościelska, stała się matką dziś powszechnie znanego posła, publicysty i poety; trzecia nakoniec, Teresa, natenczas rozkoszne trzyletnie dziecko, poślubić miała w r. 1852 swego kuzyna, Leona Wodzińskiego, dziedzica dóbr Białobrzegi i Sucha w Radomskiem. Z pośród licznych domowników wymienię: metra angielskiego języka, P. Basclop, T. Fiedla, nauczyciela muzyki, pannę Wagner, Angielkę, odznaczającą się niezwykłą pięknością i Francuzkę, pannę Mallet, obiedwie guwernantki.

Z Polaków, znajdujących się naówczas w Genewie i pozostających w ścisłych z domem Wodzińskich stosunkach, wspomnieć tu trzeba panią Klaudynę z Działyńskich Potocką, generała Gruszewskiego i braci Miączyńskich (Aleksandra i Włodzimierza), panią Ossolińską, Chodkiewiczównę z domu, której córka, Wanda, późniejsza Tomaszowa Potocka, szczególnie się przyjaźniła z Maryą i swatać ją chciała ze swym krewnym, Darowskim. Z obcych bywali w domu babki: hr. de Montigny, Francuz, który w latach 1833 i 1834 miał się dwukrotnie oświadczać o rękę Maryi, państwo Saladin, których córka, uwielbiana przez najmłodszego z braci Wodzińskich, a słynna z wdzięków, stała się głośną za drugiego cesarstwa, hr. de Pourtales. Wreszcie codziennym prawie gościem był także ks. Ludwik Napoleon, mało mówiący, nadzwyczaj uprzejmy i namiętnie tańczący.

Wieczorami młodzież, po podanej kolacyi, ochoczo się zabawiała. Przyszły cesarz Francuzów pierwszy i ostatni dotrzymywał placu. Z Maryą zwykł był tańczyć galopadę, a tancerzem był wyśmienitym. Marzycielska jego natura nie znajdowała upodobania w miarowym walcu, ale w szalonym wirze galopady. Kto z kraju przejeżdżał, lub ziomkowie nasi jadący z za granicy, wszyscy znajdowali gościnne przyjęcie w domu przy ul. Beauregard. W tych progach stanął Mickiewicz w przejeździe do Włoch, a swą powagą wywarł na Maryi głębokie wrażenie. Parę razy do roku, z dóbr swoich Służewskich, na samem pograniczu pruskiem leżących, zjawiał się mój dziadek, Wincenty Wodziński, a wtenczas w sercach dzieci podwajała się weso-

łość. Takie-to było życie i otoczenie Maryi. Nauka, malarstwo, a zwłaszcza muzyka, podzielały jej chwile z rozrywkami. Minęło pół wieku od tych czasów, kiedy ja także stanąłem w Genewie. Niestety! zbyt młody nie rozumiałem jeszcze wartości tych pamiątek, nie odszukałem nawet miejsca, nie zwiedziłem domu, z którym mnie łączyła przeszłość najbliższych memu sercu osób. Dziś tego żałuję. Opisałbym Panu dom, w którym mieszkała Marya, powiedziałbym, czy jeszcze zielenieją drzewa, w których szmerze uleciało tyle marzeń, szczęścia miłości... lecz wracam do naszego przedmiotu.

Słowacki, jak wszyscy inni Polacy, przedstawił się babce. Uprzejmość przyjęcia, wesołość i zamożność domu przyciągały go. Piękne oczy Maryi zapewne dopełniły reszty. A posiadała ona niewypowiedziany urok. Wzrostu słusznego, smukłej kibici, miała cerę matowo bladą, córom południa właściwą. Oczy czarne, pełne były ognia i powabu zarazem, ował twarzy oświecał czarujący uśmiech. Włosy hebanowe, spadały jej do samych stóp, głos dźwięczał dziwną harmonią. Zapominano więc, wpatrując się w jej lica, o nieklasyczności rysów, o linii nosa zbyt ostro zarysowanej. Piękną nie będąc nigdy, zdawała się więcej niż piękną, bo całą jej postać otaczał jakiś niepojęty czar.

Mówiłem, że się zachwycała wszystkiem, co piękne. Grą przy fortepianie entuzyazmowała słuchaczy. Nie dziw więc, że wyobraźnia Juliusza zapłonęła ku niej pełnym ogniem poetyckiego uniesienia. Zresztą wiadomo, że Słowacki ufał nietylko potędze swego rozwijającego się naówczas geniuszu, lecz z zadowoleniem spoglądał na samego siebie, cenił się wysoko i przeceniał może, jako zdobywca serc niewieścich. Wziął też w tym przypadku swobodną uprzejmość młodej panienki za oznakę głębszego uczucia. Nie wiedział, lub wiedzieć nie chciał, iż prawie przeciwne wywierał wrażenie. Był niesympatycznym. Ciotka w swoim liście do Pana używa nawet wyrazu „śmiesznym". Pretensyonalny, w humorze zmienny, jak dzień marcowy, to wymuszony, to znów ckliwy, odznaczał się nienaturalnością. W stroju pozował na dandysa, i w pamięci tych pań (Maryi i pani Kościelskiej) tkwi dotąd wspomnienie płaszcza płóciennego z peleryną, ozdobioną z brzegu zielonym haftem.

Słowem, świadomość geniuszu, występująca w jaskrawych wyrazach, a także zarozumiałość już czysto światowa, nie zjednywały mu ani serca, ani nawet należnego uznania.

Czy uczucie jego dla Maryi było tem, co Francuzi zwykli nazywać „un coup de foudre“, czyli też wzrastało stopniowo? czy wypływało ze szczerości serca, lub było sztucznym wytworem fantazyi? Są to pytania, na które Panu dla braku informacyi odpowiedzi dać nie jestem w możności. Przytoczę tu tylko następujący epizod, podpatrzony i opowiedziany mi przez p. Kościelską.

Zebrało się dość liczne towarzystwo w domu babki, a ponieważ dzień był pogodny, goście rozprószyli się po ogrodzie, lub zasiedli pod cieniem werendy. Z drzwi otwartych salonów dolatywały akordy. To Marya grała na fortepianie. Wtem do salonu wpada Słowacki, szybkim krokiem zbliża się do Maryi, przyklęka, składa pocałunek na rąbku jej szaty, poczem drugiemi drzwiami opuszcza nagle salę. Opowiadanie pani Kościelskiej nie znosi cienia wątpliwości, sądzę więc, że ta scena oryginalna rzuca światło na egzaltacyę uczucia poety.

Przy końcu 1834 r. oczekiwano w willi Beauregard przyjazdu dziadka, z którym rodzina Wodzińskich, po kilkoletniem wydaleniu, miała powrócić do kraju. Wtenczas-to babka, nie chcąc już zawierać dłuższej ugody z właścicielem domu, przeniosła się do pani Patteg, utrzymującej w Genewie t. zw. przez cudzoziemców „Une Pension de Famille“. Tu więc najęła babka pierwsze piętro, a niebawem cały dom służył wyłącznie do użytku rodziny i domowników. Zatrzymał w nim jednak Słowacki swój pokój. Skutkiem tego nastąpiło większe zbliżenie się między głównymi lokatorami a przyjacielem Eglantyny. Trwało to od dwóch do trzech miesięcy.

Słowacki stał się uczestnikiem codziennego, rodzinnego życia. Parę godzin przepędzał w salonie babki, wieczorami czytywał często paniom swoje utwory. Głos podobno miał głuchy, nieco przytłumiony, deklamował z emfazą. W miarę czytania podnosił oczy, śledząc wrażenie doznane na twarzach słuchaczy i jakby oczekując ich oklasków lub objawów podziwu. Dość, że i te wystąpienia nie podniosły wcale jego uroku.

Jeszcze rok przedtem odbyła się owa wycieczka po Szwajcaryi. Brali w niej udział: babka, synowie jej i córki, guwernantki, majster Baselop, z obcych zaś nieodstępny generał Gruszewski, oraz bracia Miączyńscy, i naturalnie Słowacki. Książę Ludwik Napoleon nie przyłączył się do turystów. Jakżeby dziś pożądanemi były wspomnienia Maryi z tej podróży, tysiączne drobne wypadki i wrażenia, które jej te dni, opromienione młodością i szczęściem, musiały w duszy pozostawić. Ileżby takie opowiadanie przedstawiało zajęcia, w przeciwstawieniu z poetycznemi uniesieniami rozmarzonego mistrza. Tu prostota, swieżość myśli młodej panienki, nie dbającej o miłość, którą bezwiednie wzniecić zdołała; tam fantazya, w najbarwniejsze tęczowe przybrana szaty. Przecież ten cudowny poemat „W Szwajcaryi“, najpiękniejszy może z jego utworów, zawdzięczamy chwilom, spędzonym obok czarnookiej dziewicy, wśród czarów otaczającej go przyrody.

Poeta wymienia tu miejscowości, które faktycznie zwiedzał, a chociaż zdaleka tylko, przypuszczać można, że uczestniczkę tej podróży odtwarzał w postaci heroiny kaplicy Tella; chociaż ją mieni być „od śniegów na Alpach rożowych różowszą“, gdy na jej licach przeszło jakoby słońce niebios południa, że dalej czarne jej oczy w niebieskie zamienia, — nie stanowi to, podług mnie zbijającego twierdzenia, lecz dowodzi: raz, że wypada wziąć na uwagę wymagania poezyi, zapęd twórczy, artyzm, który piękności myśli lub słowa często samą prawdę poświęca, powtóre, przekształcenie, któremu zdala od nas w wyobraźni naszej ukochane przez nas osoby stopniowo ulegają. Zresztą może być, iż poeta dopełnił pierwotną postać rysami późniejszych miłości.

Na tem powinienem zakończyć, lecz tymi dniami wpadła mi właśnie do rąk rozprawa „O poezyi polskiej w XIX. stuleciu“, (Jerzego Brandesa) gdzie czytam „Słowacki kocha pannę Maryę Wodzińską, która mu się wzajemnością odpłaca. Zazdrość pożera pannę Patteg, wynikają z tego powodu sceny i rodzina Wodzińskich opuszcza Szwajcaryę. Słowacki przejeżdża na drugą stronę jeziora Genewskiego, pisze przeciw p. Patteg wiersz pod tytułem „Przeklęta!“ poczem znowu do niej powraca“.

Jest w tym ustępie wiele niedokładności i nieznajomości osób, o których się sądy wydaje. Naprzód, Marya, jak już teraz Panu wiadomo, nietylko że się gorącą wzajemnością nie odpłacała poecie, ale tego wzdychającego do niej bohatera zbywała wesołą obojętnością. Nie możemy o szczerości jej wyznań ani na chwilę powątpiewać. Wszak ta sama Marya, która dziś odpycha od siebie przypuszczalną jej miłość dla Słowackiego, z głębokiem wzruszeniem dotąd wspomina Chopina, dla którego młodociane jej serca prawdziwem wezbrało było uczuciem. Po drugie, sama Marya, jakoteż jej matka, należały do sfer tych ludzi, dla których dobre wychowanie jest poniekąd potrzebą życia i drugą naturą. Więc nawet w przypuszczeniu, iżby Marya miłość poety odwzajemniała, jeszcze do scen zazdrości i kłótni nigdyby przyjść nie mogło. Rodzina Wodzińskich miała Genewę opuścić dla przyczyn zupełnie niezależnych od historyi owego uczucia; więc w oznaczonym czasie rzeczywiście to miasto opuściła.

Podobno, że Eglantyna bolała nad niestałością uczuć tego, którego pokochała; podobno że Juliusz, w dziwnym swym dziecięcym egoizmie, szukającym i potrzebującym pociechy lub zachęty, brał ją za powierniczkę zapałów swych dla Maryi; lecz do żadnej głośnej rywalizacyi między nią a panną Wodzińską nigdy nie przyszło. Przeciwnie. Ciotka do dziś dnia chwali urodę, dobroć, rozsądek, odznaczające pannę Patteg. Podług niej, Słowacki u boku takiej towarzyszki życia byłby doznał szczęścia i spokoju, za któremi do śmierci nadaremnie gonił i wzdychał.

Jest rysunek, przez panią Orpiszewską samą skreślony i przedstawiający właśnie jej postać z tego czasu. Życzyłbym sobie bardzo, aby z tego wizerunku ciotka pozwoliła zdjąć odbitkę fotograficzną; nie wiem jednak czy zdołam ją do tego nakłonić.

Bawiąc przez pewien czas w Kłobce (miejscu pobytu Maryi), starałem się ciotkę nakłonić do spisania swych wspomnień. Prosiłem ją, aby mi je bądź podyktowała, bądź, opowiedziawszy, dozwoliła spisać. Nie uczyniła jednak zadość mojemu życzeniu. Zakomunikowała mi tylko list swój do Pana. Starać się więc będę dopełnić go niniejszemi szczegółami.

Czy „młodziutka Marya kochała mocno ale krótko poetę“ — jak wspomina poeta w liście do matki, dziś, jeżeli tak było, to kochanie nie pozostawiło żadnego wzruszenia w jej duszy. A jednak serce to było gorące, zdolne kochać aż do poświęcenia, czego dowodem jej życie, natura wrażliwa, jak bluszcz potrzebująca miłości i podpory! Leży także w tym uporze, lub w tej odrazie do wywołania obrazów minionych lat, różnica czasów wychowania. My młodzi żyjemy pod wpływem innej szkoły i sądzimy, że nic, co się tyczy związku dwóch dusz, zwłaszcza gdy jedna z nich przeniknięta była tchnieniem geniusza, nie może nam być obojętnem. My jesteśmy żądni wrażeń, szczegółów, epizodów, opisów miejscowości, gdzie się rozegrał dramat tych dusz, sposobu życia bliższego i dalszego otoczenia owych bohaterów sercowego dramatu. Cóż począć, kiedy starzy tej potrzeby naszej nie oceniają!

Ciotka na wszelkie moje nalegania następującą odpowiadała wymówką: „Cóż mam wam mówić o Słowackim, kiedy nie wiedziałam nawet, że mnie kochał; ja wtenczas nie myślałam o miłości, lecz o nauce; przeróżne lekcye cały mój czas zajmowały; nie byłam dorosłą panną, za takową nie uważałam się sama i w oczach świata nie uchodziłam“. Ale ona wszystko odnosi do romantyczności uczucia, do scen drastycznych z niego wynikłych, a że takich nie pamięta, bo ich nie było, sądzi, że najlepiej wszelkie badania w tym względzie zbyć obojętnością lub milczeniem. A szkoda! bo faktem jest, że się Juliusz kochał w Maryi, faktem że ona, choćby wrodzoną intuicyą kobiecą kierowana, tego uczucia domyślać się musiała, faktem, że prawie trzy całe miesiące pod jednym mieszkali dachem, faktem, że odbyli razem wycieczkę do groty i kaplicy Tella. Ileż-to szczegółów na zawsze zatartych! Gdy Słowacki poznał Maryę, miała rok piętnasty; gdy się rozstawali, zaczynała szesnasty, tę najwdzięczniejszą wiosnę młodości. Płynęła w jej żyłach cząstka krwi włoskiej, więc się wcześnie rozwinęła umysłowo i fizycznie. Był to kwiat już na wpół roztwarty, pełny woni, świeżości blasku. Miała Marya wszystko, co takiego człowieka, jak Słowacki, pociągnąć mogło i musiało. Wykwintne wychowanie, skromność, lecz i wdzięk dziewiczy, duszę, która pod jego słowem jak struna

harfy dźwięczała. A inteligencya żywa, talent niepospolity do muzyki, zamiłowanie do sztuki, nareszcie ten urok, jaki nadaje pierwszorzędne stanowisko społeczne, urodzenie, majątek, formy i stosunki światowe; a wiadomo, jak był poeta na to czuły i jak łatwo podlegał tym wpływom. I oto cała geneza miłosci Słowackiego do Maryi. Zob. artykuł: J. Słowacki i Marya Wodzińska, w Bibliotece warszawskiej 1893 IV. 201 i nast.

Str. 72. w. **7**. i nast. W szwajcarskich górach jest jedna [kaskada,

Gdzie *Aar* wody błękitnemi spada.

Aar (od celtyckiego *A* woda i *rhull* szybko), po Renie i Rodanie największa z rzek Szwajcaryi. Początek bierze z lodowców Grimsel i przepływa przez jeziora Thun i Brientz. Miejscowości te, opisane w liście do matki z 21. sierpnia 1834, przypomniał sobie Słowacki w Egipcie. Na swym przebiegu (276 k.) tworzy Aar liczne wodospady, z których jeden pod Hangseck należy do najpiękniejszych w Europie.

Str. 72. w. **45** i nast. Para mu (delfinowi) z nozdrza srebrzystego dymi,

A *Rodan* z paszczy błękitnej ucieka.

Rodan (po francusku *Rhône*), poczyna się w środku Alp, wypływa opodal góry św. Gotharda, przebiega wielką dolinę w kantonie Wallis, przepływa jezioro Genewskie a uchodząc z niego przerzyna góry Jurajskie.

Str. 72. w. **64** i nast. i str. 75 w. **167**.

Ani tak oko wędrowca zachwyca
Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica...

Poeta ma tu na myśli szczyt góry zwanej *Jungfrau*, o której wspomina w następującym wierszu:

Pójdziemy razem na śniegu korony,
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą;

Jungfrau, jedna z najwcześniej poznanych gór w Alpach berneńskich, wiecznym lodem pokryta, stromo spadająca na północ w dolinę Trümletenthal, na zachód do Lau-

terbrunnenthal. Wspomina o niej poeta kilkakrotnie w listach do matki (z 21. sierpnia 1834, 24. marca 1835). Wspaniałą budowę góry (4167 metrów wysokiej) podnoszą niby jej terasy: Silberhorn (3690 m.) i Schneehorn (3415). Porównaj Studera „Über Eis und Schnee" Bern 1883, 4 tomy.

Stż. 73. w. **90** i nast. i str. 74 w. **111**.

Słuchajcie! — Oto przed *Tella* kościołem,
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha...
Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica.

O Wilhelmie Tellu, bohaterze i twórcy niepodległości Szwajcaryi, niesie podanie historyczne, że wzbraniał się oddać nakazany ukłon kapeluszowi, wywieszonemu przez wójta Gesslera na znak panowania austryackiego. Gessler przytrzymał go i spętanego z sobą odwieść kazał do twierdzy Küssnacht. W czasie podróży jednak na jeziorze Waldstädsheim napadła ich burza. Tell jako doświadczony wioślarz, uwolniwszy się się z pęt, uratował łódź zagnaną na brzeg Axenberga. Schwyciwszy bowiem arkebuzę, wyskoczył na wystającą naprzód skałę, zwaną po dziś dzień „Tellsplatte" odepchnął łódź nogą i wzgórzami podążył za wójtem, (1307) na którego czekał już w wąwozie zwanym „Hohle-Gasse" i tu mu z ukrycia śmierć strzałą zadał. Na skale „Tellsplatte", wznosi się kaplica, którą jak podanie niesie, zbudować miano jeszcze w XIV. stuleciu. Na nowo odbudował ją Stückelberg 1880 r. i ozdobił freskami. Miejsce to jest dziś stacyą parowca na Vierwaldstätter See. Podobne kaplice spotykamy w Bürglen i Hohlegasse.

Tę pierwszą kaplicę ma na myśli Słowacki w poemacie i w liście do matki z 21. sierpnia 1834 r., gdzie wspomina o niej w tych oto słowach: „Byłem w kaplicy Wilhelma Tella, łódka nasza zatrzymała się na skale, z której bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnąwszy; kaplica ta tylekroć restaurowana, znajomą ci, mamo, być musi".

Str. 74. w. **118** i nast. Cały ten ustęp, w którym kochankowie przypatrują się w wodzie, przypomina podobną scenę Hermana z Dorotą Goethego.

Str. 74. w. **133** i nast., str. 75. w. **139** i str. 79. w. **274**.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do *lodowej groty*...
Że była grota posępna i ciemna
I grocie z kaskad kryształu zasłona.
...I ze sklepienia łzy leciały duże
A we łzach *sylfy* z jasnością ogromną
Deszczem spadały na białą i skromną.

O tych lodowych grotach tak wspomina poeta w liście do matki z 21. sierpnia 1834: „Z góry Faulhorn przechodziliśmy znowu do czarujących dolin Oberbassli, byłem w Rosculanum, prześliczne, widziałem *glaciers*, byłem w lodowych gmachach pod sklepieniami błękitnego kryształu, u nóg moich ogromne przepaście i potok lody podrywał; ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca spadały deszcze"...

Str. 76. w. **179** i nast. Żeśmy się za gwiazd chwycili łań- [cuchy,
I ulecieli z *plejad* gromadą.

Plejady, grupa gwiazd opodal byka. Zbiorową ich nazwę wywodzą od greckiego słowa „plein", płynąć, żeglować. Żegluga bowiem poczynała się ze wschodem siedmiu gwiazd w d. 11. maja, a kończyła z ich zachodem d. 26. października. Na ten czas przypadała najlepsza pora do żeglugi. Ponieważ obserwacyą gwiazd zajmował się Słowacki dopiero w podróży na wschód, przeto i to miejsce mogło być napisane dopiero 1837 r.

Str. 78. w. **241**. A tam za tobą prosta, niedaleka
Jak służebnica, co z *rąbkami* czeka.

Rąbek, podwika, płótno cienkie, koszula, w ogóle cienka szata. (B. Linde, Słownik języka polskiego, Lwów, 1859., V. 13.)

Str. 78. w. **259**. Płonęła wonna, jak kadzidło mirry.

Mirra, żywica z drzew iglastych przez mrówki do kupiny (mrowiska) zniesiona, służy do kadzenia, posypana bowiem na zarzące węgle, wydaje przyjemny zapach.

Str. 80—1. Rozdział XVII.

Zakończenie romansu, przypominające „Romea i Julię" Szekspira, jest tak niejasne, że nie wiemy czy ko-

chanka umarła i jaką śmiercią. Domyślać się tylko można, że nie przeżyła utraty dziewictwa, której nawet pierścionek ślubny nie zdołał wynagrodzić.

Str. 82. w. **391**. ...Lub błądzę między róże i *cyprysy*.

Miejsce to jak wiele innych, wskazuje na czas powstania poematu. Cyprysy, które rosną na wschodzie i we Włoszech, nie istnieją w Szwajcaryi.

Str. 82. w. **411** i str. 83. w. **429**.

Kiedy się myślą w *przeszłości* zagłębię,
Nie wiem jak sobie jej postać malować,
...Bo i tu, i tam *za morzem*, i wszędzie,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno.

Miejsca te widocznie napisane były nie w „Szwajcaryi, ale po podróży wschodniej. Jest to jeden z dowodów na potwierdzenie zdania o genezie poematu w Florencyi.

Objaśnienia poematu „Wacław“.

Stanisław Szczęsny Potocki, jedyny syn Franciszka Salezego, wojewody kijowskiego, dziedzic milionowej fortuny i spadkobierca sławnego imienia, na pasku trzymany i psuty przez rodziców pieszczotami i surowością naprzemian, był człowiekiem słabej woli i miękkiego charakteru. Wychowany przez ks. Pijara Wolffa w wierze ojców i w zasadach szlachecko-demokratycznych, zaczął swój zawód polityczny od obrony przywilejów szlacheckich a skończył na zdradzie ojczyzny w konfederacyi Targowickiej (1792.) i na służalstwie największemu wrogowi Polski. Młodzieńcem będąc pokochał Gertrudę hr. Komorowską, córkę Jakuba, starosty nowosielskiego, i zawarł z nią 1770. roku ślub bez wiedzy swych rodziców — z obawy przed nimi — co dało powód do owego słynnego zamachu na życie żony, z którą żył młody starosta Bełzki zaledwie parę miesięcy. „Hałastra“ Potockich udając Moskali z „poczernionemi twarzami“ napadła w nocy 13. lutego 1771. r. na dwór Komorowskich w Nowym Siole, porwała Gertrudę i w drodze zatopiła pod lodem uduszoną zdaje się pierwej poduszkami. Dla zatarcia tej zbrodni wytoczyli Potoccy proces rozwodowy Komorowskim, uległy zaś woli ojca Szczęsny wyparł się małżeństwa a niebawem i swej pierwszej miłości. Współczesny pamiętnikarz Chrząszczewski, („Dziennik literacki“, Lwów, 1856. tom II. str. 327—44.), przedstawia nieco w lepszym świetle Szczęsnego: „Potocki gdy się dowiedział o zabójstwie swej żony zdjęty rozpaczą w ponurem milczeniu postanowił był sobie życie odebrać

i byłby przedsięwzięcia swego dokonał, gdyby nad nim nie czuwał służący, który wydarł mu broń. Okropność tego ciosu zostawiła na Potockim niezatarte ślady w melancholicznym wyrazie, jakim się odtąd zasępiło jego oblicze a żal nieutulony po straconej małżonce i niewygasła w sercu jego ku niej przychylność świadczyła miniatura, zawieszona na piersiach aż do śmierci jego i z nim schowana do grobu". W istocie prędko zapomniał o Gertrudzie, ożenił się po raz wtóry z Józefą Maryanną Mniszchówną, kasztelanką krakowską, urodzoną z Brühlównej.

Opinia spółczesna tak była oburzoną porwaniem i zabójstwem Gertrudy, że po bezkarnej śmierci ojca Szczęsnego (22. października 1772.) „powiadano (Chrząszczewski) jakoby miał być wydany wyrok na wyniesienie z grobu i wywieszenie haniebne zwłok wojewody".

Cały ten proces, przytoczony w dokumentach w książce J. I. Kraszewskiego: „Starościna Bełzka, Gertruda z hr. Komorowskich hr. Potocka (1770—74.) „rzuca gruby cień na wszystkich mających w jakikolwiek sposób udział w tym brudnym dramacie, który miliony kosztował, aby prawdę przysłonić.

Dalsze koleje losu Szczęsnego podaje Dr. Antoni J. (Rolle) w „Opowiadaniach historycznych". (Lwów, 1875. str. 203—35.) pt. „Dwór Tulczyński" tak opisując naszego bohatera:

Powierzchowności niemiłej, z dumnym wyrazem w twarzy, z wiecznie zachmurzonem czołem, smętną nudę wlókł za sobą, zimno wnosił do kółka towarzyskiego. Próbkę pożycia małżeńskiego daje następujący ustęp z listu Szczęsnego: „Przed Bogiem i światem nie wstyd mi powiedzieć, że żądam rozwodu z wiarołomną żoną, (Józefa z Mniszchów) nie dlatego, abym ją prześladował. Wzgardziłbym sobą, gdybym się mścił na jej dzieciach, gdy moje, (z kochanki Wittowej zrodzone) od niej prześladowanemi i w nieszczęściu pogrążonemi nie będą".

Oboje żyli dalej w takich stosunkach, żona z Wielohorskim, mąż z cudzą żoną Wittową, którą mu jej małżonek sprzedał.

Podnoszą zasługi Szczęsnego, jako posiadacza ziemskiego w kraju, acz bogatym, ale odłogiem leżącym. Lud

z wdzięcznością też przyjmował oznaki dbałości o byt jego. Drobniejsza szlachta szła w ślady sąsiada-magnata; budowała dwory po wioskach, wyrzekała się barbarzyńskich zwyczajów. Na nieszczęście przykładem zgubnym pociągał ją później pan marszałek w przepaść, na której dnie leżała zniewaga i przekleństwo.

W Tulczynie życie domowe płynęło dość jednostajnie, po staroszlachecku. Nie bawiono się tutaj tak swobodnie jak w Ochorowie na Wołyniu u Wielohorskiego, kuchmistrza koronnego, gdzie poczynając od kuchni, a kończąc na kapeli i teatrze, wszystko było francuskie; nie bawiono się tak ochoczo jak w Boremlu u pana Franciszka Czackiego, strażnika wielkiego koronnego, gdzie się zbierało na wieczory tak liczne towarzystwo, że z pośród niego można było wybrać sto młodych i rzadkiej piękności kobiet — zawsze jednak było tu dość ruchu, szczególnie, kiedy nowy pałac wzniesiony został. Potocki po przebyciu do Tulczyna z właściwą sobie skwapliwością zabrał się do roboty; ciężki ale okazały gmach, składający się z głównego korpusu i dwóch pawilonów z nim połączonych za pośrednictwem oszklonych galeryj, stanął już w 1782. r. przyozdobiony owym pamiętnym napisem: „by zawsze wolnych i cnotliwych był mieszkaniem“, atak oburza Słowackiego w „Wacławie“.

Przytem piękny ogród zwany „Chorosze“, strojny w altany, ruiny, wodotryski, stawy i wdzięcznie ugrupowane kląby.

Po rozbiorze Polski odczuł aliant rosyjski zmianę losu. Z tradycyi wszakże lgnął do Rosyi. Ojciec jego występował jeszcze na dworze Anny Iwanówny, żona była damą honorową Katarzyny II. On sam generalstwa *en chef* dosłużył się w Rosyi, nadto krzyżów i orderów nie mało; najstarszą córkę wychował w Smolnym monasterze, syn Jerzy Szczęsny w Petersburgu karyerę poczynał, został nawet szambelanem cesarza Pawła, z dwoma innymi: Stanisławem i Jarosławem, pan marszałek korespondencyę prowadził po rosyjsku i takież odpowiedzi odbierał. A jenerałowie moskiewscy w Tulczynie byli jak u siebie.

Cicho i ponuro wyglądał dwór w Tulczynie w czasie skromnych ślubowin możnowładcy z piękną Zofią. Dawni znajomi odbiegli, krewni tylko zawadzali o Tulczyn. Z tej epoki datuje założenie przez Potockiego — Zofijówki. Pracował on koło jej ukończenia z gorączkową i prawie chorobliwą skwapliwością. Odtąd chętniej w Humaniu przebywał, do Tulczyna zaś na większe jeno uroczystości, do tych należały święta galowe, jako: imieniny cara, rocznica jego na tron wstąpienia, rocznica wcielenia prowincyj polskich do Rosyi itd., niezapominajmy bowiem, że eks-marszałek był jenerałem *en chef* w wojsku rosyjskiem i kawalerem orderu św. Andrzeja.

I znowu potem dwór wracał do Humania. W tej gwałtownej a ciągłej potrzebie zmiany miejsca, drgał dziwny niepokój, sumienie się odzywało: piosnka marszu Dąbrowskiego, dolatująca z za morza, śmiertelną bladością okrywała ich lica, wspomnienie umarłej Polski budziło obawy i troski: marzył się im we snach, jak zmora duszący, sąd doraźny. W pismach po nich pozostałych odbija się cały ciężar grozy, cała przyszłości trwoga, cała rozpacz przekleństwa.

„Milczeć i znosić los mój w spokojności, było i jest mojem przedsięwzięciem" — mówi marszałek w manifeście przeciw Złotnickiemu i zasady tej przestrzegał wiernie.

Chrząszczewski tak opisuje Szczęsnego w ostatnich chwilach życia: Posępność twarzy jego była wyrazem nawykłego stanu melancholii, w jaki go wprawił cios mu zadany, ale nie wyrazem pogardy dla ludzi: więcej obcując ze smutnemi myślami swojemi, niżeli z otaczającym go towarzystwem, był małomówny i z trudnością się wysławiający. Nie raz go widywano z wlepionemi w jakikolwiek przedmiot oczyma, po całych godzinach w ponurem milczeniu zadumanego.

Jerzego Szczęsnego, najstarszego syna z drugiej żony, (z domu Mniszchów) kochał najgoręcej. Był to najukochańszy syn jego. Popłaciwszy zaciągnione przez niego w Petersburgu długi, kupił mu na jego imię Niemirowszczyznę, mającą przeszło dziesięć tysięcy dusz ludności męskiej. Wszystkie te i tym podobne dobrodziejstwa nie wstrzymały jednak syna od zakochania się w pięknej macosze. Przez

lat kilka nie znane były ojcu miłostki synowskie, ale nakoniec odkrył tajemne stosunki. — Chorował długo a leczył się sam, nie ufając nadwornemu lekarzowi. Smutne były jego ostatnie chwile; nie kazał wpuszczać do swego pokoju żony, a synowie zagniewania jawne dawał oznaki. Umarł w miesiącu marcu 1805. roku.

Historyk nie rzuci na jego głowę kamieniem potępienia. Prędzej uroni łzę żalu wobec upadłej wielkości, która mimowolnie ciągnąc na dno przepaści losy obłąkanego w nieszczęściach narodu, sama w niej sromotny grób znalazła.

Tak też pojął i Słowacki Szczęsnego, którego pod imieniem „Wacława", przyjął z „Maryi" Malczewskiego.

Literaturę historyczną odnoszącą się do Szczęsnego podaje Prof. Dr. L. Finkel w dziele: „Bibliografia Historyi Polskiej", wyd. Akademii umiejętności, I. Lwów, 1891. 181. i nast. 478. i nast.

Czas powstania „Wacława" nie jest dotychczas ściśle określony. Wiadomo z dzieła Małeckiego że w styczniu czy w lutym 1836. r. opuścił Juliusz pensyon genewski, w którym przez trzy lata przemieszkując, tyle doznawał gościnności i przyjaźni, w którym mu tyle natchnień przeszło przez serce; w którym wreszcie błogie, nieznane światełko szczęścia uśmiechać się zaczęło do niego, ażeby tem prędzej potem ukryć się za obłokiem i — dogasać powoli w cichych wspomnieniach wygnańca. Wyjeżdżał do Włoch, gdzie się miał zjechać z krewnymi. Bawił w Rzymie razem z Januszewskimi przez trzy miesiące — od początku marca do końca maja 1836. roku. Mieszkali razem; w pierwszych tygodniach, dopóki jeszcze z będących wtedy w Rzymie rodaków mało kogo znał, był Juliusz nieodstępnym ich towarzyszem. Później znalazły się nowe znajomości i to ze wszech miar miłe i zajmujące; trzeba więc odtąd było poecie dzielić czas swój między nich wszystkich.

Donosi o nich poeta ogólnikowo w listach do matki. „W ostatnich czasach żyłem w Rzymie z kilku ziomkami moimi, młodymi, zapalonymi, i tych towarzystwo ożywiało mię nieco".

„Przeczytałem był wszelkie moje prace Teofilstwu, które się im nie bardzo podobały — (to się ściągać ma jedynie do Balladyny) — i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodsi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem". Między tymi znajomymi w Rzymie nie licząc Z. Krasińskiego, wymienia Małecki Aleksandra Hołyńskiego, Zenona Brzozowskiego, obydwaj majętni obywatele, rodzinę baronostwa Richthoffenów z Poznańskiego, i Aleksandra Potockiego, któremu zawdzięczamy prawdopodobnie pierwszą pobudkę do „Wacława".

Z Rzymu wyjechał Słowacki do Neapolu, ale nie długo tu zabawił. „Zachwycony jestem Neapolem, — pisze do matki — a jednak za dwa dni myślę wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Dlaczego? wyznam ci moja droga, że już mię przejażdżkowe życie dosyć zmęczyło. Myśl moja, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę. Dlatego w Neapolu nie chce mi się długo siedzieć, a w Sorrento przywołaniem mocnych myśli będę się starał zapełnić tę czczość, która mię teraz nadto lekkim czyni i nosi po wierzchu wszystkich marzeń. Neapol, 20. czerwca 1836. roku.

Dopóki żył samotny w Szwajcaryi: tęsknił do rodziny. Po wielkich trudnościach ma ich teraz przy sobie... i wyjeżdża do Sorrento, ażeby ich samych zostawić w Neapolu! Zdala od zgiełku miejskiego, w zaciszu wiejskiem w Sorrento, przesiedział cały czerwiec 1836., podczas kiedy Januszewscy ciągle w Neapolu bawili. Z końcem miesiąca powrócił do nich zdawając sprawę matce z tego pustelniczego miesiąca:

„Całe dnie przepędzałem z sobą samym i z Szekspirem. Pisałem trochę, myślałem, czasem się modliłem, kiedy w bliskim kościółku grający organ dochodził do mojej cichej celi". Neapol, 3. sierpnia 1836. r.

Wzmianka powyższa „pisałem trochę", nasuwa pytanie, które też z dzieł Słowackiego powstawało wtedy? „W Szwajcaryi" czy „Wacław". Jestto wątpliwość trudna do rozwiązania. Pierwsze chwile, ale tylko pierwsze, spędzone we Włoszech nie wydały wielkiego plonu. Zbyt

wiele przeróżnych wrażeń miał do przyjęcia w siebie Słowacki w tym nowym dla siebie świecie; zbyt był zajęty tem wszystkiem, co się działo około niego, żeby mógł dawać posłuch i wewnętrznym natchnieniom, powołującym go do autorskiej czynności. Oprócz wspomnianego wiersza pt. „Sumnienie“ (z podpisem dnia 1. maja 1836. r.), znamy z tego czasu tylko kilkanaście strof Dantejskich, mających napis „Rzym“ i „Ułamki“. Na ów miesiąc — powiada Małecki — w Sorrento nie mam nic, cobym odnieść mógł z pozostałych jego papierów. Z dzieł później drukowanych (1839. r.) jeden tylko „Wacław“ mógłby być utworem tegoto czasu. I rozważywszy wszelkie okoliczności, które tu zbyt długo byłoby szczegółowo rozbierać, przypuszczenie powyższe nabiera tyle prawdopodobieństwa, że co do mojej osoby śmiałbym nawet *na pewne twierdzić*, *że poemat ten wtedy musiał być napisany.* Była to kreacya, jak rozumiem osnuta na tle tego wszystkiego, czego się w ostatkach życia tego bohatera powieści Malczewskiego nasłuchać mógł Słowacki w Rzymie, od niektórych rodaków tamże bawiących a dobrze obeznanych z domu tulczyńskiego dziejami i misteryami. Powodu do rozmów o tem dostarczała już sama bytność pomiędzy nimi Aleksandra Potockiego, który był, jak wiadomo, najstarszem z synów Szczęsnego z żony jego Zofii, Greczynki.

P. Hösick nie zupełnie podziela wyrażone tu zdanie prof. Małeckiego, uważa jednak, że za częściową jego słusznością przemawia niejedno. Jakkolwiek pogląd jego na czas powstania „Wacława“ różni się od prof. Małeckiego w tej mierze, sam przyznaje jednak że „obaj na poparcie swoich hypotez, pozytywnych dowodów nie możemy przedstawić żadnych“. Hösick utrzymuje, że w Sorrento postąpił poeta nieco w swoim „Wacławie“, ale nie wiele, upał bowiem działał mu paraliżująco na imaginacyę. Wykończenie poematu odnosi do pobytu Juliusza w Florencyi, w 1838. roku. Ferd. Hösick, „Juliusz Słowacki w Rzymie, Neapolu, i Sorrento“, Ateneum, 1893. IV. 504.

W. Sobieszczański, najbliższy krewny Juliusza i Januszewskich, opowiadał mi (na rok przed smiercią) że Teofil Januszewski przypominał sobie, jak Słowacki zabierał się w Sorrento do pisania „Wacława“.

Wnosząc z kierunku i kolorytu na wskróś Byronowskiego, odnieśćby należało pomysł „Wacława" do czasów wcześniejszych. Słowa autora proszącego w przedmowie o pobłażliwość dla ogólnego układu pisma, którego *już ani poprawić ani przemienić nie jestem zdolny*", zdają się to przypuszczenie potwierdzać. Ustęp jednak w „Piekle Dantyszka" (w 1494—1637.) napisany również pod wpływem „Maryi" Malczewskiego, zdaje się łączyć „Wacława" z „Piekłem Dantyszka" należącego jak wiadomo już do epoki florenckiej.

Poemat Malczewskiego w ogóle natchnął nie jednego u nas poetę. Przypominam „Maryę i Dymitra", tragedyę Józefa Korzeniowskiego, osnutą na tym samym wstrętnem postępku wojewody, którą czytał Słowacki w rękopisie, jak to sam powiada w objaśnieniach do „Piasta Dantyszka" (str. 191. w. 150.) tudzież „Córkę Miecznika", sztukę Majeranowskiego, napisaną na podstawie poematu Malczewskiego i kilkakrotnie przedstawioną na scenie krakowskiej. Zob. polemikę w „Czasie", 1850. Taki genialny Byronista jak Malczewski musiał na autorze „Lambra" głębokie wywrzeć wrażenie. Ślad zewnętrzny tego wpływu pozostał w liście do matki: „Patrząc — powiada poeta — co dnia na szczyt góry Mont Blanc, przychodzi mi często na myśl Malczewski, który po śmierci jednym poematem tak wzrósł, że nawet głową przewyższa naszych poetów. Przebiegając opisanie wejścia na górę Mont Blanc, znalazłem na ostatniej karcie między wyliczonymi bohaterami tego trudnego przedsięwzięcia, imię Malczewskiego, ale skaleczone, tak że gdybym skądinąd o jego wędrówce na górę nie wiedział, tobym się był tożsamości osoby nie domyślił. Nie wiem dlaczego, ale myśl o Malczewskim została głęboko w moich dumaniach utkwiona; zdaje mi się, że jest coś podobieństwa między nami, ale burza jeszcze mię nie złamała. — Genewa, dnia 15. lipca 1833.

Tulczyn, rezydencya Szczęsnego Potockiego, który pod imieniem „Wacława", występuje tak w „Maryi" Malczewskiego jak i w naszym poemacie znany był dobrze Słowackiemu.

W Pamiętniku z lat młodzieńczych pisał jeszcze z Paryża 20. lipca 1832. co następuje: Trzeciego dnia wie-

czorem (1826.) przyjechaliśmy do pięknego Tulczyna Potockich — Chorosze, ogród i pałac zachwycił mnie — długo chodziliśmy po ogrodzie, aż doczekaliśmy pięknego księżyca — długo jeszcze stojąc na dziedzińcu pałacu, patrzyliśmy na ten gmach, po którym księżyc białym spływał promieniem i widząc go pustym i cichym, zdawało się nam że nad nim cięży przekleństwo Boga za zdradzenie Ojczyzny, i mimowolnie duma ludu przeklinająca Potockiego, cisnęła się do naszych ust. Wystawiałem sobie, jak kiedyś Trembecki wpuszczał przez okno ulubione wróble do swego pokoju..... jak patrzył na tę samą okolicę, na którą patrzymy.... Przeklęte czasy, kiedy mieszkanie zdrajcy było mieszkaniem pierwszego poety. Romantyczność pochodząc z duszy to ma za sobą, iż gasi iskrę poezyi, skoro tylko własny szacunek w sobie zgaśnie. Życie romantycznego poety powinno być romantyczne, i choć nie potrzebuje wielu wypadków, chce, aby te wypadki były czyste i wznoszące duszę.... (W. Gasztowtt w „Przeglądzie Polskim“, Kraków, 1879. rok XIV. str. 38.).

Słowacki przypomniał sobie czasy młodości i bohatera „Maryi“, z opowiadania syna a więc z najbliższego, choć stronniczego źródła. Poznał Potockiego w Rzymie i pisał o nim matce z Florencyi: „Przyjechał tu wiolenczelista (Aleksander Potocki), który często w Rzymie do kwartetów Wańskiego używał; jak zawsze oryginał. Dwa wieczory przepędziłem z nim w jego loży w teatrze, ma bowiem teraz lożę i wcale już nie tak skąpo żyje, jak pierwej, zawsze rysując portrety — zabawi to Filów: był w Rzymie i tam go zaraz jego olbrzymie Nimfy otoczyły. Dnia 19. maja 1838. r. Pierwej donosił o nim że „zbiera koncerta w Paryżu i lata za olbrzymkami“.

Aleksander Potocki, syn Szczęsnego z Greczynki, emigrant, przyjaciel Z. Krasińskiego, wspominany jest często w jego listach. Aleksander tu jest — pisze Zygmunt — smutny, znudzony, czasem wściekły, *maliciosus* i dobry zarazem, noszący po kieszeniach raz pistolety, to znów kości dla psów i kotów, to znów inną razą konfitury dla dam i znajomych. List Z. Krasińskiego do A. Sołtana z 15. marca 1840.

Bliższe szczegóły o tym oryginale i milionowym dziedzicu Tulczyna, Zofiówki, itd. opowiada A. E. Odyniec w Listach z podróży, Warszawa, 1885. III. str.191—192. i inni.

Poemat o „Wacławie“ wyszedł w Paryżu na początku 1839. r. pt. „Trzy poemata“. Wrażenie, jakie sprawił nawet na największym wielbicielu talentu Juliusza, było dla autora nieprzychylne. W liście do K. Gaszyńskiego z Fryburgu, dnia 19. października 1839. r. Krasiński wspominając z powodu „Balladyny“ o wyuzdanej, bezczelnej łatwości pięknych wierszy Słowackiego, powiada: to znakomity poeta! Jednak w „Wacławie“ potknął się — Malczewskiemu nie dotrzymał kroku. Nie jest to poemat, raczej paszkwil, nie jest to poezya — raczej anegdota, ale wiersz zawsze pyszny! „W Szwajcaryi“ oto poezya — i „Ojciec Zadżumionych“ także! W liście do Romana Załuskiego z Rzymu, 13. maja 1840. dodaje: W „Wacławie“ spowiedź pełna motywów pięknych jak rzadko. Charakter Wacława przyjęty z ręki konającego Malczewskiego, dociągniony, dorysowany, domalowany jak na wielkiego mistrza wypada. Byron by lepiej nie potrafił, to też całkiem byrońskie. (Dodatek do „Czasu“ 1859. XIII. 519.).

Surowy sąd o „Wacławie“ wydał Małecki w tylekrotnie tu przytaczanej monografii: Jeżelibyśmy mieli — powiada — cenić go według samej tylko zewnętrznej i artystycznej wartości, zasadzając takową na wdziękach stylu, na umiejętnym wprowadzeniu kontrastów (szczególniej w pierwszej połowie) na mistrzowskiem, rzeźbieniu szczegółów itp. to sąd nasz o „Wacławie“ wypadłby świetnie. Pod tym względem nie ustępuje on najlepszym utworom w tymże rodzaju Byrona.

Pomimo tego sprawia uczucie prawie powiedziałbym niesmaku. Byron podejmując rzeczy podobne, poczynał sobie bardzo trafnie, że je przenosił albo w czasy znacznie odległe, albo na dalekie gdzieś końce świata. Zwyczajną scenę jego powieści jest Wschód — Mauretania — wyspa jaka nieznanego nazwiska — okręt na falach jakiego morza itp. Inaczej rzecz się ma z dziełem naszem. Słowacki daje tu przedmiot oznaczony, narodowy, bliski, zwieży — przedmiot, który prawie każdemu jest znany.

„Marya“ Malczewskiego niezmiernie na tem zyskała, że zdarzenia, które zaszły krótko przed pierwszym rozbiorem Polski, w wiadomym punkcie dzisiejszej wschodniej Galicyi, w domu znanym i głośnym (Potockich) przeniesione zostały przez poetę w czasy jakieś dalekie, kiedyto jeszcze zdarzały się napady tatarskie, i w miejsca równie nieoznaczone, szeroko dla wyobraźni otwarte — na Ukrainę. Inaczej to wszystko u Słowackiego. Podejmując przedmiot, właśnie wskutek sławy dzieła rychlejszego poety, obłożony wszystkimi przyborami osobistości i historyi, miał tu do pokonania już zupełnie inne trudności. Z jednej strony miał do liczenia się z ustalonymi faktami; z drugiej wkraczał w zakres kroniki, że tak powiem rodowej, w sprawy domu zanadto znanego w kraju.

Zamiast jednak obliczać się z temi trudnościami, owszem aż zanadto się rozmijał z rzeczywistością! W krótkiej przedmowie autor wprawdzie zapewnia, że „od prawdziwych nie odstępując podań, starał się tylko ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności“. Ale ani podania nawet nie usprawiedliwiają następującego błędu: Oto charakter sędziwego kochanka niegdyś Maryi, a później założyciela Targowicy, mamy skreślony między innemi w następujący sposób:

Każdy co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym czło-
[wiekiem,
Choć orderami był srebrny i wiekiem“ itd.

Że tu jest wiele przesady, że w przytoczonych wierszach braknie nawet na wewnętrznym podobieństwie do prawdy, to zapewne czuje każdy, kto tylko miejsce to czyta.

W ustępie szóstym poeta wprowadza, jako jedynego towarzysza samotnych chwil tego starca, syna jego z pierwszej żony, któremu on jednemu ufa i sprzyja.

Usuwam zupełnie na bok uwagę, że istnienie tego syna z pierwszej żony należy do fikcyi, ale autor odstępując tu od dat rzeczywistych, zaplątał się w sprzecznościach nie tylko z Malczewskim, ale nawet ze sobą samym. Wszakże powiada sam o „Wacławie“, że kiedy tenże był

kochankiem i mężem Maryi, był wtedy młodym. „Znałem ja grafa Wacława za młodu" itd. (ustęp XIII.). Teraz go przedstawia, jako starca już przyprószonego siwizną, jako człowieka „srebrnego orderami i wiekiem". Jeżelić tedy pomiędzy tamtym czasem a obecną chwilą tyle wody upłynęło: to jakżeż może synek jego z pierwszej żony być i w tej jeszcze porze „dzieckiem maleńkiem i nierozkwitnionem?..." W tem wszystkiem, co Słowacki o starym wojewodzie natrąca jest wiele fałszu.

W ustępie XIV. powiada:

„Mówią, że ojciec Graf w turmę zamknięty
Umarł przed sądem — a drudzy że ścięty".

Tymczasem Franciszek Salezy Potocki, ojciec Szczęsnego, umarł śmiercią naturalną, nie jako obwiniony ale jako skarzący. W ustępie XXIV. powtarza się to już nie w formie głuchej wieści („mówią"), ale sam syn starego wojewody, sam Wacław „ojcowi musiał miecz pokazać goły". Tymczasem Wacławowi nikt śmierci ojca jako zbrodni przez niego popełnionej nie wytykał. Od tego zarzutu wolny był zupełnie Szczęsny Potocki.

Niemniej niestosownym się zdaje cały ów wymysł akoby Wacław został otruty — i to jeszcze popiołami, swych antenatów. Wreszcie i sam zgon nagły grafini, czy to wskutek trucizny, podanej jej nie wiedzieć dlaczego i przez kogo, czy z innych przyczyn, nieodsłonionych — zdaje się być bardzo słabym szczegółem w całej inwencyi. Słowem, pełno jest rzeczy, które w czytelniku wywołują niezadowolenie i protestacyę, nosząc na sobie znamiona zbyt oczywiste zmyśleń. To co się w tym domu działo, tego poeta po większej części nie zużytkował. Co dał natomiast, tego nie było. Ma się tedy rzecz z całym poematem, jakby z obrazem jakiejś katastrofy skomplikowanej, która — bez podpisu, nie wiedzieć co przedstawia, a jak powiesz, co ma znaczyć, to każdy ubolewa nad brakiem podobieństwa do rzeczy albo też nad nieznajomością przedmiotu.

Artysta i pisarz pamiętać powinien o tem, że illuzya jest pierwszym wszelkiej sztuki warunkiem. Właśnie przeto

nie może dzieło jego treścią swoją stawać w sprzeczności z uświęconą prawdą dziejową. Na nic się nie zda poecie przyoblec coś choćby we wszystkie cuda natchnienia, jeżeli czytelnik sprawę wytoczoną zna już skądinąd i widząc, że się takowa miała w rzeczywistości inaczej, jak w jego opowiadaniu, czuje przy każdym kroku, że ma przed sobą nie prawdę ale bajkę.

Wywód powyższy Dr. Ant. Małeckiego nie daje się, jak sam twierdzi, zastosować dosłownie do poematu, leżącego przed nami. Koleje życia człowieka, którego młodość tak idealnie w powieści swojej wystawił Malczewski, a którego dalsze czyny tak posępnie się odbijają na tle dziejów ojczystych — koleje te, mimo to wszystko, nie dosięgają sfery istotnie historycznej. Późniejsze dni jego płynęły bez publicznego rozgłosu. Starość jego dogasała w ponurem, choć złocistem wnętrzu pałacu, zapełnionego chyba tylko ciżbą rezydentów i pieczeniarzy, wyzyskujących próżność magnata. Po za Targowicą (która w obrazie Słowackiego ginie gdzieś w głębi i w spowiedzi wspomniana jest kilku tylko słowami), mamy w Szczęsnym Potockim osobistość raczej prywatną, chociaż ród, towarzyskie otoczenie, majątek itp. nadawały mu jakieś cechy wyższości nad zwykły poziom. Z tem wszystkiem, właśnie z przyczyny tych wyjątkowych okoliczności i koniec tego człowieka i stosunki jego domowe znane są prawie każdemu. A Słowacki wystawiając z nich niejedno w sprzeczności z tem, co rzeczywiście było, postawił się mimowolnie na jednej linii z pisarzem, który się dopuszcza przeistaczania historycznych pewników.

Krytyka St. hr. Tarnowskiego wnika w samą głąb kompozycyi Słowackiego. Kto po artystycznych doskonałościach „Ojca Zadżumionych“ i po przepychach „Szwajcaryi“, pierwszy raz otwiera „Wacława“ a publiczność spółczesna czytała go w tej kolei, temu niesmaczną wyda się trucicielka grafini, a Eolion wyszukanym, naciągniętym, obrachowanym z góry na postać bardzo poetyczną a poemat zostaje potępionym surowiej może niż zasługuje. Nie ma kwestyi — powiada Tarnowski — że wiarołomna grafini, która swoją osobą tyle miejsca zajmuje i truje męża dla Greka zapewne, a siebie nie wiedzieć już dla kogo,

jest w obrazie zupełnie zbyteczną. Jeżeli chodziło oto, by Wacław był ukarany, to karą największą, boleśniejszą od trucizny jest zgryzota. Gdyby poeta był na niej poprzestał, gdyby poeta był dał w Wacławie taki obraz i taką historyę tego uczucia, jak daje obraz rodzicielskiej rozpaczy w „Ojcu Zadżumionych" a miłości w „Szwajcaryi" byłby może „Wacław" mógł stanąć godnie obok tych swoich towarzyszy. Nieszczęściem przymieszały się inne pomysły i osoby, a jednak powiedzieć trzeba, że główna postać, sam Wacław, nie jest bez pewnej wielkości, że jego spowiedź jest wyznaniem takich właśnie uczuć, jakie człowieka tego dręczyć mogły i musiały, że zachowana na dnie serca szlachetność a przynajmniej znajomość tego co szlachetne, która jest największą jego torturą, daje mu coś bardzo tragicznego. Nic naturalniejszego, jak że Słowacki dał się znęcić pokusie i że chciał pokazać co się stało z tego Wacława, który znika z poematu Malczewskiego w chwili kiedy:

....„odrazu wszystko w świecie traci:
„Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi, swych braci".

Dla poetycznego umysłu pokusa istotnie ogromna a przedmiot niezmiernie bogaty. Nie można zaprzeczyć że go Słowacki zepsuł dodatkami, ale prawdą jest także, że z niego wiele wydobył. Pan Małecki zarzuca Słowackiemu, że w poemacie tknął przedmiotu, którego się tykać nie godzi, spraw domowych, zbyt znanych i bliskich. Zarzut ten wydaje się nam niezasłużonym; Wacław Słowackiego utrzymany jest z wielkim taktem jako ten sam Wacław, który się zaczął w „Maryi". O historycznej tożsamości jego z inną osobą nie ma mowy, a przeto wszystko może się wydawać dalszym ciągiem żywota tamtego Wacława.

Jest to człowiek, który niegdyś chciał i mógł liczyć się do najlepszych, a spadł tak nisko, że wszyscy nim gardzą i on sam sobą, który ma sumienie i honor, i wstyd, i zgryzoty, który to wszystko czuje, cierpi strasznie, a jest za dumny na przyznanie się do winy i do cierpień. Pomysł to niezmiernie oryginalny i wdzięczny. Przeszłość Wacława (ustęp XIII.), przejście jego uczuć szlachetnych, młodości do złych uczuć i czynów późniejszych, cała ta historya jego zepsucia, które Malczewski daje przeczuć w osta-

tnich ustępach Maryi, a Słowacki rozwija i opowiada, wreszcie to uczucie winy i ekspijacyi, z jakiem on występuje tu w poemacie, to wszystko jest bardzo piękne. Na nieszczęście są dodatki, bardzo psujące całość.

A najprzód: dlaczego umiera otruty, i przez kogo? Czy nie byłoby lepiej, gdyby przy śmierci po prostu spowiadał się ze swego życia, nie wdając się w powody, które tę śmierć sprowadziły? Powtóre: kto go otruł? Żona za pomocą jakiejś starej czarownicy? Czarownica niegdyś jego mamka?

Słowem cały epizod Greka, grafini i otrucia jest niezrozumiały, i niepotrzebny. Eolion może od tego wszystkiego gorszy. Anioł poświęcony na nieszczęście, złożony z poezyi i obłąkania, ślepy przytem, słowem młodszy brat Orcia z „Nieboskiej Komedyi“, tylko Orcio w karykaturze, bo tak już przesadnie eteryczny i poetyczny, że dziecinnego ani ludzkiego nie ma w niem nic, jest jeszcze ten Eolion anachronizmem pod względem wieku. — St. Tarnowski „W Szwajcaryi“ i „Ojciec zadżumionych“, Kronika rodzinna 1880. str. str. 275.

Dr. Piotr Chmielowski tak charakteryzuje grafinię Dyannę (w rzeczywistości Greczynkę Zofię, trzecią żonę Szczęsnego Potockiego, kochanka i męża sławnej Gertrudy Komorowskiej): Jest to postać fantastyczna, owiana tchnieniem czarów, okopcona dymem zbrodni. Dawniej niewolnica grecka, dzisiaj pani wszechwładna, posłuszna jest brutalnym rozkazom głupca, a zuchwała względem męża-starca, którego umysł obłokiem nieszczęść zakryty... Zabobonna jak wieśniaczka, nie ma może siły dostatecznej do spełnienia haniebnych czynów; ale w sercu jej gnieżdżą się gadziny. Mężowi przyprawia lekarstwa za pomocą czarów. Ze zbrodniczą miłością nie kryje się, ale otwarcie „z bezwstydem na czole“ sadza kochanka przy swoim boku. Kochanek to pierwszy lepszy, jakiego w tłumie spotkała. Grek nazywa ją „polską Hekatą“, boginią piekieł. Piękna była dięknością szatańską. Co mąż czuł i cierpiał — tego ona nie odczuwała; a co dobrego w jego sercu zmartwychwstało — struła.

Pod koniec spotykamy ją przygnębioną, złamaną. Mąż wchodzi do jej komnaty, w której się gach znajdował,

„ze szmatą czerwoną na głowie". Gach oniemiał. Grafini skamieniała.

Demonizm Byrona dochodzi tutaj ostatecznych granic, ujawiając już swoje pokrewieństwo z duchem Dantejskim.

Słowacki przez lata ostatnie zajmował się pilnem odczytywaniem utworów Szekspira i Dantego. Duch tych wieszczów silnie podziałał na wrażliwą fantazyę naszego poety, który wprawdzie nigdy niewolniczo nie naśladował, ale w każdym razie na wrażenia odbierane za pośrednictwem książek był nadczuły. Potępione dusze Dantego nie dawały mu spokoju, musiał je we własnym duchu przerobić i przedstawić. W poemacie Piasta Dantyszka, pod wpływem Dantego napisanym, znajduje się postać Szczęsnego i Gertrudy niby dalszy ciąg „Wacława", gdzie występuje grafini ze wspomnieniem pierwszej miłości, kojącej rany piekielne potępionemu zdrajcy ojczyznie. „Ci oboje — powiada Słowacki w objaśnieniach do Dantyszka — widziani w piekle są ci sami, o których jest rzecz w cudownym poemacie Malczewskiego".

Str. 87. w. **22.** i nast. Myśli, że biały Puławskiego rumak,
Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli, że Sawa jedzie w tysiąc koni;

Mowa ta o Kazimierzu Pułaskim, konfederacie barskim, typie rycerza polskiego, który walcząc za wolność na drugiej półkuli, poległ w 36. roku życia dnia 9. października 1779. r. Opiewali jego czyny: Rzewuski w Pamiątkach Soplicy. W Pol. K. Gaszyński (Reszty rękopisu M. Rogowskiego), itp.

Sawa-Caliński, jeden z najzdolniejszych dowódców w konfederacyi Barskiej. Pamięci jego poświęcił Henryk Rzewuski w „Pamiątkach" ustęp, skreślony podług podania. Obszerniej K. W. Wojcicki w Tygodniku ilustrowanym 1861. IV. Nr. 115.

Str. 87, w. **27.** i nast. Znasz ty tęczowe *Rusałek* upiory?
Czy znasz prorocką dumę *Wernyhory?*

Rusałki, tyle co nimfy, bóstwa leśne i wodne. Wernyhora, kozak znany z powieści M. Czajkowskiego i podań

ukraińskich, przepowiedział, iż prochy jego rozproszą się po całym świecie, co się sprawdziło, (rzeczka bowiem płynąca pod cmentarzem wezbrała i uniosła jego mogiłę). W przepowiednie jego wierzył jeszcze K. W. Wojcicki.

Str. 88. w. **29.** Czy wiesz co będzie w jarze *Janczarychy?*

Janczarycha (nazwa od janczarów, wojska tureckiego) czy Janczaryszka, wieś w powiecie Maryampolskim.

Str. 89. w. **65.** i nast. Od czasu jeszcze dawnych *Pelo- [pidów,*
Od wygaśnienia rodziny *Atrydów...*

O Atrydach (potomkach Atreusza) i Pelopidach (potomkach Pelopsa), władcach Sparty, wspomniano w objaśnieniach „Grobu Agamemnona“.

Str. 90. w. **110—2.** A przy nim tylko, jak anioł obrońca,
Maleńki blady i nierozkwitniony,
Był smutny synek jego pierwszej żony.

Wiadomo, że Szczęsny Potocki nie miał z Gertrudą z hr. Komorowskich żadnego dziecka. Po kilku bowiem miesiącach pożycia małżeńskiego utopiono żonę.

Str. 90. w. **122.** i nast. Kiedyś zawczesnym zagrożoną zgo- [nem
Dziecinkę swoją nazwał *Eolionem;*

Eol (po grecku Ajolos) mityczny król Lipary, który pozamykał w jaskiniach rozpasane wiatry. Stąd arfy Eolskie. Imię Eoliona, urobione przez Słowackiego, spotykamy w jego utworach z okresu mistycznego.

Str. 92. w. **204.** i nast. Z jakiem to widmem Skandynaw- [skiej *Frei*
Grafini dzieło zaczyna *Medei?*

Freja (frouwa, frau, kobieta), bogini skandynawska. Wyobrażano ją sobie na wozie zaprzężonym kotami, mającą swój pałac w Wallhali. Medea, jedna z osławionych wiedźm w starożytnej Grecyi, namówiła córki Peliasa, aby zabiły i uwarzyły ciało ojca. Gdy ją porzucił mąż Jazon, dla połączenia się z Glauką, Medea przyzwawszy pomsty bogów, posłała przez swych synów kochance zatrute szaty w podarunku. Przymierzając owe szaty pochłoniętą została przez

buchające z nich ognie, wraz z ojcem, który przybiegł jej na pomoc. Osoba jej była przedmiotem sztuki i literatury w starożytności i w nowszych czasach.

Str. 97. w. **361.** On tak wyglądał jak rycerz *Solimy*.

Solima, skrócona nazwa Jeruzolimy.

Str. 97. w. **375.** „Zamordowana... Gdy na wojennej był Wacław wyprawie". Jestto nawiązanie do „Maryi" Malczewskiego, w istocie był Szczęsny podczas zamordowania żony w domu rodzicielskim w Krystynopolu, nie wiedząc nic o zamachu na jej życie.

Str. 99. w. **444.** i nast. Greczyn, w *Arnauta* stroju,
Leży na złotym wezgłowiu w pokoju;

Albańczycy, u Turków Arnautami zwani, którzy sami siebie nazywają Szkipetarami (góralami), należą wraz z kilku innymi mieszkańcami półwyspu Bałkańskiego do ludów na pół wolnych. Strój ich na poły barbarzyński ale piękny, charakteryzuje: szeroki pas, za którym tkwi cały arsenał ostrej broni, obcisłe spodnie i krótka kurtka.

Str. 99. w. **453.** i nast. Lubię tę chłopkę, tę polską *Hekatę*.

Hekate, z greckiego *hekaton*, stąd tak zwaną, że przez lat sto zatrzymywała cienie niepogrzebanych nad brzegami Styksu. Straszna władczyni piekieł, w okropnej przedstawiana postaci, miała otruć własnego ojca, aby posiąść jego tron.

Str. 99. w. **457.** i nast. O! *Antynoe*, już czuję zgryzoty.
A przecież śmierci męża jam nie winna.

Antinous, mieszkaniec Itaki, jeden z gachów Penelopy, który knuł z towarzyszami zamach na Telemacha i znieważył Odysseusa, gdy ten w ubiorze żebraczym wracał do domu. Za co też zginął przeszyty strzałą przebiegłego bohatera. Tutaj kochanek Dyanny, Grek, nazywa się Antynouszem.

Str. 106. w. **693.** Gdzie jest moja druga żona Dyanna?

W istocie była drugą żoną Szczęsnego nie Greczynka, Zofia, ale Józefa Marya z Mniszchów. Opisany w rozdziale XXVIII. ogród, znany jest z poematu Trembeckiego „Zofiówka".

Str. 106. w. **708.** i nast. I ta z marmuru *karary* łazienka,
To dla niej...

Carrara, miasteczko włoskie, należące do księstwa Modeny, w okolicy znajduje się ów słynny marmur tyle ceniony przez rzeźbiarzy, z powodu swej białości i czystości.

Str. 107. w. **744.** Szyki się biły pod *Maciejowicą.*

Maciejowice (końcówka powyższa doczepiona gwoli rymu przez Słowackiego) leży przy trakcie wojennym z Warszawy do Iwangrodu, przy ujściu rzeki Okrzejki do Wisły i słynie z nieszczęśliwej bitwy, w której Tadeusz Kościuszko, porażony przez wojsko rossyjskie pod dowództwem Fersena, 10. października 1794. dostał się do niewoli.

Str. 108. w. **783.** Mówią, że idąc za trumny orszakiem
Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,
Tak nauczony za życia rycerza.

Podanie to o koniu Kościuszki w Solurze (w Szwajcaryi) opowiada poeta w liście do matki:

Raz wieczorem zapytałem pannę Patteg o Kościuszkę. Powiedziała mi o nim następujący rys: „Po śmierci Kościuszki, jeden z obywateli kupił po nim konia, na którym stary Kościuszko często jeździł, lecz koń poszedłszy do nowego pana ilekroć zaprzężonym był do woza i wiózł szlachcica drogą, zatrzymywał się i stawał przed każdym żebrakiem, tak go dawny pan przyzwyczaił rozdawaniem jałmużny. Nowy nabywca znudził się takim narowem konia i odprzedał go.“ Nieprawdaż, że ta powieść ślicznie maluje ostatnie chwile życia naszego bohatera. Spokojność i dobroczynność w konia się nawet wsiąkły. O matko moja jakbym ja chciał być dobrym człowiekiem? Genewa, dnia 15. marca 1833.

Str. 109. w. **815.** (Teść) po śmierci zemsty bezczelnej do-[kazał,
Wyjął z mogiły trupa i ściąć kazał.

Ten jak wiele innych szczegółów, należy do dziedziny fantazyi. Trudno nawet przypuszczać, żeby Jakób Komorowski, starosta nowosielski, dopuścił się na trupie wojewody Potockiego takiego czynu.

Objaśnienia poematu „Ojciec Zadżumionych".

Genezy „Ojca Zadżumionych w El Arish" można śledzić od pierwszych wrażeń poety, doznanych w czasie podróży na wschód a zapisanych ołówkiem w „Dzienniku podróży", aż do wykończenia poematu. Pierwsze wrażenie na widok pustyni, rozciągającej się z Kairu do Gazy, wrażenie, które nastroiło Słowackiego „na ten ponury ton" „Ojca Zadżumionych", tak opisuje Henryk Sienkiewicz w „Listach z Afryki", Warszawa 1893, I., 21 i nast.

Piasek i niebo — w tych dwóch słowach mieści się pustynia, ale nie mieści jej ducha. Między piaskami a niebem jest coś trzeciego, co stanowi istotę rzeczy. Jestto niesłychana martwota, tak straszna, że o podobnej nie miało się dotąd żadnego pojęcia. Piasek pomarszczony w taki sposób jak marszczy się toń pod wiatrem, wygląda jakby skostniały, niebo nad nim szkli się, jak oczy zmarłego człowieka. Tu po raz pierwszy rozumie się, że pustka może być żywą lub martwą, bo np. na pełnem morzu, oko nic nie dostrzega, czuje się jednak ruch — tu jest kraina zastygła. Istnieje tu wszystko, co kojarzy się z pojęciem śmierci, więc i ogromna groza i cisza i melancholia i rozdzierający smutek, który leci na duszę ludzką, gdzieś z głębin pustyni, ogarnia ją, uciska i napełnia niepokojem. W pustyni odczujesz wszystko, z czego się składa śmierć, nie odczujesz tylko miłosierdzia. W stężałych wydmach i tem stężałem niebie tkwi coś nieubłaganego. Ma się to niesłychanie gnębiące wrażenie, że z tego umarłego nieba nikt

nie patrzy, że wśród tych płowych piasków nikt nie słyszy i że na pustyni próżnoby rozpacz wołała o ratunek. Gdyby pustynia przedstawiała się człowiekowi wrogą, mniej byłaby straszną — ale ona jest tylko bezwzględnie obojętną a taka trupia obojętność ma w sobie coś przerażającego...

Na to ponure tło uczuć padło opowiadanie o nieszczęśliwym ojcu, które niebawem poznamy i zarodek poematu zaczął kiełkować. Oto jak te wrażenia notuje sam poeta:

Droga przez pustynię — wielblądy karmiące się idą wolno — podróżny zamienia się w pasterza — Dzień 15. decembra (1836) nocujemy *w grobowcu Szeika* — budynek biały z kopułką — drzewo wielkie i puhacz śpiewający w nocy — okienko do grobu nad nami — *wielblądy przed grobem pod drzewem* — Dalsza droga — obozowanie — sarny po pustyni biegają — modlę się wieczorem sam — odszedłszy na wzgórze i wracając widzę obóz w dolinie — D. 18. (grudnia 1836) kilka *lasów palmowych* — nocleg w namiocie rozbitym pod palmą — życie stepowe — krzaki palące się — Mojżesz — D. 22. (grudnia 1836) przybywamy do *El Arish — kwarantanna pod namiotami na piasku* — dobrze nam — wigilia Bożego Narodzenia — kolęda — noc *okropna burza i pioruny nie do opisania — rzeczka wylewa nad rankiem — potop doliny* — uciekamy z rzeczami na górę — smutny dzień Bożego Narodzenia — *Doktor opowiada jak w kwarantannie siedzący starzec przez trzy miesiące dziewięć osób utracił na zarazę i został sam z bratem — scena Danta* — Dragoman d. 28. wieczorem opowiada mi o Mahomecie i rozmowie jego z sarną i wielbłądem — chodzimy nad morze po muszle — D. 29. decembra (1836) — Soliman opowiada mi o powstaniu górnego Egiptu: Szech Achmet bronił przeciw Turkowi kobiety gwałconej, cała wioska Szecha blisko Dendery powstała, potem cały od Essenan aż do Siut kraj — Szech dawał amulety broniące od śmierci, zastawiał stoły jak Chrystus niewyczerpane w jadle, przeciwko Achmetowi Baszy bił się a widząc niegodziwość i podłość ludu rzucił sprawę — Około tego czasu wybuchnienie cytadelli w Kairze — wilia Nowego Roku — poema Hana Filedziat o wyspie Philae — wiąz kwiatów — Nowy Rok — rozmarzony jestem — pliszka —

wiersz do Brzozowskiego — Ostatni dzień kwarantanny, jutro wyjeżdżamy — ziemia zieleni się — rodzaj hijacentów — nocleg — chan — deszcz — spotkanie Francuzów — 4. stycznia (1837) przyjazd do Gazy — khan — stancyjka turecka...

Na początku tej zapiski jest zaczęty wiersz do namiotu, który w „Ojcu Zadżumionych“ opisany:

O stepowy mój namiocie,
W księżycowym cały złocie,
Jak światłości słup niebieski
Drżysz stepowym wiatrem chwiany...

Te same wrażenia, notowane tu prawie stenograficznie, czytamy obrobione już przez poetę w następnym liście do matki, w którym również podkreślam miejsca rozwinięte poetycznie w „Ojcu Zadżumionych“.

Bayrut 17. lutego 1837. Pięć dni przepędziliśmy (od 10—15. grudnia 1836) znowu w tem mieście (Kairze) i potem, wsiadłszy na wielbłąda, kupiwszy sobie namiot z dwoma służącymi i beduinami, puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie, droga, jak to dziwnie wsiadać na *klęczącego wielbłąda*, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy rzuca człowieka w różne strony, wstając na nogi; lecz jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy klęka, zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy idąc drogą, *pasą się wonnym tamaryntem*, i beduini pędzili nas jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab. Czas był najpiękniejszy.

Pierwszą noc spaliśmy w grobowcu świętego tureckiego: była to *mała, biała kapliczka z kopułką*, święty nieboszczyk leżał po jednej stronie, my po drugiej. Cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka i przez te mieliśmy ze świętym komunikacyę. *Wielbłądy leżały wieńcem* koło ognia przed grobowcem, nad tą kapliczką rosło wielkie czarne drzewo, w którem całą noc śpiewał puszczyk. Potem co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot, przez ośm dni bowiem jedną tylko widzieliśmy wioseczkę. Małe różne wydarzenia takiej podróży stają się bardzo znacznemi i urozmaicają ją dziwnie. Czy to kilka

gazeli skaczących po stepie, czy ślad *hyeny*, czy spotkanie karawany, czy *widok samotnego beduina*, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynię i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada, nic z tych rzeczy nie jest obojętnem. *Zachody słońca pyszne*, krzaki cierniowe palące się lekkim płomykiem jak koronki brabanckie, słowem przyjemna podróż w pustyni; jużeśmy przybyli do *El-Arish, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotami dni dwanaście kwarantany.* Ale o tem i o dalszej podróży w następującym listku.

Bayrut, d. 19. lutego 1837. Droga moja! Przed dwoma dniami wyprawiłem list do ciebie, moja droga, z opisaniem podróży egipskiej; inną drogą wyprawiam teraz tę ćwiartkę, spodziewając się, że jeżeli nie obie, to jedna przynajmniej rąk twoich dojdzie: z tamtego listu dowiesz się, jak pływałem po Nilu, jak przez pustynię jeździłem na wielbłądzie; teraz opiszę ci moją kwarantanę w pustyni przy maleńkiem miasteczku El-Arish. Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach, dano nam na odbycie kwarantany dwunasto-dniowej *równinę piasku, gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi do koła i nic więcej.* Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, *określono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić i zostawiono na łasce Pana Boga.* Wszakże do maleńkiego namiociku, który i z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie, jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak *podarty*, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się można schronić było na przypadek deszczu, słowem *miejsce smutne*, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem Śródziemnego morza, i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy. Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz (Zenon Brzozowski, malarz) w naszym własnym maleńkim rozłożył swoje graty i *tak zastała nas wilia Bożego Narodzenia* (1836). Wieczorem towarzysz mój, dobywszy zapomnianego czakana, zagrał mi wiejską kolendę, której słuchałem z rozczuleniem, leżąc na dywaniku w mojej budzie. Podziękowałem mu i wieczór nadszedł. *Wtem niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokro-*

puiejsza ze wszystkich burz, nadeszła i trwała cała noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu leżących w osobnych namiotach ta noc bezsenna, której *każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste*. Świeca, kilkakroć zapalona zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże podmywając nasze łożka, położone na ziemi, zmusiły nas do zwinięcia wszystkiego w jeden pakiet i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad rankiem *ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał*. Wyszedłem, aby zobaczyć, co się z moim towarzyszem stało i winszowaliśmy sobie wzajemnie.

Wtem patrzę, aż *mała rzeczka, płynąca przez dolinę, wzbiera, przerywa brzegi* i białemi krągłemi falami *bieży prosto na nasze namioty*. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok tej nowej inondacyi nowym był dla mnie. Wkrótce *poznałem całe niebezpieczeństwo* i zapomocą sług *znieśliśmy namioty* i rzeczy nasze w kwadrans czasu na *mały, piaszczysty wzgórek*, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świąt (25. grudnia 1836) pochmurny, przeszedł nam *smutno* suszącym się na górze; głodni, bo o kuchni myśleć nawet nie było można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrą rogożą i dywanem; potem czas piękny wrócił i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy. Pod namiotem także na piasku zastało nas trzęsienie ziemi, które w Syryi do szczętu wiele miast pochłonęło: widziałem sam Tyberyadę, w której 500 ludzi zginęło, a domu jednego całego nie zostało...

Z tym zawsze jeszcze krótkim, sprawozdawczo tylko tu rzuconym opisie, proszę porównać cudną przedmowę do powieści o „Ojcu Zadżumionych“. Znajdziesz w niej to samo, ale tam i strojniej i szczegółowiej jest wszystko opowiedziane.

Domyślam się, że wrażenia tej kwarantanny, zasilone opowiadaniem lekarza o starcu opłakującym w kwarantannie utratę dziewięciu synów na zarazę, odtwarzał Słowacki podczas swej powtórnej kwarantanny w mieście portowem w Liwornie. A podobieństwo sytuacyi nasunęło mu owe cudowne obrazy „Ojca Zadżumionych“. Oto jak opisuje swoje

ówczesne usposobienie w liście z Liworna d. 11. lipca 1837. Najdroższa moja! Dziś o godzinie w pół do czwartej rano wyszedłem z kwarantanny; z jakąż niecierpliwością czekałem godziny 9, o której otwiera się okno pocztowe. Wybiła nareszcie, biegnę i odbieram dwa listy, jeden od ciebie d. 24. kwietnia pisany, drugi od Eglantyny. Idąc przez plac, otworzyłem pierwszy dla serca mego i *słowa twoje takie jakieś zimne i smutne mi się wydały, że bałem się rozpłakać na ulicy i uciekłem prędko do hotelu gryść boleść*, jaką mię napełniło takie powitanie, mię, co przez 10 miesięcy nie miałem słowa od ciebie, który wreszcie już nie mam w świeżej pamięci czulszych listów twoich i myślę, że jużeś ty mię kochać przestała... *List Eglantyny powiększył moję boleść*: z niego bowiem, to jest z daty widzę, że nie jest odpowiedzią na mój list ostatni, który przed wejściem do kwarantanny razem z listem do ciebie przed 25 dniami powierzyłem kapitanowi okrętu, aby go frankował i przesłał; łajdak! pewnie dla zatrzymania kilku groszy nie wypełnił zlecenia, i ty będziesz się jeszcze uskarżać na długie moje milczenie, a ja teraz dałbym część serca mego, żeby tylko ciebie uspokoić.

Droga! *nie wystawisz sobie rozpaczy, jaka mię przenika...* wierzę w przeczucia... Wyskakując z łódki na ląd Europy, upadłem i wczoraj tak się bałem wyjścia z kwarantanny, że *wytłómaczyć sobie tej trwogi nie mogłem.*

Dziękuję Bogu, że ty zdrowa, a ty mu także podziękuj, że mię spokojnie przez kraje różne i przez morza prowadził i nie chciał mię nawet widokiem niebezpieczeństwa przerazić. Ta cała podróż, którą ci kiedyś obszerniej opiszę, była pełną przyjemności i zachwyceń. Jakżebym chciał, abyś mój list z kwarantanny odebrała, miałabyś tam opisanie mojej czterdziesto-dniowej morskiej podróży. Dnia ostatniego siedząc na pokładzie, kiedy się okręt zbliżał do błękitnych brzegów, pisałem do ciebie, myśląc, że ten list ci chwilę spokojności i cichego szczęścia przyniesie; zapieczętowałem go i odkryłem głowę, bośmy wpływali do portu, i cały ekwipaż i księża będący na okręcie spiewali na kolanach ostatnią litanię do Najświętszej Panny *na smutną jakąś nutę... łzy mi stoją w oczach.* Przeczytałem drugi list twój, żeby się uspokoić i znaleść w nim,

jeśli można, co miłego... Pamiętaj ty, moja droga, *że kiedy ja teraz płaczę, to mię nikt nie pociesza*, nie tak, jak było w moim domku w Paquis, gdzie mię tulono, rozżalonego, jak dziecko. Pisze mi Eglantyna, że mię dzieci nawet czule tam wspominają i pragną mojego powrotu: o, gdybym miał skrzydła gołębia, poleciałbym gdzieś daleko i znalazłbym spokojność; są to słowa biblii.

Jestem w Liworno, w tym samym hotelu, gdzie 14 miesięcy przed tem przebyłem trzy dni, jadąc połączyć się z Teofilami; ten sam dano mi pokój; wszystko to podwaja jeszcze moje dziwne rozigranie nerwów. Pisząc ten list, chciałbym papier pożreć, aby go czemprędzej wysłać do ciebie, aby dniem jednym pierwej ciebie pozdrowić i dać ci pocałunek duszy, najdroższa moja. Ale zaczynam rezonować z sobą i wmawiać w siebie, że powinienem być szczęśliwy, bo wczoraj w kwarantannie, gdyby mi kto był tylko pokazał jedno słowo twoją ręką napisane, jużby mię to zaspokoiło...

Będę więc we Florencyi, gdzie, jak mi pisze tak mile Hersylka, oczekiwanie dawniej mego przybycia zostało, jak jakie światełko uczuciowe, rzucone na wspomnienie o tem mieście. Nie zaniedbam pójść do sklepiku modniarki i może szczęśliwszy już będę z moją panną Malagambą, dla której pojechałem do Syryi, a tu podług przyrzeczenia napiszę Sylci, jak los zawistny przeszkodził mi i zawiódł nadzieję.

Siedzę kwarantanną na pustyni w El-Arish, odwiedza mię doktor młody (*Steble*), który widząc, że mi chleba dobrze upieczonego po europejsku brakuje, *przysyła* mi w prezencie *chleb dość biały, mówiąc, że go własna jego żona piekła*. Podziękowałem... a wyjeżdżając, chciałem coś zostawić brzęczącego panu doktorowi; nie przyjął, ale owszem zapraszał, abym wszedł do jego domku na filiżankę kawy. *Wielbłądy* stały okulbaczone i osiodłane, raczej *klęczały;* jakże się było oprzeć prośbom klęczących wielbłądów? Odmówiłem przyjęcia kawy i udałem się w dalszą drogę przez pustynię do Gazy. Nie pojmiesz tylko, co to wszystko ma za związek z panną Malagambą? (Słynna piękność opisana przez Lamartina w Voyage en Orient i wspomniana w przedmowie do „Ojca Zadżumionych".)

Otóż dowiedz się jakie nieszczęście: Panna Malagamba przez pewną metamorfozę stała się panią doktorową. Pani doktorowa podałaby mi zwyczajem wschodnim kawę i nawet pocałowałaby mię w rękę, bo taki jest zwyczaj na wschodzie... i to wszystko opuścić przez jakiś dziwny pospiech. Ale przynajmniej jadłem chleb, jej najpiękniejszemi rączkami pieczony, a dyabeł że mógł wiedzieć, że jest teraz panią doktorową kwarantanny i że na pustyni mieszka między Gazą i Kairem.

Otóż tak uchybiłem jednego celu mojej podróży. Niech mię Sylli o niezgrabność i o małą domyślność serca nie obwinia.

W następnym liście, pisanym już z Florencyi, dokąd przybył poeta 17. lipca 1837 r. przebija się ten sam smutny nastrój odpowiadający kolorytowi „Ojca Zadżumionych“.

Florencya, Via dei Banchi Nr. 4216 d. 21. sierpnia 1837. Najdroższa moja! Wysiadając z kwarantanowego okrętu, odebrałem twój list pierwszy i nie wiem dlaczego, ale *tak smutne na mnie zrobił wrażenie*, tak *mi się zdawało, że serce twoje dla mnie ostygło*, że jakaś kryzys obojętności przyszła na ciebie, żem ci na ten list po szalonemu odpisał. Drugi twój list odebrany tutaj uspokoił mię. był to bowiem jeden z tych listów, z których dusza twoja nowym smutkiem uderzona, rzuca jakieś dziwne błyskawice uczuć matczynych i takimi je maluje wyrazami, że nie można tylko *głośnym i samotnym odpowiedzieć płaczem*. O, moja droga! Bogu także wiadomo, czem ty jesteś dla mnie i ta sama gwiazda, która mię strzegła na morzu i na pustyni, świeciła także nad górą Bony. Dopiero kiedym się dowiedział, żeś ty zdrowa, dziękowałem Bogu, że mię od niebezpieczeństw podróży ocalił.

Od 35 dni jestem we Florencyi i Zenon (Brzozowski) przyjechał także ze Stambułu. *Rozpamiętywamy więc z nim nasze podróże i znajomym je rozpowiadamy.* Wyczerpie się to wkrótce w ustach, ale *w pamięci zostanie zawsze jak sen letniej nocy.* Z tego smutku spowiada się znów matce w liście z Florencyi 24. listopada 1837:

Na próżno starem się moje myśli zająć pracą imaginacyjną, myśl o tobie wraca jak jakiś dzwon tajemniczy

i wytrąca mi z ręki pióro *i nie śmiem pisać o urojonach nieszczęściach wtenczas, kiedy się lękam rzeczywistego.*

Ale jeszcze na początku 1838 r. nie był wykończony poemat, jak się domyślam z następującego listu poety do matki: Korzystałbym natychmiast z wolnych skrzydełek, aby przelecieć kawałek błękitnego morza, dotknąć piórami szczytu Alp śnieżystych, i powędrować jeszcze dalej, gdyby mię nie *zatrzymywały tu jeszcze niedokończone moje prace*: przyrzekłem bowiem sobie, że z próżną teką nie pojadę do wielkiego miasta piszących waryatów. Doznaję prawie wyrzutów sumienia, żem dotąd nic ani o piramidach, ani o grobowcu Chrystusa nie napisał; ale jak mówi dawna piosnczka: „Serce nie sługa, nie zna, co to pany“ itd., tak ja o mojej imaginacyi powiedzieć mogę; zrobiłem postrzeżenie, że dla nas, ludzi z pod zimnej gwiazdy niedźwiedzia, Włochy są anti-imaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki pierwszy (A. Mickiewicz) bawiący tu dawniej, przez lat kilka nic nie napisał, i dopiero przybywszy między błędne żórawie, zaczął śpiewać i rymy lać obficie; z tego wnoszę, że imaginacyi potrzebne jest ojczyste a przynajmniej zbliżające się do ojczystego powietrze, potrzebna jest także atmosfera napełniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych, potrzeba nareszcie trochę poklasków, trochę cienia drzew niepospolitych i smutnych, jak są laury, a w niedostatku tych sosny i jodły litewskie: tego wszystkiego braknie tu, więc dobranoc marzeniom. Florencya 22. lutego 1838, porównaj list z d. 2. stycznia 1838.

Najdroższa moja! Oto *jeszcze moje marzenia nie ubrane w ciało* trzymają mię tutaj i nie wiem prawdziwie, kiedy stąd wyruszę, dałem bowiem sobie słowo, że do moich kolegów z niczem nie powrócę. Tymczasem *Florencya smutna jest dla mnie jak grobowiec*. Tego roku ciągłe deszcze i niebo żelaznego koloru. Często nuda napędza mię do pracy, ale wiecie, że między dziewięciu muzami nie położono nudy. Bogini tej nie widziałem w Panteonie, musiała się urodzić z popiołów bogów greckich.

Cokolwiek bądź, muszę się wyrwać z tej dżdżystej Florencyi, chociaż tu raj prawdziwy dla ludzi ze szczupłym dochodem, ale raj materyalny, prowadzący za sobą dziwne uśpienie władz umysłowych. Florencya 19. maja 1838.

Od lakonicznej ale pierwotnej i bezpośredniej, do prawdy najbardziej zbliżonej notatki w „Dzienniku podróży“ dadzą się palcem wskazać ślady miejsc, któremi kroczyła fantazya poety przez przytoczoną powyżej korespondencyę aż do przedmowy na wstępie „Ojca Zadżumionych“, zanim w tym pochodzie ewolucyjnym skrystalizowała się we wspaniały posąg rozpaczy i rezygnacyi. — Zob. Wrażenia z podróży J. Słowackiego na wschód, (na podstawie nieogłoszonego pamiętnika poety) Biblioteka warszawska, 1891., IV., str. 336. Ostateczne wykończenie poematu przypada na czas po ogłoszeniu „Anhellego“, o którym wspomina już poeta w przedmowie do „Ojca Zadżumionych“.

Wrażenie tego podobnie jak i poprzednich utworów Juliusza Słowackiego nie było ani w części takie, na jakie zasługiwały. Jakiś ograniczony, czy złej woli krytyk, ukrywający się pod literami Z. K., napisał w „Młodej Polsce“ z 21. marca 1839 następujący sąd o „Trzech poematach Juliusza Słowackiego“, którym przeciwstawia bajki i poezye — Antoniego Goreckiego.

Rzuca przytem kilka ogólnych uwag o rozbracie poezyi ze społecznością, bez których niepodobna by było wytłómaczyć, „z jakiej przyczyny pieśni Juliusza Słowackiego są dotąd prawie bez echa w narodzie“, i tak powiada o „Trzech poematach“:

Nie znam poety, coby miał równy talent wykonania. I musi być wielka niezgoda w ogólnem pojmowaniu poezyi między Polską a p. Słowackim, kiedy mimo uroczej świetności formy, nie przyjął się lepiej na jej gruncie. Przecież Polska mało dotąd miała pisarzy, mało stylów w peezyi: i jak dziecko łakoma jest zewnętrznego połysku.

Trzy nowe poemata p. Słowackiego świadczą już o uznanej piękności stylu, a na usposobienie narodowe ku utworom poety nie tyle wpłyną, ile mybyśmy życzyli — Pierwszy poemat: „Ojciec Zadżumionych w El-Arish“ (El-Arisz) jest ustępem żywym i zajmującym wprawdzie, ale tylko ustępem; a co do pomysłu jestto przerysowanie owego znowu ustępu, (z Danta) który p. Słowacki na pamięć umie:

La bocca sollevó dal fiero pasto
Et peccator, etc. etc.

Jednakże „Ojciec Zadżumionych“ jest najlepszym ze trzech poematów. Drugi, pod napisem: „W Szwajcaryi“, należy do tej osobowej poezyi, która, gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniusza, albo też źródłem jakichś nowych lirycznych natchnień, zajmuje zwykle więcej samego pisarza niż czytelników..

Ostatni poemat „Wacław“ w mniemaniu autora nawet potrzebował usprawiedliwienia: ładnie pisany, jak wszystko, co pisze p. Słowacki, nie tłómaczy jednak poety ani z zaufania, że się pokusił robić dalszy ciąg Maryi Malczewskiego, ani szczególniej z braku artystowskiego uczucia, że chciał zdzierać tę czarowną zasłonę, którą Malczewski zarzucił w końcu na główne osoby swego poematu.

W artykule „Kilka słów odpowiedzi panu K. Z.“ broni się napastowany poeta w tych oto słowach:

Ostatni krytyk trzech poematów dotknął najgłębszej struny sumnienia mego zapytaniem: dlaczego, pomimo wytworności kształtów, poezye moje tak mało mają odgłosu w Polszcze. Jest to dla poety *to be or not to be* (być albo nie być), nad którem ja, jak Hamlet rozmyślam... a którego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi mojemu zostawi. Tymczasem kwestyi tej p. K. Z. długim wstępem swoim do krytyki trzech poematów, i krótką krytyką trzech poematów nie rozwiązał...

Powiem p. Z. K. jakie przyczyny pozbawiły mię dotąd, i na długo zapewne a może na zawsze odgłosu w Polszcze pozbawią. Pierwsze tomy poezyi moich są bez duszy. Imaginacya moja młoda, jak motyl wabiona była połyskiem, słońcem, kształtami, kiedym je pisał. Teatralny kontur włożyłem na stopy moje, abym, dziecięciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył. Pokazałem się więc po raz pierwszy, jako artysta, ludziom, którzy bynajmniej o artystostwie nie myśleli, ważną i okropną tragedyą rzeczywistą zajęci. Pierwszymi dwoma tomami zgubiłem się na cały czas życia mego, i teraz muszę bez echa śpiewać, choć śpiewam inaczej, albowiem Polska nie ma ani krytyków silnych, którzyby ją o zmianie lutni ostrzegli, ani czytelników dość szybko sądzących, którzyby się sami z pierwszego sądu otrząsnąć mogli i z czystą uwagą iść za nową pieśnią poety.

Do tej pierwszej i głównej przyczyny niech p. Z. K. doda trochę wyrachowanej obojętności, ze strony tych poetów naszych, (Mickiewicza i jego zwolenników) którzy dość mają lekko zrobionej sławy a wszelako stoją jak Koklesy na moście literatury i czekają aż car go zrąbie, aby skoczyć w wodę, obroniwszy od nowych tryumfatorów polską poezyę — tych poetów, którzy podobnie do ministeryów politycznych, związawszy się niegdyś razem w opozycyę przeciwko Osińskiemu i Koźmianowi, osiągnęli berło i dziś są równie przeciwko nowym autorom partyą Osińskich i Koźmianów. Niech p. Z. K. doda wpływ takich artykułów na polską publiczność, jakim jest jego ostatni artykuł, gdzie „Ojca Zadżumionych“ chce zrobić naśladowaniem Ugolina, tak właśnie, jak gdyby kto powiedział, że grupa Nioby, tracącej dzieci, jest naśladowaniem posągu Laokona z dwoma synami, zjedzonego przez węże. Niech jeszcze doda, że Polska teraźniejsza podobna jest do Prometeusza, któremu sęp wyjada nie serce, ale mózg i rozum; wtenczas może i sam zrozumie, dlaczego poezye Słowackiego są bez rozgłosu w Polszcze; dlaczego dusza Anhellego napróżno wychodzi z ciała i po słupie światła księżycowego wraca do ojczyzny, myśląc że ją tam poznają i przyjmą ze łzami; dlaczego nareszcie biały „Anhelli“ i ciemny „Ojciec Zadżumionych“ i Nimfa szwajcarska i Wacław z Eolionem będą jeszcze długo, długo figurami niezrozumianemi dla duszy narodu, aż może jaka nagła błyskawica oświeci oblicza tych tworów i pokaże je przezroczystemi aż do głębi serca oczom narodowym.

(Odpowiedź niniejsza w całości przytoczona w III. tomie naszego wydania Dzieł J. Słowackiego na str. 193—6.)

I w sądzie o „Trzech poematach“ wyprzedził Z. Krasiński krytykę spółczesną. W rozprawie p. t. Kilka słów o Słowackim, tak się odzywa o swym zapoznanym przyjacielu:

Któż naprzykład czytając „Szwajcaryę“ i „Anhellego“ nie dozna mistycznej tęsknoty? komuż te dwa arcydzieła wnętrznej melodyi ducha nie zostawią po sobie, jakby uczucia, że wszystko przeminęło, że co światłem było, już nie jaśnieje, co różą już się nie czerwieni, co łzą, już nie płynie, co chwałą, już nie po-

łyska — ale tylko na ziemi, na tych murawach, zwiędnienia — bo owszem znać, czuć, objawionem to głębiom ducha jest, że te wszystkie groby i kwiaty i lutnie i szable popłynęły wyżej — ot! tam gdzieś uleciały, roztopiły się, wsiąkły tam, dokąd ostatecznie każdej barfy rwą się dźwięki i skąd śnią każdej trumny marzenia. Tygodnik literacki. Nr. 22. Poznań, dnia 31. maja. 1841.

Ze wszystkich poematów Słowackiego najdoskonalej wcielony, najściślej obrobiony, jest „Ojciec Zadżumionych, choć mu tylko granicą obszar pustyni, a formą ciągła także śmierć. Jeśliś widział rysy Laokoona, czytając to poema, przypomnisz je sobie. Jeśli ci kiedy włosy wstały przed Ugolinem pożerającym czaszkę arcybiskupa w piekle, to po drugi raz rość ci i drżyć zaczną na głowie, a jednak ani u rzeźbiarza greckiego, ani u toskańskiego Gibellina w niczem nie zapożyczył się polski poeta. Oni ból po nad wszystkie bóle wydali plastycznie, Słowacki jak zwykle, raczej następstwem muzykalnem niż kamienną postawą, a wśród tych poetyckich akordów odzywają się tak mądre, tak głębokie, tak zarzynające duszę, że musisz rad nie rad, po każdej łzie wylanej krzyknąć: „wielki poeta!" Zygm. Krasiński. Kilka słów o J. Słowackim Tyg. liter. 1841. Nr. 21.

W liście Zygmunta Krasińskiego do R. Załuskiego z Rzymu 13. maja 1840. r. czytamy podobną obronę Słowackiego: Na żaden sposób nie mogę uznać za prawdę i słuszność niesprawiedliwości wyrządzonej przez publiczność Juliuszowi. Zapytam się: w czem go nie rozumieją? Ty pierwszy powiedz mi, czegoś w nim nie rozumiał?... Pięć jest jego przedniejszych dzieł, („Balladyna", „Anhelli", „Szwajcarya", „Wacław" i „Ojciec Zadżumionych"). Omawiając je powiada o *„Ojcu Zadżumionych"* — ma on w sobie potęgę Laokoońską boleści, tylko, że nie rzeźba, ale farby malarskie, użyte do wydania myśli.

Pierwszą analizę „Ojca Zadżumionych" dał nam Józef Szujski, porównywając utwór ten z „Trenami" J. Kochanowskiego, ale podsuwając mu allegoryczne znaczenie.

Czytając — powiada on — te okropne dzieje araba pustyni, który osiadając z dziećmi i żoną kwarantannę za-

razy morowej, wyszedł z niej w końcu sam — prowadząc siedem pustych wielbłądów, a zostawiając za sobą mogiły najdroższych, pomimowoli przejmuje nas dreszcz — w oczach stają nam dzieje ostatnich czasów... Przymuszeni jesteśmy pomimowoli uznać w poemacie Słowackiego, więcej, jak fantastycznego życia wschodu obrazek, więcej jak skończone dzieło sztuki liryczno epicznej treści; bo wieszcze przeczucie wypowiedziane (w r. 1838.) o bezprzykładnego sieroctwa czasach. A tak rozpatrując się w poemacie Słowackiego z tego stanowiska, podsłuchując w harmonijnej jego muzyce dźwięków przyszłości; przyjdzie nam się zachwiać przed czarnymi obrazami, które kreśli.

Ołowiane niebo spoczywa nad pustynią, a nieba tego nie przebije żadna ściśnięta rozpaczą dłoń, żadne przekleństwo, żadna modlitwa.

Nie ma też walki zewnętrznej w nieszczęśliwym „Ojcu Zadżumionych", nie ma fluktuacyi od zwątpienia do pociechy, od rozpaczy do wiary, nie ma miejsca na refleksye i spory z niebem, jakie spotykamy w Kochanowskiego trenach. Arab ugnieciony sandałem Akbara Allacha, u poety zwraca się cały do przeszłości, ku okropnym scenom, których był świadkiem.

Czem dla Kochanowskiego były sukienki Orszulki, tem dla Araba był stary wielbląd. Pozostało mu coś jeszcze z świata szczęścia, z chwil żywota i zajrzało w grób rozpaczy i śmierci.

Jestto stopniowanie boleści od pierwszego przerażenia na widok objawiającej się zarazy, aż do martwoty, następującej w skutek nadmiaru cierpienia; od nadziei, czepiającej się konwulsyjnie każdego żyjącego członka rodziny, aż do zupełnego osierocenia i rozpaczy. W tem umiejętnem, że tak powiem oszczędzaniu barw, aby całość w jedną złożyła się harmonię, a żadnej części przecie nie zabrakło charakteru i prawdy, Słowacki jest niepoównanym.

Źródła poematu szuka J. Szujski w myślach wieszczych autora o drogiej jego sercu sprawie narodowej. Tam zrodziła się konieczność utworzenia tego strasznego poematu, stamtąd pochodzi jego natchnienie, jego barwa, jego

właściwości. Podnosząc tę sprawę zwraca uwagę, że to przesiąknięcie myślą narodową, to kapłańskie piastowanie sprawy narodowej, to szamotanie się pod ciężarem krzyża jest uznaną właściwością naszych największych poetów, znamieniem, które ich odróżnia od Goetych i Szekspirów, a zbliża do Dawidów, Jeremiaszów i Dantych. Z poezyi Juliusza Słowackiego chwytano do niedawna na korzyść jednego obozu, to, w czem najmniej było głębi a najwięcej namiętności, chwytano „Odpowiedź Psalmiście", „Grób Agamemnona" i pięknego ale pełnego wewnętrznego rozstroju i gorączki „Beniowskiego". Omijano rzeczy najgłębsze, najpiękniejsze.

Do takich należy bezprzecznie „Ojciec Zadżumionych".

Arab sierocy Słowackiego jest niczem innem, jak jednem z strasznych marzeń o domowych sprawach, jednem przeczuciem wieszczem więcej, jedną chwilą krzyżowej drogi, którą krwią spod serca odznaczył poeta — siedząc w namiocie pustynnym, a sięgając myslą Ojczyzny.

Rodzina jedna, rodzina wielka: Polska odbywa pielgrzymkę ku światu przyszłości, ale nim go zobaczy, prawo świata każe jej odbywać kwarantannę zdrowia — prawo świata postawiło jej straż, lekarza i sędziego — Józef Szujski, Treny na śmierć Jana Kochanowskiego i „Ojciec Zadżumionych" w El-Arish, Juliusza Słowackiego. Zestawienie historyczno-literackie i estetyczne. Rocznik Towarzystwa naukowego krakowskiego. Kraków, 1866. Poczet trzeci. Tom XI. Str. 77—92.

Małecki występuje przeciw twierdzeniu J. Szujskiego jakoby między „Ojcem Zadżumionych" a naszem położeniem narodowem obecnem był jaki istotny związek. „Nie przeczę — są słowa Małeckiego II. 202 -3. — że jest i pewien pozór trafności w takim wykładzie zamiaru Słowackiego. Pomimo tego jest moim najgłębszem przekonaniem, że się krytyk za daleko posunął. Podkłada poematowi znaczenie, o którem zdaniem mojem nie tylko nie marzył poeta wtedy, kiedy go pisał, ale którego nawet trafunkowo, to jest po za świadomą wiedzą poety, w tem dziele nie ma. Tłómaczyć tak „Ojca Zadżumionych", jestto robić z niego alle-

goryę. Zyskuje nibyto na tem znaczenie poematu, że się pod jego widzialnią, że tak powiem, osnową odsłania druga i głębsza i żywotniejsza, niż tamta. Ale korzyść ta w gruncie jest wielce wątpliwej natury. Skoro się bowiem z tego allegorycznego punktu widzenia zacznie szczegółowo egzaminować wszystko w utworze naszym, okaże się, że wiele i bardzo wiele rzeczy nie odpowie zgoła założeniu, o jakie chodzi. Z czegoby wyniknął ten chyba tylko wniosek, że się dzieło niniejsze... wcale nie udało poecie.

Gdyby szanowny krytyk był się ograniczył do następującego twierdzenia: że między obrazem, jakiemu jest poświęcony poemat, a usposobieniem osobistem i narodowo-społecznem Słowackiego była niejako analogia — a to o tyle, że poemat przedstawia ciągły szereg ciosów w jednego człowieka bijących, choć tenże nic takiego nie popełnił, żeby można było rozumieć, dlaczego, mimo wielkości Boga czuwającego nad nami, dzieje się taka krzywda nieszczęśliwemu — poeta zaś jako członek swego narodu nie raz i nie dziesięć razy z punktu wyjścia innych przesłanek dochodził w samotnych swoich dumaniach do tegoż wyniku, i właśnie przeto teraz, przy zdarzonej sposobności, z namiętnością oskarżyciela i z prawdziwem *con amore* artysty maluje tę jaskrawą bezopatrzność i bezlitość, w małych i wielkich rozmiarach praktykującą się wszędzie w świecie... gdyby powtarzam takie tylko było twierdzenie J. Szujskiego: nie miałbym nic przeciw temu do powiedzenia. Ale jego dowodzenie idzie o wiele dalej i odsłania między poetą a Arabem nie pokrewieństwo stanowisk, lecz allegoryę.

Tłómaczenie utworów poetyckiej literatury naszej w sposób allegoryczny jest w ogóle między nami dosyć zwyczajną rzeczą. Każdy utwor głębszej treści, „Nieboska Komedya“, „Irydjon“, „Król Duch“, nawet „Lilla Weneda“ itd. spotykają czytelników, którzy zamiast zastosować do nich to, co tak trafnie wyraził Schiller:

„Welchen Leser ich wünsche? — Den unbefange-
[nen, der sich,
Mich und die Welt vergisst und in dem Werke nur
[lebt“.

raczej w dzieła te wnoszą swoje pojęcia i ideały, pospolicie im podkładając, co ich boli. A że boleści i utrapienia nasze są ciągle jedne, więc schodzi na to, że się najrozmaitszym dziełom naszym prawie ciągle jeden temat podsuwa, jakby się one wszystkie kręciły w jakiemś kole zaczarowanem, około jednego tylko punktu. Byłaby to dziwna jednak jednostronność i ubóstwo naszej narodowej poezyi, gdyby się rzeczywiście tak rzeczy miały.... Wogóle uważam przypuszczenie allegoryzmu za ostatni i w razach tylko rozpaczliwych właściwy klucz do dobierania się w intencye dzieł wszelkiej sztuki. Czasem trzeba zrobić użytek i z niego, jako i jam sobie tego pozwolił przy Anhellego rozbiorze. Lecz im rzadziej się tej metody chwytamy, tem lepiej".

Zdaniem Małeckiego jest „Ojciec Zadżumionych" owocem samotnych dumań poety w klasztorze *Betcheszban*, na jednym ze szczytów gór Libanu, o którym wspomina Arab w słowach:

„Wracam na Liban, do mojego domu" itd.

Miejsce to odpowiadało położeniem swojem i samotnością usposobieniu poety, który znużony wrażeniami podróży, potrzebował wypoczynku. Tu całe dnie przepędzał na dumaniu, upajając się widokiem na morze Śródziemne; dnie Wielkanocne przepędził również u zakonników i odbył spowiedź pełną skruchy i wzruszenia. Daleki od zgiełku świata, tutaj zapewne — mówi Małecki — napisał poemat „Ojciec Zadżumionych", prawdziwą perłę literatury polskiej. Utwierdzają go w tem mniemaniu własne słowa poety pisane do matki, a odnoszące się do pobytu w owym klasztorze, z 14. czerwca 1837. r.: „Na górze Libanu pracowałem trochę i owoc moich marzeń także ze mną wędruje".

Nie powiada wprawdzie poeta, co pisał w owym klasztorze; rozważając jednakże cały nastrój naszej powieści, nastrój nader smętny, poważny i poetyczny, i porównywając z nim ówczesne usposobienie poety, dumającego tak samotnie w owym ormiańskim klasztorze: nabiera Małecki przekonania, że właśnie ten poemat wtedy powstał.

Sąd swój o tem arcydziele tak formułuje: Trudne jest zadanie krytyki wobec rzeczy, mającej pod każdym

względem prawo nazywać się arcydziełem w swoim rodzaju. O pochwały trywialne i o wykazywanie zalet, dla każdego widocznych, w razach takich chodzić nie może. Do zarzutów nie ma żadnego pola. Nie pozostaje tedy i przed „Ojcem Zadżumionych“, jak tylko schylić czoło i odkładając pióro na bok powiedzieć, że ani między Słowackiego tworami ani w całej naszej literaturze nie ma rzeczy, któraby wykończeniem, zwięzłością, siłą, prawdą, wreszcie mistrzostwem niezrównanem w urozmaiceniu szczegółów, przewyższała ten strasznej grozy poemat. Czem posąg Laokoona, czem grupa Nioby w rzeźbie, tem to w poezyi. Jeżeli chodziło o przedstawienie ciosów nieszczęścia, walącego się na głowę upatrzonej istoty, dopóki takowa nie wyda z siebie ostatniej łzy, ostatniego jęku, i przestając już prawie czuć po ludzku, nie zamieni się w marmur, z suchą powieką zdolny rozpamiętywać swoje boleści: to tego zamiaru zupełnie tu dopiął poeta. Taki zaś zdaje się był właśnie wszystek cel jego w dziele obecnem, usprawiedliwiony dostatecznie okolicznością, że tego rodzaju zdeptanie całego szczęścia czyjego zdarza się nieraz na ziemi naszej — nie pytając o przyczyny, dlaczego się zdarza? Przyczyny te pozostaną niedocieczone, mimo wszystkiego, jak je tam sobie każdy tłómaczy...

Dr. Piotr Chmielowski w „Studyach i szkicach z dziejów literatury polskiej“, Kraków, 1886. tom II. str. 73. widzi w poematach, które się składają z jednej sytuacyi mistrzostwo Słowackiego. „Ojciec Zadżumionych“ — powiada on — przedstawia właśnie jedną taką sytuacyę, co zapewne skłoniło Małeckiego do porównania tego poematu z „posągiem Laokoona i grupą Nioby“. Jeżeli, oczywiście, będziemy mieli w pamięci różnice rzeźby i poezyi, to porównanie, mimo ża ma słabe strony, jak każde porównanie, wyraża przecież wszystko w krótkości, co o artystycznej stronie poematu wypowiedzieć można. Trudno pomyśleć sobie nawet, ażeby można z większą siłą, która za każdem zmarłem dzieckiem potęguje się w swem wyrażeniu, i z większą prawdą oddać boleść ojca, tracącego jedną pociechę po drugiej w głuchej pustyni, bez ludzi, bez żadnego spółczującego serca. Wybrać taką sytuacyę i nie znużyć nią czytelnika, pozbawić swój poemat wszelkiego dramatycznego

zawiklania, a jednak obudzić sympatyę dla bohatera nieszczęśliwego; dotykać najboleśniejszych strun i wydobywać z nich tony najwyższe, a jednak nie przesadzić: to mógł tylko zrobić taki talent olbrzymi, któremu fantazya zdolna była wszystko zastąpić. (Pogląd na poezyę polską w pierwszej połowie XIX. w. dodany do dzieła Carriera o sztuce).

St. hr. Tarnowski w swej mistrzowskiej charakterystyce „Ojca Zadżumionych" („Kronika Rodzinna". Warszawa, 1880. str. 257. i nast.) zwraca uwagę na wysoki poziom twórczości poety. Oto jego analiza:

Na wrażliwą fantazyę poety działały Włochy, Wschód, Szwajcarskie lodowce i Egipskie piaski, arcydzieła sztuk plastycznych i arcydzieła poezyi, z któremi coraz więcej się zapoznaje. Fantazya nabiera stąd nowego polotu i popędu, kiedy uczucie pod wpływem cierpień i tułaczej tęsknoty, pod wpływem współczucia (a nietylko współczucia wdzięcznych i drobnych natur niewieścich) nieznanej przedtem nabiera głębokości i potęgi. Jedno i drugie rozwija się coraz piękniej i rozwinęłoby się do świetności i pełni, której przewidzieć trudno, gdyby obojętność publiczności, gdyby nie owa nieszczęsna rywalizacya z Mickiewiczem i powstała z niej żółć i melancholia.

Poeta zachowuje i w tem arcydziele swoje usposobienie tęskne i smutne, swoją melancholię i cierpienie, ale więcej od ludzi oddalony, mniej od nich znosi i mniej ich oskarża. Przebywanie pomiędzy najróżnorodniejszymi cudami natury wyostrza to głębokie uczucie, które mu było właściwe, że ukołysany czyto spokojnem życiem, czy potężnemi wrażeniami, zapomina o swoich goryczach i żalach, nie napręża się do wielkości i nie miota się niechęcią i gniewem: oczyszczony z tych pyłów, ukazuje się poetą wzniosłego natchnienia i artystą.

Słowacki nie doznał wcale uczucia, które w poemacie swoim wystawia, a wystawia je w jego najwyższej patetyczności, i z taką wiernością, z taką pamięcią przytomną o różnych jego szczegółach, o różnych oznakach, stopniach i dodatkach boleści, że to uczucie w jego poezyi wyraża się inaczej, ale nie mniej prawdziwie ani mniej potężnie, niż w poezyi tamtego, który czuł naprawdę. Tryumf intuicyi, i dowód u niego jeden z najświetniejszych, jak poeta

umie oczyma duszy widzieć to, czego w swojej duszy nie ma, przeczuwać duszę u drugich ludzi, przenosić się w nią.

Poemat jest bardzo krótki. W jego ramach ciasnych miały się mieścić sceny w najwyższym stopniu patetyczne i musiały stosując się do całości być traktowane niezmiernie treściwie, zbito. Poeta nie mógł sobie pozwolić takich opowiadań i lirycznych rozczuleń, jakich pełno jest w „Szwajcaryi“, jakich pozwala sobie z upodobaniem Byron a za jego przykładem cała opisowo-liryczna poezya naszego wieku. Tych środków pomocniczych do wywołania wrażenia Słowacki się zrzekł; „Ojciec Zadżumionych“, miał wzruszyć czytelnika sam, swoją sytuacyą, swojem opowiadaniem zwięzłem, treściwem, tak szybkiem, że na dygressye, na wykrzykniki nawet prawie nie było czasu. Na to potrzebował on w tych krótkich słowach wyrazić w całości, wycisnąć do dna całą boleść swego serca, nic nie opuścić, nie zapomnieć o niczem, co może dać poznać jego cierpienie, pokazać wszystkie po kolei siedem mieczów w swoim sercu, i dać uczuć jak każdy z nich boli a każdy inaczej. Potrzebował prócz tego zachować stopniowanie, cieniowanie i to najtrudniejsze ze wszystkich, bo w tonach najwyższych, najpatetyczniejszych, gdzie rozmaitość i cieniowanie staje się niepodobnem prawie, a stopniowanie tak często prowadzi do przesady, do karykatury. Od pierwszej chwili, kiedy syn najstarszy palony gorączką zarazy wypija tak pożądliwie dzban wody i pada zaraz jak ścięte drzewo, nieszczęście i żal postawione są na stopniu tak wysokim, że wyżej już trudno. Ojciec go traci, a widzi śmierć nad innymi. Tymczasem siedm razy było trzeba tę sytuacyę powtórzyć, za każdym razem inaczej, za każdym ten ojciec musi być nieszczęśliwszym. W potocznej mowie śmiejemy się nieraz z tych, co chcą morze wyczerpać rękami, tutaj morze, ocean, bezdeń boleści, zamknięto na kilku kartkach, tak, że nie braknie ani jednej kropli goryczy. Co za rys naprzykład straszny, a w fizyologii żalu niezmiernie trafny, ten, którym Arab opisuje swoje i żony uczucie po śmierci wszystkich już dzieci:

....„Zamiast nas połączyć,
Boleść obojgu nam rozdarłszy łono,

Zaczęła jakieś jady w serce sączyć —
Smutek podobny był do nienawiści“.

Jak często znowu serce zdrętwiałe i pozbawione już czucia zmięknie na widok jakiejś rzeczy, jakiejś pamiątki i da się nią rozrzewnić, kiedy samo rozrzewnić się nie mogło, ale kamieniało w smutku! Arab płaczący na widok wielbłąda jest znowu taką psychologiczną prawdą nieszczęścia. A co za straszne wrażenie robią te powtarzające się od czasu do czasu słowa:

„Naznaczono mi nowych dni czterdzieści“.

Krytyka mówi o grupie Laokoona, że stoi na tej wąskiej granicy, po za którą patos przechodzi w nieestetyczność i przesadę; „Ojciec Zadżumionych“ jest również bliskim tej granicy: jedno słowo, jeden ton podniesiony, a struna tak nadzwyczajnie naprężona mogłaby się rozstroić. Tymczasem granicy tej nie przystępuje poeta ani razu, i tryumfuje nad wszystkiemi trudnościami i niebezpieczeństwami.

Jak on to robi? Wstępem samym nastraja czytelnika na ton bardzo poetyczny. Podobnie jak w „Szwajcaryi“, daje uwerturę: tylko tutaj ona jest rzewna i jakoby płacząca, tam ponura, rozpaczliwa, bez nadziei i pociechy — a te w niej tony miększe, te wspomnienia dawnego szczęścia, jak przed trzema miesiącami na tem samem miejscu było inaczej, to nie łagodzi tej rozpaczy, tylko ją robi jeszcze czarniejszą i grubszą.

Mięszanina delikatnej czułości, łez, pieszczot, obłąkania prawie i rozpaczy, robi jeszcze silniejsze wrażenie przez przeciwieństwo z otaczającą naturą, pogodną, niezmienną, obojętną na los i cierpienia człowieka.

Kochanowski ma Boga, i życie po śmierci, i nadzieję: sam Lear ma ulgę w obłąkaniu, ma szczęście spotkania z Kordelią, ma wreszcie śmierć; a tu nic, tylko życie długie i uczucie ze wszystkich najcięższe: rezygnacya bez miłości. Job, który także wszystkie dzieci stracił, narzeka, skarży się, wie, że ten Bóg jest dobry. „Ojciec Zadżumionych“ nie narzeka, nie buntuje się jak tamten, oddaje się z fatalistyczną, oryentalną uległością, ale nie widzi ani zmiłowania nad sobą, ani przed sobą nadziei i pociechy. Ta

rozpacz bez granic i ta rezygnacya bez miłości, to nie jest oczywiście myśl ani uczucie Słowackiego, on je dał Arabowi, fataliście. Pierwiastek wschodni widać nie tylko w opisach tak żywo z natury kreślonych, ale zwłaszcza w tej jednej ludzkiej duszy, która tam cierpienia swoje odsłania.

Tu żadnej różnicy, jaka się u niego zdarza tak często, między zamiarem a wykonaniem; żadnej przewagi fantazyi nad refleksyą, gracyi nad prawdą, kolorytu nad rysunkiem.

A zważywszy, że opisywał uczucie, jakiego sam nie doznał, tylko je sobie wyobrażał, że w rozmiarach bardzo szczupłych, musiał zmieścić i wyczerpać całą tragiczność opowiadanej rzeczy, że musiał siedem razy ten sam przedmiot powtórzyć, a zawsze inaczej, że wyczerpał go do dna i nic do domysłu nie zostawił, ale wszystko dobre, wyraźnie dał uczuć i zrozumieć, że grał ciągle w najwyższych tonach, a nigdy żadnego nie przesadził i nie sfałszował, trzeba będzie uznać „Ojca Zadżumionych“ za jeden z wielkich zjawisk artystycznej doskonałości. — Każde prawie z jego dzieł da się odnieść czy do Szekspira czy do Byrona, czy do Kalderona, czy do Mickiewicza, niektóre nawet do Wiktora Hugo. „Ojciec Zadżumionych“ nie miał takich pokrewieństw. Nie szukał Słowacki natchnienia i wzorów do niego ani w sobie, ani w Kochanowskiego „Trenach“. Może kto powie, że „Więzień z Chillonu“, który stracił dwóch braci i który sam dzieje swoje opowiada, mógł dostarczyć wzoru, a przynajmniej impulsu do „Ojca Zadżumionych? Rzeczywiście w sytuacyi i w formie opowiadania można upatrzyć zbliżenie, ale wpływu tam nie ma. W tych latach najprzód już się Słowacki z pod wpływu Byrona był wyzwolił, i poezyą jego nie zajmował. Powtóre, gdyby nawet była jakaś reminiscencya, to nie mówiąc już o nierównie większej u Słowackiego rozmaitości i obfitości zmian i przejść w jednostajnej sytuacyi, przewyższa jego ojciec tamtego brata głębokością swego żalu i rozmiarami swojej natury, a poeta przewyższa poetę i siłą wyobraźni, i sposobami wykonania. „Więzień z Chillonu“ jest przepyszny zapewne i wruszający bardzo, ale jest w przedstawieniu rzeczy mniej energiczny, dłużej mówiący i rozwo-

dzący się, liryczniejszy a nie tak plastyczny, jest w wizerunkach dwóch zmarłych braci cokolwiek konwencyonalny, jest wreszcie urozmaicony zewnętrznymi, mechanicznymi środkami, zmianą rytmu naprzykład. Nie znaczy to wcale, jakoby Słowacki miał być większym od Byrona poetą; ale znaczy, że z tych dwóch dzieł, dzieło Słowackiego jest wyższe.

Dr. J. Tretiak w ocenie „Ojca Zadżumionych“, choć jest o wiele surowszy w sądzie, przyznać musi genialność autorowi.

Czem posąg Laokona w rzeźbie, tem „Ojciec Zadżumionych“ w poezyi. Słowacki pisząc swój poemat, miał nawet na myśli współzawodnictwo z ową rzeźbą, a tak się do niej zbliżył, że przypomina go nawet swoją mową i wyjątkową manierą. Atoli nie ma u Słowackiego tych mąk marmurowych, wyrażonych w ruchach i kształtach tak harmonijnych, że nie z żywej, realnej boleści nie wchodzi w duszę widza. „Ojciec Żadżumionych“ ma zdaniem Dr. Tretiaka niektóre miejsca, które trącą jeszcze sentymentalizmem. Wiersze np.

Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać się będą o synów, o żonę —

jakkolwiek piękny dają obraz, są już zbytecznem i słabszem powtórzeniem poprzedniego motywu, przeczą zwięzłości, osłabiają wrażenie, a to „Naprzód“ wręcz sprzeciwia się naturalnemu tokowi myśli. Czyż nie ma także niepotrzebnego pieszczenia się z obrazami w tych oto wierszach:

A tam nad palmy z twarzą nielitośnie

aż do

I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?

„Blady miesiąc z twarzą nielitośną“ nie wystarcza poecie; dorabia on jeszcze dwa wiersze, które nic nie dają a rażą jakiemś wykrzywianiem się uczucia i w każdym razie przeczą zwięzłości. Do słabszych miejsc, niedostrojonych do ogólnej prostoty, siły i zwięzłości należy jeszcze, podług Dr. Tretiaka, dziesięciowierszowy ustęp, poprzedzający modlitwę muezzina (A ta pustynia — niemasz dzieci,

w grobie! i td.) i ustęp o wróbelkach, który umieszczony zaraz po Hiobowym okrzyku boleści, razi czułostkowością.

U Danta w „Boskiej Komedyi“ jest ustęp analogiczny: męczarnie głodowe Ugolina i jego dzieci. Obraz Danta dzikszy jest, okropniejszy od „Ojca Zadżumionych“; serce czytelnika ściska się gwałtownym kurczem, a ustęp ten jest tak krótki, że zdoła przerazić, wzruszyć, ale nie zmęczyć, i zdręczyć duszę czytającego. Po przeczytaniu jego, pierś oddycha swobodnie; z czeluści piekielnych otwiera się przed nami perspektywa estetyczna, w której straszny dyssonans, tylkoco przebrzmiały, rozwiązuje się w harmonię. U Słowackiego żadna fala nie nadpływa, aby oczyścić, odświeżyć tak długo dręczoną duszę czytelnika. Ostatnie słowa ojca zadżumionych, to słowa złamanego starca, którego boleść nie w marmur się zmieniła, jak powiada p. Małecki, ale raczej w drewno.

Rzekomo drewniana rezygnacya wygląda z końcowych wierszy. Bo i cóż to za Bóg, który został ojcu zadżumionych, jako jedyna pociecha? Jestże to Bóg Hioba, zsyłający na człowieka klęski w pewnych celach etycznych? Jestże to przynajmniej Bóg Prometeusza, mszczący się za wdzieranie się w przywileje bóstwa? Nie, jest to wielki niszczyciel, pastwiący się nad mizernym robakiem bez celu, potrzeby i powodu. Nie ma tu w całym poemacie ani walki, ani próby, ani kary, ale jest od początku do końca z jednej strony niezmęczone pastwienie się ślepej siły wszechmocnej, z drugiej — nieustanne jęki istoty biernej, słabej, nędznej, i to właśnie, co sprawia tak niesłychanie dręczące wrażenie.

Stając przed ojcem zadżumionych wobec gradu klęsk, sypiących się na tego utrapieńca, musimy zapytać: Czego chce autor pokazując nam panoramę mąk swego bohatera? jaka jest myśl poematu? Odpowiedź, jaką nam dać może poemat, jest tylko jedna: panowanie ślepego fatum.

Gdybyż przynajmniej sprawiedliwość, która z pustynnego nieba nie wyziera, żyła w silnem poczuciu, w piersi utrapieńca, gdyby go pobudzała do walki z niesprawiedliwym losem! Gdyby krzyk protestacyi, który raz tylko wydobywa się z piersi nieszczęśliwego ojca w owem strasznem

uwielbieniu niszczyciela, był ostatniem słowem poematu — jużby było nam nierównie lżej. Ale tak nie jest, wiemy, że ostatniem słowem jest martwa rezygnacya. J. Tretiak. Przewodnik naukowy i literacki Lwów 1881, str. 370—5.

Słusznie zwraca prof. Piotr Parylak w swem wydaniu „Ojca Zadżumionych" ze wstępem i objaśnieniami (Arcydzieła poetów polskich z objaśnieniami, Lwów 1884 str. 30) na zakończenie poematu wyrażające zasadniczą mysl poety.

I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga!

Miłość i boleść — powiada P. Parylak — są to potęgi ludzkiego serca, które uszlachetniają i podnoszą człowieka w krainy ducha. O boleści mówi wielki poeta, że kto jej nie zaznał, nie zazna też i niebieskiej łaski. Dowiódł Słowacki tej prawdy na naszym biednym ojcu, który po ciężkiej walce z nieszczęściem, po chwilach zwątpienia i upadku, kiedyto w Bogu widział mściciela, mówi w końcu: „I nie zostało mi nic — oprócz Boga".

Oto najwymowniejsze uszlachetnienie słabego człowieka, spowodowane boleścią, to najpiękniejszy jej owoc, to największe zwycięstwo moralne, które odniósł w tej ogniowej próbie. Od Boga pochodzi wszystko i radość i boleść, w Bogu też znajduje wszystko swe ujście, jako w ostatecznej przyczynie i końcu wszech rzeczy. Ta też myśl stanowi owo ukojenie błogie, którego domagało się serce nasze, kiedy miotane boleścią ojca, nie miało spokoju i równowagi — aż wreszcie doszło do niej, w myśli o Bogu. Podobnie znajduje Kochanowski w boleści swojej po stracie Urszulki pociechę w religii. (Porównaj ostatnie Treny) To właśnie nadaje poematowi temu znaczenie ogólno-ludzkie, to nadaje mu piętno klasycznej miary i niespożytej wartości artystycznej. Ostatnie wiersze „Ojca Zadżumionych" streszczają w zakończeniu krótko to, co na wstępie powiedział poeta, nim, po ogólnem wyjawieniu boleści ojca, przystąpił do szczegółowego opowiadania tej strasznej historyi. Tym sposobem łączy się wstęp tego poematu z zakończeniem, stanowiącem piękne zaokrąglenie całości.

Scenę opowiadania tak maluje P. Parylak: Przenieśmy się razem z poetą w piaszczystą dziedzinę wolnych

Beduinów, na pustynię, której oko nie dojrzy granic. W tej pustyni, w pobliżu miasteczka El-Arish, między Egiptem a Palestyną, zakreślmy sobie szczupłe miejsce w myśli, które jest sceną naszej powieści i miejscem strasznej kwarantany, jaką odbywać musiał najnieszczęśliwszy z ojców, przeżywszy tu „trzy razy wieków czterdzieści". Miejsce to puste, bez żadnego domu, błędnym zawiane piaskiem. Na wzgórku niskim widzimy namiot; opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzyna piasku dolinę i płynie do morza — za nią biała wstęga palmowych lasów, które ożywiają nieco ten grób żywych ludzi; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego, roztrącająca się o piasek i smutnym gwarem fal napełniająca ciche nad pustynią powietrze. Nad morzem, na piramidalnej piasku mogile, błyszczy białą kopułą mały grobowiec Szecha; straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy, a budowa jego i żółtawa białość, nadają mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórza piaskowe, na nich namioty, z których patrzą strażnicy w jaskrawych ubiorach wschodnich; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezyn obwoływał donośnym głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy.

Oto obraz sceny, który znajdujemy w tej powieści, odbity słowami przecudownej a strasznej poezyi, obraz widziany przez krwawe łzy i rozpacz ojca, przez przepaść cierpień najnieszczęśliwszej z matek. Cisza piaskowego stepu i szum morza uzupełniają ten przybytek anioła śmierci.

Mamy tedy mieszkanie pustynne, zbudowane przez P. Parylaka z opisów porozrzucanych w tej historyi boleści, obaczmy teraz, jak opowiada dzieje tych jego mieszkańców. W namiocie powyżej opisanym zastajemy rodzinę arabską, liczną, bo złożoną z ojca, matki, trzech synów, trzech córek i dzieciątka małego, karmiącego się u łona matki mlekiem jej piersi. Osób razem dziewięć.

Obok namiotu dziewięć wielbłądów, które w tej chwili „cicho się pokładły", bo nic dotąd nie zamąciło spokoju i swobody życia w kole rodziny.

Parylak zwraca uwagę, że obraz szczęścia, jakiego używała ta rodzina spokojna aż do dnia, w którym po raz

pierwszy uderzyć miał piorun losu, jest nikły i mały, ramy jego ciasne, jak krótkie było to szczęście. Ojciec biedny, opowiadając dzieje ciosów okropnych, jak stracił wszystkich z dżumy, nie ma słów wiele, aby opisywać jaśniejszą dolę swoję, bo groza położenia jego obecnego, po stracie najdroższych, opanowała całą jego istotę, owładnęła całą jego duszę tak, że zatarła w niej pamięć kilku chwil jasnych dawniejszego życia, tak przytłumiła te wspomnienia początkowe, że tam w tej duszy nie ma dla nich miejsca obecnie, bo boleść silniejsza, która mu łzy wyciska, niż owa radość krótka, która dawniej krasiła jego lica wdzięcznym uśmiechem rozrzewnienia na widok dzieci. To też w kilku tylko wierszach zamknął poeta wzmiankę o szczęśliwej jeszcze rodzinie, i tu, jak w wielu miejscach tej powieści, okazał się wielkim znawcą duszy ludzkiej, głębokim psychologiem. Bo czyż takie nie jest nasze życie, w którem więcej cierni niż kwiatów.

Treść strasznej powieści, przy której czytaniu krew w żyłach się ścina, tak występuje plastycznie: Najprzód umiera syn najstarszy, na którego najmłodsza siostra lekko trysnęła wodą, powróciwszy od małej rzeczułki w dolinie. Z ogniem zapalonym w oku a gorączką wewnątrz, pochwyciwszy dzbanek w drżące dłonie, „powalił się jak palma złamana“. Tejsamej nocy umarły zarażone dżumą, Hafne i Amina. Po dziesięciu dniach od skonu tych dwu córek wyniósł ojciec z trądami dżumy najmłodszego syna „na step pomiędzy wielbłądy, aby go tam śmierć zgryzła do ostatka“.

Wkrótce zabrał anioł śmierci średniego syna, który umarł spokojnie i cicho, a po nim najmłodszą dziewczynę, Hatfę, anioła pocieszyciela rodziców. Po niej w pięć dni weszła niesyta śmierć zdradziecko do namiotu po nową ofiarę, bo oto najmłodsze dziecię, najmilsze i ostatnie, wydawszy straszny jęk, poszło do braci i sióstr pod kopułę Szecha, dokąd je sama zaniosła matka.

Namiot już pusty — został mąż z żoną. Śród grobowej ciszy doczekali tak dni czterdziestu. Przybyli lekarze kwarantany dowiedzieć się, ażali nie dotknięci i oni zarazą. Żona uderzywszy się w stawy, na zlecenie lekarza „tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy, zbladła i zachwiała się z jękiem i upadła“.

Znowu dni czterdzieści pozostał samotnik na swoim cmentarzu; on, który trupy całował, wyszedł sam zdrowo z tej piekielnej kwarantany.

On, dla którego boleść stała się już uczuciem powszedniem, który miał wreszcie „powieki bez łez i serce z kamienia", pędzi życie „bez żadnych bolów, pamiątek, omamień".

Zjawisko to duszy prawdziwe i naturalne; po takich bowiem gromach serce traci wrażliwość, struna po strunie pęka, jeden kwiat uczucia więdnie i usycha po drugim — a w tem sercu, pełnem niegdyś kwiatów, a w tej duszy, pełnej niegdyś nieba, powstaje pustka niczem nie zapełniona, którą nazywamy rezygnacyą.

Plastycznie uzmysłowili tę prawdę psychologiczną Grecy w posągu kamiennym Nioby, która po stracie swych dzieci przemieniła się w martwy głaz.

Pięknie tłómaczy P. Parylak znaczenie osób poematu. Poeta wysunął naprzód, na pierwszy plan poematu postać Araba, który wyraża męski pierwiastek siły odpornej wobec ciosów losu; on bowiem z nim walczy, a nawet w zapomnieniu — widzi w Bogu tylko niszczyciela i zarzuca mu niesprawiedliwość: Arabka zaś, w ukryciu będąca, przedstawia znowu niewieści pierwiastek cichego, w sobie zamkniętego, lecz nie mniej głębszego z tej właśnie przyczyny cierpienia. Bo oto matka ta odgrzebała o północy dziecko swoje, ucałowała usteczka i wzięła sobie pamiątki z grobu jego. Ten czyn więcej może mówi, niż pełne boleści wyrzekania ojca.

„Ojciec Zadżumionych" składa się z kilku trenów niejako, splecionych opisowo w jedną powieść, w której odmalował poeta mistrzowskim pędzlem ogrom żalu i majestat najczystszego cierpienia.

Za pomocą słów, niby za pomocą pojedynczych tonów z wielkiem mistrzostwem dobieranych i w przecudowną symfonię myśli układanych, wydobywa on z duszy naszej, niby z instrumentu natchniony muzyk, najrozmaitsze odcienia uczucia, przemawia bowiem przez usta Araba językiem ogólno-ludzkiej boleści. Prócz Kochanowskiego w Trenach i Mickiewicza w Dziadach, nie ma podobno po-

cty, któryby się w ten sposób umiał odzywać do serca człowieka, kiedy nim miota wielka boleść, głęboka jak przepaść a rozpaczliwa, bo bez nadziei. Zdanie to uzasadnia Parylak na podstawie analizy języka naszej powieści.

W ogóle znamionuje język Słowackiego w „Ojcu Zadżumionych" siła, która się potęguje aż do tragiczności, jeżeli tego potrzeba, lub też słabnie do skali łagodniejszego smutku, rezygnacyi i zobojętnienia. Widnieje wielki dar obrazowania, któremu przysparza dobitności i uroku mistrzowskie użycie i zastosowanie rozmaitych tajemnic języka, wydobytych z jego bogatego skarbca, i zastosowanych do otoczenia a to wszystko owiane, niby tchnieniem anioła boleści, jakąś smętną, często groźną powagą.

Prof. Antoni Mazanowski w gruntownej rozprawie pt. „Ojciec Zadżumionych J. Słowackiego i Treny J. Kochanowskiego, estetyczno-krytyczne zestawienie", w Sprawozdaniu gimn. Lwów, 1892. str. 3—45. wykazuje składowe pierwiastki powieści.

Zasadnicze tło poematu stanowi smutny, ponury nastrój poety, głównego materyału dostarczyły: opowiadanie lekarza i doznane na miejscu wrażenia. Miejsce doskonale nadawało się na teren powieści, wrażenia bowiem smutku mogły się jeszcze spotęgować pod wpływem otoczenia.

Nocna burza, 24 grudnia 1836, dostarczyła również pożądanego motywu. Poeta wtedy nie znał jeszcze losów Araba, gdyż mu je lekarz opowiedział nazajutrz po burzy. A jednakże w poemacie swym pomieścił jej wspomnienia, ponieważ, jak usposobienie jego własnej duszy swiadczyło, mogła taka burza zwiększyć jeszcze przerażenie, trwogę, i rozpacz Araba.

Na razie był to cały materyał: przerażający los Araba, groźna burza i owe akcessorya nieponętnego wcale krajobrazu, a dodać należy, że zlewały się zwolna w duszy z tem wszystkiem własne wrażenia i, w miarę rozmyślań nad losem Araba, kształtowały się w poemat o treści zaczerpniętej z życia, i zasadniczej myśli, jaką poematowi sam poeta nadał, stosując do niej nastrój i ton ogólny.

Żył on dosyć osamotniony i przebywał w owym czasie niejedną chwilę smutną. Cały tedy okres pełen był

rozpamiętywań, wcale niewesołych wrażeń, które przenikały do głębi poetę, pozostawiając w niej trwałe ślady. W klasztorze dopiero w Bet-chesz-ban, w wyobraźni należycie dostrojonej i przygotowanej, poczęły się układać — zdaniem A. Mazanowskiego — wyraźniej zarysy poematu, osnutego na tle wymienionych już pierwiastków. Przez jakie stadya przemyślenia i przeróbek one przechodziły, świadczą zachowane aż cztery opisy tegoż samego zdarzenia. Pierwszy opis, z Dziennika podróży, krótki i ogólnikowy, drugi z listu do matki obszerniejszy, trzeci w poemacie, nastrojony do zgody z całością; nareszcie czwarty, jak przypuszcza A. Mazanowski ostatni co do czasu, równie poetyczny, najobszerniejszy: w owej przedmowie, a w opisie tym zlewają się wszystkie poprzedzające, dając czytelnikowi wcale zmysłowy wizerunek tego procesu, jakiemu ulegała pierwiastkowa sucha dość notatka z dzienniczka. Możemy w procesie tym dokładnie obserwować całą stopniową czynność wyobraźni.

Danem zjawiskiem była opowieść lekarza o strasznym wypadku Araba. W zjawisku tem atoli nie leżał już gotowy cel poematu „Ojca Zadżumionych". Celem nie jest opis wypadków śmierci, jeno zobrazowanie idei wielkiej boleści, stopniowo rosnącej, a zatem nie opis zjawiska zewnętrznego, lecz analiza duchowego stanu.

Z powyższego przedstawienia rzeczy A. Mazanowskiego widzimy, jak stopniowo, bądź to pod wpływem wrażeń zewnętrznych, bądź też osobistych usposobień poety, cel ten wyłania się, zwolna rośnie i potężnieje, przybierając coraz wyraźniejsze kształty, wzbogacając się coraz nowymi szczegółami. Na powstanie poematu składają się po troszę i piaski, i strumień, i morze w dali, i grobowiec, i wielblądy, i muezzin, i namioty, i smutki poety, i tęsknota do kraju, i rzewność przy grobie Chrystusa, i cisza otoczenia.

Budowa poematu jest misterna i harmonijna. W całości i częściach odpowiada ona celowi, służąc jak nie można lepiej ku uwydatnieniu głębokiej boleści po utracie dzieci, a to w rozwoju i wzrastaniu tej boleści.

Obrazowe przedstawienie boleści i smutku jest celem poematu, powieść zaś o Arabie posłużyła jako środek. Skoro

artysta powziął zamiar w pewien zmysłowy sposób wyobrazić różne stopnie rosnącej boleści, to musiał ściągnąć wszystkie nici smutku i związać je w jeden węzeł jednorodnych myśli i obrazów, aby wywołać u czytelników odpowiednie wrażenie. Gdyby np. poemat, mający za cel uzmysłowienie smutku, napełnił obrazami jasnymi i pogodnymi, to cel byłby chybiony.

Oto jak rozbiera A. Mazanowski kompozycyę poematu: Opis pierwszego wypadku śmierci, nie ma jeszcze znamion wielkiej boleści. Chodziło tu raczej o zabezpieczenie reszty dzieci od zarazy, nie zaś o boleść płonną. W ogole opis śmierci pierwszych trojga dzieci, ich pogrzebu i wyrazy żalu jeszcze się ani nazbyt przedłużają, ani też nie mają dźwięków natężonych.

Potem znów krótkie dzieje pożycia nie bez barw weselszych. Wtem nowy grom uderza: umiera syn najmłodszy. Był to już sroższy cios, niż poprzedni, choćby dla tego samego, że obalał złudzenie i stanowił niejako recydywę gojącego się bolu. Ojciec zatem i więcej rozpacza i dłużej. Następuje znów opis życia pomiędzy tą czwartą a piątą śmiercią. Nadeszła najstraszliwsza chwila w życiu Araba — śmierć ukochanej córki. — Opis tego zgonu jest środkową częścią poematu. — Trafnie wykazuje tu A. Mazanowski jednostajny układ poematu. Poeta opowiada zwięźle życie w odstępach między jedną klęską a drugą, poczem opisuje śmierć i pogrzeb. Każdy tedy opis składał się właśnie z dwóch części, zamkniętych wyrazami boleści. Im więcej mogił przybywało w grobowcu szecha, tem boleść była większą i wyrażała się namiętniej. Teraz poeta odmienia nieco tok opowieści. Opisy śmierci stają się dłuższymi. I tak — opis śmierci córki Hatfe składa się z trzech części. W pierwszej maluje poeta jej postać i wymienia w uroczym obrazku jej przymioty, dalej opowiada sen, będący jakoby przeczuciem zbliżającego się ciosu, następnie kreśli śmierć i pogrzeb.

Opis życia uszczuplonej tak znacznie rodziny również jest dłuższy, niż poprzedzające. Poeta nie potrzebował się już ograniczać w tym obrazie życia, gdyż po zgonie najdroższej córki wszystko przybrało dla ojca posępne barwy; nie było już promyka nadziei lub wesela. Szersze

więc omówienie tego ponurego nastroju odpowiadało zupełnie celowi poematu. Jestto zresztą kulminacyjny punkt boleści. Dosięga ona ostatnich kresów rozpaczy w bluźnierstwie przeciw Bogu. W pięć dni po córce zmarło najmłodsze dziecię. Potem pogrzeb i znów życie w pustyni — już tylko we dwoje. Wreszcie umiera matka całego rodzeństwa. Opis z trzech części złożony — jak dwa ostatnie: śmierć, przyczyna jej i pogrzeb. Kończy poemat sprawozdanie z odbytej samotnie kwarantanny i krótkie, w cztery wiersze zamknięte — uwiadomienie o odjeździe. Obejmując ogólnym rzutem oka budowę całości, wykazuje A. Mazanowski że forma zewnętrzna harmonijnie odpowiada i posiłkuje cel poematu. W miarę tego jak klęski gęściej padają, potężnieje boleść, wyraża się namiętniej, opisy się rozszerzają, stają się dłuższymi i dokładniejszymi. Cały horyzont posępniejąc zwolna i stopniowo, okrywa się czarnemi chmurami smutku i bolu. Nie widać ani jednego weselszego promyka. Tak artysta potrafił skupić i zjednoczyć wszystkie promienie smutnego uczucia w jedno ognisko — a w formie zewnętrznej z przedziwną miarą i rozwagą zastosował do treści obrazy, jak również ich koloryt. Jeżeli fabułę poematu zawdzięczał poeta opowiadaniu lekarza w czasie kwarantanny, jeżeli ram i ornamentyki dostarczyła okolica El-Arish, jeżeli idea „Ojca Zadżumionych" wyrosła z tych nasion smutku, jakie kiełkowały bądź to w łonie ludzkości ówczesnej, bądź w sercach polskich, bądź też w duszy poety, to plan był rzeczą gruntowego namysłu i rozwagi. Słowacki często, nim przystępował do tworzenia, układał sobie dyspozycyę. Przekonywamy się o tem, czy to z ogłoszonych świeżo planów dwóch spółczesnych prawie poematów: „Rhamezesa" i „Posielenja", czy też z planów późniejszych utworów np. „Beniowskiego", dotyczących nawet poszczególnych pieśni poematu. Nie ulega tedy wątpliwości, że i misterny układ Ojca Zadżumionych wynikł z głębokiego i rozważnego namysłu, a temu to właśnie zawdzięcza przedziwną jednolitość nastroju, podobnie jak zwięzłość i ciągłość jego wypłynęła stąd, że był pisany odrazu, bez przerw, w stosunkowo krótkim przeciągu czasu.

„Ojciec Zadżumionych" zespala się ściśle z naturą. Zaraz na początku wyobraża sobie Arab, że gdy powróci

do domu bez dzieci, pytać go o nie będą pomarańcza, kwiatki córek, chmury, echa — jednem słowem cała gór rodzinnych przyroda, która kochała i nawzajem doznawała miłości od dzieci. I zaraz po stracie pierwszych trojga dzieci Arabowi wydaje się, że słońce już nie takie, jak wczoraj, lecz do upiora podobne, że niebo mgliste i grube, że Bóg zakrył się chmurą przed nim. Po zgonie córki cała równina wydaje mu się „piekielną", morze dlań nie szumi, lecz „płacze", „wyje". W czasie zaś tej okropnej burzy, jaka poprzedziła zgon niemowlęcia, zdawało się ojcu, że te wycia wichru — to przeraźliwe, głuche jęki zmarłych dzieci. Podobnie jak „Więźniowi Czyllonu", do którego jest nasz poemat zbliżony, przyśpiewuje ptaszek, tak ojca zadżumionych pociesza „twarzą litośną" wielbląd, zazierający do pustego namiotu.

U Byrona jednak wszystko posępne, ponure; blade światło czołga się jak meteor bagniska, bałwany morskie ciska „zimną pianą", otchłań ciemna. U Słowackiego wszystko przybiera — gorące barwy: księżyc złoty, niebo lazurowe, pustynia jasna, złocista; namiot „od piorunów cały się czerwieni", słońce wschodzi „jak skrawa pożaru pochodnia", nawet ciała ludzi są żółte, jak bursztyn. Słowacki uwzględnił tu koloryt wschodu, na tle którego rozwija się akcya dramatu i odtworzył ten krajobraz po mistrzowsku.

Wszystko przybiera tu zmysłowe kształty; nawet oderwane pojęcia, poeta przypisuje im zdolność nie tylko czynu ale współczucia i mowy ludzkiej. Płótna namiotu posępnym szelestem opowiedzą dzieje mieszkańców, śmierć odlatuje na gwiazdy, morze skacze, wyje itp. wszędzie śmiałe i nowe obrazy. Poeta zamienia język pojęć na język wyobrażeń zmysłowych; kojarzy wyobrażenia pod względem treści najróżnorodniejsze; powiększa czas stosownie do swych widoków (np. trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści). Pomimo obfitości obrazów, przedziwna prostota i jasność myśli charakteryzują cały poemat. Wzniosłość łączy się tu z prostotą.

Nastrój i podstawę poematowi dało — uczucie smutku. A jak rozległą jest skala tego uczucia od żalu, dotkliwego, prawie fizycznego bolu aż do rozpaczy, od zdrętwienia, ostatecznej nieczułości, aż do potwornej rozkoszy i lubowania

się w rozdrapywaniu ran własnych — znajdą się tu wszystkie przejścia i tony tego uczucia. Stopniowanie przeprowadzone po mistrzowsku, a nawet w chwilach najwyższego natężenia uczuć boleści, umiał poeta zachować właściwą miarę i nigdzie nie zabłąkał się na manowce sztucznego, fałszywego patosu.

W zestawieniu „Ojca Zadżumionych“ z „Trenami“ Jana Kochanowskiego, w studyum Prof. A. Mazanowskiego, uwzględniono przedewszystkiem tę okoliczność, że to dwa dzieła sztuki, z których jedno powstało w wieku XVI., drugie w XIX., jedno stworzył człowiek odrodzenia klasycyzmu spokojny, harmonijny, prawdziwe dziecię muz Helikonu; drugie zaś romantyk w każdym calu, melancholik, jak mimoza wrażliwy i miotany nieustannym wichrem gwałtownych uczuć. Dwa te usposobienia — to dwa przeciwne prądy elektryczne.

Pomimo podobieństwa żasadniczej myśli, jest nią głęboka boleść ojca po stracie najdroższego skarbu, pomimo jednakiej niemal formy, gdyż śmiało możnaby nazwać Ojca Zadżumionych trenami, istnieją pomiędzy obu utworami znaczne różnice. Treny są wyrazem osobistego bolu Kochanowskiego po stracie córki. Odczuwamy boleść jego tak, jakbyśmy współczuli z kimś zbiska nam znanym i miłym. Ojciec Zadżumionych, choć jako Arab obcy nam pojęciami etycznemi i religijnemi, porusza w nas owe głębsze struny i węzły, jakie nas łączą z całą ludzkością.

Lutnia Kochanowskiego błąka się wprawdzie czasem po manowcach rozpaczy i zwątpienia, kłóci się z rządem niebios, wypowiada owo Szekspirowskie: „jeżeliś jest“ — słowem okazuje wymownie, że mistrz jej był synem wieku, który zachwiał posadami średniowiecznej wiary. Ale też pod koniec, jak Polska wieku reformacyi, powraca na łono kościoła.

Ojciec Zadżumionych miota straszliwe złorzeczenia i bluźnierstwa Bogu. Po nich atoli nie ma wcale żalu ani ekspiacyi. Arab nie prosi Boga o przebaczenie — a Bóg nie zsyła mu ukojenia w rozpaczy. I rośnie ta rozpacz i ogarnia coraz potężniej duszę ojca tak, że ona drętwieje z bolu i zamiast miłością bratać się z pozostałymi, trawi się głucho w sobie i pała nienawiścią. Nie ma w nim

walki wewnętrznej, nie ma fluktuacyi od zwątpienia do pociechy, od rozpaczy do wiary. Arab jest epigonem Prometeusza, Manfreda i tych wszystkich opornych duchów, jeno epigonem zgnieciony̨m przez nieszczęście. Bluźni Bogu, ale w duszy swej nie ma żadnej podpory ni siły, coby mu wróciła pociechę i spokój.

I w poglądzie na świat i przyrodę wykazuje A. Mazanowski wielkie duchem czasu zawarunkowane różnice w obu poematach. Słowacki widzi w naturze siły, które wywierają na losy jej wpływ dodatni lub ujemny, uosabia je, każe im mówić i wykonywać czynności. Jestto kąt widzenia nowożytnej poezyi. Kochanowski zapatrywał się na przyrodę przedmiotowo i usunął ją w duchu wieku ze swego utworu. Treny są poematem wyłącznej liryki osobistej, utwór Słowackiego zaś liryczno epicznej natury, jest dziełem mistrza, po za osobistem stojącego uczuciem, obejmującego okiem szersze widnokręgi uczuć.

Poemat Słowackiego jest pod względem artystycznem doskonalszy, bogactwo i śmiałość obrazów większa, budowa bardziej harmonijna, Słowacki bowiem w umiejętnem oszczędzaniu barw, aby całość w jedną ułożyła się całość, a żadnej części nie zabrakło charakteru i barwy, okazał się w tym utworze mistrzem niezrównanym; natomiast Kochanowskiego poemat prostotą, szczerością i głębią ojcowskiego uczucia a także samą osobistością ojca, wydaje się milszym, bo więcej swojski, więcej rodzinny.

Oto są główne, pomiędzy dwoma poematami, podobieństwa i różnice, jak je wykazał A. Mazanowski. Z pośród innych, formalnej już natury, to może najwięcej uderza, że w obu środkowym punktem żalu jest śmierć córki: Urszuli w Trenach, Hatfy w Ojcu Zadżumionych. Najpiękniejszą i najrzewniejszą częścią Trenów są ustępy, w których ojciec rozpamiętywa przymioty Urszuli; Ojciec Zadżumionych podobnie z boleścią rozważa życie Hatfy. Głównym rysem Urszuli było to, że ożywiała dom cały, rozpraszała troski rodziców swym szczebiotem, pomagała matce w gospodarstwie; głównem znamieniem Hatfy jest taż sama wesołość, ta sama skrzętność i ruchliwość: obie pozostawiają po sobie pustki w domu i żal nieukojony.

Str. 128. w. 112. Ojca Zadżumionych:

Oby nie umarł! lub się był nie rodził!

przypomina wiersze J. Kochanowskiego w Trenach:

Moja wdzięczna Urszulo, bodaj ty mnie była
Albo nie umierała, lub się nie rodziła.

W obszernem studyum, umieszczonem w „Bluszczu“ Warszawa 3 (15) lutego 1894 Nr. 7—8. p. n. Juliusz Słowacki w Egipcie (27. września 1836,—2. stycznia 1837) przez Ferdynanda Hösicka, mamy pięknie opowiedziane wszystkie okoliczności towarzyszące powstaniu tego arcydzieła literatury. Podajemy je w tej prawie poetycznej formie, jaką się posługuje w ogóle p. Hösick w swych rozprawach:

Po przygotowaniach do podróży w Kairze, wyruszyli J. Słowacki i Zenon Brzozowski na olbrzymią pustynię Suez, (tę, którą tak cudownie opisywał Sienkiewicz w swoich „Listach z Afryki“) na wielbłądzie. Lokomocya ta nie należy do liczby najmniej męczących. W każdym razie posiadała zarówno dla Słowackiego, jak i dla jego towarzysza, jeden niezaprzeczony urok: urok nowości. Sama myśl, że mają odbyć podróż na wielbłądzie, całą karawaną, nie mogła się im nie uśmiechać. Od czegoż byli młodzi, żądni wrażeń i przygód nadzwyczajnych? Zakupiwszy więc, co było potrzeba na drogę, dnia 15. grudnia 1836 r., po serdecznem pożegnaniu z Hołyńskimi, owym doktorem rosdakiem, który leczył Brzozowskiego, i owymi kilku Polakami, którzy im *ciceronowali* po Kairze, puścili się Słowacki z Brzozowskim na wschód, do Gazy.

Czas był najpiękniejszy, a jazda przez pustynię w cieniu namiotu, rozpiętego na grzbiecie wielbłąda z dwoma służącymi i w otoczeniu Beduinów, zapowiadała się bardzo oryginalnie. Już samo dosiadanie wielbłąda dawało niemało powodu do uwag. W swoim białym płaszczu flanelowym, arabskim, który sobie kupił był na wyjezdnem w Kairze, a w którym wyglądał jak krzyżak (porównanie tem trafniejsze, że jechał przecież do Jerozolimy), uważał Słowacki, że „życie takie i podróż taka ma dziwny powab“. Wielbłądy idąc drogą, pasą się wonnym amaryntem; podróżny zamienia się w pasterza, Beduini śpiewają, gdzie

spojrzeć, wszędzie pustynia, piaski, spiekła trawa, kaktusy, gdzieniegdzie stoi palma samotna, cicha, smutna; w powietrzu mignie od czasu do czasu jastrząb, niekiedy spotka się stadko gązeli skaczących, słońce grzeje, ale nie dokucza, aż wreszcie nad wieczorem zachodzi przepysznie, i tak upływa cały dzień. Z nastaniem zmroku, karawana się zatrzymuje, przyklękają wielbłądy, podróżni zsiadają. Beduini rozpalają ogniska, paląc krzaki cierniowe, które płoną lekkim płomykiem, jak koronki brabanckie, potem zaczyna się gotowanie wieczerzy i rozbijanie namiotów, najczęściej pod jaką palmą albo skałą, nakoniec zas, po spożytym posiłku, nocleg na ziemi, na kocach podesłanych mchem, pod osłoną namiotu, przy migotaniu gwiazd i wyciu szakali, podobnem do nocnego ujadania naszych psów wiejskich.

Pierwszą noc spędzono w miejscu tak oryginalnem, że istotnie, tylko na pustyni można sobie w ten sposób lekceważyć ponury majestat śmierci: wychodząc z zasady, że pod jakimkolwiek dachem musi być lepiej spać, aniżeli pod gołem niebem w namiocie, zdecydowano się nocować... w grobie Szeika, jakiegoś świętego tureckiego. Była to biała kapliczka z kopułką, jakby mały meczecik, złożona z dwóch izdebek, cienkim murem przedzielonych, z dwoma okienkami w murze, przez które zszedłszy do jednej izdebki, widziałeś, co się dzieje w drugiej. W jednej leżał trup Szeika, w drugiej ułożono posłanie dla Słowackiego i Brzozowskiego. Na domu, przed grobowcem, koło ognia, leżały, żując paszę, rozjuczone wielbłądy. Tuż przy nich spali służący i Beduini. Nad kapliczką rosło wielkie czarne drzewo figowe, w którem przez całą noc śpiewał puszczyk.

Nocleg ten jeden znajekscentryczniejszych, jaki wymyślić można, (którego w naszych czasach nie powstydziłaby się nawet Sarah Bernhardt, sypiająca w trumnie) silnie się wraził Słowackiemu w pamięć. Nic dziwnego, że po wielu latach jeszcze, pisząc *Beniowskiego*, kazał bohaterowi swemu w podobnym grobowcu Szeika jedną noc przepędzić, nadmieniając że i jemu zdarzyło się kiedyś coś podobnego:

W mogiłce Szecha — był to grób osobny
  Na górach, z białą kopułą glinianą —
Leżał mój rycerz nadzwyczaj podobny

Do męczennika, bowiem go związano.
A nad nim śpiewał nocy ptak żałobny.

Beniowski, cześć druga, pieśń IX., Pisma pośmiertne J. Słowackiego tom II. pag. 63.

Trudno o plastyczniejszy przykład owego procesu przetwarzania się w umyśle poety — *Wahrheit* na *Dichtung*. Słowacki tymczasem, nie wiedząc jeszcze, że mu z czasem nocleg ten rymami unieśmiertelnić przyjdzie, zbudziwszy się rano, o wschodzie, „otrząsnął włosy senne z prochu Szecha“ i w dalszą z całą karawaną puścił się drogę. I szli tak tydzień przeszło tą pustynią, którą przed wieki Mojżesz prowadził za sobą lud Izraela z niewoli egipskiej, aż wreszcie dnia 22. grudnia stanęli na granicy Egiptu i Syryi, nieopodal miasteczka El-Arish.

Tutaj czekała ich kwarantanna; albowiem, jak w swojej przedmowie do „*Ojca Zadżumionych*“ powiada Słowacki, wymysłem to jest dziwnym Mahomeda-Ali, że między dwoma swojemi państwami naznaczył myślą na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tem miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i lekarza, inaczej nie mogą się dostać z Egiptu do Palestyny.

Słowacki, przybywszy tu, kiedy mu powiedziano, że musi wśród tej smutnej równiny piaszczystej przez dwa tygodnie blisko zamieszkać, nie mógł pojąć zrazu — sam to przyznaje — jak miejsce puste, bez żadnego domu, gładkie jak stół, otoczone dokoła wzgórkami piaszczystymi i nic więcej, może prawu ludzkiemu podlegać, ale powiada, miecz baszy zdawał się wisieć w błękitnem niebie nad głową jego przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny, zaraz kazali wielbłądom uklęknąć, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo strasznego człowieka.

Po niejakim czasie zjawił się doktor miejscowy, pan Steble, zrewidował ich, ostukał, opukał, wyznaczył miejsce, gdzie mogli rozpiąć namioty, określił obręb, za który nie wolno im było przechodzić, a dowiedziawszy się (od Brzozowskiego zapewne), że jednym z podróżnych jest poeta, obiecał wszelkich dołożyć ze swej strony starań, ażeby im

pobyt pod otwartem niebem, o ile możności, jak najmniej dokuczliwym uczynić. W tym celu widząc, że mają tylko jeden namiocik, kazał ze składu wydać jeszcze dwa inne, dla nich i dla Arabów (choć tym ostatnim dostał się tak podarty, że „słońce było w nim panem"), poczem przyrzekł przysyłać im codziennie świeże pieczywo, nie wspomniawszy nawet, że to rączki jego żony grzęznąć będą w białej i srebrnej mące, ażeby dogodzić nieznajomym pielgrzymom i nie zostawiać ich bez europejskiego chleba.

Po odejściu doktora, z którym mieli się w ciągu tej kwarantanny bliżej zapoznać, ile, że przyjemnie mu było odwiedzać ich od czasu do czasu i rozmawiać o Europie, o Włoszech i mieć przytem do czynienia z cywilizowanymi, intelligentnymi ludźmi, rozbito namioty, wygrzebano w piasku małą kuchenkę, Słowacki rozlokował się w namiocie dra Steble, Brzozowski w swoim własnym, aż wreszcie, skoro zdołali się już każdy u siebie urządzić, nie pozostawało im nic innego, tylko siedzieć, czekać i... przywykać powoli do smutnego widoku, jaki ich otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów.

Od północy, błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze: nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szeika, straszny, albowiem tam, w jego lochach, składano umarłych z dżumy... Z innych stron wzgórza piaskowe i na nich straży namioty i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych oryentalnych ubiorach, w środku zaś doliny, niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się można schronić na przypadek deszczu — słowem: pustynia, kraina zastygła, przerażająca swą odrętwiałością, pełna martwoty — pustynia, o którejby powiedział Sienkiewicz, że odczujesz w niej wszystko, z czego się składa śmierć, nie odczujesz tylko miłosierdzia.

Atoli spokój ten, pomimo swojego smutku, na skołataną duszę Słowackiego oddziaływał kojąco, zbawiennie,

do tego stopnia, że jeszcze w cztery lata później, w liście do autora *Irydiona*, umieszczonym na czele „Lilli Wenedy“, z niejaką lubością przypominał sobie „złote pustynie Suez, na których, jak powiada, tak mi dobrze było, gdym się tylko za słońcem i gwiazdami kierował“. Ta cisza „piaskowego stepu“, zakłócana jedynie melancholijnym szumem morza, do którego mu chodzić pozwalano, wziąwszy z sobą jednego ze strażników kwarantanny, rozmarzała go, nastrajała rzewnie, „podnosiła“. Błękit morski przypominał błękit jeziora Genewskiego, a ze wspomnieniem Lemanu szło nieodłącznie w parze wspomnienie Maryi Wodzińskiej. Chętnie powracał wciąż myślą do niej, znajdował w tem coś w rodzaju duchowego pokarmu, którym odżywiać mógł swoją imaginacyę. Na takich dumaniach, przerywanych długiemi gawędami z Brzozowskim lub z doktorem Steble, który ich często odwiedzał, upływał mu cały dzień. — Podczas jednej z takich pogadanek opowiedział im doktor Steble tragiczną historyę pewnego starca, który siedząc tu przez trzy miesiące w kwarantannie, utracił żonę i ośmioro dzieci i został w końcu sam z bratem. Opowiadanie to na Słowackim wstrząsające uczyniło wrażenie. Mimowoli przypomniał mu się „Ugolino“. Wyobraźnia jego, wprawiona w ruch, poczęła sobie uprzytomniać ten wypadek na pustyni — i tak zrodził się pomysł „Ojca Zadżumionych“.

Surowym materyałem również, z którego dałby się niejeden wysnuć poemat wschodni — w rodzaju Moore'a, były opowiadania ich drogmana, Solimana, pięknego Araba z długą brodą, który nieraz, bywało, chodząc ze Słowackim, nad morzem i zbierając z nim muszle, opowiadał mu swoim włosko-francusko-anglo-arabskim językiem różne legendy miejscowe jak np. o Mahomecie i jego rozmowie z sarną i wielbłądem.

Co wieczór też prawie musiał im Soliman, sławny z tego i chełpliwy, że był niegdyś tłómaczem Champolliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadać o swoich dawnych panach różne szczegóły z ich życia podczas podróży (i ze mnie, myślał sobie Słowacki, zbiera on zapas małych spostrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników) albo też, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, oświecony wzierającym między płótna księżycem,

śpiewać monotonne, płaczliwe strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały ich do snu... A wtenczas, powiada Słowacki, może mnie anioł znów okrywał płaszczem Solimy i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach. Ze dworu tymczasem, od strony pustyni, dolatywały „hyjen przeraźliwe wycia“. Zresztą „cisza ogromna“ zalegała namiot. „Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła“; zgoła żadnego innego jęku ni szelestu.

„Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym z życia mojego, o tym złotym stepie i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się, przez roztworzone płótno, oczy moje napotykały konstellacyę Oriona. Dosyć o tym cichym tygodniu życia: przeminął“.

Zanim przeminął jednak, zakłóciła tę niezmąconą jego ciszę... szalona burza. Było to w samą wigilię Bożego Narodzenia. Brzozowski grał na czekaniku i śpiewał kolendy; Słowacki, słuchając, był myślami... w domu, w Krzemieńcu, przywodząc sobie na pamięć owe dnie, które spędzał dawniej na ucztach w gronie rodzinnem, kiedy nagle, przygnana przez wicher z morza Czerwonego na Śródziemne, nadciągnęła straszna nawała chmur, nastała okropna ciemność, rozświecana tylko co chwila oślepiającemi błyskawicami, zerwał się wiatr, który wyjąc głucho, począł prószyć piaskiem do wnętrza namiotu; po chwili ryknęły pioruny, aż wreszcie przyszła ulewa najokropniejsza, na jaką się Słowackiemu zdarzyło patrzeć w życiu. W smutne i zamyślone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie...

„Anhelli myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą“.

I tak przez całą noc prawie. Grom spadał, hucząc po gromie, — jak opowiada nieszczęśliwy „Ojciec zadżumionych“ — a wszystkie tak były bliskie, iż każda chwila wydawała się już ostatnią. Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot Słowackiego chwiał się nad nim, a zaczerwieniony od piorunów wydawał się, jak powiada poeta, ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem. Świeca, po kilkakroć zapalana, zawsze gasła, a po niejakim czasie wilgotny knot wcale zapalić się nie chciał i trzeba było po-

przestać na świetle błyskawic. W końcu, deszcz przedarł się przez płótno namiotu; na ziemi, gdzie leżały posłania, potworzyły się kałuże, które podmywając pościel, zniewoliły Juliusza, że zwinął wszystko w jeden pakiet, i jak powiada dowcipnie, sam musiał się zamienić w parasol swoich rzeczy. Ale nie na dowcipkowanie zbierało mu się w tej chwili, bo prawdziwie biblijną wielkością nacechowana była ta burza w pustyni, burza, której obraz znalazł się później odbity w „Ojcu Zadżumionych", gdzie go Słowacki, jak powiada, we właściwszem jeszcze pokazał świetle czytelnikowi, albowiem kazał patrzeć nań... przez łzy ludzkie.

Ale skończyła się nareszcie ta bezsenna noc zgrozy. Nad rankiem, kiedy Słowacki wyszedł z namiotu, aby zobaczyć, co się z towarzyszem jego stało i kiedy sobie winszowali, że wyszli cało z tego piekielnego koncertu piorunów, deszczyk drobny „zasmucał powietrze". Szare niebo zdawało się wisieć nad samą ziemią. Wiatr ustał. Tylko morze rozbijało się z grobowym hukiem o wybrzeże. Przekonani, że po tem, co było, nic gorszego nastąpić już nie może, zziębnięci i przemokli do nitki, Słowacki i Brzozowski poczęli przemyśliwać o śniadaniu i suszeniu rzeczy, kiedy nagle przeraźliwy krzyk Arabów o nowem uwiadomił ich niebezpieczeństwie. Oto rzeczka owa, gdzie wczoraj drobna sączyła się nitka wody po piaszczystem korycie, nabrzmiała nocną ulewą, poczęła wzbierać gwałtownie, przerywać brzegi i białemi, krągłemi falami, podobnemi do pletw srebrnych, rozlewać się po dolinie. Na widok takiego *periculum in mora*, rzucili się obaj wraz z Arabami ratować czemprędzej nieobeschłe jeszcze z nocy namioty, które się im też szczęśliwie na najbliższy wzgórek przenieść udało; a ledwo je uprzątnęli, zaraz przyszła woda i napełniła owe kręgi, które jako ślady ich zerwanych domów, widniały na piasku. Ponury, głodny, szczękający zębami z zimna, drżący jak w febrze, patrząc ze wzgórka na tryumf tej nędznej rzeczułki, szczególnego doznawał Słowacki, jak powiada, uczucia, które później w przedmowie do „Ojca Zadżumionych" określił w następujący sposób: „Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli

ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którem stałem, a wszystko to trzeba było własnemi siłami wytrzymać, ocalić się, lub zginąć... pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli“.

Podobne refleksye snuły mu się po głowie przez całe pierwsze święto Bożego Narodzenia, które im przeszło smutno, najprzód na suszeniu garderoby, a następnie na rozbijaniu namiotów. Nauczeni doświadczeniem, wybrali teraz na obóz najwyższy wzgórek, jaki był w okolicy. Pierwszej nocy jednak, pomimo wysiłków, nie zdążyli uporać się z namiotami, tak że spać musieli pod gołem niebem, na wilgotnym piasku, nakrywszy go rogożą i dywanami.

Ale wyjaśniło się nakoniec niebo i nastał szereg dni pogodnych, jak wymarzonych:

Słońce wschodziło w upały czerwone,
Jak jaka krwawa pożaru pochodnia.

Maluje ten gorący wschód bez świtu H. Sienkiewicz w „Listach z Afryki“.

Toń morska wygładziła się znowu, ziemia poczęła się miejscami zielenić; pod laskiem palmowym (do którego było także Słowackiemu wolno chodzić w towarzystwie strażnika) ukazały się kwiaty, w rodzaju hyacentów; i tak zastał poetę w El-Arish Nowy Rok poprzedzony bardzo silnem trzęsieniem ziemi. O dobrym humorze, w jakim Słowacki był tego dnia 1. stycznia 1837 świadczy wiersz *Z powinszowaniem Nowego Roku*, posłany Brzozowskiemu na dzień dobry, a zaczynający się od:

Wielmożny Panie!
Powinszowanie
Nowego Roku,
Co pęta w kroku
Na tej pustyni,
Niech cię uczyni
Bardzo wesołym...

Nakoniec d. 2. stycznia upłynął termin kwarantanny i dalsza droga stała otworem. Rano przyszedł doktor Steble, zbadał podróżników, a przekonawszy się, że są zdrowi, oświadczył, iż mogą jechać. Przedtem wszakże, na pożegnanie, prosił: czy nie chcieliby wypić z nim razem w jego domu filiżankę kawy? Ale wielblądy, już okulbaczone i osiodłane, czekały na nich, klęcząc, więc, ponieważ trudno się było oprzeć prośbom klęczących wielbłądów, podziękowali doktorowi za gościnność, przeprosili, że z niej korzystać nie chcą i wymówiwszy się pośpiechem, pożegnali El-Arish i pana Steble, nie wypiwszy u niego kawy, ani podziękowawszy jego żonie za pieczywo, które, jak mówiono, sama dla nich piekła codziennie... Nie wiedzieli, jak sroga za niedelikatność tę miała ich spotkać kara. Ale dowiedzieli się o tem wkrótce i nie mogli sobie pospiechu, z jakim opuszczali El-Arish, darować. Bo cóż się okazało? Oto, że panią doktorową Steble była sławna piękność na wschodzie, panna Malagamba, o której Lamartine, w pierwszym tomie swego dzieła *Voyage en Orient* z takiem uniesieniem rozpowiada, a którą odwiedzić, poznać i przekonać się czy rzeczywiście jest tak piękna, jak ją opisuje autor *Jocelyna*, miał Słowacki specyalnie polecone od Hersylki. Kiedy wyjeżdżał z Neapolu, wciąż mu przypominała, ażeby złożył swą czołobitność pannie Malagambie, przyrzekł, że to uczyni, tymczasem w chwili, kiedy się dowiedział, że panna Malagamba została panią doktorową Steble, było już, niestety, zapóźno. Tłómacząc się z tego później przed siostrą, nie mógł odżałować tej jakiejś obojętności dziwnej, która go nie natchnęła ciekawością poznania młodej pani Steble, a uczuciu temu dał w liście swym do Januszewskich, z Liworno pisanym, następujący wyraz: „Pani doktorowa podałaby mi, zwyczajem wschodnim, kawę i nawet pocałowałaby mię w rękę, bo taki jest zwyczaj na wschodzie. I wszystko opuścić przez jakiś dziwny pośpiech! Ale przynajmniej — pocieszał się po niewczasie — jadłem chleb jej najpiękniejszemi rączkami pieczony. A dyabeł-że mógł wiedzieć, że jest teraz panią doktorową kwarantanny i że na pustyni mieszka między Gazą a Kairem!

Szczęśliwszym pod tym względem od Słowackiego był Lamartine, którego owa piękność zwyczajem wscho-

dnim, pocałowała w rękę na pożegnanie, jak o tem świadczy następujący ustęp z jego *Voyage en Orient*: „Nous nous levâmes et nous fûmes forcés, pour obeir aux usages du pays, de laisser M-me et M-lle Malagamba appocher leurs levres de nos mains, et nous remontâmes à cheval".

Czas napisania i wykończenia „Ojca Zadżumionych" odnosi Ferd. Hösick do epoki florenckiej. Bezpośrednią do tego pobudkę miał dać posąg opłakującej stratę swych dzieci Nioby, posąg, który przejmował go zachwytem, przed którym urodził się w wyobraźni poety równie z boleści skamieniały „Ojciec Zadżumionych". Widok tej matki, rozpaczającej nad trupami wszystkich swoich synów i córek (którą to chwilę tak pięknie opisał Owidyusz w księdze VI. swoich „Przemian") przypomniał mu naprzód Ugolina, z komedyi Boskiej Dantego, potem Treny Kochanowskiego i księgę Hioba z pisma św. a w końcu owo opowiadanie doktora w El-Arish o pewnym starcu, który siedząc w kwarantannie przez 3 miesiące „9 osób utracił na zawsze i został sam z bratem". Tu więc w galeryi pałacu Ufizzi, przed posągiem płaczącej Nioby, miało zdaniem F. Hösicka, powstać największe arcydzieło poezyi Słowackiego, które napisane w ciągu zimy 1837 r., w szczęśliwej równowadze ducha, miało być jedynym jego utworem, wolnym od wszelkiego zarzutu. Por. Tygodnik illustrowany nr. 1 (210) serya V., tom IX. z 25. grudnia (6. stycznia) 1894.

Cezary Jellenta (Napoleon Hirszband) wykazując w dziele „Ideał wszechludzki w poezyi spółczesnej" (Warszawa 1894 str. 149 i nast.) wpływ Byrona na twórczość naszych poetów a zwłaszcza Słowackiego widzi w „Ojcu Zadżumionych" naśladowanie Więźnia Czyllona. Rzecz dziwna, powiada on, iż dotąd przeoczają naśladownictwo w jednym z dyamentów twórczości Juliusza — „Ojcu Zadżumionych — który stanowi dosyć bezceremonialną parafrazę „Jeńca Czyllonu". Różnice są dość błahe. Nic to bowiem, że tam cierpi więzień, a tu wędrowiec, jeden w Sabaudyi, drugi na pograniczu Syryi i Egiptu: obadwaj patrzą na skon całego swego rodzeństwa i znoszą męki Nioby, tem straszniejsze, że powolniejsze i zrozumialsze dla nas. Bonnivard traci stopniowo ojca i sześciu braci, ofiara dżumy — żonę i siedmioro dzieci — różnica nader mała zaiste.

Tamten skupił najdroższą swej miłości cząstkę na najmłodszym bracie, ten na najstarszej córce Hatfie. Ich skon stanowi punkt kulminacyjny bolu w obu poematach, poczem nastaje znieczulenie; a tu i tam zwłoki ulegają profanacyi: grabarze kwarantanny nieostrożnie zawadzają hakiem o pierś dziewczyny, a stróże Chillonu u nóg Bonnivarda zakopują ciało brata, po którym ze zgrozą stąpać musi przykuty do słupa. Jednego do łez rozrzewnia ptaszyna, zaglądająca do lochu, drugiego głowa starego druha wielbląda, odchylającego skrzydła namiotu. Jeden mówi: *jam już łańcuchy swoje ukochał;* drugi: *jam do ciemnego już przywykł namiotu.* Potrzebaż dalej snuć ten łańcuch analogij? Niech go sobie ciekawy dociągnie do końca, porówna język obu martyrologij, ton początku i zakończenia, a przekona się, że fakt zaczerpnięcia przez Słowackiego tematu z opowiadań lekarza — nie ocala go od zarzutu *systematycznego* naśladowania. A jednak „Ojciec“ przewyższa „Jeńca“ o nieskończoność — nieskończoność realnie, w całym swym przebiegu, odmalowanej boleści.

Str. 119. w. 4. „Wymysłem to jest dziwnym *Mohameda-Ali*“ aż do „ale miecz Baszy zdawał się wisieć nad głową przewodników“.

Mohamed-Ali, wicekról Egiptu, ur. w r. 1796. mianowany przez Portę baszą i namiestnikiem Egiptu 1805., był władcą samowolnym, czego dowodzą następujące fakty: W celu poprawy finansów kraju, wywłaszczył i wygnał mnóstwo właścicieli z ich posiadłości, oraz ściągnął na skarb dobra zakładów pobożnych. Aby się pozbyć Mameluków, zaprosił wszystkich bejów mameluckich w Kairze na wielką uroczystość i kazał ich przez zaczajonych w korytarzu Albańczyków wystrzelać i wykłuć. Tym sposobem rozszerzył swe panowanie nad Nubią i Kordofanem a w 1831—2. dokonał podbicia Syryi, owego naturalnego wału Egiptu. Na mocy pokoju, zawartego z Portą, został namiestnikiem całej Syryi. Po długich jeszcze walkach z Portą i Anglią umarł 1849. r. w zupełnem odrętwieniu umysłowem.

Str. 119. w. 5. ....na pustyni między Egiptem a Palestyną blisko miasteczka *El-Arish.*

El-Arisz, miasteczko i twierdza w Egipcie (po hiszpańsku El-Arisco), leży na granicy Syryjskiej, o 37 mil na północny wschód od Kairu a 8 i pół mili na południowy zachód od Gazy. Miasteczko oddzielone od morza Śródziemnego wąskiem wybrzeżem, zewsząd otoczone pustynią a tylko z jednej strony laskiem palmowym, ważną odegrało rolę w historyi. Arisz leży nad obszernem łożyskiem czasowo wzbierającego potoku tegoż nazwiska (Wadi-el-Arish), stanowiącego od wieków, uznawaną granicę między Egiptem a Syryą, a więc między Afryką i Azyą, i liczy dziś do tysiąca zaledwo mieszkańców. Za czasów panowania Rzymskiego było tu ważne stanowisko handlowe pod nazwą Rhino-corura, w okresie wojen krzyżowych utworzyła się nazwa Lorisa, utrwalona obecnie w zmienionej nieco postaci, a miejsce stało się widownią krwawych zapasów. W nowszych czasach napotkał tu Bonaparte około 1800 r. chwilowy opór, gdy po opanowaniu Egiptu, powziął zamiar podbicia prowincyi tureckiej Syryi.

O potędze Machomeda Alego, zdobyciu jego niespodziewanem Syryi, wspomina Alphonce de Lamartine w dziele *Voyage en Orient* pod datą 14. października 1832. na którego często się powołuje Słowacki, tak w listach do matki, jak i w poematach.

Str. 120. w. **26**. Pan Steble, lekarz emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną *Malagamba* sławną pięknością na Wschodzie, o której Lamartine z takiem uniesieniem rozpowiada itd.

Słowacki, który znał dokładnie dzieła Lamartina, jak to wykazał F. Hösick w swem studyum o Słowackim, ma tu na myśli następujące miejsce z Lamartina:

Malagambę, tak się nazywał młody i uprzejmy wicekonsul Syryi, jedyny Europejczyk na Wschodzie, odwiedził Alf. de Lamartine a przyjęcie to opisał w swej Podróży na wschód. (*Voyage en Orient*, 15. octobre 1832.) w następujących słowach: „Pani Malagamba, matka, przyjęła nas z ceremoniami, zwykłemi w tym kraju. Podała nam perfumy i wódki pachnące i zaledwie usiedliśmy na sofie, ocierając pot z czoła, gdy jej córki, dwa zjawiska niebios, wyszły z pobocznej izby i podały nam wodę z kwiatu

pomarańczowego i konfitury na tacach z chińskiej porcelany. Piękność ma tak wielką władzę nad naszemi sercami, że lubo pożerani pragnieniem i strudzeni dwunasto-godzinną drogą, przecież w niemem podziwieniu bylibyśmy stali przed temi dwiema dziewicami, nie wziąwszy szklanek do ust, gdyby matka swojem naleganiem nie zniewoliła nas wziąć to, co jej córki podawały". Tu następuje cudowny opis piękności młodszej panny Malagamby, któryby trudno było oddać w przekładzie.

Str. 122. w. **109**. Drogman mój, Soliman, sławny z tego i chełpliwy, że był niegdyś tłómaczem *Champoliona*, *Roseliniego*, *Fresnela*....

Jan Franciszek Champollion, francuz, słynny archeolog i badacz starożytności egipskich, (ur. 1790. um. 1832,) o którym wspomina Słowacki w „Liście do Aleksandra Hołyńskiego". Jego a nie brata Jana Jakóba Champolliona z Figeae, znakomitego starożytnika francuskiego, ma tu na myśli poeta.

Hipolit Rosselini, oryentalista włoski (ur. 1808. um. 1843.) następca w badaniach hieroglifów Champolliona, autor znakomitego dzieła „I monumenti dell' Egitto e della Nubia" (Pisa, 1832. i nast.).

August Jan Fresnel (wym. Frenel), sławny fizyk francuski, (ur. 1788. um. 1827.). W badaniach nad załamaniem światła i polaryzacyą położył wielkie zasługi, należał też do pierwszych zwolenników teoryi falowania (undulacyi).

Str. 123. w. **127**. ....budząc się przez roztworzone płótno, oczy moje napotykały na konstelacyę *Oriona*, tak podobną do gwiaździstej lutni zawieszonej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka.

Orion, największa i najjaśniejsza konstelacya gwiazd na niebie, widzialna w Europie nocą w porze zimowej, w kształcie dwu gwiazd pierwszorzędnej, trzech drugorzędnej wielkosci, stojących nad pasem w prostej przy sobie linii i zwanych także kosturem Jakóbowym.

Te „rozmowy wieczorne z gwiazdami" odbiły się w poematach Juliusza, napisanych podczas podróży wscho-

dniej i bezpośrednio po niej we Florencyi. W Szwajcaryi czytamy, że się kochankowie „za gwiazd chwycili łańcuchy". „Ojciec Zadżumionych" powiada, że „śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć" etc. Nigdy Słowacki nie wspomina tak często gwiazd, jak w „Anhellim", „Dantyszku", „Ojcu Zadżumionych", „W Szwajcaryi". Widoczny wpływ owej podróży na Wschód. W listach do matki (z Florencyi) raz po raz pisze 2. stycznia 1838. i n. o gwiazdach, o konstelacyi Oriona i t. d.

Str. 125. w. **1**. Trzy razy księżyc odmienił się złoty.

Wiersz ten przypomina zwrot Woronieza z Lecha: „Już trzydzieści set razy księżyc świat odmienił". Tyle co: upłynęły trzy miesiące. Por. w. **426**.: „Wysiedziałem tu całe trzy miesiące", co dla niego było: „trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści", (w. 18.).

Str. 125. w. **6**. ....Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki.

Dromedar, albo jak tutaj dla rymu: dromader, wielbłąd jednogarbny, okazuje dziwną obojętność, wstrzemięźliwość, spokój i wytrwałość, przymioty najpotrzebniejsze w jego wędrówkach przez samotne i jałowe pustynie.

Str. 125. w. **8**. Karmić się chwastem nadmorskich *ajerów*;

Ajer, tatarskie ziele, tatarak albo szuwar, — roślina wodna. W karmi jest dromedar wstrzemięźliwy i wcale nie wybredny; a jakkolwiek woli pożywniejsze rośliny, podczas podróży jednak gryzie i chwasty pustyni.

Str. 125. w. **19**. Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej *kwarantannie* wszedł anioł pomoru.

Kwarantanna, z francuskiego, przytrzymanie na odludnem miejscu przez czterdzieści dni, osób przybywających z zapowietrzonego kraju, a także dom albo namiot, w którym mieszkają osoby przybywające z takiego kraju.

Str. 126. w. **23**. Wracam na *Liban* do mojego domu.

Liban (w starożytności Libanus, u Izraelitów Libanon, u Arabów Dzebel Liban), t. j. białe czyli śnieżne góry w Syryi, należące do systemu gór zaczynających się

od Synaju i ciągnących się przez Arabię, Palestynę i Syryę, równolegle do wschodniego pobrzeża morza Śródziemnego. Liban, tworzący płaskowzgórze tego łańcucha gór, dochodzi prawie do 8.000 stóp wysokości; zamieszkują je Maronici, Druzowie (Arabowie i Grecy) itp. Do dziś zachowały się tu szczątki wspaniałych niegdyś lasów cedrowych.

Str. 129. w. **167**. ....patrzałem na nią,
Jako na różę, przez me łzy i słońce.

Patrzałem na nią — objaśnia prof. Parylak — jako na różę, bo była „młoda i ładna“ (w. 158.) i „miała czerwone usteczka, jak róża, kiedy się rozchyla“ (w. 206. i 207.). Patrzałem zaś na nią przez „łzy“ smutku i boleści, z powodu strat dotychczasowych i obawy o nią: a przez „słońce“ radości i nadziei, że ją posiadam i że może anioł śmierci jej mi nie zabierze. To mięszane uczucie ojca, patrzącego na swoją dziecinę śród takich okoliczności, wyraził poeta zmysłowym obrazem, zestawiając łzy, jako znak widomy smutku i boleści, ze słońcem, jako symbolem radości, nadziei i życia.

Str. 129. w. **171**. Najmniejsze *dziecko* w kołyseczce *strzegła*...
I wszystkie nasze łzy — wzięła na włosy.

Zwykle mówią: strzedz czego, a więc powinnoby być: „najmniejszego dziecka w kołyseczce strzegła“, wskutek czego byłoby w wierszu o jedną zgłoskę więcej. Kojąc nasz płacz, tuliła się do nas, i tym sposobem brała nasze łzy niejako na włosy, ponieważ na nie spadały.

Str. 129. w. **158**. i **169**. Ach ona była młoda, taka ładna...
Ach ona była domu mego panią,
Ona, jak jaśni anieli obrońce...

Wiersze te i tym podobne przypominają współczesnie prawie wykończone miejsca „W Szwajcaryi“ np.:

Ach, ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią... itd.

Porównaj J. Ochorowicz, „O twórczości poetyckiej“, „Tydzień“, Lwów, 1874. V,

Często poeta mimowolnie sam siebie naśladuje, powtarzając własne zwroty, te mianowicie, których siłę lub wdziek czuł mocniej niż innych, a trafia się to głównie w utworach zbliżonych do siebie czasem.

Str. 131. w. **235**. Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał *muezina*;

Muezin (muezym) z tureckiego: u Mahometan posługacz religijny, zapowiadający godzinę modlitwy ze szczytu minaretu czyli wieży na domu modlitwy. „Krzycząc... wielkość Boga": obwołując donośnym głosem wielkość Jego z pagórka, wzywał i ojca nieszczęśliwego do modlitwy — lecz tę modlitwę zanosił do Boga strasznego, mściwego karzącego ludzi największemi klęskami. W tem położeniu i śród takich stosunków nie zna ten ojciec Boga miłości.

Str. 131. w. **246**. O! *Allach*! Akbar Allach! jesteś wielki!

Allah, nazwa jedynego Boga muzułmanów, składa się z dwóch wyrazów: „al" i „ilah" oznaczających bóstwo pokrewne hebrajskiemu „Elohim". Znane jest wyznanie wiary muzułmanów w języku arabskim: „La ilaha illa Allaha" tj. nie masz Boga krom Allaha. Przymioty jego uplastyczniają 99. ziarnek różańca. Tutaj podnosi Arab jego wszechmoc i wielkość (Akgar).

Str. 131. w. **254**. I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.

Wiersze te wypowiadają straszne osamotnienie ojca. Wszystko stroniło od niego, nietylko ludzie, ale nawet wróble, które się tu dawniej na żer zlatywały, bo „zarazę było znać na jego namiocie". Jest mniemanie, że wróble odlatują z miejsc, dotkniętych chorobą zaraźliwą. (w. 247. do 258. Porównaj wiersze 397.— 402.).

Str. 132. w. **264**. Z wieczora huczeć już zaczęło morze itd.

Wiersze te zawierają opis przeczucia żałoby, (por. w. 295.) co poeta bardzo zmyślnie łączy ze zjawiskami przyrody, zapowiadającemi coś niezwykłego, coś strasznego, mianowicie śmierć ostatniego dziecka. (w. 263.—274.). W ten sposób skorzystał Słowacki w tem miejscu z obrazów przyrody, okalającej pustynię, z tajemniczych jej

głosów, które przemawiały symbolicznymi tony do wrażliwej jego duszy, w tym celu, aby nam w zmysłowych, że tak powiemy kształtach, przedstawić niepochwytną stronę uczuć tego nieszczęśliwego ojca, i określić je widomie na widomem i rzeczywistem tle zjawisk, na które patrzył. W tym względzie podziwiać trzeba u niego dar zmyślności poetyckiej w korzystaniu z najobojętniejszych na pozór przedmiotów do celów poezyi, i sztukę łączenia tychże ze stroną duchową poematu w jedną, piękną, harmonijną całość.

Str. 133. w. **311**. A *te już* — ani zarazy strażnicy,
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy.

Powinnoby być: „A tego już — ani zarazy strażnicy, ani ja niosłem"... z powodu przeczenia; jednakże ze względu na wiersz, któryby wskutek tego był o jedną zgłoskę dłuższy, użył poeta 4. przyp. zomiast 2. Mecherzyński poprawia tekst: „*Tego już* — ani zarazy strażnicy"...

Str. 133. w. **312**. Ani ją niosłem do *Szecha* kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama.

Szejch, tyle co wójt dziedziczny, rządzący wsią (Dr. Adolf Jełowicki: Galilea i Liban, wspomnienia z podróży w „Tygodniku ilustrowanym", Warszawa, 1894. nr. 215. str. 85. Wyraz ten arabski, oznacza też siwobrodego starca, potem godność przełożonego nad pokoleniem (w Azyi i Afryce) albo nad klasztorami derwiszów (w Turcyi) Kopułę Szecha opisuje Słowacki w przytoczonym liście do matki i w przedmowie do „Ojca Zadżumionych".

Str. 134. w. **345**. Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —

Sustawy, z rosyjskiego: sostawy, po polsku: stawy. Tej postaci użył poeta, aby uzyskać zapewne jedną zgłoskę więcej we wierszu. Staw: złączenie dwu kości, z których jedna, z główką, jest wstawiona w dołek drugiej kości.

Str. 135. w. **390**. Po nocy *hyen* przeraźliwe wycia
Tam nad trumnami — i słuchałem blady,
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie. —

Hyena: zwierzę znane ze swej drapieżności. Wyje głosem jęczącym lub śmiejącym; żyje w Afryce i żywi się najwięcej padliną. Jest mniemanie, jakoby trupy ludzkie z mogił odkopywała, dlatego nazywa tu poeta hyeny trupojadami. — Arab zobojętniał już w boleści, podobnie jak wąż, który w dnie chłodne nie bierze pokarmu i staje się gnuśnym. Do słońca jednak rad się wygrzewa i w dnie gorące jest ruchawy.

Objaśnienia
„Poematu Piasta Dantyszka o piekle“.

Twórczość Słowackiego w czasie pobytu jego we Florencyi przez połtora roku (od lipca 1837. do stycznia 1838.) dochodziła do szczytu rozwoju z takiem arcydziełem sztuki jak „Ojciec Zadżumionych“. To co po nim następuje, choć nosi na sobie znamiona geniuszu, nie może mu już dorównać ani pomysłem ani wykonaniem. Poemat Piasta Dantyszka o piekle zrodził się już w ostatniej dobie tego okresu dojrzałości, który nas tu zajmuje, prawdopodobnie pod sam koniec pobytu w Florencyi, poety w jesieni 1838. kiedy otrzymał wiadomość o nowych prześladowaniach w Królestwie, kiedy mu najbliżsi (matka i wuj) więzieniem i wygnaniem okupić mieli niewinne objawy uczuć patryotycznych. Ten patryotyczny charakter nosi też przedmowa (z 15. listopada 1838.) i cały utwór.

Zanim przystąpimy do samego poematu, obejrzemy najpierw, w świetle zeznań poety, cały ten okres florentyński, który Piast Dantyszek zamyka.

Znamienną cechą tego okresu, w którym wykończony został „Anhelli“, „Dantyszek“ i „Trzy poemata“ — w tym porządku wyszły w Paryżu z druku — jest głęboki smutek służący za główne tło wymienionych utworów.

Dnia 17. czerwca 1837. roku okręt, na którym wracał Słowacki ze Wschodu, zawinął we Włoszech do portu miasta Liworna. Stosownie do obowiązujących w owym czasie przepisów, podróżni przybywający ze Wschodu zmuszeni byli zaraz po wyjściu z okrętu odbywać tu kwaran-

tanę. I Słowacki formalności tej przykrej poddać się musiał. Klauzura ta trwała dla niego przeszło trzy tygodnie, dnia 11. lipca 1837., dozwolono mu przenieść się do miasta.

Przed rokiem był na tem samem miejscu, ale miał przed sobą krainę, o której pięknościach mówiła mu wyobraźnia wszystkimi urokami poezyi. Wiedział, że tam oczekuje go i coś droższego jeszcze, rodzina, przywiązana do niego. Teraz widział się opuszczonym przez wszystkich swoich — może na zawsze. Wracał z świata poezyi w stosunki pełne tęsknoty, samotności — blade i wypłowiałe w porównaniu z tem wszystkiem, z czem się pożegnał...

„Prawda to, co powiadają ludzie wschodni, że kto tamtego powietrza zakosztował, to jeżeli może, nazad tam znów powraca, pomimo wszystkich niewygód podróży. Tak tam dziwnie lekkie jest życie, że mi teraz Europa ciemna się wydaje. Poczerniały domy — zgęstniało powietrze — na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło... (Z listu z d. 24. listopada 1837. r.).

Wychodząc z kwarantany — niecierpliwie i z bijącem sercem wyglądał listów od rodziny — jak się spodziewał — czekających już na niego w tem włoskiem portowem mieście. Trwoga go zdejmowała na myśl, co się tam dzieje w kółku rodzinnem? czy matka zdrowa? czy wszyscy... Nie śmiał nawet domówić końca tego pytania. A jednak nasuwało mu się ono pomimowolnie i ciągle, jak widmo jakie, przytomne i nurtujące w głębi tajemnych jego myśli. Nadaremnie się opędzał przed ciężkiem jakiemś przeczuciem, które go dręczyło, ilekroć o Krzemieńcu pomyślał.

Wkrótce doręczono potwierdzający to Słowackiemu list, czego się obawiał i co przeczuciem przewidywał przez cały czas przymusowego pobytu swego w zamknięciu kwarantany. W liście było doniesienie o nowym zgonie w gronie rodziny. Za tylu innemi drogiemi mu osobami, poszedł i ojciec jego matki, patryarcha całej familii.

„Więc już i ten starzec w kontuszu, którego pomarszczone powieki błyszczały łzami przy moim odjeździe, nie przywita mnie wracającego! — Nasza rodzina podobna jest do żórawi, które widziałem na pustyni egipskiej. Jeden się porwał — wszystkie za nim poleciały długim szeregiem

w błękit i wkrótce jęku ich słychać nie było.“ (Z listu pisanego już w Florencyi).

Przesycony wrażeniami sztuki i natury, przeżywszy pod ich wpływem tyle już czasu samotnie, potrzebował teraz towarzystwa, ludzi znajomych, bliskich, kochających, kochanych. Silniej więc niż kiedy odczuwał samotność kawalerskiego życia, tęsknił do ojczyzny i do rodziny.

Oto jak sam pisze o tem w pierwszym liście, datowanym z Florencyi 21. sierpnia 1831. roku: „Od 35 dni jestem w Florencyi. Ładna, bardzo ładna Florencya, a jednak smutno mi w niej: od czterech prawie lat zawsze miałem koło siebie rodzaj familii, zawsze kilka godzin w dniu przechodziło z ludźmi, w podróży nawet zawsze miałem jedną różową i uśmiechającą się twarz koło siebie, to też teraz, często się znajdując w moim samotnem mieszkaniu, zadziwiony jestem długością cichych godzin, zwłaszcza wieczorem.

W zimie mieszkania podrożeją, opał bardzo drogi, zimno w samotnym pokoju, to wszystko dosyć jest smutne. Nie dziw się, moja droga, że ja niegdyś taki odludek, dzisiaj się lękam samotności. Dawniej sny moje i złote nadzieje na przyszłość otaczały mię w około, dawniej teraźniejszość była dla mnie jak tylko sieni, prowadzące do czegoś lepszego; teraz to wszystko na wspak idzie i się obraca. Ale na Boga! jeszcze się nie poddam zniechęceniu i ty, droga moja, łagodnemi słowami dopomóż mi do tego, aby mi serce bić zupełnie nie przestało w piersiach.

Florencya 3. października 1837. Muzyka i *moje umysłowe prace* zabierają mi dzień i wieczór cały; czasem chodzę rano do biblioteki czytać po hiszpańsku *Calderona* i usypiam się jego brylantową i świetności pełną imaginacyą.

Florencya, d. 2. stycznia 1838. Otóż Nowy Rok a my sobie niczego powinszować nie możemy, i nie wiem, czegobym ci mógł życzyć, tak wszystko dobre niepodobnem jest prawie dla nas. Melancholia jest gościem moim we wszystkie prawie święta i rocznice pamiątek: to też i tego roku jest ze mną; coraz cichszy i smutniejszy (jestem...)

Od jakiegoś czasu *dałem się wciągnąć mimowolnie* w świat, i już od kilku tygodni *prowadzę życie pełne roz-*

targnienia, co męczy i nudzi. Powracam zwykle zmęczony i pozbawiony moich marzeń. Tak mię to życie znudziło, iż teraz żałuję, żem został *na zimę we Florencyi, nie bowiem nie pracuję* i z rozpaczą myślę o moim 28. roku życia, kończącym się na marnościach światowych: prawdziwie, że na skrzydłach mi wiek ucieka i chciałbym zatrzymać lata nie dlatego, abym się jakiego szczęścia spodziewał, ale żeby nie zejść ze świata niepłatnym dłużnikiem.

Florencya, d. 19. maja 1838. Oto jeszcze moje marzenia nie ubrane w ciało trzymają mię tutaj, i nie wiem prawdziwie, kiedy stąd wyruszę, dałem bowiem sobie słowo, że do moich kolegów z niczem nie powrócę. Tymczasem Florencya smutna jest dla mnie jak grobowiec. Tego roku ciągłe deszcze i niebo żelaznego koloru; nigdy prawie słońce nie uśmiechnęło się. Patrząc na białe i różowe jabłonie, z belwederu mego widzę dolinę Arna przez wstęgi, przez warkocze deszczowe: od dalekiego morza płyną i wraz nowe napływają chmury; morza te, co takie dla mnie były przyjaźnie błękitne, co okręt mój kołysały jak sennego łabędzia, teraz przesyłają mi tylko smutki i chcą, abym ze splinu umarł.

Chciałbym ci coś, droga, teraz z szczegółów życia mego napisać, ale tak wszystko co mi się przytrafiło od miesiąca, na zapełnienie dwóch frazesów wystarczy.

O życiu mojem wewnętrznem także niewiele więcej mógłbym napisać: poczernionych atramentem kilka kartek, romans oczyma w kościele, ciągłe szukanie ideału, nad którym już wypatrzyłem oczy i zdarłem wiele podeszew, i to wszystko.

Florencya 10. lipca 1838. Porzucam więc Florencyę, mój salonik z fortepianem, gdzie mi tak nudno schodziły smutne i dżdżyste dnie zimowe, mój ganek, gdzie dwie chude stoją pomarańcze, albowiem od dzieciństwa uważałem, że moje drzewa nigdy nie rosły i kwiaty w moich wazonach nigdy nie rozkwitały, może dla tego, żem nadto patrzał na nie i mój wzrok ma palącą własność: porzucam mój belwederek, gdzie w zimie dla zimna a teraz dla gorąca siedzieć nie mogę, bo jest jak latarnia; i nie żal mi tego wszystkiego, choć wiem, że w Paryżu będę musiał

w jednej maleńkiej stancyjce pomieścić siebie i manatki moje, ale za to więcej będę mieć towarzystwa, więcej zachęcenia do pracy, więcej porady. Teraz nie miałem nawet jednej osoby, której mogłem się zapytać, czy moje dziecko głupie jest, czy rozumne, albowiem sobie nie wierzę i niespokojny jestem, nie tak jednak, aby mi to sen odejmowało, o nie, daleko więcej dręczy mię ta myśl, że Florentynka moja (zob. o niej w objaśnieniach poematu „W Szwajcaryi",) opuszczona, może w przeznaczeniu życia mojego jest ostatnią, że reszta dni moich skazana jest na suchą nudę wdowiego życia, że może nie trzeba było tak prędko zrywać ostatniej róży.

Projektowany mój wyjazd — pisze w liście z 21. sierpnia — pozbawił mię fortepianu, który sprzedany został. Skomponowałem był walec do tańcowania, który się bardzo wszystkim podoba, chociaż nie bardzo oryginalny; będę się starał, aby go przepisać i tobie, droga, przesłać. Ale co dziwnego spostrzegam, oto że od czasu, jak nie mam fortepianu, imaginacya moja więcej buja i *więcej tworzy:* czy pewna część tej władzy musiała się wylewać przez końce palców na klawisze? Prawdziwie, jest to fenomen do obserwowania dla filozofów. Chciałbym, żeby nie tak było, bo wtenczas muzykę poświęcę, jak wiele innych rzeczy poświęciłem dla głodnego węża, co mię gryzie. Oby ten list był pierwszym z witających ciebie, obyś go tak jak zawsze przyjęła, jak dziecko dziecka szalonego i marnotrawnego, któremu już szaleństwa zamknęły wrota powrotu. Między Czercą a Bazylianami stoi dla mnie ta brama *Danta*, na której jest napisano: Lasciate ogni speranca; ja też raz przeczytawszy napis, odwróciłem się łzami zalany i poszedłem dalej, i coraz dalej idę; więc tak oddalającemu się błogosław ty, droga, i wejdź na górę najwyższą i błogosław nas, ażeby Bóg ciebie widział bliżej i błogosławieństwo twoje, aby mi kiedyś jak anioł zły nie powiedział na wejściu do wieczności: „smutna była, żeś ją opuścił." Bronisław Gubrynowicz w rozprawie, którą dalej przytaczam, domyśla się, że w tym miesiącu (sierp. 1838.) pracował właśnie Słowacki nad „Dantyszkiem".

Dnia 24. czerwca 1839. Zalany łzami i trzęsący się cały, nie wiem, jak zacząć list do ciebie, najdroższa moja

i święta moja! czy opowiedzieć ci cierpienia duszy, których doznałem od ośmiu miesięcy, nie wiedząc, co się z tobą dzieje, czy zamilczeć o przeszłości i cieszyć się tylko, że nas Bóg poratował. Ośm temu miesięcy przyjaciel mój *Zygmunt*, (Krasiński) przyjechawszy z daleka, doniósł mi, że ty, droga, nowych doznałaś i niezasłużonych nieszczęść; a choć w sny nie wierzę, sen jednak dziwniejszy nad wszystko, miesiącem przed tą wiadomością, pokazał mi ciebie wypadającą z powozu, wywracającą się nad brzegiem przepaści, w głębi której płynęła przeźroczysta rzeka; ja stałem na górze i widziałem ciebie usuwającą się szybko po stromym brzegu przepaści, nareszcie widziałem jak upadłaś w wodę, jak szaty twoje nabrzmiały, jak szłaś coraz dalej i nareszcie zniknęłaś w głębinie. Sen ten... chwila ta była mi jak wieczność długa, a gdy ciebie straciłem z oczu, przebudziłem się w ciemności a usiadłszy na łóżku, płakałem. Odtąd co dnia wyglądałem czegoś złego; przyjechał nareszcie *Zygmunt*: na wypytywanie się moje powiedział mi, żeś ty nie bardzo spokojna i że cię jakieś spotkały kłopoty... (Przez ostrożność nie wspomina Słowacki o skazaniu Teofila na wygnanie i śledztwie pani Becu w Kijowie). Cóż miałem robić?... dawniej możeby mi rozpacz podyktowała jaką myśl rozpaczy względem siebie; teraz zacząłem tylko starać się, aby nie uledz złej fortunie; a ponieważ miasto i kraj, gdziem się znajdował, nie przedstawiały mi żadnego sposobu utrzymania się z pracy, wyjechałem do miasta (Paryża). Nie wiem dlaczego dawniej mi nie pisano i dlaczego mi, droga, wyrzucasz, żem zerwał z tobą stosunki i zapomniałem o tobie, i żyć mogłem bez ciebie? Jak mi gorzkie było to życie, widać to było na twarzy mojej, a Boga widać było w sercu mojem. Zacząłem pracować nad cudzoziemskim językiem, aby się usposobić do jakiego zatrudnienia, a choć tysiączne przedstawiały się trudności, mam pewną nadzieję, że Bóg byłby mię nie opuścił, tak jak i ty mię nie opuściłaś; a że ty myślałaś o mnie, o tem nie wątpiłem ani chwili, więc brak wiadomości od ciebie tem bardziej strasznym był dla serca mego, bo wiedziałem, że ty cierpieć musisz. Nareszcie po miesiącach sześciu oczekiwania przynoszą mi list od panny *Eglantyny*: otwieram — twój charakter, ale list datowany

23. października; czyś ty się, droga, pomyliła w dacie? o, gdyby nie ta data, jużby mi parę słów było zupełną spokojnością. Miesiąc temu nareszcie przez drogę starej stolicy odebrałem pomoc i wiadomości pocieszające; a od tego czasu już tylko prosiłem Boga, aby mię zupełnie szczęśliwym zrobił, abym znów ujrzał kilka słów twoją ręką pisanych, i dziś nareszcie jestem szczęśliwy, bo na stoliku moim leży list twój otwarty, a ja prawie wierzyć nie mogę własnej radości, tak odwykłem od niej, tak przyzwyczaiłem moją duszę smucić się i wyglądać.

Na ten czas przerwanej korespondencyi syna z matką przypada nawiązanie stosunku z Anielą Moszczyńską, którą pod imieniem Maryi opisuje w „Dantyszku" i w następujących listach: Florencya, d. 21. sierpnia 1838. Cóż ty mówisz na to, najdroższa, że ja jeszcze we Florencyi? Nie jest to żaden kaprys, który mię tu tak długo trzyma, ale to, że znalazłem ludzi, którzy mię lubią, kochają i chcieli zatrzymać, więc jeszcze na jakiś czas zostanę. Tymi ludźmi przyjaźnymi jest *dom Moszczyńskich,* kuzynów Zenona, (Brzozowskiego), i ta panienka, od której niegdyś odebrał rekuzę, która go w melancholię i w dalekie kraje zagnała. Sam stary Moszczyński, dobry i wiele gadający człowiek, do tyla mi robił grzeczności, że nareszcie przełamał mój zwyczaj samotnika i przyzwyczaił mię do tego, że co wieczora prawie z nim na gawędzie czas tracę. Żona jego dla interesów pojechała na Ukrainę i chciała bardzo być w Krzemieńcu, aby ciebie poznać i o mnie tobie mówić; czy jej droga przez nasze miasteczko wypadnie, nie wiem, ale jeszcze kilka dni temu Moszczyński mówił mi, że się od ciebie, droga, spodziewa upoważnienia, aby wziął nademną opiekę i rząd samowładny. Jeżeli więc będziesz widzieć panią Moszczyńską, bądź, moja droga, dla niej uprzejmą i o mnie źle nie gadaj, bo mię mają za bardzo dobre stworzenie, a nawet pani Moszczyńska, dla wszystkich dosyć zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem. Kuzynka ich, panna Helena, w wieku już, nabożna i słaba, także się uśmiecha, kiedy przychodzę: słowem, jakżem miał wyjechać, kiedy może w Paryżu nie znalazłbym nikogo, coby mi sprzyjał, a tu są tacy, co mię z otwartemi rękami przyjmują. Otóż to cały sekret zosta-

nia mego we Florencyi. Przedwczoraj miałem dzień miły dla mnie: oto przyszło mi z Paryża moje ostatnie dziecko.

Poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej katedry i stanąwszy w pośrodku, zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napełniły się łzami. Potem poszedłem do Moszczyńskich pochwalić się i jadłem z nimi obiad wesoły, jak rzadko bywa. Przyjechała tu była księżna Surville. Zaraz u Moszczyńskich wypytywała się o mnie! Stary Moszczyński, wielki komplimencista — dobrze gadał o mojej ostatniej pracy.

Paryż, listopad, 1839. Zacznę od tego, co mi w listku twoim do cichego śmiechu było przyczyną, to jest od rady twojej, droga, a raczej od zachęcenia, abym się żenił... a tu dziwi mię twoja przenikliwość: albowiem kilka słów moich niegdyś pisanych w przeszłorocznym liście, już ci dało do myślenia, żem się znajdował w położeniu aspiranta. Było to, było, ale dalibóg nie z mojej winy. Opiszę ci co się ze mną działo. Oto przyjmowany byłem dobrze w domu Moszczyńskich i przyjście każde moje sprowadzało rumieniec na lica panny niełądnej, ale dość kształtnej i uczonej i bardzo popsutej, była albowiem panią w domu i panowała nad ojcem i matką. Nie zwracałem na to uwagi, pojąć nie mogąc, aby ja biedny chłopiec bez grosza mógł się posuwać tam, gdzie dwóch ładnych chłopców i bogatych otrzymało arbuzy; nie myślałem więc o tem i wyjeżdżać miałem, jak to wiedziałaś dobrze z moich listów. Trzema dniami przed wyjazdem wpada Zeidler (malarz, emigrant polski) do mnie z wiadomością, że przez trzecią osobę robiono mi propozycyę, abym się zatrzymał i aspirował do tej panny. Zdziwiłem się i nie wierząc wcale, żeby to być mogło prawdą, postanowiłem wszakże zatrzymać się, abym kiedyś nie miał na sumieniu mojem, żem się po szczęście, w ludzkiem rozumieniu wielkie, nie schylił wtenczas, kiedy na drodze leżało. Tego samego dnia odwiedził mnie ojciec panny i rozmowa jego choć zgrabnie bardzo prowadzona, dała mi do zrozumienia, że zatrzymanie się moje we Florencyi miłem mu będzie. Zatrzymałem się więc a bywając często w domu mojej belli, w domu egoizmu i zimną napełnionym atmosferą złota, przechodziłem przez wszystkie niepewności kokietowanego człowieka, tak że wreszcie udręczyło mię to, zwłaszcza, że serce moje było przytem zupeł-

nie zimne i wszystkie wady widziało. Może to był sen i przywidzenie z mojej strony, ale jakże było nie śnić, kiedy mi często ojciec gadał przy stole nawet i otwarcie takie naprzykład słowa: popracuj nad sobą, poprac j i zakochaj się a ja cię ożenię. Na co panna płonęła a ja nie wiedziałem co myśleć. Na nieszczęście moje wmięszali się inni ludzie do tego, a niedyskretność osoby użytej do pierwszych propozycyi była przyczyną, iż się ci ludzie wmięszali... potem wszystko oziębło, potem dowiedziawszy się o ambarasach tw,ich, musiał.m wyjeżdżać, nie chcąc, aby sądzono, że będąc w biedzie, biedę moją chcę zataić ożenieniem się. Pożegnanie moje było zimne a cała ta awantura zostawiła mi tylko gorycz w sercu i niepewność, czy się nie urągano ze mnie. Może z mojej strony było nadto dumy, która się tej panience mogła opieszałością wydawać: gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby, dlaczego tak nienatarczywie starałem s.ę o nią. Ale to już pszeszło: ona mię teraz widzi z nieba, bo już nie żyje. Choroby, z której umarła, nie rozumieli doktorowie, a ja byłbym nadto zarozumiałym, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał. Może być jednak, że ta, która tylu odmówiła, czuła się trochę dotkniętą przez to, żem się nie oświadczył; a jednak pewny jestem, że byłaby mię odrzuciła; wreszcie ona miała miliony, jam nie mógł jej nic dać nawzajem, nawet serca. Przyznam ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jej śmierci dowiedział, cierpiałem. Bo choćby to było w niej chwilową myślą, aby mię wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jej dopełniła obrazu. Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i spuszczając oczy przedemną pyta się: dlaczegoś mię nie kochał? Śmierć ją upiększyła w moich oczach. Nie wiem, co ty, droga, powiesz na to wszystko, lecz nie obwiniaj mię, jam był łudzony snem, w który uwierzyć nie mogłem; a ty nie mów o tem nikomu, bo to są rzeczy delikatne dla rodziny tej, o której piszę. Powiedz że mi, droga, czy teraz myśleć będziesz, abym się ja kiedyś ożenił? Dziwny mój los: on

mię czasem psuje jak dziecko a potem szydzi ze mnie; trzeba się całkiem w świat umysłowy rzucić i w nim zostać.

Podobnie jak wiersze do Eglantyny i Maryi tak i następne do Anieli Moszczyńskiej, nie wydane za życia autora, dają niedokładny, przez pryzmat fantazyi romantyka przepuszczony, obraz poetyczny tego stosunku.

DO ANIELI M.

I.

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je łzami zaprószyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałaby je zdeptać noga,
Prędzej je zimnem żelazem rozetnę.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewej strony:
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,
Którzy na bieli mają krzyż czerwony;
A nad niem jeszcze jest pancerz stalony,
A ono jeszcze głębiej — w trumnie leży.

Październik, 1838. Florencya.

DO TEJŻE.

II.

Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i kąsać.
I precz odrzucić tę rzecz tak shańbioną
Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystem.
A ty myślałaś, że ja z tem ognistem
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O! pierwej piekło, niżby czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spało!
A niż całować twe usta rozumne
I twoje białe marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skała,
Jaka ty jesteś, zimna, — lepiej w trumnę!

(Pisma pośmiertne J. Słowackiego, wyd. Małeckiego Lwów 1866. tom I.)

Bronisław Gubrynowicz w studyum p. t. Piast Dantyszek, kartka z twórczości poetyckiej J. Słowackiego, odnosi ustęp o Florentynce (na str. 176—7. w. 1370—1430), do Fornariny, wspomnianej przez nas w objaśnieniach „Szwajcaryi“.

Bliższe szczegóły tego stosunku są nam nieznane. Może rodzina Anieli mogłaby udzielić bliższej informacyi.

W owym czasie przystępował Słowacki do urzeczywistnienia swego zamiaru, pragnął odezwać się znowu jako autor publiczności, a zamyślał w szybkiej kolei wydawać teraz jedną pracę po drugiej. Od czasu ogłoszenia Kordjana (1834) aż do wyjścia „Anhellego“ (1838) czytająca publiczność prawie zupełnie go była straciła z oczu. Chodziło o to, ażeby złożyć teraz przed nią cały snop plonu usiłowań czteroletnich, choć podejmowanych w ukryciu — i zająć jako pisarz miejsce sobie należne. Słowacki postanowił więc przenieść się właśnie z tego powodu do Paryża.

Zamiar wystąpienia po tak długiem milczeniu na nowo w szrankach literatury, zajmował umysł Słowackiego już od czasu odsiadywania kwarantany we Włoszech (w Livornie). Przebywając przez półtora roku w Florencyi rozmyślał nad szeregiem publikacyi, które zamierzał przyprowadzić do skutku. Wiersz żartobliwy „Do księgarza“ napisany 9. lipca 1837 a ogłoszony dopiero w zbiorze dzieł Juliusza pozgonnych, zaczynający się od tej zwrotki:

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima —
Mój Eustachy!

Zamawia w pół żartem a w pół na seryo względy wydawcy pism polskich we Francyi (Eustachego Januszkiewicza), snując już przed oczyma owe rozliczne kłopoty, jakich niemal z konieczności doznawają pisarze, zanim oddadzą książkę do rąk publiczności.

Do ogłoszenia napisanych wtedy rzeczy nie przyszło, poeta pisał jeszcze i wykańczał swoje utwory. Miał bowiem chwalebny zwyczaj poprawiania rzeczy przed oddaniem jej do druku.

Należało to do natury talentu Słowackiego, którą z taką bystrością pierwszy scharakteryzował St. Tarnowski, że nawet w okresie swej dojrzałości lubiał jak bluszcz owijać się około wielkich tworów geniuszów. Taką daninę składał i teraz miejscowości, w której przebywał. Wszystko w Florencyi przemawiało do niego wspomnieniami wielkiego wieszcza, który się w tem mieście urodził, spędził w niem znaczną część życia, a potem ujrzał się w konieczności pójść na wygnanie i tułać się daleko od niewdzięcznej ojczyzny — do samej śmierci.

„Ulubionym moim księżycowym spacerem jest jeden bok katedralnego kościoła. Nieraz marzę sobie, że tak chodził po tych kamieniach zamyslony *Dante*." (Z d. 21. sierpnia 1837 r.)

„Czasem — powiada w liście do matki z 3. października 1837 — idę do kościoła Santa Croce i staję przed grobem *Danta*, a posąg jego ponury, patrzący z wysoka na mnie, zdaje mi się mówić jakieś wyrazy natchnienia. — Na co się zapatrzyłem na posąg *Danta* stojący w Santa Croce, pytał w liście do matki 19. maja 1838.

Pod wpływem takich więc wrażeń, doznawanych z powodu samego miejsca a głównie pod wpływem „Boskiej komedyi" Dantego — powstał poemat Piasta Dantyszka o piekle. Pomysł do niego — powiada Małecki — zawdzięczał autor niewątpliwie miejscu, gdzie bawił i wspomnieniom do niego przywiązanym.

Pierwsza to publikacya, o której najgłębsze milczenie w całej jego korespondencyi. Dzieło samo nie było tego powodem, lecz zdarzenia uboczne. Listy Słowackiego ukazują w tem miejscu przerwę i to nader znaczną. Od

21. sierpnia 1838 aż do 24. czerwca 1839 r., a zatem przez całe 10 miesięcy, nie odebrała matka poety ani jednego słowa od syna. Jako powód tego milczenia podaje Małecki (II². 121) następującą okoliczność: W jesieni 1838 roku wuj poety Teofil dla jakichś podejrzeń o winy polityczne, w domu własnym, na wsi na Wołyniu, został aresztowany, a następnie wyrokiem sądów wojennych skazany na wygnanie. Jako miejsce wygnania był mu naznaczony Perm w głębokiej Rosyi.

Ściągnęło to, jak się samo rozumie, i wszelkiego rodzaju nieprzyjemności i niemałe straty materyalne na całą rodzinę. Pani Bécu była z tego powodu trzymana przez pięć miesięcy pod śledztwem w Kijowie i nie mogła od owej chwili już utrzymywać stosunków z synem. I Juliusz, któremu wiadomość o tem wszystkiem doniesiono z boku natychmiast, nie śmiał jako wychodziec listami swymi kompromitować matki i zawiesił z tego powodu zupełnie korespondencyę.

Pierwszy, który mu przywiózł tę smutną z kraju wiadomość, był Zygmunt Krasiński. Przybył on do Florencyi w miesiącu październiku (1838) i pocieszał w tej ciężkiej niedoli, jak mógł, biednego towarzysza swojego, dopóki tenże bawił jeszcze we Włoszech a później do Paryża nawet wysyłał listowne uspokojenia.

Już w parę miesięcy po Anhellim — w drugiej listopada połowie — wyprawiony został do Paryża do druku rękopis „poematu o piekle“. Było to ostatnie; najświeższe dzieło ze wszystkich, jakie naówczas autor miał w tece. Ofiarował je w przypisaniu „Żałośnej ludu polskiego Wdowie“, a rozumiał przez te słowa Warszawę. Kilka wierszy stanowiących właśnie tę dedykacyę, na pierwszej karcie poematu, mają napis „dnia 15. listopada 1838 r. w Florencyi“. Była to prawdopodobnie data dnia, w którym rękopis, zupełnie już gotowy do druku, oddawany był na pocztę. Książka została odbita i weszła w obieg księgarski zapewne z końcem tegosamego roku, albo początkiem następnego.

Pisma współczesne zapowiadały prawie równocześnie druk „Dantyszka“ i „Trzech poematów“.

„Wkrótce wyjdą z druku *Trzy poemata oryginalne Juliusza Słowackiego.* Drukarnia polska otrzymała już od autora rękopism pierwszego poematu pod tytułem: *Piast Dantyszek herbu Leliwa*, dwa inne rychło nadesłane będą". (Młoda Polska, wiadomości historyczne i literackie. Paryż Księgarnia polska. Dodatek do Nr. 32 z dnia 22. listopada 1838).

Bron. Gubrynowicz domyśla się z tej wzmianki, że Dantyszek miał wyjść razem z „Ojcem Zadżumionych" i „W Szwajcaryi". Autor później zmienił zamiar i „najprawdopodobniej" ze względów politycznych wydał go osobno i bezimiennie.

„Wkrótce wyjdą z druku: Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle, z następującem ofiarowaniem go Warszawie". Tu następuje w dosłownem brzmieniu wiersz zaczynający się od słów „U nóg twych kładę, o żałosna wdowo" itd. Młoda Polska, Dodatek do Nr. 35 z 26. grudnia 1838.

Kalendarz Pielgrzymstwa Polskiego na r. 1839. Paryż, w Księgarni i drukarni polskiej str. 43—4, zapowiada wyjście „Trzech poematów" i osobno „Poematu Piotra Dantyszka herbu Leliwa o piekle", dzieł mających wyjść w r. 1839.

„Z nowszych dzieł polskich, które częścią już w końcu r. 1838, częścią dopiero w r. b. wyjść mają, są ważniejsze: Słowackiego Juliusza Poema dramatyczne, część trzecia trylogii i poezye w Szwajcaryi i Egipcie pisane. Oprócz tego wyjdą wkrótce trzy nowe poemata tego autora. Mamy nadzieję, iż z pierwszego „Piast Dantyszek herbu Leliwa" czytelnikom przed wyjściem jego, wyjątków będziemy mogli udzielić." (Tygodnik literacki A. Woykowskiego, Poznań Nr. 42, z 14. stycznia 1839.)

„Z nowszych dzieł zasługują na uwagę poema o piekle przez Piasta Dantyszka herbu Leliwa, i pamiątki JP. Seweryna Sopliey, cześnika Parnawskiego, z których w najbliższych numerach pisma naszego przegląd damy. Opuściły tu prasę następujące dzieła: „Trzy poemata" Juliusza Słowackiego: Ojciec Zadżumionych w El-Arish, w Szwajcaryi, Wacław, Balladina tragedya przez Słowackiego". (Tygodnik literacki, Poznań Nr. 51., z 18. marca 1839.)

Tytuł nowego poematu opiewa: Poema Piasta Dantyszka, herbu Leliwa, o Piekle, Paryż 1839, 16 w Księgarni Polskiej. Cena fr. 3 c. 50. O poemacie tym, wydanym bezimiennie, tak się wyraża „Przezor księgarski“ w jednem z pism emigracyjnych: „Żywą imaginacyę młodego zapewne autora, podniósł duch wielkiego włoskiego poety, którego chciał naśladować w patryotycznym zapale. Gdzie poezya wywija się z samego serca autora, np. w Szczęsnym i Maryi, są niektóre piękności, ale gdzie naśladowanie Danta, myśl i smak i język grzeszą“. Kronika Emigracyi Polskiej, Paryż 1839, tom ósmy, str. 112.

Choć na tytule Słowacki nazwiska swego nie położył, wiedziano powszechnie z poprzednich wzmianek dziennikarskich, kto jest autorem. Publiczność przyjęła poemat zimno i obojętnie, jeden zaś z krytyków wystąpił ostro przeciw rzekomo nieznanemu autorowi. „Poemat o Piekle — pisał w krytyce Trzech poematów, podpisany literami Z. K. — nie nosi nazwiska autora; ostrożność bardzo na miejscu. Nie wiemy, kto się dopuścił tego cudactwa, czy jaki człowiek talentu napisał to na żart dla wypróbowania publiczności, czy też ktoś w dobrej wierze popadł w błąd jaki. W pierwszym razie ostrzegamy, że nie łatwo nas złapać; jeźli zaś nasz autor jest dobra dusza, radzimy mu, aby tytułów, jakie mieć może do poczciwości, nie wymieniał na tytuł śmiesznego poety“. Młoda Polska, Paryż 21. marca 1839.

Recenzya umieszczona w „Młodej Polsce“ wywołała odpowiedź Słowackiego; nieznany bowiem recenzent nie szczędził ani „Ojca Zadżumionych“, ani „W Szwajcaryi“, ani też wreszcie „Wacława“. W obronie tychże chwycił Słowacki za pióro, a było one pełne śmiałości i goryczy. Mają ją czytelnicy przedrukowaną w 3 tomie dzieł Słowackiego na str. 193—6.

W szczerej tej odpowiedzi nie ma jednak ani słowa o Dantyszku. Czyżby Słowacki nie miał odwagi się przyznać? Czy też może tylko względy polityczne krępowały jego słowa. To drugie przypuszczenie zdaje się prawdopodobniejszem.

Józef Reitzenheim, czerpiący w swej broszurze o Jul. Słowackim (Paryż 1862 str. 15) wiadomości z ust samego poety podaje następujące o tym poemacie szczegóły: Czy-

tanie Danta podczas pobytu w Italii, natchnęło mu myśl *Piasta Dantyszka* czyli poematu o piekle; maluje on w nim boleść i urazę ojca Polaka, któremu nieprzyjaciele kraju zabili trzech synów, a ostatni, spodlony przez nich, staje się zdrajcą ojczyzny. Ojciec chce stanąć przed Bogiem, aby złożyć swe skargi u stóp jego tronu; lecz musi wprzód przejść przez piekło, tak jak Orfeusz, który nie mógł dostać się do pól elizejskich, wprzód nim przebył Tartar. Dantyszek spotyka tam wszystkich tych, którzy wystawili na męki jego ojczyznę, zacząwszy od Katarzyny z Suwarowem, aż do Paszkiewicza, wielkiego księcia Konstantego i cesarza Mikołaja. Obok nich spostrzega także kilku z tych, którzy się zhańbili im służąc. Drzewa i wodotryski tego piekła są obdarzone mową, bo mieszkają w nich dusze zaklęte. Bohater poematu, mając boleścią przejęte serce, oskarża nie tylko ludzi, ale samego Boga o nieszczęścia swojej ojczyzny. Poemat ten wyszedł w r. 1839 i był ofiarowanym przez autora miastu Warszawie, w owym właśnie czasie, gdy niektórzy *nikczemni ludzie* usiłowali łudzić Europę, iż stolica Polski rzuciła się już pod nogi carskie. Niestety! tacy znajdują się zawsze i są ciągle gotowymi paść na wznak przed blaskiem caryzmu. W r. 1861, bohaterska Warszawa dowiodła światu, ile było prawdy w słowach wieszczych poety.

Surowy sąd o Piaście Dantyszku wydał St. hr. Tarnowski w krytyce dzieła Małeckiego (Przegląd Polski, Kraków 1867). Trudno w istocie pojąć, jakim sposobem ten utwór urodzić się mógł w tej samej wyobraźni, z której wyszła wykwintna Szwajcarya, jakim sposobem ten sam mistrz, który w „Ojcu Zadżumionych“ tak zręcznie umiał zachować się w granicach piękności, mógł zbudować tę niekształtną piramidę nieestetycznych okropności? Są szczęśliwi — powiada Tarnowski — którzy w tych okropnościach widzą energię, jędrność, siłę i patos. My w tym Dantyszku nie umiemy dostrzedz ani energii, ani wzniosłości, tylko szereg ohydnych, obrzydliwych obrazów, którym brak zarówno natchnienia, jak zmysłu i taktu artystycznego. Sztuka to wielka dla artysty, traktującego przedmiot straszny z natury, nie przesadzić okropnością i pogodzić ją z pięknem. A pomysłu szkoda, bo cóż za przedmiot dla

poety, takie polskie piekło zaludnione wszelkiemi katami i winowajcami narodu; jakież tam mogły znaleść się postacie i jakie tragiczne tortury moralne? Słowacki znalazł przedmiot i podjął, ale go fałszywie pojął i nie wydobył piękności, które leżą prawie na wierzchu.

Mniejsza o te żywcem z Danta wzięte szczegóły, jak trzy wiedźmy: głód, dżuma i wojna u wstępu piekieł, odpowiadające trzem zwierzętom Danta, albo o las z żywych drzew, poemat jest tak widocznie Boską Komedyą natchniony, że autor nie potrzebował się taić z tem, że z niej rysów niektórych pożyczał. Ale to właśnie najgorsze, co nie Danta, ale jego; najbardziej zaś rażąca główna postać, ten nieszczęśliwy Piast herbu Leliwa, podpiły i rubaszny, który, przedstawiony ze strony komicznej, w jakiej gawędzie jużby był przykrym a w poezyi, w utworze, który ma być więcej niż poważnym, bo uroczystym i strasznym, jest poprostu nieznośnym. Ma on być niby tragicznym przez samą właśnie swoją powszedniość i rubaszność przy tak niepowszedniem cierpieniu, a jest płaskim, ohydnym i obmierzłym. Wyobrazić sobie tę figurę z uczepionemi u pasa pięcioma głowami (maskaradą to nazywa Dantyszek) jak leci i krzyczy, robi burdy w piekle, szermierzy językiem i macha serpentyną, płacze na pół ze smutku, na pół z opicia, z tem junactwem fałszywem, z tą fanfaronadą, z tem nieszczęsnem zawadyactwem, które było kiedyś znamieniem polskiego szlachcica i jego nieszczęściem — i taki ma iść ze skargą do Boga, taki ma zanieść do jego tronu insygnia tej największej ludzkiej męki i prosić o sprawiedliwość! Ten sam Słowacki pisał tak pięknie:

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym"...

a teraz wybiera najrubaszniejszy z rubasznych czerepów i każe mu iść w tę najuroczystszą, najpoważniejszą pielgrzymkę, nie, pomysł jest z gruntu fałszywy.

A jak wykonany! Mamże przypominać takie obrazy jak Dantyszka płynącego przez fale krwi i unoszonego po wierzchu owemi u pasa głowami jak pęcherzami albo owo pieczone i drgające serce Paszkiewicza, niesione na półmisku, na śniadanie dla Lucypera. A te obrzydliwe pomysły

tak się odbiły i pomściły na całem usposobieniu poety, że język jego nawet, ten język cudowny, przejrzysty i harmonijny, zda się że brzydnie; słowo np. „trup“ rozciągnięte jest na całą gammę rożnych tonów i półtonów od grubego „trupiska“ przez średnie trupy i trupki, aż do zdrobniałych, pieszczotliwych trupeczków i „trupiątek“. Widzimy Katarzynę rozpłataną na pół i Mikołaja przywalonego trupami, ale gdzie świadomość tego, za co cierpią, gdzie żal, że z własnej winy cierpieć tak będą? Cały ten wznioślejszy, prawdziwie patetyczny pierwiastek piekła nie istnieje; zastępują go węże, gady, plwania, opisywane z taką dosadnością i z taką wdzięczną i stosowną do okoliczności fantazyą podpiłego zawadyaki, że z największym wstrętem, z największym niesmakiem odrzuca się w końcu książkę.

Rehabilitacyą utworu możnaby nazwać studyum pt. „Piast Dantyszek, kartka z twórczości poetyckiej Juliusza Słowackiego“ przez Bronisława Gubrynowicza (w Sprawozdaniu Zakładu Ossolińskich, Lwów, 1893, str. 47.—63.). Młody krytyk zwraca tu uwagę przedewszystkiem na patryotyczną stronę poematu.

W poezyi Słowackiego — powiada pięknie — drga z całą siłą jedna struna, która w duszy poety odezwała się już w pierwszej młodości i nie zamilkła do końca życia. Jestto struna patryotyczna. W twórczości jego ciągnie się ona jak nić Arachny, to silniej, to znów słabiej dźwięcząc; są jednak utwory, w których jej ton dominujący na pierwsze miejsce wystąpił. Do tych właśnie należy „Poema Piasta Dantyszka o piekle“.

Lambro i Kordjan są jego pierwszymi posłannikami. Anhelli poprzedza go bezpośrednio. Czwartym z rzędu jest poemat o piekle.

W nich jest Słowacki rozentuzyazmowanym marzycielem. Przepaść niezmierzona oddziela jego poglądy polityczne od wypadków spółczesnych, bo nie umie on zejść z wysokości marzeń. Kwestye polityczne rozstrzyga pod wpływem rozkiełzanej fantazyi, wprowadzającej go w ekstazę. Wieść z kraju rozbudza jego płomienną duszę, pod pierwszem wrażeniem tworzy dzieła pełne pessymizmu, sarkazmu i nienawiści do ludzi.

Podobny proces psychologiczny obserwować możemy na Dantyszku. Z kraju dochodziły do dzienników paryskich wieści jak najstraszniejsze; srogie prześladowania, wywożenie na Sybir dzieci kilkunastoletnich i inne krwawe okrucieństwa, oto powszednia strawa, jaką w korespondencyach z Polski pod zaborem moskiewskim podawano. Również były od czasu do czasu wiadomości o ludziach, którzy ulegli srogiej tyranii, o ludziach upadłych na duchu a nawet odstępcach. To raniło boleśnie poetę. Żywo mu stanąć musiały w pamięci wypadki, których sam był uczestnikiem, i nie chciał wieściom dowierzać; to też w „Ofiarowaniu“ poematu Warszawie kreśli takie słowa:

„Bo ja nie wierzę, żebyś Ty się zlękła
Carskiego czoła i carskich rycerzy:
A gdy mówiono, żeś przed nim uklękła,
Tom był jak człowiek co grom weń uderzy;
Potem schyliwszy czoło zamyślone
Rzekłem: żeś klękła Ty po koronę,
Co spadła z głowy i u nóg Ci leży.

Na emigracyi również nie wszystko szło po myśli patryotów; swary i zatargi na bruku paryskim trwały ciągle. Musiały one dochodzić do Florencyi i drażnić poetę, a że płomienne serce jego zbyt żywem tętnem biło, nie dziw więc, iż dał się nieraz unieść uczuciu. I w takich to chwilach tworzył poeta Dantyszka.

„Grób Agamemnona“ uważa B. Gubrynowicz jako prolog do tego poematu; wyższy od niego nastrojem, jakby z jednego kruszcu ulany, porywający swą siłą i prawdziwem natchnieniem, wiele ma wspólnych myśli z poematem o piekle. Myśl przewodnia zawarta w wierszach:

„Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa itd.

....O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym,
Póki kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym;

Póty mieć będziesz hyjenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie.

. . . . myśl ta jest pokrewną myśli wyrażonej w Dantyszku! A postać bohatera czyż nie jest tym czerepem rubasznym?

Dantyszka uważać należy jako rymowaną broszurę polityczną. Poeta chciał stworzyć postać, w której odźwierciadlałyby się wady ówczesnego społeczeństwa. Popędliwość, zawadyactwo i duma z jednej, z drugiej zaś strony poddawanie się bierne woli Bożej i nadzieja, że wyrzekaniem i zanoszeniem skarg przed tron Przedwiecznego wybłaga się Ojczyznę — to pragnął Słowacki wysmagać. Autor „Kordjana“ nie mógł zgodzić się z ówczesnym porządkiem rzeczy; rwał się do czynu i innych pragnął zapalić i pociągnąć za sobą.

Zbyt realistyczne traktowanie przedmiotu — a to pod wpływem Dantego — i brak miary artystycznej wszystko zepsuły. Z jednej strony gryząca ironia, z drugiej zaś ekstaza patryotyczna nie stoją z sobą w zgodzie. Skarykaturowana postać bohatera, nie mogąca wzbudzić sympatyi u czytelnika, nie ma prawa wypowiadać tak podniosłych słów o miłości ojczyzny, jak w ustępie:

„Kto pałasz kocha i ojczyznę kocha, itd.

Dziwnie brzmią one w ustach rubasznego kontuszowca, rozrzucającego główki swych dzieci po piekle. A i tło, na którem postać jego występuje, zbyt jaskrawemi barwy jest odmalowany. Sceny piekielne, jak np. opis mąk Katarzyny, pisany pod wpływem Boskiej komedyi Dantego, są odrażające. Od wieszcza florenckiego oddziela nas przestrzeń kilku wieków, postacie bowiem jego są nam obce, zbyt zaś bliscy jesteśmy czasów, które poeta przedstawił, zbyt żywo jeszcze czujemy i nie zamarły one tak dalece w przeszłości, żeby pieśń obudziwszy je, nie poruszyła zarazem najgłębszych uczuć, które szanować należy.

Br. Gubrynowicz wykazuje szczegółowo wpływ i reminiscencye z Dantego. Już w „Podróży na Wschód“, rozczytywał się w Dantem:

Wolę — powiada — piekło Danta.
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu,
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu

I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł majuskule, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni
Niż Beatrycze. Wam się o tem nie śni!

A ja dowodzę, że Dant o kochance
Nie śnił, a jeszcze mniej śnił o Vororcie
Albo Konwencyi — i nie topił w szklance
Cesarza Niemców, i w piekła retorcie
Nie smażył rządu lepszego, co przyjdzie,
Jak niegdyś Platon kiep na Atlantydzie.

Wiemy, iż poeta często przekraczał progi kościoła „Santa Croce“ (Św. Krzyża) w Florencyi, gdzie stawał przed grobem Dantego. W tym też kościele widzieć musiał najwierniejsze uobrazowanie piekła Dantejskiego, pędzla słynnego Orcani'ego.

Pomysł oprowadzenia istoty żywej, ludzkiej, po krainach piekielnych, choć go wskazać możemy u poetów starożytnych, a mianowicie u Homera i Wergilego, zrodził się w wyobraźni poety pod wpływem Dantego; dowodem tego i sposób przedstawienia i, co najważniejsze, samo przyznanie się Słowackiego, że poemat Dantyszka o piekle natchniony jest echem dalekim Dantego.

Stąd nazwa „Dantiscus“, nie mająca żadnego związku z rodziną Jana Dantyszka, znanego biskupa i poety z XVI. wieku. W nazwie jak w opisie budowy piekła poszedł Słowacki za włoskim poetą. U niego otchłań piekielna dzieli się na 9. kół czyli pasów, a niektóre z nich zawierają w sobie po kilka obrębów. Pierwszy pas jest najrozleglejszy; następujące, w miarę jak się zagłębiają, coraz mniejszą mają objętość — ale większych zbrodniarzy są siedliskiem i sroższe przedstawiają męczarnie. Podobnie i u Słowackiego piekło składa się z 9. części. Za bramą piekielną

bowiem umieszcza „wieżę, zwaną trupów górą, o siedmiorakiem zbudowaną piętrze". Jeżeli więc do tych 7 piąter dodamy okrąg przed bramą piekielną a drugi za nią, to otrzymamy 9 oddziałów, z których im dalsze, tem straszniejsze i większe męki mieści, co również zapożyczono z Dantego. Różnica polega jedynie w tem, że podczas gdy w „Boskiej Komedyi" piekło ma kształt wklęsłego lejka, u Słowackiego stanowi wieżę rozszerzającą się ku górze.

Następnie jaskrawe tło piekła Dantejskiego a mianowicie strumienie krwi, rozżarzone piaski, deszcze ogniste, wzorowane są również na „Boskiej Komedyi", wreszcie stosunek Dantyszka do dusz potępieńców, obcowanie z niemi jakby z żywymi ludźmi, objaśnienia, jakie z ust ich słyszy, odpowiadają w zupełności stosunkowi Dantego do jego świata podziemnego.

Jego też trzem piekielnym furyom a mianowicie: Megerze, Alecto i Tyzyfonie odpowiadają trzy wiedźmy Słowackiego: Głód, Dżuma i Wojna. Umieścił je poeta u wstępu piekieł. (Pieśń IX.). W tej scenie jest widoczny pewien wpływ znanej sceny czarownic Makbeta.

Brama śmierci w Dantyszku, z różnymi napisami na niej — to nieudałe niestety naśladowanie bramy Dantejskiej z sławnemi słowy:

Lasciate ogni speranza, voi, che'ntrate. (Pieśń III.).

Po za bramą spotyka Dantyszek człowieka, co wożąc mgły zarabia na chleb; ten zaprasza go do swej łodzi. W „Boskiej Komedyi" również zbliża się do Dantego na łodzi:

„Un vecchio bianco per antico pelo (Gridando):
Io vegno per menarvi all' altra riva,
Nella tenebre eterne, in caldo e in gelo".

Wieża trupów u Słowackiego przypomina wysoką wieżę Dantejską z pieśni ósmej. Rażący opis mąk Katarzyny przedstawiony jest na wzór mąk Mahometa, umieszczonego u Danta pomiędzy fałszywymi prorokami, hipokrytami, schizmatykami i zdrajcami Ojczyzny. (Dante Pieśń XXVIII.). Nawet Papież, któremu Słowacki nigdy nie

przebaczył bulli z 1832 r. umieszczony jest również wśród potępionych u Dantego. (Pieśń VII.). W końcu zaś las, w którym drzewa mieszczą w sobie dusze na męki piekielne skazanych, wzięty jest żywcem z „Boskiej komedyi“. Do tej pożyczki przyznał się sam poeta w przypiskach; dodał nawet kilka wierszy dosłownie z Dantego przetłómaczonych aby — jak pisał — nie był o zupełną kradzież literacką posądzony.

Reminiscencye te, przytoczone przez B. Gubrynowicza nazwaćby można wprost naśladowaniem. Oprócz nich wymienia Gubrynowicz inne szczegóły również z „Boskiej Komedyi“ zaczerpnięte. I tak apostrofy, w których Słowacki zwraca się do ojczyzny, przypominają swym nastrojem pełne boleści wykrzyki wieszcza florenckiego do miasta rodzinnego.

Postać Maryi w „Dantyszku“ ma przypominać w ogólnych rysach Franceskę di Rimini, a potępieniec, który gryzie swe ręce, słynnego Ugolina.

Te kilka przytoczonych powyżej przykładów dają nam jasne wyobrażenie, jaki stosunek zachodzi między „Boską Komedyą“ a poematem o piekle. Dodajmy jeszcze do tych reminiscencyi Dantejskich, pewien dług zaciągnięty przez poetę również u Szekspira (Makbet, król Lir), a może u Kalderona w dramacie; „El porgatorio de San Patricio“ a wymieniliśmy wpływy literackie, pod jakimi poemat począł się i dojrzewał.

Ferdynand Hösick w pracy swej pt. „Słowacki we Florencyi“, (1837—38.) w „Tygodniku ilustrowanym“ z początku 1894. r. (Nr. 1—13.) obejmuje poglądem całą tę najświetniejszą dobę twórczości Juliusza z czasu pobytu jego we Florencyi. Gród ten — powiada — jak był przez długie wieki dla świata, piastunem sztuki i tego wszystkiego, co piękne i wielkie, jak był ojcowizną Dantego, Michała Anioła, Giotta, Leonarda, Galileusza, tak i dziś jeszcze, zaledwie wstąpisz w jego poważne mury, czujesz sercem obecność wielkich ludzi, wiecznie żyjących, choć umarłych od wieków. Od świątnic i pałaców florenckich, na ulicach powiewa nieśmiertelny duch mistrzów.

Wobec tego, dziwić się nie można, że i na Słowackim zrobił silne wrażenie od pierwszej chwili, kiedy tu

stanął dnia 18. lipca 1837. r. przybywszy z Liworna. Z mieszkania jego na Via dei Bianca pod nr. 4216. roztaczał się widok na malowniczy plac przed kościołem Santa Maria Novella, kościołem, który uchodzi za arcydzieło Albertiego, a który Michał Anioł, niesklonny do pochwał, nazywał swoją „narzeczoną i kochanką“. Widok tego kościoła z wspaniałym portalem, zakończonym półkolem, z facceyami po obu stronach portalu — ozdobionemi każda czterema okrągłemi arkadami, na smukłych spoczywającemi kolumnach — rozmarzał Słowackiego, zwłaszcza wieczorem, kiedy cisza zalegała rynek.

Drugim ulubionym Słowackiego kościołem była katedra il Duomo, słynna kopułą Brunnelleschi'ego i smukłą, eteryczną dzwonnicą Giotta „ubraną w rzeźbioną historyę ludzkości“. Na placu przed kościołem, na kamieniu, umieszczonym w bruku, wyryto wyrazy „Sasso di Dante“, ponieważ tutaj siadywał niegdyś i wpatrywał się w te marmurowe mury świątyni twórca Boskiej Komedyi. Słowacki używający tu często „księżycowego spaceru“, nieraz chodził po tych kamieniach rozmarzony. Tutaj też zrodził się pomysł do poematu Piasta Dantyszka o piekle...

We dnie, wychodząc nieraz na miasto, na przechadzkę, wstępował do kościoła Santa Croce, tego Panteonu florenckiego, szczycącego się, że umieści w sobie grobowce takich ludzi, jak Dante, Michał Anioł, Machiavelli, Galilei, Alfieri; tu, przed pomnikiem Danta, którego posąg ponury, jak powiada, patrzący na niego z wysoka, zdawał się mu mówić jakieś wyrazy natchnienia, stawał w zadumie pogrążony, i stał tak, sam często nie wiedząc jak długo....

Pałac Uffizi i Pitti widywały autora Anhellego (a napisał go właśnie w tych czasach) w obrębie swoich poważnych, średniowiecznych murów, szczególnie pałac Uffizi, którego jedna sala jest świątynią Medycejskiej Wenus. Słowacki zakochał się w tym posągu. Boska harmonia tych kształtów niewieścich, zakutych w marmur pentelikoński, czarowała go i rozmarzała swoimi wdziękami, swoim powabem. Jako artysta zaś, nigdy nie zapominający o swojej sztuce, wpatrywał się w to marmurowe ciało bogini nietylko pożądliwym, zmysłowym zwrokiem mężczyzny.

któryby chciał ożywić i posiąść tę Galateę, ale i z myślą także, aby jej piękność przeszła do jego duszy tak, „żeby się wszystko potem podług niej tworzyło".

Choć wrażliwy na piękność różnych Medycejskich Wenus, żywych i marmurowych, nieprzestawał mimo to chodzić n. p. co dzień regularnie do biblioteki publicznej, gdzie spędzał zawsze po parę godzin na czytaniu dzieł Calderona, usypiając się jego brylantową, jak mówi, i świętosci pełną imaginacyą. Oprócz dramatów wielkiego Hiszpana zapoznał się tam i z dziełami nowoczesnych poetów włoskich, jak Alfieri, (którego wpływu dopatruje się Hösick, w „Lilli Wenedzie", w dedykacyi), lub też — co się nam dzisiaj niezrozumiałem wydaje — powracał do swego ulubionego Chateaubrianda, którego Attala, René, Les Martyrs upajały go dźwięcznością swej poetycznej (dla nas pretensyonalnej i napuszonej) prozy, i który na twórczość jego z tych czasów florenckich wywrzeć miał wpływ tak silny.

Fr. Hösick utrzymuje, że jednocześnie z romansem „W Szwajcaryi" dojrzewały w umyśle poety „Ojciec Zadżumionych" i „Dantyszek" a praca nad nimi miała się przeciągnąć z jesieni 1837. do wiosny 1838. r.

Str. 137. Poema Piasta Dantyszka, *herbu Leliwa.*

Herb Leliwa tak opisują herbarze: W polu błękitnem lub czerwonem tarczy jest księżyc złoty, jak na nowiu niepełny, do góry rogami obrócony, we środku jego gwiazda o sześciu granach (promieniach) a na hełmie w koronie pawi ogon, w którym takiż sam księżyc z gwiazdą, jak na tarczy. Bartosz Paprocki „Herby rycerstwa Polskiego", Kraków, 1858, str. 480. Kasper Niesiecki, „Herbarz Polski", Lipsk, 1841. tom VI. str. 39. Herbu Leliwa użył Słowacki i w fragmencie dramatycznym „Krakus", (Pisma pośmiertne J. Słowackiego, Lwów. 1885. III. 289. i nast.). Imię Piasta nadawano między innemi kandydatom polskim do korony w odróżnieniu do obcych.

Str. 141. w. **29**. Nie mogąc przeżyć bez pociech do zgonu,
Poszedłem sobie na górę *Syonu.*

Syon, góra w Jeruzalem, na której była zbudowana część tegoż miasta, gród Dawida, o którym często wspomi-

naja Psalmy, bo nad wszystkie przybytki umiłował On tę świętą górę (Psalm 86.) i na niej zamieszkał (Psalm 9.). Z Syonu błogosławił Pan narody, dawał łaskę mocy na obronę i zstępował do walki, ostatni cud wielkiego dzieła odkupienia miłością wyszedł także z Syonu.

Str. **146**. w. **210**. To chociaż czuję, że przez bliskie rżysko

Rżysko, od rży, tyle co żytnisko, pole żytnie, a potem: pole zżęte, ściernisko.

Str. **147**. w. **237**. Gardło [na str. 153 i 159. w rymie: gardło] jak suche, to gra jak multanki.

Multanka, rodzaj fletów czy piszczałek, używany między pasterzami w Multanach czyli Moldawii, skąd się podobno rozszedł po całej Polsce. Jestto instrument złożony z kilku (aż do siedmiu) co raz mniejszych piszczałek, przypominający starogrecką „Syrinx“, na której grywał bożek leśny Pan.

Str. **147**. w. **260**. i inne. Dantyszek zwyczajem staropolskim używał często w mowie wyrazów obcych n. p. *Summarum summa* (razem dodawszy), *dictum* słowo, *sacre nom de Diu*, święte imię Boga, *Carraju*! *Goddam*! do stu *et cetera*. Słowo *caroja* oznacza w hiszpańskim języku czapkę dyabelską; angielskie *god dam* znaczy tyle co: Niech mię Bóg potępi, końcowe słowa: „do stu“ (dyabłów) i tam dalej“. — *Ave Maria* („Zdrowaś Maryo“), początek modlitwy i t. p.

Str. **152**. w. **451**. Kołysząc trupem brzęczącym *Judasza*...

Judasz Iszariot, jeden z dwunastu Apostołów, który zdradził Jezusa za 30 srebrników, uważany jest powszechnie za typ najpodlejszej chciwości.

Str. 153. w. **470**. A tutaj do mnie z bramy jakiś człeczek
Krzyknął: „szlachcicu! itd. aż do
Cenzory w piekle palić jak łuczywa.

Słowacki ma tu na myśli Józefa Kalasantego Szaniawskiego, prezesa wydziału cenzury do r. 1830. Znany ten mąż stanu i filolog, ur. 1764. r. należał za czasów Stanisława Augusta do najgorętszych zwolenników reformy w kraju, brał czynny udział w powstaniu Kościuszkowskiem

1794. r. w Warszawie i w legionach polskich we Włoszech a potem w komitecie emigracyjnym w Paryżu. Za rządu pruskiego wróciwszy do Warszawy zajmował najwyższe urzędy: był członkiem izby najwyższej administracyjnej, referendarzem stanu, prokuratorem generalnym, radcą stanu, dyrektorem generalnym dyrekcyi wychowania itd. Umarł 16. maja 1843. Zasłużył się w literaturze jako jeden z pierwszych krzewicieli u nas filozofii Kanta. („Co jest filozofia, Warszawa, 1802. „Rzut oka na dzieje filozofii“, tamże 1804 „Mowa o duchu klasyczności i romantyczności“ tamże 1822. wiele rozpraw w Rocznikach Tow. przyj. nauk. itp.). Splamił się tylko objęciem urzędu cenzora, co gorzko odpokutował.

Str. 157. w. **622**. Urąga z głupiej fortuny jak *Kato*.

Marcus Porcius Censorius *Cato*, dla odróżnienia od swego prawnuka nazwany Priscus albo Major (starszy) ur. 234. um. 149. przed Chrystusem. Z nieznanej rodziny pochodząc, został konsulem a potem cenzorem. Występował z wielką gorliwością przeciw wszelkim zbytkom i obcym naleciałościom.

Str. 159. w. **725**. Odcinam się im, kręcę się jak *Fryga*.

Fryga, czyli bąk zwany także cygą albo warchołką, stanowi zabawkę dziecinną. Jestto wydrążona kula drewniana, na pręcie u spodu przymocowana, w około którego sznurek okręcony. Gdy się frygę wsadzi w otwór oddzielnej na to rączki, a rzemień lub sznurek raptem odciągnie, wyskakuje ona nagle i kręci się po podłodze, z warkotem stopniowo cichnącym. Stąd ma pochodzić wyrażenie w naszym języku: kręci się jak fryga.

Str. 160. w. **750**. I szczeknął do mnie, że to *Erywański*.

J. Paszkiewicz Erywański, kziąże warszawski, znany ze swych okrucieństw, generał rosyjski.

Str. 161. w. **784**. Głos znowu krzyknął: plwaj bo to *Suworów*!

Aleksander Suworow, naczelny generał wojsk rosyjskich, ur. 1729. um. 1800. znany z barbarzyństwa i nieludzkości, jego to dziełem jest rzeź Pragi 1794. r. która koniec położyła powstaniu Kościuszkowskiemu.

Str. 162—164. w. 845—902. A ja krzyczałem: Papieżu!
[a bulla?

Grzegoż XVI. ze chrztu Bartłomiej Albert, pochodził z rodziny Cappellari'ch, ur, 1756. um. 1846. koronowany papieżem 6. lutego 1831. r. wydał po powstaniu listopadowem ową słynną bullę, która oburzyła całą Polskę, a którą następną bullą z 1842. r. starał się wytłómaczyć.

Str. 169. w. 1102. i nast. Stałem na grobie Wielkiego
[książęcia

Konstanty, Wielki książę, syn Pawła I. ur. 1779. Zrzekłszy się tronu Rossyi, dopuszczał się różnych gwałtów jako naczelnik siły zbrojnej w Królestwie, umarł 27. czerwca 1831. r. Powstanie listopadowe położyło kres jego panowaniu.

Str. 171. w. 1181. i inne. Słowacki używał często wyrazów ruskich w wierszu; byłoto pozostałością z czasów młodości i tłómaczy się wpływem szkoły lub miejscowości (Wołynia). Np.:

Z oczu się jedna wytoczyła (łza) *słoza.* (w rymie). Wężowe *chwosty* (ogony) miała kawalerya. Szczękające trą się o siebie *zastawy* (stawy) itp.

Str. 172. w. 1199—1211. Dawniej gdy były na honorze
[szczerby

Albo ród gasnął, to łamano herby.

W objaśnieniach do tego miejsca, umieszczonych w tekście, utrzymuje poeta, że zwyczaj łamania herbów po wygaśnieniu rodziny odbyć się miał „*po raz ostatni* po śmierci hetmana Branickiego" (Jana Klemensa, hetmana Wielkiego koronnego, herbu Gryf, zmarłago dnia 9. października 1771. Jestto pomyłka, do dziś bowiem przestrzegają tego zwyczaju na pogrzebie znakomitych rodzin, za moich czasów przy śmierci Jana Działyńskiego, hr. Miera i innych. Zwyczaj kruszenia w kościele kopii, oręża lub tarczy po śmierci ostatniego z rodu, albo berła, korony i miecza na pogrzebie króla, opisuje Łukasz Gołębiowski „Lud polski, jego zwyczaje", Warszawa, 1830. str. 258. i nast.

Str. 176. w. **1357**. Patrzę! jak tu *oman* ze śniegu zamieci..
Oman lub omam, tyle co omamienie, zamydlenie oczu, illuzya

Str. 179.—80. w. **1475—1640**. Cały ten straszny, piekielny obraz przedstawia Szczęsnego Potockiego i Gertrudę Komorowską, znanych nam z poematu „Wacław“.

Str. 184. w. **1667**. Gołębi stadem lecą przez *Gehenne.*
Gehenne (hebr. ge-hennon), tak nazywa się w piśmie św. miejsce wiecznego potępienia (Mat. 5, 22. Łukasz, 12, 5.) czyli piekła. Nazwa pochodzi od doliny, na południu ,d Jeruzalem położonej, zwanej doliną synów Hennówo gdzie palono dzieci na ofiarę Molochowi.

Str. 184. w. **1679**. Tak uklękłego zakamienowały matki...
Mowa tu o carze Mikołaju I. (1825. do 1855 roku), znanym ze swych okrucieństw wobec Polaków. — Po bliższe objaśnienia „Dantyszka“ odsyłam czytelników do „Przypisów“ autora umieszczonych przy końcu poematu (str. 187—192.).

Odpowiedź
J. Słowackiego Panu Z. K.

W Dodatku do Nr. 8. „Młodej Polski“, wydawanej przez Eustachego Januszewskiego w Paryżu, z dnia 21. marca 1839. pojawiła się zjadliwa krytyka, która oburzyła do żywego Juliusza i spowodowała jego odpowiedź. Pod tytułem: Trzy poemata Juliusza Słowackiego, Bajki i poezye Antoniego Goreckiego, Poemat o piekle Dantyszka — umieścił krytyk, ukrywający się pod literami Z. K., następujący artykuł, który tu w dosłownem przytaczamy brzmieniu.

Poezya w dzisiejszych złych czasach okazuje dziwną wytrwałość, coraz liczba czytelników się umniejsza, a w stosunku odwrotnym idzie ilość utworów poetycznych. Jak się ten spór zakończy? Obojętność czytelników będzie-li złamana nareszcie? Życzymy tego bardzo. Wprawdzie, trzeba wyznać, że my publiczność, my lud czytający, mamy ważne powody oziębłości ku żyjącej poezyi. I mamy słuszność w naszej niechęci; a to nie dla tego, żeśmy ludem, ostatnim sędzią pomiędzy poetą a nami, najlepszy niesiemy dowód na faktach i przyrodzeniu człowieka oparty. Pokolenie, które upływa i do którego należym, szuka poezyi wszędzie i krwawo pracuje, stawia się w tysiącznych, położeniach, nagina smak swój tysiąckrotnie, byle uczuć, pojąć w pełności, wszystko co świeci w historycznem przestworzu, na drodze mlecznej poezyi, gdzie pierwszemi gwiazdami początek księgi Rodzaju i hymn dziękczynny z księgi Wyjścia, a ostatnie Giaur, Korsarz, Manfred, wybłysły już nad po-

rankiem dni naszych. Czemużby ludzie, co z trudem po obcych i dalekich niwach szukają kwiatu i woni dla swego uwielbienia, nie mieli pić próżniaczo, rozlanej u nóg ich rozkoszy? po co pracowicie i wcześnie wkładać ucho do cudzoziemskich, cudzowiekowych tonów, kiedy można z niechcenia i serdecznie pieścić je nutą narodową?

Widać zatem, że większa przestrzeń dzieli nas od dzisiejszej, jak od dawnej poezyi. Widać, że nam łatwiej wmięszać się w szyki Hebreów, przechodzących morze czerwone, zasiąść u stołu Agamemnona, przy wezgłowiu Dydony słuchać opisu zburzenia Troi, pojąć myśl i dźwięk pół stoickiej, pół epikurejskiej pieśni Horacyusza, zwiedzać z Dantem idealny świat katolicyzmu i rzeczywisty świat średnich wieków jednym pochodem, czuć zazdrość, i honor sercem szlachcica z Kalderona komedyi, łatwiej to wszystko niżeli cokolwiek rozeznać, zrozumieć, uczuć w światach dzisiejszej poezyi.

Jak się to dzieje, że co zaszłe lub przymierzchłe widniejszem jest przecie dla oka, niźli co nowe, z pośród nas wystrzelone? Oto, że tamto są wszystko rzeczy; z ułamków ich nawet możnaby odgadnąć całość, Cuvier z kawałków kości odgadywał układ przedpotopowych stworzeń, a z zupełnych utworów odbudujesz świat ówczesny; taka tam logika od owocu do ziemi i czasu co go wydały. Jeśli zimni słuchamy poezyi dzisiejszej, to że w ogóle jest ona fałszem, albo co gorsza osobistem prezentowaniem się poety w udanych postaciach i ze śmiesznemi uroszczeniami Może zresztą ta maskarada charakterów maluje dobrze nas i naszą epokę i choć nie wabna będzie pod tym względem historycznie ciekawą dla przyszłych pokoleń, my przecież, jeśli już podlegamy powszechnej ułomności, to przynajmniej chcemy dać dowód dobrego smaku, woląc niźli na samych siebie patrzeć z Homerem, Dantem, Kalderonem na ludzi ubiegłych czasów. Niech nikt nie sądzi, że to złe co mówimy o dzisiejszej poezyi jest koniecznym wstępem do zdania, jakie mamy otworzyć o poezyach PP. Słowackiego, Goreckiego i Dantyszka. Jest to jednak parę artykułów naszej wiary krytycznej, usposabiających do pobłażenia. Trudno być różnym od swego czasu. Wreszcie bajki i poezye Ant. Goreckiego wychodzą z pod surowej nagany, rzuconej

na ówczesną poezyę, naturą swoją i skromnością swych żądań. Płody nie od dziś polubionego przez naród pisarza noszą zawsze swe miłe cechy: czystość mowy, prostota opowiadania, złośliwa dobroduszność myśli znamionuje niejedną jego bajkę. Kto pomni dawne, których się cała Polska na pamięć uczyła, temu poradzim niech czyta nowe, są to piękniejsze jeszcze od dawniej znanych. Podobne utwory nie mają nic do czynienia z kłótniami szkół i trudnościami czasów; żyją dłużej niż szkoły i tyle co czas, gdy im da życie talent tak pewny jak P. Goreckiego, bo pojedyncze spostrzeżenia trafne, delikatne, jak może być zrobione o każdej epoce tak i podobać się w każdem usposobieniu.

Ale naprzykład, bez poprzednich ogólnych uwag w dziwnym rozbracie poezyi ze społecznością, niepodobnaby nam było wytłómaczyć, z jakiej przyczyny pieśni Juliusza Słowackiego są dotąd prawie bez echa w narodzie. Nie znam poety, coby miał równy talent wykonania. I musi być wielka niezgoda w ogólnem pojmowaniu poezyi między Polską a P. Słowackim, kiedy mimo uroczą świetność formy nie przyjął się lepiej na jej gruncie. Przecież Polska mało dotąd miała pisarzy, mało stylów w poezyi, i jak dziecko łakoma jest zewnętrznego połysku.

Trzy nowe poemata P. Słowackiego, świadczą już o uznanej piękności stylu a na usposobienie narodowe ku utworom poety nie tyle wpłyną, ile mybyśmy życzyli. Pierwszy poemat Ojciec zadżumionych w El-Arish (El-Arisz) jest ustępem żywym i zajmującym wprawdzie, ale tylko ustępem; a co do pomysłu jestto przerysowanie owego znowu ustępu, który P. Słowacki na pamięć umie:

La bocca sollevó dal fiero pasto et peccator, etc.

Jednakże „Ojciec zadżumionych“ jest najlepszym ze trzech poematów. Drugi pod napisem „W Szwajcaryi“ należy do tej osobnej poezyi, która gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniuszu, albo też źródłem jakichś nowych natchnień, zajmuje zwykle więcej samego pisarza, niż czytelników. Ostatni poemat „Wacław“ w mniemaniu autora potrzebował usprawiedliwienia: ładnie pisany, jak wszystko co pisze Słowacki, nie tłómaczy jednak poety ani z zaufania, że się pokusił robić dalszy ciąg

Maryi Malczewskiego, ani szczególniej z braku artystycznego uczucia, że chciał zdzierać tę czarowną zasłonę, którą Malczewski zarzucił w końcu na główne osoby swego poematu.

Poemat o piekle nie nosi nazwiska autora; ostrożność bardzo na miejscu. Nie wiemy kto się dopuścił tego cudactwa, czy jaki człowiek talentu napisał to na żart dla wypróbowania publiczności, czy też ktoś w dobrej wierze popadł w błąd jaki. W pierwszym razie ostrzegamy, że nie łatwo nas złapać; jeśli zaś nasz autor jest dobra dusza, radzimy, mu aby tytułów jakie mieć może do poczciwości, nie wymieniał na tytuł śmiesznego poety.

Na tę zaczepkę nastąpiła odpowiedź poety — w następnym zaraz numerze Młodej Polski, w Dodatku do Nru 9 z d. 30. marca 1839. p. n. „Kilka słów odpowiedzi na artykuł Pana K. Z. o poezyach J. Słowackiego“. Jest podpisana całem imieniem autora i ułożona w formie jawnej i osobistej z jego strony repliki.

Tłómaczy się w niej poeta, dlaczego jego poezye, pomimo wytworności kształtów, tak mało mają odgłosu w Polsce. Brak ten spójni między krajem a jego natchnieniami odnosił do tych trojga przyczyn: Na pierwszem i głównem miejscu okolicznością, że pierwsze tomy jego poezyj były jak sam powiada „bez duszy“. „Pokazałem się po raz pierwszy jako artysta — ludziom, ważną i okropną tragedyą zajętym. Pierwszymi dwoma tomami zgubiłem się na cały czas życia mego — a teraz muszę bez echa śpiewać, choć śpiewam inaczej. Do tego najważniejszego, dołączał Juliusz jednak i dwa jeszcze inne powody: z jednej strony „trochę wyrachowaną obojętność“ choćby takich poetów jak Mickiewicz. Z drugiej strony wskazywał na „wpływ takich artykułów na polską publiczność, jakim jest ostatni pana Z. K. artykuł“.

„Młoda Polska“ pomieszczając tę odpowiedź Słowackiego, dodaje w tym samym numerze z dnia 30. marca 1839. następujące niby usprawiedliwienie: Umieściliśmy w pismie naszem kilka słów o poezyach Pana J. Słowackiego, w przekonaniu, że krytyka nawet niesprawiedliwa lepsza jest dla poety od samego milczenia obojętności; ro-

zumieliśmy więc, iż robimy przysługę P. Słowackiemu dając miejsce jakiemu bądź objawieniu myśli Polaków o poezyach jego. Pan Słowacki osądził za rzecz stosowną odpowiedzieć na krytykę Pana Z. K. Nie wchodzim czy słusznie uczynił. Wolelibyśmy byli okazać w inny sposób naszą życzliwość P. Słowackiemu. Ale skoro chciał umieszczenia swej odpowiedzi, wypadało się nam stosować do jego woli. Bogdaj był szczęśliwym swoich losów prorokiem!

O jednej rzeczy ostrzedz czytelników jest przecie obowiązkiem naszym. Pan J. Słowacki zdaje się mieć jakieś powody goryczy względem ludzi, których my uważamy za prawych naczelników polskiego intellektualizmu, których sławę mamy nie za lekko, ale za łatwo zarobioną, bo zdobycze geniuszu są tak naturalnego pozoru, że nie zdają się kosztować ni usiłowań, ni trudu. Otóż nie chcielibyśmy, żeby, czy to publiczność kochająca imiona tych ludzi, czy to oni sami, sądzili, iż umieszczając list P. Słowackiego, bierzemy na się wspólnictwo o narodowej ich sławie, cierpko i lekko wyrzuconego sądu.

Sprawdziły się w rzeczy samej słowa redakcyi „Młodej Polski", wypowiedziane w nagłówku do tej jego repliki: zaczynającej się od słów nieprawdziwych a kończącej się na ironicznym wykrzykniku: „Wolelibyśmy okazać w inny sposób naszę życzliwość P. Słowackiemu. Bogdajby był szczęśliwym swoich losów prorokiem! — Napadł bowiem już po kilku miesiącach podrażniony odpowiedzią poety recenzent, znany nam tylko z początkowych liter Z. K., choć tym razem chryi swojej nawet temi literami już nie oznaczył, na „Balladynę" i zupełnie w intencye autora nie wchodząc a oczywiście już bredząc, starał się dzieło to obrócić w nicość, a w poecie tylko próżność i śmieszną dumę odsłonić. Pojawiła się ta wątrobiana krytyka w Nrze 29. „Młodej Polski" dnia 10. października 1839. r. przytoczona w objaśnieniach „Balladyny". Z tego wszystkiego odniósł poeta słuszny poniekąd żal do „Młodej Polski". Ściągnęły one na jej wydawcę E. Januszkiewicza nazwanie go — wypowiedziane w Beniowskim — „babą" (która przyjmuje bez braku, co tylko jej kto do oddrukowania nadeszle), ale zerwania zupełnego z Januszkiewiczem to jednak nie spowodowało. Przeciwnie, w roku 1840. pozwolił

mu Juliusz ogłosić w swoim dzienniku (w Nrze 17 z d. 20. czerwca) wiersz „Na sprowadzenie prochów Napoleona“, któremu nie poszczędziła też redakcya pochwały w gorących wypowiedzianej wyrazach.

Dopiero uczta wydana dla Mickiewicza w roku 1840. spowodowała uśmierceniem p. Z. K. zerwanie zarazem z jego redaktorem w „Beniowskim“.

Objaśnienia „Lilli Wenedy“.

Najważniejszem źródłem poznania genezy „Lilli Wenedy“ jest przedmowa poety, umieszczona na czele tragedyi w formie listu do Z. Krasińskiego, gdzie między innemi tak określa powstanie „białej“ Lilli, bohaterki sztuki: Przed pięciu laty (1835 r.) mieszkałem nad jeziorem Szwajcaryi, blisko miasteczka Villeneuve, dawnego Avencium. Miasteczko to położone na zielonej równinie w końcu jeziora, niedaleko zamku Chillon i skał Heloizy, czarowało mię swoją wiejską i spokojną pięknością.

...Niegdyś, przed wiekami, na tem samem miejscu odbywała się okropna jakaś ofiara; musiało być poświęcenie się, rozpacz, szczęk broni, miecz katowski ucinający głowę starca i słowo S. P. Q. R. błyszczące na Rzymskich chorągwiach. Czas wszystko uciszył. Z całej owej historyi został tylko jeden grobowiec z następującym napisem:

Julia Alpinula
tu leżę,
nieszczęśliwego ojca, nieszczęśliwa córka,
bogów awentyńskich kapłanka,
wyprosić ojca od śmierci nie mogłam,
nieszczęśliwie umrzeć w losach jego było,
żyłam lat 23.

Mój Irydjonie, ta młoda dziewica, ta czysta kapłanka, co żyła lat 23, skarżąca się tak cicho — a tak przeraźliwie — z przeszłości: ona to zamieniła się w „Lillę Wenedę“. Ta mara srebrnej białości, która na dziwnej zieleni

łąk szwajcarskich, na odłamie skały, stawała przedemną: teraz zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowiedziała swego poświęcenia się historyę; cicha, czysta, biała i spokojna ale głęboko w serce, nawet przez ojca własnego raniona.

Słowacki przebywając przez blisko trzy miesiące, tj. część lipca, sierpień i wrzesień 1835 r. w Veytoux, w Szwajcaryi, odwiedzał zapewne leżące w pobliżu miasteczko Villeneuve. Przytoczony powyżej opis świadczy, że poeta znał je dobrze. Na czas więc owego pobytu w górach szwajcarskich przypadałby pierwszy pomysł „Lilli Wenedy".

Wnioskując ze słów poety, możnaby sądzić, że w rzeczywistości oglądał grobowiec Julii Alpinuli w Villeneuve. W istocie jednak całe owo opowiadanie poety o nagrobku, jak to wykazał Wiktor Hahn w „Studyum nad genezą Lilli Wenedy" (Lwów 1894 str. 5) jest zmyślone, a to z tej przyczyny, że nagrobek taki nigdy nie istniał. Sfałszował cały ten napis grobowy, znany powszechnie fałszerz inskrypcyi Merula (van Merle, Paulus, Gulielmus) de Dordrecht w r. 1585. Wielu uczonych dało się uwieść Meruli i uważało napis Julii Alpinuli za autentyczny; później jednak wykazała krytyka niezbicie, że napis jest podrobionym. Już na kilka lat przedtem, nim Słowacki napisał swoją przedmowę, fałszerstwo Meruli nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Słowacki jednak nie wiedział o tem.

Mimowoli nasuwa się pytanie, skąd zaczerpnął wiadomość o tym napisie, gdyż widzieć go w żaden sposób nie mógł. Otóż nie ulega wątpliwości, że źródłem Słowackiego był tu Byron. W pieśni trzeciej, zwrotce 65—6 poematu „Childe Harold's pilgrimage" znajduje się następujące miejsce, poświęcone Julii Alpinuli, które przytaczam w przekładzie Jana Kasprowicza (*Czajld Harold* Bibl. najceln. utworów liter. europ., Warszawa 1894):

Tutaj (w Awentyku) o imię chwalebne i święte!
    Julia kapłanka, córka — w lat swych dobie
Wiosennej niebu służyła... Przejęte
    Miłością nieba serce jej na grobie
    Pękło ojcowskim... Przeciw łez żałobie

Gdy sprawiedliwość stanęła, umarła
Z życiem, co życie jej mieściło w sobie...
Żadna się statua o grób ich nie wsparła,
Gdzie urna jedno serce, jeden proch zawarła.

Byron dodaje do tego miejsca, pisanego nad jeziorem Leman 3. czerwca 1816 r., następującą uwagę:

Julia Alpinula, młoda kapłanka awentyńska, zmarła niebawem po daremnej próbie uratowania ojca, który przez Aulusa Caecinę został, jako zdrajca, na śmierć skazany. Napis na jej grobie odkryto przed dawnemi laty, brzmi on: „Julia Alpinula: Hic jaceo. Infelicis patris infelix proles. Deae Aventiae sacerdos. Exorare patris necem non potui. Male mori in fatis illi erat. Vixi annos XXIII.“ Nie znam bardziej rozczulającej poezyi, bardziej zajmującej historyi. Imiona i czyny tego rodzaju zaginąć nie powinny. Z prawdziwą i zdrową miłością zwracamy się ku nim od tych marnych, błyskotliwych szczegółów, dotyczących masy zdobyczy wojennych i bitew, dla których serce przez pewien czas żywiło fałszywą, gorączkową sympatyę... Porównaj Byrona Wędrówki Czajld-Harolda, z angielskiego przełożył Michał Budzyński, Pieśń III. zwrotka LXV do LXVIII. Petersburg 1857 str. 141 i 166.

Że Słowacki w czasie owego pobytu w górach szwajcarskich rozczytywał się w ulubionym przez siebie Byronie, na to mamy dowody w następnym liście bez daty, ale pisanym, jak się zdaje we wrześniu 1835 r. „Przy odjeździe taki smutek, taka nuda mię opadła, że zakazałem, aby mi nie przysyłano książek. Wziąłem tylko kilka moich ulubionych autorów, z tymi, jakoto z Szekspirem i Byronem, chodzę po górach — kładę się pod drzewami i czytam“.

Byron przedstawia tak całą rzecz, jakoby grobowiec Julii Alpinuli w rzeczywistości istniał, wiedział jednak bardzo dobrze, że napisu takiego grobowego nigdy nie było, na zapytanie bowiem Anglika Medwina, oświadczył wyraźnie, że wiadomość o Julii Alpinuli zaczerpnął ze starej kroniki: „grobowiec“ dodał nadto, „nigdy nie istniał“. Był to więc tylko prosty wymysł poety.

Słowacki wziął jednak fantazyę poety za rzeczywistość; pisząc w kilka lat potem w Paryżu swoją przed-

mowę, zapomniał o tem, że w Avenches nie widział wcale tego pomnika. Rzeczywistość pomięszała się ze złudzeniem i w najlepszej wierze, że mówi prawdę, napisał poeta ów ustęp o nagrobku Julii Alpinuli.

Tłómacząc zaś napis, zamieszczony w języku łacińskim, we wspomnianym powyżej przypisku Byrona, źle zrozumiał wyrazy „Deae Aventiae sacerdos“ i z nich wysnuł nazwę nieistniejącego miasta Avencium. (Ma być Aventicum.) Jeżeli więc pod wpływem Byrona powziął myśl uwiecznienia czynu córki, starającej się uwolnić ojca z niewoli, to jeden motyw przejął też może z legendy historycznej o Julii Alpinuli.

Opowiadano, że w pierwszym wieku naszej ery napadł na Helwetów wódz rzymski Caecina, który podstąpiwszy pod Aventicum, zażądał wydania Juliusza Alpina, przewódzcy mieszkańców. Nikt nie śmiał prosić dumnego Rzymianina o łaskę; jedynie tylko córka Alpina, Julia, udała się do obozu nieprzyjaciół i kornie błagała o życie ojca; prośby jej jednak nie odniosły skutku, nieugięty Caecina kazał go stracić; Julia Alpinula nie mogąc przeżyć straty ojca, pośpieszyła wnet za nim. (J. Müller Geschichte der Schweizerischen Eidgenossenschaft, Leipzig 1786 I 50—4.)

I w tragedyi Słowackiego udaje się „Lilla“ do obozu Lechitów, aby wybawić ojca swego z niewoli, niedawno pana całej krainy, jak zgodnie z tragedyą podaje poeta. Jak Julia Alpinula, tak i Lilla Weneda głęboko w serce nawet przez własnego ojca raniona, umiera, jak kwiat zerwany przedwcześnie.

Przyjąwszy od Byrona pierwszą podnietę do utworzenia postaci córki, pragnącej ocalić ojca od śmierci, choćby z narażeniem własnego życia, nasunęły się poecie dalsze reminiscencye z „Childe Harold’a“, to jest ocalenie od śmierci głodowej zapomocą kwiatów, wodnych lilii.

Poeta sam — w przedmowie — podaje genezę tego miejsca. „Dawniej jeszcze jadąc przez pińskie błota, widziałem mnóstwo lilii wodnych, i mnóstwo chłopów wychudłych od głodu; między chłopami a nenufarem litewskim taki był związek, że chłopstwo jadło kwiatów łodygi, nie mając chleba; łodygi te bowiem rdzeń mają słodką, gąb-

czastą, która za pokarm służyć może. Co z tego pińskiego wspomnienia do tragedyi wyniknęło, zobaczysz“.

Jeszcze w liście z dnia 30. czerwca 1835, z Genewy — pisze poeta te słowa: „Pamiętasz, mamo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu?“ W pierwszym fragmencie dramatu „Beniowski“, podaje Beniowski księżniczce w braku wody lilie, mówiąc: „A ty ssać będziesz słodkie łodygi, sama lilia“. Opowiadanie poety o chłopach jedzących łodygi lilii z braku chleba, potwierdzają pośrednio opisy podróżników australskich (Burkego i Klinga) o których wspomina dr. Henryk Monat w swem studyum o Lilii Wenedzie, a którzy sami żywili się przez pewien czas kielichami kwiatów Cephalotae i Nardon.

Wspomnienie to nasunęły poecie cztery strofy 148—51 czwartej pieśni Child Harold'a, gdzie mowa o córce, która ojca skazanego na śmierć głodową, ocala karmiąc go mlekiem własnej piersi. Byron miał tu na mysli, jak sam to zaznaczył w przypisku, następującą opowieść, przechowaną u starożytnych pisarzy rzymskich. Za ciężkie jakieś przewinienie skazano pewnego Rzymianina na śmierć głodową. Córka skazanego ubłagała sędziego, że jej pozwolono odwiedzać ojca w więzieniu; za każdym jednak razem baczono na to pilnie, aby nie przynosiła potajemnie żywności. Strażnik śledząc córkę, zobaczył raz ku wielkiemu swojemu zdziwieniu, jak córka karmi zgłodniałego ojca mlekiem swojej piersi. Czyn tak niezwykłej miłości wprawił w podziwienie wszystkich; więźnia uwolniono, a w miejscu, gdzie wypadek ten zaszedł, postawiono „templum Pietatis“. Byron wspomina o tem w tych oto słowach:

Ale tu młodość stare lata sili
    Mlekiem — ich darem: rodzicowi płaci
Dług krwi, w narodzin zaciągnięty chwili,
    Nie! on dopóty tchnienia nie utraci,
    Dopóki w żyłach dziewiczej postaci
Nie wyschną zdrowia i miłości zdroje,
    Ten Nil przyrody, co wzbiera bogaciej,
Niźli, Egipcie, owe głębie twoje!
Pij starcze, pij! czyż w niebie takie są napoje?!

(Czajld Harold w przekładzie Jana Kasprowicza.)

O zdarzeniu tem wspomina Chateaubriand w „Les Martyrs“, w ks. 21, (Oeuv. compl. Bruxelle 1828, Tome XVIII. p. 158).

Motyw ten przyjął Słowacki do swej tragedyi, w scenie bowiem pierwszej aktu czwartego, mówi Lilla Weneda następujące słowa:

W niezawiązanej przychodzę koszuli,
Nie niosę chleba, nie mam nic przy sobie,
Ty nie wiedziałaś, że ten wieniec biały
Zdziecinniałemu będzie piersią matki,
Że on go będzie ssał, śmiał się i płakał.

Podobnie wreszcie, jak w legendzie, czyn córki wywołuje podziw wszystkich i staje się powodem ocalenia więźnia, tak i w tragedyi Słowackiego wszyscy, nawet Gwinona, nie mogą się oprzeć temu samemu wrażeniu.

Oprócz wpływu Byrona zaznacza W. Hahn w wymienionej rozprawie reminiscencye z wspomnianego utworu Chateaubriand'a: „Les Martyrs“ a dowody, jakie przytoczył, stwierdzają zupełnie jego twierdzenie. Przypominam, że w korespondencyi mówi poeta o Chateaubriandzie pod datą Genewa d. 6. czerwca 1834 r. i 28. września 1834; w obu listach o Reném.

Jako motto do rozdziału trzeciego powieści, pisanej w języku francuskim pt. „Le roi Ladawa“ cytuje Słowacki zdanie z Chateaubrianda. W „Anhellim“, w rozdziale XI., słowa „dlaczegoż nie powstanie wicher, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą! dlaczego ja żyję“ są prawie dosłownem tłómaczeniem następującego zdania z Renégo: „Leves-vous orages, qui devez m' emporter dans la nuit éternelle“. Wykazał to pierwszy W. Gasztowtt. Oeuvres complétes de J. Słowacki, Trad. par. V. Gasztowtt. Paris 1870, I. 157. zob. w pieśni czwartej „Beniowskiego“:

Wstańcie, burze!
I zwiejcie mój ślad z tej nędznej pustyni!
...Że go wiatr pustyni nie zmiecie
Bez śladu, (tamże p. VII.)

Są to obrazy powszechnie używane.

W. Hahn wykazuje, że na skreślenie charakteru Rozy Wenedy wpłynęła w znacznej mierze Velléda z „Les Martyrs“. Nieszczęśliwa kapłanka i wróżka nieszczęśliwego ludu celtyckiego Velléda, zachęca Franków do walki z Rzymianami, podobnie jak Roza Weneda, której cały dziki charekter podobny do Welledy.

Nawet pomysł włożenia w usta Rozy runicznej inwokacyi powstał również pod wpływem Chateaubriand'a. Charakter nadto pieśni Wenedyjskiej przypomina bardyt, który tu śpiewają Gallowie przed bitwą.

Na podstawie utworu Chateaubrianda tłómaczy W. Hahn postacie Derwida, króla Wenedów i dwunastu harfiarzy wenedyjskich, którzy nie są niczem innem jak tylko Druidami, to jest kapłanami Celtów, przeniesionymi prawie żywcem z utworu Chateaubrianda do Lilii Wenedy.

Przypuszczenie, że harfiarze wenedyjscy wraz z królem są Druidami, popiera nazwa „Derwydd“, w narzeczu wallijskiem oznaczająca „Druida“. Imię więc Derwida jest równoznacznikiem Druida a tem samem nie jest imieniem osobowem, lecz pospolitem służącem do oznaczenia wszystkich harfiarzy. Derwid, król Wenedów jest tylko najstarszym ze wszystkich kapłanów. (U Chateaubrianda l'archi Druide).

Z „Męczenników“ zaczerpnął nadto Słowacki niektóre rysy do skreślenia miejscowości, na której odbywa się akcya Lilli Wenedy, przejął w zupełności opis kamieni druidycznych i monumentu, około którego odbywają się wszystkie obrzędy Gallów w utworze Chateaubrianda.

Mówiąc o „kręgu“ Derwidowym, ma Słowacki niezawodnie na myśli opisany przez Chateaubrianda „Dolmin“, a wyrazu tego użył dla tego, ponieważ kamienie druidyczne były poustawionymi w koło.

Za przykładem Chateaubrianda wspomniał Słowacki o dębie Derwidowym, będącym przedmiotem czci u Gallów. Wszyscy Derwidzi mają „dębowe wieńce na czołach“, podobnie jak Velléda „élle ètait couronnée d'une branche de chêne“. Również zagadkowe wzmianki poety o rzymskiej wieży, przypominają zamek pochodzący z czasów Juliusza Cezara, w którym umieszcza Eudoros po walce Wellede i jej ojca Segenaxa.

Pomysł do postaci Lelum i Polelum zaczerpnął poeta również z wspomnianego utworu Chateaubrianda. Eudoros opisując w księdze szóstej walkę Franków z Rzymianami, między innemi dowodami waleczności Franków opowiada o dwóch braciach, skutych jednem żelazem i tak razem walczących.

W. Hahn wykazując naśladownictwo poety uważa obie postacie za rzeczywiste, a tem samem porzuca dotychczasowe usiłowania wytłómaczenia Lelum Polelum w sposób symboliczny.

W przedmowie sam poeta przyznaje, że czyn Polelum przypomina podanie o Tellu. Z korespondencyi i poezyi z tego czasu wynika, że mu nieraz stawał na myśli waleczny czyn szwajcarskiego bohatera. Wnosić więc można, że przy pisaniu aktu drugiego zaczerpnął niektóre szczegóły z podania szwajcarskiego. Jak Tella, tak i Polelum zmuszają okoliczności do okropnego rzutu; podobnie jak w podaniu od szczęśliwego strzału Tella zależy życie ojca i syna, tak samo i w „Lilli Wenedzie“ od rzutu Polelum zależy życie starego Derwida i obu braci. Zarowno w podaniu, jak i w tragedyi, przestrzeń strzału, względnie rzutu toporem, wynosi sto kroków. W obu wreszcie wypadkach próba odbywa się pomyślnie.

Do tych motywów czerpanych z samego podania dołączyć też należy reminiscencye z dramatu Schillera: „Wilhelm Tell“. Ślady wpływu tego są widoczne nie tylko w treści, sytuacyi, ale i w myślach stąd zaczerpniętych. („Wilhelm Tell“ akt III. sc. III.)

Zwrócono już uwagę na to, że postać Ślaza przypomina służących („gracioso“) z utworów Calderona. Wikt. Hahnowi udało się wykryć i określić bliżej parę rysów zapożyczonych z Calderona. W utworze tego ostatniego „El Alcaide de si mismo“, (Nadzorca siebie samego) książe Federico, uciekając z powodu zabicia bratanka, króla Neapolitańskiego, zostawia zbroję swą w lesie. Zbroję tę znajduje wieśniak Benito i przywdziewa ją. Żołnierze szukający Fryderyka, napotkawszy na Benita, biorą go do niewoli i odstawiają na zamek księżniczki Heleny, gdzie właściwy książe Federico musi czuwać nad rzekomym książęciem: stąd nazwa komedyi. Motywu tego użył też Słowacki w Li-

lli Wenedzie, gdzie Ślaz, w scenie pierwszej aktu drugiego, przywdziewa na siebie zbroję zabitego Salmona.

W. Hahn zarzuca pomysłowi wprowadzenia postaci św. Gwalberta do Lilli Wenedy anachronizm. Św. Gwalbert bowiem żył w XI. wieku, akcya zaś Lilli Wenedy, wnosząc z tego, że występuje w niej Lech, odbywa się o kilka wieków przedtem. Nieuzasadnionem wydaje się także, skąd św. Gwalbert znajduje się w Polsce, kiedy ten święty działał we Włoszech i nigdy krainy tej nie opuszczał. O założycielu tym zakonu Wallambrozjanów, nazwanego tak od miejscowości Vallombrosa, dowiedział się Słowacki, zwiedzając z Potockimi 3. października 1837 r. ten klasztor włoski.

Domyśla się więc W. Hahn, że podczas pobytu poety w klasztorze Walambrozy, powziął poeta myśl wprowadzenia św. Gwalberta do swojej tragedyi; przypuszcza bowiem, że mnisi opowiadali ciekawym turystom w pierwszym rzędzie o życiu i czynach założyciela Walambrozy.

Hahn zwraca uwagę na podobieństwo drugiej próby, którą zadaje Lilli Wenedzie Gwinona, wrzucając Derwida do wieży wężowej z podobną sceną w Eddzie. Z tej okropnej próby wychodzi, jak wiadomo, Lilla Weneda zwycięsko; w scenie szóstej aktu III. opowiada Sygoń:

Przy wieży biała księżycem dziewica
Siedzi, na harfie grająca; a przy niej
W. krąg stoją węże tak wyprostowane,
Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną;
Ona te węże czarodziejską pieśnią
Zaczarowane trzyma i spokojne;
Ale już widać, że jej białe ręce
Mdleją na strunach, że się pieśń zakończy
Z życiem harfiarki w głodnych wężów paszczy.

Podobne podanie opisane jest w zbiorze skandynawskich pieśni, tak zwanej Eddzie. Król Atti (Etzel w Nibelungach) każe wrzucić Gunnarna (Günthera) do wieży napełnionej wężami. Kochanka więźnia Outran, pragnąc go uratować, dostarcza mu potajemnie harfy. Gunnarn, nie mogąc grać rękami — gdyż ma je skrępowane — uderza pal-

cami stóp o struny harfy; a gra z taką mocą, że wszystkie węże oczarowane tonami muzyki, usypiają. Jeden tylko wąż zdołał przyczołgać się i ukąsił w serce Gunnarna, który wskutek ukąszenia umiera.

Edda była w owym czasie znanym powszechnie zbiorem; liczne tłómaczenia francuskie i niemieckie ułatwiały każdemu zapoznanie się z pieśniami starożytnych Skandynawów; prawdopodobnem jest, że i Słowacki znał Eddę, i że z niej zaczerpnął pomysł do aktu trzeciego. W przedmowie mówiąc o Gwinonie używa nawet słów: „oto nareszcie jest twarda dziewka skandynawska“. —

„Kto tutaj, mówi Chrystus, straci duszę,
A straci dla mnie, to duszę swą zyska...“ (III. 207).

Słowa te są dosłownem prawie tłómaczeniem z Ewangelii św. Łukasza. (17, 33.)

Wiktor Hahn: Studyum nad genezą „Lilli Wenedy“ tragedyi Juliusza Słowackiego. We Lwowie 1894.

Znaną jest z podania historycznego odpowiedź Spartan, gdy im Persowie grozili zakryciem słońca chmurą strzał: „Tem lepiej, będziemy walczyli w cieniu!“ Wspomnienie to widocznie podsunęło się pod myśl Słowackiemu, gdy nieując ten zwrot, pisze w Lilli Wenedzie: „Mówią, że walka będzie oświecona błyskawicami. Dobrze, będzie widno“.

Ślad studyów historycznych, podejmowanych w latach 1839—40. przez Słowackiego, do dziejów pierwotnych Polski, na których tle osnuta jest tragedya, potwierdza następująca notatka Rogalskiego, kolegi Lewestama.

Idąc za namową J. Słowackiego, z którym Fryd. Henr. Lewestam razem miał mieszkać przez półtora roku 1839—40 i ścisłe związać stosunki, rozpoczął studya historyczne nad „Dziejami pierwotnemi Polski“ które niebawem ogłosił (Warszawa 1841). L. Rogalski. Historya liter. pol. Warszawa 1871. str. 637.

W autografie „Beatrix Cenci“ udzielonym mi łaskawie przez A. Małeckiego do użytku, mieści się przy samym końcu tragedyi, napisanej jak dowodzi Małecki również 1840., następny pierwszy rzut zakończenia „Lilli Wenedy“ Sceny 5. aktu V., który tu po raz pierwszy ogłaszam.

(*Roza Weneda*)

Do harf starce!
Na harf dwanaście chwyćmy rozpłakane
Głosy królewskie.

(*Pierwszy z harfiarzy*).

Do harf... Już gotowi...

(*Chór*).

W kręgu runych dwunastu harf
Najsmutniejszą harfa ta, lecz umarła.
Jej powietrze z księżycowych jest szatł.
Przed nią ciemność się głucha roztwarła.
Pod dębem stoi harfa z łabędzia,
Struny złote ma z tęczowych promieni.
Blask piorunów jak dziewicę rumieni,
I wychyliła się z cedrowej trumny
Harfa... umarła — łabędziego łona.
Blaskiem piorunów lekko zapłoniona
Wychyliła się z cedrowej trumny
Harfa z umarłego łabędzia
I spiewa pieśń a lud się łamiąc kona dumny.
Krew przypływa do samego krawędzia
Derwidowych kamieni i wraca
I pracującym na śmierć mówi: próżna praca...
Tylko gorąca i swieża zawrzała
I przybiegła słuchać pieśni ostatniej
I odbiegła w rozpaczy...

(*Harfiarz*).

Ojciec płacze...

(*Derwid*).

Ja ciebie widzę córko... twoja postać
Stoi mi w jamie tu powydzieranych
Oczu... ja ciebie widzę w mojej głowie...
O! gwiazdeczkami ukoronowana
W pachnącym cedrze — lampo pełna blasku!
Wychodzi — widzę — oczki otwarte —
Tu, czy widzicie — tu... śmieje się płacząc,

Ale już martwa, już martwa, już martwa —
Lilla umarła...

(*Roza Weneda*).

I cóż ja widziałam!
Na jaką zwołać was pieśń, potępiony
Ludu przez Boga. — Widziałam ja dawno
Na waszych czołach napisane krwawo
Życie trzydniowe — cóż! Czemu tak bladzi?
Któż tu jest kłamcą? Los — czy ja... Czy rozpacz,
Która nie chcących umrzeć oszukała...
Gołębie serca!... O! jak kroczą leniwo
Do kończącego wszystko grobu... trzeba
Was było wszystkich oszukać i śmierci
Spędzić jak białą trzodę owiec — w gardło...
Nie dosyć jeszcze — o wy moje włosy
Wyrwane... w garść się wężów przemieniajcie
I dla strupiałych ludzi bądźcie biczem!

(*Jeden z wodzów*).

Wróżko, przyrzekłaś nam zwycięstwo!

(*Roza Weneda.*)

Ja ci przyrzekłam — co! Chodź tu i patrzaj!
I ty myślałeś, że więcej jest głosu
W strunach niż w trupa niewinnego ciszy,

(*Derwid*).

Pieśni, powiedz twojemu ludowi,
Że już przyszła ostatnia godzina...
Król martwemu daje łabędziowi
Łzy ostatki — Córka ma jedyna
Leży w harfie cedrowej — bez ducha...
Z harfy śmierci zimno na nas wieje
I umiera pieśń na harfach głucha —
I harfy nasze wkrótce krew zaleje...
Ludu! żegnaj się, żegnaj z harfami.
O! rozpaczy! piorun szyki rozrywa!

(*Roza Weneda*).

O Boże! uderz teraz piorunami
Na moje czoło — niech padnę nie żywa —
Lud konający krzyczy i przeklina...
Jestżem śmiertelną? — oszukana...

Wiersz **1.** Po słowie „dwanaście“ przekreślił poeta najprzód „niechaj płacz królewski“ a potem „uchwyćmy ton płaczu“. W autografie przekreślił poeta pierwszy rzut, który opiewał:

Harfiarze...
Na harf dwanaście rozchwyćmy te jęki
Króla naszego

W. **3**–**4.** Dwa te wiersze opiewają przekreślone:
„W kręgu złotych (smutnych) nad pieśnią harfiarzy
Najsmutniejszą harfa (ale) ta umarła...

W. **9.** Po słowie „piorunów“ przekreślono „do wstydu“.

W. **21.** Cały ten ustęp od „W kręgu“ aż do „rozpaczy“ przekreślony w autografie.

W. **26.** Po słowie „lampo“ przekreślono „przeczysta“.

W. **37.** Słowo „kroczy“ nieczytelne, może „wracają“?

W. **51.** Przekreslone w autografie „Łzy i ucisk“.

Wiersz **56.** kilkakrotnie redagowany opiewał „Ludu! żegnaj się z harfami po wieki“ „Ludu żegnaj się żegnaj z harfami złotemi“ „Ludu żegnaj się z harfami przed zgonem“.

Wiersz ten opiewał pierwotnie: „O! rozpaczy! my konamy! śród“... Poczem przekreślono następujące słowa „Ustrojona bławatkami“ — „Nie żywa“ — „Otwórz oczy błękitne o! harfo.“

Jeżeli pomysły niektórych motywów „Lilli Wenedy“ należą do czasów dawniejszych, to napisanie tragedyi przypada dopiero na koniec 1839. lub początek 1840. roku.

Potwierdza to Cypryan Norwid, Towiańczyk, z którym Słowackim pod koniec życia żył w przyjaźni.

W roku 1840. — pisze on — ta część Paryża, co jest parafią św. Filipa de Roule, nie miała jeszcze pięknych gmachów, które ją teraz zdobią. W końcu 1839. r. Juliusz

Słowacki mieszkał tam i pisał „Lillę Wenedę", w kwietniu zaś 1840. roku, kończąc list do Zygmunta Krasińskiego, który jej za wstęp służy, tak się odzywa: niech ta postać do nas obojga należy, niech będzie jako łańcuch łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie. W rzeczywistości, jak we wspomnieniach, wypełniło się Juliusza przepowiedzenie; zwłoki bowiem jego postawiono w kościele parafialnym św. Filipa. A gdy wiele lat upłynęło i gmachy okazalsze tam w tej części miasta stanęły, jeden z tych gmachów nabyty został przez rodzinę Zygmunta Krasińskiego, gdzie też wielki poeta umarł; zwłoki jego, iż wedle prawa w parafialnym wystawione musiały być kościele położono przeto na tychże deskach, gdzie lat temu kilka Juliusza spoczęła trumna. Cypr. Norwid o J. Słowackim Paryż 1861.

Zdaniem W. Hahna powstała Lilla Weneda dopiero na wiosnę 1840. r. a przypuszczenie to opiera na następujących dowodach:

1. Przedmowę do „Lilli Wenedy" napisał poeta niewątpliwie tuż po skończeniu utworu, a że podpisana „dnia 2. kwietnia 1840.", sądzi więc W. Hahn, że na krótki czas przed jej napisaniem, zajęty był pracą nad tragedyą.

2. Wszystkie swoje utwory pisał Słowacki w bardzo krótkim czasie: „Mindowe" powstał w listopadzie 1829. r. „Marya Stuart" w czasie od 17. września do 18. października 1830. roku W przeciągu dni dwudziestu, w listopadzie r. 1833. powstał Kordjan. Balladynę napisał poeta równie w przeciągu jednego miesiąca. Naturalnym jest więc wniosek, że i „Lilla Weneda" powstała w stosunkowo dość krótkim czasie.

3. Widać wreszcie w utworze pewne zapatrywan poety, będące zapowiedzią późniejszych mistycznych wyobrażeń, których nie można wcześniej umieszczać, jak w roku 1840.

„Czekam na twój list Wendyjski" — pisze Z. Krasiński do J. Słowackiego w liście z Rzymu *dnia 23. lutego 1840.* — a zatem już przedtem była Lilla Weneda z przedmową napisana.

Ślad nastroju Słowackiego podczas pisania tragedyi pozostał w wierszu albumowym dla E. hr. Krasińskiej, żony

Zygmunta, który tu przytaczam podkreślając miejsca analogiczne:

> Chciałbym, ażeby tu wpisane słowo,
> Jeśli na wieki ma słowem pozostać,
> Aby słów miało nieśmiertelnych postać,
> Albo posągów piękność marmurową,
> Lub *jak Walkhirje, co noszą nad głową*
> *Wieniec z piorunów i we krwi szeleszczą.*
> Chciałbym, ażeby miało taką wieszcza
> Groźbę *i skrzydła i twarz piorunową.*
> Lecz słowo martwe. Ale wy jesteście
> *Jako Walkhirje z północy przybyłe*:
> Pod wasze stopy rzucamy niewieście.
> Grobowce wszystkie — a wy na mogiłę
> Wstąpcie, a *kto wart życia, tego wskrzeście.*
>
> Juliusz Słowacki.

Paryż dnia 29. czerwca 1841. r.

Kronika Rodzina. Warszawa. 1875. Nr. 12.

W listach Juliusza do matki nie ma żadnych śladów genezy utworu z wyjątkiem następującej, pisanej już pod wpływem mesyanizmu, a więc pozbawionej wartości historycznej.

Dziwny wypadek był z moim Salmonem z „Lilli Wenedy“ (w wyd. lwow. Listów wydrukowano „Sylli Wandy“): oto w istocie w rok potem pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie, nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka; zabójstwo to zostało odkryte i ukarane. To dla mnie jest niby rzeczywistą krytyką, przez jakieś duchowe władze krwawemi literami napisaną. (30. listopada 1844).

Dedykacya Słowackiego „Do autora Irydiona, List drugi“ podpisaną jest w Paryżu „dnia 2. kwietnia 1840. r.“ Na początku tegoż miesiąca ukończył się prawdopodobnie druk całego dzieła.

„Dnia 5. kwietnia — donosi jedno z pism emigracyjnych — wyjdzie z druku „*Lilla Weneda*“ przez Juliusza Słowackiego, z dodaniem kilku ulotnych wierszy tegoż

poety“. Młoda Polska, wiadomości hist. i liter. Paryż 1840. rok III. str. 144.

I w istocie wyszła „Lilla Weneda“ zaraz po „Mazepie“ a razem z „Listem do Aleksandra H.“ i „Grobem Agamemnona“ jak wszystkie jego dzieła nakładem autora, p. t. Lilla Weneda tragedya w 5. aktach przez J. Słowackiego, Paryż 1840 str. 154. w 12. Jeszcze przed wyjściem z druku wyczytał o tem dziele następującą uwagę w „Tygodniku literackim“ wydawanym w Poznaniu pod redakcyą Antoniego Woykowskiego 1840. Nr. 17. „Pana Juliusza Słowackiego tragedya „Lilla Weneda“ wyjdzie wkrótce z druku. Jest ona — jak nam jeden z szanownych literatów donosi — równie jak i pierwsze płody tego autora, mało zrozumiała dla czytającego“. Znający drażliwość poety łatwo sobie wyobrażą, jak podobna wzmianka musiała go boleśnie dotknąć. Ogół czytającej publiczności zachował się w chwili ukazania się „Lilli Wenedy“ zupełnie biernie.

Pierwszy Krasiński ocenił doniosłe znaczenie tragedyi Słowackiego. Oto jak pisze do Konstantego Gaszyńskiego:

Roma, w samą Wielkanoc 1840. Donieś, czy wyszła „Lilla Weneda“, znowu Irydjonowi poświęcona, jak Balladyna? Pisał do mnie Juliusz bardzo smętny list, dość udający że nie smętny, z powodu krytyk. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, wy się na nim nie znacie; przyjdzie czas, w którym się poznacie! Wszyscy krzyczeli na Byrona, wszyscy na Fausta, wszyscy na pana Adama, że ciemny — a dziś, dzieci go rozumieją, bo co się przeprowadza w mózgu ojców, to do serc dzieci przechodzi i rodzi się z niemi instynktownie.

Sorrento, 29. septembra 1840. Czytałem w Niemczech „Lillę Wenedę“, pomysł mytu Lelum Polelum jest prawdziwie wzniosłym i poetyckim. Sama Lilla jest białą Antygoną, ale żal się Boże św. Gwalberta i tego Szlaza, który naśladuje Grabca z Balladyny, który Grabiec sam naśladuje jakiegokolwiek z tysiącznych potwornych błaznów Szekspira. Aż mnie smutek wziął, gdym ujrzał tych dwóch bohaterów i tę anielską siostrę ich w towarzystwie takiem gałgańskiem. Zaniosę przed Jula, kiedy będę pisał po niego, skargę Lilli, bo mi się biedna dziewczynka skarzyła. Szlaz

jej białą tunikę powalał rękoma, tabaka u nosa Gwalberta na skroń jej kapnęła; lepiej ją było zaraz nożem w serce pchnąć, niż tak jej strój zwalać. Ale to niech pozostanie uwagą moją wypowiedzianą tobie. Listy Zygm. Krasińskiego do K. Gaszyńskiego, Lwów, 1882. str. 157. i 161.

Rzym, 19. grudnia 1840. Drogi Julu! I Lilla i list twój oddane mi są, o pierwszej już temu pięć tygodni długi a długi do ciebie wyprawiłem artykuł. Izaliś go odebrał? (Artykuł ten nie znany), przeczytałżeś skargę białej dziewczyny? uznałeś w głębi serca Jej prawo do skargi i rozrzewniłeś się nad nią? Czy cię zły duch Szekspira nie popchnął do niesprawiedliwego stuknienia się na klęczącą u stóp twoich? Odpowiedz mi na to zapytanie, proszę cię. Użyłem wyrażenia: zły duch Szekspira, i musiałem ci się zuchwałym wydać kacerzem, ale kacerstwo moją naturą jest, i iścizną mojej figury. Jest w starym Szekspirze i duch dobry, wzniosły, tytański, ale i zły jest również i ten zły, czyli niedomiar dobrego, brak wielkości, brak powszechności, na czem harmonia wszechżycia zależy.

W rozprawie o Słowackim tak się wyraża o tragedyi: W Lilli Wenedzie chciał nam stworzyć poeta Antygonę słowiańską — i zaprawdę ta córa królewska, z wianem białych kwiatów na skroni, wygląda niewinnie, a posępno. O Lillo Wenedo! poskarz się temu, który cię w życie i piękność przyodział, że Cię przymusił stąpać pościeżkach, któremi chadzał biskup Gwalbert.

Biskup, naszem zdaniem, podobny do mnicha dzisiejszego, ale żadnym prawem do owych olbrzymów ducha, co w pierwszych wiekach kościoła tak samo po borach Germanii i Słowiańszczyzny rwali się za pasy z wiarami dzikich plemion, jak dawniej niegdyś olbrzymy ciała, z potworami natury. Lecz skądinąd o biała dziewczyno, podziękuj mistrzowi za braci, patrz! Lillo wszystkie harfy rodu twojego ogłuchły, wszystkie trumny wasze darń lasów pokryła. Dwa imiona tylko doszły nam uszu, Lelum Polelum Oto jedyny dźwięk pozostały z jęków tylu. Żebyś ty wiedziała Lillo, co z tą jedyną pamiątką po was wyrabiali uczeni, kronikarze, historycy, pedanci, poeci — słuchając, drugi raz byś się rozpłakała za całym ludem Twoim. Darmo bym ci opowiadał wszystkie ich domysły, twier-

dzenia, hypotezy, Kastor i Polluks. Powiedz Lillo! prawda? nie rozumiesz? wiedziałem, wiedziałem, o biedna i prześliczna, że te imiona nie obudzą w Twoim sercu żadnego wspomnienia. Lecz kiedy wstaniesz z grobu w noc księżycową, kiedy staniesz na leśnym rozłogu, cała przejrzysta księżycem, o ty! nieskończona liczba konwalii w jedną przesnutych dziewczynę i kiedy spojrzysz mi ciekawie w oczy, a ja ci powiem, że z Lela i Polela wydobył mistrz dwóch starożytnych bohaterów, powiązał ich łańcuchem, kazał im się bić razem, a nie razem umierać, gdy pierwszy poległ, rzucił jego ciało w objęcia brata, i tak obarczony drugim sobą, poszedł brat żyjący ku stosowi, na którym wasze wszystko, wasz świat i wasza wiara w dym się obróciły, wtedy ty się rozrzewnisz w prawdzie pamiątek i krzykniesz nagle: „Tak było, to brat mój!“ i odchodząc nazad do grobu dodasz: „Niechaj zatem przystanie wyrzekać na mistrza dusza moja, że ją z tym starym Gwalbertem poplątał“. Zygm. Krasiński, „Kilka słów o J. Słowackim“, w „Tygodniku liter.“ Poznań, 1841. nr. 21.

Pierwszy rozbiór niedoszłego cyklu tragedyi p. t. „Balladyna i Lilla Weneda“, dwie tragedye Juliusza Słowackiego przez Henryka Lewestama, „Gazeta Polska“ Warszawa, 1859. nr. 178. i 195. obraca sie jeszcze w zakresie streszczenia. Balladynę nazywa Lewestam, fantastyczną legendą, utworzoną z Polski przedhistorycznej. Lilla Weneda przeciwnie jest według niego wierną i nagą powieścią, jaka się należy posągowym nieszczęściom.

Ironia dziejów ma tu i tam stanowić główne tło równie fantazyi, jak powieści, a ten humor tragiczny, owiewający nas z niejednego ich ustępu, najbardziej rażący skądinąd anachronizmem, wyciska na nich piętno prawdy dziejowej.

Sam prolog w „Lilli Wenedzie“ nietylko najświetniejszą jest ekspozycyą tragedyi, ale zarazem streszcza w sobie cały jej pierwiastek duchowy: miłość ojczyzny, objawiającą się tu zarówno w dzikim i demonicznym szale jak w miękkiej miłości córki i siostry, lub w potędze poezyi, „ogień do łez dolewającej“. Jako ekspozycya, przedstawia on zarazem tło i ramy obrazu.

Król Wenedów, Derwid, najechany przez Lecha, broni się w rozpacznej walce; dwie jego córki: wróżka Róża Weneda i Lilla, w śmiertelnej obawie i niecierpliwości czekają jej wypadku. Tenże sam kontrast surowej męskości i słodyczy występuje w tych dwóch siostrach, co w Balladynie i Alinie — lecz te żywioły spotęgowane w obu królewnych Wenedyjskich.

Do tych siostrzyc przybywają z pola bitwy najstarsi z rady, których księgami mądrości są harfy (bo i sam Derwid, nie berłem króluje nad swoimi, ale złotą pieśnią i harfą) oznajmiając smutny wynik walki:

Lud nasz przeklęty — o biada wam! biada!
Twój ojciec.... bracia twoi wzięci.

Na dwoistem przyjęciu przez obie siostry tak strasznej wieści, spoczywa całe tło dramatu: poświęcenie i walka. Takiego bowiem potrzeba było ciosu, by w młodem sercu Lilli Wenedy wzniecić męstwo krwawej choćby ofiary: miłość rodziny słabą duszę przemienia w bohatera.

Nie o rodzinie znów myśli Róża Weneda, ona jeśliby płakać umiała, lałaby łzy nad całym narodem Wenedów: — „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy".

Obok nich poznajemy Gwinonę, która zostaje w pewnem pokrewieństwie z Balladyną; — ale jeżeli tej ostatniej potworność ma źródło w żądzy władzy i sławy, Gwinona okrutną jest przez nienawiść narodową, a więc raczej przez źle zrozumiane uczucie własnej narodowości. Ta ostatnia — zgrozą szalonych pomysłów pierwszą bez wątpienia prześcigła: — uczucia żony, matki, córki, nie są jej obce, lubo je bardzo po swojemu pojmuje, gdy tymczasem Balladyna wypiera się najsłodszych węzłów ludzkości.

Z ciężkiej niewoli u Gwinony chce ojca i braci wydobyć Lilla Weneda, która przejrzawszy światło chrystyanizmu, przychodzi jak Balladyna, prosić swego mistrza, św. Gwalberta pustelnika, o pomoc w trudnem przedsięwzięciu. Przychodzi dość wcześnie, by jeszcze ujrzeć ojca — ale za późno, by przezeń być widzianą, bo właśnie z rozkazu Gwinony wyłupiono oczy starcowi.

Straszna Gwinona wymyśla nowe katusze. Oślepionego starca każe przywiązać za włosy do drzewa, a na bezsilnym jego ciele zaprawia do okrucieństwa swoje dziatki. Kiedy wszystkie prośby i modlitwy okazały się płonne, kiedy sam Lech, mąż w boju dzielny, wzdryga się na to okrucieństwo żonine, — Lilla Weneda sama poddaje myśl zakładu, na który Gwinona przystaje. Oto najprzód jeden z jej braci, do siebie przykutych, toporem ma rzucić w wiszącego ojca włosy; jeżeli je przetnie, będzie wolny. Polelum rzuca i trafia. Niemniej cudownie udaje się Lilli drugie ocalenie — Derwid z rozkazu Gwinony wrzucony na pożarcie gadom do wieży wężowej, zbawiony zostaje pieśnią córki.

Na ostatek Gwinona zamyka starca w ciemnicy, gdzie ma morzyć się głodem; ale i tu zapobiega przezorna miłość Lilli, bo zaledwie wyżebrała przystęp do ojca, gdy już straszliwy zakład był wygrany.

Gwinona widzi się zniewoloną dochować przyrzeczenia i po trzykrotnem zwycięstwie ofiary nad srogością, wypuścić na wolność Derwida. Ale oswobodzając króla, nie chce jednak pozbyć się zakładnika za życie swego syna uwięzionego przez Wenedów — więc albo córkę jego Lillę, albo królewskie berło: harfę, postanawia u siebie zatrzymać. Wybór samemu zostawia Derwidowi, na to jedynie, aby w przedmiocie wybranym, jako sercu więźniów cenniejszym, tem bezpieczniejszą posiąść rękojmię. Lilla ofiarę spełnia do końca; sama błaga ojca, by ją dla harfy poświęcił.

Jeżeli podczas walki — tak prorokuje Róża prorokini — król Derwid z harfą złotą na kamiennym tronie zagra pieśń, ową straszną pieśń, od trzech wieków niesłyszaną, to przy Wenedach zwycięstwo. Stary Derwid przybywa wprawdzie, ale miasto na harfie, opiera ramię na Lilli, która gdyby od Gwinony powróciła z jej synem Lechonem, uniosłaby od niej z lutnią i życie. Ale Lechon zabity, Lilla więc przez chwilę nie zawaha się.

W sam środek zgiełku bitwy wraca nieszczęsna do obozu Lechitów, i pada ofiarą matczynej wściekłości Gwinony, która dowiedziawszy się że syn jej nie żyje, udusiła

Lillę a ciało jej w pudło harfy włożywszy odsyła je, niby lutnię, Derwidowi. Jakże zagra starzec na tej jednej, ostygłej strunie pieśń zemsty? pieśń zwycięstwa? Zagra ją, ofiarnym nożem własne szarpiąc łono.

Ostatnia chwila Wenedów wybija, a choć Gwinona, w zbroi rycerskiej szukająca Derwida, pada okryta kurzawą krwi, kośćmi ludzi umarłych, z piersią rozstrzaskaną, przecież przed chwilą tą nic się nie ostoi.

Nad gasnącym stosem, na którym po niewolnikach pozostały już tylko łańcuchy, a którego popioły zapłodnić mają wieszczkę, ukazuje się postać Bogarodzicy! Ave Maria! wita świątobliwy Gwalbert tę nową erę w życiu, erę miłości i wiary, erę tę samą, którą po walce wita Krasiński w „Nieboskiej Komedyi" słowy: Galilee vicisti!

Każdy przyzna — kończy swój rozbiór Lewestam — że rozmiary „Lilli Wenedy" kolosalniejsze są jeszcze, niż „Balladyny". Nie w ohydzie zbrodni leży tu moc tragiczna, nie w okrucieństwie zwycięzców, lecz w myśli, która zwyciężonego podnieca do walki, do śmierci. W dziecięcej nieświadomości, w dzikości może, ale zarazem swobodzie, która najdziksze nawet serca, pod jakieś łagodne i szlachetne ugina formy, żyje pogański naród Wenedów, wśród otaczającej go wspaniałej przyrody północy.

Owa ponura prorokini Druidka, która nas przestrasza swą posągową twardością, nie topniejąca nawet pod najognistszym żarem miłości ojczyzny, może przed chwilą zanim Wenedów najechał zdobywca Lechita, była niewinnym białym gołąbkiem, którego serce zadrżałoby na widok pierwszej kropli czerwonej. Chwila niebezpieczeństwa uczyniwszy ją Kassandrą, przemienia w Eumenidę. Za to Lilla, w której piersi niemniej szlachetny pała ogień miłości rodzinnej, w tym oddzielnym rodzaju męstwa wyłączniej kobiecego, czerpie siły Antygony a zarazem Ifigenii.

Henryk Lewestam widzi wewnętrzne podobieństwo dwóch sióstr, pomimo tak ogromnej, pozornie między niemi sprzeczności. — W „Balladynie" sprzeczność ta jest straszliwą, w ogóle zgroza zbrodni bardziej przerażającą, niż w tym ostatnim dramacie, któremu ujmuje ohydy olbrzymie tchnienie najświętszego uczucia miłości. Ani Róża, ani na-

wet Gwinona nie budzą odrazy; — pierwsza raczej podziw a druga nienawiść; niepotrzebnie zapewne objaśnialibyśmy, że ta nienawiść mimowolnym jest wypływem współczucia z losem Wenedów.

Już w „Balladynie“ miłość płciowa nie wpływa bynajmniej na przebieg tragedyi; z „Lilli Wenedy“ jest ona wyłączoną zupełnie, bo napotykamy zaledwie dostrzegalną w kilku miejscach wzmiankę podobnego uczucia, łączącego Lillę z bratem jej Lelum.

Szlaz spełnia — zdaniem krytyka — w „Lilli Wenedzie tę samą poniekąd missyę co Grabiec w Balladynie, tj. podobną co błazen w tragedyi Angielskiej. Ale kiedy Fallstaff, Kaliban i tym podobne figury Szekspira, jakkolwiek siłą komiczną przyczepione do akcyi głównej, hołdują niejako smakowi epoki, tedy Szlaz i Grabiec są przedstawicielami powszedniej rzeczywistości, prozy, sobkostwa. A dysharmonia tchórzostwa i zdrady odbija tu tragicznie od wielkiej harmonii poświęcenia i miłości.

Patryotyczne znaczenie „Lilli Wenedy“ podnosi notatka matki, którą tu po raz pierwszy z autografu podaję jako odpowiedź na następujący zarzut zrobiony Juliuszowi przez nieznajomą osobę:

„Znaleźliśmy w „Dzienniku literackim“ niektóre poezye pozoztałe po Słowackim a między innemi wyjątek z pieśni I. „Podróży do Ziemi św.“ Smutno nas w niej uderzył ton Don Żuana jeszcze niepoprawionego w podróży do Grobu Chrystusa“.

„O wierzcie mi — odpowiada pani Becu — z tamtej strony Prośny (Prośna, lewy dopływ Warty, rzeka rozgraniczająca część Księstwa Poznańskiego od Królestwa Polskiego), widziałam dziatwę kształcącą się — w cytadeli, gdzie jedna „Lilia Weneda“ Juliuszowa zapalała krew, młódź szła na oślep na szubienice i do Sybiru.“

Charakterystyczne te słowa matki potwierdza w zupełności późniejsze ustosunkowanie się młodzieży do twórcy „Lilli Wenedy“, współcześni jednak przyjęli ją chłodno, podobnie jak „Balladynę“.

J. Reitzenheim w swej biografii Słowackiego tak pisze z powodu tego o nich. Przedmiot ich jest wzięty z dzie-

jów bajecznych Słowian, a inne utwory dramatyczne miały nastąpić po nich jako dopełnienie. W tych to utworach osobistość autora, bardzo drażliwego ze swej natury, wyszła na jaw po raz pierwszy, i od tej pory aż do r. 1842. widzimy go zapatrującego się na stosunki ludzi między sobą jak również narodów, ze strony bardzo ponurej, podstawą jest często ironia. Zresztą, forma tych dramatów była krytykowaną zbyt gorżko. Słowacki uznał przyjętą przez się formę za potrzebną z powodu przedmiotu, wyobrażającego walkę chrystyanizmu tryumfującego nad bałwochwalstwem, znikającym z pewnej części starożytnego świata słowiańskiego.

Pięknie scharakteryzował Michał Bałucki „Lille Wenedę" w rozprawie o Kobietach w dramatach J. Słowackiego, Kraków, 1867. str. 26. i nast.

Widzi on w dramacie walkę na śmierć dwóch szczepów (Lechitów i Wenedów). Po jednej stronie występuje siła fizyczna ze wszystkimi zwierzęcymi instynktami — po drugiej potęga ducha i słowa, streszczone w harfie królewskiej.

Nam — powiada Elpidon — którzy przeżyliśmy r. 1861. łatwo zrozumieć Lillę Wenedę. W 30. prawie lat po ukazaniu się tego dramatu podobna walka powtórzyła się w rzeczywistości na ulicach Warszawy; poeta proroczo przeczuł tę chwilę. Nowe pokolenie Wenedów, „narodzone z kości starych pobojowisk, ożywione pieśniami harfiarzy", stanęło znowu do walki z najezdnicza siłą, nie mając innej broni prócz pieśni.

To uderzające podobieństwo uwiodło wielu, że Lillę Wenedę uważali za allegoryę. Poeta nie myślał o tem, chciał nam tylko przedstawić z czasów przedhistorycznych chwilę najścia zbrojnego szczepu Lechitów na spokojne, rolnicze i śpiewacze ludy Wenedów i upadek tych ostatnich — A że upadki narodów mają bolesne pokrewieństwa między sobą, dlatego słyszymy tam głosy jakby naszych własnych piersi, a poeta malując tamte czasy, miał za model świeże boleści swego narodu, i w jego niezaschłych ranach maczał pióro dla kreślenia rozpacznej walki Wenedów. Stąd dramat jego, jakkolwiek sięgający tak odległych wieków, ma tyle siły żywotnej i świeżości barw.

Róża, to prorokini z siłą nadprzyrodzoną, wierząca w swoje natchnienie i posłannictwo, czująca się reprezentantką ducha narodowego. Kiedy stary Derwid wraca z niewoli, nie rzuca mu się na szyję z radości, nie płacze nad jego wyłupionemi oczyma, ale pyta się: „Bez harfy przyszedłeś?“ bo ta harfa miała przynieść zwycięstwo jej ludowi.

Poświęca ona ojca, siostrę, siebie — sto serc gotowa poświęcić za zwycięstwo. I to poświęcenie kosztować ją musi wiele, bo chociaż oczom ludzkim przedstawia się jako nieubłagane fatum, choć ojcu własnemu wydaje się jak gadzina bez serca, — jednak za tą kamienną maską wróżki, rysy twarzy kurczą się boleścią: „Ona ma serce!“.

Skarga ta śród ciemnej nocy, nie słyszana przez nikogo, daje nam miarę jej zaparcia się dla narodu. Obok tej surowej i poważnej wróżki jakże pięknie odbija biała postać Lilli Wenedy, przypominającej w niektórych bolesnych wykrzykach Sofoklesową Antygonę. Lilla Weneda nie jest przeciwieństwem Róży Wenedy, ten duch, który pracuje w piersiach Róży, nie przeczy sercu Lilli, ale go owszem potrzebuje — stosunek tu więc jest taki, jaki jest między rozumem a sercem, między nieobłaganą koniecznością a poświęceniem, między sprawą publiczną a cnotami domowemi. Pierwsze żyją i postępują kosztem drugich. Serce Lilli jest w ręku siostry jedną z broni, której używa na ocalenie swego narodu.

W słowach aktorów, działających w mitycznej przeszłości, znajdziemy niby w uwerturze pojedyncze akordy, które w późniejszych dziejach w bogate rozwinęły się melodye. Szczególniej w chórach harfiarzy słyszemy wieszcze głosy dzisiejszych naszych bolów. Chóry te zakończają każdy akt zupełnie tak, jak to widzimy w greckich dramatach. Bo o ile „Balladyna“ formą przypomina nam Szekspira, o tyle „Lilla Weneda“ przenosi nas w czasy Eurypidesa, z czem się sam autor w przedmowie wcale nie tai. Długie i pełne obrazowości dyalogi, owa wielkość figur nad zwyczajną miarę ludzką, posągowy spokój mimo boleści, prostota a przytem wzniosłość akcyi, wreszcie chóry i jednowierszowe odpowiedzi — to przywodzi na myśl

greckie dramaty przynajmniej co do formy i traktowania przedmiotu.

W chwili kiedy uwaga widzów natężona a serce drży z oczekiwania i trwogi — akcya się urywa, a odzywa się poważny, smutny chór dwunastu harfiarzy. I w greckich dramatach odzywają się chóry w równie rozstrzygających chwilach napiętej sytuacyi. Tego nagłego przerwania nie trzeba brać jako fortel autorski, dla wzbudzenia ciekawości i oczekiwania, jak to widzimy w powieściach i dramatach francuskich — autorowie greccy nie posługiwali się tak błahemi sztuczkami i jeżeli w stanowczych chwilach zatrzymymywali uwagę czytelników i wprowadzali chóry, to dla tego, aby widz ochłonąwszy na chwilę z wrażenia, mógł spokojniej patrzeć na dalszy przebieg akcyi, wyrobić sobie sąd o działających osobach. Chóry stawały mu się pomocnymi w tym względzie — one w fale rozigranych namiętności ludzkich rzucały przestrogi i prawdy głębokie. Zupełnie to samo znaczenie ma chór w „Lilli Wenedzie."

W recenzyi dziełka Michała Bałuckiego „O kobietach dramatów Słowackiego" wykazuje J. Szujski że jak w Balladynie i Alinie gra demon wrodzonej narodowi pańskości, postawiony obok biernej poczciwości: Aliny i Kirkora, tak w „Lilli Wenedzie" stał się poeta znowu mimowolnie i bezwiednie szyceerzem dwóch postaci, natchniony przez dwa kierunki ducha narodowego, ówcześnie w emigracyi się objawiające. Fanatyczka patryotyzmu Róża stanęła przy mistycyzmie patryotycznym siostry Lilli, a w bolesnej chwili wahania się poety między tymi wpływami upadł w dramacie naród Wenedów.

Dramatyczność a nawet charaktery pożyczał wrażliwy duch poety od mistrzów obcych; własnością jego był koloryt i ustawienie. I tak powstał Derwid z Leara a Lilla z Antygony. „Przegląd Polski" zeszyt III. Rok II. Kraków, wrzesień 1867.

Małecki uważa „Lillę Wenedę" za ciąg dalszy pomysłu, na tle którego osnuta „Balladyna". Autor powiada w przedmowie, że zamierzał „z Polski dawnej utworzyć fantastyczną legendę, w rodzaju Ariosta", która „ma się

uwiazać z sześciu tragedyi czyli kronik dramatycznych". Otóż drugą taką kronikę dramatyczną miała stanowić właśnie „Lilla Weneda", a trzecią była tragedya „Krakus", z której zachowały się tylko cztery pierwsze sceny.

Miejsce czwarte i piąte musi pozostać na zawsze niezapełnionem, braknie tu bowiem nawet dla domysłów wszelkiego punktu oparcia. Ostatniem ogniwem tego fantastycznego łańcucha mógł być Wallenrod, zachowany także tylko w urywkach i umieszczony razem z współcześnie napisaną tragedyą Beatrix Ce..ci w „Pismach pośmiertnych" J. Słowackiego.

Co się zaś tyczy urywku, który w tem wydaniu dołączony jest do Wallenroda, jako dodatek pod napisem Walter Stadyon, to jest on rzeczą zgoła odrębną, pisaną w czasie wpływów Towiańszczyzny.

Taki porządek następstwa podaje Małecki w t. II. na str. 171 swego dzieła. W rozbiorze „Lilli Wenedy" w tomie III. str. 2, zajmuje ona pierwsze miejsce w tym cyklu, tylko jako zawiązek społeczeństwa. Drugiem ogniwem tego łańcucha jest tu Krakus, którego Słowacki stawia jako syna Lecha. Dla Balladyny, jako wsuniętej tuż przed czasy Piastowe — więc już po dynastyi Popielów, przypada jedno z miejsc ostatnich, może piąte, lub szóste. Piąte, jeśli miał należeć do tej całości i „Wallenrod"; ostatnie — jeśli ta kreacya miała stanowić dzieło osobne.

Główny pomysł Juliusza co do początku narodu naszego zgadza się po części z tradycyą historyczną. Na pytanie skąd pochodzili Lechici między Słowianami osiedli ponad Gopłem i Wisłą, nie mamy żadnej odpowiedzi. Bielowski wywodzi Polan od Daków, to jest z południa, Maciejowski od Swewów, więc z zachodu, Szajnocha od Skandynawów, zatem z północy. Inni wyprowadzają ich z za Kaukazu, a zatem ze wschodu. Ale że nastąpiło jakieś przybytkowe wszczepienie latorośli nieco odrębnej w pień miejscowego zaludnienia z dawniejszych czasów: na to się prawie wszyscy piszą.

Sprawę najdawniejszego ustroju społecznego Polski rozświeciły studya M. Bobrzyńskiego „Geneza społeczeństwa polskiego", St. Smolki „Uwagi o pierwotnym ustroju Polski",

Fr. Piekosińskiego „O powstaniu społeczeństwa polskiego" (wszystkie pomieszczone w rozprawach wydz. hist.-filozof. Akademii Umiejętności, Kraków 1881 tom XIV.) „W obronie hipotezy najazdu" napisał jeszcze Fr. Piekosiński rozprawę w XVI. tomie wymienionych „Rozpraw akademii" z 1882 r. Por. także Szymona Matusiaka, szkic historyczno-linguistyczny pt. „Lach i Lech" w Przeglądzie powszechnym Kraków 1888, t. XX. str. 230 i nast.

Ant. Małecki w studyum: Źródło bałamuctw lechickich, odczytanem na miesięcznem zebraniu „Towarzystwa historycznego" we Lwowie 13. kwietnia 1894, wykazuje, że przed wydaniem kroniki t. zw. Baszka w 1730, nikt nie uważał Lechitów za szczep odrębny, której to nazwy użył po raz pierwszy W. Kadłubek. W kronice zaś Baszka miejsce to sfałszował jeden z polakożerców profesor czy bibliotekarz wrocławski, niejaki Hanke, na poparcie swego twierdzenia, że pramieszkańcami Szląska byli Germani, a Polacy czyli Lechici, jako przybyszy podbili tylko tubylców. Małecki popiera twierdzenie Nehringa o pochodzeniu Lech-Lach z „ląd-lęd" jako mieszkańców płaskiego lądu.

Słowacki przedstawia tę przemianę pierwotnych stosunków społecznych jako podbój, jako walkę dwóch różnych plemion o śmierć lub życie. Uważa przyjście Lechitów jako zagładę zupełną dawniejszej tych okolic ludności — na korzyść przybyłej rasy. Bohaterem dramatu jest właśnie to ostatnie pokolenie Słowian pogańskich czyli „Wenedów" z nad Gopła, które legło pod Rolandowym Lecha i rycerzy jego orężem.

Nie widzimy wszakże w Lechitach, którzy zwyciężają Wenedów, żadnej nad nimi wyższości. Przeciwnie, jest to rasa jakaś i fizycznie karłowata i duchowo napiętnowana oznakami małości.

Podnosząc w ich charakterze lenistwo, prywatę i lekkomyślność, jako główne znamiona, zamyka Gwinona w dalszych wierszach ten sąd swój o całym rodzie Lechitów wyrzeczeniem, że to „lud głupi, z rąk rycerskich ale z głów niemyślących" złożony.

Małecki domyśla się, że Słowacki przydziela tu Lechitom te wszystkie właściwości, które się później okazały

przywarami polskiego społeczeństwa, mianowicie w czasach upadku.

Lech sam jest prototypem powyższych ułomności, łączący w sobie dziwne sprzeczności charakteru. Przy bohaterskich nieraz zapędach, podległy kaprysom krzykliwej a tyranizującej go małżonki.

Przekleństwo Wenedów wynika z nich samych. Stracili wiarę w siebie, trzymają jeszcze w rękach harfy, których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom niegdyś tryumfalne hasła do zwycięstw: ale z tych dźwięków uleciał duch dający siłę zwycięstwa, a pozostały tylko głuche i puste brzęki.

Wyższość Lechitów na tem właśnie polega, że lubo oni podlegają tylu rozlicznym niedostatkom moralnym, lubo nieliczni do tego stopnia, że się garstką tylko wydają w porównaniu z tysiącami Wenedów, lubo ciałem od nich mniejsi i słabsi: ufają w siły swoje i gwiazdę swą i mają serce do boju.

Jednakże są jeszcze pojedyncze pomiędzy Wenedami osobistości, które zachowały choć iskrę wiary w skuteczność swoich poświęceń, które czują ciężar obowiązku i mają siłę go dźwigać. Oto najprzód Derwid, sędziwy król Wenedów. Znękany to starzec, istna ruina, ale ruina zdolna wzniecić i w wrogu cześć dla tego, czem była kiedyś. Wiary do harfy swojej, tego symbolu narodowego zbawienia, nie traci nigdy. Są dalej dwaj synowie jego: młodszy Lelum — to poeta, marzyciel, to Kordjan tamtych wieków, serce narodu. Starszy Polelum — to tego narodu oręż i grom. Dwie głowy — a jedna ręka, dwa niestety rozumy — a jedno tylko działanie. Ma to być wiekowe, tradycyjne „nieszczęście narodu?“.

Róża Weneda ma przedstawiać obowiązek narodowy, przebój żywotności w jednostce z ociężałością i bezduchem ogółu, Lilla wyobrażać żywotność idei słowiańskiej w rodzinie. Jej ideał — szczęście osób najbliższych sercu. Ale „szczęścia w domu nie znalazła, bo go nie było w ojczyźnie“, podejmuje więc walkę miłości i poświęcenia — z egoizmem i nienawiścią...

Małecki zalicza „Lillę Wenedę“ do tych utworów Słowackiego, których założenie, idea, dążność, słowem cała

idealna czyli wewnętrzna strona kreacyi sprawia imponujące wrażenie, ale godząc się na pomysł, nie przystaje na jego wcielenie.

Jedną z licznych przykładów jednostronnego, fałszywego wcielenia mysli, w sobie może prawdziwej, mamy w całej roli owego typu chrześcijańskiej idei, jaką w tej sztuce jest Gwalbert święty.

Zdaniem Małeckiego, nie wytrzymują krytyki wszystkie trzy sposoby wybawienia od śmierci Derwida. Lilla tu tylko spłatała sztuczkę, ale nie więcej. Człowieka, skazanego na zamorzenie głodem, nakarmić raz, to jeszcze nie jest zabezpieczenie go od śmierci. Gdyby Gwinona potrzymać chciała trochę dłużej Derwida w owej ciemnicy podziemnej, coby jemu pomogły owe lilie na raz jeden spożyte?

M. Zdziechowski podnosi demokratyczną tendencyę „Lilli Wenedy", nienawiść Słowackiego do kontuszów i do pasów złotych, wypływającą z żalu nad brakiem łączności pomiędzy szlachtą a ludem, z przekonania, że tylko demokratyczna, ludowa Polska może mieć przyszłość przed sobą; ma to przebijać wyraźnie z „Lilli Wenedy". Poeta idzie tu za teoryą Lelewelowską, w Lechitach widzi protoplastów szlachty, nadaje im wszystkie przepisywane szlachcie naszej przywary, odejmując natomiast wszelkie przymioty.

Przeciwnicy Lechitów Wenedzi uosabiają lud Polski· wypływa to z logiki podboju, wreszcie harfiarze Wenedyjscy nazywają ziemię swoją „świętą ziemią Polską". Pomimo zwycięstwa, Lechici czują niższość swoją. Nadejdzie dla Wenedów dzień zemsty i zmartwychwstania, jak brzmi przepowiednia Rozy.

Lud polski wskrzeszony zemści się za ucisk wiekowy i da „aktorów wyższych o całe mogiły". Tę samą myśl potwierdzają pośrednio słowa poety o Lechu: „Kontusz mu włożyć i żupan, niechaj panuje bez jutra". (Dr. M. Zdziechowski: Mesyaniści i Słowianofile, Kraków 1888 str. 103.)

St. hr. Tarnowski rózróżnia w „Lilli Wenedzie" trzy stopnie pomysłu, jak żeby trzy warstwy geologicznej formacyi, odmiennej natury i wartości.

Pierwsza, to tło poematu, rzut myśli autora, przyjście Lechitów i wytępienie Wenedów. Autor znał dobrze

uczucia tępionego narodu i łatwo mu było przenieść się nie już w ich położenie, ale w ich dusze i serca. To też te uczucia rozpaczy, smutnego poddania się losom i energicznego oburzenia na niesprawiedliwości losu, które stanowią ponure tło poematu, a odzywają się przez usta wszystkich Wenedów, są pojęte i oddane w sposób prawdziwie wielki. Ale na tem tle musiały odgrywać się jakieś zdarzenia i sceny. To jest druga warstwa formacyi, od pierwszej nierównie słabsza.

Kiedy przyszło ścieśnić najazd jednych a zagładę drugich do jakichś oznaczonych wypadków, poeta uczuł się nieswoim i podług zwyczaju musiał się zapożyczyć u obcych. Harfiarze np. na kamiennych tronach, celtyckie czy skandynawskie figury tak niewłaściwie w słowiański świat przeniesione, wyglądają na reminiscencyę z Irydiona (wśród podobnej dekoracyi porywał Amfiloch córkę Sygurda). Ślaz przypomina figurę z dramatu hiszpańskiego.

Jest inna klasyczna para sióstr, do której nieledwie podobniejsze są córki Derwida, niż do Antygony i Ismeny, to córki Agamemnona. Lilla jest czuła i poświęcająca się jak Ifigenia. Roza przypomina twardą, męską naturę Elektry, ale to Elektra, która byłaby zarazem i Pythią.

W akcyi samej, która jest nasłabszą stroną poematu, są sceny takiej piękności i takiego poetycznego uroku, że pod cudownem wykonaniem szczegółów znikają niekonsekwencye planu. Trzecia ta warstwa formacyi, wykonanie szczegółów (scen, postaci etc.) jest najświetniejsza.

Postacie w „Lilli Wenedzie“ mają klasyczną tragiczność mitologicznych półbogów, a zwłaszcza zguba Wenedów. Nieszczęściem Słowackiego jest to, że majestatycznie wielkich zarysów, poczętych w wyobraźni, refleksya nie zdołała dostatecznie ustalić i wyrobić.

Do szczęśliwych Słowackiego kreacyi należy obok Lecha, porywczego ale dobrego, choć w gruncie słabego człowieka, Gwinona. Chwilami przesadzona nie tylko na kobietę, ale na tygrysicę, bo nie estetyczna naprzykład, kiedy każe wyłupione oczy Derwida dać dziecku do zabawki, przypomina nieco Regan i ma tę fizyognomię pierwotną a dziką, jaką Szekspir nadaje swoim legendowym królowym

w Makbecie lub Learze. Obok Lecha miękkiego i opieszałego, zdającego się na łaskę losu, przedstawia Gwinona zmysł praktyczny i organizacyjny, jest kobietą polityczną.

Nie przypadkiem dał jej poeta obce, normańskie pochodzenie. W naszej historyi spotyka się to nie raz, że cudzoziemka-królowa widziała lepiej od króla niebezpieczne strony, a energiczniej od niego próbowała im zapobiegać. Gwinona gardzi Lechitami i śmieje się z nich jak Bona, marzy o władzy jak Ryxa, przewiduje smutną przyszłość jak Marya Ludwika: a męża oszukuje i lekceważy, jak Marysieńka Sobieskiego, dopóki nie został królem.

Trudno określić znaczenie św. Gwalberta. Niektórzy widzą w nim ujemny typ duchownego. Ma to być ksiądz ciasny, ograniczony, pedantyczny scholastyk, rozumiejący tylko materyalną stronę religii a zazdrosny o obszerny zakres panowania i władzy, inni dowodzą, że Słowacki, chciał w tym Gwalbercie pokazać wszystkie ziarna kąkolu, jakie na gruncie chrześcijaństwa wyrosły, nadużycia hierarchii, obok apostolskiej misyi. To św. Wojciech, w którym tkwi i późniejszy chciwy władzy książę kościoła, fanatyk nawracający bez wyboru, i późniejszy pedantyczny dialektyk i mnich rubacha, św. Wojciech, w którym jest i Zbigniew Oleśnicki i jezuita z XVII wieku i Bernardyn z XVIII. Tarnowski zaprzecza takiej tendencyi poety, on myślał — zdaniem krytyka — że ci święci, którzy tak pięknie wyglądają w legendach, byli ludźmi poświęconymi swojej misyi, ale ludźmi prostymi, jak wszyscy. Zdolności, nauki, nie mieli tak wiele, wiedzieli mało co więcej od drugich, myśleli, mówili, tak jak wszyscy. A przecież była w tych ludziach taka moc wiary i poświęcenia, że pomimo prostoty a choćby prostactwa, byli apostołami. I o takie połączenie tych dwóch pierwiastków pokusił się w swoim Gwalbercie; chciał go zrobić świętym ze średniowiecznej legendy, a zarazem rzeczywistym, prostym, zwyczajnym mnichem. Połączenie się nie udało. Realizm wziął górę, a powaga i świętość znikły.

Św. Gwalbert nie jest wcale podobny do średniowiecznego mnicha, jestto raczej typ Bernardyńskiego kwestarza polskiego z zeszłego wieku, jego miejsce na dworze Nieświeskim, jego zajęcie stroić żarty, mruczeć godzinki

z księciem Panie Kochanku a za to odbierać hojne dary dla klasztoru, ale nie przy Lechu i nie przy pracy szczepienia Chrystusowych oliwek na sosnowych płonkach. Do takich nieudałych postaci należy i Ślaz. Niektórzy widzą w nim wpływ, jaki to drobne robactwo ludzkie wywiera na losy większych i lepszych od siebie ludzi i na losy narodów. Sam w sobie Ślaz jest żywcem z hiszpańskiego dramatu wzięty *gracioso*, tchórz żarłok, samolub, a sprytny do tego, żeby zawsze skórę całą zachować.

Okoliczność, że on jest bezpośrednią przyczyną śmierci Lilli i zagłady ludu, ma oznaczać wpływ, jaki tchórzostwo i małość tych owadów wywiera nieraz na wielkie wypadki i losy społeczeństwa.

Zatrata Wenedów nastąpić musi z konieczności a każda drobnostka, każdy Ślaz, mógł bezpośrednio sprowadzić katastrofę, ale tu w poemacie byłoby lepiej i piękniej, gdyby ona nie przez niego następowała. Bo w tej uroczystej powadze nieszczęścia, w tym tonie wysokim i wzniosłym, nic bardziej dysharmonijnego, fałszywego, niesmacznego, jak płaskie łgarstwa i oszustwa tej figury.

Myśl podstawna poematu nie jasna. Nie wiemy, o ile ona wiązać się ma z dzisiejszem położeniem Polski, nie wiadomo czy poeta widział nas w Lechitach czyli w Wenedach. W pierwszym razie myśl jego byłaby niesprawiedliwa, w drugim demoralizująca.

Harfy Wenedów, w których niepodobna nie widzieć alluzyi do poezyi polskiej, do misyi i obowiązku poetów, mają znaczenie tylko wtedy, jeżeli Roza wierzy w przyszłość Wenedów: jeżeli ich zguba zupełna, to arfy i arfiarze nie poradzą. I to jest niejasność, której rozstrzygnąć niepodobna.

W ogóle powiada Tarnowski o Lilli, jak o Balladynie, że jest bardzo piękną legendą raczej, niż dramatem, że choć na pozór mniej od tamtej fantastyczna, nie jest może więcej prawdopodobną i rzeczywistą. Że wreszcie akcya dramatyczna sama na pozór bardzo dobrze ułożona i przeprowadzona, na prawdę jest dość błaha. Zarzuty to znaczne. Najcięższy jednak odnosi się do zakończenia. Nie ma powiada Tarnowski, w całej może poezyi polskiej nic tak

rozpaczliwego, jak Lilla Weneda. Zakończenie Nieboskiej Komedyi jest w porównaniu z tem niełedwie wesołe. Ludzie się wymordowali co do nogi, ale Bóg został, i ten krzyk *Galilaee vicisti*, na znak, że jest dla prawdy jakieś zwycięstwo. Tu (może za przykładem Nieboskiej) zjawia się Najświętsza Panna nad ofiarnym stosem Wenedów, ale ten znak niebieski zjawia się po to chyba, żeby dać swoją sankcyę dokonanemu faktowi zwycięstwa. Tu jest tylko siła niezwyciężona, nieubłagana i nieodwrócone jej zwycięstwo.

St. Tarnowski w odpowiedzi na tę rozpaczliwą myśl wysnuł z tragedyi samej następującą naukę: Wenedzi muszą zginąć, bo są szlachetni, ale bierni, godni, ale nie męscy: skłonni w cud wierzyć, ale w siebie uwierzyć nie zdolni; zamiast rąk używać, oni je opuszczają w omdlałej i zrozpaczonej godności. Tymczasem doświadczenie wieków uczy, że nie zostaje nigdy opuszczonym, kto się sam nie opuszcza, a historya stwierdza przysłowie, że Bóg pomaga temu, kto sobie pomaga i to drugie, wedle którego pomoc tam najbliższa, gdzie potrzeba najcięższa.

Tarnowski zwrócił także uwagę na związek, jaki zachodzi między Lillą a Królem Duchem, który zaczyna się od tego, na czem się tamta skończyła. Roza zapowiada, że „popioły ją zapłodnią i zrodzi mściciela“. Tym mścicielem jest Król Duch, syn popiołów, nazwany Popielem.

Dwa odczyty profesora Stanisława hr. Tarnowskiego miane w Poznaniu dnia 4. i 6. stycznia 1881. r. I. „Balladyna“, II. „Lilla Weneda“. Odbitka z „Kuryera poznańskiego.“ Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego 1881. roku.

Z powodu społeczno-narodowych poglądów Tarnowskiego, wypowiedzianych w prelekcyach o „Lilli Wenedzie“, spotkała go ostra krytyka w „Warcie“, tygodniku poznańskim z 9. do 20. stycznia 1881. p. t. „Dwa wykłady o Słowackim“ i „Dwie prelekcye prof. Tarnowskiego o Słowackim“, gdzie też podano wprost przeciwną opinię pism poznańskich o tych odczytach.

Nazwa Wenedów, której Słowacki używa w poemacie, prowadzi zdaniem prof. Nehringa do badań Surowieckiego i Szafarzyka (Starożytności Słowiańskie 1837). Owe

teorye lechickie są mylne, ale wchodzić w to znaczyło tyle co woń poezyi zepsuć zwietrzałym pyłem książkowym.

„Lilla Weneda“ ujmuje, podbija, zachwyca i rozbraja. Jest w niej wielki urok, nie tak w szczegółach, jak raczej w przepychu całości, jest jakby czarodziejstwo poezyi, która u Słowackiego zwykle zrywająca się w górę, tutaj przecież jest zakletą w ściśle opisane granice i kształty. Największy urok ma Lilla. W ogóle jest cały świat kobiecy o wiele korzystniej przedstawiony, aniżeli męski, „Lilla Weneda“ porównana z „Balladyną“, wydaje się Dr. Nehringowi nierównie więcej do rzeczywistości i do dojrzałego na świat poglądu zbliżoną, kiedy „Balladyna“ jest poetyczną powiastką o cudach duchów i natury. „Kroniką poetyczną“ wprawdzie „Lilla Weneda“ także nie jest, ale można przyznać, że ową śpiewność Słowian, co harfę nad żelazo przenosili, (w zacytowanem w Teofilakcie miejscu mowa o cytrach, A. Bielowski: „Monumenta Poloniae historica“, I, 3.) i podbój Wenedów przez Lechów, opierał poeta w dobrej wierze wedle powszechnego mniemania na „pewnej tradycyi“.

Wł. Nehring domyśla się, że przedstawiając miłość i poświęcenie dziecka względem ojca (Lilli do Derwida), miał na myśli poeta stosunek swój i Zygmunta do ojca Krasińskiego i ojczyma Juliusza, których potępiła opinia narodu.

Obydwaj poeci, Juliusz i Zygmunt, złączeni nierozerwanym węzłem braterstwa w Lelum Polelum, bronić mają ojców swoich wbrew głosu kraju, a owa uosobiona ojczyzna: Róża Weneda jest także ich rodzoną siostrzycą. I oni też walczą za kraj, ale kraj ten przeznaczony jest na zagładę i zgubę, Lel i Polel płoną na stosie niby na ołtarzu ojczyzny, jako „pomniki przyszłości.“ Wł. Nehring, Biblioteka Warszawska 1883. tom IV. str. 54. nast. i Studya literackie Poznań 1884. str. 320. i nast.

W rozprawie „Trzej królowie: Edyp, Lear i Derwid“ przez J. Szczęsną Cybulską „Świt“. Warszawa 1884. Tom. I. Nr. 29. i nast. występuje kreacya Słowackiego o całe wieki wyższą nawet od bohatera Szekspirowskiego.

Krzyk bolesny Edypa przytłumił w sobie dostojny Lear, a osobiste nieszczęścia Leara pokonał Derwid i oto

stoi przed nami wśród wojennych burz i piorunów nieszczęścia, ten starzec dumny, spokojny, królewski, milczący i tak nieszczęśliwy! Król z dwojgiem serc — ojca swych dzieci i ojca narodu. Pokonał siebie — człowiek; zwyciężył ojca — król! Pod koniec, gdy jego lud konał i rozpadało się królestwo — sam pierś odsłonił i kazał przyjść śmierci. Oto ostatni rys tego posągu.

Jak cudownie — powiada Szczęsna — naciągnął poeta te struny podwójnej miłości w sercu nieszczęśliwego króla Wenedów, miłości do najmłodszej córki i uczucia dla narodu. Serce Derwida nie może pieścić się niemi ale jest stosem ofiarnym tych najsłodszych uczuć, on przecierpi wszystko, co osobiste, co jego własne; byleby harfa, ta nieśmiertelna królewna zwycięstwa, mogła grać pieśń „od trzech pokoleń niesłyszaną". Zarzucano mu, że jest słaby, bezsilny, nieradny, choć w mowie gwałtowny. Ale cóż niewolnikowi zostało prócz wymowy? Słowa Derwida są zawsze wzniosłe a duma narodu na jego siwej głowie wiąże się w królewski dyadem, i tem dostojeństwem swego losu właśnie tak drażni Gwinonę wypadającą co chwila z swej roli królowej przez niepochowane wybuchy gniewu. I cóż mógł Derwid ostatecznie zrobić więcej jak za harfę dając — córkę? To, nad czem miał władzę t. j. dumę i godność Weneda, to utrzymał świetnie do ostatniej chwili.

Walka Wenedów i Lechitów, to walka Harfy i Miecza. Z tej walki wyszedł cało duch przyszłego narodu z mieczem w ręku, z pieśnią na ustach.

Dr. Henryk Monat w pięknem studyum o „Lilli Wenedzie", w *„Myśli"* pod redakcyą J. Bornszteina, Kraków 15. czerwca 1892, Nr. 12. i nast. wykazuje, że „Lilla Weneda" nie jest alegoryą, ale jest dramatem serc ludzkich: nie filozoficzne tezy, ale namiętności życia, chwili, ścierają się tu z sobą.

Wenedyjscy harfiarze i samo imię króla Derwida przypomina Celtów. Słowacki naczytał się za młodu jeszcze o nich w powieści Walter-Scota, w pieśniach Ossyana a później napisał szkocką tragedyę „Wallas". Narody wyniszczone, pamiątki pogrzebane, ruiny, druiczne głazy, były ulubionymi jego tematami. W „Grobie Agamemnona",

w „Beniowskim“ i w „Lilli Wenedzie“ spotykamy je zarówno, jak w pierwszych utworach Juliusza.

Dr. Henryk Monat nie uznawając potrzeby winy w tragedyi, uważa upadek Wenedów dostatecznie uzasadnionym przez poetę.

Stara sią usprawiedliwić potrójne ocalenie ojca z zarzutów, między innemi tem, że poecie właśnie chodziło o podniesienie tej prawdy, że z wszelką niewolą wiąże się niebezpieczeństwo upodlenia i dlatego nie słabą stroną pomysłu rzucanie toporem na głowę ojca ale jego najświetniejszą jest to, że Lilla Weneda go sama podaje.

Cóż znaczy ta cudowna złota harfa, która wyczarować ma zwycięstwo? Nie potrzeba zdaniem dr. Monata na tłómaczenie jej przypuszczać alegoryi, nie potrzeba szukać w strunach narzędzia muzycznego starych cnót narodowych, ani poezyi, ani miłości ojczyzny, choć to wszystko symbolicznie przywiązywać zwykliśmy do lutni i harf i choć wszystko to i poeta miał na myśli, tworząc ów myt niezaśpiewanej pieśni zwycięskiej. W tej harfie nie ma nic mistycznego. Jestto prastary sztandar narodu, dotykalny proporzec hufców, za którego jasnym przewodem szły na śmierć. Gdyby ktoś staremu rycerstwu polskiemu nagle przed bitwą odjął był możność zaśpiewania hymnu: „Bogarodzica“, pieśni, która jak gromowy głos od kolebki Chrobrego grzmiała w uszy przerażonym wrogom, cóż za klęska zakończyłaby bój, jaki pogrom!

Ślaz przypomina Falstaffa. Nauczył się od Szekspirowskiego tej logiki nikczemności ludzkiej, która rozumowaniem chce upozorować prawo występku, tchórzowstwa i leniwstwa.

Przechwałka obok tchórzostwa, nikczemne samolubstwo, żyjące kosztem innych i nie wzdrygające się przed żadną zbrodnią — jeśli do niej nie potrzeba zbyt wielkiego natężenia woli — oto główne czynniki obu charakterów. Już starożytni poeci stworzyli zawiązek tego typu. „Miles gloriosus“ Plauta a nawet Tersyt Homera są protoplastami Ślaza.

Do portretu Gwinony zapożyczył Słowacki kilka rysów u Szekspira — zwłaszcza z Małgorzaty „Króla Henryka VI.“

O podaniach analogicznych z rzucaniem topora do ojca patrz Alfonsa Hubera: „Tell-Sage" w „Zeitschrift für Allgemeine Geschichte." Stuttgart, II. Bd. 1885.

Modelem do portretu króla lechickiego był prawdopodobnie król Popiel, o którym Wincenty Kadłubek (Mag. Vincentii Chronica Polonorum ed. A. Przezdziecki Cracoviae 1862. str. 58., 62—63.) powiada, że „w czepku chodził" i sromotnie ulegał woli żony, podburzającej go do najgorszych uczynków.

Ks. Radziwiłł Sierotka. — Na prochy Napoleona. — O Nocy letniej.

Dobiegamy końca okresu dojrzałości naszego poety — O utworach z tego czasu, pisanych w gorączce życia paryskiego, przeważnie zaczynanych a niedokończonych, powiemy już tylko kilka niezbędnych słów, zostawiając sobie jeszcze miejsca dla objaśnienia ostatniego i najważniejszego z tej doby poematu o Beniowskim. Do dzieł z tej i następnej epoki wrócimy jeszcze — jeżeli zajdzie potrzeba — przy opracowaniu pośmiertnej spuścizny autora, obejmującej kilka tomów druku.

Pod wpływem „Pamiątek Soplicy" H. Rzewuskiego, które na naszą literaturę olbrzymie wywarły wrażenie, (Zob. K. Estreichera Bibliografia i A. Kuliczkowskiego Zarys dziejów literatury, wydanie czwarte, Lwów 1891. str. 450.) powstał też jedyny za życia Słowackiego ogłoszony fragment, którego część pierwsza wyszła pod tytułem: „Święcone u J. O. księcia Radziwiłła Sierotki, wyjątek z niedrukowanego rękopisu" w Tygodniku literackim Ant. Woykowskiego, Poznań, dnia 13. kwietnia 1840., tom III. Nr. 15. str. 115—117, Nr. 16. str. 123—6. Część druga ukazała się tamże w r. 1841. dnia 8. lutego, Nr. 6. str. 43—4. p. t. Preliminarya peregrynacyi do ziemi św. J. O. księcia Radziwiłła Sierotki, udzielone redakcyi przez J. Słowackiego. Nie mają one, prócz stylu i w ogóle sposobu pisania, zbliżonego do owych czasów, nic historycznego, i odpowiadałyby raczej ks. Karolowi niż Krzysztofowi Radziwiłłowi, jak tego dowodzą poniżej wskazane dzieła:

Ks. Radziwiłł ierotka hr. Potockiego w „Bibliotece warszawskiej" 1840 tom I. str. 530. i nast.

Mikołaj Krzysztof Radziwiłł (Sierotka) przez Wojciecha Grochowskiego, w Tygodniku ilustrowanym 1864. r. IX. str. 141., 152.

Pamiętnik o ks. *Karolu Radziwille* podług archiwum Nieświeskiego, rękopism udzielony do druku ze zbiorów Wiktora hr. Baworowskiego. Lwów, 1864.

Dr. Henryk Sawczyński: M. Krzysztof Radziwiłł i Lew Sapieha na podstawie ich korespondencyi (wydanej p. t. Archiwum domu Radziwiłłów: Listy M. K. Radziwiłła Sierotki, w Scriptores rerum polonicarum Kraków 1885. r. t. III.) Przewodnik nauk. i liter. Lwów 1887. I—II.

Jerzy hr. Mycielski: *Książe „Panie Kochanku"* w świetle własnej korespondencyi, w Przeglądzie polskim, Kraków 1889—90. I. 467—540. III 355—398.

W Nr. 9. „Kraju" Petersburskiego z 26. lutego 1893. roku, opowiada Ferdynand Hösick w pamiętniczku „Z życia Juliusza Słowackiego" o wrażeniu, jakie sprawiło na współczesnych sprowadzenie zwłok Napoleona I. z wyspy św. Heleny do Paryża. Epopeiczny ten fakt, który wstrząsnął nietylko Paryżem ale Europą całą, omawiany był przez świat cały. O przygotowaniach tej uroczystości pisano we wszystkich dziennikach. Na emigracyi o niczem przez długi czas nie mówiono, ani drukowano, tak wiele jak o wyprawie księcia de Joinville na wyspę św. Heleny, o fregacie mającej przywieść trumnę, o kolosalnych trybanach, o pieśni ułożonej przez pana de Lamartine, i muzyce, jaką p. Auber do tej kantaty skomponował i t. p.

Dnia 18. października 1839. o godzinie 8. zrana, fregata „Belle Ponte" uwożąca prochy Napoleona i statki stanowiące jej eskortę odbiły od św. Heleny. Wreszcie, nadszedł tak gorączkowo oczekiwany dzień 15. grudnia 1839. w którym śmiertelne szczątki Napoleona złożono pod złoconą kopułą inwalidów.

Chwila sprowadzenia prochów bohatera i ulubieńca narodów była czasem najpiękniejszego rozkwitu legendy Napoleońskiej. Chwila ta natchnęła i naszych poetów. (Zob. wiersz Z. Krasińskiego i bezimiennego „Na spro-

wadzenie zwłok Napoleona“ w „Młodej Polsce“ Paryż 1840. tom III. str. 384. tudzież wiersze w pismach spółczesnych) a między innemi J. Słowackiego, którego wiersz p. t. „Na sprowadzenie prochów Napoleona“ podpisany 1. czerwca 1840. a ogłoszony w dwadzieścia dni później w „Młodej Polsce“ należy do najpiękniejszych utworów twórcy „Ojca Zadżumionych“.

Eustachy Januszkiewicz umieszczając go dodał od siebie te słowa: Szczęśliwem dla nas zdarzeniem doszedł rąk naszych niniejszy wiersz Pana Słowackiego. Poeta pozwolił nam, abyśmy przypuścili naszą publiczność do roskoszy, jakiej doznaliśmy sami czytając te piękne strofy. Młoda Polska Paryż 1840. t. III. str. 225.

Czas napisania artykułu o „Nocy letniej“ przypada na początek 1841. r. po uczcie, wyprawionej na cześć Adama, którą tu poeta wyszydza, a o której mamy szczegółowe relacye w następujących pismach: J. Słowacki Listy do matki i do Bobrowej z 1840—1 (autografy w posiadaniu L. Méyeta i hr. Krasińskich.) A. Mickiewicza, Korrespondencya tom IV. (wydanie czwarte) Paryż, 1885. str. 237. (*Akt z 25. grudnia 1840.)* Listy A. Mickiewicza do Bohd. Zaleskiego z 27. grudnia 1840. i do generała Skrzyneckiego z 23. marca 1842.

Kronika rodzinna, 1883. str. 13—14 (*Listy St. Witwickiego* do Bohd. Zaleskiego, z *25. grudnia 1840*).

Improwizatorawie przez N. O. (domyślają się Napoleona Ordy i Eust. Januszkiewicza) w *Tygodniku literackim*, Poznań 22. lutego 1841. Nr. 8.

„*Nowa Polska*“ Paryż 1841. tom IV. oddz. III. półarkusz 35—6. „Dziennik Narodowy“ Paryż 1?. lipca 1841. przy krytyce „Beniowskiego“ opis uczty, podobno pióra Jana Koźmiana.

Listy Leonarda Niedźwiedzkiego do Wł. Zamojskiego z dnia 24. maja 1841. i nast. w *Tygodniku powszechnym* Warszawa 1841. Nr. 41. str. 644—6.

Z(ygmunt) K(aczkowski) O przesądzie w pojęciach, Pamiętnik literacki Lwów 1850. I. 569. — R(oman) Z(ałuski) Krasiński o Słowackim, Dodatek do *Czasu*, Kraków 6. marca 1859. tom XIII, str. 515.

List Eust. Januszkiewicza do Ant. Małeckiego z 7. kwietnia 1867. r. w dziele o Słowackim t. II. wyd. II. str. 241 i nast.

Wojciech Stattler: Przypomnienie starych znajomości. *Kłosy* 1873 tom XIII. Nr. 435.

Nekrolog E. Januszkiewicza przez Bron. Zaleskiego, w *Roczniku Towarzystwa hist.-literackiego w Paryżu*, Poznań 1879. tom II. str. 320—2.

Alojzy Niewiarowicz: Wspomnienia o A. Mickiewiczu, Lwów 1878. str. 118—20.

Aër (Rząrzewski). Opowiadania i studya („*Wieczerza*"), Poznań 1885. str. 31—63.

Dr. P. Chmielowski: A. Mickiewicz, Warszawa 1886. tom. II. str. 321—9.

J. Kotarbiński, Byrona „Don Żuan" i Słowackiego „Beniowski" studyum porównawcze, w *Ateneum*, Warszawa, 1889. t. II. str. 8. i nast.

Ant. Mazanowski: Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, Warszawa 1890.

Władysław Piast (Wł. Bełza): Album pamiątkowe A. Mickiewicza, rozdz. IV. str. XVII.

St. hr. Tarnowski w dziele o Z. Krasińskim. (Studya do historyi literatury polskiej wiek XIX.) Kraków 1892. r. str. 324, i nast.

Ferdynand Hösick: Dwie uczty, urywek z dziejów nieporozumień między Słowackim a Mickiewiczem 1840—41. *Dodatek miesięczny* do *Przeglądu Tygodniowego*, Warszawa 1892. III. 85. i nast.

Tegoż autora „Okres rycersko romantyczny w Życiu J. Słowackiego", w *Ateneum*. 1893. I. 261 i J. Słowacki w Rzymie, Neapolu i Sorrento, tamże 1893. roku, tom IV. str. 275.

Władysław Mickiewicz w dziele o Adamie Mickiewiczu, Poznań 1892—3 tom I—III.

Pomijając uboczne względy (ataki na Mickiewicza i jego zwolenników) jest ta recenzya Słowackiego na dzieło Zygm. Krasińskiego p. t. Sen nocy letniej, Paryż, 1841. jedną z najpiękniejszych pereł języka polskiego. Jakby odwdzięczając się przyjacielowi za świetną charakte-

rystykę jego twórczości, ogłoszoną w artykule „Kilka słów o J. Słowackim“ (Tyg. liter. Poznań 24. maja 1841. roku), napisał Juliusz tę uwielbiającą go krytykę p. t. „Noc letnia“ ogłoszoną w czasopismie „*Trzeci Maj*“ Paryż, 29. kwietnia 1841. roku i przedrukowaną w „Orędowniku“, Poznań 1841. Nr. 20., które to pismo rywalizując z „Tygodnikiem literackim“ Woykowskiego, korzystało ze sposobności, aby tym sposobem przypiąć łatkę swemu spółzawodnikowi.

Objaśnienia „Beniowskiego".

Zanim przystąpię do rozpatrzenia „Beniowskiego", podam tu kilka szczegółów o autografach poety. Oto nieogłoszony fragment autografu w posiadaniu Tad. Piniego, który, jak wnoszę z ustępu o Gruszyńskim, odnosi się do dalszych pieśni Beniowskiego, niż te, które poeta za życia ogłosił.

I.

Wodziłem ja był na boje rycerzy,
    Lecz teraz siędę — i będę spoczywał.
Bo tu dzieciątek moich para leży...
    Adasiek jeszcze wczoraj kwiatki zrywał,
A dzisiaj — patrzaj Boże — trupek świeży,
    Bielutki, jakby srebrem się umywał,
Jak wosk bielutki... zarznięty biedaczek,
Najmłodsze moje dziecko — mój synaczek.

II.

O! Matko Boska, zbudź go... wszak ja proszę,
    Tak cię ogniście proszę... Matko Boska,
Zbudź go... ja twój cud po świecie ogłoszę,
    Ja ciebie Matko święta Poczajowska
Ubrylantuję... ja różane kosze
    Przyniosę tobie... Każda biedna zgłoska
Twego imienia i Chrystusa Pana
Po kraju pójdzie — złotem drukowana...

III.

Tak stary jęczał... od rozumu prawie
Odszedłszy... szlachta w około wąsata
Słuchała. Wszystkim śniło się na jawie,
Że gołąb cudu w tej kaplicy lata.
Obraz złocony palił się jaskrawie
Nad głową starca... a krwawa obiata
Na ołtarzowe rzucona podnóże
Leżała... główki dziatek jak dwie róże...

IV.

A ona — święta — na ostrzu miesiąca
Stojąca... łez się i krwi litowała...
Co było dalej — tego już płacząca
Ta pieśń nie będzie dalej opiewała,
Więc że mi radzi mara latająca
Znów Beniowskiego wziąć...

Wiersz 17. Po słowie „od“ przekreślono „zmysłu“.

Wiersz 23. Po słowie „podnóże“ przekreślono wiersz: Dwie główki... były niby jak dwie róże...

Przed wierszem 25. „A ona święta“ przekreślono „Ona... na srebrnym tak stała miesiącu“, po słówku „na“ przekreślono: srebrnym.

Wiersz 28. nie będzie *już* dalej spiewała.

W autografie „Niepoprawnych“ znajduje się następujące miejsce, odnoszące się do „Beniowskiego“, również po raz pierwszy tu ogłoszone:

Przed chatą Diwy na pannę Anielę
Czekał Beniowski... wracał z Krymu, gdzie go
Świezi Litewscy jego przyjaciele
Przed Khanem (wszakże nie mówiąc nic złego
Ale mu cnoty przyznając nie wiele
I plotki robiąc jak bicze z niczego)
Tak oczernili, że mego szlachcica
Z niczem do domu posłali jak Fryca,
Do domu — nie miał domu — więc do siebie,
Lecz on był wszędy sobą —

Czas powstania „Beniowskiego“ nie jest jeszcze ściśle oznaczony. Następujące miejsca z korespondencyi Juliusza zdają się odnosić do tego poematu, który zaczęty został może jeszcze w jesieni 1839. „Najwięcej czasu — pisze do matki w październiku 1839 r. — przepędzam sam piszące sobie i bazgrząc *różne awantury i przywidzenia*, z czego taka korzyść, że mi życie złocą i różnemi okrywają tęczami. Są to miłe mi okienka w chacie mojej, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych“.

Na początku 1841 r. pisze do matki: „Maluję teraz rzeczy, które mię często myślą w wasze strony zawodzą i duch mój przechadza się po księżycu w Julinkach i pływa z łabędziami po stawach.“ Tło Beniowskiego i scenerya przypomina miejsca i czasy młodości Juliusza.

Ostatnie zwrotki pieśni piątej Beniowskiego były pisane w kwietniu lub najpóźniej na początku maja 1841 r. odnoszą się bowiem do nieporozumień wynikłych z powodu uczty wyprawionej na cześć Mickiewicza. (Zob. bibl. przy „Nocy letniej“.) W liście J. Słowackiego do Leonarda Niedźwiedzkiego (rękopis w bibliotece Jagiellońskiej) z 18. maja 1841 napomyka już o ogłoszeniu „Beniowskiego“ jak na to wskazują następujące słowa: „bądź zdrów, drogi przyjacielu, odsyłam ci list Michelsona — na składzie u tego księgarza był Beniowski — dobry jest.“

Drogi Leonardzie! Otrzymałem list, w którym mi donosisz, że wysłałeś do mnie egzemplarz książki polskiej (Beniowskiego) i dziwię się, że go jeszcze nie mam, zwłaszcza, że dziś mamy 22. i że książka powinna była być wysłana 18. Może nie wiedziałeś że druki, wysyłane za granicę, muszą być frankowane, w przeciwnym razie zostają w biurze pocztowem, jak to mówią w mękach, podobne do dusz czyścowych i czekają, aż jaka dusza litościwa pomoże im stamtąd wyjść... *Hrabina Polka* (Joanna z domu Piotrowickich żona Teodora Bobra), dla której kazałem przysłać te książki, oczekuje ich z niecierpliwością, a ponieważ ja chciałbym jej się podobać, przeto jestem nie mniej niespokojny o ich opóźnienie. Zechciej więc mój przyjacielu dowiedzieć się dokładnie, czy książki, o których mowa, zostały wysłane z Paryża, albo też przyślej mi jeszcze jeden egzemplarz, który będzie może szczęśliwszy niż tamte...

Dziękuję ci po tysiąc razy za wszystkie przysługi, jakie mi wyświadczasz z taką życzliwością i proszę cię jeszcze raz, żebyś się dokładnie dowiedział na poczcie o moje druki — wiem że się je frankuje po 1 sous od arkusza, i że się to czyni w głównem biurze od godz. 12—1, w przeciwnym razie pakiety nie odchodzą.

Ściskam cię, twój przyjaciel

22. maja 1841. *Patteg.*

PS. Przysyłając mi książkę, postaraj się, żeby ją wysłać równocześnie z listem, który mi o tem doniesie, żebym się mógł po nią zgłosić, napisz mi także co mówią o dziele. (Mowa tu o Beniowskim).

Mój kochany Leonardzie! Dostałem wreszcie książkę oczekiwaną tak niecierpliwie i pospieszam podziękować ci za nią. Muszę ci jednak wyznać, że liczne błędy typograficzne zmartwiły mnie cokolwiek. Tyle ich jest, że zrobiły na mnie wrażenie pcheł, skaczących po prześcieradle. Ledwie otworzyłem książkę, ujrzałem ich miliony i to wielkich, zaręczam ci. Po powrocie mam zamiar poprawić egzemplarze ołówkiem, tem więcej, że brakuje nawet sylab i nieraz sens zwrotki cierpi na tem.

W ostatniej strofie drugiej pieśni zamiast łez jest też. W ostatniej strofie piątej pieśni: gmyłem zamiast obmyłem. Na tytule zamiast Michelson, Micheison. Koniec końców, mój przyjacielu, obawiam się, aby krytyka, schwyciwszy to dzieło, nie zaszkodziła mi, przypisując autorowi typograficzne błędy. (Poprawiłem je w wydaniu niniejszem.)

Lecz stało się, a jedyną na to radą jest wysprzedać szybko pier sze wydanie, aby módz wygotować drugie, dla ukarania zaś zrobię cię powtórnie jego wydawcą i obarczę napisaniem przedmowy, w której będziesz zobowiązanym przyznać się do grzechu i wziąć na siebie całą odpowiedzialność.

Niech Cię to nie bardzo zasmuca mój przyjacielu. Ja sam biorę tę rzecz bardzo filozoficznie i nie sądzę, aby krytyka była do tego stopnia głupią i czepiała się mnie po próbce, jaką jej dałem, mojej zręczności i psiej zajadłości. Z listu J. Słowackiego do L. Niedźwiedzkiego, Frankfurt 1. maja (ma być 1. czerwca 1841 r.).

Wyjście „Beniowskiego" zapowiadają temi słowy pisma spółczesne: Jest w druku i wyjdzie niedługo poemat pod tytułem „Beniowski", przez Juliusza Słowackiego. Trzeci Maj z 12. maja 1841.

Wyszło z druku poema „Beniowski", 1 vol. w 16 4 fr. Trzeci maj, 21. maja 1841. Zob. jeszcze tamże numer z 30. maja 1841.

Dziennik Narodowy Nr. 14. z 3. lipca 1841 i nast. umieszcza recenzyę utworu pt. „Beniowski", poemat przez Juliusza Słowackiego, pięć pierwszych pieśni. Paryż 1841.

Konfederacya barska, na której tle osnuty poemat zawiązała się 1. marca 1768. Chronologię, jak wiele innych faktów, zmienia dowolnie poeta, literaturę zob. prof. dr. L. Finkel: Bibliografia historyczna, wyd. Akademii umiejętności, Kraków 1891 t. I. str. 235 i nast. Pamiętniki Maurycego Augusta Beniowskiego, tytułowego bohatera poematu. (*1741 † 1786) wyszły w kilkunastu językach.

Voyages et mémoires, Paris 1791. Rédigés par Jean Hiacenthe Magellan et publiés par Noel.

Memoirs and travels... Translated from his original manuscript (tłómaczył William Nicholson), London 1790.

Schicksale und Reisen, Tübingen 1791. übers. von Georg Forster, Leipzig 1791, Reutlingen 1796, Hamburg 1797 i n.

Gedenkschriften in Reisen, Haarlem 1791 - 2 (przekład holenderski).

Lefnadslopp och Resor, Stockholm (tłómaczył Sam. Ödmann, przekład szwedzki).

Mor nak eletek, földön, tengereken, Poszon 1793 w 8-ce (wierszem przez Józ. Guardany'ego, przekład węgierski).

Pamatne prihody prelozene od Sam. Cernanskeho. W Prespurku 1808.

Historya podróży i osobliwszych zdarzeń sławnego Maur. Aug. hrabi Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego zawierająca w sobie: Jego czyny wojenne w Polszcze, w czasie Konfederacyi Barskiej, wygnanie jego, najprzód do Kazanu, potem do Kamczatki, waleczne jego z tej niewoli oswobodzenie się, żeglugę jego przez ocean spo-

kojny do Japonii, Formozy, Kantonu w Chinach, założenie przez niego osady na wyspie Madagaskarze z zlecenia francuskiego rządu, jego na tej wyspie wojenne wyprawy, ogłoszenie go nareszcie najwyższym Madagaskaru rządcą. Z francuskiego wydania (J. H. Magellana) tłómaczona, tomów IV. Warszawa Lebrun 1797 dalsze edycye 1802—1806 w 8-ce i inne.

Na tle tych pamiętników napisane są następujące utwory: Wahre Geschichte des Grafen Beniowsky von Hn. v. Kotzebue, Hamburg 1794 i różnorodne przekłady na języki obce. Na polski język przez pannę Ilińską, Warszawa, 1807.

Duval (1767 um. 1842) Beniowski ou les exilés de Kamchatka, opera en 3 actes. Paris 1802.

L. Mülbach (Klara Mundt z domu Müller um. 1873). Graf Beniowski, Historischer Roman in 4 Bänden. Jena und Leipzig 1863.

Hrabe z Benovskych. Historicky roman, zcestil Fr. St. Stepanek z mnohymi obrazci. V Praze 1865. treti wydani Praga 1870, w przekładzie Maryi Bobuli Peszt 1870.

Z literatury do Beniowskiego wymieniam: Gazeta warszawska 1772 Nr. 64. Przyjaciel ludu r. VIII. str. 283 i 289. K. Wł. Wójcicki: Cmentarz Powązkowski III. 66—76. Tygodnik illustrowany 1864 IX. 149. Ign. Radliński: Awanturnik XVIII. w „Wędrowcu“ 1886 nr. 20—9. T. O-wicz: Jubileusz zgonu Beniowskiego w „Kraju“ 1886 nr. 34. E. Puffke z Kurowskich M. A. Beniowski, Poznań 1886. Awanturnicy 18 w. J. Bykowskiego, w Przewodniku nauk. i liter. 1886. Dziennik liter. 1865. nr. 57. Bibl. warsz. 1884. III. 268.

Że Słowacki znał Pamiętniki Beniowskiego, tego dowodzą własne jego słowa w pieśni II. „że można go poznać z jego pamiętników“, ale już samo imię Maurycego *Kazimierza Zbigniewa*, wskazuje że korzystał z nich dowolnie.

Jako główne jednak źródło, z którego czerpał poeta wymienia prof. Zimmermann w studyum o Beniowskim, Cl. Rulhiera: Histoire l' anarchie de Pologne Paris 1867, i Ks. A. Kitowicza: Pamiętniki do panowania Augusta III. i Stan. Augusta materyały (w *Skarbcu* historyi polskiej K. Sienkiewicza, Paryż 1839). Z Rulhiera czerpał wiadomości

o Radziwille (zob. Rulhiera t. II. str. 57, 60 i 237 głównie III. 38) o Potockim III. 59 i 81, Żeleźnickim III. 92, Dzierzanowskim (III. 70.) ks. Marku (III. 18, 96, Kitowicz I. 132) Krasińskim (II. 485, III. 10), Puławskim (III. 6, 46, 98, 165, IV. 105—8, Kitowicz I. 150), Kossakowskich (III. 181. IV. 117, Kitowicz I. 134, II. 278, III. 137, IV. 180—3, 224, 265), Dumourier (IV. 102), Ankwiczu (II. 488), Sawie (III. 199, IV. 221, Kitowicz III. 274—6), Branickim (II. 230, III. 49) itp.

Tadeusz Dzieduszycki, cześnik w. k. i regimentarz wojsk Rzeczypospolitej na Podolu, odmalowany w czarnych kolorach przez Cl. Rulhiera w dziele „Histoire de l' anarchie de Pologne" Paris 1807 t. III. str. 31 i nast. posłużył Słowackiemu za model do portretu jednej z głównych osób „Beniowskiego". Dzieduszycki, (mówi Rulhier, cytowany przez Słowackiego), Polak królowi oddany, przyrzekł był Konfederatom przyłączyć się do nich z wojskami, które miał pod swym zarządem. Postępując nocą dla uskutecznienia tego zamiaru, kazał przytrzymać posłów od Konfederatów, służących mu za przewodników i na czele trzech tysięcy ludzi napadł na ich obóz i już mordować ich pod namiotami zaczynał, kiedy nagle większa część jego ludzi wzdrygnęła się na taką zdradę, pogroził tym, co ją wykonywali, że na nich uderzy i złączył się z Konfederatami. Tych, co wierni Regimentarzowi pozostali, wyrznięto lub rozproszono, a Konfederacya wzmogła się właśnie wojskami, co na jej zniszczenie użyte być miały. Obrońcy Dzieduszyckiego przedstawiają sprawę w zupełnie innem świetle. Por. Tadeusz Dzieduszycki i początki Konfederacyi Barskiej, Przyjaciel ludu 1842. r. IX. t. II. nr. 29—30, str. 226 i nast.

Kiedy się Konfederacya Barska zawiązała — tak opowiadają zwolennicy polityki Dzieduszyckiego — zaczęto traktować z Dzieduszyckim, aby się z wojskiem pod rozkazami jego zostającem do niej przyłączył. Oświadczył wysłanym w tym celu posłom, że będąc pod rozkazami króla i od niego regimentarzem mianowanym, zdradzać go i wojnę domową rozpoczynać nie może. Konfederaci widząc, że tak łatwo z nim nie skończą, zaczęli pod pozorem niby traktowania, zawiązywać potajemnie w jego obozie spiski, nama-

wiać żołnierzy i starszyznę, aby opuszczali chorągwie i do nich przychodzili. Dowiedziawszy się o tem Dzieduszycki, kazał tych wysłanników konfederackich przyaresztować, ale ich potem znów jak wiadomo wypuścił. Jednak wskutek tego wzburzenia dużo ludzi opuszczać go zaczęło. Gdy wszelkie usiłowania jego porozumienia się ostatecznego z Puławskim na niczem spełzły, przeszedł nareszcie pod Potoczyskami Dniestr, lecz na przeprawie ostatek wojska zupełnie go odstąpił. W takiem położeniu nie odbierając żadnych od króla rozkazów, oddalił się do bliskich Węgier, gdzie parę lat w Szigecie przesiedział. Wróciwszy do kraju, umarł w dobrach swych Żukowie w 1777 r.

Do tej rehabilitacyi Dzieduszyckiego dodaje Przyjaciel ludu z 1842 r. następujące słowa: Nie można tu nie wspomnieć wydanego niedawno w Paryżu poematu pt. „Beniowski", którego autorowi, p. Juliuszowi Słowackiemu, podobało się obrać tego Tadeusza Dzieduszyckiego, za jedną z głównych osób i w tak piękne uposażyć go przymioty, jakimi właśnie obdarzony szatan w utraconym raju Miltona. Pochwytując kilka słów Rulhiera, ułożył sobie w głowie charakter i wypadki, o których się nikomu, a nawet Rulhierowi nie śniło. Główny bohater Beniowski kocha się w Anieli, córce starosty Ankwicza, pana Ladawskiego zamku, o której rękę ubiega się z drugiej strony Dzieduszycki. Tu nawiasem dodać nie zawadzi, że Tadeusz Dzieduszycki nigdy się o Ankwiczównę nie starał, że w Ladawie nie ma i nie było nigdy zamku, i że dobra te były i są dotąd po części w posiadaniu Dzieduszyckich; nakoniec, że Tadeusz był wtenczas już oddawna mężem Salomei Trębińskiej i nawet ojcem kilkorga dzieci. P. Słowacki każdy najmniejszy szczegół umie powiększyć i punkt czarny pędzlem historyka rzucony w tysiączne rozetrzeć, rozrobić i rozpromienić barwy.

Wedle Słowackiego konfederaci zajęli cichaczem zamek Ladawski, ksiądz Marek wsunął się niewidzialnie do sali i Dzieduszyckiemu o rękę córki u stołu proszącemu obie dłonie nożem do stołu przybił. Niebawem wchodzi córka i wyrywa nóż z zakrwawionych rąk regimentarza, który utratą krwi osłabiony, upada na ziemię i kona. Otóż w przebiciu rąk Dzieduszyckiego i jego zgonie, słowa hi-

storycznej prawdy nie ma. Ksiądz Marek, mąż prawdziwie katolicki, zakonnik przepełniony miłością ojczyzny, osoba takim blaskiem w dziejach otoczona, jakże tu niecześną odgrywa rolę bandyty włoskiego, lub hiszpańskiego! Jakaż to różnica np. między żywym a najszczerszą prawdą tchnącym księdza Marka obrazem w Pamiętnikach Soplicy a tym księdzem Markiem Słowackiego. Ten duch pobożny, ale i żołnierski, ten człowiek pół Marek, a pół kapłan regimentowy, podobny do owych plebanów Wandei, mógłże np. patrzyć, jak się konfederat Sawa z Beniowskim bez najmniejszej przyczyny, dla nieporozumienia, które ks. Marek mógł jednem słowem wyjaśnić, pałaszami rąbali bez wyrzeczenia jednego słowa na ich pojednanie. Przyjaciel ludu r. IX. 1842, str. 228—35.

Wedle Małeckiego chodziło Słowackiemu w „Beniowskim“ głównie o to, aby antagonistom swoim do żywego dokuczyć, rzucając dumnie rękawicę człowiekowi, który był ich bożyszczem, choć pierwotnie nie zamierzał wszczynać tu wojny z Adamem. Zaczepił go dopiero w ostatniej chwili, w ostatnich strofach piątej pieśni. Doprowadziło go do tego coraz silniejsze crescendo jego przeciw wrogom swoim zapału i niewątpliwie podszepty postronnych.

Małecki domyśla się, że na ton i sposób pisania „Beniowskiego“ wpłynęła ta oto rada rokiem pierwej podana w liście Z. Krasińskiego do Juliusza: „Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów. Obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek ziemię przynęci do ciebie! Więcej jest wątrób na świecie, niż serc. Ach, jakże cię wtenczas będą rozumieć wątroby!... Dopiero uczują twoją rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy nam spadnie ciężka, koścista na skronie... Do korda i na sejmik! rąbać mi i siekać! a zostawiwszy trupy na placu, znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie!“...

Leżał właśnie czasu owego na biurku Słowackiego rozpoczęty około 1840. r. dramat fantastyczny z czasów konfederacyi barskiej, osnuty na przygodach Maurycego Beniowskiego, umieszczony przez Małeckiego na końcu III. t. Pism pośmiertnych. Otóż zaniechał autor dalszej pracy nad tym utworem, i podjął tensam przedmiot na nowo, ale już w innym tonie i w formie poematu. Co tylko było polotu

i rozbujałej fantazyi w Orlandzie, co miękkiej melancholii i głębokości w Childe-Haroldzie, co żółci i wzgardy szydnej w Don Juanie: to wszystko zlał on po swojemu w jakiś sobie tylko właściwy, epizodyczny, uskakujący i dziwny, ale genialny sposób i zamknął w swoich oktawach. Chodziło tu Słowackiemu, zdaniem Małeckiego, jedynie o wyszydzenie tych wszystkich drobnych niedorzeczności, które się działy w jego najbliższem otoczeniu i których żądła i jemu samemu niekiedy czuć się dawały. Szczególniej wziął na cel całą ową znienawidzoną sobie frakcyę emigracyi, której organem było katolickie czasopismo „Młoda Polska". Drugim z kolei grzesznikiem, który miał zostać osmaganym w „Beniowskim" był „filozoficzny", jak go poeta nazywa, Tygodnik literacki Woykowskiego.

Ten ostatni wymieniał go wprawdzie na liście swoich *sławnych współpracowników* po A. Mickiewiczu, Bohdanie Zaleskim, a przed Witwickim, Trentowskim, A. Grabowskim itp. (Tygodnik liter. Nr. 52. Poznań, 25. Marca 1839. r.) Ale już w Nr. 17. Tygodnika z r. 1840. czytamy o „Lilli" przed jej wyjściem, następującą uwagę: „Pana Juliusza Słowackiego tragedya „Lilla Weneda" wyjdzie wkrótce z druku. Jest ona (jak nam jeden z szanownych literatów donosi), równie jak i pierwsze płody tego autora mało zrozumiała dla czytającego."

W Nr. 20. tegoż roku znowu: „Słowacki wydrukował nową tragedyę Beata Cenci — wyszła dopiero w Pismach pośmiertnych 1866, zobacz fragmenty w Tygodniku ilustrowanym z grudnia 1893 — Trudno (pisze jeden z najnowszych korespondentów) wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy tę dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami? Autor ten posiada szczególniejszą łatwość; w dniach kilkunastu buduje dramat, a Witwicki powiada o nim, że ledwie się tytułu jednej jego tragedyi na pamięć nauczy, to już druga wychodzi, stąd też wszystko mu przez głowę, a nic przez serce nie przechodzi, utwory jego nie absorbują mu jak innym pisarzom życia". Było w tem doniesieniu to jedno tylko prawdziwem, że się Słowacki zanadto kochał w przesiąkłych okropnościami tematach dramatycznych.

Krytyka krytyki i literatury, nieznany utwór Juliusza Słowackiego, który z autografu poety wydał dr. Bolesław Erzepki, w Poznaniu, w odbiciu Kuryera poznańskiego. 1891. r. wymierzony był także głównie przeciw Tygodnikowi. Posłany zaś był przez autora do czasopisma poznańskiego J. Łukaszewicza i A. Poplińskiego pt. „Orędownik" z dopiskiem następującym: „*N. B.* Raczcie umieścić, że poema p. t. *Beniowski* znajduje się do sprzedania *tylko* u Leopolda Michelsena w Lipsku."

Wydawcy „Orędownika", otrzymawszy ten artykuł nie umieścili go w swojem piśmie. Odstręczył ich bowiem od tego uszczypliwy i szyderski ton, w jakim Słowacki dotknął niektórych literatów poznańskich. Życzeniu poety co do ogłoszenia notatki o poemacie „Beniowski" stało się zadość w numerze 51. „Orędownika" z dnia 19. grudnia 1841. roku.

Artykuł Słowackiego „Krytyka krytyki i literatury" jest najpierw niezmiernie ciętą i ironii pełną satyrą na krytykę dzieł poety w znanym Tygodniku literackim A. Woykowskiego. Do tej nieprzychylnej sobie krytyki poznańskiej zwrócił się Słowacki już przedtem w obronie „Nocy lelniej" Z. Krasińskiego (zaczepionej również bezmyślnie w tym samym Tygodniku) a potem w poemacie swoim „Beniowski".

Omawiając w rozmowie z panem Or.(ędownikiem) poetycki talent słowiańskiego Szekspira (J. Słowackiego) powtarza pan Tyg. dosłownie całe zdania z artykułów krytycznych, umieszczonych o dziełach Słowackiego nie dawno przedtem w Tygodniku.

Wysmagawszy w ten sposób naczelnego winowajcę, zapragnął jednocześnie Słowacki wyszydzić i to grono poetów, którzy zasilali wówczas literaturę poznańską a mianowicie łamy Tygodnika zapełniali swoimi wierszami.

Rzucając gromy potępienia na szkołę, uderza Słowacki w rytmicznym popisie zarazem i na mistrza szkoły, na samego Adama.

Namiętna nienawiść do osoby Adama tak daleko uniosła Słowackiego, że do wierszy owego arcypoety z obozu Tygodnika nie wahał się powplatać bądź to całych zdań,

bądź luźnych frazesów, wyrwanych z różnych utworów Mickiewicza, czem oczywiście w najdotkliwszy sposób zamierzył dokuczyć autorskiej ambicyi swojego antagonisty.

Po Tygodniku przyszła kolej na Młodą Polskę, wydawaną (1838—1840) przez Eust. Januszkiewicza, który umieszczał tu recenzye jątrzące młodego poetę. Pojawiła się tu była jeszcze dnia 21. marca 1839. r. (w Dodatku do Nr. 8.) goryczą zaprawiona krytyka Trzech poematów J. Słowackiego i Poematu Dantyszka o piekle. Pisał ją jakiś „Z. K.“ emigrant, do którego odnosi się owo miejsce w „Beniowskim“ (w pieśni III):

„Imię krytyki? — nie! krytyków — A ba!
Któż z nich ma imię? — Z. K. — S. K. — E. K.
Mówią, że Młodą Polskę pisze — baba!“ itp.

Otóż ten krytyk, za literami Z. K. ukryty, przyznaje wprawdzie, że „nie zna poety, coby miał równy talent wykonania“, Słowackiemu; widzi jednak w poemacie „Ojciec Zadżumionych“, „przerysowanie“ znanego ustępu o Ugolinie w Boskiej Komedyi Danta. Poemat „W Szwajcaryi“ „należy do tej osobowej poezyi, która gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniuszu — zajmuje zwykle więcej samego pisarza, niż czytelników“. „Wacławowi“ robi także różne zarzuty. Z sarkastyczną zaś złośliwością rzuca się na Poemat o piekle, korzystając z bezimienności tej publikacyi i udając ironicznie, że się wcale nie domyśla, kto jej autorem.

Na tę krytykę napisał był Słowacki „Kilka słów odpowiedzi“, a panu Z. K replikę w ocenie „Balladyny“. To było powodem, że Słowacki uszczypnął go jeszcze w Beniowskim:

Byłżeś w Arkadyi tej, gdzie Jezuici
Są barankami? Pasą się i strzegą
Psów, i tem żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza? Kraina niczego,
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutej... Niebieska kraina,
Co za pieniądze bab truć nas zaczyna.

Ta „baba“, to Eustachy Januszkiewicz, przez ową zaś „Arkadyę, gdzie Jezuici są barankami“ należało rozumieć jego czasopismo Młoda Polska, w którem rożne „draby“ krytykowały Słowackiego...

O *Trzecim Maju*, wychodzącym od 10. grudnia 1839. w Paryżu pod redakcyą Ludwika Orpiszewskiego, pisze obszerniej redaktor w „Wspomnieniach“ swoich, umieszczonych w Roczniku Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu 1869. tom II. str. 311—2.

Ustęp zaczynający się od słów:

Nie podobało się już w Balladynie i t. d.

odnosi się do owej krytyki „Balladyny“ umieszczonej bezimiennie w Młodej Polsce z 10. października 1839. Nr. 29. str. 337—344.

Gdy mowa o Januszkiewiczu, trudno nie wspomnieć o jego bożyszczu, poecie-profesorze, dla którego pan Eustachy uwielbienie swe posuwał, jak sam się do tego przyznawał „aż do fanatyzmu“:

Różnemi drogi mój poemat wiodę,

jak kwestarz Robak w „Panu Tadeuszu.

często częstuję tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam odę,
Naprzykład drugą piękną odę taką,
Jak do młodości.

Nie zapomniał też Słowacki o Konradzie Wallenrodzie, którego sądzi w dwu oktawach

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
Zdradą na obóz napadał i wyciął, itd.

Wallenrodyczność czyli walenrodyzm
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm, itd.

Przy sposobności dostało się parę razy Witwickiemu również zaprzyjaźnionemu z Mickiewiczem, a który powiedział niegdyś w Tygodniku literackim — że ledwie się tytułu jednej tragedyi Słowackiego na pamięć nauczy, już druga wychodzi. Za sarkastyczny ten dowcip należała się p. Stefanowi zapłata.

Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie,
Nawet pisania łatwość rzuca plamę:
Mówią, że w czterech dniach układam dramę. itd.

Wyszydza jego klerykalizm w wierszach:

A gdym tłómaczył, to panna Praxeda
Święta, aniołek jezuicki, wdowi,
Jak na kazaniu siedziała Sanskryckiem
A potem mi dała w sam łeb — Witwickim itd.

Dostaje się przytem i Antoniemu Goreckiemu *e tutti quanti*,

Mówią, że pismo pewne, Młodą Polskę, pisze... baba!
Ale ja, widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye,
W dyabelskim napisane dyalekcie.

W owej „babie“ domyślać się było nie trudno... znowu Januszkiewicza. „Drabem“ zaś, tłómaczącym „na język człowieka: hymny, przestrogi, pacierze i lekcye“ miał być Stanisław Ropelewski, krytyk „Balladyny“, tłómaczący artykuły francuskie Jourdain'a na polskie i drukujący je, naturalnie jako oryginalne... On też miał być autorem artykułu podpisanego literami Z. K. (Fr. Hösick. Okres rycersko—romantyczny w życiu J. Słowackiego, Ateneum 1893. I. 352.)

Poeta ucieka więc od tych krytyków, jezuitów —

Heglów poznańskich, krakowskich purystów,
Kozako-powieściopisarzy itp.

„Heglem poznańskim“ nazwano tu K. Libelta, który niegdyś w Tygodniku literackim napisał niepochlebną ocenę Mazepy. „Kozako-powieściarz“ to Michał Czajkowski, zachwalany przez Tygodnik.

„Wyszły tu nowe romanse Czajkowskiego — pisze Słowacki — Wernyhora i Kirdżali. Te znać musicie, albowiem romansy prędzej jeżdżą, niż żelaznemi drogami jadące powozy. Tygodnik poznański admiruje autora. Radbym wiedzieć, czy wy podzielacie tę *extasis*.“ (Z listu J. Słowac-

kiego do Jana Weisberga w Krakowie). Paryż, 14. maja 1839. roku).

Pod adresem tegoż Tygodnika znajdowała się w pieśni piątej apoteoza... boćwiny, zakrawająca na parodyę Mickiewiczowskich hymnów pochwalnych w Panu Tadeuszu na cześć bigosu litewskiego, kawy litewskiej, grzybów litewskich, etc.

O boćwino! Hipokreno
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
„Odjemną" — wyraz napotykany często na szpal-
|tach tego pisma zamiast „ujemną" — mówi
Tygodnik, o zgrozo!

Odjemną?... Czy od Tygodnika? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry.

Między autorami, którym dostało się w „Beniowskim", zajmuje poczesne miejsce Bohdan Zaleski. Obaj wielcy poeci odnosili się do siebie z wzajemną niechęcią. Podaliśmy sąd B. Zaleskiego o pierwszych poezyach Juliusza wypowiedziany wprawdzie tylko poufnie ale pełen zjadliwości. Różniły ich także odmienne na świat poglądy. Bohdan był do szpiku kości katolikiem. Słowacki zerwał był już 1833. r. z tym kierunkiem, choć nigdy nie przestał być religijnym.

Z powodu wydania poezyi B. Zaleskiego wystosował ostrą na niego krytykę, umieszczoną w 504 numerze Warty p. t. Słowacki o Bohdanie Zaleskim. Rzecz napisana z okoliczności książki „Poezya Bohdana Zaleskiego", Paryż 1841. 2 tomy, po raz pierwszy ogłoszona z autografu. Zob. Studyum przaz ks. Celestyna Adamskiego: Natchnienie Bohdana Zaleskiego, Warta 1886, str. 5559.

Słowacki krytykuje tu ostro i złośliwie ducha odstępu, szydzi z jego katolicyzmu, a jako poeta sztandaru demokratycznego, przypisuje mu niemal rodzaj zdrady, że cofnął się od ruchu rewolucyjnego w Warszawie a przeszedł do katolickiego obozu. Tu i ówdzie zarzuca ułomność wiersza i wytyka błędy przeciwko językowi poetycznemu. Łagodniej odzywa się do niego w ustępie drugiej części

Beniowskiego, gdzie go żałuje z przyczyny tej naiwności, którą się daje uwodzić rzymskiej polityce. W liście B. Zaleskiego do A. Mickiewicza z 19. czerwca 1841 (nr. 1102 Kłosów z 12. sierpnia 1886 r.) takie czytamy zdanie obrażonego o Beniowskim:

Czytałem nieco uważniej Beniowskiego, nie ma co mówić wiersze zgrabne, ale duch mdły, pomimo pozornej ruchliwości. Poeta buja na płytkich burzo fluktach, i oprócz grubego skandalu, nie ułowi ani drobnej perełki, którą godziłoby się zawiesić, choćby nawet na pogańskim ołtarzu lub na szyi jakiejbądź kochanki. Ja taki niepoczesny, a wcale go się nie stracham i spodziewam się, że kiedyś po leciech zsadzę go z Pegaza. A cóż dopiero ty, Adamie, taki doświadczony i zawołany jeździec.

Dostało się też w „Beniowskim“ autorowi „Pomysłów do dziejów polskich“, jak się domyślam Paszkowskiemu, który w rozdziale „Opinia“ dotknął był Słowackiego temi oto słowami:

Poeci byli zawżdy pochlebcami władzy, niezawżdy niewinnie. Jeden z nich dzisiaj ogłasza lud sercem ludzkości, z którego, jak w geniuszach ludzi szczególnych, najwyższe prawdy i mądrość wytryska; drugi uniesiony zapałem własnych myśli, rzuca się do nóg swego narodu, jako jakiego bożyszcza, a są i prozaiczni poeci, którzy nad swój lud nie mają innego cesarza, króla, pana. Czegoż chcą naprzód? Być pięknymi, wzniosłymi, głoszonymi, wielbionymi. Czegóż chcą później? Być sercem ludu, by jego poruszeniami i mocą udzielnie władali. Do czegoż w końcu dążą? Do tego, co od początku dziejów ludzkość udręcza i dziś nam jest pod oczyma: aby nurzyli się razem z ludem w otchłani obłędnych pozorów i krążącego bez spoczynku, bez kresu, zamieszania wszelkich uczuć, myśli i czynów w opinii publicznej.

Kordjan:

Wierzcie mi, wierzcie ludzie; jam jest wielki, mocny,

aż do słów:

Tak, dajcie mi się w ręce.

Pomysły do dziejów Polski, Paryż. W księgarni i drukarni J. Marylskiego, 1840 str. 432—2.

Wiadomo powszechnie że jednym z głównych powodów wystąpienia Słowackiego przeciw Mickiewiczowi pod koniec Beniowskiego była owa słynna uczta, wyprawiona na cześć Adama po objęciu przezeń katedry literatur słowiańskich w *College de France*, o czem mowa była przy fejletonie o „Nocy Letniej" i w „Bibliografii".

Miłość Słowackiego zajmuje w „Beniowskim" jedno z najpoczcześniejszych miejsc przed tą ucztą.

Słowacki oprócz pierwszej — Ludwiki Śniadeckiej — której wystawił spiżowy pomnik w „Beniowskim", nie kochał żadnej z tego licznego szeregu kobiet, które smętne i zełzawione przesunęły się przez jego życie, ale kochał się w każdej z nich. Jedna Ludwisia tylko była kochaną gorąco. Pozostała ona zawsze drogiem i tęsknem wspomnieniem, ale zarazem kamieniem obrazy dla jego niepohamowanej dumy. W „Beniowskim" rzucił ostatnie, palące jak ogień, westchnienie ku tej „Ludce, dziecka kochance" ale już jej nie kochał, nie mógł kochać. Pierwsze to uczucie na ołtarzu serca poety spaliło się jak świetny fajerwerk zostawiając w duszy tylko dym, popiół i szczątki.

I w późniejszych stosunkach sercowych, które głaskały jego nienasyconą pychę, pozostał marzycielem. Te dzieje serca jego są czyste jak łza, jak kryształ, drżące poczyą i blaskiem jak błękitne wody Lemanu. Wobec Kory Pinard, Maryi Wodzińskiej, nie zagra w nim krew namiętna lub gwałtowna żądza. On zawsze stoi na koturnach ideału, z czołem w chmurach, z okiem wlepionem z greckim spokojem w piękne ciała swych kochanek. Jest on wiernym synem swego wieku. — Niewieście ideały poetów polskich, Walerego Przyborowskiego, Warszawa 1881.

Przedostatnią miłością Juliusza była podolanka Aniela Moszczyńska. Stała się ona wzorem do postaci kobiecej, tego samego imienia w „Beniowskim". Poznaliśmy ją w objaśnieniach „Dantyszka".

W „Beniowskim" Aniela występuje w dwu postaciach, które wśród zmienionych okoliczności odmienne są w szczegółach, lecz duchowo — ściśle z sobą spojone. Poeta miał widocznie przed oczyma kobietę rzeczywistą — nie zaś chimerę fantazyi. Dziewczę to „z białą szyją" — du-

mne i nieskazitelne. Chodziła „jako łabędź lub anieli“. Nie była „strzelną“, swemi źrenicami; jej czarne, duże oczy były „pełne iskier“, „paliły czoła“. Włosy długie, krucze „w róg zwinięte“, ręka — „piękna, maleńka i biała“, głowa miała „kształty święte i uświęcone snycerską powagą, smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte“.

Nie było to dziewczę proste, naiwne, ale też przebiegłość kobieca nie stłumiła szlachetnych popędów. Pozbawiona matki, musiała się uzbroić w odwagę samoistnego występowania w życiu, musiała być „wszystkiem w domu“ swego ojca; musiała się nauczyć światowych konwenansów i światowej obłudy.

Albowiem nigdy nie kokietowała
Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem.

Kochała Zbigniewa wiernie, wytrwale, niczem się nie zrażając — chociaż była dumna. Wloką ją przed ołtarze, zmuszają do nienawistnych ślubów, lecz ona ma siłę oporu; nawet bez słów pociechy ze strony kochanka, ona wszystko zwycięży. Beniowski przyszedł zwrócić jej słowo, bo jest biedny i bez nadziei („pół Donkichota a pół króla Lira“) zupełnie tak jak Słowacki.

Więc i ty — powiada do niego — na sercu kaleka,
Nie mogłeś wiary zrodzić w serce moje!

Stracić wiarę w człowieka, którego się kochało, to cios najsroższy, to śmierć duszy, stokroć boleśniejsza od śmierci ciała; to powolne kamienienie z całą świadomością przyszłej martwoty...

Natłok tylu wzruszeń, śmiertelny zawód, jutro bez słońca, śmierć marzona w samotności: wszystko to zaległo główkę Anieli jak szarańcza — jęknęła biedna i padła. Dr. Piotr Chmielowski, Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego wyd. IV. Kraków u Anczyca 1894.

Dyana jest jakoby bliższem rozwinięciem owej chwili w życiu Anieli, kiedy ją ojciec przymusić chciał do wstrętnego małżeństwa. Szczegóły tylko i motywy są inne; grunt

charakteru jest ten sam. Miał słuszność p. Chmielowski, zestawiając te dwie postacie, tem bardziej, że „Niepoprawnych" napisał Słowacki prawie równocześnie z „Beniowskim" (około r. 1841).

„Czarne oczy" stanowią łącznik pomiędzy niemi. Rodzice stracili majątek i jedyny ratunek widzą w zamążpójściu Dyany za bogatego hrabiego. Dyana poświęca się. Drogo jednakże okupić ją musi ten, co sięgnąć się po nią waży, bo Dyana jest dumna, pod ruinami gmachu stoi jak kolumna ostatnia i trzyma wysoko swe czoło!...

Ciało moje posiędziesz, ale wara od duszy! W tem położeniu przypomina Bobrowę w stosunku do męża. Już Chmielowski zauważył w poglądach Idalii pewne podobieństwo z bohaterką dramatu: Dyaną.

O Anieli Moszczyńskiej pisze Słowacki w listach do matki z Florencyi d. 21. sierpnia 1838 i z Paryża, w listopadzie 1839.

Pod koniec „Beniowskiego" widzimy już slady nowej, ostatniej miłości Juliusza. W jednym z ustępów pieśni trzeciej, wymierzonym przeciwko Mickiewiczowi, którego tu nazywa sarkastycznie „wszystko wiedzącym wieszczem", napomyka już delikatnie o pani Bobrowej.

Krwią do was piłem, moim duchem, zdrowiem.
(aluzya do owej uczty grudniowej)
A teraz ciskam serce, puhar lśniący...
Słyszycie? Pękło. Teraz mi wezgłowiem
Jedno kobiece serce... Jestem śpiący,
Omdlały,

miłości „ogniem owionięty, piekielne rzeczy rzucający, święty"...

Kto inny teraz jest nademną, nie wy,
Na których patrzał ja, Akteru blady,
Ona, jak złoty mój duch dobrej rady,
Odgoni czarne Cherubinów stada (tj. przeciwników).
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną

Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie, jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny...

Przypuszczenie to, że te „nowe głosy na jego lutni“ odnosiły się do Bobrowej, potwierdza jeszcze i następująca oktawa, wyraźniej pisana pod wpływem miłości dla niej.

O pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna... Więc przekreślę
Te strofy... Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle,
Wszystko prowadzi dziwnie Boża ręka,
Tak dziwnie, że mi wre i pęka.

Miłość ta była do niedawna tajemnicą literacką. Pierwszy podał o niej bliższe szczegóły list J. Słowackiego do Leonarda Niedźwiedzkiego, podany w przekładzie polskim, w „Prawdzie“ z 10 (22.) marca 1884 nr. 12, chociaż nie można było wówczas jeszcze odsłonić imienia kochanki:

Mam zamiar — pisze tu Słowacki — wrócić wkrótce do Paryża, gdyż kilka powodów skłania mnie do tego. Życie, które tu prowadzę, jest nieznośnem; jestem sam — *na jej łasce, szarpany przez nią w moich uczuciach. Nie mogę dłużej cierpieć takich tortur*, potrzeba, abym wyjechał, a więc za dziesięć dni jaskółcze moje mieszkanie (na rue de Castellane nr. 11) obaczy mię znowu. O! ileż jest rozpaczy w tej myśli. (We Frankfurcie) dnia 1. maja 1841.

Data ta Słowackiego jest fałszywą. Z dwóch pieczęci pocztowych, wyciśniętych na kopercie, można powiedzieć na pewne, że list był pisany d. 1. czerwca 1841.

Autor „Beniowskiego“ wspomina tylko lakonicznie o tym stosunku w listach do matki. Oto parę wyjątków: Czy pamiętasz ty pewną damę, która po Czerczy na osiołkach przed dwu laty jeździła? Znam ją i bardzo miłe z nią przepędziłem miesiące, tu i niedaleko panny Eglantyny, na północ. 1841 bez dnia i miesiąca.

Teraz szczęśliwszy jestem niż kiedykolwiek w życiu: wszystko się tak składa, jakby Bóg nademną czuwał i kochał mię, i błogosławił mię. Serce moje długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że jeszcze może wiośnianem oddychać powietrzem; charakter mój zimny tak długo, zaczął mi znów figle płatać, szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się jak człowiek szczęśliwy, żyłem.

Kiedy się mój malutki pokazał a ja byłem we Frankfurcie, gdzie przepędziłem całą wiosnę, jak szaleniec bardzo dręczony przez pewną osóbkę, zrąbani antagoniści moi zrobili kolegium, co zemną robić i przekonani, że ja w niebytności mojej dlatego wystawiłem na harc mego chłopczyka, aby strzałów uniknąć, postanowili wyzwać mię na pojedynek. Wiedziałem to bardzo dobrze i przepowiedziałem nawet, wyjeżdżając z Frankfurtu *osobie, którą pomimo wszystkiego los mój cokolwiek interesował*. Jakoż, skorom tylko *powrócił do mego pustego domku smutny i rozpaczny łając szalonemu sercu memu*, stawił się poseł od jednego z wyśmianych w III. pieśni (St. Ropelewski). Opisawszy niedoszły pojedynek dodaje:

Teraz pozostawałoby mi opisać moje wypadki, dotyczące się serca mego; ale na ten raz zamilczeć muszę, bo prawdziwie, nie wiem, o czem pisać i jak pisać. Wszystko było snem smutnym, dość podobnym do wszystkich snów ludzkich. Ale dobre to, wyrwało mię z odrętwienia. Kiedyś, droga moja, i o tem ci napiszę, ale tylko dla ciebie. Chciałbym, ażebyś, droga, schowała ważniejsze z listów moich, bo to będzie najszczerszy ślad życia mojego.

Pugilares mój napełnia się uschłymi kwiatkami, które gdybyś widziała, powiedziałabyś, że jestem głupie 15-letnie dziecko; wszystkie te sentymentalizmy nie dochodzą do śmieszności, bo mam także na ustach i czole wyraz zgryźliwy Julka, który co chwila pokazuje, że szych umie rozróżnić od złota. Z listu dat. tylko: 1842.

Bobrowę, jako pierwszą miłość Krasińskiego, scharakteryzował już J. Gnatowski w rozprawie: „Moja Beatrice". Warszawa 1880, str. 3—5, opierając się na wyjątkach z listów Z. Krasińskiego, ogłoszonych przez S. Tarnowskiego w Przeglądzie Polskim 1877, III. 83 i nast.

Ale dopiero dr. T. Sternal w rozprawie pn. Kartka ze stosunku Krasińskiego ze Słowackim (1841—1842) rozjaśnił nam bliżej stosunek do niej tak Słowackiego jak i Krasińskiego a Fr. Hösick nazwał ją po imieniu.

Dziwnem bowiem zrządzeniem, obaj poeci, tak blizcy w krainie ideału, jak gdyby związani łańcuchem dwóch Wenedów, zeszli się z sobą, choć nie współcześnie, w miłości dla jednej i tej samej kobiety.

Ostatni ten w życiu Słowackiego epizod miłosny różnił się wielce swym kolorytem od wszystkich poprzednich. Nie dziw, że po przyjaźni z Eglantyną, po marzycielskiej miłości do Maryi Wodzińskiej, po uczuciu dla Anieli Moszczyńskiej, w którem najwięcej było dumy i miłości własnej, odezwało się po raz pierwszy serce i zapragnęło ziemskiego szczęścia. Był to ostatni poryw zmysłowej, ludzkiej natury w poecie, przed epoką mistycyzmu.

Pomiędzy rękopisami, darowanymi bibliotece Ossolińskich przez T. Wasilewskiego, posła na sejm krajowy, znalazł się urywek nieznanego listu Krasińskiego do Słowackiego, który dostarczył dr. T. Sternalowi kilku charakterystycznych rysów do tej ostatniej miłości Juliusza. List ten, któremu należy się miejsce między V. a VI., znanym nam dotąd listem Krasińskiego do Słowackiego, tj, między czerwcem a październikiem 1841 r., jest odpowiedzią na przesłane Krasińskiemu wiersze Słowackiego, któremu radzi twórca „Nocy letniej", aby w kochance widział tylko przyjaciółkę.

Rozumiem — powiada Krasiński — pojmuję rzutną falę krwi, która te dwie strofy, te dwa kwiaty ci do serca przyniosła, ale nieostrożna była to fala, nieprzezorna, ufna w ludzkie miłosierdzie, zatem grubo myląca się! Nadal więc ostrzegam cię, i zaklinam ciebie, bądź jak wąż skryty, jeśli chcesz być dobrym, czystym i tkliwym, jak gołębica. Strzeż, pilnuj, rozbłogosław się opiekuńczo nad tem rannem sercem, nad tą rozbolałą głową, wierz mi, jeśli sam nie chcesz gorzko żałować kiedyś przeszłości, stań się jej przyjacielem a nie chciej by serce, które pękło i umarło, zmartwychwstając dla ciebie, stało się upiorem, bo taki los, taka barwa konieczna dusz, które już w trumnie usłysawszy dźwięk harfy, podnoszą się na chwilę i marzą, marzą, że

mogą żyć raz drugi na ziemi harfowymi dźwięki! One nie wiedzą, że ich powtórne życie czeka na nie dopiero w niebie; ale z tego złudzenia wynikają okropne skutki, wierz, wierz mi Julu. Przyjaciel w tej chwili całem sercem się do ciebie odzywa. Chciałbym cię przycisnąć do piersi i wlać w ciebie pogrzebową mądrość tych piersi moich. W przyjaźni będziesz szczęśliwy, kochany, odwdzięczony, ale miłość, miłość taka stanie się goryczą wam obojgu. Czara szczęścia pęknie wam w dłoniach za pierwszem dotknięciem i rozleje się na strugi trucizny.

Na przekleństwach kończyć będziecie ten gorzki dramat, ale czas jeszcze, możecie go sobie wyrobić pokojem, ciszą, błogością, wspólnem uczuciem, wiarą, zaufaniem! Szukaj tam przyjaciółki, gdzie żądasz kochanki, a będziesz miał duszę siostrzaną na wieki, przestaniesz być samotnym. Będzie duch jeden w tem wielkiem mieście, pod którem uczujesz się doma. Lecz jeśli uniosą cię sny namiętne, jeśli nie posłuchasz głosu proroczego, który woła na ciebie, pamiętaj przynajmniej, żem w czas dobrą radę przyniósł i dla kochającego i dla ukochanej — pamiętaj, że ci przepowiadam, jeśli pójdziesz drogą szału, że serce twoje dokłutem będzie, w czem niedokłute dotąd, a siła ducha twego się zmniejszy o skrzydło jedno, mam czas nie za dwu- ale za czteroskrzydlanego ciebie. Julu, teraz cię proszę, nie wątp nigdy o mnie, nic prócz tkliwości, kobiecego we mnie nie ma. Podejrzeniom swoim każ milczeć, gdy wstają w sercu twojem, powiedz im odemnie, że mnie nie znają i powiedz im to jeszcze: „żem nigdy podobnych nie miał o tobie Z(ygmunt)" dr. Tadeusz Sternal, Przegląd literacki. Dodatek do „Kraju" z r. 1890. nr. 5 do nr. 7.

Fr. Hösick w cennej rozprawie pn. Okres rycersko-romantyczny w życiu J. Słowackiego (*Ateneum* 1892 I—II.) tak opisuje Bobrowę na podstawie portretu olejnego (naturalnej wielkości) znajdującego się w pałacu hr. Potockich w Warszawie.

Szatynka, w koronie bujnych niezmiernie, trochę rudawych włosów, uczesanych w loki i pukle, wysoka i kształtna, o rysach regularnych, klasycznych, „z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster", z „oczami-turkusami" pałającemi, „jak dwie pokusy", przesłonięta z lekka „welonem

zmysłowości", a przytem majestatyczna, niewypowiedziany czar roztaczała dokoła siebie. Urodzona 1807 roku, miała wówczas, gdy ją pokochał Słowacki, lat 33.

Joanna Bóbr-Piotrowicka, porzucona już Beatrice Zygmunta Krasińskiego, była dawną znajomą Słowackiego jeszcze z Drezna, gdzie się z nią po raz pierwszy spotkał w domu „siostry" jej, pani Szymanowskiej na wiosnę 1831 roku.

Oprócz Krasińskiego, mieli pani Bobrowa i Słowacki wiele punktów stycznych, pochodzili bowiem z jednych stron, z Wołynia. Zahajce, rezydencya pana Teodora Bobra, męża pani Joanny, nie były zbyt oddalone od Krzemieńca.

„Czy pamiętasz ty — pisał Juliusz do matki — pewną damę, która po Czerczy na osiołkach przed dwu laty (w r. 1838) jeździła. Znam ją i bardzo miłe z nią przepędziłem miesiące tu (w Paryżu) i niedaleko panny Eglantyny, na północ" (to znaczy we Frankfurcie). Listy do matki t. II. strona 71.

Znalazł się też łącznik psychiczny, dzięki któremu Słowacki i pani Bobrowa od pierwszej chwili spotkania mimowolnie lgnęli do siebie: była to melancholia, romantyzm cechujące dusze obojga...

Ale kiedy serce jego szalało już pod wpływem miłości do niej, ona darzyła go przyjazną, „siostrzaną litością", innego po za tem nie zdawała się dlań żywić uczucia.

Zdaje się, że dopiero po ogłoszeniu „Nocy letniej" dowiedział się Słowacki o miłości Bobrowej do Krasińskiego, którego nie przestała kochać nigdy. J. Gnatowski, powiada w studjum p. t. „Moja Beatrice", że samo imię Krasińskiego zdolne było — nawet w ostatnich latach życia — wyrwać ją chwilowo z odrętwienia.

Wytrącony ze zwykłej kolei, rozdrażniony, nie wiedzący gdzie szukać lekarstwa na to swojego „serca szaleństwo," zaczął Słowacki pod wpływem tych katuszy moralnych, przez jakie przechodził obecnie, dopatrywać się w pani Joannie pewnego pokrewieństwa z Dejanirą: jak tamta Heraklesa, tak ona jego o śmiertelne przyprawiała męczarnie. Paralella ta, dość pospolita zresztą, zaczęła mu stopniowo coraz bardziej trafiać do przekonania, że zaś

w charakterze jego było śmiać się, kiedy „serce pęka" i „gryść sercem" tych, z powodu których cierpiał, strzeliła mu więc nagle do głowy myśl... ośmieszyć swą dręczycielkę, razem z jej „królem i panem," którego, choć ją porzucił, miłością swą prześladować nie przestawała...

I zarysował mu się w umyśle dramat... humorystyczny, którego głównych bohaterów, hrabiego Fantazego i hrabinę Idalię, cechowały wszystkie... śmieszności Krasińskiego i pani Bobrowej.

Pomysł ten, przyoblekł się niebawem w konkretne formy pięcioaktowej sztuki, p. t. „Nowa Dejanira" (Niepoprawni).

Oto jak się w tem zwierciedle zarysowuje profil — romantyczki, która

...dałaby dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną.
Gdym przybył, chciała mię poznać: ja służę
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy...
Rzekła: Ach! Pan mi będziesz duszą, bratem!
Pan jeden w jednej czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność skazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jej dusza siostrzana, itd.

Utrzymywano dotychczas, że Słowacki, tworząc postać hrabiny Idalii, wzorował się na pani Delfinie Potockiej. Pogląd ten wszakże upada przepuszczony przez alembik analizy psychologicznej p. Hösicka w najnowszem studjum: Hrabina Idalia, w „Świecie" Kraków 1894. Nr. 1. i nast.

Stosunek Juliusza do Bobrowej zamykał się w ciasnych granicach jednego roku od 1841. r. do 1842. Wiosnę 1841. spędził z nią w Frankfurcie nad Menem, w rok poźniej, w dzień św. Zofii, 14. maja 1842. pisał już Bobrowej wiersz pożegnalny.

Czyś tem przeklęta, czy błogosławiona,
Że serce zimne, oczy łez nie leją?...

Co do mnie, wiem ja, jak to praca pusta,
Serce kobiece na czas przeanielić...
Dlatego odtąd wiecznie zamknę usta
I wolę nie być z panią, niż zgon dzielić...

Wiersz ten „zaimprowizował“ Słowacki wśród następujących okoliczności. Dnia 14. maja wypadały imieniny Zosieńki, drugiej córki pani Bobrowej. Słowacki, dowiedziawszy się o tem z kalendarza, uważał sobie za obowiązek powinszować jej, a przy tej sposobności zobaczyć się z matką, która wyjeżdżała już wkrótce do Frankfurta. Jakoż po południu, poszedł na Rue de l'Elysée (gdzie mieszkała pani Bobrowa). Służąca, jednak oświadczyła, że nie ma nikogo. Wszyscy pojechali do Wersalu, na *grands eaux*. Usłyszawszy to Słowacki, wrócił do domu i napisał list długi, jak wszystkie listy Słowackiego do pani Bobrowej, skreślony w większej swej części wierszem... jednym z najnamiętniejszych, jakie poeta napisał.

Wiedząc, że pani Bobrowa w chwili, kiedy on słowa te kreślił, znajdowała się w Wersalu „z dziećmi, z panią Andlej, z panem Andlej, z doktorem Dagobertem, z Manem i z połową Paryża“, wyobraził ją sobie „w koczu“ na tle kaskad i fontan wersalskich, a że poeta w nim nie zasypiał, rzucił więc na papier kilkanaście strof, z których pierwsza brzmiała, jak następuje:

O, gdybym ja wiódł panią do kaskady,
To tak, jak ludzie przyjaciołom wierni,
Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci blady
Śród leszczyn Giesbach, a śród laurów w Terni.

Ostatnia zaś:

Gdybym był duchem wersalskiej natury,
A ciebie taką między tłumem zoczył,
Zleciałbym na cię jak kaskada z góry,
Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył!

Na kilka dni przed wyjazdem, starsza córka pani Joanny, Ludwika, poprosiła Słowackiego, ażeby jej wpisał jaki wiersz do sztambuchu. Życzeniu temu czyniąc zadosyć, nakreślił Słowacki kilka zwrotek, w których opisał...

oczy Lolki, takie same „niebieskie", jak oczy matki, tak samo jak tamte „karmione złotem i tęczową czczością", i tak samo wreszcie, jak tamte spoglądające na świat „spokojnie, ale z ogniem i miłością". (Zob. J. Słowackiego Pisma pośmiertne, Lwów 1885. t. I, str. 55. „Do Ludwiki Bobrówny").

Pani Bobrowa z rodziną opuściła Paryż w drugiej połowie maja 1842 r.; 3. czerwca datowany jest pierwszy list Słowackiego do J. Bobrowej, ostatni z przechowanych nosi datę 18. stycznia 1845 r. Listy te są śpiewanym na jej cześć hymnem pochwalnym. Pani Bobrowa pisywała wtedy do Słowackiego i do Krasińskiego.

Słowacki wspominał o niej jeszcze pod koniec życia w liście do matki: Ostenda, d. 14. lipca 1848. W Dreznie nie znalazłem pani Bobrowej, i dzień cały niedzielny przepędziłem w nudzie aż do wieczora.

Z listów Z. Krasińskiego do J. Słowackiego podaję kilka wyjątków odnoszących się do tego zawsze jeszcze niedość wyjaśnionego stosunku: Rzym, 16. marca 1841 r. Skąd ten akkord? gdzie się ta harfa odezwała? Kto dał wieszczom wzrok sztyletowy, sięgający w głąb dusz ludzkich i odkrywający, co te dusze kryć chcą, pragną, nie zdołają? Istota, którą oczy twego ciała ujrzały, a na któraś oczyma już duszy był spojrzał oddawna, jest najsłodszą, najlepszą, najszlachetniejszą z dusz, którym ten planeta już czyścem i męką ciągłą. Ona nigdy a nigdy szczęścia nie zaznała; niesprawiedliwość, oto jej był pokarm ciągły, chleb powszedni! Nie umiała nigdy w jedną chwilę skupić wieczności na ziemi, a kto tego nie zdoła umieć, ten na ziemi niech nie pragnie szczęścia, bo w niebie chyba jest pogodzenie trwania i uniesienia, stałość i namiętność życia i niewzruszoność! Stąd też wszystkie jej smętki i boleści. Jej, nadewszystko teraz, przyjaznej, męskiej, a jednakże, tak powiem, siostrzanej ręki potrzeba, bo zupełnie męska dłoń tylko by palce te białe i miękkie przełamała! Nam, powiadasz, zostawisz koniec zagmatwanej naszej tragedyi a sam odejdziesz! o nie, ty się mylisz, ty zostaniesz i sam się zagmatwasz, sam, jeźli czasu ci stanie! A nie myśl, Julu, by tu się odzywał ze mnie Furiis agitatus Orestes; nie! cichym teraz jak dziecię i martwym

jak trup, bo gotuję się na śmierć, nie na śmierć ciała, ale na powtórną duszy. Wdzięcznym ci z serca za list twój — sercu twemu za list twój i szczegóły w nim zawarte, duchowi twemu za wzrok przenikliwy, którą on rzucił w samą iściznę ducha mego, tam, aż tam, gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe kryształki myśli, czucia, natchnienia, z których długie, całkiem zrastają się struny harfy wewnętrznej w człowieku! Dotknąłeś palcem każdego z tych wymoczków kryształowych, położyłeś dłoń całą jako szeroka na duszy mojej, tak że dusza odjękła: „prawda“! i jedynąś może nagrodą, jaką tu wezmę, nagrodził mi za tyle cierpień, w jedną pieśń związanych. Ale teraz, o poeto! nie dotykaj rany śmiertelnej, którą krew nasza się wylewa wiecznie, aż kropla po kropli, cała z nas wypłynie i w cudze serca się wcieliwszy, nas samych, bezżywotnemi marami zostawi! Nie pytaj się czemu, czemu? nie kalecz wiecznie skaleczonych, ty sam krwią i ranami okryty, nie pytaj się krwawych i rannych: „proszę was, mili, co to za purpurowe cętki u was na piersiach“? Niech ci z jednej strony Bóg, z drugiej przepaść odpowie!

Nie próbuj też za nadto niezgłębionych serc: gdy puścisz w morze kotwicę, nie widzisz, gdzie poszła, bo głąb morska ciemna; ale czy wiesz, czyś tam czasem na co żyjącego żelazem nie trafił i tego nie rozdarł, nie rozranił, nie przebił? Długo czekać musisz, aż krew z przepaści wzniesie ci się aż nad fale i krzyknie, „okrutnyś“, może nie doczekasz się jej nawet, odejdziesz wprzódy, nigdy nie dowiesz się o ranie, któraś zadał! Wierz mi, bądź raczej jak anioł światła i dźwięku, a experymenta zostaw staremu Wilowi (Szekspirowi) i anatomikom. Rozwiedź tęczę cichą a promienną nad tymi, którym życie gorżką było rzeczą. Ściskam cię z głębi duszy, każdy list twój będzie mi smętnym a białym gołębiem!

Rzym, w wigilię Zmartwychwstania Pańskiego 1841 r. Nie znasz mnie, Julu! Twój list nie zakrwawił mi serca. Radziłem ci tylko, byś go drugim nie zakrwawiał, a teraz przydam inną radę: Jeźli możesz, ocal ją, a jeźli nie możesz, odwróć się i żadnem własnem popchnięciem nie zbliż jej do przepaści. Bóg jeden wielkim, i świat w pomyśle boskim równie wielkim jest, a jeźli ja o świecie mam ten

sam pomysł co Bóg? cóż mi wtedy po czynach świata, co mi po brudów rzeczywistości, czy wiesz, czegom ci dowiesć pragnął? Oto tego, żeś mi nie zakrwawił serca. Zapalczywym i namiętnym w danej chwili jako człowiek żyjący tu, ale w oddali jest coś sędziowskiego i wiecznie usprawiedliwiającego w duchu moim; wiem, co życie, wiem, co fale czasu, mogę często zapłakać nad innymi i sobą samym, ale potępić nigdy ni siebie ni innych, byleby mieli duszę, bo ludzi bez duszy, ludzi zupełnie do rzędu zwierząt upadłych całą pogardą serca potępiam; prócz takich nikogo, nikogo! Tylko mnie żal straszny chwyta, gdy widzę, że takie zwierzęta opętać mogą ludzi nieszczęśliwych. Julu, ty broń co boskiego w niej znajdziesz od zaguby, broń się od tej kobiety, której nigdym nie widział, ale którą nosiłem przeczuciem w duszy, tak jak mi ją postawiłeś przed oczyma. To moje ostatnie słowo do ciebie o przeszłości, i to jeszcze dodam: Zapewnie nie zawsze po chrześcijańsku lub po katolicku, po stoicku lub po cnotliwemu i t. d. postępowałem, miałem straszne chwile egoizmu, dla mojego Ja zapominałem, że i drudzy mają Ja swoje, ale nigdy i nigdzie w niczyjem sercu *wiary* nie zniszczyłem; owszem osłabłą krzepiłem, nieistniejącą stwarzałem i umarłą wskrzeszałem. Kto powie, że odemnie się nauczył, że człowiek nie winien być aniołem, nie winien czuć się boskim i dążyć, odepchnąwszy podłość wszelką, w wznioślejsze okręgi; kto powie, żem kiedykolwiek przystał w drugim na jedną chwilę niegodności, nieduimy, niepowagi, żem kiedykolwiek zalecił brak szlachetności i urody nieśmiertelnej, by stało się zadość chwilowym chętkom lub namiętnostkom moim, tego powoływam nie przed ludzi sąd, bo by ludzie nic tu nie pojęli, ale przed sąd Boga! Biłem się krwawo na tej ziemi z kochanymi o ich własną godność, byłbym wołał dzwon ich pogrzebu usłyszeć, niż spojrzeć na ich szczęście, gdyby ono miało wysnuć się z materyi przez ducha opuszczonej. Wolałbym był śmierć ich od ich poniżenia, a poniżeniem nie zowię ja troski serca nieszczęśliwego, szukającego tęskno jeszcze jednej chwili życia i wiosny na ziemi; nie, nie, bom ani pedant ani ksiądz, ani dziecko, ani młodzieniaszek; ale poniżeniem zowię przystać na zabawę, kiedy szczęście zni-

kło, poniżeniem zowię cały świat, który krąży koło ciebie, wieszczu, w tem mieście rozbłotnionej zabawy, rozdziawiający pyszczek jak ostryga, by zachwycić cośkolwiek powietrza smrodliwego. Ty nie jesteś z nich, ty z nich być nie możesz, *non fiunt sed nascuntur*. Szlachetnąś się duszą urodził, masz kryształową naturę, biały marmur, nie gips wchodzi w skład kości twoich. Ty mnie pojmiesz, ty mnie pojmiesz! a zatem raz jeszcze powiadam ci, zbaw, jeźli możesz, niech pająki, ślimaki, szerszenie, węże, skorpiony, niech plugastwo stworzenia nie przyprzęże się do anioła obłąkanego i w chwili rozpacznej nie powiezie go do kałuży piekielnej.

Wiesz, co piekło? nie ogień, nie ból żaden, gdzie ból, tam życie, tam zmartwychwstanie: piekło, bracie mój, to błoto miękkie a na wieki miękkie już. Tylko tam, gdzie podłość, zmartwychwstania nie masz! O Julu, nie myśl o mnie tego, coś pomyślał, kiedyś mnie w duchu oskarżył, żem nie użył, czy użyć nie chciał, czy nie umiał pewnych chwil potęgi nad pewnemi sercami. Taki zarzut mógłby mnie przywieść do szaleństwa. Nie, przez Boga wiekuistego, nigdy i nigdzie natury bliźnich moich o włos jeden nie poniżyłem; wszystką siłą ducha w niebo porywałem ich, przynajmniej pragnąłem ich w niebo porwania. I wiele siły mojej wyszło ze mnie, a im nie pomogłem, owszem wołają na mnie: „tyś zgubił nas“, i przeklinają mnie. Ich nieszczęście biorę na się jako winę moją i wyrzut nadal, ale tu granica tego, na co mogę przystać, nic więcej, nic więcej mojej barwy nie nosi, z mojego wpływu się nie wywikłało. Dość, dość już o tem, ciemno piszę, niechaj będzie tak. No, bracie, kiedyś, za lat tysiąc jaśniej ci się tłómaczyć będę. Odpisz mi, a za świadectwo, któreś mi dał, dziękuję ci; pytasz się, czego żądam od ciebie? Oto tego, byś się nie bawił, o to jedno cię proszę, a jeźli masz kochać, kochaj, ale pamiętaj, że kto kocha, ten szanuje. Zresztą ty nie jesteś z tych, którzy mogą się bawić. Ty musisz być albo bogiem szczęśliwym, albo człowiekiem potępionym i pełnym bolu. Ściskam cię, Julu mój, ja szczerze cię kocham, kochałem i kochać będę.

Münich, 27. października 1841 r. Nie zapadaj w niemoc, ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną

strofą wieki przewrócić. Bądź dumny a pokorny! Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wielmistym, lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś piersi swoje. O Julu! ja wiem, że to ci wiele smutku rzuciło do serca i może wiele sił na czas jakiś odebrało. Szkoda ciebie, byś z takiego zadraśnięcia miał się rozranić i osłabnąć; otrząśnij się; gdzie Rafael nie malował, tam nie myśl o Rafaelu, marz raczej o Rubensie i duszy twej całej nie kładź pod stopy aniołów Rubensowych; daj im rękę, opiekuj się nimi, życz im dobrze, bądź ich bratem, ale nie konaj dla nich, bo twój grób po takowej śmierci nie porósłby w bluszcze nieśmiertelne; poczciwe niezabudki, ładne gwoździki, małgorzatki i tulipany na nimby się nie urodziły. A o to idzie, by na grobie stał krzyż w laury oplecion, nie kwiateczki rosły!

Münich, dnia 28. lutego 1842 r. Chcę cię, jeżli zdołam, wyrwać z melancholii, bo nie czas na nią teraz, ostatnią wolą moją jest, byś nie tracił życia na nędzne zgryzoty, ale na wielkie gotował się bole, a po nich na wielkie wzniesienie. Bądź mężem z białego marmuru! zrzuć z piersi nogi Rubensowych Madonn, żyj, a gdy mnie już nie będzie, wspomnij o mnie. *Zygmunt.*

Münich, dnia 26. marca 1842 r. Pytasz, czego żądam od ciebie i od niej: od ciebie, byś mi dotrwał w przyjaźni tak jak ja tobie, a kiedy chwila taka się zdarzy, był tak... Od niej zaś cóż powiem? nic zupełnie, chyba spokoju!

Ukląkłbym może, błagał przebaczenia!
Lecz wy przebaczać nigdy nie umiecie,
Daj mi więc jeszcze tu na żywych świecie,
Co zmarłym dają, pokój zapomnienia!

Temi czterema zakończyłem osiem innych na jej stoliku w Frankfurcie. Czegożbym innego mógł lub miał prawo żądać od niej, lub mogąc, chciał! Albożjuż jej nie dosyć złego kłopotu moja jaźń (styl Trentowskiego) wyrządziła? Była niegdyś aniołem dobroci dla mnie, lecz szczęścia, podług jej o szczęściu wyobrażeń, nie miałem na podorędziu, ni w losach moich (było) takiem pedanckiem

kiedy kogo móc obłogosławić szczęściem. Są błyskawice i pioruny, lecz nie ma niw jednostajnych szczęścia! Serce kobiece o pioruny nie dba, chce mu się niw tych gładkich, długich, jednakowych, konserwatorskich zawsze! Znajdź że na ziemi! Nie ty pierwszy już twierdzisz, że coś magnetycznego zachodzi w tej pamięci ciągłej, skierowanej ku mnie. Pamiętasz i Malczewski, taką magnetyczną spójnią związany i jej poddawszy się, umarł z rozpaczy. Straszne to miłości, tam gdzie magnetyzm działa, bo ślepe jak los, jak ironia gorżkie i nieszczęśliwe, jak nieszczęście! Cóż więcej rzec mogę o tem wszystkiem? Może raczej ona czego żąda odemnie, to mi powiedz wtenczas i listów swoich do mnie, zaklinam cię, nie pal, możesz pięć lub dziesięć prawd spalił, którehy mnie się wielce zdały, może dwadzieścia objaśnień, sto spostrzeżeń trafnych, i zostawiłeś mnie w ciemnicy!

Odpowiedzi Słowackiego na te listy nieogłoszono dotychczas, spoczywają zapewne w bibliotece Krasińskich. One dopiero rzucą jaśniejsze światło na te osoby i czasy.

Wiosna 1841. r. spędzona we Frankfurcie, przy boku Bobrowej i w otoczeniu... książek niemieckich, czytanych w przerwach pomiędzy wizytami u swej pani, zwłaszcza Fausta Goethego, nie pozostała bez wpływu na jego wyobraźnię poetycką i pchnęła ją w innym kierunku, nowemi zapładniając marami. Imci Pan Beniowski, z szlachcica, myślącego dotychczas o szabli tylko i pannie Anieli, zaczął się zwolna stawać podobnym do... Fausta. Jak Faust, począł — w wyobraźni Słowackiego — „zakładać straszną myśli pracownię;“ jak Faust w Małgorzacie, zaczął się kochać w Księżniczce, (którą sobie poeta mimowoli wyobrażał podobną do pani Bobrowej, z takiemi samemi oczyma turkusami); jak Faust zaczął się wdawać z dyabłami, z czarownicami. Już na kilka miesięcy przed tem, w pieśni drugiej Beniowskiego, powiedział, iż pociągnąwszy hausta,

Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.

Tak powstała — zdaniem Fr. Hösicka — dalsza, pośmiertna część dramatu fantastycznego o Beniowskim.

Beniowski miał się składać z czterdziestu czterech pieśni. Tyle ich przynajmniej autor szydząc z „Dziadów“

zapowiedział w jednej ze zwrotek pieśni trzeciej. Po jego śmierci znaleziono tylko fragmenty dalszego ciągu poematu.

A. Małecki złożył z kartek luźnych brulionu pieśń VItą, XIta, XIIItą i XIVtą, nadstawiając próżnie, textem niezapełnione, trafnem streszczeniem prawdopodobnej osnowy, danem na wstępie tych pieśni. Inne pieśni t. j. VIIma do Xtej, ocalały w zupełności, bo się mieściły w zeszytach. Pieśni XIItej braknie początku. Przyczynę pewnej niewymierności tego poematu, w samym już planie, upatruje Małecki w tem, że się poeta zbyt często odrywał od pracy nad nim. Porzucał go, żeby przedsiebrać i wykonywać tymczasem inne rzeczy; a straciwszy w taki sposób pęd wzięty z początku, przy ostudzonym zapale, odtwarzał go tylko sztucznie w sobie, kiedy wracał znowu do prowadzenia dalszych pieśni Beniowskiego.

W ogóle praca nad tym utworem przeciągnęła się dobrze aż w czasy Towianizmu — przynajmniej do r. 1844.

Urywki te Beniowskiego, ogłoszone w Pismach pośmiertnych, Lwów 1885. II. 3–163., III. 393–426. w formie epicznej, lirycznej i dramatycznej — nie wiążą się z sobą w całość. Prawdopodobnie osnowa tych pieśni miała być następująca: Do futoru Sawy przybywa oddział Kozaków, przysłanych jemu przez hetmana Kozyrę, prowadzony przez dwóch lirników. Ci zaczynają namawiać Sawę, ażeby stanął przeciwko szlachcie i przyłączył się do hajdamaków, którzy już rozpoczęli rzeź panów i żydowstwa. Sawa nic na to nie odpowiada, ale spaja lirników winem, toż i resztę starszyzny; a potem dosiada swego rumaka i wyprowadza Kozaków w pochód, ażeby się z panami połączyć. W lesie jednakże powtarza się naleganie mołojców i znachorów na Sawę, ażeby stanął na czele rzezi... a kiedy ten stawił ich woli tym razem stanowczy opór, wiążą go i spętanego porzucają samotnie w lesie. Sami zaś idą — złączyć się z Żeleźniakiem. Po ich odejściu, na drugi dzień, wyzwala Sawę z pęt Wernyhora, który przejeżdżał tamtędy. Hajdamacy zaś tymczasem roznoszą po kraju mordy i pożogi. Między innymi, napada pewien ich oddział na wieś jednego szlachcica, który się był przyłączył do konfederatów, dom zaś i rodzinę swoją pozostawił bezbronne, nie przewidując dla nich żadnego niebezpieczeństwa. Nazwisko

tego szlachcica — Gruszczyński, a wioska jego — Gruszczyńce. Otóż w nieobecności pana domu, napadają rzezunie dwór gruszczyniecki i okrutnie mordują wszystkich jego mieszkańców, żonę, dzieci i domowników. Jedna tylko z córek Gruszczyńskiego pozostawiona przy życiu; ale i ta zabrana w niewolę i oddana Tatarom, w końcu dostaje się do Krymu. — Na innem znowu miejscu, przychodzi niezwłocznie potem do walnej potyczki pomiędzy wojskiem polskiem (konfederackiem) a hajdamakami. Szlachcie przywodzi Potocki, Podczaszy, a jednym z podkomendnych jego jest i Gruszczyński; zbuntowanego zaś chłopstwa hersztem jest Żeleźniak. Zrazu zwycięstwo w tej bitwie jest po stronie szlachty, tak iż Żeleźniak ocalenia swoich szukać zmuszony w taborze, który tworzy z wozów i ostrokołów. Jednakże niezadługo przybywa mu w posiłek ów hufiec Sawy, zbuntowany przeciwko dowódzcy swojemu, a na domiar nieszczęścia dla szeregów szlacheckich, pojawia się zaraz potem na polu bitwy i trzecia siła, z którą im walczyć potrzeba — czerń jakiejś zbieraniny pijanego pospólstwa obojej płci, zbrojnego w noże i opasującego razem z Żeleźniakiem ów szczupły zastęp polski ze wszystkich stron, tak iż się ten widzi wzięty w trzy ognie. Rozpoczyna się walka zawzięta i rozpaczliwa na nowo. Do zupełnego przechylenia jednakże szali zwycięstwa na stronę Kozaków i rzezuniów nie przychodzi. Albowiem zjawia się na siwym koniu wśród walczących Wernyhora i powstrzymuje zaciętość pospólstwa. Pod wpływem wrażenia, jakie na niem znachor ten sprawia, znajdują konfederaci sposobność odejścia bez szwanku z placu; po czem jedna część ich udaje się na Podole, druga zaś wkracza w granice posiadłości tureckich...

Słowacki sam zostawił dwie dyspozycye, z których pierwsza przypada na pieśń VI i następne aż do XII, druga, na pieśń X do XV.

I. Pieśń VI. Awantury p. Sawy. — Wernyhory historya. — Widzenie. — P. Gruszczyński. P. VII. Dalsze dzieje Beniowskiego. — W Krymie lekarstwo na reumatyzmy. — Sztyftuje pułk. VIII. P. Aniela o Słowiańszczyźnie rozmawia. — Nieprzewidziany dziwny wypadek. — P. Beniowskiego dzieło. IX. Bar. — Uczta. — Wzięcie

Baru. — Męczeństwo ks. Marka i Swentyny. X. Tabor p. Beniowskiego. — P. Aniela. — Cofanie się nad Dniestr. — Walka. XI. Walka trzydniowa. — Wzięcie p. Beniowskiego. — Powrót Wernyhory i zniknienie Proroka. XII. Cmentarz męczeński. — Koszenie głów. — Uwolnienie p. Beniowskiego...

II. Pieśń X. Walka Regimentarza polskiego z rzezuniami. — Wzięcie w niewolę wielu panów. — Przybycie Beniowskiego na step umarłych. XI. Kaplica i mord pod Humaniem i odbicie jeńców na słodkiem morzu. XII. Widzenie się z Anielą. XIII. Wzięcie Baru. XIV. Tabor ku Turcyi. XV. Beniowski z Wernyhorą i Sawą do p. Pułaskiego jadą. Por. Pisma pośmiertne J. Słowackiego t. III. str. 395—426.

Treść pieśni XI. jest następująca: Beniowski z swoim hufcem tatarskim przybywszy na ukraińskie stepy, spotyka się z nieznanym jakimś starcem, który mu mówi o dawnych czasach i przepowiada smutną przeszłość. Potem prowadzi go do pobliskiej groty, w której zwykł czasami przemieszkiwać wraz z drugim jeszcze towarzyszem, ze Suchodolskim. Bliższe szczegóły o Wernyhorze. Od tej pory, zdaje się, że lirnik towarzyszy już Beniowskiemu w dalszym jego pochodzie — ku Barowi. Przyłącza się do nich po drodze jakiś oddział konfederatów, nad którymi główne dowództwo, równie jak i nad Tatarami, bierze Beniowski. Pewnej nocy lirnik wróży z księżyca, że się zbliża chwila krwawej potyczki. Jakoż niezwłocznie spotyka się ta cała Beniowskiego komenda z licznem wojskiem, obozującem pod lasem. Nocna utarczka — nie bez korzyści; a potem dalszy pochód Polaków taborem ku Barowi — wśród nieprzyjaciół otaczających do koła, lecz nie mających odwagi zaczepiać.

W pieśni XII. przenosi nas poeta do Ladawy, do zamku pana Starosty i córki jego panny Anieli, któreśmy opuścili w pieśni II. t. j. krótko po owej chwili, kiedy Ladawa została zajęta przez konfederatów i ks. Marka. Okazuje się, że przez czas jakiś potem była w tym domu główna kwatera Pułaskich i reszty skonfederowanej szlachty, a zarazem przytułek dla żon okolicznych obywateli, chroniących się tutaj przed hajdamakami. — Podczas

kiedy się więc to wszystko dzieje w Ladawie, Beniowski ciągnie ze swymi Tatarami od stepów ukraińskich w też strony, ale z najzupełniejszem niepowodzeniem, jak się to okazuje w następnej pieśni.

Z tych fragmentów widać ścisły związek (osób i głównych myśli) „Beniowskiego" z „Królem Duchem".

Dziennik Narodowy, Paryż, dnia 3. lipca 1841. i nast. Nr. 14—15. str. 54—58. umieszcza następującą ostrą krytykę na autora „Beniowskiego". Zaczyna od ogólnej charakterystyki poety, który od lat kilku błąka się po rozmaitych szkołach, w odrębnych sferach natchnienia szuka, coraz inne kształty posągom daje, a jednak nie stworzył nic wielkiego, myślą swoją, jakakolwiek może być czasem jej potęga, u steru miejsca nie naznaczył, uczuciem nie poruszył masy; stoi sam nieoceniony, nieznany nawet. Ta jałowość natchnienia, przy znakomitej poetyckiej organizacyi, ta samotność, ta władza więcej odpychania, niż przyciągania, powinnaby go zastanowić. Ale Słowacki nie widzi jasno swego położenia, kapryśnej nie porzuca drogi a nie pojmując odosobnienia, w jakiem zostaje, na epokę się jątrzy.

Nie miał drażliwości serca cichą zakoić godnością, powstał gniewny z nienawiścią, pogardą dla ludzi, i w gorzkiej pieśni, gdzie tyle żółci, że nią jest zatruta każda myśl, każdy obraz zaciemniony, wszystkie swoje rany światu odsłonił.

„Beniowski" jest to prosta kopia, cień Don Juana. Byron, który pociąga wszystkie organizacye, ale szczególniej chore umysły, dusze zwichnięte, serca goryczą przesiąkłe, a Słowackiego w koło swoje porwał. Atoli między Byronem a Słowackim widzimy całe przestrzenie. W Byronie są niezmierzone głębie namiętności, jest silna wyobraźnia, artystyczna natura. Byron miał w sobie ogień niebieski.

Słowacki jest człowiek zimny, cały jego zapał w głowie; wyobraźnię ma bogatą i świetną, ile się zaś razy w uczucie zapuszcza, znać przymus, wysilenie, udaje namiętność, ale w niem nigdzie namiętności nie znajdzie. Indywidualizm Byroński mocno do niego przystał, tylko że w Byronie był tak głęboko ognisty, w Słowackim wziął znamiona ciasnej próżności. Mile czasem z głębi duszy Sło-

wackiego odzywają się rzewność i tęsknota Polaka, ale i te znać przelotem, i tych dobrych uczuć wstydzić się zdaje.

W „Beniowskim" jest życie, jest ruch, wielka rozmaitość obrazów i silna fantazya; szkoda, że to wszystko rozproszone bezładnie, żadną główna myślą niespojone. Poemat składa się z dwóch odrębnych części, z osnowy, która nie wiele znaczy i z alluzyi i nawiasów, które z powieścią związku nie mają, co chwila tamują jej postęp, i w stronę odwracają.

Zacznijmy od osnowy — Za bohatera wziął sobie Słowacki Beniowskiego, tego szlachcica polskiego, co z małą głową i z niewielkim charakterem, ale z ruchawością i dziwnem zaufaniem w sobie, na którem zwykle Polakom nie zbywa, w niesłychane zaplątał się przygody. Dla poematu, któremu potrzeba szerokiego obszaru, wygodny bohater zbiegał połowę znajomego świata.

Beniowski z rodzinnych stron niczego nie unosi prócz miłości dla Panny Anieli, ale dumny starosta, ojciec Anieli nie sprzyja mu. Kiedy Aniela żegna się z kochankiem, ojciec jej przyjmuje regimentarza Dzieduszyckiego, przyszłego swego zięcia, a zaciętego wroga Konfederatów. Piją dwaj przyjaciele, wtem zjawia się ks. Marek i wyrok konfederacki nożem do rąk regimentarza przybija. Wpadają Konfederaci i zajmują zamek.

Pożegnalna rozmowa kochanków przykre robi wrażenie, bo jeśli kiedy, to nie wśród żałości rozstania, miejsce ironii i żartu. Ksiądz Marek skrada się jak student z psotą, żeby Dzieduszyckiemu ręce nożem przebić. Aniela, niby tragiczna bohaterka, skrwawiony puginał za pas chowa; na domiar niedorzeczności, starosta każe jej krwią regimentarza protestacye pisać.

Słowacki należy do rzędu tych, co w obcej myśli popędu szukają. I nie trzeba mniemać, żeby to było wprost naśladownictwem: nieraz zdarza się widzieć wątek myśli pożyczonej daleko piękniej obcą osnuty ręką; często dosyć jednego tylko cudzego wyrazu, żeby do wysokiego wnieść lotu wyobraźnię. Słowacki powinienby zrozumieć to prawo umysłowe i uważać na nie. Upornie za twórczością goniąc w bezdrożne zapuszcza się manowce.

Beniowski pisany jest oktawą, wierszem jedenastozgłoskowym, jak „Jerozolima wyzwolona“ Tassa, jak „Monachomachia“ i „Wojna chocimska“ Krasickiego; kształt to wygodny, dodający życia, muzykalny, choć może męczący jednostajnością spadków. Co każdego naprzód w „Beniowskim“ uderza, to wielka łatwość wierszowania — szkoda, że obok niej pełno niepoprawności, zaniedbania prawie umyślnego. W budowie strof pojedynczych widać wielkie lenistwo, niejedna dobrze się zaczyna, puszczamy się z nią i myślą i głosem, aż tu w połowie urywa się bieg harmonii, idea nawet zwichnięta nie domierza kresu.

Nie do poety należało polemikę małych dzienników wnosić do powagi poematu epicznego. Nie jemu przystało dawać przykład uchylania zasłony co do ludzi nieżyjących w zgiełkliwem forum.

Nie widzimy też potrzeby stawać w obronie wielkiego poety, którego bezsilny gniew dotyka.

Wołamy do Słowackiego „Kto w nic nie wierzy, w tego ludzie nie wierzą“. Niechaj rozdmucha w sobie iskrę uczucia; tylko się sercem serca rozpalą; niech się uspokoi, trzeba pogody wewnętrznej, żeby wielkie rzeczy pojmować i tworzyć. My niezwątpiliśmy jeszcze o nim; poco schylać czoło pod jakąś fatalnością. Obejrzyj się w około młody poeto, oto jesteś wśród nieszczęśliwego ludu wygnańców; koło ciebie tyle cierpień cichego poświęcenia, czystych nadziei, sław cierpienie, darz poświęcenie wieńcem nagrody, grzmij pieśń nadziei. Obiecujesz wieść naród, śpiewać narodowi, śpiewaj, chętnie ci serca wtórować będą, ale weź, jak mówisz, lutnię niepokalaną. Gorycz, nienawiść, nasz codzienny chleb na wygnaniu, już wiele świętych rzeczy, wiele poezyi zwarzyły. Wojując ironią ciężko wykroczyłeś przeciwko Bogu, przeciw Polsce, masz przyszłość do poprawy. Dziennik narodowy Paryż 1841. Nr. 15.

Odpowiedzią na te zarzuty była krytyka a raczej obrona, umieszczona współcześnie w „Trzecim Maju“. Nie mogę nasycić się — powiada tu W. Jabłonowski — tysiącami piękności mowy i obrazów, błyszczącemi w tej cudownej mozaice olbrzymich rozmiarów poematu, którego pierwszych pięć pieśni ukazało się światu literackiemu, jak

twarz straszną swym ogromem i dziką pięknością jakiejś istoty nadziemskiej, a ciskając na wsze strony przenikliwego, zjadliwego światła groty, wydobyła głosy przekleństw tych, na których zniszczenie Bóg je zesłał.

Nikt szczęśliwiej nie uchwycił charakteru, dykcyi, kolorytu, obrotu myśli i uczucia narodu polskiego jak J. Słowacki w „Beniowskim".

Zarzucają mu ironię i pasyę. Jego ironię nazwano naśladownictwem, cieniem Don Juana angielskiego. Jego pasyę nikczemnem uczuciem, ciasną próżnością. Sąd niczem nieusprawiedliwiony i dość nagannej lekkomyślności. Cierpienia, pełnego najwznioślejszych uczuć serca, na widok nieszczęść niezasłużonych, osobistych i krajowych, na widok niedorzeczności i błędów, które je sprowadziły, bezskutecznie tłumione siłą męskości i dowcipu — oto jest źródło ironii Słowackiego.

Duch ironii Bajrona obejmuje moralną istotę człowieka, — duch ironii Słowackiego obejmuje naród — Bajron jest filozofem, Słowacki politykiem, Bajrona ironia jest dumniejszą, bo skierowaną ku Bogu, Słowackiego większa, bo twórcza.

Gdzież być może najmniejsze podobieństwo pomiędzy tak różnolicowymi charakterami tych dwóch poetów. Dziennik Narodowy zarzuca Słowackiemu jego pasyę i próżność. Współzawodnictwo najgwałtowniejszego charakteru, byle otwarte, jest szlachetne, jest oznaką siły, bodźcem wielkich dzieł i czynów, towarzyszem wszystkich ludzi wielkich — po skończonej walce dopiero, przybrać może kolory nikczemnej zemsty, lub wielkości szlachetnego tryumfu; ciasną zaś próżnością, może być tylko przy nikczemności celu i małości współzawodnika.

Ludzie, których misyą, może daną od Boga, jest zaprawiać dalej serce Słowackiego goryczą, nie omieszkali starać się ująć Beniowskiemu najpiękniejsze jego zalety. I tak po zarzuceniu mu naśladownictwa, Dziennik Narodowy, księdza Marka, tę postać jednostajnie piękną, czysto narodową, tę fantastyczną, szlachecko-chwacką postać, ten żywy obraz charakteru i cnót naszego duchowieństwa, księdza Marka, Dziennik Narodowy, uważa za żaka.

W odpowiedzi na końcowe rady „Dziennika Narodowego“ odzywa się krytyk w te słowa: Ty Juliuszu, ty bądź ognistym deszczem, co obmyje duch i instynkta narodowe z plugastwa cudzoziemszczyzny i z brzydkich narośli płaczliwego romantyzmu, co mile duszę wśród słodkiej harmonii usypiając, ostatnie iskry siły i męskości rozgniata, ty smagaj! tnij bez litości — śmieszności nagrodzone głupiem naśladownictwem — ty nastrajaj duszę narodu na ton zażartej i nieubłaganej walki — ty, przymuszając naród myśleć i zaglądać w głąb swoją — przygotowywuj mu drogę postępowi. Wacław Jabłonowski, Trzeci Maj z 5. października 1841. rok II. oddział III., str. 166—169.

Ubocznie dotknął poetę jego przeciwnik, Ropelewski, w następującym bezimiennym ustępie: Gdyby J. Słowacki wyzwolił swojego *Beniowskiego* ze wspomnień Don-Juanowych i polemikę z rodzajem ludzkim, która mu rwie osnowę, na inne miejsce odłożył, lub dał zasnąć z jej Juwenalisem i Byronem, możeby jemu się dostało wskrzesić rycerzy barskich. W pierwszych pieśniach poematu Beniowski, śród rzeczy zupełnie obcych dla przedmiotu i okresu, padają od pisarza błyskawice na przeszłość, świadczące o jego powołaniu epicznem. To powołanie widne już w pierwszych powieściach, gdzie młodość autora wystąpiła przebrana w dojrzałe i urobione formy, w Beniowskim się zapowiada przez wyraźniejsze znaki, a nas utwierdza w myśli, że przekroczeniem przeciwko niemu były wszystkie wycieczki autora na inne szlaki poezyi. St. Ropelewski w Przedmowie do drugiego wydania Pamiątek Seweryna Soplicy. Paryż 1841.

Cypr. Norwid podniósł w rozprawie o J. Słowackim (Paryż 1861) wysoko „Beniowskiego“. Wielkiej zaiste odwagi potrzeba, by uświadamiać i uwieczniać współczesne grzechy i braki. Słowacki miał tę wielką i największą odwagę i on jeden podobno, że miał ją czasu swego. Każda prawda narodzona krzywo i ironicznie, dla tego tylko, że jej nie dano narodzić się inaczej, sądzi przez to samo społeczeństwo i jest to najsilniejszem siebie samego przekleństwem. Poema „Beniowski“ tak dalece pełne jest przekleństw, iż treścią jego jest to właśnie, co jest podrzędnem, forma tak ironiczna, że nawiasy są celem. Jestto jakoby rozmowa z próżnymi i formalnymi ludźmi, do których po

gawędce potocznej o pogodzie i o wielu innych rzeczach, mówimy nawiasem „a czy nie pogadalibyśmy teraz trochę o prawdzie lub o łzach, które porod prawdy wyciska?"

J. Starkel zbił zarzut negacyi miotany „Beniowskiemu". Zarzut taki — powiada słusznie — można zrobić i Kopernikowi, bo zanegował obrot słońca i niewzruszoność ziemi, i Kościuszce, że zanegował orężem niewolę moskiewską.

Słowacki neguje tylko utarty sposób spoglądania na życie, zajmuje nijako w poezyi stanowisko nowożytnego chemika, który cztery elementy Arystotelesa na wiele innych pierwiastków rozłożył.

Ta analiza uczuć, za pomocą której przedstawia nam Słowacki naturę człowieczą, jako głębokie źródło, w którem igra tysiące promieni i barw tęczowych, gdzie się roi nieskończona ilość form i tonów — oto co właśnie stanowi wielkość i oryginalność Beniowskiego.

Zresztą idzie tu Słowacki za „Szalonym Orlandem" Ariosta, przyjmując za nim nawet formę wiersza, oktawę. Wzór wzięty z Ariosta nie wywołał jednak w Beniowskim ślepego naśladownictwa; jak wszędzie tak i tu, pomimo że ma Orlanda przed oczami, umie Słowacki nacechować poemat nawskróś narodowymi rysami. Jak w Orlandzie tak i w Beniowskim łączy się w mistrzowski sposób cudowność i dziwaczność z ironią, humor i przenikliwość z wzniosłością — jak Orland tak i Beniowski celuje porywającą, pełną dykcyi, potęgą wyrażenia, czarującą wykwintnością kolorytu i fantazyi, uderzająco trafną charakterystyką. jak Ariost tak i Słowacki nic nie opisuje właściwie, nic nie tłómaczy i nic opowiada, lecz, jakby laseczką czarnoksięską, stawia bezpośrednio przed oczyma czytelnika całe obrazy, postacie i ich czyny. Pomimo to wszystko leży ogromna różnica pomiędzy Ariostem a Słowackim, taka jaka leży pomiędzy Rolandem a Beniowskim, pomiędzy sredniowiecznym romańskim rycerzem a polskim szlachcicem, awanturnikiem z czasów konfederacyi barskiej. Jest też w Beniowskim jedna struna, która się w Orlandzie nie powtarza, jest cierpka struna bolu i tęsknoty. J. Starkel: Pisma pośmiertne J. Słowackiego, Dziennik literacki z 10. czerwca 1866 nr. 25. str. 396.

St. Tarnowski w krytyce dzieła Małeckiego o Słowackim (Przegląd polski 1867) występuje przeciwko tym, którzy czepiając się kilkunastu strof gorżkich nie chcą Beniowskiemu przyznać innego początku jak poziome kwasy emigracyjne, ani poecie innego celu jak szyderstwo i dogodzenie własnej żółci. Jest i ten kąkol. Przyszłe jednak pokolenie puszczać go będzie mimo siebie, a cenić i podziwiać walki bohaterskie, ozłocone czarownem światłem poświęcenia za ojczyznę i serdecznym autora smutkiem.

Dla fantazyi jego świetnej i bujnej, ale kapryśnej, stworzony właśnie był ten przedmiot, pełen przygód i awantur i ta forma dowolna, nie krępująca, dopuszczająca zboczenia, dygresye, nieprawdopodobieństwa, nie znająca prawie reguł, nie narzucająca żadnych wymagań. Ma ona wprawdzie tę złą stronę, że przez nie weisnęły się do poematu te wszystkie osobiste żale i gorycze, te aluzye i przycinki, które weszły tam nie za przykładem Ariosta ale za przykładem Don Juana.

Słowacki był dumny i gryzł się tem, że był poeta, którego wyżej nad niego stawiano. Duma, palona upokorzeniem, fermentowała coraz bardziej a sztywna postawa Adama, a pochlebcy jednej i drugiej strony i ich donosy, a obojętność publiczności wreszcie, dosypywały żaru i rozniecały ustawicznie przez całe lata ten ogień, który wreszcie wybuchnął w Beniowskim wyzwaniem zuchwałem, obelgą niesprawiedliwą i takiem wywyższeniem siebie, które podług ewangielicznego wyroku musiało biednego Juliusza poniżyć. Piękna jest i szanowna u wielkich ludzi świadomość siebie i swojej wartości, wolno im nawet głośno się do niej przyznać, ale upominać się o uznanie, ale wołać: patrzcie na mnie i dziwcie mi się jakim wielki, na to już nie pozwala samo najprostsze uczucie godności. Cóż dopiero porównywać się z drugim i wymierzać sobie sprawiedliwość, której nam świat odmawia i arbitralnym wyrokiem ogłosić się od tamtego wyższym.

Kiedy Słowacki w postaci Achillesa grozi Adamowi, że „zabije i trupa jego będzie włóczył“, to tylko litość nad nim zbiera, jak nad każdym, co grozi na wiatr bezsilnie; ale kiedy mu zarzuca, że „na jego korze pęknięcie serca

znać“, wtedy już nie litość budzi ale oburzenie. I komu to mówić? temu „w bańce marzeń własnych zamkniętemu poecie, temu pchanemu każdym powiewem wiatru od zwątpienia do fantastycznych, wymarzonych nadziei i pewności, temu, który dziś śpiewa nad Polską „Requiem“ a jutro woła „do broni“.

Wielka pycha Słowackiego nigdy mu większej nie przyniosła szkody, jak tu, psując szalonym swym wybuchem wrażenie całości poematu, który, zdaniem Tarnowskiego, bodaj czy nie jest najpiękniejszym Juliusza dziełem. Dr. J. Tretiak w studyum: O byronizmie w poezyi polskiej. Tydzień, Lwów t. IX. rok VI. nr. 27. 3. sierpnia 1879., określa bliżej stosunek Beniowskiego do Don Juana.

Słowacki w początkach swojej karyery bajronicznej był pomimo całego bogactwa swego języka, niefortunnym naśladowcą Byrona; w drugim okresie wydobywa się z jednostronności bajronicznej, staje się samodzielniejszym i bajronizm splata a raczej roztapia w patryotyzmie; nareszcie w Beniowskim pożycza już od Byrona prawie tylko samą formę poetyczną, aby ją własną zapełnić treścią i własnem ożywić tchnieniem.

Słowacki wrócił tu do bajronizmu po raz ostatni ale trzeźwiejszy, spokojniejszy i dojrzalszy. W Beniowskim wziął Słowacki z Don Juana, pożyczoną przez Byrona od Ariosta, formę oktawy, w której był niezrównanym wirtuozem; wziął kapryśną budowę, w której awanturniczy wątek powieści upleciony jest w koło najbujniejszym liryzmem różnego rodzaju; wziął nareszcie bajroniczną ironię, najeżoną tysiącami iskrzących się kolców. Reszta była własnością jego uczucia, a przedewszystkiem fantazyi, która w tym poemacie jak rumak stepowy na czystem polu, znalazła się dopiero w swoim żywiole. Lotność, zwinność, melodyjność, gracya jego poezyi nigdzie nie jest tak godną podziwu, jak w tym poemacie.

Beniowski nie ma tej głębokości, co Don Juan, ale też za to wolny od cynizmu i lotna fantazya jego, zamiast spaść w czarną kałużę, ku której zdawała się zmierzać, szybko zmienia kierunek, aby wzlecieć w błękity. Don Juan podobnie jak Beniowski są utworami niedokończonymi.

Nie wpłynęło to z naśladownictwa, ale z samego rodzaju utworów, których kapryśna budowa nie dopomina się o zamkniętą całość.

J. Kotarbiński w studyum porównawczem „Don Juan i Beniowski“ w Ateneum, Warszawa 1889, II. 8 i nast. dowodzi, że „Beniowski“ jest najzdrowszym i najżywotniejszym płodem twórczości Słowackiego.

Wiadomo, że Słowacki posiadał wyobraźnię ruchliwą i lipką, że pędził życie samotne, które niedostarczało nawału wrażeń. Nic więc dziwnego, że zasilał się wytworami swoich poprzedników, że obcy kruszec przetapiał w swym poetycznym tyglu, ale w sposób zupełnie oryginalny, lejąc do poetycznego aliażu płynne złoto bogatej i nieporównanie bujnej fantazyi, kiedy w zwykłej praktyce literackiej cudzymi pomysłami posługuje się rzesza naśladowców albo powszednich pracowników, rozwadniając w stylistycznym oleju barwy cudzej palety.

J. Kotarbiński domyśla się, że Słowacki nie wykończył dlatego „Podróży z Neapolu“ należącej do spuścizny pośmiertnej Słowackiego, założeniem zbliżonej do wędrówek Child-Harolda a sposobem wykonania bardziej pokrewnej „Don Juanowi“, albowiem do „Beniowskiego“ przeniósł stąd nietylko pojedyncze myśli, szczegóły i obrazy, ale nawet całe przerobione ustępy.

Beniowski miał w dziejach twórczości Słowackiego znaczenie strategicznego manewru. Nie mógł on do 1840 r. przełamać obojętności i uprzedzeń ziomków. Dokuczała mu nadto cierpka i uprzedzona krytyka. Namnożyły się także z różnych powodów pomiędzy emigracyą wrogie dla poety niechęci, zawiści rozdmuchiwane przez figury małe i płaskie. W takiem położeniu jest cięta szermierka prawie nieomylnym środkiem rozgłosu, jest w pewnych razach koniecznem wyrąbaniem sobie ścieżki wśród zachwaszczonych grzęd piśmienniczych. A miał Słowacki do zwalczenia nietylko niechętną krytykę, ale i publiczność, którą trzeba było wziąć wstępnym bojem, olśnić fantazyą, rozgrzać poetycznem uczuciem, zadziwić i brawurą satyry. Nic dziwnego, że poeta obrał formę i styl byronowskiego „Don Juana“, bo doskonale odpowiadały celowi, dogadzały kapryśnej na-

turze jego fantazyi. Mauryey August Beniowski, bohater poematu, z pochodzenia Węgier, od najmłodszych lat prowadził żywot czynny i burzliwy. Przybywszy do Polski, rzucił się w wir konfederacyjnej ruchawki, walczył jak lew ale w r. 1769 dostał się do niewoli, skąd wskutek odkrytego zamiaru ucieczki, zesłano go na Kamczatkę.

U Słowackiego Beniowski, oprócz nazwiska i kilku szczegółów zewnętrznych, niczem go zresztą nie przypomina. Bohater nasz występuje najprzód w dramacie z młodzieńcza i naiwną siłą zapału, która mu się każe rzucać na oślep w wypadki. Ratuje, podczas zdobycia Baru, księżniczkę Radziwiłłównę, potem niewiadomo dlaczego dyabeł ciągnie go po wertepach, pokazuje fantastyczne widma wśród miesięcznej nocy nad brzegiem Świtezi.

I w poemacie epicznym jest Beniowski młodzieńcem krewkim, rzucającym się do korda byle o co, nie tracącym fantazyi, gdy trzeba przymierać z głodu i pragnienia. — Na dalszym ciągu „Beniowskiego" położył już wyraźne swe piętno towianizm.

Do wybitniejszych postaci w „Beniowskim" należy ks. Marek. Niektóre jego rysy historyczne ujął Słowacki bardzo szczęśliwie, nie robiąc Marka, tak jak Rzewuski, rodzajem facecyonisty, który odprawia cuda dla popisu, ani tak jak Mickiewicz surowym, pełnym potężnego ognia kaznodzieją.

Rubaszność i prostota karmelity równoważą się w „Beniowskim" z duchową potęgą apostoła. Ks. Marek jest to jedyna może u Słowackiego dodatnia postać księdza. Poeta był chrześcijaninem, zakończył życie spowiedzią i sakramentami, ale księży stanowczo nie lubił, a klerykalizm zwalczał otwarcie.

Z nienawiścią dla „jezuickiej" reakcyi, łączy się u Słowackiego gorące uczucie patryotyczne, oraz przebłyski republikanizmu.

Wypowiedział to poeta w słynnem „Credo" z pieśni V. „Beniowskiego", które z pewnemi zmianami przeniósł z „Podróży do Ziemi świętej". Ale w „Podróży" miga Słowacki krwawem mianem Robespiera, które znika w „Credo" z „Beniowskiego", zostawiając miejsce tylko

Mochnackiemu, jako ideałowi polskiego trybuna. Słynne to wyznanie przypomina formą „Credo“ literackie Byrona. Podobnie i opis oblężenia Baru odpowiada opisowi oblężenia Izmaiła, list Anieli przypomina list Julii, a charakterystyka towarzystwa zebranego w zamku Ladawa (w pieśni XII.) jest już prawie wyraźnem naśladowaniem opisu gości lorda Henryka w „Don Juanie“.

UTWORY Z LAT OSTATNICH.

(1842—1849.)

MISTYCYZM.

„Tak mi Boże dopomóż.“

Po burzliwej dobie w okresie dojrzałości, kiedy to twórca „Beniowskiego“, rzucał się niespokojny w różne strony, próbując zdobyć należne sobie stanowisko nie tylko piórem ale i szpadą, nie tylko poezyą ale i artykułami dziennikarskimi, nastaje okres mistycyzmu — po chwili szału miłosnego i filisterstwa, życie poświęcone wewnętrznej pracy ducha i kontemplacyi mistycznej. Poeta w tych ostatnich latach podniósł się moralnie wysoko, ale muza jego spadła od razu w przepaść, z której już trudno się było wydobyć.

Stan ten przejściowy jak i cała twórczość poety pod koniec życia, zawarunkowana Towiańszczyzną, mogą być traktowane tylko w związku z pismami pośmiertnemi poety, których sama objętość dochodzi do sześciu tomów. Ograniczamy się więc w braku miejsca do podania mozolnie po rozmaitych czasopismach zebranej literatury tego okresu.

Protestacya przeciw apostazyi (słowianofilstwu) księcia Mirskiego z 27. marca 1843. Dziennik Narodowy, 1. kwietnia, 1843. Nr. 105. (podpisany na niej i J. Słowacki).

Jan Prusinowski: Słów kilka o J. Słowackim zawiera kilka cennych pamiątek, z życia poety z tego czasu, pochodzących od jego rodziny. Gazeta codzienna, Warszawa 1859.

Władysław Zawadzki: L. Nabielak, w Przewodniku nauk. i liter. 1885. str. 820. (przystąpienie Słowackiego do Towiańszczyzny 12. lipca 1842).

Czarne kwiaty przez Cypryana Norwida. Czas, dodatek miesięczny 1856. Tom IV. Str. 657—659. (Opis ostatnich chwil poety przez towarzysza i Towiańczyka).

W Gazecie codziennej, Warszawa 1860. Nr. 225. napisał Jan Prusinowski: Jeszcze słówko o Juliuszu Słowackim i próbki pism Władysława Słowackiego. Mamy tu pamiątki po Juliuszu, udzielone mu, podobnie jak poprzednie notatki p. Salomei Becu, przez p. Aleksandrę Słowacką. Urywek z listu Juliusza Słowackiego, pisanego z Florencyi z 2. stycznia 1838. r., po obejrzeniu galeryi Pitti. Modlitwa dla matki mojej. Odpowiedź na list z kraju, Władysława Słowackiego, stryjecznego brata Juliusza. Paryż 14. marca 1845. r. Władysław Słowacki, do którego list pisany, urodził się 5. listopada 1826. r. we wsi Iljaszówce w okolicy Żytomierza, z ojca Erazma i matki Anny z Rohozińskich Słowackiej. Skończył życie 16. kwietnia 1858. roku. Erazm, rodzony brat Euzebiusza, aspirował do autorskiego powołania — tradycyjnego niejako w rodzinie Słowackich. Władysław Słowacki wydał w Kijowie 1847. kilka drobnych szkiców prozą, pod zcudzoziemczałym tytułem: Narracye. Prusinowski podaje kilka wyjątków z jego poetycznych próbek, czytanych i uważanych za „dobrówróżbne“ przez Juliusza.

Lucyan Siemieński (Przegląd polski, zeszyt VIII. 1. lutego 1867. r.) podaje List Konstantego Gaszyńskiego z Baden 13. lipca r. 1851. opisujący Juliusza w tym okresie.

Przypomnienie starych znajomości. Na pamiątkę Klementynie z Zerbonich Stattler, przez Wojciecha Karola Stattlera. Kłosy d. 18(30). października 1873. Nr. 435 str. 212.

Dwutygodnik dla kobiet. Pismo belletrystyczne i naukowe, Poznań 22. stycznia 1881. Str. 69—71. Nr. 9. podaje w artykule: Z moich wspomnień o Słowackim, napisał Julian Bukowiecki, ważne szczegóły o Juliuszu. W domu Bukowieckich przebywał poeta bawiąc pewien czas 1848. roku w Poznaniu.

Józef Chociszewski w liście z Poznania 13. czerwca 1893. r. podaje ciekawe wiadomości o pobycie Słowackiego w Poznaniu 1848. r., a mianowicie dowiadujemy się, jak niesumiennie postąpił sobie ojczym Słowackiego z ojcem Bukowieckiego, kiedy tenże 1812. r. jako rozbitek armii francuskiej przechodził przez Wilno. Słowacki, aby wynagrodzić tę krzywdę, zapisał podobno znaczny kapitał Bukowieckiemu. P. Julian Bukowiecki, redaktor „Wielkopolanina“,

posiada własnoręczne listy Słowackiego z tego czasu, nieogłoszone drukiem.

Józef Tretiak w rozbiorze „Króla Ducha", wiersza „Mój Testament" i innych. Przewodnik naukowy i literacki. Rocznik IX. 1881. str. 383—4.

Z autografu J. Słowackiego — Dokument do dziejów obłędu, zwanego Towiańszczyzną. Warta. Poznań 1. października 1882. Rok IX. Nr. 431. Wyjaśnia tu poeta przed kołem Towiańczyków przyczynę dla czego nie idzie udeptanemi przez nich drogami.

Kronika Rodzinna. Warszawa. 1883. str. 674—5. podaje list arcybiskupa Szczęsnego Felińskiego, przyjaciela poety, do A. E. Odyńca z dnia 17. lipca 1883. opisujący ostatnie chwile Juliusza.

Warta, przez kilka lat podawała pisma i wiersze niedrukowane Juliusza Słowackiego, tudzież przedruki z „Kurjera polskiego" w Paryżu 1886. i innych pism.

Jan Nepomucen Rembowski, nekrolog przez Stan. Tarnowskiego, przedruk w „Warcie" Poznań 9. marca 1890.

„Gazeta narodowa" z listopada 1888. r. zamieszcza pismo Mieczysława Darowskiego w odpowiedzi na artykuł „Przeglądu" lwowskiego z 6. b. m. Nr. 155. p. t. „Z żywota Słowackiego", opisujące pobyt poety w Wrocławiu w ostatnich dniach czerwca czy pierwszych lipca 1848. r.

Aleksandra Niewiarowicza: „Kilka słów o Słowackim z powodu studyów Adama Bełcikowskiego", opisujące poznanie się ze Słowackim 1846. r.

Zdrada M. Kamieńskiego, podobna do apostazyi Mirskiego, wywołała protest ze strony J. Słowackiego. Zob. Dziennik Narodowy. 1845. Nr. 211. i 213. List pułkownika M. Kamińskiego z 19. kwietnia 1845. objaśniający pismo jego do Urzędu i odpowiedź Adama Mickiewicza z dnia 16. lutego 1845.

Dokładniejszą literaturę podano w dodatku do t. I. w „Bibliografii".

Książę Niezłomny.

Don Pedro Calderon de la Barca (* 17. stycznia 1600. w Madrycie, † 25. maja 1681.) twórca *Autos sacramentales*, którego dramat tłómaczył Słowacki z oryginału hiszpańskiego, znanym był od dawna naszemu poecie. Jeszcze z Paryża 20. października 1831. r. pisze do matki: Brałem lekcye hiszpańskiego języka i teraz już doskonale rozumiem Don Kiszota; nic równego jak Don Kiszot (notabene uczę Teofila, że jeżeli chce uchodzić za Hiszpana, niechaj to *h* wyrwie z głębi brzucha); uczyłem się po hiszpańsku jedynie dla Calderona tragedyi, ale dotąd ich nie skosztowałem. Co to dla mnie będzie za źródło! jest ich kilkaset.

W późniejszych latach, kiedy przebywał we Włoszech, znowu sobie przypomniał Calderona.

„Czasem chodzę rano do biblioteki (donosił o sobie z Florencyi), czytać po hiszpańsku Calderona i usypiam się jego brylantową i świetności pełną imaginacyą.“ (Z dn. 3. października 1837 r.)

Małecki nie widzi w ówczesnych dziełach Słowackiego żadnego jeszcze wpływu tej „brylantowej imaginacyi“. Inni dopatrują się naśladownictwa „Lekarza własnego honoru“ w „Mazepie“.

W liście Juliusza Słowackiego do matki z 1845. r., w którym usprawiedliwia się przed nią z obranego kierunku, tak się wyraża o „Księciu Niezłomnym“: Wystaw sobie chłopaka bogatego, z rodziną już czytać umiejącą, za sto lat, w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Dla tego

chłopka jest *Salomea*, *Ks. Marek* i *Książę Niezłomny*, ten książę, który mi kości wewnętrznie połamał, gdzie są pioruny poezyi, a z którym ty nie masz żadnego związku, bo nie na nerwy, ale na samo czyste czucie uderza, nie melancholię, ale boleść obudza, nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi.

Zdanie to potwierdza następująca wiadomość, podana przez Michała Budzyńskiego (Wspomnienia z mojego życia. Poznań. Żupański). O bo ja, męczarnie Tantala przebyłem! gdym przekładał „Księcia Niezłomnego", tarzałem się po ziemi — wystawiałem sobie, że jestem tym księciem Portugalii, który za ojczyznę oddałem mój żywot i dźwigam kajdany Maurów. Darłem piersi moje, połykałem proch na podłodze zamiatany i wołałem do Boga, aby temi cierpieniami otworzył mi oczy i umysł i zbudził pamięć żyć dawnych. Bóg mię wysłuchał.

Fr. Próchnicki w starannem wydaniu „Księcia Niezłomnego" w przekładzie J. Słowackiego (Biblioteka dla młodzieży, wyd. Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, Lwów 1891. str. 5 i nast.) tak przedstawia tło historyczne dramatu: Król Jan, panujący od r. 1385. do 1433. w Portugalii, chcąc zwyczajem przodków w walce z niewiernymi zdobyć sobie błogosławieństwo kościoła, wyruszył na Ceutę, najpiękniejsze i najludniejsze miasto maurytańskie, położone w okolicy uroczej, wśród rozległych winnic i oliwnych ogrodów, które przez długi czas było postrachem chrześcijan. Pomimo dzielnej obrony, dostała się twierdza w ręce zwycięzcy 1415 r. wraz ze wszystkimi skarbami. Odtąd twierdza ta była przedmurzem wiary chrześcijańskiej, punktem wyjścia dla dalszych zaborczych wypraw Portugalczyków. Infant Henryk, zostawszy teraz Wielkim mistrzem zakonu rycerstwa Chrystusowego (który to zakon przed stu laty powstał w Portugalii z dawnego zakonu Templaryuszów), zaczął odtąd myśleć o coraz nowych wyprawach i corocznie dwa lub trzy okręty wysyłał ku wybrzeżom afrykańskim, na południe i na zachód. Coraz też nowe zdobywano kraje (Porto Santo, Madeira).

Po królu Janie nastąpił najstarszy syn jego Duarte czyli Edward (1433. — 1438.), który chciał wstępować

w ślady starszego brata, ale szczęścia jego nie miał. Uzyskawszy u papieża Eugeniusza IV. bullę przeciw niewiernym, postanowił podjąć wyprawę na obronne miasto Maurów Tanger. Najmłodszy z braci jego, infant Fernando, znany pod nazwą „księcia niezłomnego", (ur. 1402.), stanął na czele wyprawy z bratem Henrykiem. Gorącą wiarą i rycerską odwagą zagrzany książę, wyruszył na nieprzyjaciół, pomimo że wojsko jego było za małe do tak śmiałego przedsięwzięcia. Walczono mężnie i długo — ale niepomyślnie: zwyciężyli Maurowie. Przez nieprzyjaciół otoczone, od morza odcięte, musiało się wojsko portugalskie (pomimo dzielnego oporu) poddać i przyjąć nadzwyczaj przykry warunek pokoju — oddanie Ceuty. Książę Fernando pozostał w niewoli maurytańskiej z 12. towarzyszami, królewicz zaś Henryk powrócił do Lizbony z resztą wojsk chrześcijańskich. Ale kiedy król Duarte przedstawił kortezom układ braci, nie przyjęto warunku. — Ceuty niewiernym zwrócić nie chciano; uchwalono tylko w inny sposób starać się o uwolnienie jeńców, n. p. przez okup. Maurowie, oburzeni tą uchwałą, zemścili się okrutnie na księciu Fernandzie i jego towarzyszach. Przeniesieni do Fezu, musieli jeńcy najpodlejsze spełniać usługi i ustawicznie znosić upokorzenia. Z cierpliwością i męstwem świętego męczennika znosił nieszczęśliwy książę przez sześć lat zniewagi i udręczenia, na jakie się tylko najdziksza srogość i fanatyzm wrogów zdobyć mogły; dopiero śmierć (r. 1443.) uwolniła go od tych mąk okrutnych. Po zgonie księcia Fernanda pozwolono jego towarzyszom powrócić do ojczyzny; między nimi był sekretarz i przyjaciel księcia Don Juan Alvares, który w swej kronice opisał żywot nieszczęśliwego bohatera.

Kiedy wierny sługa z sercem ukochanego pana powrócił do ojczystej ziemi, król Duarte już nie żył: ciężki los brata wpędził go do grobu. Byłby on nawet Ceuty się wyrzekł, byle ocalić ukochanego brata; ale kiedy to już było niemożliwe, błagał na śmiertelnej pościeli, ażeby przynajmniej jego zastępcy wszelkich dołożyli starań celem wyswobodzenia nieszczęśliwych jeńców.

Po śmierci króla Edwarda zdobył następca jego Tanger 1470 r.

Przedstawiając żywot „Niezłomnego księcia" — powiada Fr. Próchnicki — nie wiązał się poeta historyczną osnową zdarzeń, ani względami na długość czasu lub odległość miejsca, lecz powziąwszy zamiar skreślenia postaci bohatera, wybierał tylko te szczegóły, które mu do tego celu służyć mogły i starał się akcyę skupić. Co w rzeczywistości trwało lat kilka (bo Don Fernand sześć lat bawił w niewoli), a względnie nawet kilkadziesiąt (jeżeli weźmiemy na uwagę, iż dramat kończy się odebraniem ciała księcia, co uskutecznił Alfons dopiero w r. 1473.) — to przedstawił poeta w szeregu dziesięciu scen czyli zmian, a w trzech aktach czyli dniach, idąc za przyjętym wówczas w Hiszpanii zwyczajem.

J. Rychtera rozbiór historyczno-krytyczny tragedyi *Książę Niezłomny*, odczytany na sali Bazaru w lutym 1876 r., określa bliżej stosunek dramatu do historyi.

Juan I, król portugalski, wysłał był r. 1415 wojska pod dowództwem connstabla Pereira na brzegi Feru. Armia ta, w której się znajdowali synowie królewscy: Don Duarte, Don Fernando i Don Enrique, rzuciła się na mury Ceuty i zdobyła ją po zaciętej walce. Duarte, nastąpiwszy po ojcu na tron, chciwy sławy wojennej, niezadawalając się Ceutą, wysyła dwóch młodszych braci, Don Fernanda i Don Enrique, na zdobycie Tangeru, a marzy o rozbiciu całej potęgi muzułmańskiej na przeciwległym wybrzeżu afrykańskiem... Wyprawa się jednak nie udaje. Fernando schwytany do niewoli, będzie wypuszczony tylko wtedy, gdy za niego Ceuta wydaną zostanie królowi Feru. Ale książę, jak Regulus drugi, na taki wykup nie przystaje, i ponosi śmierć, powolną wprawdzie i spokojną, ale nie mniej męczeńską.

Poeta pozwolił sobie kilka śmiałych zmian historycznych. Pomijając zmianę bohaterów przy zdobyciu Ceuty, niedokładnym jest dalej fakt, jakoby Ferdynand dobrowolnie był został w niewoli, gdyż w istocie nieludzka szlachta portugalska (Kortezy) zostawiła go w Afryce, pozwalając mu w niej umrzeć, byle twierdzy nie wydać. Calderon pamiętał snać o losie Regulusa. Wielki Rzymianin zaklinać musiał szlachetny Senat, żeby mu tylko pozwolił wrócić do

Kartaginy, gdy tymczasem kupcy Luzytanii ohydnie księcia swego zostawiają bez wykupu.

W rzeczywistości miał Fernando dwóch dozorców: łagodnego Zalabenzala i chciwego, okrutnego Lazaraque. Calderon zamiast nich wprowadza zręcznie samego króla, który i łagodność początkową i srogość następną w „pięknej łączy zgodzie“. Obie usprawiedliwione położeniem rzeczy, prawem i obowiązkiem monarchy, aby ani piędzi ziemi swej nie wydać giaurom. Mulej jest osobą fikcyjną. Zmyślony jest też fakt, jakoby synowiec Alfons V. i brat Henryk, żeglarz, przyjechali byli z wojskiem do Fernanda. W rzeczywistości zostaje nawet ciało jego w Afryce i dopiero Mulley Heque Sayd, synowiec króla Feru, wykrada zwłoki i przywozi je do Portugalii, mszcząc się, jak mówi legenda, na swym okrutnym stryju. Bohaterem tragedyi jest ten sam święty Ferdynand, którego pamięć uroczyście święci kościół pod dniem 5. stycznia. *Warta*, Poznań, 12. sierpnia 1877. IV. Nr. 159—163.

Zasadnicza myśl dramatu „El principe constante“ przemawiała do mistycznej fantazyi Towiańczyka. Bohater dramatu ks. Fernando, który broniąc twierdzy chrześcijańskiej Ceuty, woli wydać się na ostatnie męki niż zaprzeć się Chrystusa Pana, przedstawia Juliusza, który podobnie wyrzekł się wszystkich przyjemności i do ostatnich chwil życia bronił tej twierdzy ducha. — Pokrewieństwo to ujawnia wiadomość podana przez Reitzenheima w biografii Słowackiego (Paryż, 1862. str. 20).

Utwory Calderona — powiada przyjaciel Juliusza, — przemawiały bardzo do przekonania członków towarzystwa Towiańskiego, gdyż uradzili przetłómaczyć celniejsze dramaty tego pisarza hiszpańskiego; lecz jeden tylko Słowacki oddał się tej pracy, i uczynił to dopiero po odłączeniu się od tego towarzystwa w roku 1843.

W dramacie Calderona pokornie poddaje się książę wyrokom losu i cierpliwie znosi brzemię spadłych nań nieszczęść; pobożny i uległy woli Bożej, jak Hiob korzy się przed Panem, przekonany, że życie jest walką, a duch należy do Boga.

Kiedy pod nawałem nieszczęść — powiada pięknie Fr. Próchnicki — upada książę fizycznie, dogorywając

u wejścia do swojej jamy: wówczas, w chwili najniższego upokorzenia, duch jego tem większą jaśnieje wspaniałością — jak gwiazda na błękicie nieba tem jaśniejsza się wydaje, im czarniejsza jest noc dokoła.

Wszelako dowodem artyzmu poety jest to, że charakteru księcia, nie przedstawia jako ideału niedościgniecnego, lecz kreśli nam go prawdziwie po ludzku: widzimy w nim istotę ziemską, nie wolną od tych słabości, którym wszyscy ulegamy — od tej walki, którą duch jego toczyć musi z ciałem.

Czy się nie zlękniecie — woła on — śmiertelni.
Widząc w takiem pohańbieniu
I mizeryi infanta korony?
Mistrza Avis? (późniejszych Templaryuszów siedziba)

Ale po chwili odzyskuje książę równowagę ducha i odtąd, wyższy nad wszelką słabość ziemską, coraz staje się doskonalszym, aż w końcu czysty i święty, jak duchy niebieskie, zjawia się idącym do walki współziomkom i, przyświecając im jasną pochodnią swej wiary, wiedzie ich do zwycięstwa. W męczeńskiej jego śmierci przedstawia poeta hiszpański tryumf ducha chrześcijańskiego nad światem zmysłowym. — Wszystko to przypadało do mistycznej wiary Juliusza, jak sam donosi o tem w liście do Wojciecha Stattlera. Paryż, 15. stycznia 1844. Posłałem wam dwa obrazki i jeden dawny wielki obraz starego Hiszpana odlakierowany przezemnie na nowo... Niech się więc mną ten Hiszpan, mnich srogi, opiekuje — bo się teraz zupełnie na opiekę Niebieskich spuszczam — a o ziemię zupełnie nie dbam... Chciałbym jednak, aby było choć kilka tak czystych duchów w Polsce, aby wierzyły, że zawsze i wszędzie wierny jestem... i tak jak mój *Książę Niezłomny* (tytuł hiszpańskiej tragedyi) srogo i twardo stoję przy dawno strzeżonej chorągwi — a może na straconej placówce...

Widzisz ty — pisze do matki — jak ja ukochałem *Księcia Niezłomnego*, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał, odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał mi różnicę,

jaka między jego przeszłymi a przyszłymi zwycięstwami być powinna: w kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo. Dnia 30. listopada 1844.

Zamiłowanie Słowackiego w hiszpańskim dramacie było, jak sam przyznaje, wielkie, tak wielkie, że nie wahał się ofiarować na jego usługi. Co w pierwszej epoce z Byronem, co w drugiej stało się z Szekspirem i Dantem, to w tej trzeciej powtórzyło się z Calderonem. Przebywając z upodobaniem między jego dziełami, przesiąkł do tego stopnia jego manierą, że co tylko tworzy (Ks. Marka, Sen srebrny Salomei i t. p.), to nosi na sobie piętno Calderona.

Znakomity krytyk St. Tarnowski i tłómacz Calderona Edward Porębowicz, podnoszą to arcydzieło tłómaczenia „Księcia Niezłomnego", najpiękniejsze w języku polskim. Natchnienie tłómacza szło tu równym krokiem z natchnieniem autora. Wyobraźnia bujna i świetna jak za najlepszych Słowackiego czasów, a pierwowzorem trzymana na wodzy tak, że się zapomnieć i zabłąkać nie mogła. Język zaś, ten cudowny język Słowackiego, dźwięczny jak srebro, przejrzysty, giętki, świetny i błyszczący, nie był piękniejszym ani w Szwajcaryi, ani w najwykwintniejszych ustępach Beniowskiego. St. Tarnowski, Małeckiego Słowacki, Przegląd polski 1867. rok. II. zeszyt IV.

Dla tych to zalet prof. Ant. Małecki odnosi „Księcia Niezłomnego" do czasu przed zupełnem opętaniem się Słowackiego mrzonkami towianizmu; bo potem nie potrafiłby poeta utrzymać w karbach tych przedmiotowych warunków tłómacza. Utwor wyszedł w pierwszej połowie lutego, p. t. de la Barca Calderona Książę Niezłomny, przekład J. Słowackiego. Paryż 1844.

Arcydzieło hiszpańskiego poety — powiada Adam Asnyk — przyswojone zostało naszemu językowi w tak mistrzowski sposób, że polskie społeczeństwo miało prawo uważać je w połowie za swoją narodową własność i przyklasnąć podwójnie utworowi, w którym genialność tłómacza szła w zawody z genialnością twórcy i w którym wzniosły ideał dawnej, katolicko-rycerskiej Hiszpanii tak się ściśle kojarzy z ideałem dawnej, katolicko-rycerskiej Polski. Inne narody mogą się nim zachwycać tylko jako

najszczytniejszym kwiatem poezyi, gdy my tymczasem zarobiliśmy sobie na zrozumienie jego całą przeszłością naszą, ofiarami i cierpieniem, nawet nędzą i poniżeniem naszem.

Niezłomny bowiem książę stoi na tym samym gruncie żywej wiary i chrześcijańskiego wytrwania, na jakim tyle pokoleń naszych żyło i umierało w służbie chrześcijaństwa i ziemi ojczystej.

Dramat Calderonowski wyróżnia się od wszystkich innych tem, że bohater jego nie nosi na sobie żadnej winy tragicznej i że smutne jego losy nie są wynikiem ani żadnej jego słabości, ani też żadnego przekroczenia, nie podlegają również prawom zewnętrznego fatalizmu, ale są aktem woli wzniosłego ducha, który obowiązkom względem Boga, ojczyzny i ludzi poświęca życie swoje i podnosi się coraz to wyżej w nędzy i cierpieniu. Śmierć sama nie jest tu zdolną powstrzymać jego zwycięskiego pochodu i ów umarły bohater jaśnieje, góruje nad biegiem wypadków i jeszcze po swym zgonie rozstrzyga losy innych osób dramatu.

To co boskie, co nieśmiertelne, odnosi tu zupełny tryumf nad powszedniem i znikomem. Zwykle dodatnie postacie wychodzą blade i nic nieznaczące, lub też dostają w udziale przymieszkę ziemskiego błota, która im dopiero tragiczne znaczenie nadaje. Tutaj rzecz się ma przeciwnie i bohater dramatu wychodzi w całym przebiegu akcyi, jako najczystsza, najidealniejsza i najbardziej dodatnia postać, nie tracąc przy tem nic z wewnętrznej prawdy życia, z zewnętrzej plastyki i siły, ani też porywającej widzów tragiki.

Każdy człowiek, choćby w najskromniejszym zakresie, ma powierzoną swojej straży taką twierdzę jak Ceuta, której nie powinien wydać. Ideał wyrażony w „Księciu Niezłomnym“ stosuje się do całego społeczeństwa, stosuje się tem więcej do nas, którym przypada obowiązek przechowania bez skazy wszystkich swoich świętości. Na gruzach wielkości i szczęścia pozostaje nam ratować jeszcze najwyższy skarb — cnotę i godność narodu. Bohaterstwo wytrwałości wyższem tu jest jeszcze, niż bohaterstwo po-

święcenia, bo ono dopiero daje miarę, czy niezłomny książę potrafi wypłacić się z zaciągniętego na siebie długu. Nie dość jest mu bowiem powiedzieć w chwili heroicznego uniesienia: nie oddam mojej wiary, nie zaprę się moich przekonań, nie poświęcę Ceuty! Ale trzeba dowieść całem swojem życiem, że ten przyjęty ciężar niedoli nie przygniótł go do ziemi, że potrafi cierpieć nie licząc się z własną boleścią i ulegając losowi, a nie ulegając pokusom, zachować zawsze męską stałość i nieugiętą wiarę. W nieszczęściu i boleści, w nędzy i poniżeniu, prawdziwie silny duch jaśnieje dopiero całym blaskiem, jeśli wytrwa do końca, opierając się nie na zwodniczych nadziejach, nie na pragnieniach własnego serca, lecz na tryumfie praw wiecznych. Nie upokorza go ani łachman niewolniczy, ani poniżenie i wzgarda, jakiej doznaje, gdy zdoła wznieść się sercem po nad osobiste swe losy, po nad losy nawet pokoleń i dorzucić swoją ofiarę do skarbca szlachetnych natchnień ludzkości. Może nawet z pogodą patrzeć wtedy na swe gnijące rany, od których ludzie ze wstrętem uciekają, i błogosławić światłu, które go oświeca i ogrzewa.

O „Księciu Niezłomnym“ zob. krytykę Dr. Adama Asnyka w *Przeglądzie Polskim* 1874. r. IX. str. 295. i rozbiór Dyr. Franciszka Próchnickiego w wymienionem powyżej wydaniu. Z odnośnej bibliografii wymieniam jeszcze:

Wyjątek z dramatów Calderona: Gomez Arjas, przekład Włodzimierza Wolskiego w Bibliotece warszawskiej 1844. III. 365. i nast.

Kochankowie nieba, dramat Calderona, tłómaczył z hiszpańskiego Karol Baliński, Poznań 1858.

Czarnoksiężnik, dramat Calderona w trzech aktach, przełożył z hiszpańskiego Bolesław Wiktor (Budziński Stanisław) w Bibliotece warsz. 1861. IV. 45.

Dwóchsetna rocznica Calderona przez M. W. Kronika rodzinna. Warszawa 1881. str. 353—5.

Lekarz swojego honoru, tragedya w pięciu aktach z dzieł Don Pedra Calderona de la Barca przez J. N. Kamińskiego dla teatru polskiego przerobiona. Lwów, 1827. u Piotra Pillera, przedruk w „Warcie“ Poznań z dnia 20. marca 1881. Nr. 351. i nast. Porównaj artykuł „Co i jak

naśladował Słowacki w Mazepie“ w „Warcie“ Nr. 82. gdzie wykazano wpływ Calderona na Słowackiego.

Don Pedro Calderon de la Barca, studjum przez J. A. Święciekiego w Bibliotece Warszawskiej 1881. II 317. III. 49.

Don Pedro Calderon, dramaty w przekładzie Edwarda Porębowicza. Warszawa 1888. rec. przez J. A. Święcie-kiego. Biblioteka warsz. 1888. III. 284. i nast.

Stanisław Tarnowski: Dramaty *Calderona* w tłomaczeniu E. Porębowicza. Przegląd polski 1888. I. 169-73

Z dzieł niemieckich zasługuje na wymienienie: E. Günthner „Calderon u. seine Werke“. Freiburg in B. 1888. 2 tomy.

Objaśnienia „Ks. Marka“.

Genezę „Księdza Marka“ tak opisywał Słowacki Krasińskiemu: W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wnętrzności, chcąc koniecznie wytłómaczyć się, nie z idei, bo ta tomów i wieków by potrzebowała, ale z ideału, to jest z pierwszego owocu idei, wpadłem bezmyślnie na jedyną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta moje wytłómaczyć, czego chcę i co pojmuję. Obrałem księdza, a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennej nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja, aż po napisaniu dramatu obaczyłem wątłość dzieła i boleśniejsze jeszcze różne zeń wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem, nie w twórczości godzinie, ani przed tą chwilą świętą ze mnie wypadły. Po napisaniu więc aż, spostrzegłem się na dwóch rozstajnych drogach, ducha i ciała. Z jednej strony mówiły duchy: poemat z nas jest, nam potrzebny, jest formą, z której będą się rozchodzić dzbanki różne, a my je będziemy duchem świętym nalewały. Jako poemat zrujnuje sławę twoją u ludzi zimnych, podobnie jak list miłośnika gubi go między starcami, gdy list ten u dziewczyny wykradną i przez okulary czytają. Ale też list tylko taki gada do serca dziewczyny, właśnie dla głupstwa a jakiejś niewinnej form przeźroczystości leje ogień w jej ducha i zwycięża ją, jedną może tajemniczą, magnetyczną zgłoską, a kochankowi daje królestwo. Wydaj więc na wiatry list twój, zgub się jako autor, jeśli co więcej masz poświęcić, poświęć...

Odpowiedziałem: więcej poświecę! sto razy więcej!.

Matce donosił dnia 18. listopada 1843. w tych słowach o „Ks. Marku“, o którym wiadomo, że był już w lipcu t. r. wykończonym.

Wkrótce, spodziewam się, Zośka cukrzana pojedzie do was; przez nią może, jeżeli wyspiesze, prześlę ci *wspomnienie jednego popasu, któryśmy niegdyś w Barze odprawili*, gdzie ja, pamiętam, mocnom się na żyda z końmi rozgniewał, a tymczasem przypatrywałem się tej małej mieścinie jak gdybym przeczuwał, że *po dwunastu latach ona znów do mnie przyjedzie*: otóż poślę to wspomnienie, a może jeśli czas wystarczy, to i Salusie wyprawię. Zatrudniony jestem bardzo, bo mi znów jakby mocne pchnięcie od Boga przyszło do pracy, a mam te chwile, że niby z jakąś rozpaczą rzucam się do papieru, chcąc garściami duszę moją rzucać na ludzi, przemieniać ich w siebie, nadgryzać im ciało, aż ich urobię podobnych najpiękniejszym ze śmiertelnych. Słowem, podług słów św. Pawła: wyjść z tego więzienia, spłaciwszy ostatni szeląg z siebie.

Druk dramatu ukończono w listopadzie 1843. r. jak o tem świadczy następująca notatka: W tych dniach wyszło z druku: *Ksiądz Marek — Poema dramatyczne we trzech aktach* przez Juliusza Słowackiego, sprzedaje się po cenie 4 franków w Księgarni Słowiańskiej Impassa St. Dominique d'Enfer, 4. i u pana Reitzenheima Józefa, rue d'Antin 19. aux Batignolles. Dziennik Narodowy Nr. 140. Paryż z dnia 2. grudia 1893. Podobne ogłoszenie umieścili „Demokrata polski“ Paryż 21. grudnia 1843. i „Trzeci maj“ tamże, 20. stycznia 1844.

„Pieśń Konfederatów“ na początku aktu I. w. 30—60 przypomina duchem i formą „Pieśń konfederacką“ napisaną około 1770. roku. Przytaczam ją dla porównania w wyjątkach:

Stawam na placu z Boga ordynansu,
Rangę porzucam dla Nieba wakansu,
Dla wolności ginę — Wiary swej nie minę,
Ten jest mój azard.

Krzyż mi jest tarczą a zbawienie łupem,
W marszu zostaję, — choć i padnę trupem,
Nie zważam, bo w boju — Dla duszy, pokoju
Szukam w Ojczyźnie.

Nie obawiam się przeciwników zdrady,
Wiem, że mi dodasz swej zbawiennej rady
W zamysłach obrotu — Do praw swych powrotu
Jak rekrutowi.

Boć nie nowina, Maryi puklerzem
Zasłaniać Polskę. Wojować z rycerzem.
Przybywa w osobie — Sukurs dawać Tobie
Miła ojczyzno itd.

Skarbiec historyi polskiej, przez Karola Sienkiewicza Paryż, 1839. Tom I. str. 226—227.

Pieśń tę konfederacką przytoczoną przez A. Mickiewicza na wykładach Literatury Słowiańskiej w Collége de france rok. II. Lekcya XV. z 22. lutego 1842. cytuje Trzeci Maj rok III. oddz, IV. z 19. grudnia 1842. str. 481.

Osoba bohatera dramatu, była w owym czasie gloryfikacyi konfederatów Barskich i jej kapłana cudotwórcy, ulubionym przedmiotem w literaturze, a przedewszystkiem przymawiała do fantazyi Towiańczyków.

Pieśń konfederacką umieściła „Warta" Poznań 1887. Nr. 668. str. 5832 zakończoną wierszami:

A przy ostatnim życia momencie
Wybrańcem Panny bądź w regimencie.

Ze stanowiska mesyanizmu, widzącego wszędzie działanie kolumn duchów białych, lub czarnych, pożądaną być musiała figura cudotwórcy, którego zabobon gminny uważał za proroka i który nawet zdaniem późniejszych historyków wśród owej krwawej rzezi humańskiej i straszliwych konwulsyi konającego narodu, stawa na gruzach ojczyzny potężny proroczym duchem. Towiańczycy uważali konfederacyę Barską ze stanowiska walki: duchów ofiary przeciw duchom zniszczenia, a rej w tej walce wodził w Chrystusowej prostocie ducha Marek Karmelita.

Z tej samej przyczyny, prorocza postać Ojca Marka opromieniona cudownem światłem na ciemnem tle dziejów współczesnych, musiała natchnąć rozgorzałą w mistycyzmie duszę tłómacza „Ks. Niezłomnego", również należącego przez pewien czas do zwolenników Towiańszczyzny i stać się godnym jego natchnień.

Postawa tego poety-proroka — powiada Mickiewicz — wznosi się nad wszystkiemi zdarzeniami: *Ojciec Marek* stał się dzisiaj ulubionym bohaterem wszystkich pisarzy. Nie ma romansu, poezyi, gdzieby o nim nie było wzmianki: przytaczają jego słowa, wprowadzają go na widownię, jako człowieka działającego, jako kaznodzieję, pod tysiącznemi postaciami przedstawiają go przed oczy narodu. A Mickiewicz. Literatura słowiańska, wykładana w College de France, rok II. lekcya 15, z dnia 22. lutego 1842.

Tło historyczne dramatu Słowackiego odmalowane na podstawie najważniejszych dzieł współczesnych o konfederacyi Barskiej Rulhiera (1807.), Skarbca Sienkiewicza (1839. — 1840.) i może bezimiennego autora „Wiadomości o konfederacyi Barskiej", Poznań (1843.) odstępuje w szczegółach od faktów historycznych.

Wiadomo, że Pułaski i Krasiński — są słowa autora Konfederacyi Barskiej — celem wyswobodzenia Polski z pod narzuconej przez Moskali gwarancyi, od kilkuset obywateli w zamiarze utwierdzeni, zjechali do Baru, miasteczka na Podolu, i tamże spisali akt konfederacyi pod dniem 29. lutego 1768. roku. Aktem tym został obrany Michał Krasiński generalnym marszałkiem konfederacyi, a Józef Pułaski marszałkiem wojska związkowego. Rozpisano uniwersały do wszystkich ziem i powiatów, i wzywano szlachtę do współdziałania. Wkrótce wzrosła konfederacya do 8000 wojska, gdy się zaczęły ściągać wojska nieprzyjacielskie na Podole.

O mil kilkanaście na północ od Baru, leży miasteczko Berdyczów, sławne jarmarkami i obrazem Matki Boskiej w kościele księży Karmelitów. W klasztorze tym mieszkał ksiądz, Ojcem Markiem nazwany. Gdy się konfederaci na Podolu zbierali i już Berdyczów zajęli, Ojciec Marek, z krzyżem w ręku, chorągwią i różańcem chodził

po wsiach i miasteczkach, zagrzewając mieszkańców, aby dla obrony wiary i wygnania jej nieprzyjaciół, łączyli się do konfederacyi. Wejście jego do obozu konfederatów, podzielanie z nimi trudów i niebezpieczeństw, ku ocaleniu niepodległości narodu, znamionuje gorącego miłością ojczyzny Polaka.

Kiedy carowa Katarzyna zażądała, aby wojsko polskie przybyło na pomoc rossyjskiemu dla wspolnej walki przeciw konfederatom, hetman Franciszek Ksawery Branicki ruszył z wojskiem na Podole, na pomoc Moskalom. Za przybyciem hetmana, generałowie rossyjscy postanowili atakować Bar, który obwiedziony suchą fosą i palisadami nie licząc załogi nad 4.000 wojska, prawie bez dział, długo się bronić nie mógł. Kilkodniowe oblężenie wycieczkami odpierano, z których jednej miał być dowódzcą ojciec Marek, w „apparaty kościelne przybrany“. Bar wzięto szturmem 20. czerwca 1768. r. i zabrano 1200. niewolnika. Między nimi dostał się też w ręce Moskali Ojciec Marek. Już w Ks. Kitowicza Pamiętnikach do panowania Augusta III. i pierwszych lat Stanisława Augusta (Poznań 1840. II., str. 9 i 10.) dobrze znanych Słowackiemu, stwierdza Ks. Marek pomyślny skutek i rzetelność swych przepowiedni cudami: „na dowód... pioruny i grzmoty, jako niegdyś Samuel prorok, z nieba sprowadzał“. Podczas oblężenia Baru — opowiada Rulhier — gdy puszkarz pierwszej bateryi rosyjskiej lont do zapału przyłożył, patrzący na to z wału ksiądz Marek krzyż zrobił w powietrzu i armata rozerwana sostała od wystrzału na sztuki. Cudotwórstwo księdza i w Moskalach budziło wrażenie. Gdy wziętego do niewoli kazali jenerałowie rosyjscy zabić, — żołnierze uderzeni świętobliwością postawy karmelity, nie posłuchali rozkazów, lecz, do nóg mu upadłszy, prosili o błogosławieństwo. Cl. Rulhiere. Histoire de l'anarchie de Pologne. Paris, 1807. III. 90.

Działał cuda ksiądz Marek nietylko wśród zdarzeń natury publicznej, lecz i w życiu potocznem. Poezya do legendy coraz więcej dorzucała kwiatów i wątek opowieści cudownej dosnuła do końca. Do literatury wprowadził cudotwórcę autor ogłoszonych w roku 1838. Pamiątek J. M. Pana Seweryna Soplicy w dwóch krótkich opowia-

daniach „Ksiądz Marek" i „Kazania konfederackie", gdzie przedstawił bohatera w świetle żywej jeszcze tradycyi. Nie ulega wątpliwości, że opowiadania te były znane Słowackiemu.

Ksiądz Marek Rzewuskiego nie ma w sobie namaszczenia i surowej powagi proroka. Cuda jego nie przerażają i nie wstrząsają nadzwyczajnością i siłą, lecz dokonywane są jedynie w zamiarze wywołania podziwu. Metoda działania cudów robi on wrażenie kuglarza, w przemowieniach zaś zdradza facecyonistę i rubasznego gadułę. Nasłuchał się Rzewuski o cudotwórcy proroku podczas pobytu swego w konwikcie Karmelitów berdyczowskich i przedstawił go zgodnie z tradycyą; Słowacki już w ogłoszonym r. 1841. Beniowskim nie trzymał się tradycyi w charakterystyce ks. Marka, lecz puszczał wodze fantazyi. W „Beniowskim" występuje jako rycerz z pewną obojętnością patrzący na śmierć przeciwników, z pobłażaniem na wybryki konfederatów, których innym razem karci bez ogródki.

W utworze dramatycznym, napisanym pod wpływem towianizmu, gromi z kazalnicy ksiądz Marek panów za nielitość dla chłopstwa, za prywatę i obojętność na klęski narodu; obrażając pana marszałka i szlachtę całą tem „urąganiem z magnatów, tą obelgą antenatów": Ci zamyślają porzucić sprawę. Dla obudzenia w zwątpiałych otuchy, robi cuda i idzie w sam ogień walki, ale pod klasztornym murem ranny, z szablą w ręku wzięty został w niewolę.

Podanie Kitowicza, że „prorok Marek" schwytany od Moskali „batożkami ocięty i gdzieś do klasztoru wtrącony, z oczu ludzkich zginął" zużytkował Słowacki w swym dramacie, domieszawszy trochę farb z Rulhiera. Po stu ludzi z armii Kreczetnikowa codziennie w Barze umiera, w końcu pełne zarazy szpitale stanęły w ogniu. Krocie żołdactwa dobijają się do lochu, w którym zamknięto księdza i przed białym karmelitą we krwi i w czarnych kajdanach popadały na kolana. Rozerwał motłoch habit zmarłego księdza i trupie całował ręce a „jego duch i chwała przelana w polskie płaszcze i serca".

W duchu Słowackiego przedstawił Księdza Marka Mickiewicz w dramacie Konfederaci barscy i ks. Chołoniewski w opowiadaniu „Magnificat Nieserafieczny".

Zob. jeszcze *Trzy wieszczby* przez Lucyana Siemieńskiego. Paryż, 1841. str. 106. Tylko u tego ostatniego niknie zupełnie rycerz, a występuje kaznodzieja asceta. Wprowadzili księdza Marka do utworów powieściowych także: Kaczkowski (Anuncyata), Bolesławita (Tułacze) i Suffczyński (Rodzina konfederatów); nie podejmując jednak dla odtworzenia postaci cudotwórcy szczególnych studyów historycznych, poprzestali na wyzyskanej już przez Rzewuskiego tradycyi.

Prorok konfederacyi barskiej tak się przedstawia w studjum historycznem znakomitego historyka Władysława Smoleńskiego. Legendowa w epizodach szczególnych konfederacya barska wydała bohatera, który w postaci swojej ogniskuje treść pamiętnych szlachty polskiej porywów, tyle jednak fantazya i uczucia narodu narzuciły na niego tajemniczych osłon i barw cudownych, że już w oczach współczesnych stał się postacią na wpół legendową. Rzecz tak się miała: Konfederaci małą mieścinę żydowską za główne stanowisko obrawszy, opalisadowali ją albo raczej dobrym obwiedli płotem. Stary Pułaski wyszedł z 1.500 ludzi dla dania pomocy rozbitemu pod Podhajcami Joachimowi Potockiemu. Kazimierz zająwszy Berdyczów, bezskutecznie choć mężnie Kreczetnikowi się stawiał, w Barze zaś pozostało najwięcej nad 4.000 Polaków bez wodza i zapasów wojennych. Na domiar złego zakradła się pomiędzy konfederatów niekarność, — „zamieniła się osada na sejmik niesforny". Podstąpił pod miasteczko Branicki, ale nieprzyjaciele podczas oblężenia na niespodziewany napotkali opór i niemałe ponieśli straty. Trapili ich konfederaci wycieczkami, — w jednej dowodził przybrany w ornaty kościelne ksiądz Marek. W nocy z 20. na 21. czerwca 1768, przypuściwszy z trzech stron szturm, wziął Apraksyn miasteczko i zamek (Bar). Zdobyto 50 dział, wzięto do niewoli 1.200 ludzi, pomiędzy nimi księdza Marka, zapalającego z wałów do boju. Według Kitowicza ocięto go batami; według Rulhiera, żołnierze zamiast go zabić, do nóg mu padli. Poświadczenia obu tych podań, nie masz w źródłach historycznych. Naodwrót fakta poważne wiarogodności ich przeczą stanowczo. Generałowie rossyjscy obchodzili się w początkach ruchu

z wziętymi do niewoli konfederatami łaskawie. — berdyczowskich i barskich jeńców puszczano na słowo, że walczyć nadal nie będą. Nie uwolniono wprawdzie karmelity, lecz i nie znęcano się nad nim, skoro względem dalszych losów jego żądano instrukcyi Repnina. Dnia 9. sierpnia 1768. r. w towarzystwie 337 aresztantów (dezerterów rosyjskich, hajdamaków i konfederatów) słany został z głównej kwatery Kreczetnikowa, z Tulczyna do Kijowa, pod konwojem żołnierzy z pułku bieleckiego. Umarł w późnym wieku, dopiero na początku 19. stulecia. Podobnie jak prorocy biblijni, ksiądz Marek w posłannictwo swe wierzył i był przekonany o swych bezpośrednich stosunkach z niebem. Podobny stan psychiczny wydał różnorodnych czarowników, wróżbitów i t. p. nieobłudnie działających maniaków. Ksiądz Marek cudotwórca i prorok konfederacyi barskiej, szkic historyczny przez Władysława Smoleńskiego. Ateneum. Warszawa 1886. tom II.

Postać ks. Marka wypłynęła niedawno na wierzch literatury w polemice o imię i wizerunek ks. Marka, jaka się wywiązała z powodu artykułu Z. L. Sulimy („Portret ks. Marka“ w „Kraju“ petersburskim 1890. w „Przeglądzie literackim“ Nr. 26—7.) Dr. Antoni J. Rolle, ustalił imię księdza: Marek Jandołowicz, („ks. Marek Jandowicz czy Jandołowicz“? „Kraj“, „Przegląd literacki“ 1890. Nr. 31.) a kilka szczegółów odnoszących się do jego wizerunku dorzuciły „Trzy listy A. Jelskiego, Fr. Morawskiego i Dr. J. Bielińskiego („O portret Ks. Marka“, „Kraj“ — Przegląd literacki 1890. Nr. 33.)

Karol Libelt poświęcił utworowi Słowackiego obszerną rozprawę, z której wybitniejsze miejsca wyjmuję: Ojciec Marek występuje tu w osłonie cudowności, w charakterze natchnionego proroka. Wszyscy go opuszczają na odgłos zbliżających się wojsk moskiewskich. Opuszcza marszałek Krasiński, opuszcza regimentarz Pułaski, opuszcza nawet przeor karmelitów, za nimi szlachta konfederacka — a on nie traci ducha. W natchnieniu najwyższem zaręcza marszałkowi, że nikt z tej gromadki nie zginie, a na wiarę słowom swoim znak daje, że zagrzmi działo. Ale kiedy puszkarze donoszą, że cudem jakimś pękło działo na ćwierci, marszałek bierze to za znak do

ucieczki i opuszcza Bar. Za nim idzie Pułaski, ze smutnem przeczuciem upadku ojczyzny. Jego szablę przypina ksiądz Marek do boku i z monstrancyą w ręku, idzie z garstką wiernych na wały. Niestety zdradą Judyty, żydówki, którą nie dawno przedtem ks. Marek ochrzcił, Bar zdobyty został przez nieprzyjaciół. Prorok ranami okryty, wzięty do niewoli, znosi cierpliwie naigrawania generała Kreczetnikowa i Branickiego. Skazany na rózgi, uchodzi cały, cudem bowiem jakimś oprawcy oślepieni, zamiast jego chłostać, siebie katowali. Wtrącono go do lochów, a kiedy się pali miasto i zaraza w niem wybucha, powstaje bunt między wojskiem, upatrującem w tem karę niebios. Odbijają więc księdza Marka. On wzniesiony na rusztowaniu z łóżek szpitalnych, z krzyżem, w podartym i pokrwawionym habicie, daje klęczącemu w okół ludowi błogosławieństwo. W tej apoteozie umiera.

Drugą rolę obok ks. Marka odgrywa Judyta, córka rabina z miasteczka Baru, w którego austeryi zbierała się konfederacya, i odbywała swoje narady. Poeta wystawił ją równie natchnioną i cudotwórczą. Na jej zaklęcia rozsypują się zbrojne zastępy i huk dział ustaje: stawiona przed sąd wojenny rwie z rąk powrozy jak nitki, i tą potęgą ducha zakazuje nieprzyjaciołom dotykać się ciała uświęconego księdza Marka, jeżeli nie chcą, by klęski na nich spadły.

Nie można niewidzieć, że nauka Towiańskiego wpłynęła tu i na upostaciowanie Judyty jako wyobrazicielki Żydów, którzy męczeństwem mają dokupywać się u Boga tytułu wybranego narodu.

Kossakowski w najniegodziwszy sposób obiera ojca jej z pieniędzy, morduje go, a gdy córka na pokucie opłakuje stratę rodzica, on nagabuje ją jako nierządnicę. W całej brzydocie wystawia jej się zbrodzień, a z nim i religia, którą wyznaje.

W całym obrazie Judyty widać symboliczny stosunek Izraela do Polski. Jego upośledzenie, a na odwrót jego zemstę, którą się za te pogardy i krzywdy odpłacają. Chrzest Judyty zda się symbolizować pojednanie z krajem.

Obok tych dwóch postaci, księdza Marka i Judyty, przedstawia starościc młódź czystą i zapału pełną, ginącą

pod morderczem żelazem potęgi złego, gdy nie ma nikogo, któryby nią pokierował. Starościc pada w pojedynku z Kossakowskim, gdy się za pohańbioną Judytą ujmuje. Referendarz Pułaski, przedstawia starsze pokolenie szlachty dzielnej i mężnej, która czuje wielkość poniżenia, ale zaradzić temu nie umie, a w końcu idzie tam, gdzie źli prowadzą.

Z przeciwnej strony: występują tchórzostwo, duma i prywata w marszałku Krasińskim — podłość, rozwiozłość i zbrodnia w najdzielniejszym rycerzu z konfederatów Kossakowskim; przedajność i wyrodność w hetmanie Branickim; chciwość w rabinie ojcu Judyty; niewola i służalstwo w generale rosyjskim Kreczetnikowie.

Jakaż nareszcie całość wyłania się z tego dramatu? Oto głównie walka dwóch potęg. Czem się stało, że potęgi złego przemogły nad dobrem? Oto nie przyszedł czas. W większości narodu nie ma tej wiary, która piesni konfederatów natchnęła. Dalej żydzi w Polsce uciśnieni. Poeta kładzie szczególny nacisk na wyzwalaniu się narodu uciemiężającego żydów. Oto powody, dlaczego rozpoczęte wyzwalanie ducha, udać się jeszcze nie mogło. Atoli zwycięstwo złego jest tylko zwycięstwem materyi nad materyą, siły nad siłą. Nad duchem, nad przyszłością, żadne zło tryumfu odnieść nie mogło.

Z tego stanowiska uważany, ma dramat ten swoją wartość. Słabą jego stroną jest kompozycya i wykonanie. Rozrzucone tu są przedmioty jakby w mozaikę różnobarwnych kamyków, które się dopiero w perspektywie ducha, potrącone siłą wyobraźni, w jeden obraz skład ą. Karol Libelt, Pisma krytyczne, Tom II. Poznań 1851.

Michał Bałucki w rozprawie o „Księdzu Marku" (*Niewiasta*. Kraków 15. kwietnia 1862. Nr. 15.) podnosi wysoko moralną i estetyczną stronę dramatu.

Konfederacya barska była ostatnim aktem starej, szlacheckiej Polski. Wielkie cnoty ją podniosły, przesądy wiekowe skarliły ją, duma ją zabiła. Wśród tego konania starych czasów Słowacki postawił kołyskę nowej, młodej Polski, a piastunem jej Ksiądz Marek.

„Ona tutaj leży w żłobie,

mówi do marszałka konfederacyi...

Lecz Polska nie tego wieku,
Żywa, nie przez nasze czyny,
Która będzie żyła wieki.

Ale, aby ta dziecina wzrość mogła, potrzeba oczyścić jej mieszkanie ze starych grzechów. Więc najprzód odchodzi od niej magnat Krasiński. Dobrowolnie odstępuje tej kołyski dla dumy, dla dyplomacyi i t. d. a za nim idą ci wszyscy, co bez własnego zdania, lub z interesu, czepiają się klamki pańskiej. Umiera żyd pijawka, obojętny na sprawę narodu, żyjący tylko miłością swej córki. Chęć zysku i samolubnej miłości były przyczyną jego śmierci. Więc i z tego brudu oczyszczone mieszkanie dzieciny.

Genialna potęga narodu, zniszczona odstępstwem jednych, zdradą i niegodziwością drugich, sprawa polska upada. Broń wypada z rąk jej przedstawiciela, który ginie pokonany, jako człowiek; ale idea, której posłannikiem, t. j. wzbudzanie i żywienie w sobie i w drugich ducha Bożego, aby ten duch zwyciężył i ufundował szczęście ludzi — ta idea zwycięża. Nawet wrogie potęgi korzą się przed tą kołyską dzieciny. I to jest moralne zwycięstwo ducha.

Stanisław Tarnowski ocenia surowo ten utwor. Jest on bez ładu, bez prawdopodobieństwa, bez świadomego celu i zamiaru (o piękności artystycznej nie mówiąc już wcale), stek dziwactw, exageracyi i cudów! Dowodzi on tylko zupełnego rozstroju w umyśle poety, który nie był już zdolnym do trzeźwego sądu ani zastanowienia.

Sam bohater, jest to, zgodnie z doktryną Towiańskiego, przedstawiciel tego zeŝrodkowania i podniesienia ducha, które staje się cudotwórczą siłą, i swoją wolą znosi pułki, rozsadza armaty. Tu można jeszcze pojąć zamiar autora, protestując zresztą uroczyście przeciw wykonaniu i wcieleniu tego zamiaru. Ale co ma znaczyć i czego chce ta Judyta, żydówka, chrześcijanka i znów żydówka i jeszcze raz nawrócona Polka, która ze swego alkierza w Barze, siłą sztychu swego ducha, przechyla szalę zwy-

cięstwa na stronę Konfederatów, i znowu zdradą sprowadza Moskali i miasto im wydaje? Czego chce ten Kossakowski rozbojnik, gwałtownik, oszust, bohater i pokutnik? Do tego wszystkiego „duch" towianizmu powinienby dodać komentarz.

St. Tarnowski, Małeckiego Słowacki. Przegląd polski. Kraków 1. października 1867. str. 392.

Objaśnienia dramatu „Sen srebrny Salomei“.

Powstanie dramatu tego ginie w pomroku mistycyzmu poety. Imię matki, które nadał utworowi, przychodzi już w Horsztyńskim. Z myślą tą nosił się od dawna poeta. Oto jak pisze niby z Podhorzec, w istocie z Paryża d. 15. lutego 1841.

A teraz bez egzaltacyi i prosto ci napiszę, że ty zajmujesz pierwsze miejsce w sercu mojem; gdybym umierał, kazałbym spalić i odnieść ci serce moje, bo jego popiół do nikogo innego nie należy. Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem. *Najpiękniejszej z córek moich dam imię twoje chrzestne*, i to imię długo będzie brzmiało owonione zapachem konwalii, która rośnie na Czerczy; to jedno mogę: dźwięk, głos, echo dać naszemu smutkowi.

W liście z 28. lipca 1843 wspomina już o napisaniu dzieła: Wkrótce, zda mi się, nowe dziecię w świat wyszlę, gdzie jedna z osóbek chrzestnych nosi imię twoje. Może też dziecinę tę prędzej zobaczysz niż inne.

Paryż, d. 18. listopada 1843. Moja droga! Odebrałem listki kochane, a że nie odpisałem zaraz, to dlatego, że w miesiącu tym byłem bardzo zajęty. Św. Salomea ciągle była ze mną i nademną, przedwczoraj dopiero imieniowi jej wywiązałem się z długu, a z jaką radością, z jakiem zachwyceniem, tego ci wyrazić nie potrafię.

Imię to tylko i oczka zielone, więcej nic, ale chcę, aby to imię pachło na wieki, aby odtąd rozkochało ludzi,

aby dziateczki maleńkie odpowiadały matkom kiedyś na ten głos, którym stara Januszka wołała wśród czereśniowych sadów na dziecko swoje.

Są cuda na ziemi i w niebie, o których się ani śniło naszym filozofom. Pod Krakowem jest pustynia św. Salomei: otóż ta pustynia musiała być teraz zupełnie pustą, bo to, co ją zaludniało, było u mnie; i dziw większy, że to w ten miesiąc, i to przed samym dniem imienin, bo wierz mi, droga, że sam kwiat myśli naszych jest podszeptaniem i tchnieniem nadniebieskiem stworzony. Jeżeli czas wystarczy to i Salusię wyprawię.

Dramat ów wyszedł z pod prasy dopiero w styczniu r. 1844 pt. Juliusza Słowackiego „Sen srebrny Salomei", Romans dramatyczny. Paryż 1844. 12⁰.

W kilka miesięcy dopiero po wydaniu tego utworu znalazł Słowacki sposobność posłania go matce przez znajomą osobę razem z ks. Markiem, a wyprawiał je tem skwapliwiej, że się spodziewał, iż je matka z radością powita i z dumą będzie odczytywała, jako dzieła, które (zdaniem jego) podyktowało natchnienie, do wysokości jakiego nigdy on się dawniej wznieść nie zdołał. Tymczasem przyjęcie książek tych przez panią Becu było zupełnie inne! Wprawdzie nieznane są motywa, z powodu których dramaty te sprawiły niemiłe wrażenie na światłej matce ich autora; listu jej bowiem pisanego o tem (jako i żadnych w ogóle listów matki do syna) nie znamy. Że uwagi jednakże udzielone Słowackiemu o ks. Marku i Śnie Salomei musiały być niekorzystne i bynajmniej niezachęcające autora do dalszych kroków na takiej drodze: o tem przekonywa jego odpis, dany wtedy w odpowiedzi na owe uwagi matki. Był to odpis niezmiernie długi, a gorycz jego dochodziła do tego stopnia, że napisawszy go, sam Juliusz spostrzegł się wcześnie, że się w rozdrażnieniu za daleko posunął. Czując zatem niewłaściwość tonu, jakiego sobie tym razem względem matki pozwolił, nie oddał listu tego na pocztę. Pozostał u niego między papierami, z których go dopiero po śmierci poety, porządkując wszystkie jego rękopisma wydobył Małecki i jako ciekawy dokument dołączył do zbioru korespondencyi.

Ażeby wyrozumieć ówczesne usposobienie poety, uważam za stosowne przytoczyć z następnego listu kilka krótszych wyjątków.

Dnia 14. marca 1845. Napisałem był długi list do ciebie, który po odebraniu twego listu z wizerunkiem Krzemieńca schowałem, a że był długi, to kiedyś chyba ci go przez okazyę poślę; nie myśl, że w nim co było ważnego. Zamykał tylko niektóre uwagi nad naszym sposobem widzenia rzeczy, i troszkę był gniewny za to, że ty nerwom swoim, czasem rozharmonizowanym polonezami Chopina, pozwalasz nad głębią duszy twojej panować. Ta dwoistość czucia twojego, niby dwie rzeki razem wypływające z serca, czasem mięszają się i są cudownie wspaniałe, czasami zaś oddzielnie płyną, a wtenczas ja biedny, chłostany tą wodą ze strun drgających, kurczę się i drżę cały jak biedne dziecko, wypędzone gdzieś na pustosz ciemną, na deszcz i na błyskawicę.. ale ty potem sama przychodzisz, zdaje się, mówiąc: biedny on!... a ja jeszcze bardziej drżę upokorzony twoją wielką miłością, jak psiątko pogłaskane.

List ten, o którym mówi wyżej Słowacki, nie był posłany matce. Znajduje się wszakże w korespondencyi i dlatego możemy go tu umieścić. Pisany był w lutym 1845.

Jest zwyczajem Anglików, zwłaszcza w klasie piwowarów krwistej organizacyi, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwią, obróśli sadłem, stracili wszelką myśl i energię. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk, a teraz przysłał doskonalsze lekarstwo, to jest enerwującą muzykę Chopina.

Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało utrzymuje codzienne zwycięstwo, radź jej jedną lub drugą kuracyę. Lecz obu lękaj się dla ludzi wywiędłych i schorzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzucą, a po koncercie Chopina część duszy własnej utracą.

I ty, droga moja, czuła, dobra, litośna, miłująca, siadłaś pisać do mnie, wypłakawszy się w kącie z duszy całej, wypłakawszy się na próżno, więc grzesznie, wypłakawszy się dlatego, bo cię semitonami i dyssonansami polonezy Chopina łaskotały po wszystkich nerwach. Wiesz więc, co napisałaś? Oto list, który dla nerwowego, sentymentalnego człowieka prostego, z sercem, jest listem zu-

pełnie bez serca pisanym. Ja także, droga moja, bardziej teraz niż ty otwartym być muszę, bo to o duszę twoją nieśmiertelną chodzi.

Otóż powiem ci, coś napisała. Zaczynasz od prostego wyrzutu, że marnuję moje zdolności, od wyrzutu, że nie piszę tak jak dawniej pisałem... Jeżeli ja rzeczywiście byłem kiedyś w szczęściu a dziś podupadłem, bo bogactwo myśli jest państwem w aniołów krainie, jeżeli więc prawdziwie (a ty wiesz, że bez winy własnej podupadłem), to powiedz mi, czy to do ciebie należało pokazywać mi, że w płaszczu dziurawym ujrzałaś mię w swoim eleganckim Chopinowym salonie?

Drugi, gorszy grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Adama, które on, umiejący dobrodusznie a głęboko urągać, rzucił przed piętnastu laty, poczuwszy, że ta plotka, gorsza stokroć niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegała po kraju. Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne. Przez piętnaście lat stanowiła ona w niejednym niby szacunek mojej osoby. Niejeden już na słowo Adama nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezyj moich. Jam to wszystko przełamał, upornie idąc krok za krokiem, nie artykułami gazetowymi, ale samem wnętrzem pism moich. Ta plotka jak nietoperz czarny gdzieś ulatywała w kąt niebios, a ty mi ją z całą świeżością nową oddałaś w liście. Cóż następuje?

Oto rada, abym się nie spieszył z drukowaniem, a ochłonąwszy z gorączki, odczytał utwór mój, jak gdyby był utworem innego pisarza. Pomyśl, droga, jak ta rada jest złą i fałszywą. Więc ty chcesz, abym ja przez pryncypium zwyczajne świata, to jest emulacyjną zazdrość, postępował i tę brał za podstawę i duszę moich czynów? To jest: jeżeli przeczytałbym jaki własny poemat a pomyślał: ach! teraz Adam pęknie z zazdrości, albo Szekspir wróciwszy z grobu, omdleje: to w takim razie powinienbym być kontent z siebie?...

Widziałem raz dziecinę, której na Nowy Rok bardzo ładne cacko matka kupiła, a ta uniesiona radością, wykrzyknęła: otóż teraz Józia pęknie z zazdrości! Ta Józia była to jej przyjaciółka, dziecię uboższych rodziców, które tak pięknem cackiem pochwalić się nie mogło... Teraz po-

myśl ty, że natchnienie jest darem aniołów i zrozum, jakim ty sposobem zalecasz mi oszacowywać radość moją z podarunku.

Nareszcie piszesz mi, że chętnie do nóg byś upadła autorom artykułów i portretów. O, straszliwa rzecz! Do nóg, za takie artykuły i rysunki! Więc ty sądzisz tylko, że ja przez miłość własną mogę być szczęśliwy, i chcesz dziękować ludziom, którzy mię pochwałą przesadzoną albo niedosadzoną obkarmiają? Lecz ty przeciwnie powinnabyś prosić Boga, aby wszystko, co u mnie jest, a jest bez doskonałości, było jak najprędzej zapomniane, albowiem czyliż jest gorsza tortura, jak płonić się przed niezasłużoną pochwałą, albo tę pochwałę mieć od człowieka, który na prawo dawania pochwał nie zasłużył u Boga?

Nareszcie koniec listu jest, że utwory moje dlatego ci są miłe, że w każdym mówię o sobie, a ty sobie moją postać przypominasz. Powiedzże mi, droga, jakże ja do tych przemawiać będę, którzy mi nie są matkami? Najokropniejsza to jest krytyka moich wierszy, droga moja, że one wszędzie o sobie gadają. Nareszcie ostatnią prośbą jest, abym się nie gniewał i nigdy za złe ci nie miał niczego. Boga na świadka biorę, żem ten list krytyczny skrytykował duchem, wiedząc dobrze, że on nie z głębi twojej wyszedł, ale z tej nieszczęsnej atmosfery, smętnej, błąkających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali.

Chorzy jesteście i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już, nie sercem czujecie! Lubicie, co wam nerwy rozczula a wstręt macie do zdrowych pokarmów. Widziałaś-że ty, aby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiem, przez Chopina muzykę sprawionem, stał się lepszym, piękniejszym, litośniejszym, wyrósł na bohatera? Jedną mi osobę zacytuj a wyznam, żem nie miał racyi potępienia.

Ten list leżał przez miesiąc u ciebie, albo był przez dwa miesiące w drodze, bo między jednym a drugim listem, skarżącym się na książeczkę, trzy miesiące blisko milczenia miałem do przetrawienia myśli moich, i spodziewałem się, że na tem milczeniu długiem zakończysz wyrzuty swoje, a nareszcie pozdrowisz mię listem dobrym

i spokojnym... nareszcie przebaczającym, bo jednak i ja nie jestem bez winy, bo winą moją jest użycie imienia świętego, a to wcale mi do głowy nie przyszło, kiedym pisał. (Widać matka Juliusza nie była zadowolniona z tego, że takiej właśnie osobie, jak bohaterka w „Śnie srebrnym Salomei" było dane jej imię chrzestne.)

Lecz i tu, pomyśl ty, droga, gdybym ja napisał np. „Indianę" stylem pani Sand, i tę kobietę dwa razy niewierną, dwa razy oplamioną, biegającą po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał twojem imieniem, ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansową, kwaśno-melancholiczną potęgą i sztuką drażnienia nerwów i błyskotnością kolorów posłał tobie? Rzekłabyś, że cud cudów!... Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, który je zmienia w anielskie?

Droga moja, pomyśl nad tem, nim potępisz któregokolwiek z moich wyrażeń, nim je nazwiesz niewłaściwemi i nie po polsku... a te „nie po polsku" co za wyrażenia? Więc jest kilka frazesów przyjętych, w które ja koniecznie muszę ubrać się, nim wystąpię?... Zamiast powiedzieć krótko: kocham cię, drukując to samo, muszę wyrazić się w bezokolicznym trybie, np. posiadasz serce twego syna. To okrągło i pięknie! Tak gadają i piszą umarłe narody... piszą językiem, którego potem w mowie potocznej użyć nie mogą; taką jest literatura włoska. Patrz, jakie cudowne poemata, patrz, jak łatwo Włochowi napisać sonet lub dytyramb, wszystkie frazesy ma gotowe, całe toki mówienia przeżute.

Lecz wierz, droga, że Włoch ten, sam listu napisać nie umie. Znajduje się w podobnym razie jak nasza sawantka, która musi użyć francuskiego języka. Inni więc krzyczą na użycie francuszczyzny, przeklinają eleganckie salony a ja staram się inaczej: o wyprawienie za drzwi tego jegomościa, to jest, daję wam w poezyi język gadany, prosty, niewymuszony, który *każdą myśl jak potrawę ciepłą na stół podaje.*

Słowem, widzisz, droga moja, że w tym liście twoim ani razu jednego nie byłaś opiekuńczym duchem, ale córką moją, która mi zamyślonemu głęboko rady daje, a ja słuchać ich muszę, ale się wewnętrznie uśmiecham... Inaczej

było z pierwszym listem. Był on prosto wypowiedzeniem uczucia twojego serdecznego i był świętym dla mnie. Odrysowałaś w nim poemat, o jakim marzyłaś, a to marzenie było prawdziwie piękne, tak piękne, żem uczuł niemoc własną, jak architekt ogromnym planem budowy, podanej mu do wykonania, zatrwożony.

Widzisz więc, droga moja, że mi wtenczas, kiedy cię wyższą i piękniejszą od siebie samego duchem zobaczę, to smucę się; ale wtenczas, kiedy cię widzę za światem, gdzieś daleko za mną zostającą, to mię rozpacz bierze. Bo za tobą wprzód idącą ja zawsze dolecę kiedyś i będę przy tobie. Ale dla ciebie wrócić, ani ojczyzna, ani sprawa boża mi nie pozwoli. Pilnujmy się więc, droga moja, oboje i bądźmy zawsze tak otwarci, jak teraz. Bo świat nie na wzajemnem oszukaństwie stoi, ale na harmonii i na prawdzie duchów. Biada duchowi twemu, jeśli cię ten list obrazi albo zasmuci. Zatrwóż się wtenczas w sobie i pomódl się i odczytaj go znowu spokojnie i święcie. Odczytaj, mówię, te wyrzuty twoje i rady i pomyśl, czyliby one mogły były dane być przez Chrystusa?

Z tym jednym tonem ewangelicznym możemy równać nasze utwory, aby zobaczyć ich wartość. Otóż ja ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapałem ani *Szwajcaryi* ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu Salusi, albo też Wernyhory dramę w piątym.

Więcej ci powiem: wystaw sobie chłopka bogatego, z rodziną już czytać umiejącą, za sto lat, w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie, szczęśliwy, ogień pali się w izbie a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystaw-że go sobie, że czyta *Balladynę*. Ten utwór bawi go jak baśń, a razem uczy go jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierze *Lillę*, to samo. *Mazepa* trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz ujrzał *Godzinę myśli* albo *Lambra* i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka nidorosłego. Otóż dla tego chłopka jest *Salomea*, *Ks. Marek* i *Książę Niezłomny*.

Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o poezyę dla żywych ludzi. Kto pierwej z taką poezyą przyjdzie, ja

mu z wszystkich moich książek postument zrobię, i sam się położę pod nogami, aby stał wyżej i prawdę zawsze oglądał z wysoka. A póki takiego nie ma, nie równaj mię z nikim, ale proś o ducha świętego i z ducha tego dawaj mi rady, a wtenczas będziesz mi prawdziwie opiekunką.

W miejsce tego listu, którego nie wysłał poeta do matki, napisał następujący, usprawiedliwiając się już w łagodniejszym tonie z rodzaju swej twórczości.

Paryż dnia 30. listopada 1844. Dziwny dzień miałem po odebraniu listu twego, droga moja: z jednej strony widok tego domu, gdzie otoczono ciebie wspomnieniami o mnie, gdzie ten mały aniołek prawdziwie po anielsku śpiewał ci o duchu moim, bo zaprawdę, Bóg go natchnął i dał mu takie uczucie, jak gdyby coś z pośmiertnej chwały synowskiej zaśpiewał ci; z drugiej strony moje rozczarowanie względem Salusi, dawno przezemnie przewidziane, spadło mi na serce ciężko, bo czemużbym miał przed tobą brać tę spokojną i marmurową postawę, którą przed światem mieć musi ten, co ma coś większego do spełnienia, niż zajęcie kilku miejsc między zapyloną gromadą umarłych. Winien jestem i nie winien.

Wiesz droga, co się stało po odkryciu Ameryki? w księgach tego nie piszą, ale ja wiem od samego Kolumba. Oto po tryumfalnem jego przyjęciu w ojczyźnie, królowa wezwała do swego pokoju jednego z towarzyszy Kolumba i pytała go, czy to prawda, że Kolumb jednej z wysp nowo odkrytych dał nazwisko Izabeli? Prawda, odpowiedział dworzanin i lice królowej wyjaśniło się jak słońce; z uśmiechem więc rzekła: „Wyspa ta, jak sądzę, musi być największa z wysp odkrytych?“ Dworzanin, który nie był jednym z przyjaciół Kolumba, ale owszem rad był zniżyć go, zwłaszcza, że uczynić to mógł bez fałszu żadnego, odpowiedział, że wyspa ta, imieniem Izabeli ochrzczona, wcale nie była wielką, owszem jedną z najnędzniejszych wysepek Oceanu. „Ale przecież, rzekła królowa, musiało się znajdować na tej wyspie coś czarującego, kiedy ją Kolumb mojem imieniem ochrzcił i zapewnie ogrody znalazł pełne róż i cynamonowych lasów? zapewne powietrze pełne ptasząt, których widok, jak tęcza z drogich, latających kamieni, uderzył w oczy Kolumba i mój dyament królewski

przypomniał?“ Tu dworzanin już milczał a królowa zachmurzona szła dalej. „To przynajmniej ludzie, na tej wyspie odkryci, muszą być wzorem elegancyi i rycerstwa, do dworzan moich tutejszych podobni wykształceniem i cywilizacyą?“ Dworzanin i na to nie odpowiedział a królowa dalej: „To przynajmniej mieszkańcy tej wysepki muszą być ludźmi z natury cnotliwymi?“ Tu dworzanin ukłonił się i rzekł: „Najjaśniejsza pani! wyznać muszę, że wyspa twoje imię nosząca, zamieszkana jest przez Antropofagów“. Królowa odwróciła się i nic więcej nie rzekła, ale wiadomo ci, co się stało potem z Kolumbem. Otóż to jest wyspa moja i całe tłómaczenie się moje.“ (*Sen srebrny Salomei*). Pamiętaj ty jednak, droga, że nie jesteś ty królową jednej, ale wszystkich wysp moich. Teraz ci powiem, droga moja, że ja sobie żadnego z moich utworów teraźniejszych wytłómaczyć nie mogę, nie wiem bowiem, skąd przychodzą i dokąd idą, ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy z światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą.

Sen srebrny Salomei osnuty jest na tle historycznem, rzezi ukraińskiej, w której prawda i poezya mięszają się do niepoznania. Między innemi występuje tu osobistość historyczna: Sawa Caliński.

Po Rulhierze Kitowicz pierwszy wprowadził na karty dziejów naszych Sawę, po nim autor „Pamiątek Soplicy“ poświęcił jeden z obrazków swoich pamięci tego wojownika, którego imię zabrzmiało rozgłośnie w czasach konfederacyi barskiej, a o którym krążą pieśni i podania między ludem. Ze źródeł powyższych korzystał i Słowacki w tym, jak poprzednich utworach, które od „Beniowskiego“ począwszy łączy jeden wątek historyczny.

W „Śnie Salomei“ mamy jeden z okropnych ustępów tej wojny, jaką prowadzili Moskale przeciw „prawym i walecznym“ konfederatom barskim. Autor wywołuje tu wspomnienie okrutnych mordów, podżeganych przez ajentów w dobrach patryotów polskich, którzy walczyli wtenczas przeciw generałom Katarzyny II., i wyprowadza na scenę dwóch Rusinów, Semenenkę, tajnego ajenta nieprzyjaciela i Sawę, stronnika Polaków. Widzieliśmy już tego ostatniego w „Beniowskim“, lecz tam okazał się on nam

w barwach nieco dzikich i gwałtownych, tutaj zaś, jako wojownik spokojny, śmiały i pewny siebie, który walczy za sprawę Polski. Jul. Słowacki napisał Józef Rentzenheim Paryż 1862.

O Sawie zob. Ataman Sawa przez Wiktora Zielińskiego w Bibliotece warszawskiej 1841., II. 663 Wernyhora i jego wieszczby przez W. W. w „Przyjacielu ludu" Leszno 1849. nr. 11, str. 82—7. Sawa Celiński przez K. Wł. Wójcickiego w „Tygodniku ilustrowanym" 1861., IV., str. 221. Bibliografiia hist. polsk. dr. L. Finkla Lwów 1891 i nast. Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego, z muzyką instrumentową przez Karola Lipińskiego, zebrał i wydał Wacław z Oleska. Lwów 1833. Sawa Celiński, szkic historyczny. *Tydzień* Lwów 22. grudnia 1878 r. V. t. VII. nr. 69 i nast.

Dawniejszy zamiar stworzenia cyklu z sześciu dramatów, osnutych na tle legend z naszej przedhistorycznej przeszłości, zamiar ten zastąpił poeta pomysłem utworzenia wielkiego dramatu na tle dziejów przedrozbiorowych. Rozpoczyna je Beniowski, kilkakrotnie przerywany i pisany w formie epicznej i dramatycznej przez lat kilka.

Wreszcie w r. 1843, a najpóźniej 1844, jak podaje Małecki, została praca nad Beniowskim zupełnie zarzucona. Natomiast pojedyncze pomysły, które podług pierwotnego planu miały wnijść w skład tej rozległej kreacyi, a może też nawet i były już w niej przeprowadzone, zostały teraz podjęte na nowo i wykonane z innego wcale punktu widzenia. Jeden z nich dotyczył chwili samego zgonu owej proroczej postaci, która tak wydatnie występuje w Beniowskim; drugi polegał na uboczným epizodzie przygód rodziny Gruszczyńskich.

Tak powstały dwa dramaty oddzielne: „Ksiądz Marek" i „Sen srebrny Salomei". Odpowiednie pieśni „Beniowskiego" uległy wskutek tego umyślnemu może teraz zniszczeniu; tak iż tylko dochowane mimo autora woli urywki, odszukane na ulotnych i luźnych kartkach, dostarczają świadectwa, że sceny te już i kiedyś dawniej zaprzątały fantazyę Słowackiego — w odmienny sposób.

Małecki utrzymuje, że „Ksiądz Marek" był pisany w ciągu r. 1843, w miesiącach latowych, najpóźniej w lipcu,

„Salomea“ mogła być chyba wykończoną w pierwszych dwóch tygodniach listopada tegoż roku.

Treść tragedyi podaje P. Chmielowski: Prosta szlachcianka, uwiedziona i opuszczona przez bogatego panicza, dostaje obłąkania i dni parę w śnie letargicznym przepędza, marząc o krainie jakiej bezbrzeżnej, gdzie była jedna tylko „na śniegu plama — okropna, czerwona“. Obudziwszy się, widzi swego uwodziciela, który nieszczęściami i cudami przygnębiony, obiecuje jej szczęścia zaranie, biorąc ją za żonę. Ani w miłości ani w obłąkaniu Salomei nie dostrzega P. Chmielowski żadnych rysów nowych, któreby ją od Aldony wyróżniały — oprócz chyba snu tajemniczego i tych potęg niewidzialnych, jakiemi Słowacki zaludniał świat rzeczywisty.

Setki prześlicznych wyrażeń i porównań, mnóstwo obrazów mglistych, przerzynanych od czasu do czasu iskrzącymi snopami światła; wytwarzają szereg nigdy prawie niekończących się wrażeń, które nawałem swoim nie dozwalają bliżej się przyjrzeć rysom bohaterki.

P. Chmielowski tak charakteryzuje drugą postać niewieścią, księżniczkę, dumną i kapryśną kobietę, która wyszła tajemnie za prostego kozaka Sawę, ale nie wprzód została naprawdę jego żoną, aż przedstawił dowody swego szlacheckiego urodzenia. I tu — powiada — niepodobna pochwycić wszystkich uczuć falujących w sercu tej kobiety; niepodobna odgadnąć głębi jej natury, gdyż jest otoczona wpływami cudownego pochodzenia: błyskawicami, piorunami, duchami i tajemniczymi szmerami; w każdym atoli razie są w niej cechy czysto kobiece. Uparta, gdy ją ktoś błaga, wybucha suchem szyderstwem; gdy obojętnie na nią patrzy, rzuca mu się na szyję. Szlachecka duma, zabijająca ironia, lekceważenie całego swego otoczenia; groźne słowa lub milcząca pogarda — oto uczucia i czyny, któremi urozmaica niezbyt powabne życie.

Rzecz godna uwagi, że podczas gdy inne osoby dramatu, zgodnie z ówczesną manierą Słowackiego, u Calderona zapożyczoną, palą sążniste tyrady, nieraz po kilkaset wierszy, księżniczka mówi zdaniami stosunkowo dosyć krótkiemi; co właśnie przyczynia się w znacznej części do ja-

śniejszego jej określenia. W powodzi bowiem słów często muszą się napotykać sprzeczności, obrazy niewyraźne, przysłonięte chmurą jakiegoś otrętwiałego marzycielstwa, w mniejszej ich liczbie łatwiej bez porównania utrzymać równowagę. *Salomea* jest mgławicą; *Księżniczka* — słońcem do połowy tylko zasuniętem mgłami. Cmentarna scena „Snu Salomei" przypomina podobnąż z Goetza Berlichingen Goethego.

Trafnie scharakteryzował A. Małecki w dziele swem o Słowackim (II² 95—108) oba utwory: W tym sporze między matką a synem — powiada — my czytelnicy dziś podobno będziemy musieli stanąć stanowczo po stronie pierwszej; a możemy to uczynić z tem większą pewnością siebie, że i sam autor, już we dwa lata później, z żalem i wstrętem wspominał — wprawdzie nie o obu utworach, których wtedy tak gorąco przed matką bronił, ale o Księdzu Marku. Jeżeli zaś tej gorzkiej krytyki nie rozciągnął wtedy autor nasz i do „Snu Salomei", to tylko przeto, iż nie było przy owej sposobności żadnej do tego przyczyny. Gdyby go jednakże był kto wtedy zagadnął i o „Sen Salomei", toby był przyznał pewnie i tutaj „wątłość dzieła i nędzę zewnętrzną w wykonaniu".

Rzeczywiście bowiem miała słuszność matka poety, kiedy twierdziła, że obydwa te dzieła jak niebo od ziemi różnią się od wszystkiego, co dawniej pod piórem Słowackiego powstało. Sam już styl i zewnętrzna forma takowych okazuje coś szczególnego. Są to rzeczy niby dramatyczne, a ileż jednak zdarzeń najistotniejszą część osnowy tworzących, jest zbytych tylko w luźnej formie opowiadania. A jakie też nieraz dziwne jest owe opowiadanie! W ogóle dykcya tu przypomina rozbujałość poezyi wschodniej. Jest ona jakaś nieunoszona i nieujęta jak powódź, a leje się dyalogiem wezbranym nad wszelkie karby prawdopodobieństwa i miary. Po półtora sta, po półtrzecia sta, czasem po cztery sta wierszy z górą jest włożonych w usta jakiej figury perorującej jednym tchem — bez żadnej przerwy ze strony ludzi, do których prawi. Szczególna ta gadatliwość osób dramatu nie daje się spostrzegać w żadnym z dawniejszych utworów autora Mazepy.

Może niejeden z czytelników zechce tę dziwną rozwlekłość tłómaczyć uwagą, że w owej porze Słowacki szcze-

gólniej zajmował się Calderonem. Zasiadł do ks. Marka i Salomei wkrótce po dokonaniu przekładu El principe constante. Wyobraźnia jego nastrojona więc była, że tak rzekę, na ton tego hiszpańskiego poety.

Aż do pewnego stopnia mogła niezawodnie ta bujność wyobraźni i wysłowienia, ta przewaga opowiadawczych i lirycznych żywiołów nad ścisłą akcyą, równie być następstwem przejęcia się tradycyami sceny hiszpańskiej, jak ów wiersz krótki ośmiozgłoskowy, którym obydwa te dramaty są ułożone, albo jak wreszcie ów podział Snu Salomei na „Zmiany“ w taki sposób, że każda w akcie „pierwsza“ zmiana odpowiada scenie drugiej, według skądinąd używanej praktyki, a „druga“ zmiana znaczy tyle, co trzecia scena itd. Mimo to wszystko nie sądzę jednak, żeby wszystko, co nas razi w tych Słowackiego pracach, dało się tłómaczyć samym tylko kalderonizmem. Poeta nasz w owych latach nie mógł być naśladowcą na oślep obcych zalet i obcych błędów. Zresztą jest też niewątpliwie u niego tych wszystkich rzeczy, co zadziwiają, daleko więcej, aniżeli u Calderona; a raczej — w tej ostateczności i przesadzie, u Calderona nie ma ich wcale!

Byłżeby Calderon lub sam autor „Lilli Wenedy“ dawniej darował sobie, gdyby mu kto w jego utworze był pokazał taki oto np. ustęp aktu IV. sceny I. od wiersza:

Wtem, o Panie, na ohydne
Cmentarze i uroczyska,

aż do:

W ostatni rumieniec przedboży,
Leżała...“

To wszystko jest jedno zdanie, jeden obraz pogrzebu ciągnącego zwolna przez stepy. I mówi to najrozumniejszy człowiek w dramacie, jedyna w nim prawdziwie bohaterska natura, rycerz nie gawędzeniem wsławiony, ale dzielnością. Słowem: Sawa to mówi! Peroruje zaś tak przed samą bitwą, wśród półtrzecia sta wierszy takiej samej dalszej gawędy, ujętej w zdania mniej więcej tegoż kalibru!

Żeby takie rzeczy pojąć — u Słowackiego! — nie można się zaprawdę zaspakajać odwoływaniem do tych lub owych okoliczności literackich. Był to raczej skutek prze-

wrotu, jakiemu podlegało całe stanowisko poety od pierwszej chwili, kiedy do koła Towiańszczyków przystąpił. Był to owoc jego nowej wiary.

Od tej pory wyrobił on w sobie bowiem to przekonanie, że wszystko piękne i prawdziwe i wielkie, czego człowiek dokonywa, nie dzieje się jego własnym rozumem, ale się staje za sprawą należnego doń ducha.

Kiedy więc chodzi o dobitne a skuteczne przelanie w ludzi tego, co im potrzebne jest wiedzieć, czy to za pomocą mowy, czy pisma: starać się trzeba o jak najzupełniejsze poddanie całego swego jestestwa tej bezpośredniej mocy ducha, co działa przez nas, a o jak najdalsze od współdziałania usunięcie tych wszystkich władz naszych własnych, któreby kontrolować może chciały to, co się czyni z ducha. Będąc tedy autorem, im się bardziej pisze na oślep, jednym tchem, duszkiem: — tem lepiej!

Z tej to przyczyny znajdujemy często takie oto wyrażenia w jego korespondencyi:

„Droga moja! trudność mam wielką w pisaniu tem: albowiem nie jest to pisanie i uwiadomienie Ciebie, ale przelewanie ducha, który mię ożywia, w twojego ducha"... (D. 18. marca 1843 r.)

...Jak szalony piszę prędko, chcąc aby jak najwięcej ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzić, żywić ciebie i rozmiłowywać w Bogu i przywiodło do celu, nie katując cię cieleśnie, ale łagodnie prowadząc.

Pisałem tak, żem się aż zmęczył, i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą. Paryż 28. lipca 1843.

Nieszczęśliwy wziąłem papier, ty może przebitego na dwie strony nie przeczytasz, a jednak przepisać tego na zimno, co napisałem, nie mogę, dlatego, że początek ten, w mocnem drgnieciu ducha pisany, straciłby woń i siłę, gdyby drugi raz pisany był przez naśladującą siebie istotę... Paryż 15. października 1845.

Pisał więc jednym pędem, nie zastanawiając się wcale nad tem, co i jak pisał. Nawał pomysłów i obrazów cisnących mu się w gorączkowo usposobionej wyobraźni pod pióro, uważał za przysłany sobie z woli wyższej i nie-

przebierając robił użytek ze wszystkiego. Nie był Słowacki wtedy już względem utworów swoich artystą, sędzią, twórcą odpowiedzialnym, ale widzimy w nim jedynie ślepe narzędzie ducha.

W najdosłowniejszem zatem znaczeniu uważać można obydwa te dramaty jego ostatnie za prawdziwe improwizacye. Były to improwizacye i ze względu na dykcyą, na wiersz, na całe wykonanie zewnętrzne — i ze względu nawet na pomysł. Boć i nad tą wewnętrzną stroną kreacyi nie rozmyślał on już odtąd zbyt wiele. Przyszła mu jakaś idea na myśl — uczuł w sobie, jak się zwykł był wyrażać, jakby mocne pchnięcie od Ducha do pracy: porywał tedy za pióro w pierwszem natchnieniu i tak — bez artystycznego obmyślenia inwencyi — rosły postacie i zdarzenia pod tem piórem jego rozbiegłem, aż dzieło stanęło całe. Rozumie się, że nie kto inny, tylko poeta je stworzył; ale sprawy on z nich sobie, ani zdawał, ani chciał zdawać.

W „Księdzu Marku“ znajdują się niewątpliwie tu i ówdzie (a szczególnie w akcie I.) ustępy genialnie napisane i takiej siły, że małoby który utwor dawniejszy — nie tylko Słowackiego, ale któregokolwiek z najznakomitszych poetów naszych, potrafił ukazać w składzie swoim coś podobnego! Ale całość kompozycyi i ogólne autora założenie żadną miarą myślącego człowieka zaspokoić nie może.

Ksiądz Marek ma skądinąd tę jeszcze niepospolitą zaletę, że czuć w nim pęd bezpośredni natchnienia i surową wiarę pisarza w to wszystko, co wypowiada. Widać też i obecność, utajoną na dnie serca poety, pewnej żywotnej myśli, o której na jaw z wielkim trudem wydobycie mu chodzi. Myśl ta wszelako zaledwie się snać dopiero była zrodziła w otchłaniach jego ducha. On jej sam nawet jeszcze twarz w twarz nie ogląda! A i my ją w dziele jego zaledwie odgadujemy. Nie przyszło bowiem do tego, ażeby idea, zamieszkała w całej osnowie dzieła, była przeprowadzoną jak prąd elektryczny przez wszystkie jego włókna i części.

W ogóle trzebaby być choć do połowy Towiańszczykiem, ażeby mieć zdolność pochwycenia całej intencyi autora. Wszystko tu bowiem polega na przypuszczeniach, na

które, jeśli się nie jest w tym wirze pojęć, wcale przystać nie można. Każdy krok w postępie dramatu polega na interwencyi władz nadzmysłowych. Od cudownego wystrzału z działa, kiedy ks. Marek Krasińskiego do pozostania w Barze na początku sztuki namawia, aż do śmierci bohatera w samym jej końcu, wszystkie prawie sceny są to cuda! a co gorsza, cuda nieuzasadnione ze stanowiska poprzednich działań. Takie powiązanie zdarzeń, taka logika faktów — to już sfera, w której człowiekowi być zaczyna duszno i straszno i tak nieswojo, jak dziecku na cmentarzu o północnej godzinie.

„Sen srebrny Salomei“ nierównie więcej ma okrągłości i wykończenia, aniżeli utwor poprzedni. Mimo to jednak i tutaj ostateczny zamiar autora nie jest tak jasny, żeby sam przez się uderzał w oczy. Na pierwsze spojrzenie zdaje się to być tylko prosta udramatyzowana powiastka o dwóch małżeństwach, których dojście do skutku stało się podobnem dopiero wskutek różnych nieszczęść i trwog krajowych, jakie przeszły ludziom ówczesnym po nad głowami. Dlatego też zatytułował to dzieło swoje poeta romansem dramatycznym.

Z tem wszystkiem przezierają i tutaj pewne ukryte, zaledwie dostrzeżone intencye głębsze, które ze sprawą tych dwóch małżeństw w przypadkowym tylko zostają związku, a dotyczą najżywotniejszych kwestyi całego społeczeństwa narodowego. Gdyby związek między osnową sztuki, stawioną że tak powiem na pierwszym planie, a temi ideami ogólniejszego znaczenia, był wydatniejszy; gdyby te idee, te wieszcze przekonania poety, te sądy o społecznych narodu naszego winach, fatalnościach a w najdalszej perspektywie wreszcie nadziejach, były więcej sformułowane i artystycznie wcielone; gdyby nakoniec nie było ze strony i samej formy tyle powodów do protestacyi: byłoby to jedno z arcydzieł naszych.

Ale właśnie tej pewnej ręki, artysty i filozofa, nie widać w Śnie Salomei! Są tu tylko zarody i błyski genialnego pomysłu; ale do rozprowadzenia tego pomysłu i postawienia go na jaw nie przyszło! Migają się tedy tylko od czasu do czasu przed oczyma naszemi złudne skazówki, w myśl których idąc, zdaje nam się, że potrafimy podążyć

w ślady za pędem ideału poety. Ale każda taka skazówka przez krótką tylko chwilę wiedzie do celu, a niebawem potem zawodzi. Albo ją bowiem zgoła tracimy z oczu, albo też doprowadza nas ona do takich punktów widzenia, że patrząc z nich na to, co się dalej otwiera, nie radzibyśmy szli dłużej tą samą drogą; zdaje nam się bowiem, że błądzimy po jakimś labiryncie, z którego nie ma wyjścia...

Dlatego też jeżeliby się miało określić etyczny sens Snu Salomei, trzebaby treść dramatu do połowy prawie zapomnieć. Tylko bowiem z oddalonego spojrzenia na całość tej zawiłej i przeładowanej kreacyi można odważyć się do robienia wniosków o głównej intencyi jej autora.

„Sen srebrny Salomei“ — powiada St. Tarnowski — ma pomimo nieprawdopodobieństw, sprzeczności i dziwactw, pomimo oracyi paruset wierszowych, pomimo ludzi palących się w smole i tym podobnych okropności, ma jako dramat więcej ładu niż poprzedni („Ksiądz Marek“). Jest przynajmniej jakiś plan, jakaś logika akcyi, a czasem nawet, na krótką chwilę, zabłyśnie i dawny talent poety, dawna bujność i oryginalność jego fantazyi.

Jest tam naprzykład Semenko, herszt hajdamaków, z dworskiego kozaka faworyt, towarzysz i usłużne narzędzie rozpustnego panicza. Dusza zepsuta, spodlona, chytra, ale niepodległa pomimo upadku, harda w upokorzeniu, dzika i okrutna, namiętna i nienawidząca aż do śmierci. Taki „hajdamak“, gdyby go Słowacki w dawniejszych latach był stworzył, mógłby był stać się figurą piękną i potężną, mógł świetnie reprezentować koliszczyznę w naszej poezyi a byłby tem więcej zajmującym, że sytuacya jego (ślub udany z Salomeą, którą kocha) jest dramatyczna i że lepsze instynkty jego duszy, czułość, rzewność, ta jakaś melancholia i poetyczność kozaka, odzywa się w nim pod wpływem miłości. Jest w nim materyał na postać poetyczną, nieszczęściem tylko materyał, tak samo jak w Sawie, jak w tej kapryśnej Księżniczce i w ich obojga dziwnym wzajemnym stosunku. Zamiast uczuć, charakterów, poeta daje frazesy i deklamacye a zamiast dramatu tyrady.

Inne zaś postacie a głównie bohaterka sama, Salomea, ze swoim snem srebrnym, lecz nie zrozumiałym i w dramacie nie mającym znaczenia, ani dalszego ciągu,

pozbawione są i tych nawet nielicznych zalet. Jeżeli rozkaz duchów był jedynym powodem napisania owych dramatów, jeżeli on dał im myśl i duszę, to formę, ciało dał im Calderon. St. Tarnowski: Maleckiego Słowacki. Przegląd Polski 1867., rok II. zeszyt IV.

Ferdynand Hösick wykazuje w studyum o Juliuszu Słowackim w okresie rycersko-romantycznym (Ateneum 1893., I., 30) wpływ miłości poety do Joanny Bobrowej (z r. 1841) i w dramacie Juliusza „Sen srebrny Salomei".

Objaśnienia wiersza „Do autora trzech psalmów“.

Po dramatach, omówionych poprzednio, następuje z kolei kilkadziesiąt utworów wierszem i prozą, wypełniających przestrzeń czasu między tamtymi a odpowiedzią „autorowi trzech psalmów.“ Część ich ogłosił Małecki w Pismach pośmiertnych, reszta wyszła nakładem Teodora Paprockiego 1885. J. Rychter wydał jeszcze po tej drugiej wybiórce sporą wiązankę pism w Krakowie 1888. Niezawiśle od nich ogłaszała „Warta“ poznańska przez lat kilka potężną ilość fragmentów Juliusza z tego czasu, wszystkie te prace tchną duchem mistycyzmu. Możnaby je podzielić na dwa oddziały. Pierwsze, do których należą „Ks. Marek“, „Sen srebrny Salomei“, zdają się samą swoją powierzchownością świadczyć o tem, że powstały pod wpływem, jak się Słowacki sam przy pewnej sposobności wyraził, „pierwszego szału rozbudzonych ducha wnętrzności“. Przypadają one na pierwsze lata owej mistycznej doby w jego żywocie. Idee jego były wtedy jeszcze w nieustającym ruchu przekształceń.

Po upływie pewnego czasu Słowacki, choć trwał i nadal przy powziętym kierunku, przetrawiwszy jednak do pewnego już stopnia nowe wyobrażenia, zaczął czuć grunt jakiś pod stopami. Utwory jego od tego czasu zaczynają w nim znowu ukazywać artystę pierwszego rzędu i mistrza słowa, jakim był przed rokiem 1842. Otacza je wprawdzie pewna mgła mistycyzmu jeszcze i potem, ale już nie w tej gęstości, ażeby wartość ich jako dzieł poetyckich miała cierpieć na tem dotkliwie. Owszem — zdaje się niekiedy, że ten lekki wiew extatycznej zadumy, ten tajemniczy odblask

bezdennej wiary i fantastyczności w autorze, przydaje mu prawie woni i wdzięku. Można się wtedy nie godzić na ostateczne następstwa, do jakichby uboczne intencye poety, zaledwie dostrzeżone w dziełach jego tej daty, prowadzić mogły. Ale też i nie można utworom tym zaprzeczyć — z ich stanowiska — niepospolitej nieraz głębokości w pomyśle a niezrównanej z niczem siły w wysłowieniu i rzucie.. Do tego drugiego rodzaju utworów z ostatniej doby twórczości poety zalicza Małecki „Rozmowę z matką Mokryną“ i „Króla Ducha“. Można do nich dodać i wiersz „Do autora trzech psalmów“.

Doniosłość wiersza „Do autora trzech psalmów“ polega nie tylko na niepospolitych zaletach formy — zajaśniał Słowacki w tym łabędzim śpiewie wszystkimi urokami swej czarującej fantazyi — ale głównie na dążności społecznej tego wielkiego, rewolucyjnego manifestu, którym poeta wypowiadając niejako wojnę całej polityce szlacheckiej przepowiada ludowi zwycięstwo.

Mylą się nasi krytycy twierdząc, że wiersz ten bijący tętnem chwili, która go wydała, „skompromitował autora“ i że wypadki lutowe „zadały fałsz jego hasłom“. Hasło bowiem „wszystko dla ludu i przez lud“ wywieszone przez „Towarzystwo demokratyczne“ w Paryżu a przyjęte tu przez Słowackiego, nikogo „kompromitować“ nie może, ani też krwawe sceny galicyjskie, jak nie były wywołane temi hasłami, tak też im się nie sprzeciwiały. Że poeta nie przewidział rzezi z 1846. r. z tego mu zarzutu czynić niepodobna, tem mniej urągać się z „pozorów“ jego wieszczego niby natchnienia. Ci, którzy to czynią, widzą w samem podniesieniu nowych idei zamach ojcobójstwa względem własnej przeszłości.

Poeta plącze się czasem w pajęczej tkaninie mistycyzmu, ale punkt wyjścia jego słuszny. Nie „od kłamstwa bowiem zaczął swój wiersz do autora Trzech psalmów“ nie „przekręcał słów“ przyjaciela, nie „podsuwał im myśli jakiej w nich nie było“ nie „naciągał ich wbrew oczywistości, zuchwale, bezczelnie“ (!) ale wielbiącym politykę owczego cierpienia i przepowiadającym błogi żywot na księżycu, przypomina twardą rzeczywistość śmiało i odważnie.

W ich oczach Krasiński, którego te wersalsko-poitierskie „piśmidła“ jak „Prawdy żywotne 1844.“ i „Katechizm, czyli opowiadanie słowa ludowego“, doprowadzają do plwania na wszystko, co z tego obozu wychodziło, wzniósł się w Psalmach, na ten poziom, którego ani dosięgł, ani nawet zrozumieć nie zdołał Słowacki, kołyszący się w owym czasie w zawrotnych mistycyzmu wysokościach. Nie zdając sobie sprawy z ludowego stanowiska, zajętego śmiało przez twórcę „Beniowskiego“, kłują w oczy „jaskrawością“ jego wiersza rzekomo nie w porę wypowiedzianego. Mimo, że w całej odpowiedzi „autorowi trzech psalmów“ nie ma ani szczypty osobistej zaczepki, ani osobistej urazy, mimo protestacyi poety w liście do matki (z 2. lutego 1846.), że nie myślał przyjaciela obrażać, że staje tylko w obronie idei, która tysiące ludzi obrazić może, i że z powodu tego boleje nawet nad rozłączeniem z przyjacielem młodości — dopatrują krytycy w tej walce o zasady osobiste tylko lub stronnicze pobudki Słowackiego.

Wiadomo z czyjej winy ów pożar społeczny, w zaułkach dawno tlejący, żywym wybuchnął płomieniem, rozlewając wokoło niezbrodzone fale krwi i pożogi, dlaczego lud, tak wysoko postawiony w owej wspaniałej improwizacyi Juliusza zajął rolę bratobójcy, a przecież okrzyczano Słowackiego za fałszywego proroka, kiedy Krasińskiemu, nawet przeciwnicy jego dążności, przyznali nazwę „prawdziwego wieszcza przyszłości“. Nie idzie o zatamowanie wszelkiego ruchu — tak powiadają obrońce stanowiska zajętego przez bezimiennego poetę — lecz o stosowną chwilę wystąpienia a tę czysto polityczną sprawę, bynajmniej nie zasadniczą, wysuwają demokraci na stanowisko kwestyi społecznej walki zasad. Ale dla zwolenników polityki Krasińskiego dotychczas jeszcze chwila ta stanowcza nie wybiła.

Przypatrzmy się bliżej arenie walki i uzbrojeniu walczących. Wiadomo, że przyczyną wystąpienia bezimiennego poety z pierwszemi trzema psalmami była działalność Towarzystwa demokratycznego, w którego ręku „Prawdy żywotne“ i „Katechizm“ były tylko narzędziem. Pośród chaosu rozpaczy i zwątpień chciał twórca „Przedświtu“ postawić znak wiary, wbić w sam środek serc kotwicę nadziei

ale szlachetne jego dążenia rozbijały się o szkopuł twardych jak skała warunków.

Swoje myśli i uczucia wypowiedział więc w „Psalmach“. Pierwsze te psalmy wykończone na wiosnę 1845. r. (Psalm nadziei ma w pierwszym rzucie datę z lutego 1844. w drugiej redakcyi datę 15. kwietnia 1845.) wyszły z druku pod imieniem Spirydyona Prawdzickiego w sierpniu 1845. jak tego dowodzi list Krasińskiego do Sołtana z 2. sierpnia t. r. tudzież ogłoszenie „Księgarni Polskiej“, w Dzienniku Narodowym z 13. września t. r. Nr. 232.

W pierwszym akordzie „Psalmu wiary“ dźwięczy już zasadnicza nuta całej psalmodyi Krasińskiego, której nawet przeciwnik przyznać musi, że perłami pisana. Duch jego na białych skrzydłach wszech miłości wspina się przed tron Przedwiecznego, zostawiając za sobą w dole podłości i brudy i „szatańStwo krwawej zemsty“. Nieprzebłagany wróg Towarzystwa demokratycznego przestrzega, głównie w „Psalmie miłości“ — przed podżeganiem ludu przeciw szlachcie, rzeź i grabieże nazywając niemowlęctwem narodu. Kto posługuje się ogniem z szatańskiej kuźni, chcąc przepalić moc czarta, ten spycha nas tylko w głębsze ciemności. Nie mord nieść — powiada, bo słaby tylko rzeź wybiera, czy mu na imię Maryusz, czy Robespier. Wielbiąc heroizm dobrowolnego cierpienia, czci szatę ojczyzny przeczystą — nieskalaną a kto z pośród nas podniesie rękę, aby śnieg zetrzeć z Jej sukni lub krwią Ją splamić, ten bratobójca. Naszem przeznaczeniem, wedle niego, nieść godnie koronę z róż miłości i cierpienia koleów uwitą. Trzeba najpierw nakarmić wszystkich chlebem i wylać ducha na miliony, a uczynić to może tylko szlachta, której pierś kwitnie w blizny i pali się ofiarą poświęcenia, ona pootwiera nam przyszłe, wielkie bytu niwy.

Lud sam, to martwa bryła; do rozkucia w śnie pogrążonego olbrzyma trzeba szlachty, ona ludu przewodniczką, kapłanką. Cel wielki spełni tylko szlachta zespolona z ludem. Niech wrzeszczą demagodzy za Jezuitami, że cel wielki a ukryty odwszetecznia podłe drogi i uświęca nawet zbrodnie. Hajdamackie rzućcie noże — kończy poeta swe psalmy — by was nie przeklęły przyszłe pokolenia — ale o żniw porze rozbrójcie się w sierpy, oddajcie żniwiarzom grunt a wtedy uderzcie w czynów stal.

Przeciw piekłu podnieść kord!
Bić szatanów czarny ród!
Rozciąć szablą, krawy knut
Barbarzyńskich w świecie hord!
Lecz nie nęcić polski lud,
Gdy z kolebki duch się budzi,
Gilotyna i grabieże!
Czas już przejrzeć Boga wolę!
Czas, anielski podjąć trud,
Czas, odrzucić wszelki brud,
I tem samem *znieść niewolę!*
Jedna prawda boska, czynna,
To, przez miłość, przemienienie!
Jeden tylko, jeden cud,
Z szlachtą polską, polski lud.
Hajdamackie rzućcie noże,
By nie klęły na was wieki,
Że cel wieków — znów daleki!

(Psalm Miłości. Z Krasińskiego).

Przeciw tym psalmom a szczególniej trzeciemu, zaraz po ich ukazaniu się, a zatem na niemały czas jeszcze przed smutnej pamięci miesiącem lutym 1848. r. a prawdopodobnie w jesieni 1845. r. napisał Słowacki wiersz „Do autora trzech psalmów“ w podobnym ich kształtowi kształcie, — krótkim 4—8. zgłoskowym wierszem, z przeplatanymi rymami męskimi — ale wprost przeciwnej myśli. Pieśń owa krążąca przez dwa lata w rękopisie, a pełna przepysznej formy, którą nazwał sam Krasiński jedną z przedziwności języka polskiego, brzmiącą cudownymi dźwięki, zaczyna od zarzutu psalmowi miłości, że nie cnotą, ale grzechem jest „znieść niewolę“, i tłómaczy doniosłość czynu, do którego nawołuje Psalm nadziei. Czyn ludu — powiada Słowacki — to nie w herbie ręka z mieczem, to nie mara buntu, ani Ikarowy lot poety — to ciężki i świadomy celu pochód w drogę niepowrotną. Boża myśl przebywa nietylko wśród harmonijnych Serafinów pieni, czasem Bóg rodzi się także w ciałkach krwi gorącej. Nie żegnać się wodą święconą przed nową myślą, która świeci światu jak gwiazda ognista, ale zginać kolana przed wolną i zdrową karmią ducha,

pełną objawienia cudu. Kłaść się kamieniem, kiedy wzbiera czynu fala, zawracać w stare łoże wartkie nurty, jest oznaką małodusznej polityki wieszczów, którzy tylko formą w uszy dzwonią. Na krzyk trwożliwego psalmisty: „nie rznać szlachty", utrzymuje poeta szyderczo, że chyba upiory Zaporoża snuły się wieczorem po drodze zadumanego szlachcica lub też nad oczyma zasypiającego padł czerwony połysk od karmazynu firanek — stąd krwi widzenie i lęk wodza szlacheckiego!

Żeby kiedyś magnaci polscy stanęli otrząśnieni z wieków pleśni, z wielką myślą w sercu, jako opiekuni chat, to złudzenie, bo w magnatach serce chore a rdzeń próchnem. Niegdyś było szlachty z serc i lica ze sto tysięcy, dziś pozostał tylko jeden a i ten ostatni, wielki, cichy, dumnym smutkiem poszedł gnić między królami. Ewanielia (św. Mateusz V. 22.) powiada, że kto ojcu powie *racka* (głupiś) ten przeklęty, — lud nasz, to ojciec, który gotów wyrodnego syna niby świecę zdmuchnąć. Pod męką ciał leżący duch, ów wieczny rewolucyonista, ma stokroć groźniejsze oblicze niż owa demagogia, pod której rzezią truchleje szlachta. Poeta kończy oświadczeniem, że dopóki autor „Psalmów" stać będzie na ojców kościach formą, która przed tysiącem lat ukuta, dziś spróchniała tylko ducha gniecie, póki obóz jego opierać będzie swe plecy o ten wicher płomienisty, który lud niesie a szlachtę wali, to on pomny na Cezarów, którym przeżyta tradycya kładła pod nogę swoją prywatę, poprzek stanie jego łodzi Charonowej. — Na takie wezwanie przeciwnika odpowiedział Krasiński nowym „Psalmem żalu" w drugiem wydaniu „Psalmów" 1848. r. tak usprawiedliwiając w przedmowie swój do przeciwnika stosunek:

Psalm następny z następnego powodu: Przeciw trzem poprzedzającym a szczególniej trzeciemu zaraz po ich ukazaniu się, zatem na niemały czas jeszcze przed bezbożnej pamięci miesiącem lutym 1848. r. napisano pieśń, w podobnym ich kształtowi kształcie. Ta pieśń w rękopiśmie, jedna z przedziwności języka polskiego, brzmiąca cudownymi dźwięki a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczona, wyobrazicielką niektórych dążności i myśli krążących po widnokręgach umysłowych Europy naszej. Jeden ją wybrzmiał z piersi swych — ale po wielu piersiach drzemią zamarłe

w niej tchnienia. Niesposób jej tu w całości wydać, bo imię wieszcza, który ją wyśpiewał i wola jego o niej, nieznanemi. — Pokrótce więc tylko treść w niej leżących zarzutów i pomysłów się opisze. Teć albowiem są nietylko jednego wyłączną, rzeczywistą, ale zarazem pewnej liczby drugich wspólną, idealną własnością. Kształtu się nie przywodzi — ideę tylko się podaje! Pieśń ta w uroczych a ironijnych strofach zaczyna od zarzucania „Psalmowi Miłości“ przeczuć zupełnie fałszywych i bojaźni niczem nie usprawiedliwionej, przed pewnemi wypaść mogącemi klęskami — i zapowiada absolutnem twierdzeniem, że nigdy nic podobnego na ziemi polskiej się nie zdarzy. — Dalej, szydząc utrzymuje: chyba upiory snuły się po drodze zadumanego szlachcica, plemion zmarłych po księżycu mgliły się kurhany lub też nad zasypiającemi oczyma pobłysk padł od czerwonych kotary firanek, stąd krwi widzenie, stąd strach złowieszczy, bo „któż gdzie i kiedy nożem zagroził lub stanął ci oporem?“ — Próżne mary — wcale ni mord, ni rzeź — ale z wieńca kwietnianego nadpowietrznych duchów obrywające się postaci, przelatujące w przestrzeniach „a ty zląkł się syn szlachecki“. Po takowym wstępie, pieśń przychodzi do ocenienia stanowiska całej szlachty polskiej, przyznając to, że jej niegdyś było ze sto tysięcy, ma ją teraz za zupełnie już nieistniejącą i oświadcza, że wcale i nigdzie „jej nie ma“ że w głębiach czasu gotuje się wichrowy płomień, co wybuchnąwszy zgasi i zdmuchnie jak świecę wszelkiego szlachty onej przypomniciela. — Przyjdą światła jakieś boże, widzialne wśród burz apokaliptycznych pałające — i rzucą się na lud i pchną go — a stąd cudowne powstaną strachy i przerażenia żywe, jakoby śmierci, przechadzające się po ziemi — a w nich i z niemi będzie duch! „Słaby, mówisz, rzeź wybiera; a czy wiesz co on, ten duch wybierze?“ Po tem zapytaniu, pieśń Jehowicznem wzbierając natchnieniem, — głosi, że zapewnie duch on młody wybierze za środek wcielenia się swego, ludów zatracenie — z wichrów, komet i płomieni okropne odmęty, w których króle drżą, matki ronią, ziemia się rozpada i gruzy po gruzach tylko chłonie, — a z owych zwalisk wszystkich korzysta duch, — którego definicya, że jest „wiecznym rewolucyonistą“. Nad tak, w pył rozsypanym

światem, nowa zorza unosi się w górze — a pod jej blaskami, w jakichś smętnych przestworach zatracenia, leży przeszłość historyczna kraju. — Nieskończone westchnienie słychać z tej otchłani ojczystych dziejów — ale po nad nią wszechwładny duch „ucisku, mroczy, i błyska“ aż stopniowymi uciskami uzupełni nowego Boga i wiek absolutnie nowy. Po takich przejściach, kończy pieśń gorąca i uroczystą modlitwą o rychłe ziszczenie się wyżej przytoczonych obrazów, z najmisterniejszą sztuką odmalowanych!

Na takiej treści wieszczby, odpowiedział następny Psalm. Psalmy Przyszłości przez Spirydiona Prawdzickiego (Zygmunta Krasińskiego). Edycya druga. Paryż, nakładem Księgarni polskiej. 1848.

Po tem, dość przedmiotowem streszczeniu wiersza Słowackiego, zaczyna Krasiński „Psalm żalu“ — zawsze w tym samym górnym tonie zawieszony — od tego, co go najbardziej zabolało, od zarzutu tchórzostwa. Nie próżny strach — powiada — mówił ze mnie, gdym przeczuwał, że się zasuwamy w ciemności a nie w jutrznię, kiedym przepowiadał, że lud nasz się zhańbi. Drżałem przed bliźnich męczeństwem, bo szablę kocham, ale wstyd mi noża. Bojaźń moją — twoje męstwo niech osądzi Bóg. Kiedy ziarno siane przez młokosów wersalskich, miało zejść zdradą niemiecką, ty jak dziecko zapatrzone w własnych marzeń bańkę, nie przeczuwając mordów galicyjskich, piętnowałeś mnie jako fałszywego proroka. Wolałbym był, abyś mnie, skazanego na śmierć za potwarz na lud twój przenajświętszy, prowadził w tryumfie, aż do rusztowania, niż cierpieć to spodlenie, to zezwierzęcenie ludu, który dziś (w dniach czerwcowej rewolucyi) nurza się w krwi i błocie Europie.

O mój wieszczu, stój!
Oto jutro rano
Na powstański bój
Polskie pany wstaną!
Szlachta — której nie ma —
Bohatyrściej niźli kiedy,
Wyzwie okiem Trój-Olbrzyma!
Lecz z twych niebios spadną wtedy

Twoje tajemnice —
Cepy i kłonice —
Twój oj! spadnie cud!
I tych Polski namiestników
Za kilka srebrników
Twój rozsieka lud!
I strun twoich granie
Zagłuszy wrzask mordu!
I nic nie zostanie
Z twojego akkordu.

Lud tylko *święty* — królestwo oddzierży!
Przemień go — przemień w króla i kapłana —
Lecz zanim jeszcze nie przekrólewszczony,
Nie klękaj przed nim — nie kładź mu korony,
Lecz ufaj w szlachtę polską i moc Pana!
Cóż o duchu ci się śni?
Duch twój wiecznie grzmi w twej pieśni,
Jak pogański Jowisz jaki,
Lub kataklizm śród natury,
Co świat chwyta na tortury —
To Indyjskich bóstw oznaki!
Duch twój, tylkoż myślą czystą
A nie życiem istnem szczerym?
Tylko rewolucyonistą,
Tylko Robespierem?
Filozofią — a bez serca?
Kościotrupem — a bez skóry?
O! tyś ducha jest oszczerca —
Bo go nie znasz; — tylko chmury
Co go kryją widzisz mgliste
A nie światło jego czyste
A nie kształty powietrzniane,
A nie ruchy przefaliste;
Te ci dotąd są nieznane!

. . . .

Słowacki nie przyjął tej odprawy cierpliwie, jak utrzymywano dotychczas, lecz gotował się do nowego przeciw dawnemu przyjacielowi wystąpienia, świadczy o tem niewykończony fragment w autografie, który jako ostatni odgłos owej słynnej walki zasługuje na przytoczenie:

Mój duch grzmi ponury,
Jakby dawny Jowisz jaki
Lub kataklizm śród natury,
Lub duch Indów — w tęczy szlaki
Rozsypany po niebiosach,
Z rojem różnych gwiazd we włosach.
Czasem twarzą do Was zbliży,
Jakby w mglisty czas jesienny
Miesiąc krwawy i płomienny,
Przez las waszych starych krzyży,
I przegląda się ciekawie
  Waszej wierze — waszej sławie,
  Waszej szabli — i postawie!

Dziatki, dziatki! na otchłani
  Wasze wielkie apostoły,
  W kręgach złotych słońc porwani,
  Z wzniesionemi k' słońcom czoły,
  Idą wyżej — do . . .
  . . . .

* * *

Lecz na Boga — ty lutnisto,
Ty mój bracie — ciebie znałem
  Archanioła mgłą ognistą
  Owianego — i zapałem.

I myśliłem — i dumałem,
Śledząc gwiazd nad tobą znaki,
Skąd ty jesteś — kto ty taki?
  Co nam w tobie ziemia dała,
  Jaka z Ciebie będzie chwała?

Jakie ty nam dusz orszaki
Przyprowadzisz — na komendzie
Twej miłosnej... latające,
Powiązane jak łabędzie
    Satelity twe — miesiące,
W której stronie zaszeleści
Twój chór męski i niewieści,
Z ktorej gwiazdy odedzwoni.

Którym znakiem uzna ciebie.
Której wierze się pokłoni?

. . . .

(Porównaj fragment J. Słowackiego: „Młodych śmierć nie może minąć“, zapisany na tej samej kartce autografu. (Warta 1882. Nr. 405. str. 59 — 60. i Nr. 409. z dnia 30. kwietnia 1882).

Przyczynę rozdwojenia przyjaciół charakteryzuje trafnie Prof. Antoni Mazanowski w dziele: Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Warszawa 1890. str. 108. i nast. Poróżniła ich najprzód doktryna Towiańskiego. Słowacki ujęty towianizmem, pisał doń list za listem, propagując całą siłą tę naukę. Krasiński już był wrócił wtedy na łono kościoła, oparłszy się na jego podstawach o wiele trwalej niż przedtem. Wołanie więc Słowackiego było nadaremne. Odpowiada mu odrazu stanowczo acz oględnie, aby drażliwego przyjaciela nie urazić jakiem nieostrożnem słówkiem. Nie przyjmie jednak, nie stanie się adeptem i propagatorem nowej nauki. Słowacki nie zrażał się wymijającemi odpowiedziami przyjaciela. Ale ton nawoływań Juliusza górny, apodyktyczny, pełen gmatwaniny myśli, nie zdołał ani poruszyć ani przekonać Krasińskiego. Nadeszła tedy chwila, że Krasiński musiał rozwiać resztki złudzeń i nadziei, a Słowacki zmiarkować, że go nie zjedna. To go zraziło. Napisał list wyrażający niezadowolenie, „pełen kwasów melancholijnych“. Po raz pierwszy rozdźwięk wkradł się w stosunki dwóch tych ludzi, związanych ze sobą tylu wspólnemi nićmi. Tymczasem nietylko różnica wierzeń stanęła pomiędzy przyjaciółmi, nietylko obojętność Zygmunta na naukę Towiańskiego rozdzieliła obu. Już od dawna przechylał się Słowacki stopniowo i zwolna ku demokracyi. Wyznanie poety w 9. pieśni „Podróży na Wschód“ niby na żart powiedziane:

„Czy nie widzicie? żem chory: szatanizm,
Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści,
Wierzę w religię mas, w republikanizm,
W postęp“..........;

miało wiele słuszności. „Przedświt“ a „Grób Agamemnona“, to dwa przeciwne bieguny:

Bohater z „Poematu o Piekle", to już szlachcic wysoce niesympatyczny, pijany, odrażający.

Katechizm Krasińskiego, w którym mówił:

„Ty nie szukaj w dziejach wiary,
Ty nie wdawaj się w szyderstwa"...

katechizm, całkiem nie licował z poglądami Słowackiego. W „Księdzu Marku" Słowacki nie tylko wprowadził jednego z przodków Krasińskiego i przypisał mu rolę, jakiej tenże nie spełnił, ale nadto wszystkie charaktery magnackiej szlachty wystawił w najgorszym świetle. Krasiński, marszałek konfederacyi barskiej, pierwszy opuszcza Bar sromotnie, okazując małoduszność i tchórzostwo. Kossakowski Klemens, chciwy krwi, mordujący bez potrzeby, bezecny, oszalały w końcu; starościca sam książę nazywa zdrajcą i niewdzięcznikiem, niezasługującym na modlitwę; Branicki — podły; Leon i Regimentarz mało warci. — Słowem Puławski jeden z całego zastępu uczciwy. Nie byłoż to przeciwstawieniem owemu epizodowi z „Przedświtu", gdzie przed poetą defiluje szereg pięknych, szlachetnych postaci przodków, nie byłoż to niejako zaprzeczeniem wierszy Krasińskiego? Tak rwały się ogniwa łańcucha przyjaźni, zawiązanej w willi róż i utwierdzonej we Florencyi. Cóż wreszcie mogło ich łączyć jeszcze? Religia i polityka, dwa najważniejsze ogniwa pękły. Stosunki i drobiazgi codziennego życia nie mogły stanowić dla oddalonych od siebie samem miejscem pobytu, takiego czynnika spajni lub rozdziału. Zresztą żaden z nich ani o dobrobyt osobisty, ani o przyjemnostki życia nie dbał. — Na list ów Słowackiego „pełen kwasu melancholijnego" odpisał Krasiński po raz ostatni 12. kwietnia 1843. z Rzymu i zakończył list swój pożegnaniem. Słowacki wziął to za asumpt i nie odpisał. Przerwali korespondencyę, lubo nie przestali się interesować sobą. „Ksiądz Marek", napisany w lipcu tegoż roku, stanowił rodzaj działa, wysuniętego niemal że w zamiarach wojowniczych.

W Przeglądzie polskim 1868. r. umieścił Stanisław Małachowski, długoletni przyjaciel Krasińskiego, następujące objaśnienie w sprawie sporu Juliusza Słowackiego z Krasińskim: Nasamprzód śmiem zapewnić najwyraźniej

że ani ja, ani pewnie nikt ze znajomych i przyjaciół Krasińskiego nigdy nie usłyszał od niego słów goryczy, żalu lub skargi na Słowackiego, z powodu ustępu i sądu o Michale Krasińskim w poemacie o księdzu Marku, który to ustęp mógł może Krasiński niesłusznym lub niepotrzebnym uznawać, ale nigdy tak go do serca brać, iż z powodu tego przyjaźń swą zrywać, jak to sobie mylnie Słowacki wyobrażał.

Pan Małecki w znakomitem dziele swojem o życiu i pismach Słowackiego popadł mimowolnie w błąd, czerpiąc swój domysł jednostronnie z listów Słowackiego, o przyczynie nieporozumienia między Krasińskim a Słowackim. Jeżeli nastąpiła pewna oziębłość, której wcale nie zaprzeczam, w stosunkach towarzyskich między Krasińskim a Słowackim, (bo nieprzyjaźni nie było) to ta pewnie pochodziła z wielu wcale innych przyczyn, dobrze znanych mnie jako mającemu szczęście znajdowania się w bliskich i dobrych stosunkach z obu tymi znakomitymi ludźmi. Krasiński i Słowacki, oba wielkiemi zdolnościami i darem poetycznym obdarzeni, byli jednak wskróś sobie przeciwnego charakteru, opinii i sposobu zapatrywania się na dzieje ludzkie i ich przeznaczenie. To stało się przyczyną, że ścisła zrazu przyjaźń w pierwszej chwili poznania się ich w Rzymie, miejscu tak uroczem, tak poetycznem, tak naturalnie łatwo zawiązana, następnie przy bliższem obznajamianiu się, rozwijaniu i udzielaniu sobie wszystkich swych myśli, dążności i przekonań, musiało koniecznie znacznie ostygnąć.

Wszystkie pisma Krasińskiego natchnione czystą miłością chrześcijańską, wszędzie wskazywana dążność do ideału najszlachetniejszemi jedynie drogami i zasadami, zawsze on odrzucał i brzydził się wszelkim kałem, wszelką zbrodnią, jako plamiącemi czystość ducha narodowego. Pragnął i pojmował zbawienie ojczyzny jedynie zgodnem poświęceniem się wszystkich jego synów. „Szlachta polska i lud polski“. Jakże odmiennego przekonania i sposobu widzenia był Słowacki! Osobistość całkiem fantastyczna, żyjąca jedynie w wygórowanej wyobraźni, niezdolny do czynu i stąd też nieszczęśliwy i zgryźliwy. Pojmował i wskazywał cel i dążności wzniosłe przyszłości ludzkiej, pragnął

zbawienia Polski równie jak Krasiński, ale odmiennie, bo przypuszczał w tym celu użycie najgwałtowniejszych, rewolucyjnych środków, niekoniecznie godziwych i szlachetnych. Zdaniem jego „duch ludzki, to wielki rewolucyonista". Pojmował w przeznaczeniu ludzkości pewny jakiś konieczny fatalizm, i uważał ją za skazaną na tę smutną potrzebę, że dla osiągnięcia choćby najsprawiedliwszego i najwznioślejszego celu, przejść musi przez straszne katastrofy, okrucieństwa i zbrodnie, które też we wszystkich jego poezyach wielkie zajmują miejsce. Tak sprzeczne z sobą uczucia i zdania obudwóch poetów musiały rozdwajać i nie dozwalały ścisłej między Krasińskim i Słowackim przyjaźni. Przyczyniły się też do oziębienia stosunków między nimi niektóre zajścia a mianowicie: Krasiński przyjechał był bez paszportu a z obawy, aby ta okoliczność nie wystawiła jego a zwłaszcza jego ojca na nieprzyjemności ze strony rządu rosyjskiego, nie chciał nikogo widzieć i przez nikogo być poznanym. Ostrożność tę posunął tak daleko, że zmienił nawet ubiór i o ile się dało, samą powierzchowność. Przypadek chciał, że wkrótce po przyjeździe spotkał Słowackiego na ulicy, który go przywitał; Krasiński zaś dbały o swoje incognito, udał zdziwienie i pominął Słowackiego jak nieznajomego. Słowacki im mniej to sobie umiał wytłómaczyć, tem więcej był dotkniętym i obrażonym, co przy jego drażliwej naturze łatwo daje się zrozumieć. Krasiński sam wspomniał następnie z żalem o tem zajściu mówiąc, że zrobił sobie nieprzyjaciela na całe życie. Drugim powodem do nieporozumień pomiędzy nimi był list Słowackiego do Zygmunta w najwyższy sposób niesprawiedliwy i obelżywy dla jednej z osób, (właśnie dla St. Małachowskiego) którą tenże liczył do najbliższych swoich przyjaciół. List ten Krasiński wziął bardzo żywo do serca i na długi czas zaprzestał korespondencyi ze Słowackim; ten zaś szukając powodów tego żalu Zygmunta do siebie, wpadł na domysł fałszywy, jakoby tym powodem był ksiądz Marek i wyrazem tych domysłów jest list jego do Zygmunta Krasińskiego. Do tych wszystkich powodów przybył najważniejszy ze wszystkich: Towianizm. Słowacki usilnie starał się przekonać Krasińskiego o zbawienności tej nauki i policzyć go w liczbie adeptów tak zwanego

Koła. Krasiński w pierwszej chwili, jak to słusznie zauważył p. Małecki, pobłażliwie oceniał to zjawisko i doktrynę a to z powodu, że widział w jej wyznawcach pewien zwrot zbawienny religijny. Lecz rychło rozpatrzywszy się bliżej, potępił formę, wyłączność, gwałtowność, nietolerancyę i brak miłości w adeptach. Nie zmienił jednak dlatego stosunków przyjacielskich z Słowackim, zalecał mi zawsze, abym go o tem zapewniał i pisał list pod datą 15. kwietnia 1843. r. który posiadam, w którym pisze te słowa: „Słowacki do mnie list pełen kwasu napisał, ja mu odpowiedziałem listem pełnym miłości“. To więc były główne przyczyny nieporozumienia między tymi znakomitymi, lecz tak różnych charakterów ludźmi. Słowacki wolał je przypisywać owemu ustępowi o Michale Krasińskim w poemacie o ks. Marku, lecz ostatecznie przeniknąwszy istotne powody, dał najdobitniejszy dowód swego żalu i oskarzenia tak niesłusznego, niesprawiedliwego i krzywdzącego swego przyjaciela w znanym liście do autora psalmów. Wtenczas to dopiero nastąpiło rzeczywiście zupełne zerwanie stosunków przyjacielskich.

Sąd ten Stanisława Małachowskiego należy przyjmować z wielkiem zastrzeżeniem z powodu jego przekonań zbliżonych do Z. Krasińskiego i z powodu osobistej urazy do Słowackiego.

Zerwanie z przyjacielem kosztowało Juliusza wiele ofiar — na ołtarzu sprawy, której bronił, poświęcił z bolem serca przyjaźń człowieka, który pierwszy orli lot jego twórczości zmierzył i ocenił. Oto jak po napisaniu wiersza donosi o tem samem Zygmuntowi:

Jest jedno serce, które może będzie myślało, żem zapomniał o jego bolesnej naturze; jest człowiek, który jeżeli kiedy o spoczynku i o nagrodzie doczesnej myślałem, tom sądził, iż spokojna z nim gdzieś pod lipami wiejskiemi jedna godzina, będzie mi nagrodą trudnego i bolesnego żywota. Teraz to wszystko muszę... wiesz co wybrałem... I tak będzie zawsze. Ile razy przyszło między pełną chatą a samotnością i potrzebą wyższą wybierać, zgadzałem się na to, żeby nigdy dzwonek drzwi moich na przyjście przyjaciela nie dzwonił, a czyniłem, co muszę. (List bez daty, może z 12. stycznia 1846. jak tego dowodzi list Zygmunta

Krasińskiego do Stanisława Małachowskiego w ośm dni później pisany.

Po klęsce lutowej poruszony niby słusznością wieszczby psalmisty polskiego, a uznając swoją omyłkę — tak przedstawia Małecki: Wtedyto, żałując wszystkiego, w czem przeciw Krasińskiemu zawinił! „Wtedyto niewątpliwie napisał do Krasińskiego ów list bez daty“, który w pierwszym rzucie znalazł Małecki w pozostałych jego papierach i z których tu przytaczam kilka ustępów. Atoli koncept tego listu pisany właśnie na kartach, mieszczących w sobie pierwszy rzut „Wiersza do autora Trzech Psalmów“, już to na marginesach, już poprzek pierwszego pisma, pochodzi najpóźniej z połowy stycznia 1846, jak to wynika z listu Krasińskiego do Małachowskiego z 20. stycznia 1846 r.

Cała więc hipoteza o skrusze i żalu Juliusza Słowackiego jakoby z powodu katastrofy lutowej, upada sama przez się. Oto ważniejsze wyjątki tego listu rzucające światło na stosunek przyjaciół w owym czasie rozdwojonych.

„Dzisiaj był u mnie Gaszyński (taki początek listu). Mówi mi, że w liście Twoim dopytujesz się o mnie. A gdym rzekł, iż sam w ostatnim liście zerwałeś ze mną korespondencyę, żegnając mię, obiecał uwiadomić Cię o mojej przyjaźni. I wyszedł mówiąc, iż za dziesięć dni list od Ciebie mieć będę.

Postanowiłem ten list Twój uprzedzić. Do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jej. Kochałem Cię, jak dziecko, jak gdybym dzieckiem był, kochałem Ciebie.

Szczerze teraz. — Wiem, dlaczego nie piszesz, a sam nie wiem, czy pisać możesz. Jeżeli Twój duch stoi na wysokości właściwej jemu, powinieneś kochać mnie i szanować; jeśliś dotąd cielesny jest z centaura, z orła i z lwa, jako ów człowiek Platońskiej republiki, powinieneś jak centaur stratować, jak orzeł wszponić, jak lew rozerwać: a ja powinienem Ci się oprzeć jako Ecce Homo dzisiejszy, to jest ducha wyraziwszy ciałem, nie będąc niewolnikiem nawet przyjaźni. Przed Tobą wszakże, jedynym moim w złych czasach przyjacielem, przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha podnosił nieraz i stroił, muszę stanąć jako instrument, który chociaż przez anioły nie-

bieskie dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada.

Tu usprawiedliwia się Słowacki tylko za „ks. Marka“. Bolesne rwanie się tego listu świadczy Ci — ale Ty jesteś wielki duch boży i jeden z aniołów narodu naszego. Zakrwawiać Ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać — byłoby grzechem przeciwko duchowi świata. Zdejm więc z siebie ciężar, ja Ci dopomagam...

Na Boga i wszystkich świętych pańskich! kochać mię możesz, a szanować nawet powinieneś; bo wiesz, iż jako człowiek odpowiadam za pisma moje całą osobą moją ludziom ciała. Ale przed Tobą więcej, niż to — bo jako duch staję i padam... To wszakże nie dlatego, żebym jako człowiek-duch czuł się winnym, ale przez myśl, iż Ty może — nie rozumiejąc i nie wiedząc, a myśląc o mnie — cierpisz najgorszą z mąk — tłómaczącą się Tobie krzykiem: ach! czemużem go kochał?...

... Bez miłości prawdziwej nic nie pisz, bo zakrwawiłbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym. Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział: nie tylko Ci to z ducha wymazuję, ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwięzujący. Sumieniem wszystko trzeba rozwiązać“... itd.

W takito sposób stosunki życzliwsze znowu się rozpoczęły pomiędzy nimi. Krasiński odpowiedział uprzejmie i rękę sobie podaną ścisnął. Do któregoś z przyjaciół swoich tak się wtedy o tym kroku Słowackiego i o nim samym wyraził.

...„Od Juliusza list miałem bardzo długi. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu. Najwyższe tam prawdy dziki stan przyoblekły.

Autor „Przedświtu“ zrozumiał położenie i stan duszy chorego i odpisał poecie — coraz głębiej zapadającego w zmrok Towiańszczyzny — starając się łagodnie ran jego ducha dotykać, jednakowoż się ich dotykając (Z listu Krasińskiego do Gaszyńskiego. Nicea 21. stycznia 1845.) Ale żalu ani skruchy z powodu owego wiersza — nie mieli do siebie, jak to przedstawiają krytycy.

Snać pani Bécu, rozżalona, skwapliwie napisała do syna, karcąc go za to, że przyjaciela zaczepia.

Oto, co jej odrzekł na to Słowacki:

„Jeżeli mnie zapytasz, czy wart jestem ludzi szacunku i miłości, to ci z sumieniem odpowiem, iż pracuję ciągle i krwawo, abym na to oboje zasłużył. Lecz jeśli będziesz pytać o ten fakt, czy mnie taki a taki człowiek kocha: na to Ci odpowiem, że serca są w ręku Boga, a ja mogę zasługiwać na nie, a nie mieć ich. Bolałem więc mocno, gdy mnie niby strofujesz, że obrażam moje przyjacioły. Nikogo nie obrażam. Ale praca moja tysiące ludzi obrazić może. Dla takich to rzeczy mocniej niż kiedykolwiek boleję nad rozłączeniem naszem. Paryż, dnia 2 lutego 1846 r.

W kilka miesięcy później mógł już pisać Słowacki do matki, że „z tym, z którym wysłałaś mię pojednanego, jestem w przyjaźni i mam czułe listy od niego, mówię o Zygmuncie. Nigdy nie myślałem go obrażać, ani mu szkodzić, teraz zwłaszcza, gdy radbym kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli i cząstką mego szczęścia szczęśliwi". (Sierpień 1846.)

Z obu tych listów Juliusza wynika na pewno, że po napisaniu odpowiedzi psalmiście stosunki ich przyjacielskie nie tylko że się nie zerwały, ale właśnie w owym czasie na nowo zawiązywać się poczęły. Walka to bowiem nie była ani osobista, ani partyjna, chociaż mimowoli zabarwienia ma coś z tej i z tamtej. W gruncie rzeczy stoją tu na słonecznych wyżynach poezyi naszej, dwa duchy równie czyste, równie idealne, — lecz patrzące sobie w oczy z dwóch przeciwnych krańców. Pierwszy, zwrócony smętną, szlachetną twarzą po za siebie, patrzy w zorze zachodu i apoteozuje przeszłość — drugi wychyla rękę z mgieł tajemniczych i wskazuje palcem ku wschodowi, ku przyszłości; pierwszy unosi się na promieniach oderwanych idei i groby niemi oświeca, — drugi stąpa olbrzymimi krokami po wulkanach i krwi kałużach, w ciemnościach niedoli ludów.

Autor odpowiedzi Psalmom nie zrywa zresztą z przeszłością, bo i z pamięcią zerwać niepodobna, lecz widzi ją tylko jako trumnę i próchno, z którego latarośl przyszłości

zdrowe czerpie soki, nie będące jednak jedynem jej pożywieniem, gdyż ona rozwija liść swój wśród powietrza, w którem są nieznane przyszłości powiewy i wonie, ku słońcu, którego brzaski rozlewają się już na wschodzie.

Stanowisko swe ludowe wyświetlił poeta nie tylko w tej odpowiedzi, ale także w innych utworach (że tu wymienię z współczesnych tylko „Niepoprawnych“, albo i „Króla Ducha“, a nawet listy do rodziny). Oto jeden przykład: Paryż, grudzień 1848. Najmilsi moi. List wasz ostatni zrozpaczony o wioseczanem waszem położeniu mocno mię zasmucił. Rozbierałem w sobie głęboko wasze położenie, czułem go boleśnie, bo wiem, co to mieć opodal gromadę ludzi, złą wolą ku nam wytężonych. We wszystkiem, chcąc wyjść z biedy, trzeba drogę odmienić, trzeba formę wziąć nową (znieść pańszczyznę). Lecz trzeba to uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzymywaniu rzeczy, które od nas odlatują w przepaść. A pańszczyzna i królowanie szlachty polskiej jest jedną z takich rajskich róż, które już Ewa polska na wieki utraciła.

Ja mieszkam pięć lat w domu jednym a pewny jestem, że portjer, który mi służy, po mojej śmierci przyjąłby z miłością wielką i weselem ciebie, Filu, gdybyś na mojem miejscu mieszkać przyjechał i miałby zaraz dla ciebie nadskakujące nogi. A wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienowani jesteście? Któż winien? Świadczę się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł mieć i serca tych ludzi na wieki. Kto wam miłości ludzkiej nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa. Powiedźcie więc sobie, żeście nowi i musicie się wydostać z tej przepaści własnemi siłami, a ja wiem, że Bóg wam pomoże.

Paryż, dnia 22. stycznia 1849. „W dzień wilii czułem wasz smutek, czułem was w domku waszym. Teraz widzę, jakeście rozesłali po chatach jadło i siedzicie samotnie, oczekując, czyli się nie nawrócą ku wam serca ludzi. O, nie, nie nawrócą się te duchy, ale z urąganiem będą w brzuchy lać słodkie mleko maków, miodem nasycone, ale sercem i duchem Chrystusa nie otchnięte, tak, aby prawdziwie we wnętrznościach zasmakowało. Nie, siostro moja droga, nie przynęcisz ty ludzi prosem! Trzeba cze-

goś mocniejszego w ludzkiej naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało. Znałaś miłość dziewiczą, panieńską. Miłość zawsze jest jednej natury.

Jest to czar, który do nas pociąga, albo jakieś przekleństwo wewnętrzne, które od nas odpycha. Przełam w sobie to a nawet, choć bić będziesz kijem, ludzie kochać cię będą. I owszem, jeszcze mocniej nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorżką, wzgardą naszą fałszowi każdemu przynależną uderzyć, a gdy to czyniąc, nie czujemy w sobie żadnej wyższości osobistej, tylko miłość rozważną i ojcowską. — Ostatnie słowa możnaby zastosować i do odpowiedzi Krasińskiemu.

Przekonania swoje był gotów stwierdzić czynem. Wiadomo, że podczas rewolucyi 1848 roku w towarzystwie kilku ziomków udał się do W. ks. Poznańskiego i chciał walczyć w szeregach kosynierów, którymi dowodził Ludwik Mierosławski. I tylko przez wzgląd na słaby stan jego zdrowia, dogorywał już wtedy na gardlane suchoty, jak również że mógł oddać ojczyźnie daleko większe usługi na innej drodze, odwiedziono go od zamiaru wzięcia się do broni. J. Reitzenheim. Jul. Słowacki. Paryż 1862.

Stanisław Małachowski, który prostuje kilka szczegółów tego wielkiego wieszczów nieporozumienia, myli się twierdząc, że po napisaniu owego listu „Do autora trzech psalmów" nastąpiło zupełne zerwanie stosunków przyjacielskich, szczęśliwym bowiem trafem mieści się koncept jednego z najserdeczniejszych listów Juliusza do Zygmunta, właśnie na kartach autografu wiersza „Do autora trzech psalmów".

To tylko pewna, że po serdecznem podaniu ręki przez Juliusza na początku 1846. r. zastał już przyjaciela oziębłejszym, wykopał był już między nimi przepaść spirytyzm, który niebawem grób zgotował Słowackiemu.

Nie zamilkł jednak po przeczytaniu dwu ostatnich psalmów (żalu i dobrej woli), przygnieciony — jak chcą inni — wstydem lub zasypany słusznymi wyrzutami.

Aż do samej śmierci, która nastąpiła w rok niespełna po ostatnich strzałach owego pojedynku na rymy, przekonany był Słowacki o słuszności zajętego przez się stano-

wiska. I nie mamy żadnych na to dowodów, żeby tego wystąpienia swego kiedykolwiek żałował.

Z mętnego zaczerpniętą źródła jest także wiadomość, jakoby Krasiński mimo pocisków miotanych na niego przez Słowackiego „wspomagał tego niegdyś przyjaciela a później niestety *potwarcę* (!) swego“ stale a tak skrycie, że „Słowacki nigdy się nie domyślał, skąd mu ta pomoc przychodziła“. Przeczą temu rachunki z lat ostatnich Słowackiego w tece — udzielonej mi łaskawie przez Małeckiego do użytku — wykazujące wcale pokaźny jak na owe czasy kapitalik w papierach wartościowych, wynoszących kilkanaście tysięcy franków, prócz zasiłku tysiąc kilkuset franków rocznie od matki, która mu je w tym czasie, wbrew owemu twierdzeniu, regularnie przesyłała.

O ogłoszeniu wiersza Słowackiego krążą najrozmaitsze wieści. Józef Reitzenheim wspomina w swej biografii Słowackiego, (Paryż 1862.) że poeta nie miał zamiaru ogłaszać go drukiem i tylko okoliczności niezależne od jego woli zrządziły, że ten płód chwilowej goryczy wyszedł na świat. „Opuszczając Paryż — powiada — przy końcu roku 1848. byłem z pożegnaniem u Juliusza, w rozmowie kilkogodzinnej i ostatniej pomiędzy nami, ubolewał ciężko, że ogłoszono ten wiersz. Nie wspominając tedy o tym płodzie, uważałem się w pewnym względzie jako wykonawca jego ostatniej woli.“ Ta pozornie tak pewna wiadomość ma swoją piętę Achillesową — podaje bowiem czas napisania (nie ogłoszenia) tego utworu na rok 1848. a wiemy przecież na pewne, że powstał przy końcu 1845. albo najpóźniej na początku 1846.

O przyjściu do skutku owego wydania „Wiersza do autora trzech Psalmów“ w roku 1848., udziela Cypryan Norwid w pisemku „O Juliuszu Słowackim“, Paryż 1861. roku co następuje:

Edmund Chojecki miał być razu pewnego z wizytą u Słowackiego i trafił właśnie na taką chwilę, w której poeta rzucił w płomień płód ten swojej gorączkowej fantazyi. Wyrwał tedy z ognia (?) co prędzej pan Chojecki rękopis na zagładę skazany i wziąwszy go do siebie, kazał go niedługo potem przy zdarzonej sposobności w Lipsku oddać do druku. Na to odpowiada Małecki: „Daruje mi

szanowny autor, że się ośmielę powiedzieć mu otwarcie, iż snać zażartował ktoś z niego, udzielając mu do dzieła jego tę prawdziwie mitycznej wiarogodności bajeczkę.

Jeżeliby to miał być brulion: to go właśnie mam przed sobą; gdyż manuskrypt, z którego oddrukowano wiersz w mojem wydaniu, jest to właśnie dopiero pierwszy rzut jego z licznemi mazaninami i poprawkami po różnych miejscach, ale bez tych odmianek, które są w wydaniu lipskiem i bez żadnych też śladów. . płomienia, z którego miał rękopis ten być wydobyty przez pana Chojeckiego."

Profesor Antoni Małecki ma zupełnie inną wiadomość o dziejach wydania tego wiersza: Manuskrypt, z którego je zrobiono, przywiozła do Księstwa Poznańskiego z Paryża pani Lubieńska, autorka powieści „Niedowiarek" — otrzymawszy go tamże od Mickiewicza, któremu, jak widać, musiał rzecz tę przynieść ktoś trzeci, i to oczywiście ktoś taki, który ją spisał sobie tylko z pamięci, a z pamięci lichej i słabej — nie zaś z rękopisu bezpośrednio pochodzącego z pracowni autora. Od pani Lubieńskiej dostał odpisu tego wiersza młody naówczas literat Ryszard Berwiński, któremu utwór ten do tego stopnia się podobał, że w nim bezsensów nie dostrzegał i nie miał spokoju, dopókiby się nim nie podzielił z całą publicznością. Przez pośrednictwo jednego z posłów wielkopolskich, na osławiony Sejm niemiecki do Frankfurtu, właśnie wtedy jechać zmuszonych, potrafił pan Berwiński przeprowadzić wiersz ów przez zagraniczną prasę — w Lipsku. Słowacki dowiedział się później o tem, kto bezpośrednio spowodował ten krok zupełnie widokom jego przeciwny. Były o to niemiłe i cierpkie bardzo korespondencye między Paryżem a Poznaniem! Ale co się stało, nie mogło już być odrobione.

To, co opowiada Cypr. Norwid o wyrwaniu wiersza z płomieni (przez Chojeckiego) jest bajeczką, jak to już wykazał Małecki, chociaż podane przez niego przyczyny nie ze wszystkiem są przekonywające, wychodzi bowiem z założenia, jakoby druk lipski był apokryfem, a pierwszy rzut ogłoszony w Pismach pośmiertnych (1866. i 1885.) był jedynym tekstem autentycznym. Wiadomości, że R. Berwiński, otrzymawszy rękopis od Lubieńskiej, podał go do druku bez wiedzy i woli autora, zaprzecza okoliczność, że wiersz

ten z poprawkami przysłał poeta sam rodzinie wraz z innymi swymi utworami w safian oprawiony — skąd go ogłoszono w niniejszem wydaniu Dzieł Słowackiego. Żeby wiersz ten przywieziony do Poznania przez p. Łubieńską był jej dany od Mickiewicza, przeciw temu zaprotestował już Aleksander Chodźko w Roczniku Towarzystwa historycznego w Paryżu z 1868. r. (List do dyrektora bibl.) Na każdy sposób jest tekst lipski późniejszą redakcyą poety, odnośnie do tekstu ogłoszonego w Pismach pośmiertnych Juliusza. Już Tarnowski nie mógł się zgodzić z Małeckim na to, ażeby ta dopiero wersya owego wiersza, którą podał w Pismach pozgonnych była poprawną „Niedorzeczności“ lipskiego tekstu polegają głównie na pomyłkach drukarskich, widocznych i łatwych do sprostowania; (np. i kara zam. Ikara, tracić zam. trącić, wzupełni zam. uzupełni) całości zaś nie zbywa na związku wewnętrznym. Wiele nawet względów przemawia za tą właśnie redakcyą lipską. I tak np. kolej ustępów, podług której wiersze „We łzach nasze ręce podnosimy“ przychodzą zaraz po Widzeniu, jest wobec następstwa w wydaniu pośmiertnem piękniejszą i właściwszą. Te i tym podobne ustępy, które tonem i natchnieniem tworzą całość organiczną, przegrodzone są w wyd. pośmiertnem innymi epizodami, co osłabia wrażenie.

Pierwszy zatem druk wiersza ma to za sobą, że przez kogokolwiek w świat puszczony, wyszedł przecież pierwotnie z rękopisu autora samego, który uważał go za autentyczny.

Szalę pierwszeństwa przechyla na stronę wydania lipskiego waryant, umieszczony na boku autografu, zaczynający się od wierszy:

Lecz ty drżysz, gdy z ducha gminu
Błyśnie w ogniach twarz człowieka!
Drżysz, gdy od kos ukraińskich
Długi, smutny brzęk zaleci
Do Warszawy — gdzie was dzieci
Straszy teraz twarz Kilińskich.

Wersya ta dopisana później — a tylko późniejsze wstawki zwykł Słowacki umieszczać po bokach rękopisu —

występuje w edycyi lipskiej w tekście, kiedy w pierwszym. rzucie (ogłoszonym jako tekst poprawny w wydaniu pośmiertnem) wygląda ten czterowiersz jeszcze niewyrobiony Przytaczam go, aby czytelnik mógł sam osądzić, czy mam słuszność:

A ty, który budzisz czyn,
Gdy spojrzałeś w ludu oczy,
Rzekłeś, że z nich rzeź wyskoczy!
A kto inny jest niż gmin?

(Porównaj jeszcze w wyd. niniejszem tom IV. str. 336. wiersz 105.)

Przyczynę spóźnionego ogłoszenia wiersza tłómaczę sobie względami przyjaźni Juliusza dla Zygmunta, której zbyt jeszcze świeże wspomnienia nie pozwalały mu na rzucenie publiczne rękawicy do walki, choćby nawet w imię zasad. Skoro jednak na krok ten odważył się pierwszy sam Krasiński i ogłosił drukiem „Psalm żalu“ 1848., w odpowiedzi na rękopiśmienny wiersz „Do autora Trzech Psalmów“, okazała się konieczność ogłoszenia go drukiem, ażeby czytelnicy mieli możność usłyszenia głosu oskarżonego wobec przeciwnika, który (jak przesadnie głosi wielbiciel Zygmunta) deptał już zwyciężonego i leżącego na ziemi.

Wiersz Słowackiego w ostatniej redakcyi, przestawiony i skrócony, wyszedł pod koniec roku 1848. w Lipsku p. t. Do autora Trzech Psalmów, przez *** Lipsk, nakładem Księgarni zagranicznej (Librairie etrangére) 1848. r. (egzemplarze dziś bardzo rzadkie, nie posiada ich żadna z naszych bibliotek publicznych). W listach Z. Krasińskiego do Stanisława Małachowskiego, Baden, 5. grudnia 1848. czytamy w dopisku te lakoniczne tylko słowa: „P. S. Słowackiego wiersz wyszedł w Lipsku, mam go.“

Autor „Psalmu żalu“ wspomina o Juliuszu w „Niedokończonym poemacie“, części ostatniej, pisanej po 1848. W dyalogu pomiędzy Aligierem, Blaumanem a Pankracym bierze udział czwarta osobistość — mianowicie Julinicz. (Juliusz Słowacki) wieszcz ludowy. Aligier zapytuje Blaumana, czy potrzebną jest zagłada szlachty? Pankracy wzywa Julinicza, aby odpowiadał:

Julinicz, (wychodzi z grona chórowego). Ja wielki duch! proroczy duch! Znajcie mnie.

Pankracy. Więc mu za śpiew odśpiewujże śpiewem.

Julinicz. Nie czem innem, o bracia, jedno śmierci rozrobem kończą się ery planety. Otoć chwila — i wieków dwanaście ma umrzeć, a nim umrą, mają być wzięte na torturę zato, że zbrodniczyły wciąż, a nie znały, co duch! Dziś nie to, co niegdyś! Niegdyś modlitwa i łza i skrucha, tem było chrześcijaństwo. Dziś moc ucieleśniona, ruch, pęd, wir, ton, władza, nakaz, uoręźnienie Pańskich tchnień, dziś do dzieła nawet łotrów dobiera Pan. Jak młotów, kos, cepów, dzid i mieczów tysiącem, niemi obraca na wsze strony i bije się po świecie, by zatracić wrogi swe, wrogi ludu. Dla wszechprzyszłości cóż znaczy szlachta lacka? Kilkadziesiąt tysięcy ludzi — chcesz? kilkakroć nawet — kropla w oceanie. Jeśli jej łaknie ocean, — rzucić ją. Takie dzisiejsze chrześcijaństwo, bo się wybrał ziemię sądzić Pan i sądzi ją przez nas — święte swe, ujasnowidnione swe, proroki swe. I ot! wspomnisz ty niewierny, nadejdą burze i zawieruchy żywe, z żywych ludzi wiejne, mnóstwa, przechadzające się po zwaliskach i popiołach, ofiarujące mord Bogu, — i będzie Bogu miłym mord, bo całopaleniem tylko ciągłem wstępuje w niebo na ołtarz kołujący, ten planeta, na którym ludzkość kapłanem i ofiarnikiem wiekuistym, i zużyte jej plemiona i kasty i myśli ofiarami".

Jak w owym czasie spoglądano na ten spór, świadczy artykuł w „Przeglądzie Poznańskim" (VII. str. 423:) „Wiersz Słowackiego drukowany nie był, ale się rozszedł w licznych odpisach i wiele po swojej drodze zazdrości i goryczy podsycił. Autor jego kiedyś umiał wtórować tęsknocie serc, umiał naszej fantazyi nieskalane otwierać obszary. Długo szukał kształtów dla swojej zmiennej, ale bogatej i zawsze artystycznej myśli, długo szliśmy za nim krok w krok ze współczuciem, nawet wtedy, kiedy już się błąkać po ciemnych i chłodnych drogach ironii zaczynał, w końcu odstąpiliśmy go tak, jak go wszyscy odstąpili. Cóż mu teraz pozostało z tylu świetnych nadziei, z tylu jasnych obietnic młodości? Nic, nic! Znać, że w jego sercu, z którego miłość wygnał, zaległ niesmak nienasyconej dumy i trawiąca niechęć do wszystkiego, co jest zgodą, harmonią i spokojem

na świecie. O, zapewne, talent go nie odbiegł, dzielnie włada językiem i wie, jak jaskrawą suknią myśli swoje przyoblec, rzuca często słowa nienawiścią potężne; ale nie już nie umie tylko siać w sercach i umysłach ruiny, które, zdaje się, iżby chętnie koło siebie widział."

Niniejsze waryanty wiersza „Do autora trzech psalmów" podajemy z pierwszego tej odpowiedzi rzutu, który uważał A. Małecki za ostatnią, wykończoną przez poetę redakcyę. Kursywą odznaczamy miejsca różniące się od wydania lipskiego z 1848. r.

Str. 331. Tytuł: W przypisku wiersza „Do autora trzech psalmów" dodaje wydawca uwagę:

Wiersz ten był już drukowany i znany jest powszechnie. Ale wychodzi teraz w czystej i pierwotnej swojej postaci, oczyszczony z licznych bezsensów, jakie go szpeciły w dotychczasowych wydaniach, i pomnożony wielu ustępami, które dotąd nie były drukowane.

Str. 333. po w. **6.** „Czynu — czynu naród czeka". stało:

Lecz ty wiesz, bez ducha gminu
Jaka słaba pierś człowieka...
A ty, który budzisz czyn,
Gdy spojrzałeś w ludu oczy,
Rzekłeś, że z nich rzeź wyskoczy!!
A kto inny jest — niż gmin?

Zamiast czterech ostatnich wierszy tego ustępu znajduje się w rękopisie dopisany na boku taki wyryant:

Lecz ty drżysz, gdy z ducha gminu
Błyśnie w ogniach twarz człowieka!...
Drżysz, gdy od kos ukraińskich
Długi, smętny, brzęk zaleci
Do Warszawy — gdzie was, dzieci,
Straszy teraz twarz Kilińskich...

Str. 334. po w. **38.** „Być na ziemi — jest być w niebie!" czytamy w pierwszym rzucie następujący ustęp wypuszczony w wydaniu lipskiem 1848.

Jam spróbował na mej głowie,
Na kształt gwiazdy kałakuckiej,
Nosić gwiazdę myśli ludzkiej
I z tą gwiazdą żyć surowie.

I przybiegli Aniołowie,
Aniołowie Betleemscy —
A odbiegli ludzie ziemscy
I drzwi moje pożegnali,
I przeklęli... me domowe
Duchy — serce — moją głowę —
Każdy włos poprzeklinali...
A jam przecie, bez ich wiedzy
I bez serc ludzkiego ciepła
Czuł, że w żyłach krew nie krzepła.
Ani na rozstajnej miedzy,
Która świat od Boga dzieli,
A do przyszłych idzie światów,
Rosło mniej tęczowych kwiatów,
Choć suszyli ją i klęli.
I dla tego, żem się umiał
Pohamować — być nad zgraję —
Wichr przeleciał i wyszumiał
I legł martwy... a ja wstaję;
Bo ojczyznę mą w łańcuchu
Widząc, miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie klął ruchu...
Czuł gorących — bo sam gorę,
Modlił się o czasy nowe
I o wrogów mych zwycięstwo,
Choć groziło mi męczeństwo
I w sąd.... mogło pójść o głowę.
Bo ty nie myśl, że z Anioły
Tylko boża myśl nadchodzi;
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły!...

Po tym ustępie zaczyna się dalszy tekst w autografie i w wyd. lipsk. od wiersza: „A ty, jasny jakiś panie“.

Str. 334. po w. **46.** Obejrzawszy świat z wysoka“, następuje: *Wieszcze rymy*, jakby cugi...

Str. 334. po w. **57.** „Jak ogniste meteory“ następuje w autografie: „Stopom *ludu podścielona,*
Bo gościńce *Irydiona*
Pielgrzymowi, *który* od nich

Bierze ogień i kolory,
Gdy już gwiazd *dochodzi* wschodnich.

Str. 335. po w. **71.** „To jak słońce w półobłoku" następuje wiersz:

„Oczom *wschodziła* i rosła".

Str. 335. po w. **79.** „Dziś co? — Każdy wieszcz rozkazem," następują wiersze:

Każdy patron... *lecz* za sobą;
Nie z promieniem, lecz z wyrazem,
Nie *duch*-duchem, lecz osobą.

Str. 335. po w. **96.** „Skier nie weźmie z jego oka;" następują w autografie zmienione potem wiersze:

Tylko *nędzne ujrzy* płachty,
Zamiast wieszcza — sztandar jego
I krzyk: „na Boga *żywego!*
„Ty, kto jesteś? nie rżnij szlachty!!.."

Str. 336. po w. **104.** „Z całem dawnem Zaporożem?" następuje taki ustęp w autografie:

„Możeś *widział pochód* głuchy,
Krzyki krwawe *i namiętne*,
I księżyce nad krwią smętne
I sokoły w mgle, jak duchy?
Może tobie zastąpiły
W poprzek twojej sennej *stecki* (w wyd. lipskim
[1848. *hecki*).
Same tylko ich mogiły —
A ty zląkł się! *wódz* szlachecki!!" —

Str. 336. w. **116.**, **120.** i **122.** opiewają w pierwszym rzucie:
I mgły krwią czerwienił *własną*,
Jako perły zausznice
Niby róże — niósł u strzemion.

Str. 336. po w. **133–4**: „Znów *powracał* na kurhany —
A ty zląkł się! — syn szlachecki!! —

następuje w autografie ustęp wypuszczony w wyd. lipsk. 1848. roku.

Duchy lecą i nie giną —
Czasem pełne snów czerwonych:
Czy ty jeden z przestraszonych
Ręką rzezi — gilotyną?

Poczem od wiersza **135.** „skądże taka w tobie trwoga“ zgodnie w obu redakcyach.

Tylko po w. **140.** „Twych firanek karmazynem“ wypuszczono, zdaje się dowolnie w wyd. lipsk. „Owionięte, osłonione“. Dalej od wiersza „Jak róż jasne — jak sen płonne,“ jak w tekscie.

Str. 337. w. **152.** „Był *krzyk stójmy! był krzyk* strachu“. poprawił poeta w wyd. lipsk. 1848.: „Był okropnym krzykiem strachu“. Nieznaczną tylko odmianką jest w. **157.** „Z wielką myślą w sercu — głowie“ i w **160.** „*I świat* cały od nich zgore“...

Do zmian stylistycznych zaliczają się str. 337. w. **162.**
Wąż im sercem, *a* proch rdzenią!...

w. **166.** „I *kraj* cały nie znał więcej“.

w. **171.** „Smętną jakąś *nieszczęść* sławą
Był szlachcicem i miał prawo...
Dziś — i ten nie został z wami
I godności swej nie trzyma;
Poszedł gnić między królami.

Po w. **176.** „*Już* go nie ma — i was nie ma!“ następują w rękopisie ustęp w wyd. lipsk. opuszczony:

Nie myśl, że wszystko na naszej łące
Smutnieje, więdnie, zachodzi nocą,
Że nietoperze ociemniające
W powietrzu cicho skrzydły łopocą,
Gdzie znajdą lampę — skrzydły zaduszą,
Gdzie znajdą ciepłą krew polską w żyłach
To ją wysmokczą — serce wysuszą —
Mózg o waryackich zostawią siłach.
Nie tak, tu nie tak... jak ci się może
Przyśniło, głośny szlachty upiorze!

Następują potem dwa ustępy, pierwszy zaczynający się od wiersza na str. 339. w. **225.** „Duch, ogień, młodość

z odmianką wiersza 237. „W skrze nieustannej" i drugi ustęp zakończony odmianką w. 256—9.

I gromadzą się włódarze
Z kosami na roli;
Bo się *w sercach — w śnie* pokaże
Człowiek dobrej woli..

„Bądźże *żywotniejszej* cery," z dopiską na boku rękopisu „Bądźże *mi weselszej* cery" przyjęta w wyd. lipsk. 1848. r.

Str. 338. po w. **185.** „Gdy słoneczny wóz wyciąga", brzmiały pierwotnie wiersze następne:

Jak pies, węża mając szyję
I łza skrzy i w oczy bije".

poprawione w wydaniu lipskiem, równie jak wiersze 211—212.

Więc się bój: — bo duch się wdziera
Zewsząd i podważa wieże.

Str. 339. po w. **224.** „Pod męką ciał leżący duch," następuje zmieniona potem modlitwa, umieszczona w wyd. lipsk. na przedostatniem miejscu, zaczynająca się od wierszy:

We łzach *Panie*, ręce podnosimy do Ciebie.
Odpuść nam *nasze* winy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla *naszych ran* i zmazy.

a kończąca się słowami:

W tej błyskawicy *ujrzym się i* zdaleka.
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, *jako* Anioł, w człowieka
I stanie ludem świata!...

Następujące potem widzenie ma również niektóre waryanty:

A tu niżej
Pan poniży
Namiętnych...
Chór *przychodzi*,
Zda się w łodzi,
O *brzegi* trąca.

Nad smętnymi
Lampa ziemi,
Okrąg miesiąca. (wyd. lipskie: *Krąg*).
Aż *uzupełni* (wyd. lip. Aż *w zupełni*)
Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
Jak *miesiąc* w pełni.

W wyd. lipsk. tutaj dopiero następuje wspomniana modlitwa, w autografie zaś bezpośrednio w. **310.** i nast.

„W takim hymnie wieszczu stój"

z następnemi odmiankami w. **315.**, **318.** i **321.**

Wszystkie *tego wieku* struny,
I błękitu rzuci na tła
Chrystus *wyjdzie* na ciał *złamy*
I z Chrystusem się spotkamy,
A spotkania plac powietrze! —

Na tem kończy wyd. lip. W autografie mamy jeszcze następujący ustęp po w. **323.**

Lecz dopóki ty i twoi
Duchem bożym nie skrzydlaci,
Chcecie stać na głowach braci,
Tak jak szatan dotąd stoi,
Ciałem — formą, która kuta
Od tysięcy lat na świecie,
Choć spróchniała — duchy gniecie
Wyrobiona i przeżuta,
Przeświecona piekłem mara,
Dla was święta tem, że stara...
Póki wy, jakby z kamieni,
A kryjący strach kobiecy,
Opieracie wasze plecy
O ten wiatr z gwiazd i z płomienia,
Który się jak słońce pali
I lud niesie, a was wali —
Lecz dotychczas jeszcze szczędzi
Najpiękniejszych od zagłady,

Aż nie mogąc, dusz gromady
Przerażone z ciał wypędzi:
To ja — pomny na potrzebę
Przyszłych ludzi, tych Cezarów,
Którym każdy stary narów
Kładł pod nogi kamień, glebę,
Męczenników pełną chatę,
Swój interes i prywatę;
To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem,
Charonowej twojej łodzi,
Pełnej trupów — poprzek staniem!

Bibliografia tego sporu jest następująca: O wzajemnej przyjaźni świadczą między innemi:

J. Słowackiego dedykcye Z. Krasińskiemu „Balladyny" Paryż 1839 i „Lilli Wenedy" Paryż 1840.

Z. Krasiński: Kilka słów o J. Słowackim w Tygodniku literackim Woykowskiego, Poznań 1841 str. 175 i n.

J. Słowacki: Noc Letnia Krasińskiego, w Trzecim Maju, Paryż 29. kwietnia 1841. Tudzież cała owczesna korespondencya Słowackiego i Z. Krasińskiego. Wystąpienie Krasińskiego w „Psalmach" zawarunkowane było następującemi pismami:

(Henryk Kamieński) Filaret Prawdowski O prawdach żywotnych narodu. Bruxella 1844 str. 444.

(Henryk Kamieński) Filaret Prawdowski. Katechizm demokratyczny czyli opowiadanie słowa ludowego przez Filareta Prawdowskiego, Paryż 1845. (Dzien. narod. 31. maja 1845.) Na te dzieła była odpowiedź:

Spirydiona Prawdzickiego Psalmy Przyszłości, Paryż 1845 (Psalm wiary, nadziei i miłości) str. 47. Edycya druga pomnożona (psalmami żalu i dobrej woli). Paryż 1848, str. 102 z odpowiedzią Słowackiego na str. 51—3.

Psalmy przyszłości przez Sp. Prawdzickiego, recenzya w Przeglądzie Poznańskim 1845., t. II. str. 138 i nast. Orędownik naukowy, Poznań 15. października 1845 nr. 21 str. 168. Dziennik Narodowy, Paryż 31. maja 1845 nr. 217 i 13. września 1845 nr. 237.

Dziennik Narodowy, Paryż 1846 nr. 258 i 272 i nast. (rzezie galicyjskie trwały od 18. lutego 1846) Manifest rządu narodowego wyszedł w Krakowie 22. lutego 1846.

Nowe Psalmy Przyszłości. Przegląd Poznański 1848 t. VII. str. 623 i nast.

Z. Krasińskiego List do R(omana) Z(ałuskiego) z przedmową ostatniego, w dodatku miesięcznym do Czasu, t. XIII. Kraków 1859 str. 515 i nast.

Do wieszcza psalmów. Przegląd Poznański, 1860 t. XXIX. str. 271 i nast.

Z Krasiński: Niedokończony poemat (dyalog Julnicza, wieszcza ludowego z Pankracym pis. około 1848 r.) druk. Paryż 1860.

Wyjątki z listów Z. Krasińskiego t. I. Paryż 1861.
Cyprian Norwid o Juliuszu Słowackim Paryż 1861.

Jul. Klaczko: Poezya polska i poeta bezimienny w XIX. wieku. Dziennik literacki 1862 nr. 22 pierwotnie w Revue des deux Mondes na styczeń 1862 pt. Le poéte anonyme de la Pologne.

Józef Reitzenheim: J. Słowacki Paryż 1862 str. 24.
(Ch. Edm. Chojecki) La pologne et ses trois poetes, Londres 1864 str. 117 i nast.

Jul. Starkel: Pisma pośmiertne J. Słowackiego w Dzienniku literackim z 7. sierpnia 1866, nr. 32 i nast.

Stan. Tarnowski: Prof. Małeckiego J. Słowacki, w Przeglądzie Polskim, Kraków 1867 t. II. str. 334 i nast.

Aleks. Chodźko: List do dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu Issy sur Seine 15. maja 1868 (w roczniku Towarzystwa historycznego w Paryżu 1868.)

Stan. Małachowski: Objaśnienie w sprawie sporu J. Słowackiego z Z. Krasińskim, w Przeglądzie Polskim 1868 III. 340—3.

Z. Krasińskiego Listy do Edw. Jaroszyńskiego ogłosił M. Gorzkowski Kraków 1871.

Warta (korespondencya Krasińskiego ze Słowackim, wiersze z autografów Słowackiego i Krasińskiego) w każdym roczniku prawie. Poznań 1878 nr. 196 i 212; 1879 nr. 241, 245, 249, 253—4, 256, 258, 259, 264, 265, 276, 277, 279; 1881 nr. 351.

Ant. Małecki: Juliusz Słowacki, drugie wydanie. Lwów 1881 (na kilku miejscach).

J. Słowackiego: Do autora trzech Psalmow, fragment z autografu w „Warcie“ poznańskiej 1882 nr. 405 i 409.

Z. Krasińskiego: Listy do K. Gaszyńskiego. Lwow 1882 t. I. (na wielu miejscach).

J. Słowacki: Do autora trzech psalmow, ułamek z autografu. „Nowiny“ warszawskie, 1882 nr. 127.

St. Krzemiński: J. Słowacki, w Złotej Przędzy poetow i prozaików polskich. Warszawa 1883, str. 161 i nast.

Jul. Słowacki: Listy do matki t. I—II. trzy wydania. Lwów 1883 (w dodatku Listy do W. Stattlera i korespondencye z Z. Krasińskim.)

Z. Krasińskiego Listy do A. Sołtana t. II. Lwow 1883 (na wielu miejscach).

Jul. Słowackiego Genezis z ducha, wykład nauki. Dziennik itd Lwów 1884.

Z. Krasińskiego Listy do St. Małachowskiego. Kraków 1885 (na wielu miejscach).

J. Słowackiego Pisma Posmiertne. Lwow 1866 i 1885 t. I., str. 107 i nast.

Z. Krasiński: Listy t. III. (do Słowackiego, Załuskiego) Lwów 1887 (na wielu miejscach).

M. Zdziechowski: Mesyaniści i słowianofile. Kraków 1888.

Piotr Chmielowski: Studya i Szkice (J. Słowacki Towiańczykiem) Kraków 1889 t. II. str. 292.

Antoni Mazanowski: Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Warszawa 1890 str. 70 i nast.

T. Sternal: Kartka ze stosunku Krasińskiego ze Słowackim, w Przeglądzie literackim „Kraju“. Petersburg 1890 nr. 5 i nast.

Włodz. Spasowicz: Dzieje literatury polskiej, przekład z rosyjskiego przejrzał i uzupełnił A. G. Bem, wyd. trzecie Kraków 1891 (passim) zwłaszcza str. 460 i nast.

Stan. Tarnowski: Zygm. Krasiński w Studyach do historyi literatury polskiej. Kraków 1892 (na wielu miejscach).

Fr. Hösick: Okres rycersko-romantyczny w życiu J. Słowackiego, w Ateneum 1893 I. 262 i nast. II. 1—40, 346 i nast.

Ferdynand Hösick o Słowackim i pani Bobrowej w Tygodniku ilustrowanym. Warszawa 1893 nr. 160—4.

Ferdynand Hösick: J. Słowacki w Rzymie, Neapolu i Sorrento. Ateneum 1893 IV. 209 i nast.

Fr. Hösick: Pierwsza miłość Z. Krasińskiego, w Ateneum 1892 III. 405 i nast. IV. 42 i nast. i w „Świecie“ 1893 nr. 7 i nast.

Psalmy przyszłości Z. Krasińskiego, w Przeglądzie Polskim na luty 1893 str. 328 i nast.

J. Słowackiego Dzieła. Lwów 1894 t. IV. str. 330 i nast.

Z rękopisów odnoszących się do tych czasów i osób wymieniam trzy listy J. Słowackiego do L. Niedźwiedzkiego z Frankfurtu pod datą 18. i 22. maja tudzież 1. czerwca 1841 w bibliotece Jagiellońskiej. Ośm listów J. Słowackiego do Bobrowej posiada biblioteka ordynacyi Zamojskich a jeden znajduje się w bibliotece hr. Krasińskich w Warszawie. Listy J. Słowackiego do W. Stattlera są w posiadaniu syna, J. Stattlera, prof. konserwatoryum w Warszawie. Listy do matki, pamiętniki i inne autografy posiada L. Meyet, mecenas i literat w Warszawie. Pisma pośmiertne są w ręku prof. A. Małeckiego we Lwowie. Rękopisy złożone w bibliotece Ossolińskich opisane były w „Wiadomościach bibliograficznych“ T. Paprockiego. Warszawa 1884.

Objaśnienia poematu „Król Duch“.

Do ks. A. Czartoryskiego — Do emigracyi o potrzebie idei — Głos brata do zgromadzonych.

Zbędziemy po krótce — dla braku miejsca — ostatnie prace Juliusza ogłoszone w następującym porządku: Po „Księdzu Marku“ (1843), „Śnie srebrnym Salomei“, i „Księciu Niezłomnym“, (w lutym 1844 były już oba ostatnie utwory w handlu), drukuje poeta dopiero 1846 r. dwie broszury polityczne prozą. Z tych list otwarty do ks. Adama Czartoryskiego, uważanego przez swoje stronnictwo na emigracyi przyszłym królem polskim, a propagującego w owym czasie zasady konstytucyjne, które tak bardzo oburzały naszego republikanina z ducha, zawiera obok wielu dziwactw mesyanizmu polskiego, kilka zdrowych myśli, jak np. gdy się tłómaczy z pojmowania równości i wolności: Nie szło o postawienie cielesne wszystkich pod jedną miarę podług średniej ludzkiej urody zrobioną, do której niedorosłych żadna ludzka siła nie dociągnie a wyższych chyba ucięciem głów zrównać i przystosować potrafi. Nikt (też) nie myślał wyciągać z za pieca pijanego chłopa i stawiać w jednej parze z pięknym i szlachetnym rycerzem. Starano się jedynie o wolność jak największą w formach rządu, aby rosnący w piękność duch nie miał żadnej przeszkody a dusze (niższe) do swojej wielkości się poczuły i z krajem się całym zrównały.

Na jednem z posiedzeń Towarzystwa literackiego, 25. marca 1847, na których radzono o środkach ożywienia towarzystwa i urządzenia publicznych sessyi, zabrał głos i Słowacki, który od 1839 r. należał do towarzystwa.

Oświadczył na wstępie, że Ewangelia o bogatym połowie jest powodem przybycia jego na zebranie; że mniemał na niem zastać pierwszego rybaka, Adama Mickiewicza i być mu tylko do pomocy. Lecz ponieważ go nie ma, więc sam przedstawi swe myśli. Uważa, iż przez zaprowadzenie otwartych posiedzeń (które zamyślano wprowadzić), żadna większa zachęta w pracach osiągniętą być nie może. Ponieważ jawność nic dodać nie może towarzystwu, więc powinno w swojej wewnętrznej organizacyi szukać środka podniesienia pracy i nadania im życia. Takiem środkiem byłoby wystawienie przez towarzystwo jakiej myśli, idei.

Odezwanie się powyższe Słowackiego stało w wyraźnym związku z wydaną świeżo przez niego broszurą „O potrzebie Idei", napisaną w duchu Towianizmu i usiłująca idealizować poniekąd *liberum veto*, i na kilku innych jeszcze posiedzeniach podało powód do uwagi i dyskusyi. Ze względu na to miał odczyt członek Chojecki, następnie w parę tygodni później, członek Hoffman czytał swą rzecz „O charakterze dawnej konstytucyi Polski", zmierzającą również do broszury naszego poety, który oddawszy zupełną pochwałę uczonym poglądom kolegi, kończąc swą odpowiedź, dodał: „Nie wiemy, czyli te dzisiejsze instytucye, ku którym chyli się ucywilizowana Europa, są już ostatecznem wykształceniem społeczeństw, czy też przyszłość nie kryje nam jeszcze ostatniego słowa w tej mierze. W każdym razie nie są one także świeżym wynalazkiem dzisiejszych polityków. Zarys tego reprezentacyjnego rządu, tej najwyższej władzy, stałym prawom ulegającej, zakreślił nam już starożytny Homer, kiedy tworząc swój Olimp, nad Jowiszem los, fatum, a przy nim radę Bogów i Bogiń ustanowił." L. Gadon: Z życia Polaków we Francyi. Rzut oka na 50-letnie koleje Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu 1832—82. Paryż 1883. str. 49—51.

Druga broszura „Do emigracyi — o potrzebie idei" wydana, jak poprzednia, w Paryżu 1846, niby przez Radwańskiego, w istocie nakładem autora, stara się zrehabilitować dawną formę, (*liberum veto*, *conspiro*) zbudowaną na wolności ducha ludzkiego z zastrzeżeniem prawa „świętych" protestów i rokoszów. Bo nie jest dla poety ideałem

„owa niby-równość przed prawem i reprezentowana przez myśl kilkuset milionów, gdzie już reprezentanci opozycyjni niewolnikami są, ulegając prawom, na które się nie zgodzili", gardzi on zarówno panowaniem bankierów jak hofratów, a roztacza przed nami potrzebę rozwinięcia wielkiego ideału ludzkości.

Przy końcu testamentu Słowackiego, ogłoszonego w „Prawdzie", Warszawa 1893, przed wierszem z „Króla Ducha":

Zaprzestał śpiewak a my na biesiadę
 Zebrani, strasznej spowiedzi słuchacze
Mieliśmy sine oblicze i blade

dopisał poeta na samym końcu arkusza, tem samem pismem następującą notatkę po raz pierwszy tu ogłoszoną drukiem: „Zaprawdę nad ideą panowania na morzu i nad myślą carów panowania na ziemi, stoi idea polska, messyaniczna, zawarta cała w panowaniu nad Globem przez Ducha Bożego. Kto siebie stworzy wewnętrznie Chrystusem, kto w duchu swoim poczuje pierwszą skrę twórczej potęgi, ten już powiedzieć może, że ma Ojczyznę, która w duchu stworzona".

Na odwrotnej stronie testamentu jest ciąg dalszy listu Słowackiego do A. Czartoryskiego, zaczynający się od następujących słów: „Wierz mi Wasza Książęca Mość, że na wiele czasów przed uzyskaniem niepodległości swojej, przeznaczeniem jest Polski samo tylko istnienie duchowe. Wprzódy nam w rękę złote berło z lilij Ducha świętego, wprzódy panowanie nad światem gorącą myśli twórczością, wprzódy królestwo niewidzialne i wpływ ożywczy na narody, wprzód prym głosowy w Europie wziąć należy, nim którekolwiek z niższych naszych cielesnych patryotycznych żądań do tronu Boga, Ojca naszego, doleci. Tam stoją Cherubinowie, którzy płomiennemi tarczami odbijają, aby słuchu Bożego nie doszły te brudne i skalane oddechem ziemskim modlitwy.

Redakcya tego ustępu kilkakrotnie kreślonego opiewała pierwotnie: „W ręku tej niewinnej wprzód berło Ducha świętego z jaśniejącej lilii zabłyśnie, wprzódy wpływ zwycięski i ożywczy na obumarłe narody, wprzódy to wszy-

stko, nim jakakolwiek widzialna moc i rząd na ziemi danemi będą, nim jakiekolwiekbądź wypełnienie woli naszej przed Bogiem dopuszczonem będzie, nim którekolwiek z niższych naszych żądz i modlitw...

Po ogłoszeniu broszury pisze o niej Krasiński z Nicei 19. czerwca 1846. Odebrałem odezwę do księcia Adama Czartoryskiego, z dziwną dozą Towiańszczyzny i stylem naciąganym, ale nie bez siły i fantazyi napisaną. Jeśli to nie Juliuszowe pióro, to nader podobne do niego, bo naśladujące je z niesłychaną sztuką naśladownictwa. Listy Z. Krasińskiego do K. Gaszyńskiego Lwów 1882. str. 289.

Ostatniem za życia poety ogłoszonem pismem jest „Głos brata (braćmi nazywali się wszyscy Towiańczycy) J. Słowackiego do zgromadzonych i w klub zawiązać się chcących Polaków, przedstawiający potrzebę przyjęcia nowej formy konfederacyjnej, dnia 19. marca 1848 roku.“ Rzuciwszy tu kilka trafnych myśli o powstaniu 1831 r. a zwłaszcza o zgrzybiałej ze starości Radzie administracyjnej pod kopułą Banku osiadłą, chcącą zagładzić pamięć rewolucyi listopadowej jako „chwili przelotnego zapału i grzechu“, radzi zarzucić cudzoziemskie formy organizacyi (kluby, dyktatury, izby, komitety, komisye itp. stowarzyszenia) a zachęca do przyjęcia odrodzonej formy konfederacyi.

Formę tę, przez wielkich przodków naszych ku obronie wolności wystawioną, poleca głównie dla tego, że w olbrzymiej walce o wolność może dopomódz szybko zjednoczyć się i zorganizować rozproszonym tułaczom. Wskutek tego głosu niektórzy z obecnych na zgromadzeniu braci przystąpili do związku i podpisali akt zawiązania się w Konfederacyę. Biedni! gorące pragnienie wolności ojczyzny dyktowało im co chwila nowe pomysły odbudowania jej, nieliczące się z twardą jak opoka rzeczywistością.

Na półtora roku przed owem przemówieniem, wyszedł pierwszy rapsod poematu, który miał stanowić alfę i omegę wieszczego objawienia Juliusza, i który zasługiwałby z wielu powodów na bliższe rozpatrzenie. Ze względu na ważność przedmiotu prosimy jeszcze na sam koniec o trochę cierpliwości dla następujących uwag.

Czas powstania „Króla Ducha“ nie jest dokładnie zbadany. Domyślam się z następujących ustępów listu syna do matki, że tu mowa o tym właśnie utworze.

Sierpień 1846. Po tegorocznych upałach, zmęczony nieco słońcem, zmęczony także ciągłą tęczą kolorów, które biły na mnie od atłasów i aksamitów, bom przez miesiąc cały patrzał się jak Zosieńka cukrowa (tak się nazywa często dla zmylenia argusowych oczu władz rosyjskich) sprawiała siostrze swojej za mąż idącej wyprawę, a przewracanie się jak w piecu wulkanicznym rożnych jaskrawych i drogich rzeczy, oszołomiło mię nadzwyczajnie; chcąc orzeźwić się, pojechałem nad morze.

Dnia 19. grudnia 1846 pisze w tym samym tonie: Pracuję, myślę, przygotowuję moje obrazy (pisma) na expozycyę. Malarstwo (piszę) mię zatrudnia chciałbym w tych plikach światło wyrazić, więcej niż kolorowość natury. Światło, z którem w oczach Rafael zaczynał. Czemuż ty, droga, być ze mną i we mnie nie możesz. Czemuż to, co ja widzę, jest ci jeszcze zupełnie obce i za granicami pięknych i szlachetnych myśli twoich.

Praca nad „Królem Duchem“ zajmowała go przez lat kilka. Nad dalszym ciągiem ogłoszonych w 1846 pieśni pracował aż do samej śmierci. Pierwszego kwietnia (1849) — powiada arcybiskup Szczęsny Feliński, ówczesny towarzysz poety — kiedym przyszedł do niego, powiedział, że w nocy tak mu źle było iż dnia nie spodziewał się dożyć. Nazajutrz mówił mi, że zaczął przepisywać swój niewydany poemacik, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Zaproponowałem żeby mi dyktował co też przyjął, i tak jedną pieśń napisaliśmy, ale i to go już męczyło tyle, że resztę odłożyliśmy na później.

Po spowiedzi przed samą śmiercią kazał mi przynieść książkę, z której w wilią dyktował, i pokazywał mi w jakim porządku potrzeba dalej przepisywać; ale nie dochodząc do końca zamknął ją mówiąc z uśmiechem, wszystko to marne; potem zamilkł. Zbliżała się ostatnia chwila. (Gazeta codzienna, Warszawa 1859.)

Małecki wykazał na podstawie autografów poety, że był to rapsod jeden z „Króla Ducha“, ze wszystkich najwięcej wykończony, osnuty na podaniach o Piaście i Zie-

mowicie. Jest między papierami pośmiertnymi rękopis, z kilku arkuszy listowych zeszyty; na pierwszej zeszytu tego stronicy położył poeta tytuł poematu taki: „Z Króla-Ducha — księgi Legend“. Snać dawał więc rzeczy tej napis jakby całości oddzielnej i oderwanej zwątpiwszy już o możności wykończenia całego utworu. Potem następuje sześć strof ośmio-wierszowych, własną autora ręką skreślonych. Tu się pismo Słowackiego urywa. Strofa siódma i wszystkie dalsze już są pisane ręką Szczęsnego.

Między autografami poety z lat ostatnich zachowała się następująca przedmowa do „Króla Ducha“ zawierająca kilka nieznanych szczegółów z życia Juliusza.

„W. M. Dobrodzieju! Choć nieznajomy W. Panu Dobrodziejowi adresuję do niego dyliżansem przesyłkę, a ten list na pocztę piszę, abym go uprzedził o paczce wysłanej, i gdyby koszt był jaki do wydatku, choćby nieco przykrego nakłonił.

Tego lata przejeżdżając około jednej z wiosek Podola, przypadek miałem taki, że mi się oś u starego koczyka wiedeńskiego złamała. Zostawiwszy sługę i stangreta przy rozwalonym powozie, wszedłem na górę — obrzuconą chatami i mnóstwem sadów śliwianych i czereśniowych, które jak W. P. Dobr. wiadomo, stroją nasze gliniane wioszczyny. Minąwszy cerkiew i cmentarz, gdy mi się na piaszczystej i nieco popsutej spadkiem wód drodze nikt nie pojawił, postanowiłem do jednej z większych i poważniejszych chat o pomoc zastukać. Uchyliwszy kołowrotu wszedłem na mały trawą porosły dziedziniec, aliści zaraz na progu, jakby skrzypem Orfeuszowskim kołowrota wywołana ukazała się postać dobrodusznej i w latach już podeszłej matrony (pani Bécu), w białej pikowej spodnicy, chustce brunatnej merynosowej na szyi, z głową odkrytą, srebrną, a raczej stalową, zaczesaną do góry, jednem słowem postać czynszowej szlachcianki...

Skorom wyjawił powód mojego interesu, zawołała natychmiast na dziewczęta i cztery czerstwe ukraińskie dziewki, w koszulach jak srebro białych, przewiązane pasem krajkowym, w łubkach złotych, natkniętych astrami i lewkonią, wybiegły z zielonych zaciszy. Dwie z tych zaraz posłała po kowala, inne zaś zapędziła napowrót do

sadu, gdzie — jak widziałem — stał na ognisku kocioł i warzyły się śliwkowe powidła, pod starą zaś grusza alembik, w którym się zapewnie wódeczki z pestek wiszniowych filtrowały.

Podziękowawszy, chciałem odejść, lecz mię ta matrona z taką uprzejmością do swojej chaty na nocleg zapraszała, a ja z drugiej strony, tak mało czułem pociagu do karczmarskich ugościn, żem nareszcie dał się uprosić i wszedłem do domku p. kapitanowej — kapitanowa bowiem była wdowa po jakimś dawnym Kościuszkowskim kapitanie jak dowiedziałem się potem, ze szlacheckiego pochodzenia sama, i niby filozofka, z własnej woli na czynszu siedząca, aby pracą własnych rąk utrzymując się, od rodziny choć bogatszej nic nie brać."

Jestto pierwszy, niewykończony projekt przedmowy do „Króla Ducha", którą poeta następnie na tym samym arkuszu papieru w inny sposób skreślił, przenosząc do niej częściowo pomysł pierwotnej redakcyi. (Zob. nr. 429 „Warty" z 17. września 1882.)

Druga ta redakcya przedmowy Juliusza do „Króla-Ducha" opiewa jak następuje: Przesyłając wam bracia poezye jednego z nieznanych, nieszczęśliwych i umarłych już naszych krajowych poetów, zebralismy się w kilku, aby wam przesłać krótką o nim biograficzną wiadomość.

Józafat Dumanowski.

[Pseudonim ten Juliusza nie jest zmyślony. Babka jego po matce Januszewska, była z domu Dumanowska. Siostra tej babki była za Krzysztofowiczem. Po tych Krzysztofowiczach, bezdzietnie zmarłych, przeszedł ich majątek Ubienie, koło Lwowa, na Teofila Januszewskiego i jego żonę, Hersylię Becu. „Warta" nr. 429 z dnia 17. września 1882 r.]

Dumanowski urodził się na Podolu w wiosce Czer... należącej dziś do panów Gad...ch. Ojciec jego (Euzebiusz, profesor w Krzemieńcu a potem w Wilnie) był kapitanem wojska polskiego za księstwa. Matka pochodziła z familii tegoż nazwiska (Januszewskich), która jak się zdaje, pochodzi z Galicyi. Jedna bowiem tego imienia niedawnymi czasy mniszka, była przełożoną klasztoru we Lwowie, a jak

słyszeliśmy, profesor niegdyś uniwersytetu wileńskiego, Gołuchowski i matka jednego z naszych emigracyjnych pisarzy, z tego samego szczepu po kądzieli ród swój wywodzą. Poeta nasz był z tego imienia ostatnim a naturą swoją i charakterem zupełnie odpowiedział imieniowi (Słowacki wywodzi tu nazwisko Dumanowskiego), w którym niby dumanie i smutek przeszły po świecie, w przodkach jego nie głośne, w nim obudzone i wyśpiewane przed śmiercią.

Wcześnie przez ojca odumarły (w 6 roku), bez żadnego majątku, został ciężarem i zarazem jedyną pociechą matki wdowy, która go do Krzemieńca, do krewnych swoich, dla odebrania nauki posłała. Szlachetna ta i staropolskich cnót kobieta, zamiast wstydzić się pracy niższej nad stan, w którym się urodziła, osiadła w wiosce powyżej wspomnianej, zaarendowawszy u państwa Gad... kawał gruntu i chatę prostą, na czynsz wieczny i tam zawiodła małe, lecz pełne obfitości ziemskiej gospodarstwo, kilka dziewek w koszulach i przewiązanych krajką, w złotych tubkach, z kwiatami na głowie, krzątało się w piekarni, żęło w polu, powidła warzyło w sadzie, gdy sama gospodyni domu, matka poety, często w takimże samym jak dziewki ubiorze, w białej pikowej spodnicy, z głową odkrytą, już siwą, nie wstydziła się sierpa, gdy praca przynagliła, rąk własnych, gdy ciasto jakie lżejsze zanieść było potrzeba. Zresztą humoru zawsze wesołego, przez panów wioski lubiana i szanowana, przez chłopstwo nazywana panią kapitanową, była głośną na okolicę z lekarskich ziółek i dobroczynnej zawsze chęci i z błogosławieństwa Bożego, które je widocznie w tej nędzy nie opuszczało.

Opisanie tych rzeczy potrzebnem było dla wyrozumienia stosunku naszego poety ze światem.

Wypadkami politycznymi przerwane w Krzemienieckiej szkole wychowanie, miał bowiem wtenczas lat 15, zmusiło go powrócić na wieś, do rodzinnego domku, w którym zastał matkę przywiązaną i chętną, ale położenie, zupełnie nieodpowiednie rozwijającym się już talentom. Niedosyć w naukach usposobiony, aby się mógł zająć prywatnem nauczycielstwem, a z drugiej strony nie dosyć silny, aby sobie wesoło pługiem przy śpiewaniu skowronków na chleb zapracował, wiódł życie, można nazwać, pasterskie —

bez trzody — św. Janowi w tem podobny — a wkrótce i widzeniami i świętą exaltacyą. Bogaty dom właściciela wioski, był mu otwarty i życzliwy. Piękne tego domu panie umiały szanować prostotę dumną i tkliwość uczucia, które w nim tak bujnie się rozwijało. Więcej powiem: dobre i czułe Polki przeczuły w tym na pozór prostaku przyszłego kraju poetę, okazywały mu zupełnie równą i siostrzaną życzliwość, wswajały go w dom swój, a delikatnością sposobów sprawiły, że często podzielając dworu wytworne, ale piękne zawsze polskie zabawy, uczuł się nie obcym między pańską rodziną, nie samotnym na świecie.

Mimo to wszystko jednak, uczucie w nim męskie duszy zdrowej i silnej właściwe, potrzeba niepodległości, wszelkie drogi do wybicia się na szersze powietrze zatamowane, obrażone nieraz przez obcą i lekkomyślną młodzież, serdeczne uczuć jego tajemnice, jednem słowem poezya serca często wyszydzona lub nie pojęta, wystawiły go na tyle boleśnych ciosów, że wkrótce, z czumakami zabrawszy się w podróż, dom opuścił i naśladując Chodakowskiego, szedł po dawnych ukraińskich kurhanach, odgrzebywaniem pamiątek i powieści zatrudniony, chciwy nareszcie obaczyć to czarne morze, o którym mu dawno w pieśniach ukraińskich śpiewano. Ta podróż piesza, była jedynem w jego życiu wydarzeniem.

Około r. 1838, wrócił do matki wynędzniały, schorowany, odmieniony zupełnie na twarzy, dotknięty już wyraźnie chorobą umysłu. Pomimo wszelkich starań słabość ta powiększyła się ciągle, a w dn...r... skruszyła ciało nędzne i podobne liściowi, na drzewie. Pochowany na cmentarzu przy cerkwi, gdzie często siadał i pisał swoje poemata. Oto jest w kilku słowach skreślona biografia człowieka, który jak się zdaje, nie żądał wyjść z zapomnienia, ani sobie rokował na przyszłość jakiejkolwiekbądź sławy i głośności.

A nam też nie należy uprzedzać sądu publicznego, i los, który go może słusznie pokrył zapomnienia kamieniem o niesprawiedliwą srogość obwiniać, zwłaszcza że niepoprawność stylu często obrażała nas samych, a poemata jego nie zawsze, ale w pewnych tylko chwilach usposobienia i zapału głośno czytane, przejmowały nas tym dresz-

czem współczucia, który dla nieumiejętnych jest jedyną sądu estetycznego miarą. Sądzimy wszakże, że wydanie tych poematów nie będzie zupełnie bezowocną w literaturze przysługą, zwłaszcza jeżeli zastanowi się czytelnik nad dzikością niwy, na której te poemata porozkwitały, nad brakiem zupełnym uprawy, nad nieszczęściem nareszcie losu ścigającego poetę.

Kilka kronik starych, które zapewne kapitana ojca były własnością i gockim drukiem wydana Jerozolima P. Kochanowskiego, w domku matki wdowy wraz z manuskryptami zapylonymi znalezione, były jak się zdaje jedyną strawą duchową, którą ten nieszczęsny i rozmarzony młodzieniec żuł i przeżuwał w dziecinnym wieku. Później pokazuje się (zwłaszcza w komedyach) iż zaczerpnąć musiał nieco w domu państwa G., ze źródła nowszej, nawet francuskiej literatury. Bezład panujący w ostatnich dziełach, zwłaszcza w filozoficznych rozmowach, świadczy iż go różne o różnych naukach zalatywały wiadomości. Wszystko to zmięszane razem i pożarte, potem jakby z jednego ducha poety wyrzucone, zadziwiło, gdyśmy się w pozostałych papierach dokładnie rozejrzeli.

Część pierwszą manuskryptu posyłamy wam teraz, część jak sądzimy zasadniczą dzieł naszego poety, księgi, w których sobie najgłębiej z ducha własnego starał się wytłómaczyć świat i ojczyznę.

Zdanie to przekreślone przez poetę opiewa poprawne: Posyłam wam teraz pierwszy rapsod rycerski, który się nam zdaje podstawą i zawiązkiem innych poety utworów. Krótkość tego dziełka i oszczędne w nim kolorów użycie, usposobią może czytelnika na korzyść poety i do łaskawego sądu względem dzieł następnych przygotują. (Zawsze zaś odkrycie tych nowych dzieł do następnych przygotują.) Zawsze zaś odkrycie tych nowych obrazów świadectwem będzie żywota duchowego u nas... którzy uciśnieni i podziemnym strumieniom podobni, odzywamy się podziemną ciągłą muzyką, jakby podgrobową, duchom podobni, z rąk do rąk podajemy sobie lampę żywota...

Tu następuje urywek wiersza „Do Matki“, umieszczony w „Warcie“, Poznań 13. lutego 1881, r. VII. nr. 346.

Nie wiemy dlaczego przedmowy tej nie ukończył. „Dziennik Narodowy" 1846. nr. 302 z drugiej połowy grudnia, tak ogłasza wyjście dzieła bez tej przedmowy:

Wyszło z druku poema pt. „Król-Duch", (rapsod pierwszy) sprzedaje się u wydawcy Radwańskiego 18 r. des Gres, po cenie fr. 1. na papierze zwyczajnym, a fr. 1.50 na papierze welinowym.

Trzeci Maj, z dnia 25. stycznia 1847. Rok VIII. Nr. 8. str. 422. ogłaszając wyjście z druku dodaje już: Król-Duch, poezye płynne i obrazowe, ale, przyznajemy w pokorze ducha, niezrozumiałe dla nas bynajmniej — o ile wnosić możemy, jest to płód jednego z wyznawców sekty Towiańskiego. (Poemat wyszedł bezimiennie.)

Dziennik narodowy z dnia 6. Marca 1847. Nr. 308 umieszcza następujący wiersz jakiegoś Towiańczyka:

Do Juliusza Słowackiego.

Zgłębiając Rapsod raz, drugi i trzeci
Dojrzałem, że w nim moje słońce świeci.
I dusza moja wczoraj tak zbolała
Jednym polotem w niebo się zerwała.

Wiersz kończy się zwrotką następną!

Może się kryje, (jego dusza) za gwiazdą Platona,
Herze mój! powiedz: Gdzie ona? kto ona?
Niech się ukaże! i na ziemskim tronie
Liściem dębowym wieńczy polskie skronie.

Paryż, 22. lutego 1847 r. H. J.

P. S. Prosimy o rapsod drugi.

Wiersz powyższy — dodaje od siebie redakcya — napisany z powodu „Króla-Ducha", został nam nadesłany do ogłoszenia w Dzienniku Narodowym. Czynim zadosyć żądaniu, raz że wiersz jest ładny, powtóre że nam nastręcza sposobność powiedzenia słów kilka o tym nowym poemacie J. Słowackiego. Wprawdzieśmy go nie czytali trzy razy jak autor wiersza, ale po jednem uważnym odczytaniu, zdawało się nam, żesmy schwycili myśl prawdziwą poematu, a która jest, iż panujący tyran, okrucieństwy i mor-

dami swych poddanych, może odrodzić naród upadły na duchu, wlać weń hart, dodać mu odwagi i męskości i przez pogardę śmierci popchnąć go do nowego życia i czynów wielkich. Wyznajem, iż poemat jest tyle niezrozumiałym, żeśmy się mogli omylić przyznając mu myśl tu przez nas wymarzoną; lecz jeżeliśmy ją odgadli, oświadczyć winniśmy, iż w naszem pojęciu jest ona arcybłędną.

Nie przeczym, aby w poranku narodu, przy jego początkowej organizacyi, ręka potężna i sroga władcy, nadająca każdemu ruchowi podwładnych rygor i surową dyscyplinę, nie postawiła narodu w warunkach bytu silnego i pewnego, i nie popchnęła go do wielkości przy zachowaniu ciągłem ducha organizmu i porządku — ale przeczym, aby tyrania i morderstwa, mogły odrodzić naród zenerwowany i upadły moralnie. Historya mówi przeciw temu: ani Tyberyusz, ani Neron, ani następni tyrani rzymscy, nie odrodzili Rzymian i nie wleli w nich przez okrucieństwa pierwotnego ich ducha.

Sąd Zygmunta Krasińskiego o „Królu-duchu“ w liście z 24. lutego 1847. wypadł również dość niekorzystnie. Nic prawiem nie zrozumiał w Królu Duchów — powiada — jeśli dwadzieścia strof, to najwięcej; wiersz prześliczny, ale to jak w kalejdoskopie, rysunki barw pełne, lecz bez treści żadnej, dźwięki najwdzięczniejsze, ale bez myśli! przynajmniej tak schowana, że jej ja nie mogę dojść, może też zgłupiałem. Jużci wiem, że idzie o metampsychozę ducha człowieczego i to przez wieki wszystkich polskich dziejów; to wiem, ale nic więcej! Albom ja waryat, czytelnik, albo autor co pisał. To niebezpieczne takie pisanie, bo gotówby czytelnik w zapasy pójść z autorem, wołając w rozpaczy: „Ty, ty, ty, nie ja waryat“, a on też znowu ze swojej strony; więc do nożów w końcu i metampsychoza skończyłaby się na zabójstwie...

Nicea, 23. kwietnia 1847. Juliuszowi się marzy, marzy, marzy; jużbym mógł był o „Królu-Duchu“ napisać, cóż, kiedym jak tabaka w rogu dotąd pod tym względem!

Nicea, 3. maja 1847. Przy sposobności przekładu „Anhellego“ na język francuski przez K. Gaszyńskiego, pisze do tłómacza: Jeśli możesz zaabanduj mi tłómaczenie An-

hellego! Wierzę, że „Król-Duch" się rozpłakał na pamiątkę Anhellego! Tak jak jesień, żeby mogła, płakałaby na widok wiosny, którą była niegdyś! Zob. Listy Zygmunta Krasińskiego do K. Gaszyńskiego. Lwów, 1882. str. 305, 307, 326 i 333.

Podpisany literą L. Towiańczyk, w czasopiśmie „Stadło" Lwów, 1849. Nr. 7., podnosi „Króla-Ducha" na wyżyny jasnowidzenia. Pieśni tej — powiada — nie można nazwać apokaliptyczną — cała treść jej bowiem w przeszłości, ale raczej jest ona spowiedzią historyi przed obecnością — historyi, w której nie traktaty, nie pewne zobowiązania doczasowe, ale duchy złe i dobre odgrywają wielki dramat, odpowiednio woli przedwiecznej i siłom, którym się przy poczęciu poddajemy.

Walkę światła i ciemności, czarnego i białego ducha, znaną w nauce Zoroastra i w mytologii słowiańskiej, — dualizm ten widzimy i w Królu-Duchu, z tą różnicą, że tu walczą wcielające się duchy z mocą wziętą za światem, za której złe użycie spełniają pokutę, — która znowu staje się zbawieniem ziemi. Indyjskie przechodzenie dusz, ale nie błędne, lecz usprawiedliwione, przybieranie tych lub owych ciał, w miarę siły ducha, jest owem poczęciem się z ducha, podanem do wiary przez Credo katolickie, branem w przeświadczenie po długiej wędrówce duchowej i głębokiem wpatrywaniu się w siebie.

Armenia pod jarzmem króla Kairu, i poprzednio przez rzymskich wodzów wojowana, przedstawia niejako podobieństwo ze Słowiańszczyzną. W kraju tym, około gór Kaukaskich, zbiegły się wszystkie podania, kolebki rodu ludzkiego sięgające. (Mieszkańcy widzą tam jeszcze ostatnie szczątki Arki Noego!) W owym to pełnym tajemnic kraju, piorunami bijących w Hera, rozpoczyna Słowacki swój poemat.

Wygnaniec Florencki przechodził przez piekło w towarzystwie Wirgiliusza, przez raj z Beatricą; Król-Duch, podobnież przechodzi przez świat z umiłowaną pięknością.

Za Innocentego III, rozpoczęły się walki z kościołem, i wtedy Boska-komedya była niejako przeczuciem przyszłych bojów o wolność myśli; obecnie, w wielkiej

epoce rozpoczynającej walki o wolność czynów, Król-Duch jest również niezmiernie ważnem zjawiskiem.

Duch Hera rodzi się Popielem: słowiańska wiedźma śpiewa nad nim swoje starożytne runy i wkłada nań chrzest zemsty. Pomiędzy ludem słowiańskim utrzymuje się wiara, że przekleństwo matki w złej godzinie całemu życiu dziecięciu towarzyszy. Potęga słowa w złej i dobrej godzinie, znana u starożytnych wieszczbiarzy, dla dzisiejszych ludzi stała się bajeczną, — wyobrażenie nawet o niej przez grubą powłokę materjalizmu przebić się nie może...

W takiej to złej godzinie nawoływane duchy otaczają rodzące się dziecię.

Z popiołów rycerzy powstaje Popiel, rozpoczynając szereg światoburzców, których ciała wypełniać ma sobą przez wieki. Nie podobna byłoby zrozumieć owych mocarzy, ziemię od czasu do czasu zdobywających, gdybyśmy samej tylko chęci osiągnienia sławy przypisywali tę ich szaloną żądzę owładania światem; właściwie jest także miłość dla ziemi — miłość podobna tej, jaką pałał Tarkwiniusz dla Lukrecyi, namiętna, wściekła, nieznająca granic. Król-Duch z taką miłością dla Słowiańszczyzny przychodzi na świat. Przez ciąg dziejów w coraz odmiennych ukazuje się ciałach, aż niebo zląkłszy się o ziemię koniec mu wyznacza; ale jego wieczne życie nie skończone: spełniać on ma duchem, co ciałem spełnił. Przyjdzie wszystkie duchy w jedną girlandę zebrać w koło siebie, potęgą prawdy zawojować przyszły, jako potęgą żelaza wojował świat przeszły.

Poemat rzeczony, na nutę Tassa pisany oktawami a ta jednostajność formy do rapsodów rycerskich, być może, iż jest niewłaściwą, ale myśl wielka w każdej formie nie przestaje być wielką. Znać w tym utworze zamiłowanie Słowackiego do poezyi greckiej. Kilka ustępów przypomina ucztę na dworze króla Feaków, — rozumie się formą nie zaś treścią. Jego śpiewacy słowiańscy mają podobieństwo do rapsodów helleńskich. Gęślarz słowiański odmienną miał postać, był on czemś więcej niż rapsodem wojewodów; wieszcz to był i kapłan czczony przez lud, jak to wynika z opowiadań Słowian stawionych przed cesarzem Maurycyuszem.

Śwityn w Królu-Duchu nie ma narodowego kolorytu, nie ma także i greckiego. Autor chwytał pierwszy lepszy strój, byle tęczowy, byle wykąpany w zorzy. Jak z obrazów mistrza szkoły weneckiej nie poznać osób ani pałaców Judejskich, tak próżno by u Słowackiego szukać prawdy w wewnętrznych kształtach jego figur. W przejściach też z jednego ciała w drugie, autor nie opisuje tych stanów czych chwil, stąd czytającemu trudność w zrozumieniu, a w postaciach niewykończenie.

Słowacki nie jest rzeźbiarzem, ale malarzem obrazów, i to na chmurach, a jeszcze właściwiej na błyskawicach.

Są ludzie – pisze C. Norwid, również Towiańczyk — podobni do Azyackich władców, którzy żadnego wyższego prawa nad osobiste bezprawie uznać nie chcą i nie sięgają nigdy wzrokiem duszy po za ciasny widnokrąg swej arbitralnej jaźni.

„Taki Ne-boh-odno-car równał się Bogu a potem trawę gryzł, jak zwierzę ciche, aż w Judei puszczach głos ów „Ja jestem *niczem*", odrzekł nie ja w osobie Zbawiciela. I w utworze naszym jest bohaterem takie „Ja".

A naprzód, jako Her Armeńczyk, albowiem stąd trzeba było wziąć powieść, bo na przedchrześciańskiej karcie Grecya republikanizmem swoim onemu Azyackiemu Ja zaprzeczała. Od Armenii, gdzie wedle podań Arka zatrzymała się, przechodząc przez Iberyę, Kaukaz, Scytyę, Roxalanię, Mankomanię, Kimbryę aż do Kaledonii, napotyka poeta różne ludów przedświty, napotyka je tam i sam bezładnie. W dwóch wierszach maluje dwieście lat, w jednej łunie sto pozorów, a w zamachu jednym, w jednym miecza poświście, rzezie całe; każdy też czytelnik obznajmiony z historyozofią mytów, zrozumie, że gdyby w toku epopei mającej za bohatera „Ja" było więcej ładu — epopeja ta byłaby raczej systematem filozofii dziejów. Albo tu zamęt jest konieczny, albo pomysł całego poematu niewłaściwy.

Dlaczego zaś Królowi-Duchowi taż sama forma nadana, jakiej Tasso, a za nim Piotr Kochanowski do pierwszej epopei chrześcijańskiej użyli — to ma wynikać z dość ciemnych wywodów Norwida, do którego odsyłam czytelnika. Cypr. Norwid. O Juliuszu Słowackim. Paryż, 1861.

W „Królu-Duchu“ powiada J. Reitzenheim w swem wspomnieniu o J. Słowackim, Paryż, 1862. jest wyobraźnia szczytna, również jak styl; był to ostatni z wielkich utworów ogłoszonych przez poetę, który miał zamiar przedłużyć i doprowadzić aż do czterdziestu ośmiu śpiewów, jako poemat przyszłości, lecz zdrowie coraz więcej nadwyrężone a potem śmierć przerwało je.

Antoni Małecki (III². 125. — 182.) pierwszy wytłómaczył jasno znaczenie poematu. Założenie „Króla Ducha“ polegało — zdaniem krytyka — na tej wierze, że naród prowadzony jest naprzód i coraz dalej mocą duchów wybranych, duchów nad zwykły zakrój większych, silniejszych... do celu, jaki jest narodowi temu wytknięty. Działanie jednakowoż owego ducha, jego misya wiekowa nie może być dopełnioną w ciągu jego znikomego życia. Dlatego duch ten potrzebuje więc kilku żywotów, mając działać bezprzestannie; i przeto w kolei czasów odradza się, to w tem ciele, to znowu w innem. Na pozór coraz inna osobistość dziejowa — jest on w gruncie rzeczy jednak zawsze tym samym duchem-kierownikiem swego społeczeństwa, tym samym duchem nad duchami, tym samym... Królem-Duchem.

To tedy założenie swoje zamierzył Słowacki uwidomić na przykładzie dziejów ojczystych, wytłómaczonych i okazanych w tem świetle, począwszy od pierwszej chwili żywota Polski aż do dni ostatnich.

W pierwszym rapsodzie (wydanym r. 1846.) odsłonił autor pierwszy doczesny żywot króla-ducha na tle dziejów pierwotnych. Dalsze rapsody przedstawiają go w późniejszych jego żywotach, w coraz innych osobach, a zawsze w takich, że życie narodowe, w każdej epoce, od nich jedynie odbierało główny pęd i ruch i kierunek ku przeznaczeniu swojemu.

Przypatrzmyż się teraz nieco bliżej, jak ten pomysł jest wykonany w szczegółach.

W rapsodzie I. mamy opowieść pierwszego wcielenia się króla ducha w postać narodową polską. Nie jest to bynajmniej pierwsze zrodzenie się jego, jako ducha w ogóle. Jako odrębna, wiekuista istota, istniał on już i przedtem. Lecz tych przedsłowiańskich dziejów jego istnienia gdzie-

indziej — poeta nie odsłania. Ukazuje go nam od razu w postaci Armeńczyka, który jako zmarłe już ciało złożony jest na stosie, ażeby być spalonym, a potem się odradza na nowo w indywidualności wenedyjskiej, słowiańskiej.

Armeńczykowi owemu było imię Her. Pomysł ten przejął Słwacki od Platona, jak sam przyznaje w przypisku do drugiej zwrotki: „Obacz w Platonie pełną tajemnic ducha powieść o *Herze* Armeńczyku, na końcu dzieła p. t. Rzeczpospolita". (Właściwie Er, nie Her; w oryginale jest spiritus lenis).

Oto w najważniejszych wyjątkach owa rozmowa Sokratesa z Glaukonem, która posłużyła Słowackiemu za punkt wyjścia w „Królu-Duchu". Nie o Alkinosie mówić ci będę, — powiada Sokrates — ale o Erze, synu Armeniosa, rodem Pamfilijczyka. Dzielny mąż ten poległ niegdyś w walce za ojczyznę, i gdy po dziesięciu dniach zbierano ciała z pobojowiska, nadpsute już zgnilizną, znaleziono go zupełnie nienaruszonym i odniesiono dla pogrzebania do domu. Dwunastego dnia leżąc na stosie, ożył i ocknąwszy się opowiadał, co tam — za grobem widział. A mówił że dusza ciało jego opuściwszy wyruszyła łącznie z wielu innemi, i doszły razem do jakiegoś miejsca demonicznego, pełnego tajemnic, w którem były dwie przepaści w ziemi — jedna koło drugiej, a naprzeciw tym dwie inne w górze na niebie. W pośrodku ich siedzieli sędziowie, którzy po wydaniu wyroku nakazywali sprawiedliwym pójść na prawo, drogą przez niebo wiodącą, przywiesiwszy im na piersiach oznaki wyroków: niesprawiedliwym zaś, którzy mieli na plecach poświadczenie swych czynów, wskazali drogę na lewo — na dół wiodącą. Gdy i on się zbliżył, oznajmili mu, że ma powrócić na ziemię i zwiastować ludziom co widział i słyszał w tem miejscu.

Opowiadał tedy ów zmartwychwstały z stosu swojego Er, jako się odbywają sądy dusz zmarłych, jakie im wymierzane bywają kary i nagrody i jak wreszcie, po upływie oznaczonego czasu, stawają one powtórnie przed potęgami tamtego świata, t. j. przed Ananką i trzema córami onej, których wspólna nazwa jest Parki snujące przędzę żywota. Tam tedy stają duchy owe w szeregu; a służebnice onych trojga pań zamogilnych kładą po przed nimi mnogość

wielką wzorców i wizerunków żywota, tak żywota zwierząt różnych, jako i żywotów ludzkich. Następnie wstępuje czarodziej jakiś na podwyższenie i głosi: „Słuchajcie słowa dziewicy, córy Ananki, Lachezy! Dusze znikome, oto się poczyna nowy okres śmiertelnego waszego życia. Nie was los wybierać będzie, lecz wy same obierzecie los sobie. Przed kim pierwszy znak padnie, ten niech najprzód wybierze sobie żywot i dolę, od której się potem już nie potrafi oddzielić! Oto cnota jest tu do wzięcia! mniej albo więcej mieć jej będziecie, w miarę jak ją cenicie. Wina będzie po stronie tego, kto wybiera — bóstwo niewinne niczemu“... To mówiąc, rzuca mąż ów znaki, jakby losy z liczbami, po przed cały zgromadzonych dusz szereg. A każda dusza znak swój podnosi wedle tego, jak przy niej upadł, i po kolei znakiem owym wskazanej, przystępuje do wyboru sobie żywota z pomiędzy wszystkich owych wizerunków, które w wielkiej mnogości zostały rozłożone przed nimi. Wybór takowy zawisł zupełnie od woli tego, który wybiera. Pomimo tego, bywa to widok i smutny i śmieszny i zarazem dziwny, jak dusze owe wybierają sobie żywoty pod wpływem najczęściej wrażeń, które z sobą przyniosły z po za tamtej strony grobu, z poprzedniego życia swojego. I tak, dusza Orfeusza — z nienawiści ku całemu rodowi kobiet — wybrała wizerunek życia łabędzia, ażeby się już nie urodzić z kobiety. Odyssej, po długich trudach walk i wędrówek wyleczony z żądzy sławy i pomny bolów, jakich z jej powodu doznawał, pochwycił z radością wzorzec żywota w spokojnym zakresie prywatnego człowieka; a Atalanta, która już w poprzedniem życiu z tego słynęła, że jej w biegu prześcignąć żaden zapaśnik nie zdołał, wybrała sobie żywot mężczyzny, atlety...

Kiedy zaś już każda dusza dokonała wyboru swego, udają się wszystkie razem na dolinę Lety, a idą w skwarze wielkim i spiece, albowiem na dolinie tej nie ujrzeć ani drzew żadnych, ani żadnego z płodów, które ziemia wydaje. I zasiadają pod wieczór nad tą cudowną rzeką, (letejską) kojącą troski. Tu dusza każda wypić koniecznie powinna pewną miarę wody: a niektóre, ile rozwagą i umiarkowaniem mniej się powodujące, wychylają jej i więcej, w skutek czego też potem zapominają wszystko (i tak

się potem odradzają, jak gdyby nigdy przedtem nie żyły na świecie). Wypiwszy wodę ową, zasypiają. Nadchodzi noc, godzina północna bije. Wtedy nagle poczyna się grzmot wielki i trzęsienie ziemi. A dusze w górę się rozpierzchują na wszystkie strony jak spadające gwiazdy, i każda kwapi się, kędy jej przeznaczono urodzić się...

Owoż to wszystko widział na drugim świecie i opowiedział ziomkom swoim ze stosu ów Er z Pamfilii. O sobie samym zaś nie był zdolnym powiedzieć, którędy i jakim sposobem wrócił do ciała. Tyle mu tylko było wiadomo, że jemu pić wody z Lety nie dano i że kiedy nagle z rana oczy znowu otworzył, ujrzał się już położonym na stosie. Taki jest w najgłówniejszych zarysach ów myt Platona. Z dyalogu Platona „Rzeczpospolita" przełożył Dr. H. Zathey. Tygodnik naukowy. Lwów, 16. listopada. Rok 1865. Nr. 40. str. 649—654.

Z podania tego nie wiele przejął Słowacki do swego poematu. Bo też zamiar jego był inny, niż Platona. Filozofowi greckiemu zależało na dokładnem odmalowaniu tego, co Er widział na drugim świecie; a naszemu autorowi chodziło przeciwnie o dalsze losy samegoż Hera. Stąd to spotykają się ze sobą zaledwie w niektórych szczegółach (np. w 6—7 zwrotce I pieśni.) Rozmijają się zaś mianowicie w tym punkcie, że podług mytu greckiego Er na stosie wrócił do życia, ażeby je wieść w dawnych warunkach, Słowackiego zaś Her ciało swoje pozostawia na stosie i kończy swój zawód ziemski. Ciało jego podlega płomieniom, dusza zaś opuszcza już na zawsze ciało Armeńskiego wojownika, a bierze sobie podobny wzorzec przed tronem Ananki, nie chcąc „własnego ciała odmiany" — i budzi się „gdzieś w puszczy — pod wieśniaczym płotem" jako Popiel. Słabe przeczucia tego obudzenia miał już duch Armeńczyka nad wodą letejską, gdzie otrzymał rany, „by pamięć boleści stracił". Wówczas to stracił on dużo swej pamięci — i ukazał mu się niedościgniony nigdy ideał wszystkich dalszych przeobrażeń i wędrówek ducha, ujrzał

„ — jako świt daleki —
Umiłowaną odtąd i na wieki!"

J. Starkel: Pisma pośmiertne J. Słowackiego. Dziennik literacki. 15. maja 1866. str. 317.

Co poeta rozumiał przez tę „umiłowaną“ Beatrycze, trudno rozstrzygnąć. Małecki tłómaczy ten „ideał Ojczyzny“ pochodzeniem Platońskiem. Wiadomo, że Słowacki na początku „Króla-Ducha“ zostawał pod wpływem Platońskich wyobrażeń. Jedną z zasadniczych podwalin całej doktryny Platona jest przypuszczenie, że ludzie przynoszą ze sobą na ten świat gotową już i tylko przypomnienia czasem potrzebującą świadomość bezcielesnych pojęć i ideałów (ideae innatae). Platon wyobrażał sobie, że człowiek przed narodzeniem swojem ogląda twarz w twarz owe wiekuiste pierwokształty wszystkich rzeczy stworzonych, a nawet i ideały żadnej zmysłowości niezdolne, jak np. cnotę, męstwo itp. w ich czystej postaci, czyli w ich prawdzie bezwzględnej.

Otóż jednym z takichto ideałów — wyższych nad wszelkie wcielenie, jedną z takich piękności — niedoścignionych, jest właśnie i owa napowietrzna, świetlana postać, która się „we mgłach letejskiej zapomnienia rzeki“ objawiła po śmierci duchowi Hera, jakby świtanie jakie dalekie. Ta boskość celu wszystkich jego zapędów istnieje tylko w wyobraźni i w pragnieniu, słowem w ideale; w żywotach zaś rzeczywistych, czuć się będzie zawsze tylko to jedno — „że go nie ma“, że go się jeszcze nie osięgło, że tysiące przeszkód kładzie się w drodze, które ciągle pokonywać potrzeba, aby się zbliżać do niego.

Na pytanie jaki to ideał, kto jest ta Umiłowana na wieki? odpowiada Małecki, że ideał Polski, jaką być ma i do którego dzieje nasze dążą; jaka jest wszystkich marzeń i usiłowań naszych przedmiotem.

Pokrewną myśl wyraża wiersz Słowackiego do K. Ujejskiego, rokiem tylko później pisany, przytoczony na str. 73. tomu I. Pism pośmiertnych Juliusza. Znajdujemy w wierszu tym prawie tesame obrazy, co w wzrotce XVII i nast. pieśni I. Króla-Ducha. Kiedy więc bohater poematu ujrzał przed oczyma ducha swego ową piękność idei, której w życie przeprowadzenie i wyrobienie dziejowe miało stanowić odtąd wiekuiste jego zadanie: natychmiast opuszcza błogą krainę odpoczynku, gdzie po trudach, tak gorąco pragnął pozostać już na zawsze i ujrzał się gdzieś —

w lichej chacie dziecięciem kobiety, która wzniecała w nim już w latach jego najrańszych instynkt zemsty.

...„Straszna nademną kobieta
Śpiewała swoje czarodziejskie runy.
Ojczyzna twoja, wrzeszczała, zabita!
Ja jedna żywa, a ty zamiast truny
Miałeś mój żywot. — Popiołem nakryta
I zapłodniona przez proch i popioły.
Wydałam ciebie, abyś był mścicielem,
Synu popiołów nazwany Popielem!"

Ażeby rozumieć tę strofę, — powiada Małecki — trzeba sobie przypomnieć cały pomysł, przeprowadzony w Lilli Wenedzie, z którą wiąże się ten rapsod „Króla-Ducha" jak najściślej i jest niejako jego epilogiem. Czytelnicy przypominają sobie, że Słowacki wyszedł w Lilli Wenedzie ze założenia, że Lechici zwyciężyli i zajęli siedziby nowe, ale nie prędzej, aż je zamienili w cmentarz plemienia Wenedów, którzy tu przed ich przyjściem mieszkali.

Otóż ową „Ojczyzną zabitą", o której matka synowi swojemu mówi, nie może być nic innego, jak ziemia Wenedów. Samą zaś kobietą ową, „czarodziejskie runy" nad dziecięciem wygłaszającą, jest oczywiście ta sama postać, która się tam w dramacie nazywa Roza Weneda.

Na końcu Prologu „Lilli Wenedy", woła Roza:

„Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią!
I zakocham się w rycerzy popiołach
I popioły mię zapłodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach!
A łożem ślubnem będzie stos rycerzy,
Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny.
Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny.

Drugie podobne miejsce, znajdujemy w scenie piątej aktu III.

Goniec: Ta czarownica z góry zapowiada,
Że po tej walce — martwych popiołami
Nakryta, za rok porodzi mściciela.

To cudowne zrodzenie się mściciela, zapłodnionego przez przodków swoich popioły, jest wyobrażeniem czysto ludowem, i nie znaczy nic innego, jak znane owe „*Exoriare* aliquis nostris *ex ossibus ultor!*

Juliusz Starkel w ocenie Pism pośmiertnych Juliusza Słowackiego. (Dziennik literacki. Lwów, 1866. Nr. 22. i następ.) uważa Króla-ducha jako wcielenie się historjozoficznej idei w Słowiańszczyznie. Od świetlanego szczepu Arjów przechodzi ten duch i powstaje jako widoma potęga, wśród pierwszych brzasków historycznych, na wielkiej Słowian ziemicy. Żywioły, które tu napotyka, są jeszcze nieokreślone, nie świadome swego życia; razem z żywiołami potężnej przyrody stanowią jedną tajemną całość.

Te wpółsenne pokolenia budzi do jawniejszego życia niebezpieczeństwo zewnętrzne: Germański nacisk od Zachodu. Ta „zemsta i zdrada", która była „karmem duszy i nauką", młodego Popiela, pada jak płonąca pochodnia śród cichych, rolniczych pokoleń.

Nie wystarczy to jednakże, aby w słowiańskich plemionach zbudzić narodową samowiedzę; coraz zacieklejsze napady germańskie (legenda o Rytygierze) a wreszcie powstanie tyraństwa w samejże Słowiańszczyźnie, stają się dopiero owym fermentem, który po licznych bolesnych przejściach wyprowadza naród z uśpienia. I jedno i drugie jest uosobione w Królu-Duchu jako zewnętrzna potęga Germanów, jako siła odporna w samej Słowiańszczyźnie. A złączenie to przyczyny i skutku, zaciemnia kompozycyę.

Łamanie się pogańskiej, fizycznej siły z moralną potęgą chrześcijańskiej miłości — zgodność narodowego poczucia i potężny już odpór germańskiego nacisku: oto dalszy wątek „Króla-ducha". Czem dalej jednak w historję, tem częściej spotyka poeta dwie wielkie zapory, t. j. prawdę historyczną i coraz większą rozmaitość narodowego życia, a jednemu i drugiemu nie czyni już zadość, lecz rzuca się w grube mgły mistycyzmu.

J. Starkel zwraca uwagę na powinowactwo między panteistyczną ideą wyłaniającą się z „Króla-Ducha" a hipotezą jednego z głębokich myślicieli włoskich XVI. wieku Giordana Brunona, spalonego w Rzymie za kacerstwo.

Tu i tam wedle prawa nieskończonego wcielania nieśmiertelnej siły wszechświata, wciela się jeden i ten sam duch w różne postacie. Jak w systemacie Brunona, tak i w Królu-Duchu jest celem wcielającej się wszechduszy udoskonalenie świata z bałwochwalczej czci dla sił fizycznych podnoszenie się powolne do pojęcia ducha i sił moralnych. Jak u Brunona tak i w naszym poemacie są napełnione duchem najnędzniejsze twory, i między wszystkimi istnieje tajemny związek.

Zdaniem St. Tarnowskiego chciał tu wytłómaczyć Słowacki całą tajemnicę Polski, jej początku, jej bytu i upadku, ale przedstawienie jego jest sprzeczne zarówno z historyą, jak z psychologią i filozofią. Utrzymywali jedni, że „Król-Duch" ma być osobistą historyą poety samego, opowiedzeniem wcieleń i wyobrażeń jakie przebywał, to jest poematem czysto indywidualnym. Rzeczywiście teorya metampsychozy jest podstawną myślą „Króla-Ducha", ale nie tłómaczy go w zupełności. Inni znowu szukali w tym poemacie tendencyi patryotycznej o praktycznej dążności w formie politycznej allegoryi. Tym kluczem oczywiście otworzyć go nie mogli, objawienie bowiem prawdy tu złożonej nie miało być bezpośrednie ani doraźne, lecz raczej pozostawione powolnemu procesowi nawrócenia do niej umysłów. Ci zaś, a byli i tacy, którzy chcieli widzieć w „Królu-Duchu" proste tylko opowiedzenie historyi polskiej (w stanowczych jej momentach) jakoby extrakt i rdzeń tej historyi, ci znowu z uwagi spuszczali doktrynę o wędrówce dusz i charakter historiozoficzny, których nie można w nim nie widzieć.

Na powstanie „Króla Ducha" działały zdaniem St. Tarnowskiego dwa czynniki: patryotyczne uczucia, troski i wątpliwości z jednej, a z drugiej filozoficzne wyobrażenia Słowackiego, wyrobione pod wpływem mistycznej doktryny, pomiędzy któremi w pierwszym rzędzie stoi wiara w wędrówkę dusz. Zamiarem zaś jego było wytłómaczyć w „Królu Duchu" rozwój, postęp, przewinienia i pokuty polskiego ducha, wykryć całą tajemnicę jego przeszłości i przyszłości. Duch ten raz szlachetnieje i dąży do doskonałości czy to z własnej inicyatywy czy pod działaniem chłosty bożej, drugi raz daje się pokonać siłom pogańskim i upada, staje

się winnym. Za każdym takim upadkiem, następuje pokuta, po której naród oczyszczony i rozgrzeszony wznosi się o jeden szczebel wyżej, ukazuje się szlachetniejszym, bliższym doskonałości.

Poeta chciał tu przypomnieć te szczeble, któreśmy dotąd przebyli, powiedzieć na jakim znajdujemy się dzisiaj, a wreszcie ostrzedz, co czynić mamy, żeby się dostać na coraz wyższe. Widzimy więc najprzód społeczeństwo polskie powstałe z najazdu Lechitów i zagłady Wenedów. Ten podbój, ten gwałt, jest pierwszą winą, grzechem pierworodnym Polski. Dopóki tej winy nie odpokutuje, nie może naród ten pójść wyżej. Zsyła mu więc Bóg Popiela (pierwsze wcielenie „Króla Ducha“), który jako syn Rozy Wenedy i popiołów ma missyę bożego bicza, mściciela, jest karą na Lechitów za Wenedów, a z drugiej strony zesłany jest na to, żeby przez jego chłosty i barbarzyństwa naród mężniał i wyrabiał w sobie ducha. Przez Popiela więc dzieje się i expijacya, i wewnętrzny postęp Polski. Przy swojej śmierci zostawia go już „niewolnikiem ale rycerzem twardym“. To zaś, że misya jego była historyczną koniecznością i wynikiem bożej woli, to sprawia że pomimo wszystkich swoich zbrodni i okrucieństw, Popiel (Król Duch) czuje się duchem wybranym, aniołem tej ziemi, którą dręczy. Teraz taka krwawa rola była potrzebną; później przyjdzie czas, że Król Duch będzie mógł spełniać missye zgodniejsze ze swoją naturą i ze swoją miłością dla „umiłowanej przez wieki“. Ale że jest zarazem duchem indywidualnym, człowiekiem, przeto choć spełniał wyższą missyę, przecież jako człowiek musi za nie odpowiedzieć i odpokutować. Umiera więc jako Popiel i na tamtym świecie cierpie za złe, jakie zrobił w tem swojem wcieleniu. Naród tymczasem, przez niego krwią okupiony i z dawnych win obmyty, ocknął się z odrętwienia, zdobył się na wielki akt poświęcenia (Wanda) i o tyle się podniósł, o tyle wyszlachetniał, że zasłużył wstąpić na drugi już szczebel rozwoju, którym jest spokojne i uczciwe, rolnicze, Piastowskie społeczeństwo. Ale pierwiastki pogańskie i elementarne nie śpią, lecz pracują, by zepsuć tę dobrą naturę narodu. Piast przedstawia piękną stronę tej natury; uczciwość, dobroć, przestawianie na swojem .a przy tych przymiotach może

i miękkość polska. Za żonę daje mu Słowacki Pychę (upatrując w legendowem imieniu Rzepichy jakieś podobieństwo i symboliczne zbliżenie do słowa pychy. Ona tedy w przeciwstawieniu do Piasta jest uosobieniem złego pierwiastku w naszej naturze; tak zatwardziała w swej złości, że spiskuje z cesarzem Ottonem i wydaje mu Polskę byle na swojem postawić. Ten zły pierwiastek pogański przez Pychę wszczepiony i pozostawiony narodowi jak zatruta, fatalna spuścizna, tak psuje i trawi Piastowego ducha, że po jakimś czasie chata Piasta „zaczęła tracić swoje złote goście" i nastała potrzeba nowego pchnięcia narodu naprzód. Takim żywiołem, takim ratunkiem jest chrześcijaństwo. Wprowadza je do Polski „Król Duch" wcielony w Mieczysława i chrztem z wody i z ducha podnosi swój naród jak go przedtem podniósł chrztem krwi, kiedy był Popielem.

Tarnowski przeczy zdaniu Małeckiego, jakoby Słowacki za ostatnie wcielenie „Króla Ducha" uważał siebie. Takiej pychy człowieka, któryby mniemał, że cały duch Polski i całe jej dzieje były w nimześrodkowane, nie miał już w owym czasie poeta-mistyk. St. Tarnowski, Małeckiego Słowacki. Przegląd Polski. 1867. str. 389—430.

P. Chmielowski i J. Tretiak rozbierają psychologicznie grunt, na którym zbudowany jest cały poemat. Wędrówka ducha poprzez wieki całe, wyłanianie się jego w coraz innych kształtach, które brał na siebie z mocy bożej; rzucanie uroków, walki duchów dobrych z potęgami ciemności, wykradzenie światła bożego przez Pychę (Rzepichę), tę „Prometeankę słowiańską" jak ją poeta nazywa; wszystkie zresztą szczegóły, w tym poemacie zawarte: to są mity nowej epoki cywilizacyi, halucynacye, którym podlegał poeta-mistyk. Stawały się one tym silniejsze i z poetyckich zmieniały się niekiedy na rzeczywiste. „Król Duch" jest najlepszem tego stanu obrazem. Piotr Chmielowski. Geneza fantazyi, Warszawa 1873. 69 i 86.

Wyrazistość obrazów fantazyi — powiada Dr. J. Tretiak — wzrasta tu wraz ze stopniem jej podniecenia, ale jednocześnie też coraz bardziej zatraca się między niemi związek logiczny i poeta tworzy koncepcye szalone, chaotyczne, przerażające wrażliwych czytelników a dla mniej wrażliwych niedostępne.

Już nie obojętne idee, ale uczucia i namiętności wchodzą tu w grę i cały organizm przetrawiają, szarpią, rozstrajają i wycieńczają. „Tydzień" Lwów, 15. lipca 1877. roku, str. 710.

Dr. Adam Asnyk widzi w „Królu Duchu" najsamodzielniejszą kreacyę Słowackiego. Nie ma ona innego dla siebie rodowodu, prócz podsuniętej przez Towiańskiego mglistej i niepewnej idei, którą poeta po swojemu ujął i przeobraził. Zdaniem Asnyka jest ta metampsychosa punktem wyjścia dla całego poematu i jedyną nicią, łączącą pojedyncze jego rapsody. Otoż według niego zasadnicza idea pierwszego rapsodu: „Król Duch" budzi się do nowego życia w przedhistorycznej Słowiańszczyznie, przychodząc na świat jako potomek i mściciel wygubionych ogniem i mieczem plemion. Skusiła go do tego nowego żywota idealna postać przyszłej Polski, która wtenczas, gdy siedział smutny nad Letejską rzeką, ukazała się w mytach przeszłości olśnionym jego oczom. Postanowił żyć i umierać dla niej i zstąpił w człowieczym kształcie na ziemię. Gdy przyszedł do samowiedzy ludzkiej i rozpatrzył się dokoła siebie — w całej tej Słowiańszczyźnie, wśród której powstał, zobaczył wszędzie początkowy tylko chaos, ruchomą falę ścierających się plemion, miękki, rozlatujący się materyał, niezdolny sam przez się do wytworzenia stałej budowy państwowego bytu.

„Król Duch" czuje się powołanym do spełnienia wielkiego dzieła; jego celem i zadaniem jest skupić te niesforne i niemające wspólnej osi atomy w wielką organiczną całość i wyprowadzić z pierwszego zamętu, silną państwową potęgę, któraby później na długie wieki opierała się falom dziejowych wypadków. Do tego więc celu dąży z całą świadomością twórczego ducha, nie wzdrygając się i nie cofając przed niczem. „Król Duch" przychodzi do królewskiej władzy nad tą leniwą i bezwładną Słowiańszczyzną i bierze ją całą pod młot swojej strasznej, bezgranicznej tyranii.

A jednak lud przerażony zarówno rzeczywistemi zbrodniami, których był świadkiem jak i wizyami, które wytworzyła bujna jego fantazya, ukochał dzikiego władcę za siłę i męczarnie, które roztaczał do koła. Podobna cześć i miłość w nierozwiniętych masach dla silnej i konsekwen-

tnej tyranii biorąca swe źródło w bezwiednym instynkcie narodu, jest osobliwszem zjawiskiem, które się jednakże nieraz powtarzało w historyi. Wielkość, chociaż zbrodnicza, ma swój majestat, który pociąga niedojrzałe do społecznego porządku tłumy i tą atrakcyą właśnie sama natura zdaje się ułatwiać powstanie państwowych organizmów z pierwotnego chaosu.

„Król Duch" ginie w tym pierwszym swoim straszliwym kształcie, ale dzieło jego spełnione i pośród tych pierwotnych plemion ugruntowanem zostaje poczucie jedności, wyrasta ściślejsze pojęcie ojczyzny — Polska budzi się do życia. Poemat wykonaniem swoim nie odpowiada zamierzonemu celowi. Zanadto brak mu jasności i prostoty a samo bogactwo rozrzuconych, częstokroć krzyżujących się myśli i obrazów, przyczynia się do zatarcia wyrazistości rysunku. Cały zresztą język poetyczny w nim użyty miejscami nadzwyczyjnej siły i piękności zbyt często wpada w przesadę, w jaskrawość lub trudną do rozplątania zawiłość. Są to przyczyny, dlaczego rapsod pierwszy „Króla Ducha" nie zajął w literaturze stanowiska, jakieby mu się należało przez wzgląd na poetyczną wielkość i samodzielne życie zawartej w nim myśli. Poemat cały stanowi opowiadanie „Króla Ducha" o dziejach swego żywota na ziemi. Zadania jego będą coraz wyższe, podbój fizyczny ustąpić musi miejsca podbojowi moralnemu i ludzkość w dalekiej przyszłości doczeka się chwil szczęśliwszych, w której mistyczny bohater spełni duchem to, co poprzednio spełnił ciałem tylko. Adam Asnyk: „Król Duch" Słowackiego. Przewodnik naukowy i literacki. Lwów, styczeń 1879. Rok VII.

Dr. Maryan Zdziechowski patrzy na poemat Juliusza jako na wylew osobistych jego uczuć i porównywając „Króla Ducha" ostatni, najbardziej subjektywny z jego utworów z pierwszymi („Mnich" i „Arab"), dochodzi do wniosku, że tu i tam odbija się najwyraźniej marzycielstwo poety, rys zasadniczy jego umysłu. Marzenia były treścią życia poety, oczarowany niemi sądził on z tego stanowiska świat, mienił się wyższym od ludzi, nienawidził ich, że się do niego wznieść nie umieli, a nie mogąc sam sobie wyrobić ideałów określonych i choć pokrewnych dążeniom ludzkości, winę własnej nieudolności składał na świat i potępiał

go bez miłosierdzia. Gdy się więc zechciało Mindowemu lub Popielowi myśl swoją wprowadzić w czyn, a ludzie go pojąć nie umieli, postanowił uczynić z nich ślepe narzędzie w swoim ręku... Z idealisty stał się terororystą, jak Król-Duch.

W cudnych strofach opisał Słowacki siebie w Popielu. Znudzony i cierpiący nad jednostajnością biegu rzeczy ziemskich, żądny jakiejkolwiek zmiany, przeklinał dręczącą go obecność i zazdrościł losu umarłym, palonym na stosach; smętne śpiewy, towarzyszące obrządkowi, unosiły go w nieznane krainy śmierci, powiewy zaświatowe ogarniały go, ginął w marzeniach... a świat tymczasem „urągał mu cichością; co jak żółw za słońcem chodzi“. Rozpacz wgryzła mu się w serce i rozlewała jadem żółci i nienawiści przeciwko ludziom, których marne sprawy i dążenia były winą wstrętnych dla marzyciela rzeczywistych warunków życia, pałał wtedy żądzą zemsty nad ludzkością — mimowolną winowajczynią jego smutków.

Zdziechowski podaje inne, psychologiczne przyczyny okrucieństw Popiela. Porwany i trawiony ogniem własnej fantazyi, czuł, że go żadne nie łączyły ogniwa z ludźmi, panem był woli poddanych swoich, a wiedział, że jej nagiąć do żądz ducha swego nie zdoła, bo nie znajdował w nich struny żadnej, którаby odpowiadała pragnieniom jego nienasyconym, nieskończonym... Zrozpaczony, postanowił wyzwać niebo. — Jeśli Bóg istniał, postanowił gwałtem go zmusić, aby się wmieszał do rzeczy ziemskich, aby przerwał, choć cudem, jednostajną, nużącą, wstrętną kolej wypadków. Drogę do celu swego widział jedną: przerazić niebiosa swemi okrucieństwy.

Postanowił upokorzyć naturę, gwałcąc najświętsze jej prawa: rozkazał wprowadzić matkę swą z lasu i palił ją na wolnych ogniach. Lecz nieba zawsze milczały, a lud męczony kochał go za męczarnie, za strach, za siłę. Z rozpaczy i wściekłości zczerniał jak trup, a jednak próchniejący tak, upadły i zużyty, czuł się nieraz jak „anioł gorący, gotów ukochać świat i nieść w błękity ziemię“.

Dotąd nie wyróżniał się „Król-Duch“ od „Araba“. I jeden i drugi, zdawali się pałać równą nienawiścią ku ludziom i naturze a nawet ku Bogu. Teraz dowia-

dujemy się, że groźny władca kochał jednak świat, a uczucia tego nie znał Arab. Dziwną napozór i nieprawdopodobną wyda się miłość ujawiająca się w okrucieństwach, a jednak autor „Araba“ był tu wiernym sobie, bo miłość jego miała źródło tylko w wyobraźni. Nigdzie nie uwydatniła się tak wyraźnie sprzeczność zasadnicza pomiędzy poetą uczucia, a poetą marzeń, — pomiędzy Mickiewiczem a Słowackim. I twórca „Dziadów“ wyzywał Boga na walkę, ale na serca, bo kochał ludzi takimi, jakimi są, współczuł ich nędzy, pragnął przyjść im w pomoc, podnieść i uszczęśliwić — Słowacki zaś chciał zwalczyć Boga zbrodniami, bo jeśli kochał ludzi, to nie rzeczywistych, lecz wymarzonych, a nieznalazłszy w ludziach rzeczywistych narzędzia biernego do urzeczywistnienia pomysłów fantazyi swojej, rozczarowawszy się i zwątpiwszy polecał okrucieństwo.

Ale z wyższej konieczności nastał koniec bezprawiom króla. Osłabły i konający żegnał naród, tłómacząc mu słowy urwanemi ciemne posłannictwo swoje: wyznawał, że biczem był dla nich, ale wyższym był od Neronów i Herodów, bo choć okrutny, chciał jednak „nieść w błękity ziemię“; jaśniała nad nim myśl słoneczna, która wprawdzie przez schody okrwawione, ale prowadziła go w progi ideału. „Idźcie, — dodawał — już więcej nie jesteście sługi mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi. Kupiłem naród krwią, i nad jej strugi podniosłem ducha, który śmiercią gardzi“. Naród jego odtąd już iść będzie pchnięciem „skrwawionego wiosła“ i Polska „na ból skała“, na krew twarda i nieczuła, wyjdzie zwycięsko z zapasów wiekowych. Taką była misya Króla-Ducha i taki jego koniec: przeniósł się w świat duchów pokutować za zbrodnie i pokutą przysposabiać się do przyjęcia nowych kształtów, aby dalej prowadzić naród ku celom jego istnienia.

Nie znają dzieje literatury — kończy swój rozbiór Zdziechowski — żadnego poety, któryby marzycielstwo do takich krańców posuwał, to też i typ stworzony przez Słowackiego, przeczuty w pierwszych utworach w Arabie, w Mnichu i w Mindowem, ale z olbrzymią potęgą fantazyi wyrażony dopiero w pierwszym rapsodzie Króla Ducha, pozostanie wyjątkowem w poezyi zjawiskiem. Dr. Maryan

Zdziechowski: Mesyaniści i Słowianofile. Kraków, 1888. str. 171. i nast.

Zdziechowski zwraca uwagę na niekonsekwencyę w charakterystyce bohatera „Króla Ducha“ wynikłą z powiązania poematu z „Lillą Wenedą“. Słowacki wpadł przezto w błąd psychologiczny, nadawszy Popielowi od urodzenia pociąg do zemsty i zdrady, choć dalsze krwawe czyny jego nie wypływały ani z żądzy zemsty, ani ze szczególnego zamiłowania w zdradzie, lecz tylko z owego smutku głębokiego, który mu „wyrywał wnętrzności“. Źródłem tego smutku były własne uniesienia Juliusza, wrzące mu w piersi, namiętne, lecz mgliste i nieokreślone. I Byron — którego autor znakomitej monografii o Byronie zawsze ma przed oczyma, gdy mówi o Słowackim, — wzbijał się ponad ogół ludzkości wielkością pragnień, ale poeta angielski jak wiedział zawsze, czego chciał, tak też i umiał w rozpaczy swej zachować miarę, tymczasem żądze Słowackiego pochodziły z chorobliwej rozbujałości marzeń: rozhukany potok fantazyi unosił go na falach ognistych daleko, poza krańce możliwości. Osamotniony w tych marzeniach pogrążał się nadal w bezdeń smutku, aż do śmierci, spowodowanej gardłowemi suchotami, których zarodki razem ze zgryźliwą naturą odziedziczył po ojcu nieodrodny syn matki — marzycielki.

KONIEC.

BIBLIOGRAFIA.

(Dopełnienia).

—

Leon Borowski: „Wiadomość o życiu i pismach J. Słowackiego“ w „Pamiętniku lwowskim“, red. A. Chłędowskiego, Lwów 1816. I. 236—47 (przedruk z „Dziennika wileńskiego“ 1815).

Opera „Beniowski“, muzyka Boieldieu, słowa Duwala w przekładzie Kudlicza, grana kilkakrotnie od 1817 r. na scenach polskich.

Dzieła Euz. Słowackiego z pozostałych rękopisów ogłoszone. Wilno 1824, tom I. (biografia).

„Jan Bielecki“, J. Słowackiego, „Rozmaitości“, Lwów 28. lipca 1832 r. Nr. 39 (przedruk z pierwszego wydania Poezyi J. Słowackiego, z przypiskiem od redaktora, że „autor pisał tę powieść w Londynie“).

O J. Słowackim „Demokrata“, Paryż 1841, tom IV. str. 44—5.

O J. Słowackim pisze często pismo satyryczne „Pszonka“, Paryż 1844 i inne lata.

O J. Słowackim i Z. Krasińskim w artykule bezimiennym „Nowe psalmy przyszłości“ — „Przegląd poznański“ 1848, tom VII, str. 623—5.

List Antoniego Nowosielskiego (z powodu wydania „Balladyny“ i innych dzieł) w „Gazecie Warszawskiej“ z 9. (21.) października 1857, Nr. 277.

Starożytny zamek w Brzeżanach, „Dziennik literacki“ 1858, Nr. 130.

Bolesław Wiktor Budziński: „Calderon i dramat hiszpański“, (ocena przekładu J. Słowackiego dramatu „Książę Niezłomny“) — „Biblioteka warszawska“ 1859, tom III., str. 316—322.

J. Klaczko: „Poezya polska i poeta bezimienny w XIX. wieku“ — „Dziennik literacki“. Lwów 2—6 maja 1862, Nr. 35—6 (Do autora trzech psalmów).

Józef Dzierzkowski: „Marya Stuart na scenie krakowskiej“ — „Niewiasta“, Kraków 25. listopada 1862, t. III., str. 374—5.

A. Mickiewicza: „Literatura słowiańska“, tłumacz. F. Wrotnowskiego, wyd. trzecie, Poznań 1865, tom II. str. 206, jedyna wzmianka o Juliuszu Słowackim w wykładach w „College de France“.

Antoni Wieniarski: „M. Beniowski“ — „Tygodnik ilustrowany“, 1864, tom IX., str. 149.

Adam Pajgert: „O przedmiotach ujemnych w sztuce“, „Dziennik literacki“ 1868, Nr. 20—2.

Juliusz Słowacki przez K. Widmana (z portretem) w „Tygodniku lwowskim“ 1868, Nr. 15. str. 113. Tamże rycina przedstawiająca Kordjana przeskakującego na koniu najeżone bagnety. Układ i rysunek Tadeusza Steiferta.

W. Bogdunko: „Jan Mazepa“ tragedya, ocena w „Przeglądzie Polskim“ 1869, tom III., str. 472—4.

St. N. Rzętkowski: „Marya Stuart i Rizzio“ w „Tygodniku ilustrowanym“ 1869, tom IV., str. 176.

„Goplana“, Poznań i Berlin 1866, ocena przez R. (Wójcickiego) w „Bibliotece Warszawskiej“ 1870 tom VI., str. 161.

„Jan Mazepa“ przez F. M. Sob(ieszczańskiego) — „Tygodnik ilustrowany“ 1871, tom VII., str. 140. Wyjaśnienia tamże str. 251.

Edward Lubowski: „Marya Stuart“ J. Słowackiego i „Mazepa J. Słowackiego“. Przegląd teatralny w „Bluszczu“ 1872, tom VIII., str. 156 i 196.

„Mazepa“ J. Słowackiego, benefis J. Królikowskiego przez F. H. Lewestama, „Kłosy“ 1873, t. XVI., str. 288—318.

Edward Lubowski: „Mazepa“, tragedya J. Słowackiego (występ J. Królikowskiego) w „Bluszczu“ 1873, tom IX., str. 150—1.

„Marya Stuart“ J. Słowackiego i „Mazepa“ tegoż — Przegląd teatralny przez Edwarda Lubowskiego w „Bibliotece Warszawskiej“ 1873, tom II., str. 368—73.

Henryk Sienkiewicz: „Genezis z ducha J. Słowackiego“ w „Bluszczu“ 1873, tom IX., str. 143—4.

Sąd o „Księciu Niezłomnym“. Listy J. I. Kraszewskiego. „Kłosy“ 1874, tom XIX., str. 371

J. Słowacki we francuskiem tłómaczeniu, przez Zygmunta Sarneckiego. „Kłosy“. Warszawa 1875, tom XXI., str. 11, skąd się dowiadujemy, że w rękopisach spoczywają przekłady francuskie Juliusza Miena: „Smutno mi Boże“, „Grób Agamemnona“, „Lilla Weneda“, „Anhelli“, „Fragmenty“.

Stanisław hr. Małachowski: „Krótki rys z życia i pism Z. Krasińskiego“, Kraków 1876, „drukowane jako rękopis“, o stosunku Słowackiego do Krasińskiego str. 28—30, 42 i 57.

Pierwszy występ J. Kotarbińskiego w „Mazepie“ J. Słowackiego, „Kłosy“ 1877, tom XXV., str. 168.

„Tak mi Boże dopomóż“ wiersz J. Słowackiego w „Bluszczu“ 1877, tom XIII., str. 241 i w „Tygodniku ilustrowanym“ 1877, Nr. 82 z 21. lipca 1877.

Walerya Marrené (Morzkowska): „Zrozpaczeni w literaturze“, „Tygodnik ilustrowany“ 1878, t. V., str. 43 -163.

„Balladyna“, rysunek Andriollego, omówiony przez A. Pługa w „Kłosach“ 1879, tom XXX., str. 375.

Dwie poezye przedśmiertne (ojca i syna) Słowackich („Mój testament i t. d.“) przez A. Tyszyńskiego w „Tygodniku ilustrowanym“ 1879, tom VIII., str. 91.

„Ojciec zadżumionych“ przekład W. Gasztowtta, „Kronika paryska“ S. Duchińskiej w „Bibliotece Warszawskiej“ 1880, tom I., str. 287 i n.

„In der Schweiz“ von J. Słowacki, übersetzt von L. Kurtzmann, Wien 1880, ocena przez J. Święcickiego w „Bibliotece Warszawskiej“ 1880, tom IV., 469 i nast.

„Maria Stuart“ von J. Słowacki, übersetzt von Lud. German, ocena J. A. Święcickiego tamże, 1880, tom IV., str. 469.

Przekłady arcydzieł polskich poetów Wacława Gasztowtta, w Kronice paryskiej Duchińskiej. „Biblioteka Warszawska“ 1881, tom I., str. 271 i nast.

E. Grabowski: „Pedro Kalderon de la Barka“ w „Tygodniku ilustrowanym“ 1881, tom XI., str. 339 i 355.

Antoni J. (Rolle): „Zameczki podolskie“ (X. Marek) 1881.

K. Mirecki: „Jan Bielecki“, rycina i treść poematu „Jan Bielecki“ przez A(dama) P(ługa) w „Kłosach“ Warszawa 1881, tom XXXV., str. 372 i 383.

„Balladyna“ ilustrowana (w Kronice z pod Wawelu) „Biblioteka Warszawska“ 1883, tom II., str. 83.

Jan Królikowski w „Maryi Stuart“ i „Mazepie“ z popowodu 45-letniego jubileuszu w „Kłosach“ 1883, t. XXXVII., str. 419.

„Lilla Weneda“ z rysunkami M. Andriollego, nakładem Orgelbranda, omówiona w „Kłosach“ 1883, t. XXXVI., str. 234.

Rysunki J. Słowackiego i portrety rodziny tegoż przez A(dama) P(ługa) w „Kłosach“ 1884, tom XXXIX., str. 283, 285 i 289.

Aleksander Półkozic: „Iskry z popiołów“ (o Słowackim z lat ostatnich) w „Kłosach“ 1884, tom XXXIX., str. 284 i nast.

„Z niewydanych poezyi J. Słowackiego“ przez J. H. Rychtera w „Kłosach“ 1884, t. XXXVIII., str. 51, 86 i 102.

„Pisma pośmiertne J. Słowackiego“ — „Kłosy“ 1884, tom XXXIX., str. 277.

„Zawisza Czarny“, urywki z niewykończonego dramatu J. Słowackiego, wydał J. H. Rychter w „Kłosach“ 1884, tom XXXIX., str. 334—397.

Adam Pług (Antoni Pietkiewicz): „Mazepa“, objaśnienie obrazu G. Marxa p. t.: „Mazepa“ — „Kłosy“, Warszawa 1885, tom XLI., Nr. 1064, str. 323 i 326.

Kazimierz Kaszewski: Wincenty Rapacki w „Mazepie“, życiorys, w „Kłosach“ 1888, tom XLVI., str. 292.

Słowacki „Kordjan“ übersetzt von A. Berson, ocena przez St. Tarnowskiego w „Przeglądzie Polskim“ 1887—8, tom I., str. 346.

J. Słowackiego fragment „Zaprawdę, przez połowę ten co opowiada...“ — w „Tygodniku ilustrowanym“ 1890. tom V., str. 294.

Antoni Bądzkiewicz: „Kornel Ujejski“, zarys biograficzno-krytyczny, Kraków 1893. („Stosunek Ujejskiego do Słowackiego).

Kazimierz Alchimowicz z Warszawy „Goplana“, obraz olejny wystawiony na Wystawie powszechnej we Lwowie 1894. Rycina zamieszczona w „Katologu ilustrowanym wystawy sztuki współczesnej“, wyd. trzecie, Lwów 1884.

Marya Gerson z Warszawy: Popiersie Słowackiego, z terrakoty, na Wystawie powszechnej we Lwowie 1894.

Jacek Malczewski: „Śmierć Ellenai“ — Kochanka Anhellego na łożu śmiertelnem, z prawą ręką na piersi, obraca się ku siedzącemu po lewej sędziwemu Szamanowi, który w głębokim smutku załamał ręce. Szkic węglem na papierze wys. 40 cm. szer. 33 cm. Oznaczony górą: „Nie zapominaj o mnie Anhelli“. Własność Ludwika Michałowskiego w Krakowie.

Marceli Maszkowski: „J. Słowacki pod piramidami“. Na tle niebieskiego nieba, stojąca postać poety ubranego w biały płaszcz na wprost. Stoi na wzgórzu, u stóp piramidy, piętrzącej się ku prawej. Na dole kilka wschodnich postaci. Monogram: „M. M. 1860“, obraz olejny na płótnie wys. 140 cm., szer. 95 cm. Własność Maryi Gryzieckiej, żony profesora uniwersytetu we Lwowie. Prof. dr. Antoniewicz (Katalog ilustrowany wystawy sztuki polskiej od 1764 do 1886, Lwów 1894, str. 321—4) opisuje inne obrazy tego artysty, o których wspomina kilkakrotnie Słowacki pod koniec życia (w listach do matki).

Witołd Pruszkowski z Krakowa: „Śmierć Ellenai z Anhellego“, pastel, (własność prywatna), na Powszechnej Wystawie we Lwowie 1894, tenże „Eloe“ z Anhellego, pastel, jak wyżej.

Nadmieniam dodatkowo ilustracye „Balladyny“ Stachiewicza, Lisiewicza, Maszyńskiego i Roztworowskiego, ostatniego 6 kompozycyj wywołanych konkursem krakowskim — „Kraj“ 1894.

A. A. Sokołów: „Maziepa“, istor. drama w 5 diej. s prologom, w stichach. Moskwa 1894.

Izwolski: „Iwan Maziepa“ gietman małorossijskij istor. razskaz, izdanie 5-je. Moskwa 1894.

Piotr Chmielowski: „Co sądził Słowacki o Konradzie Wallenrodzie“, „Tygodnik ilustrowany“ 25. marca (7. lipca) 1894, Nr. 27. (236), str, 6—7.

L. M. Dziama: „Piast Dantyszek“ B. Gubrynowicza i „Marya Stuart“ W. Hahna w „Przeglądzie Powszechnym“, Kraków, zeszyt lipcowy 1894, str. 95—6.

Wiktor Hahn: „Kilka słów o genezie Mindowego“, tragedyi Juliusza Słowackiego. Lwów, nakładem autora, 1894, str. 29.

Ferd. Hösick: „Anhelli i trzy poematy“, przyczynki do dziejów twórczości J. Słowackiego. (Odbitka ze sprawozdania z posiedzeń Wydziału filolog. Akademii umiejętności), Kraków 1894, str. 3.

Ferd. Hösick: „Słowacki potomkiem astrologów“ (mistrza Piotra Słowackiego, profesora matematyki w Akademii krakowskiej, † 1588, Stanisława Słowackiego, doktora medycyny i astrologa, i Franciszka Słowackiego, również astronoma z 16 wieku) w „Tygodniku ilustrowanym“, 1894, Nr. 45.

Ferd. Hösick: „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu“, Kraków 1895 i ocena krytyczna tego dzieła przez St. Tarnowskiego w „Przeglądzie Polskim“ z września 1894.

Ferd Hösick: „Juliusz Słowacki w Szwajcaryi“ — „Ateneum“, na październik i listopad 1894.

Ferd. Hösick: „J. Słowacki w ziemi św. i w Syryi“ „Przegląd Polski“, Kraków, październik i listopad 1894 zeszyt IV., str. 1—38.

Dr. Henryk Monat: „W Szwajcaryi“, urywek z życia Juliusza Słowackiego, w „Niwie“, dwutygodniku warszawskim 1894, Nr. 10.

Dr. Henryk Monat: O poemacie w „Szwajcaryi“ w „Politik“ Praga 1894, z luźnymi ustępami w przekładzie niemieckim.

Tamże, przekład J. Słowackiego „Przekleństwo“ przez Dr. H. Monata.

T—N. „Sen o grobowcu Anhellego“, Kraków 1895 u Krzyżanowskiego.

Władysława Żeleńskiego: „Goplana“ opera osnuta na tle „Balladyny“ (libreto L. Germana), odegrana w wyjątkach na koncercie we Lwowie 12. października 1894. Romans Kirkora i pieśń Grabca śpiewał Myszuga, balladę Goplany Szlezygierówna, duettino Skierka i Chochlika odśpiewały panny Korolewicz i Bohuss. W listopadzie 1894 grana w Krakowie.

Władysław Żeleński. Tańce z „Goplany“. Suite de danses polonaises. Polonez, Krakowiak i Mazur, op. 47. Lipsk 1894 u Hatzfelda.

12. i 30. listopada 1894 r. wznowiono na scenie krakowskiej „Balladynę“ Słowackiego. Kostiumy do tej tragedyi wykonano w pracowni teatralnej według wzorów zamówionych u naszego malarza historycznego Wojciecha Gersona, który wprowadził do ubiorów nowe motywy słowiańskie. „Czas“, „Nowa Reforma“ i „Głos narodu“ z 11. listopada 1894, Nr. 257 i następne podają bliższe szczegóły przedstawienia.

Teatr hr. Skarbka we Lwowie pod dyrekcyą Zygmunta Przybylskiego. Na dochód funduszu emerytalnego dla wdów i sierót po artystach i literatach polskich. We środę dnia 28. listopada 1894, gościnny występ pani Heleny Modrzejewskiej: „Mazepa“, tragedya w 5 aktach Juliusza Słowackiego. Osoby: Król Jan Kazimierz, p. Ruszkowski; Mazepa, dworzanin króla, p. Woleński; Wojewoda, p. Żelazowski; Amelia, jego żona, pani Modrzejewska; Zbigniew, syn wojewody z I-go małżeństwa, p. Hierowski; Chmara, dworzanin wojewody, p. Kiczman; Kasztelanowa, pani Ciechocka; Pan Pasek, p. Stróżewski; Ksiądz, p. Walewski; Dworzanin, p. Gamski. Pokojowi królewscy. Szlachta Ludzie wojewody. Scena w zamku wojewody. Reżyser pan Adolf Walewski.

Niewydane listy Salomei Becu, matki Juliusza Słowackiego, w „Świecie“ Z. Sarneckiego, Kraków 1895.

W ostatniej chwili donoszą pisma o wyjściu dzieła St. Tarnowskiego, p. t.: „Studya do historyi literatury polskiej“. (Nowa Biblioteka uniwersalna, wyd. nakładem Spółki wydawniczej polskiej), Kraków 1895. Tom I. obejmuje studya o „Mazepie“, „Horsztyńskim“ i „Niepoprawnych“.



SPIS RZECZY.

Objaśnienia utworów J. Słowackiego z okresu dojrzałości (1833—1842.)

Objaśnienia utworów J. Słowackiego z lat ostatnich (1842—1849.)

Str.



